

L I A N
HEARN



CESARZ OŚMIU WYSP

OPOWIEŚĆ O SHIKANOKO

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Lista postaci

Część pierwsza. Cesarz Ośmiu Wysp

1. Kazumaru
2. Kazumaru/Shikanoko
3. Kiyoyori
4. Shikanoko
5. Kiyoyori
6. Shikanoko
7. Kiyoyori
8. Akihime
9. Tama
10. Shikanoko
11. Kiyoyori
12. Shikanoko
13. Tama
14. Kiyoyori
15. Aki
16. Kiyoyori
17. Aki
18. Shikanoko
19. Hina
20. Tama
21. Masachika
22. Aki
23. Shikanoko

Część druga. Jesienna Księżniczka, Dziecko Smoka

1. Shikanoko
2. Masachika

3. Aki
4. Takaakira
5. Shikanoko
6. Aki
7. Yoshi
8. Shikanoko
9. Hina
10. Aki
11. Masachika
12. Hina
13. Masachika
14. Tama
15. Takaakira
16. Aki
17. Shikanoko

L I A N
HEARN

CESARZ OŚMIU WYSP

OPOWIEŚĆ O SHIKANOKO

Przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

*Mojej rodzinie,
Moim przyjaciołom,
Fanom Otorich na całym świecie.*

Lista postaci

Główni bohaterowie

- Shikanoko (Shika) – wcześniej Kazumaru, syn Shigetomo i bratanek Sademasy, panów Kumayamy
- Akihime (Aki) – córka szlachcica Hidetake, przybrana siostra Yoshimoriego i Kai
- Kiyoyori – pan Kuromori
- Tama – jego żona, wcześniej zamężna z Masachiką, matka Tsumaru i macocha Hiny
- Masachika – młodszy brat Kiyoyoriego
- Hina – czasami nazywana Yayoi, córka Kiyoyoriego
- Tsumaru – syn Kiyoyoriego
- Bara albo Ibara – pokojówka Hiny
- Yoshimori (Yoshi) – prawdziwy cesarz, dziedzic Lotosowego Tronu
- Takeyoshi (Take) – również Takemaru, syn Shikanoko i Akihime
- Pani Tora – matka pięciorga dzieci spłodzonych przez pięciu ojców
- Shisoku – górski czarownik
- Sesshin – stary uczony i mędrzec
- Książę opat Ryusonji
- Akuzenji – Król Góry, bandyta
- Hisoku – sługa pani Tamy

Klan Miboshich

- Pan Aritomo – głowa klanu, znany również jako Pan Minatogury
- Takaakira – pan Śnieżnej Krainy, przyjaciel i zausznik pana Aritomo
- Pani Yukikuni – jego żona
- Takauji – ich syn
- Arinori – pan Aomizu, kapitan
- Keisaku Yamada – adopcyjny ojciec Masachiki
- Gensaku – jeden ze sług Takaakiry
- Yasuie – jeden z ludzi Masachiki
- Yasunobu – jego brat

Klan Kakizukich

Pan Keita – głowa klanu
Hosokawa no Masafusa – krewniak Kiyoyoriego
Tsuneto – jeden z wojowników Kiyoyoriego
Sadaike – jeden z wojowników Kiyoyoriego
Tachiyama no Enryo – jeden z wojowników Kiyoyoriego
Hatsu – jego żona
Kongyo – starszy sługa Kiyoyoriego
Haru – jego żona
Chikamaru, później Motochika, Chika – jego syn
Kaze – jego córka
Hironaga – sługa z Kuromori
Tsunesada – sługa z Muromori
Taro – sługa z domu Kiyoyoriego w Miyako

Dwór cesarski

Cesarz
Księżę Momozono – następca tronu
Pani Shinmei'in – jego żona, matka Yoshimoriego
Daigen – jego młodszy brat, późniejszy cesarz
Pani Natsue – matka Daigena, siostra księcia opata
Yoriie – sługa
Nishimi no Hidetake – ojciec Aki, przybrany ojciec Yoshimoriego
Kai – jego adoptowana córka

Świątynia Ryusonji

Gessho – mnich wojownik
Eisei – młody mnich, później jeden z Poparzonych Bliźniaków

Kumayama

Shigetomo – ojciec Shikanoko
Sademasa – jego brat, stryj Shikanoko, obecnie pan posiadłości
Nobuto – jeden z jego wojowników

Tsunemasa – jeden z jego wojowników

Naganori – jeden z jego wojowników

Nagatomo – jego syn, przyjaciel Shiki z dzieciństwa, później jeden z Poparzonych
Bliźniaków

Nishimi

Pani Sadako i pani Masako – nauczycielki Hiny

Saburo – stajenny

Ludzie znad rzeki

Pani Fuji – właścicielka łodzi

Asago – muzyk i artysta

Yuri, Sen, Sada i Teru – młode dziewczyny z klasztoru

Saru – akrobata i treser małp

Kinmaru i Monmaru – akrobaci i treserzy małp

Plemię Pająka

Kiku – późniejszy pan Kikuta, najstarszy syn pani Tory

Mu – jej drugi syn

Kuro – jej trzeci syn

Ima – jej czwarty syn

Ku – jej piąty syn

Tsunetomo – wojownik, sługa Kiku

Shida – żona Mu, kobieta lis

Kinpoge – ich córka

Unagi – kupiec z Kotakami

Nadprzyrodzone istoty

Tadashii – tengu

Hidari i Migi – duchy opiekuńcze Matsutani

Dziecko smoka

Ban – latający koń

Gen – fałszywy wilk

Kon i Zen – magiczne jastrzębie

Konie

Nyorin – biały ogier Akuzenjiego, później Shikanoko

Risu – kapryśna kasztanka

Tan – ich źrebak

Miecze

Jato (Wężowy Miecz)

Jinan (Drugi Miecz)

Łuki

Ameyumi (Deszczowy Łuk)

Kodama (Echo)

Część pierwsza

Cesarz Ośmiu Wysp

Kazumaru

– Widziałeś, co się stało?

– Gdzie jest twój ojciec?

Stali nad nim dwaj mężczyźni. Ich ciemne postacie rysowały się na tle wieczornego nieba. Jednym był jego stryj Sademasa, drugim Nobuto, którego Kazumaru nie lubił.

– Usłyszeliśmy śmieszny hałas. – Chłopiec pokazał układanie kamieni na planszy. – Stuk, stuk, stuk. Ojciec kazał mi tu zaczekać.

Mężczyźni trafili na siedmiolatka ukrytego w wysokiej trawie, w zagłębieniu, które dla swoich młodych wydeptał jelen. Konie omal go nie nadepnęły. Kiedy stryj podniósł go z ziemi, na twarzy chłopca widniały głębokie odciski po źdźbłach trawy. Musiał tu leżeć przez wiele godzin.

– Kto zabiera dziecko na zwiad? – zdziwił się Nobuto.

– Mój brat nie potrafi się z nim rozstać.

– Nigdy nie widziałem równie zakochanego ojca!

– Albo tak zepsutego dziecka – burknął Sademasa. – Gdyby był mój...

Kazumaru nie podobał się ich ton. Wyczuwał w nim drwinę. Nie odezwał się, ale postanowił o wszystkim opowiedzieć ojcu, kiedy go zobaczy.

– A co z jego koniem? – zapytał Sademasa.

Starszy mężczyzna popatrzył w stronę drzew.

– Ślady prowadzą tam.

Na zboczu wulkanicznej góry rósł mały zagajnik skarłałych drzew. Niektóre umierały, z innych zostały tylko pnie. Powietrze cuchnęło siarką, para z sykiem wydobywała się ze szczelin w ziemi. Mężczyźni ze znużeniem ruszyli naprzód, z łukami w rękach. Kazumaru powlókł się za nimi.

– Przeklęte miejsce – wymamrotał Nobuto.

Pnie większych drzew były oznaczone słabo widocznymi przecinającymi się liniami. Na ziemi leżało kilka czarnych kamieni i garść białych muszelek.

– Krew. – Nobuto pokazał rozbryzg na jasnej skale. Ukucnął i dotknął go palcem. – Jeszcze mokra.

Plama była ciemna, niemal fioletowa.

– To jego? – zapytał szeptem Sademasa.

– Nie wygląda mi na ludzką. – Nobuto przysunął palec do nosa. – I nie pachnie jak

ludzka. – Wytarł dłoń o skałę. Wstał. Potem rozejrzał się i wykrzyknął: – Panie Shigetomo! Gdzie pan jest?!

– Jest, jest, jest! – odpowiedziało mu echo.

I jeszcze inny dźwięk, jakby łopot ptasich skrzydeł.

Kazumaru spojrział w górę. Nad ich głowami przelatywało stado dziwnych istot ze skrzydłami, dziobami i pazurami, ale w ubraniach: czerwonych kurtkach i niebieskich rajtuzach. Patrzyły na niego, pokazywały go sobie i śmiały się drwiąco. Jedna z nich trzymała w jednej ręce miecz, a w drugiej łuk.

– To jego broń! – wykrzyknął Nobuto. – Ameyumi.

– A więc Shigetomo nie żyje – stwierdził Sademasa. – Nigdy nie oddałby łuku.

Później Kazumaru nie był pewien, co naprawdę widział, a co mu się przyśniło. Jego ojciec i bystra dowcipna matka często grali w go podczas długich śnieżnych zim w Kumayamie. On dorastał przy dźwięku ich głosów, cichego stukotu kamieni na planszach, grzechotania w drewnianych miseczkach. Tamtego dnia usłyszeli je obaj. Wysforowali się daleko przed innymi. Tata zawsze lubił prowadzić, a jego silny i niecierpliwy czarny koń był darem od pana Kiyoyoriego, którego byli wasalami i z którego rozkazów dotarli tak daleko na północ.

Ojciec ściągnął wodze, zsiadł z wierzchowca i zdjął Kazumaru z siodła. Koń zaczął się paść, a oni ruszyli przez wysoką trawę. Omal nie nadepnęli na jelonka skulonego w wydeptanym legowisku. Zwierzę zerwało się i pobiegło przed siebie dużymi susami. Kazumaru zdążył jeszcze zobaczyć jego ciemne oczy i delikatny pyszczek. Wiedział, że inni ludzie na ich miejscu zabiliby jelonka, ale ojciec tylko się roześmiał i pozwolił mu uciec.

– Szkoda czasu Ameyumi – powiedział.

Takie imię nosił jego łuk, rodzinny skarb, ogromny, idealnie wyważony, zrobiony z wielu warstw sprasowanego drewna z misternymi łączeniami.

Ruszyli bezszelestnie w stronę drzew, skąd dochodziły odgłosy. Pamiętał wrażenie, że to skradanie się na palcach przez trawę wyższą od niego jest zabawą.

Nagle ojciec przystanął, wstrzymując oddech, jakby coś go zaniepokoiło. Potem schylił się i wziął go na ręce. W tym momencie Kazumaru pod drzewami dostrzegł tengu grających w go. Zobaczył skrzydła, dzioby i pazury.

Ojciec zaczął się cofać do miejsca, gdzie znaleźli jelonka. Kazumaru czuł, jak serce głośno bije mu w piersi.

– Zaczekaj tutaj – powiedział, kładąc go na udeptanej trawie. – Bądź jak dziecko jelenia. Nie ruszaj się.

– Dokąd idziesz?

– Idę zagrać w go – odparł tata ze śmiechem. – Jak często ma się okazję zagrać w go z tengu?

Kazumaru nie chciał, żeby ojciec tam szedł. Słyszał różne historie o tengu, o górskich demonach, bardzo sprytnych i bardzo okrutnych. Ale jego ojciec nie bał się niczego i zawsze robił to, co chciał.

Mężczyźni znaleźli ciało Shigetomo jeszcze tego samego dnia. Kazumaru nie pozwolono go zobaczyć, ale on słyszał przerażone szepty i dobrze pamiętał dzioby i pazury lecących nad nim tengu. Oni mnie widzieli, pomyślał. Znają mnie.

Kiedy wrócili do domu, Sademasa ogłosił, że jego starszy brat został zabity przez dzikie północne plemiona, ale Kazumaru wiedział, że ojciec zginął dlatego, że grał w go z tengu i przegrał.

* * *

Wieść o śmierci męża pogrzyżyła matkę Kazumaru w tak wielkiej rozpacz, że wszyscy się o nią obawiali. Sademasa błagał ją, żeby za niego wyszła. Obiecywał, że wychowa Kazumaru jak własnego syna, składał nawet przysięgę na święty talizman z głową byka.

– Obaj przypominacie mi o nim przez cały czas – powiedziała wdowa. – Nie. Muszę ściąć włosy i zostać mniszką jak najdalej od Kumayamy.

Gdy tylko zima się skończyła, matka wyjechała bez pożegnania, przykazując jedynie synowi, żeby słuchał stryja.

Rodzina miała z nadania pana Kiyoyoriego trochę ziemi na zboczu góry znanej jako Kumayama. Na posiadłość składały się strome urwiska i głębokie doliny bez światła słonecznego, gdzie po obu stronach rzek spadających z gór między lasami cyprysów i kryptomerii, pełnych niedźwiedzi, wilków, serauów, jeleni i dzików, oraz bambusowymi zagajnikami będącymi domem dla przepiórek i bażantów, wyciosano na stokach kilka tarasów pod uprawę ryżu. Miejsce to znajdowało się siedem dni drogi na wschód od stolicy i cztery dni w przeciwną stronę od Minatogury, twierdzy rodu Miboshi.

W miarę jak mijały lata, stawało się oczywiste, że Sademasa nie dotrzyma przysięgi. Przyzwyczał się do tego, że jest panem Kumayamy, i nie miał ochoty z niej rezygnować. Posiadana przezeń władza w połączeniu z niepokojem z powodu wiarołomstwa sprawiła, że do głosu doszła jego brutalna natura. Sademasa traktował swojego bratanka surowo pod pretekstem zmieniania go w wojownika. Gdy Kazumaru skończył dwanaście lat, uświadomił sobie, że każdy dzień przynosi jego stryjowi rozczarowanie, że chłopak jeszcze żyje.

Niektórych wojowników, szczególnie Naganoriego, którego syn był o rok starszy od Kazumaru, martwiło surowe traktowanie sieroty po ich dawnym panu. Inni, jak Nobuto, podziwiali Sademase za bezwzględność. Pozostali wrzuszali ramionami, zwłaszcza kiedy nowy pan się ożenił i sam spłodził dzieci. Uważali, że Kazumaru i tak nie będzie miał szansy dorosnąć, nie mówiąc już o odziedziczeniu posiadłości. Większość była zaskoczona, że jakoś przeżył ciężkie dzieciństwo i nawet pod pewnymi względami rozkwitł, ponieważ obsesyjnie ćwiczył strzelanie z łuku, a z napadów wściekłości wzięła się jego nadludzka siła. W wieku dwunastu lat raptownie urósł i wkrótce potrafił naciągać cięciwę jak dorosły mężczyzna. Był jednak nieśmiały i dziki jak młody wilk. Tylko syn Naganoriego, który podczas ceremonii inicjacji dostał imię Nagatomo, mógł uważać się za jego przyjaciela.

Był jedyną osobą, z którą pożegnał się szesnastoletni Kazumaru, kiedy jesienią stryj

oznajmił, że zabiera go na polowanie w góry.

– Jeśli nie wrócę, będziesz wiedział, że on mnie zabił – uprzedził Kazumaru. – W następnym roku osiągnę pełnoletność, ale on nigdy nie ustąpi mi miejsca. Za bardzo mu się spodobało bycie panem Kumayamy. Zamierza się mnie pozbyć w lesie.

– Chciałbym pojechać z tobą – powiedział Nagatomo. – Ale twój stryj wprost mi tego zabronił.

– To dowodzi, że mam rację – stwierdził Kazumaru. – Ale nawet jeśli mnie nie zabije, nie wrócę. Nic tu po mnie. Zostały mi tylko mgliste wspomnienia, jak było kiedyś. Pamiętam, że nie bałem się cały czas, że byłem kochany i podziwiany. Czasami sobie wyobrażam, jak mogłoby być, gdyby mój ojciec nie zginął, a matka nie wyjechała, gdyby więcej ludzi pozostało lojalnych wobec mnie. Nie mogę tak dalej żyć. Modłę się codziennie, żeby jakoś uciec... i jeśli jedynym sposobem jest śmierć, niech tak będzie.

Kazumaru / Shikanoko

Letnie burze ustały, na górskich stokach z każdym dniem powiększały się plamy czerwieniejących liści. Roczne jelenie prawie osiągnęły wielkość dorosłych osobników, ale nadal podążały za matkami przez cienisty las.

Sademasa od dawna pragnął upolować pewnego starego samca o pięknych rogach, ale stworzenie było tak sprytne i ostrożne, że nigdy nie pozwoliło się okrążyć. W tym roku, zapowiedział stryj Kazumaru, ten jeleni mu ulegnie.

Na wyprawę zabrał ze sobą bratanka, swojego ulubionego sługę Nobuto i jeszcze jednego człowieka. Szli pieszo, bo teren był zbyt nierówny nawet dla koni pasących się niżej na stokach Kumayamy. Żyli jak dzicy ludzie, zbierali orzechy i jagody, strzelali do bażantów, zastawiali wnyki na zające, z każdym dniem zapuszczali się coraz głębiej w las pozbawiony ścieżek. Od czasu do czasu widzieli swoją zdobycz, tracili ją z oczu, potem znowu trafiali na tropy w miękkiej ziemi albo na brązowe kupki odchodów. Kazumaru spodziewał się, że stryj straci cierpliwość, ale Sademasa niemal poweselał, jakby wkrótce miał zrzucić z siebie ciężar, który od dawna dźwigał. W nocy mężczyźni opowiadali historie o duchach, o tengu, górskich czarownikach i o tym, że wciąż znikają młodzi chłopcy. Kazumaru przysiągł sobie, że nie pozwoli, by go zabili razem z jeleniem. Nie miał odwagi zasnąć, ale czasami zapadał w sen na jawie. Słyszał wtedy stuk kamyków na planszy do go i widział zwrócone na siebie orle oczy tengu.

Gdy pewnego popołudnia dotarli na szczyt stromego urwiska, przed nimi stał jeleni z rogami lśniącymi w promieniach zachodzącego słońca. Robił bokami po wspinacze. Mężczyźni sapali. Na chwilę wszyscy znieruchomieli. Potem Sademasa i Kazumaru sięgnęli po łuki. Dwaj pozostali myśliwi przygotowali noże. Sademasa dał znak bratankowi, żeby zaszedł zwierzę od lewej strony. Chłopiec wycelował łuk prosto w serce jelenia, a wtedy ten popatrzył na niego oczami wielkimi z wysiłku i strachu. Potem wzrok samca pomknął ku Sademasie. Kazumaru podążył za tym spojrzeniem i zobaczył, że stryj celuje nie w jelenia, tylko w niego. W tym momencie zwierzę skoczyło w jego stronę w rozpaczliwej próbie ucieczki. W powietrzu świsnęła strzała, jeleni z impetem wpadł na Kazumaru i strącił go w przepaść.

Ciało zwierzęcia złagodziło upadek. Przez chwilę obaj leżeli bez ruchu, wyczerpani. Kazumaru czuł pod sobą szalone bicie serca. W końcu zebrał siły, chwycił za rozłożyste rogi i wstał, sięgając po nóż. Jeleni był ranny, miał złamane nogi. Patrzył na niego bez

mrugania. Chłopiec odmówił szybką modlitwę i poderżnął mu gardło. Gorąca krew trysnęła z rany, zabierając ze sobą życie.

Gęste krzaki ukryły go przed wzrokiem myśliwych wypatrujących go z góry. Kazumaru słyszał ich nawoływania, ale się nie odzywał. Przez chwilę zastanawiał się, czy chęć zdobycia rogów jest na tyle duża, że stryj spróbuje zejść z urwiska. Ale jedynym sposobem, żeby znaleźć się na dole, był skok albo upadek. Kiedy wróciła cisza, Kazumaru zaciągnął jelenia najdalej, jak zdołał. Znalazł pod nasypem małe zagłębienie pełne suchych liści. Leżał z martwym zwierzęciem w ramionach, gasił pragnienie jego krwią i odtwarzał w myślach wydarzenia na urwisku. Łatwo mógłby sobie wmówić, że to był wypadek, ale uznał, że lepiej jest stawić czoło prawdzie. Stryj mierzył do niego, ale jelen przyjął na siebie strzałę i uratował mu życie. Znowu poczuł własny upadek, gwałtowny lot, ręce ściskające łuk, jakby kawałek drewna mógł go uchronić przed runięciem w przepaść, zbyt młody, by uwierzyć we własną śmiertelność, ale przekonany, że zaraz umrze.

Przez całą noc czuł krążące w pobliżu dzikie zwierzęta zwabione przez zapach krwi. Słyszał ciche stąpanie, szelest liści. Niebo było usiane gwiazdami, Rzeka Niebios jarzyła się srebrzystym blaskiem.

O świcie jelen wystygł. Kazumaru zawlókł go na polanę i wziął się do skórowania. Ostrożnie odciął czaszkę z rogami, żałując, że nie potrafi przywrócić życia tym oczom, a jednocześnie pełen wdzięczności.

Znalazł krzemienie i przez cały ranek skrobał skórę do czysta. Nad doliną pojawiło się słońce i przez kilka godzin było gorąco. Wczesnym popołudniem Kazumaru wyciął z boków kilka pasów mięsa, cienkich, żeby szybko wyschły, i nadział je na dębowy patyk, przekładając liśćmi. Resztę zostawił lisom i wilkom i ruszył na północ.

Szedł prawie przez całą noc. Księżyc zbliżał się do pełni, zapowiadając pierwsze przymrozki. W dzień Kazumaru kilka razy krótko spał, a po zmiękczeniu skóry jelenia wodą i własnym moczem rozciągnął ją do wyschnięcia. Nie widział nikogo. Dopiero trzeciego dnia zorientował się, że idzie za nim jakieś zwierzę. Słyszał stąpanie i szelest liści, widział zielony błysk oczu. Kilka razy nasadzał strzałę na cięciwę, ale oczy znikwały, a on opuszczał łuk. Nie chciał tracić pocisku w ciemności.

Wydawało się, że zwierzę go prowadzi, albo raczej, uświadomił sobie z niepokojem, zagania. Kiedyś już myślał, że zniknęło na dobre, ale po zapadnięciu nocy zawsze wracało. Gdy raz dostrzegł je w przelocie, ocenił po wielkości i umaszczeniu, że to wilk zwabiony zapachem skóry i mięsa. On i stryj gonili jelenia do granic wyczerpania, a teraz wilk robił to samo z nim. Zapędzał go coraz dalej w las, żeby skoczyć mu do gardła, kiedy chłopiec będzie wyczerpany i osłabiony głodem. Kazumaru próbował go przechytrzyć, udając, że śpi, a potem wstając bezszelestnie i zmieniając kierunek marszu, ale zwierzę jakby z góry przewidziało jego zamiary. Znowu zobaczył zielone oczy jarzące się w mroku.

Pewnego ranka o świcie zatrzymał się przy strumieniu, który wypływał ze źródła znajdującego się wyżej w górach i przecinał polanę. Dzień wcześniej zjadł ostatni pasek suszonego mięsa. Zobaczył ścieżkę wydeptaną w trawie i ślady na brzegu. Odczytał z nich, że do wodopoju przychodzą tutaj jelenie, lisy, wilki. Sam ostrożnie ugasił

pragnienie, pijąc szybko ze stulonych dłoni. Potem ukrył się w zaroślach ze strzałą nasadzoną na łuk.

Musiał się zdrzemnąć, bo obudził go nagły ruch. Pomyślał, że śni, gdy zobaczył dwoje zwierząt idących niezdarnie bok w bok z głowami zwróconymi ku sobie. Niosły coś między sobą w pyskach. Szły dziwnie, jakby nie były żywymi istotami. Zamiast głów miały lakierowane czaszki, zęby ostre i lśniące, oczy z kawałków lapis-lazuli, pod skórą nie zwykle ciało, tylko chrust i słomę. Kazumaru poczuł bijący od nich zapach dymu i rozkładu. Żołądek podszedł mu do gardła, wnętrzności się skręciły.

Kiedy stworzenia się zbliżyły, zobaczył, co niosą w pyskach: dzban o dwóch uchach. Stały przy sadzawce i opuściły naczynie do strumienia. Kiedy się napełniło, zawróciły i poszły ścieżką chwiejnym krokiem, rozchlapując wodę.

Kazumaru podążył za nimi jak we śnie, bez wahania, ale ze strachem. Słyszał dudnienie własnej krwi w czaszce i piersi. Wiedział, że zbliża się do kryjówki górskiego czarownika, znanej mu z opisów sług Sademasy. Chciał uciec, ale pchały go do przodu nie tylko ciekawość i głód, ale również wilk, który teraz otwarcie kroczył za nim.

Kazumaru minął skałę, przypominającą trochę niedźwiedzia, a potem kikut drzewa z dwoma poszarpanymi konarami podobnymi do uszu zająca. Bliżej małej chaty, która stała pod osłoną paulowni, zobaczył bardziej precyzyjnie wykonane rzeźby z drewna i kamienia, niemal jak żywe, z takimi samymi lakierowanymi czaszkami, odziane w skóry, udekorowane rogami. A oprócz nich sowy, orły i żurawie z piórami, nietoperze ze skórzastymi skrzydłami.

Dach chaty był zrobiony z kości, ściany ze skór. Z dużego wiadra stojącego przy drzwiach dochodził silny zapach uryny. Przez głowę Kazumaru przemknęła myśl: pewnie używa jej do garbowania skór, tak jak on sam zrobił, żeby zmiękczyć skórę jelenia. Dwa małe lisy, prawdziwe, warczały na siebie nad martwym królikiem. Wilk siedział, lekko dysząc. Dwie bestie, za którymi podążał Kazumaru, zatrzymały się przed chatą i zawyły. Po chwili wyszedł z niej czarownik. Wyjął dzban z ich pysków i gestem kazał im usiąść, jakby były psami. Miał skórę ciemną jak wygarbowaną, długie włosy i krzaczastą brodę, jedno i drugie czarne, bez śladu siwizny. Wydawał się jednocześnie stary i młody. Ruchy miał zwinne i naturalne jak u zwierzęcia, ale głos, kiedy odezwał się do Kazumaru, bez wątplenia należał do człowieka.

– Więc wróciłeś do Shisoku?

– A byłem tu wcześniej? – zdziwił się chłopiec.

Siedzący za nim wilk zawył.

– W tym życiu albo w innym.

I może rzeczywiście kiedyś tutaj był. Kto wie, gdzie wędrowała jego dusza, kiedy ciało spało? Może stąd się brały sny?

– Przyniosłeś łopatki? – spytał raptem mężczyzna zwany Shisoku.

– Nie, ja... – zaczął się jąkać Kazumaru, ale czarownik mu przerwał.

– Mniejsza o to. Na pewno do mnie trafią któregoś dnia. Daj mi rogi. Jeszcze mamy czas.

– Czas na co?

– Żeby zrobić z ciebie dziecko jelenia. Po to przyszedłeś.

– Co to znaczy?

– Twoje życie nie należy do ciebie. Umrzesz w jednym, a narodzisz się w innym, żeby stać się tym, kim miałeś się stać.

W tym momencie Kazumaru odwrócił się, żeby uciec, ale czarownik wymówił słowa w nieznanym mu języku, a potem dodał:

– Zostań!

Kazumaru miał wrażenie, że wokół niego zamknęły się kraty. Poczuł na ramionach kościste ręce, choć czarownik stał w pewnej odległości od niego. Shisoku cofał się powoli, wciągając go do chaty.

* * *

Nie był pewien, czy znalazł się w domu, warsztacie czy kaplicy. Wonie lakieru, kamfory i kadzidel nie maskowały odoru martwych istot. W piecu płonął ogień, nad którym w żelaznym kociołku coś bulgotało. Na ławie poczerniałej od dymu leżały dłuta i pędzle. Podłoga była z ubitej ziemi, ale w jednym końcu, przed czymś w rodzaju ołtarza, zaścielały ją dywaniki i poduszki otoczone migoczącymi lampami i świecami. Na ołtarzu i wokół niego stały rzeźbione postacie bóstw, wszystkie z lakierowanymi, pomalowanymi twarzami, na ścianie wisiały liczne maski, głowy zwierząt i skóry. Kazumaru dostrzegł co najmniej dwie ludzkie czaszki. Uświadomił sobie, że przybył do jednego z tych miejsc, gdzie mieszkają się światy, jak tamto z jego dziecięcych snów, w którym ojciec spotkał tengu. Zaczął drzeć, ale nie było stąd ucieczki. Na zewnątrz chatę otaczały zwierzęta, prawdziwe i sztuczne. W środku znajdował się czarownik.

Kazumaru nie wiedział, jak to się stało, ale stwierdził, że leży przed ołtarzem, nagi, przykryty jelenią skórą. Spojrzał na Shisoku takimi samymi oczami jak tamten samiec, rozszerzonymi i zrezygnowanymi w obliczu śmierci. Shisoku dał mu do picia napar z grzybów i igieł sosnowych zmieszanych z lakierem i cynamonem, co normalnie zabiłoby człowieka, ale Kazumaru wprowadziło w głęboki trans. Czas się zatrzymał.

Chłopiec obserwował, jak czarownik bierze czerep z rogami i zaczyna tworzyć maskę, śpiewając przy tym jakąś tajemniczą sutrę, której Kazumaru nigdy wcześniej nie słyszał. Na zewnątrz zwierzęta się poruszyły i zawyły. Kazumaru wydawało się, że obok niego leży kobieta. Przepęlniał go strach, bo nigdy wcześniej nie był z kobietą. Unikał znaczących spojrzeń pokojówek w Kumayamie, podejrzliwy wobec wszystkiego, co mu proponowały, ostrożny i nieufny. Ale ona pokierowała nim, wiele razy tamtej nocy i w kolejne, a jego okrzyki mieszały się ze zwierzęcymi głosami. Wiedział, że jego ciało, siła i męskość są wykorzystywane w celach, których nie rozumiał, wbrew jego woli. Mimo to jego żądza się wzmagała, a on ją zaspokajał.

W dzień leżał niezdolny do ruchu i patrzył, jak Shisoku pokrywa maskę kolejnymi warstwami lakieru, mieszając go z białymi i czerwonymi płynami wytwarzanymi przez

kochanków. Suszył je potem nad dymem z kadzideł, za każdym razem śpiewając inną pieśń. Zrobił usta i język z wyprawionej skóry pomalowanej cynobrem, wyźłobił otwory na oczy i zwieńczył je czarnymi rzęsami z kobiecych włosów. Wypolerował rogi, aż lśniły jak obsydian. Księżyc urósł do pełni, potem całkiem zniknął. W następnej kwadrze maska była gotowa.

Shisoku nałożył ją na twarz Kazumaru. Pasowała jak rękawica do dłoni. Chłopiec poczuł, że wlewa się w niego siła jelenia i cała prastara mądrość lasu. Nieznajoma przyszła do niego po raz ostatni. Jego krzyki rozbrzmiały echem, jak jesienią rozbrzmiewają ryki samców. Kobieta objęła go czule i wyszeptała:

– Teraz twoje imię brzmi Shikanoko, Dziecko Jelenia.

Nawiedziło go odległe wspomnienie – jelonek, głos ojca – i Kazumaru zrozumiał, że już nigdy nie przybierze innego imienia. Potem zapadł w głęboki sen. Kiedy się obudził, znowu był ubrany, kobieta zniknęła, maska jelenia leżała na ołtarzu w sakwie z siedmiowarstwowego brokatu. Wydawało się niemożliwe, że zmieściła się w worku tej wielkości, ale był to jeszcze jeden aspekt czarów, które rzucił na nią Shisoku.

* * *

Shisoku praktykował dość przypadkową, niedbałą magię. Wykonywał nieokreślony gest w stronę ognia, a ten ożywał w siedmiu wypadkach na dziesięć, a w pozostałych trzech dąsał się i ledwo tlił. Cztery lisy i wilki pojawiały się czasami, kiedy je wzywał, ale częściej prowadziły własne dzikie życie, jakby czarownik nie istniał. Czasami sztuczne zwierzęta robiły to, czego od nich oczekiwano, przynosiły wodę w dzbanie, zbierały chrust, ale skorupy na brzegu strumienia świadczyły o tym, jak często zawodziły. Shikanoko sam gromadził drewno na opał, a w miarę jak trwała zima, wyprawiał się na polowania, żeby zdobyć pożywienie dla nich obu. Zrobił nowe strzały i wyposażył je w lotki z piór orła, jednakże choć tropił wiele jeleni, nigdy żadnego nie zabił.

Shisoku jadł bardzo mało. Całe dni spędzał na wyprawianiu skór kamforą i rutą, gotowaniu czaszek i kości, żeby pozbawić je resztek mięsa. Potem drobiazgowo odtwarzał martwe zwierzęta, jakby był stwórcą, wypychał ich skóry gliną i słomą, budował szkielety z bambusa i wiązał je sznurkiem. Jego wytwory stojące rzędami pod okapem zasypywał śnieg. Przez wiele tygodni hartował je mróz, ale wraz z wiosną wróciły też owady. Z jaj wykluły się gąsienice i większość stworzeń opanowanych przez czerwie trzeba było spalić. Jedno czy dwa przetrwały dzięki łutowi szczęścia, umiejętnościom czarownika albo magii, ożyły i dołączyły do kolekcji Shisoku.

Wysoko w górach stopniały śniegi i wezbrane strumienie spłynęły prawie pod drzwi chaty. Kiedy woda się cofnęła, polanę porosły dzikie kwiaty i trawa. Co noc Shisoku nakładał maskę na twarz Shikanoko i uczył go tańca jelenia.

– Ten taniec odkrywa sekrety lasu i uwalnia jego błogosławieństwa. To potężna więź między trzema światami: zwierząt, ludzi i duchów. Kiedy opanujesz wszystkie ruchy, dzięki masce zdobędziesz wiedzę o wydarzeniach na świecie, w snach ujrzysz przyszłość

i spełnią się wszystkie twoje pragnienia.

Kroki obudziły w chłopcu coś, za czym tęsknił i czego jednocześnie się bał, ale pomyślał, że ten taniec jest równie niepewny i zawodny jak cała magia Shisoku, i tylko częściowo wierzył w jego słowa.

* * *

W równonoc tuż po pełni księżyca na polanę wjechała grupa dziesięciu jeźdźców.

– To Król Góry, Akuzenji – powiedział Shisoku.

Nie wydawał się zaniepokojony.

Mimo to Shikanoko sięgnął po łuk. Był pewien, że kobieta, która z nimi przyjechała, jest tą, która towarzyszyła mu w czasie inicjacji i procesu tworzenia maski, ale teraz nie dała żadnego znaku, że go rozpoznaje. W jej obecności Shikanoko raptem ogarnęła nieśmiałość. Jednocześnie przepełniała go ciekawość. Chciał zadać jej setki pytań, ale nie potrafił znaleźć słów, żeby sklecić choć jedno.

Akuzenji zsiadł z konia i oddał mocz do wiadra Shisoku, mówiąc:

– Mój wkład w twoje dzieła. Na pewno ma magiczne właściwości.

Był przysadzistym, krępy męczyzną ze zmierzwionymi włosami i brodą. Nosił wyświechtaną zbroję z płatów skóry połączonych wyblakłymi zielonymi sznurkami i ogromny miecz. Obie rzeczy wyglądały jak ukradzione wojownikom, którzy wpadli w zasadzkę.

– Przyjechałem, żeby sprawdzić, jak pilnujesz skarbu, który ci powierzyłem – rzekł.

– Rzuciłem na niego zaklęcie wiążące – odparł Shisoku. – Mam go uwolnić?

– Jeszcze nie. Na razie nie ma takiej potrzeby. Ale chciałbym na niego zerknąć.

Shisoku uklonił się na swój niedbały sposób i gestem pokazał przybyszowi chatę. Następnie wszedł za Akuzenjim do środka, a tymczasem pozostali jeźdźcy zsiadli z koni, kolejno oddali mocz do wiadra, po czym ukucnęli przy ogniu. Po jakimś czasie Akuzenji wyszedł z chaty z uśmiechem zadowolenia na twarzy i wolnym krokiem zbliżył się do Shikanoko.

– A ty kim jesteś?

– Dawniej Kumayama no Kazumaru, teraz Shikanoko.

– Chłopak, który w zeszłym roku spadł z urwiska? Sądzone, że nie żyjesz.

– Przyszedłem tutaj i czarownik się mną zajął.

– Tak? – Chytre spojrzenie rozbójnika przesunęło się po łuku i pierzastych strzałach. –

Nie przypuszczam, żeby twój stryj zapłacił za ciebie okup, co?

– Bardziej prawdopodobne, że zapłaciłby za potwierdzenie mojej śmierci – odparł Shikanoko, zastanawiając się, czy przypadkiem nie sprowokował Króla Góry, żeby go zabił.

– A pan Kiyoyori? On chyba jest twoim panem lennym, co? Zapłaciłby za ciebie?

– Nie sądzę. Jaki miałby ze mnie pożytek?

– Zakładnik bywa bardzo przydatny, ale tylko wtedy, gdy jest żywy – odezwała się

kobieta.

To była ona. Rozpoznał jej głos. Obudziły się w nim strach i gniew z powodu tego, jak ona i Shisoku go wykorzystali, ale jednocześnie ukłucie tęsknoty za głęboką intymnością, która połączyła ich ciała, kiedy powstawał piękny i magiczny przedmiot.

Akuzenji zmarszczył brwi i podrapał się po głowie, badawczo przyglądając się Shikanoko.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Skończę szesnaście w nowym roku.

– Potrafisz używać tego łuku?

– Potrafię, ale nie zabiję jelenia.

– A ludzi?

– Nie mam oporów przed zabijaniem ludzi – odparł chłopiec.

– Więc zwiążesz włosy, przysięgniesz mi lojalność i pojedziesz z nami.

Shikanoko spojrział w oczy Shisoku. Miał odjechać czy zostać? Czarownik nie odwrócił wzroku.

Nie takiej ceremonii osiągnięcia pełnoletności się spodziewał. Do tej pory myślał, że uklęknie przed panem Kuromori w obecności swojego stryja i wszystkich wojowników, a zamiast tego grubiański pan przyjął go na służbę na leśnej polanie, z dymem szczypiącym w oczy, w otoczeniu na pół żywych i martwych zwierząt. Na koniec chłopak schował trochę strzał do kołczanu, resztę zawiązał w tobołek i wziął łuk. Shisoku poszedł do chaty i wrócił z workiem zawierającym maskę. Podał go Shikanoko.

Kobieta zdjęła z jednego z koni worki ze zbożem, ryżem, prosem i pastą z fasoli i zaniósła je do chaty. Mężczyźni zgarnęli wszystkie skóry nadające się do użytku i pióra. Akuzenji zmierzył wzrokiem brokatową sakwę.

– Co to jest?

Shisoku nie odpowiedział.

– Pokaż mi – zażądał Akuzenji, a Shikanoko po chwili wahania wyjął maskę w worka i mu ją podał.

Akuzenji zrobił krok do tyłu, milczący i zły. Kiedy się opanował, stwierdził, zwracając się do czarownika:

– To właśnie taka rzecz, jaką zawsze chciałem od ciebie dostać. Kiedy mi dasz podobną? Od lat cię proszę o poświęconą czaszkę, żeby była moją wyrocznią, żeby wszystko mi mówiła. Znasz tajemne techniki i rytuały. Dlaczego mi wciąż odmawiasz?

– To nie ja ci odmawiam – wymamrotał czarownik, ale Akuzenji jakby go nie usłyszał.

– Przyniosłem ci wiele czaszek. Z pewnością od nikogo tyłu nie dostałeś. A co przyniósł ci ten chłopak? Dlaczego go faworyzujesz?

– Przyszedł do mnie we właściwym czasie – odparł Shisoku. – Przykro mi.

– Więc kiedy jest ten właściwy czas?

– Wtedy, kiedy jest właściwy. Czaszki, które przynosisz, są bezwartościowe: nudni wieśniacy, zdesperowani przestępcy albo wojownicy skąpani we krwi. Dostarcz mi głowę mądrego człowieka, chyrego ministra, ascety albo wielkiego króla.

– Czy to właśnie przyniósł ci chłopak? – spytał z niedowierzaniem Akuzenji. – Jak?

– On jest Dzieckiem Jelenia, Shikanoko. To, co przyniósł, jest przeznaczone tylko dla niego.

Akuzenji przygryzł wargę i zmrużył oczy.

– A czaszka Kiyoyoriego? Co będzie, jeśli ją przyniosę?

– Kiyoyori bez wątpienia jest wielkim człowiekiem – odparł Shisoku. – Ale nie pozwoli ci, żebyś zabrał mu głowę.

– Czaszka Kiyoyoriego nie jest dla ciebie, Akuzenji – odezwała się kobieta. – Jeśli spróbujesz ją zabrać, stracisz swoją.

Ona i Shisoku wymienili krótkie spojrzenie oraz przelotny uśmiech, a Shikanoko zadrżał, kiedy dostrzegł sekretne światy, w których oboje się poruszali, światy, do których teraz on również należał.

Ukląkł w podzięce przed czarownikiem, a ten uśmiechnął się lekko i odprawił go bez słowa.

Shikanoko obejrzał się, kiedy odjeżdżali. Czarownik stał przed chatą, trzymając dłoń na łbie jednego z wilków.

Jeździec jadący obok niego roześmiał się i powiedział:

– Stary Czworonóg! Nauczyłeś się od niego jakichś użytecznych sztuczek? – Pomachał czterema palcami przed twarzą Shikanoko. – Ciebie też zmienił w czworonoga?

Raptem niebo przecięła błyskawica, trzasnął piorun, sosna rosnąca przy ścieżce rozpadła się na pół, dymiąc. Konie wierzgnęły i stanęły dęba, omal nie zrzucając ich z grzbietów.

– Upewnij się, że jesteś daleko, zanim powiesz coś złego o czarowniku – poradziła kobieta.

Mężczyzna zrobił zawstydzoną minę, a Shikanoko był zadowolony, że choć raz magia Shisoku okazała się skuteczna. Jechał za kobietą, wiedząc, że naprawdę wiele razy brał ją w objęcia, że razem zrobili tę maskę, choć jednocześnie nie rozumiał, jak to możliwe. Co noc odbywałyby taką podróż? Miała magiczne moce? A może on kładł się z duchem wzywany przez Shisoku? Spał z demonem?

Kiyoyori

Pan Kiyoyori miał dwadzieścia osiem lat. Był w wieku, kiedy mężczyzna osiąga szczyt możliwości fizycznych i umysłowych. Pochodził z rodu Kakizuki, który wziął swoją nazwę od jesiennego księżyca koloru persymony. Jego założycielem był syn cesarza, który zrzekł się cesarskiej rangi i przybrał zwykle nazwisko. Jego synowie i wnukowie prosperowali, zostając zręcznymi politykami, utalentowanymi poetami i świetnymi wojownikami, a wnuczki – żonami i matkami cesarzy.

Choć ród Kiyoyorich wywodził się od młodszych synów młodszych synów i nie mógł się poszczycić najwyższą rangą czy ważnością, jego ojciec Kiyomasa zawsze żywił głęboki szacunek dla swojego nazwiska i robił wszystko, żeby je zachować. Postawił sobie za punkt honoru wychowanie synów na doskonałych wojowników, ekspertów od koni, łuków i mieczy, całkowicie posłusznych jego woli.

Kiyomasa często odwiedzał stolicę Miyako i był na bieżąco z polityką i intrygami dworu. Ród Kakizuki piastował wiele ważnych stanowisk, ale równie silną pozycję mieli ich rywale Miboshi, także cesarskiego pochodzenia. Babka Kiyoyoriego pochodziła z Miboshich, ponieważ w spokojniejszych czasach oba wielkie rody często zawierały małżeństwa między sobą. Ostatnio jednak stosunki między nimi były mniej serdeczne.

Przez lata Miboshi toczyli cesarskie bitwy na wschodzie i północy Ośmiu Wysp, podporządkowując sobie klany i podbijając różne barbarzyńskie plemiona. Ich pan Aritomo ulokował się na wschodzie, w Minatogurze, ale wielu jego wojowników zjechało do Miyako i oczekiwało nagrody za swoją służbę: stanowisk, awansów i ziemi.

Niestety tych ostatnich nie było wystarczająco dużo.

Rodziny wojowników, świadome intryg na dworze cesarskim i w rządzie, walczyły między sobą o pozycję i wpływy. Kiyomasa postarał się zaaranżować korzystne małżeństwa dla swoich synów, tak że w wieku siedemnastu lat Kiyoyori ożenił się z kobietą z zachodniego księstwa Maruyama, której ojciec był doradcą rządu Kakizuki. Małżeństwo okazało się udane, urodziło się z niego dziecko, potem następne, ale to drugie zabrało życie swojej matce i samo podążyło w jej ślady, za Rzekę Śmierci, zostawiając Kiyoyoriego pogrążonego w żałobie. Młody mężczyzna głęboko kochał żonę i czuł, że nigdy nie przeboleje tej straty. Jego jedynym pocieszeniem była córka, którą pieczołliwie nazywano Hiną.

Młodszy brat Masachika również zawarł korzystne małżeństwo z córką sąsiada,

właściciela dużej i wydajnej posiadłości Matsutani, Sosnowej Doliny. Miał ją kiedyś odziedziczyć syn pana Matsutani, ale dzień po zamążpójściu siostry, wracając do domu, młodzieniec spróbował przepłynąć na koniu wezbraną rzekę, został porwany przez wartki nurt i utonął. Nie było innych spadkobierców, więc wszystko wskazywało na to, że majątek przypadnie w udziale młodej żonie Masachiki. On sam przypuszczał, że teść go adoptuje i przekaże mu posiadłość, dużo większą i bogatszą niż ta, która należała do starszego brata.

Jednakże jego ojciec miał inne plany. Ogłosił je kilka miesięcy po śmierci starszej synowej. Kiyoyori miał wtedy dwadzieścia jeden lat, Masachika dziewiętnaście. Bracia zostali wezwani do jednego z tajnych pokojów w Kuromori, ufortyfikowanej twierdzy zbudowanej głównie z drewna w niedostępnym miejscu na górskim zboczu otoczonym przez Ciemny Las, od którego rezydencja wzięła swoją nazwę. Znajdowało się w niej kilka sekretnych pomieszczeń. Jedno z nich wychodziło na południe i było najcieplejsze. Może właśnie dlatego zajmował je niepozorny mężczyzna w nieokreślonym wieku, który cieszył się reputacją wielkiego uczonego. Spędzał on wiele czasu na czytaniu, a jego pokój wypełniały zgromadzone przezeń zwoje i manuskrypty z ośmiu zakątków Nieba napisane w wielu językach. Nosił imię Sesshin, które bardziej pasowałoby do mnicha, i czasami słyszano, jak śpiewał. Nikt nie zwracał na niego zbytnej uwagi. Dla Kiyoyoriego jego obecność była kojąca, jak towarzystwo starego psa.

Dzień był jesienny i deszczowy. Okiennice zamknięto przed ulewą siekącą dolinę, tak że w pomieszczeniu panował mrok, choć dopiero minęło południe. Myśl o zbliżającej się zimie wpędziła Kiyoyoriego w ponury nastrój. Młody wojownik nie mógł otrząsnąć się ze smutku, który go dręczył, odkąd umarła mu żona.

Akurat był przy stajniach, kiedy ojciec go wezwał. Chciał zacząć uczyć Hinę jeździć konno i z pomocą dzieci z posiadłości szukał dla niej odpowiedniego kucyka. Od jakiegoś czasu obawiał się chwili, kiedy ojciec oznajmi, że znalazł mu następną żonę. Oczywiście musiał kiedyś ożenić się ponownie i spłodzić dziedzica, ale w tym momencie najchętniej ogoliłby głowę i został mnichem. Przyszedł na spotkanie z pewnym lękiem, który jeszcze się wzmógł, kiedy czekali na jego brata. Okiennice grzechotały wstrząsane przez gwałtowne porywy wiatru, deszcz głośno bębnił o dach. Ojciec rzucał mu niecierpliwe spojrzenia spod gęstych brwi i ciężko wzdychał.

W końcu młodszy brat się zjawił, pełen gotowych wymówek z powodu spóźnienia. Mina Masachiki wyrażała oczekiwanie, jakby w końcu miały się spełnić jego pragnienia.

– Zapewne uważacie, podobnie jak ja, że naszym najważniejszym celem jest przetrwanie, a także zwiększenie wpływów i potęgi naszego rodu – przemówił ojciec. – Sądzę, że nadchodzą bardzo niebezpieczne czasy. W stolicy było wiele złych znaków, wróżbici przepowiadają wojnę i chaos. Nasza posiadłość jest za mała, żeby utrzymać dostateczną liczbę wojowników, którzy zapewniliby jej duże znaczenie. Teraz los dał nam okazję, by połączyć się z Matsutani.

Masachika skinął głową i na jego kształtnych ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Nie mogę jednak pozbawić własności najstarszego syna, dla którego mam duży

szacunek, a oddanie majątku młodszemu to proszenie się o konflikt – ciągnął ojciec. – Dlatego postanowiłem, że ty, Masachiko, odprawisz żonę i pojedziesz do Minatogury, do naszych krewnych Miboshish. Mój kuzyn ma tylko jedną córkę i adoptuje cię jako swojego syna. Kiyoyori ożeni się z twoją byłą żoną i przejmie obie posiadłości. Jej ojciec się zgadza. W ten sposób, jeśli między rodami Kakizuki i Miboshi wybuchnie wojna, to którakolwiek strona wygra, jeden z moich synów znajdzie się wśród zwycięzców.

Przez kilka chwil żaden z nich się nie odzywał. Potem Masachika wykrztusił:

– Mam oddać żonę bratu? Mam stracić ją i Matsutani?

– Niepotrzebne są takie drastyczne kroki, ojcze – rzekł Kiyoyori. – Niech mój brat zatrzyma żonę. Ja zrzeknę się swojego prawa do obu posiadłości. Chcę się wycofać ze świata...

– Nie bądź głupcem – warknął ojciec. – Jesteś moim najstarszym synem i dziedzicem. Myślisz, że pozwolę, żebyś się poniżył i został mnichem? Mężczyzna nie ucieka od świata, tylko dzielnie znosi trudy życia i wypełnia swoje obowiązki. Masz je wobec mnie i swojej rodziny. Poza tym musisz myśleć o córce.

Kiyoyori próbował wtedy i później odwieść ojca od popełnienia nieodwracalnego błędu, który z dwóch braci uczyniłby wrogów. Ośmielił się go upomnieć, cytując wiele przykładów z literatury klasycznej, w której skłócenie bracia zniszczyli sobie nawzajem i całe królestwa, ale Kiyomasa nie tolerował żadnych sprzeciwów. Masachika musiał ukryć gniew i urazę, a Kiyoyori niechęć. Obaj w końcu ulegli jego woli.

Kiedy Masachika wyjechał do Minatogury, ojciec rzekł do starszego syna:

– Uważam, że ty lepiej wykorzystasz i obronisz naszą ziemię. Masachika chciał tylko się nią cieszyć. Szybko by mu ją odebrano. Stary Matsutani to wie i dlatego zgodził się ze mną. Zresztą ludzie wolą ciebie, bo ty wiesz, jak ich traktować.

* * *

Nastał czas kłopotów i szans. W stolicy cesarz nie domagał, a jego synowie rywalizowali ze sobą. Jego szwagier, książę opat z Rusonji, który był regentem, ale tylko z nazwy, faworyzował młodszego syna cesarza i knuł niekończące się intrygi przeciwko prawowitemu następcy tronu.

Kakizuki rozciągnęli swoją władzę na zachodnie prowincje, Miboshi umocnili się na wschodzie, a jednocześnie oba rody walczyły o wpływy w stolicy. Watażkowie bezustannie toczyli między sobą walki, żeby powiększyć swoje terytoria. Więcej ziemi oznaczało więcej wojowników, których można było wykorzystać do zdobycia kolejnych terenów. Namawiano sługi do składania przysięg dozgonnej lojalności, ale oni w zamian wiele oczekiwali. Jeśli czuli się źle traktowani albo zaniedbywani, ich wierność słabła. Mogli dać się skusić innym panom, którzy ich docenią i zaproponują większe nagrody.

* * *

Kiyoyori dobrze wiedział, że nikt nie pytał o zdanie ani nie prosił o zgodę Tamy, wcześniej jego bratowej, a teraz żony. Ona też była posłuszna ojcu, tak jak jej mężowie swojemu. Kiyoyori odczekał kilka tygodni, by się upewnić, że Tama nie jest brzemienna, a kiedy się do niej zbliżył, był onieśmielony i niezręczny jak podrostek. Ona oddała mu się z obowiązku, ale bez prawdziwej namiętności i choć nie mógł jej o to winić, zachowanie Tamy zraniło jego dumę. Czuł, że zawsze będzie między nimi jego młodszy brat. Nawet jego radość i wdzięczność, kiedy urodziła mu syna, nie zdołała skruszyć dzielącej ich bariery. Sama karmiła dziecko i wykorzystywała to jako wymówkę, żeby nie dopuszczać go do siebie, tak że od tamtej pory spali oddzielnie. Kiyoyori nadal miał wobec niej poczucie winy i traktował ją z wyjątkową uprzejmością, maskując tym brak prawdziwego ciepła i zażyłości. Ze względu na nią przeniósł się do Matsutani, bo ona kochała swój dom rodzinny i całą energię włożyła w to, żeby go upiększyć i żeby posiadłość stała się bardziej wydajna. Kiyoyori zabrał swoje konie i psy. I tak się jakoś złożyło, że pojechał z nim stary uczoney razem ze wszystkimi swoimi książkami. Matsutani rzeczywiście było wygodniejsze i lepiej położone, ale wszyscy nadal uważali go za pana Kuromori. Jego prawdziwym domem pozostawał Ciemny Las.

W następnych latach obaj ojcowie opuścili ten świat, żeby przekroczyć Rzekę Trzech Strumieni i udać się do miejsca podziemnych źródeł i jaskiń, gdzie mieli stanąć przed sędziami piekła. Kiyoyori, tak jak przewidział jego ojciec, okazał się dobrym przywódcą, zarazem odważnym i sprytnym. Łatwo wpadał w gniew i był porywczy, działał szybko i instynktownie, ale jego decyzje zwykle okazywały się właściwe, a napady wściekłości w połączeniu z pewną bezwzględnością sprawiały, że bano się go i jednocześnie podziwiano. Jego sława się rozprzestrzeniała. Stoczył kilka drobnych, ale dobrze zaplanowanych potyczek, dzięki którym podporządkował sobie sąsiadów i rywali. Nie tylko utrzymał swoje ziemie, ale jeszcze je powiększył. Obu posiadłościom najwyraźniej sprzyjał los. Niektórzy mówili, że to karma wynikająca z dobrych uczynków w poprzednim życiu. Inni twierdzili, że Kuromori i Matsutani muszą być chronione przez potężną magię i czary.

Pewnego poranka w dziewiątym miesiącu, kiedy Kiyoyori szedł w stronę stajni, jako że miał zwyczaj codziennie rano jeździć konno z dwoma czy trzema sługami albo z młodszymi pachołkami, zorientował się, że nie wziął ze sobą bata. Musiał go zostawić w rezydencji. Pomyślał, żeby wysłać po niego stajennego, ale w końcu uznał, że sam szybciej go znajdzie.

Wszedł na szeroką werandę i podciągnął bambusową roletę. Drewniane okiennice już otworzono, bo dzień zapowiadał się ładny i ciepły. Ktoś był w pokoju. Kiyoyori pomyślał w pierwszej chwili, że to jeden ze służących. Ale ta osoba nie ukloniła mu się ani nie oddaliła z szacunkiem, tylko usiadła ze skrzyżowanymi nogami, jakby zamierzała tu zostać przez jakiś czas.

– Jesteś! Czekałem na ciebie, panie.

– Długo byś czekał – odparł Kiyoyori, nie zważając na familiarny ton. Ekscentryczni starcy mogli sobie pozwolić na pewną swobodę. – W taki piękny dzień mogłem jeździć do

południa.

– Wiedziałem, że wrócisz po to, panie. – Na pomarszczonej dłoni leżał bat.

– Dziękuję, mistrzu Sesshin.

Kiyoyori zrobił krok do przodu, ale nawet nie zauważył, kiedy bat zmienił miejsce i znalazł się w drugiej ręce starca. Nagle czujny ukląkł przed Sesshinem, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Uświadomił sobie, że przez te wszystkie lata, kiedy mieszkali pod jednym dachem, ledwo go zauważał. Odwracał wzrok i starał się go nie dostrzegać, ponieważ niechlujny wygląd mędrca był dla niego afrontem, a odór ciała wprawiał go w zakłopotanie. Przyszła mu do głowy myśl, że może starzec się przed nim ukrywał, a teraz po raz pierwszy mu się pokazał.

Jego skóra była jak stary jedwab ciasno naciągnięty na kości. Oczy szczerze odwzajemniły spojrzenie Kiyoyoriego, ale zachowały nieprzeniknioną głębię. Patrzyły na światy, o których on nawet nie śnił, na tajemnice, których nigdy by nie zrozumiał.

Odezwał się szorstko, żeby ukryć niepokój:

– Masz mi coś do powiedzenia? Jeśli chciałeś ze mną rozmawiać, dlaczego nie przysłałeś mi wiadomości?

Sesshin zaśmiał się suchym, skrzekliwym śmiechem, który zabrzmiał jak trzask płonącego starego polana.

– Zbyłbyś mnie i pojechał, panie, a potem byłoby za późno.

– Co masz na myśli?

– Jest pewien bandyta Akuzenji. Nazywa siebie Królem Góry.

– Wiem, kim jest Akuzenji. Nic do niego nie mam. Póki siedzi w górach, nie łupi zbyt kupców i szybko rozprawia się z rywalami, nie działa na moją szkodę. Nie mam dość ludzi, żeby rozmieścić strażę na całej długości Północnej Górskiej Drogi. Niech Akuzenji wykonuje za mnie moją robotę. Nie muszę mu płacić.

– On zamierza zażądać od ciebie wysokiej ceny. Upodobał sobie twoją czaszkę.

Kiyoyori się roześmiał. Myśl, że bandyta ośmieliłby się zaatakować pana Kuromori, rozbawiła go szczerze.

– Oddaj mi bat. Ruszam w drogę.

– Cóż, jeśli musisz zignorować moje ostrzeżenie, weź dodatkowych ludzi i strzeż się, panie. Bo inaczej twoja głowa znajdzie się dzisiaj w kotle i wygotuje z ciała. Przed następnym księżycem twój brat wróci do Matsutani, a twoje dzieci będą martwe.

– Czy mój brat spiskuje z Akuzenjim? To próbujesz mi powiedzieć?

– Spiskowanie może nie jest właściwym słowem. Akuzenji nie żywi wobec ciebie osobistej wrogości. On po prostu chce zdobyć czaszkę wielkiego człowieka. To nierozważny człęk. Chwali się każdym wyczynem przed i po jego dokonaniu. Może nigdy cię nie widział, ale wie, że jesteś wielki, bo twoja sława rośnie z roku na rok. Twój brat to oportunista. Modli się o twoją śmierć, zanim twój syn dorośnie, chce bowiem odebrać to, co według niego mu ukradłeś, panie.

– Akuzenji poszukuje czaszki wielkiego człowieka? Do jakiejś czarnej magii?

– Tak sędzę – odparł starzec.

– Powiniennem mu zaproponować twoją!

– Z pewnością moja czaszka byłaby wyjątkowo potężna, podobnie jak wszystkie moje członki. Na szczęście dla mnie Akuzenji nie wie o moim istnieniu. Oto dlaczego, panie Kiyoyori, w moim interesie jest utrzymać cię przy życiu.

– Skąd to wszystko wiesz? Kim jesteś?

– Nie dziwi cię, panie, że wcześniej nie przyszło ci do głowy, żeby o to zapytać?

– Zawsze byłeś w pobliżu, odkąd się urodziłem – odparł wolno Kiyoyori. – Należałeś do domostwa jak stary kufer albo drzewo w ogrodzie.

Mógłby powiedzieć „jak pies”, ale uświadomił sobie, że psy zdychają jeden po drugim w swoim wyznaczonym czasie, a starzec wciąż żyje.

– Kuromori stało się moim domem, kiedy panem był twój dziadek. Byliśmy przyjaciółmi. Po jego śmierci zostałem tam przez całe rządy twojego ojca, panie. Tamto miejsce mi odpowiadało, a Matsutani jest jeszcze lepsze, idealne dla moich studiów i badań. W zamian mogłem odprawić pewne rytuały, które zapewniły bezpieczeństwo i dobrobyt twoim włościom.

– A ja myślałem, że wszystko zawdzięczam swojej ciężkiej pracy i dobremu zarządzaniu!

– Odegrałeś swoją rolę, panie. Nie marnowałbym wysiłków na podrzędną osobę. Czary mają ograniczoną moc.

Kiyoyori przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Na zewnątrz miauczał kot, wiatr wzdychał wśród sosen, w stajni niecierpliwie zarżał koń.

– Twierdzisz, panie, że nie jesteś w stanie strzec Północnej Górskiej Drogi, ale gdybyś usunął Akuzenjiego i jego bandytów, kupcy zapłaciliby ci za bezpieczny przejazd.

– Akuzenji jest przebiegły i nieuchwytny jak wilk – odparł Kiyoyori – ale jeśli skusi się na moją czaszkę, wezmę go przez zaskoczenie.

– Włóż zbroję pod strój do polowania – poradził Sesshin. – I wyślij kogoś na swoim koniu. Na przykład Tachiyamę no Enryo.

– Enryo? Dlaczego wymieniasz jego nazwisko?

– Od czasu do czasu wysyła wiadomości twojemu bratu do Minatogury.

– Teraz też? – Kiyoyori umilkł. – Jego żona jest faworytką mojej żony. Są przyjaciółkami od dzieciństwa.

Czy Tama też utrzymywała kontakt z jego bratem, swoim pierwszym mężem? Kiyoyori poczuł, że rośnie w nim furia.

Shikanoko

Shika, jak nazywali go bandyci, nie był szczęśliwy ani nieszczęśliwy na służbie u Króla Góry, w wysokiej fortecy, która stanowiła bazę Akuzenjiego. Czasami zastanawiał się, czy tak będzie wyglądała reszta jego życia, czy wróci do Kumayamy, żeby stawić czoło stryjowi. Właściwie byłoby najlepiej, gdyby wszyscy z jego dawnego życia myśleli, że on nie żyje.

Czuł, że każdego dnia czeka na to, co się z nim stanie. Akuzenji obwołał siebie Królem Góry, podobnie jak piraci uważają się za Królów Mórz, ale w oczach większości nadal pozostawali piratami, a Akuzenji zwykłym bandytą. Shika dowiedział się, że jego nowy pan chroni kupców zmierzających na północ i na zachód do Kitakami i innych portów morskich, do których zawijały statki wyładowane miedzianymi monetami, żelazem, tekstyliami i lekami z Shin i Silli leżących na stałym lądzie. Akuzenji walczył z innymi rozbójnikami i dbał o bezpieczeństwo drwali, którzy ścinali drzewa na jego górze i strumieniami spławiali pnie do jeziora Kasumi i dalej, do stolicy. Zawsze był przesądnym człowiekiem i lubił mieć na swojej górze i w lesie paru szamanów i czarowników, żeby radzić się ich w sprawie snów i omenów. Kiedy zawładnęła nim obsesja na punkcie odpowiedniej czaszki dla Shisoku, obrał za swój cel pana Kuromori.

Szybko się zorientował, że nowy sługa umie poruszać się cicho jak jeleni i jest obdarzony takim samym bystrym wzrokiem i słuchem. Zaczął go wysyłać na misje zwiadowcze w okolice Matsutani. Shikanoko dobrze poznał pana Kiyoyoriego: jego ulubionego konia, wysokiego czarnego ogiera; jego sposób jazdy; służących i pacholków, którzy mu towarzyszyli i którym Shika nadał przydomki: Chwiejny, Bryczesy, Ponurak.

Kiedy nie wyprawiał się na zwiad, ćwiczył strzelanie z łuku, bez końca śląc pociski w słomiane cele, albo robił strzały z bambusa, niektóre ze świszczącymi nasadkami z drzewa magnoliowego. Wykańczał je piórami, które znajdował w lesie albo wrywał upolowanym przez siebie ptakom: orłom i żurawiom. Wykonywał również niezliczone prace przydzielane mu jako najmłodszemu z bandy: karmił i czyścił konie, łącznie z Nyorinem, białym wierzchowcem Akuzenjiego, nosił wodę ze studni i drewno z lasu, skórował i oparował martwe zwierzęta.

Dopiero kiedy zostawał sam i był pewien, że nikt nie patrzy, wyjmował maskę zrobioną z czaszki jelenia. Nakładał ją na twarz i próbował medytować. Ale w takich chwilach budziła się w nim prastara moc lasu, samcza żądza, żeby się parzyć i płodzić potomstwo.

W fortecy Akuzenjiego mieszkało dużo kobiet, ale one już miały mężów, kochanków albo innych protektorów i faworytów, tak że wszystkie znajdowały się poza jego zasięgiem. I była jeszcze ta, która przyjechała z bandytami do chaty górskiego czarownika, a której imię brzmiało pani Tora. Wymawiając je, mężczyźni ścisiali głos i szeptali o niej między sobą. Jej moc ich przerażała, choć nigdy by się do tego nie przyznali. Shikanoko wiedział, że maska również jest potężna, ale jeszcze się nie nauczył, jak ją wykorzystywać, więc ta siła budziła w nim niepokój i mąciła mu w głowie.

W pewien ciepły, parny wieczór zapuścił się głęboko w las i o zmierzchu dotarł do wodospadu, białej strugi wpadającej do nieprzezroczystej czarnej sadzawki, w której odbijał się cienki sierp księżyca w nowiu. Rozgrzany i niespokojny zdjął ubranie, położył je na skale razem z brokatowym workiem, w którym trzymał maskę, i wskoczył do wody. Kiedy wychynał na powierzchnię i strząsnął krople z oczu, zobaczył jakąś istotę poruszającą się na brzegu. W pierwszej chwili pomyślał, że to jeleni przyszedł się napić, ale gdy zobaczył długie czarne włosy i bladą twarz, uświadomił sobie, że to jest kobieta.

Pani Tora stała tam, gdzie zostawił ubranie. Schyliła się i wyjęła maskę z worka. Skinęła na niego. Shikanoko wyszedł nagi z wody. Skórę miał mokrą i chłodną. Tora nałożyła mu maskę na twarz i pocałowała cynobrowe usta. Oboje wyciągnęli się na brzegu porośniętym mchem, za osłoną skał.

Była to bez wątpienia ta sama kobieta, która do niego przyszła w chacie czarownika. Wykorzystała go w jakimś własnym celu, tak jak czarownik, kiedy robił maskę, ale Shikanoko, podobnie jak wtedy, zabrakło woli, żeby stawić opór. Kobieta zręcznie doprowadziła go do Wielkiej Rozkoszy i razem usłyszeli Ryk Lwa. Nagły powiew wiatru cisnął na nich krople wody i zmoczył ich ciała.

Tora zdjęła maskę i pocałowała jego prawdziwe usta, prawdziwe oczy.

– Teraz nie wolno ci się położyć z nikim, kobietą czy mężczyzną, póki nie poślubisz tej, która jest ci przeznaczona.

– Nigdy więcej się z tobą nie położę?

– Nie, nasze wspólne dzieło jest skończone.

Czule pogłaskała go po twarzy, jakby był jej dzieckiem.

Shikanoko nie był przyzwyczajony do takich przejawów uczuć. Niemal poczuł łyzy w oczach.

– To była część mojej misji, którą pewnego dnia zrozumiesz – powiedziała Tora. – I ostateczny rytuał maski. Z jej stworzeniem wiąże się miłość, ale również żądza, siła, która napędza świat, żeby się odtwarzał, nieograniczona przez ludzkie zasady.

– Nic nie rozumiem – powiedział Shika.

– Używaj maski ostrożnie, a ona przyniesie ci mądrość, ale również narazi na niebezpieczeństwo. Praktykuj abstynencję i inne rzeczy, których nasz przyjaciel nauczył cię w lesie. Panuj nad ciałem i umysłem, żebyś ją rozpoznał, kiedy ją spotkasz.

– Kim ona jest?

Pani Tora nie odpowiedziała, tylko kazała mu się jeszcze raz wykapać. Woda była lodowata. Kiedy wyszedł z sadzawki, jej już nie było.

Następnego ranka tuż po świcie pani Tora wyjechała z Akuzenjim i jego ludźmi. Nie posłała Shikanoko żadnego znaku, że go poznaje, żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu. Było tak, jakby ich spotkania odbywały się w jakiejś innej rzeczywistości, odległej od relacji i konwenansów zwykłego świata. Zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Akuzenjiego, gdyby wiedział. Rozbójnik był gwałtownym człowiekiem, a Shika już widział kary wymierzane przez niego nieposłusznym: wyłupione oczy, ucięte ręce, piętnowanie...

Zadrżał i ścisnął boki kasztanowej klaczy, na której jechał, najstarszego i najwolniejszego wierzchowca w całej grupie. Dostał ją jako nowy i najmłodszy członek bandy. Jego osoba przyprawiała kasztankę o niepokój; konie często płoszyły się na widok jeleni. Na wiele sposobów próbowała go zrzucić, przez nią ocierał nogi o słupy i ściany, przechodziła pod nisko wiszącymi gałęziami, nagle wierzgała, uskakiwała w bok albo stawiała dęba. Miała na imię Risu. Shikanoko stracił rachubę, ile razy z niej spadł, co było źródłem niekończącej się uciechy dla innych.

Na swój przekorny sposób Risu przywiązała się do poprzedniego jeźdźca, chudego mężczyzny o imieniu Gozaemon, i rżała, kiedy jechał z przodu na potężnym ciemnogniadym koniu, którego dostał w nagrodę. Teraz odwróciła łeb i próbowała ugryźć stopę Shiki.

Akuzenji prowadził swoich ludzi zalesionym zboczem w stronę szlaku biegnącego przez dolinę, którą każdego ranka jeździł pan Kiyoyori. Reszta grupy wysforowała się naprzód i była już niewidoczna. Kiedy nagle Gozaemon truchtem zbliżył się do Shiki, Risu uniosła łeb i zarżała.

– Pośpiesz się – powiedział Gozaemon. – Pan Akuzenji chce, żebyś kogoś zabił.

Chwycił wodze Risu i zaczął ją prowadzić obok swojego konia. Klacz biegła teraz szybciej niż przez cały ranek.

Akuzenji i jego ludzie ukryli się w bambusowym zagajniku porastającym skalny występ ponad szlakiem, który biegł między lasem a polami uprawnymi. Ryż już ścięto i snopki rozwieszono do suszenia. Rolnicy pracowali, rozrzucając nawóz i mierzwę. Akuzenji skinął na Shikę i rozkazał:

– Zsiądź z konia i zajmij pozycję. Chcę, żebyś mu strzelił w kark albo w pierś. Tylko za nic nie traf go w głowę.

Usłyszeli tętent zbliżających się koni i jednocześnie wołanie kobiety, która pędziła przez pole ryżowe, krzycząc i machając rękami. Poruszała się niezdarne, niemal komicznie, szlachcianka nieprzyzwyczajona do biegania. Kilkuwarstwowa szata płątała się jej wokół nóg. W pewnym momencie kobieta pośliznęła się i upadła w nawóz.

Dlaczego biegła? Shika zmarszczył brwi, próbując się zorientować w sytuacji.

Zobaczył małą grupkę jeźdźców bez zbroi, z czarnym ogierem na przodzie.

– Teraz – wyszeptał Akuzenji. – Zastrzel go!

– Kogo?

– Pana Kuromori! Na czarnym koniu!

– To nie jest pan Kuromori – oznajmił Shika, lekko opuszczając łuk. – To jego koń, ale nie on na nim jedzie.

Rozpoznał mężczyznę, którego nazywał Ponurakiem.

– Strzelaj! – wrzasnął mu Akuzenji do ucha.

Shika wzruszył ramionami i posłuchał rozkazu. Strzała wbiła się w szyję niechronioną przez zbroję. Krew trysnęła z rany szkarłatnym łukiem lśniącym w pierwszych promieniach słońca. Kurz wzbił się w powietrze złotymi kłębkami, kiedy koń stanął dęba i człowiek upadł na ziemię.

Pozostali jeźdźcy zatrzymali się i cofnęli, kiedy bandyci wypadli z zasadzki z Akuzenjim na czele. Herszt zsunął się z konia i z triumfalnym rykiem chwycił zabitego za czub. Był w trakcie odcinania mu głowy, gdy rozległy się okrzyki mężczyzn i tętent kopyt. Na drodze pojawił się oddział wojowników. Prowadził ich pan Kiyoyori.

Kiyoyori

Kiyoyoriego ogarnęły gniew i radość, kiedy przyjrzał się klęczącym jeńcom. Przez cały dzień trzymano ich na padoku między stajnią a rezydencją, na chłodnym wietrze, bo pogoda zmieniła się nagle, przynosząc pierwsze zwiastuny zimy.

Wściekłość była spowodowana nielojalnością jednego ze sług, Tachiyamy, który zginął zamiast niego. Kiyoyori cieszył się natomiast z tego, że przeżyli on i jego ogier, że bolesną śmierć już ponieśli wrogowie, którzy chcieli go dopaść, a pozostałych czekała egzekucja.

Żona Tachiyamy wyjawiała wszystko przed śmiercią: plan Akuzenjiego, żeby zdobyć głowę Kiyoyoriego, listy wymieniane między jego bratem Masachiką a Tachiyamą, zamiar przejęcia posiadłości. Gniew obejmował również jego własną żonę, której jeszcze nie przesłuchał, choć na niego czekała, kiedy wrócił z potyczki, blada, ale z suchymi oczami. Wyraziła stosowne zdziwienie śmiałością ataku i równie stosowną ulgę, że jej mąż przeżył, ale Kiyoyori czuł, że żona kłamie. Oczywiście to nie była jej wina, że dwóch starców zabrało ją jednemu z braci i oddało jak przedmiot drugiemu, ale ponieważ nie żywiła do niego głębokich uczuć, rozsądnie było podejrzewać, że nadal kochała Masachikę. Ona też skorzystałaby na śmierci Kiyoyoriego.

Pomyślał po raz tysięczny o swojej zmarłej żonie. Gdyby tylko Tsuki żyła!

Gdybym przeżyła, nie miałbyś Matsutani. Naprawdę byłbyś gotowy zapłacić taką cenę?

Usłyszał jej przekorny śmiech i patrząc na padok, ujrzał ją stojącą przed pierwszym rzędem jeńców. To na pewno była ona? Długie czarne włosy sięgające ziemi, smukła sylwetka... rozpoznałby je wszędzie, nawet po ośmiu latach.

– Przepraszam, panie – odezwał się nagle tuż przy nim jeden z jego ludzi, Hachii Sadaike. – Ona nie chce uklęknąć. Stoi tak przez cały dzień.

O, moja ukochana! Musi być ci zimno. Jeden dzień na mrozie i osiem lat w grobie.

– Panie Kiyoyori?

Wrócił do rzeczywistości.

– Kto to jest?

– Kobieta, która jechała z bandytami.

Kiyoyori przyjrzał się jej uważniej i zobaczył, że to nie Tsuki, choć było między nimi pewne podobieństwo. Kiedy się nad tym zastanawiał, ich oczy się spotkały. Kiedyś znalazł się blisko miejsca, w które uderzył piorun, i poczuł wtedy, że jeża mu się włoski na skórze. Teraz doświadczył takiego samego wstrząsu.

Kobieta skłoniła głowę i opadła przed nim na kolana. Nie uklękłaby przed nikim innym, ale przed nim tak. Kiyoyorim zawładnęły prawie niekontrolowane emocje, pragnienie silniejsze niż kiedykolwiek. Najchętniej kazałyby natychmiast uśmiercić całą bandę, a ją przyprowadzić do siebie.

Zamierzał wymyślić jakąś specjalną karę dla Akuzenjiego: ugotować go żywcem albo powoli poderżnąć mu gardło, żeby zniechęcić innych do ataków na pana Kuromori, ale teraz niecierpliwość nie dopuszczała dalszej zwłoki. Już miał rozkazać Sadaike, żeby odprowadził kobietę na bok i ściał resztę jeńców, kiedy niebo pociemniało i nad padokiem zamajaczył jakiś cień. Przemknął nisko nad głową Kiyoyoriego, po czym wzbił się w powietrze i usiadł za nim na kalenicy dachu. Kiedy Kiyoyori się odwrócił, stwór zaczął skrzeczeć głosem tak paskudnym, że wszyscy, którzy nie mieli związanych rąk, zakryli uszy.

Kiyoyori natychmiast wezwał łuczników, żeby go zastrzelili. Najlepsi wystąpili do przodu, gotowi do współzawodnictwa i wkupienia się w łaski pana, ale zła istota była obdarzona nadprzyrodzonymi mocami, bo ich oczy oślepiło słońce i strzały zabębniły o dachówki. Nie można było dokładnie się jej przyjrzeć: w jednej chwili była czarna i wyraźna, w następnej Kiyoyoriemu wydawało się, że widzi złote oczy jak u małpy i dziób ostry jak igła. Stwór miał długi węzowy ogon, nogi w złote pasy o takim samym odcieniu jak ślepia. Drwił z nich głosem podobnym do ludzkiego, ale nieludzkim. Napętniał ich dusze lękiem.

– Idź do mistrza Sesshina – polecił Kiyoyori jednemu z pachołków. – Zapytaj go, co to za stworzenie. Czy to znak, że mam oszczędzić Akuzenjiego?

Mówił cicho, ale kobieta go usłyszała.

– Nie posyłaj po mistrza, panie – rzekła. – Ptak nie ma nic wspólnego z Akuzenjim. Niech Shikanoko natychmiast go zabije.

Jej głos przyprowadził go o dreszcz. Kiyoyori dał kobiecie znak, żeby się do niego zbliżyła.

– Kto to jest Shikanoko?

Kobieta do niego podeszła, po czym się odwróciła i zawołała:

– Shikanoko!

O, żeby mnie tak wołała! I zawoła! Zawoła!

– To on zastrzelił sobowtóra – wyjaśniła kobieta.

– Chciał zabić mnie! I mam teraz dawać mu łuk?

– Oszczędził twojego konia, panie – przypomniała kobieta. – Jest dobrym strzelcem.

– Chyba nie mogę się z tym spierać – przyznał Kiyoyori. Jej bliskość przyprowadziła go o euforię.

Z grupy jeńców wystąpił do przodu młody mężczyzna na progu dorosłości. Dość wysoki, chudy, o brązowej skórze, mimo spętanych nóg poruszał się z oszczędną gracją zwierzęcia. Kiyoyori przyjrzał mu się zmrużonymi oczami. Chłopak nie wyglądał na bandytę. Z pewnością był synem wojownika. Może został porwany. Jeśli zdoła zabić ptaka, zostanie oszczędzony, a Kiyoyori dowie się, kim jest, i zwróci go rodzinie albo przyjmie do siebie na służbę. Jeśli zawiedzie, umrze razem z resztą i będzie to słuszna kara za zadawanie się

z takimi ludźmi.

– Dajcie mu łuk i strzały – rozkazał.

Kiyoyori zauważył, że jego ludziom nie podoba się ten rozkaz i perspektywa, że zostaną upokorzeni przez wyrostka. Nastąpiła chwila przerwy, kiedy w stosach broni odebranej bandytom szukano łuku i strzał. Potem wszyscy czekali, aż Shikanoko napnie cięciwę. Przez cały czas ptaszysko skrzeczało chrapliwie, kiwając głową na boki i łypiąc w dół złotymi ślepiami, jakby śmiało się z pogardą, kiedy Shikanoko do niego mierzył, mrużąc oczy przed słońcem. Po chwili młodzieniec opuścił łuk, jakby drwiny go onieśmieliły.

On dzisiaj umrze, przysiągł sobie Kiyoyori.

Shikanoko wyszeptał coś do ucha kobiety.

– Jeszcze coś mu zabrano – oznajmiła kobieta, zwracając się do Kiyoyoriego. – On musi to odzyskać, zanim będzie mógł strzelić. Chodzi o siedmiowarstwowy brokatowy worek zawierający maskę.

– Znajdźcie go – rozkazał Kiyoyori, z trudem hamując niecierpliwość.

Gdy jeden ze sług odnalazł worek, chłopiec wziął go bez słowa i wyraźnie się odprężył, namacawszy jego zawartość.

– Powiedz mu, żeby mi pokazał, co jest w środku – rzekł Kiyoyori do kobiety. Podobało mu się, że korzysta z jej pośrednictwa, jakby chłopak był barbarzyńcą, który potrzebuje tłumacza. Miał wrażenie, że w ten sposób rodziła się między nimi więź.

– Pokaż panu – rzuciła krótko kobieta.

Shikanoko wyjął z worka maskę i oburącz wyciągnął ją w stronę pana Kiyoyoriego, a ten mimo woli wstrzymał oddech na widok oblicza prawie jak żywego, z ciemnymi rzęsami okalającymi oczodoły, czerwonymi ustami i językiem. Zobaczył czerep, z którego ją zrobiono, i nagle stał się świadomy własnej czaszki, twardej i jednocześnie tak kruchej. Wydawało się, że maska unosi się między chłopcem i kobietą, łączy ich jak dziecko. Zrozumiał, że oboje brali udział w jej tworzeniu, i ogarnęła go zazdrość. Oczy kobiety napotkały jego wzrok, a Kiyoyori pojął, że właśnie po to Akuzenji zamierzał zdobyć jego głowę. Chciał, żeby zmieniono ją w magiczny talizman.

Dał znak skinieniem głowy. Shika schował maskę i oddał worek kobiecie. Przez cały ten czas ptak milczał i patrzył na nich z góry. Teraz zerwał się do lotu, ale za późno. Z łuku pomknęła strzała, świszcząc w locie. Ten dźwięk zmieszał się z rozpaczliwym krzykiem ptaszyska, kiedy grot przeszył mu serce. Z rany trysnęła krew. Kiedy czerwone krople z sykiem zetknęły się z ziemią, stwór runął głową w dół.

– Zanieście go mistrzowi Sesshinowi – rozkazał Kiyoyori. – On będzie wiedział, co to jest.

* * *

Nawet najtwardsi wojownicy nie mieli ochoty dotknąć ptaka, więc Shikanoko wyciągnął strzałę z jego piersi, schował ją z powrotem do kołczanu i owinąwszy martwe ciało w szal kobiety, zaniósł je do rezydencji. Kiyoyori zaprowadził go do pokoju Sesshina. Był w nim

po raz pierwszy od przeprowadzki do Matsutani. Wymieszane zapachy starych ksiąg, atramentu, oleju do lamp i kadzideł przyprawiły go o zawrót głowy.

– To złoty jastrząb – orzekł Sesshin, dokładnie zbadawszy stworzenie. – Dziwne, że akurat teraz tu przyleciał.

– Co to znaczy? – zapytał Kiyoyori.

– Będę musiał odprawić pewne rytuały, żeby się tego dowiedzieć. – Stary uczonek wyglądał na lekko zakłopotanego. – Co za tajemniczy zbieg okoliczności. Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale sądziłem, że chodzi tylko o ciebie, panie. Teraz się boję, że działają tu potężniejsze siły i konsekwencje będą daleko idące.

Umilkł, patrząc na martwego ptaka.

Kiyoyori nagle poczuł znużenie. Wydawało mu się, że minęło wiele dni do chwili, kiedy wrócił po bat. Nade wszystko pragnął położyć się z tamtą kobietą i zagłuszyć wyrzuty zmarłych.

Z zewnątrz dobiegał świst mieczy ścinających głowy bandytom. Większość z nich z rezygnacją poddała się losowi, co nie było niczym dziwnym, zważywszy na ich profesję, i umierała cicho albo z imieniem Oświeconego na ustach, ale kilku walczyło, przeklinało, szlochało i błagało. Te odgłosy budziły przerażenie i litość.

Shikanoko ze łzami w oczach drżał przy każdym ciosie miecza. Kobieta zachowała spokój i z uwagą patrzyła na Sesshina.

Ryk wściekłości, który mógł wydać z siebie tylko Akuzenji, zabrzmiał w cichym pokoju jak grzmot. Shikanoko wstrzymał oddech, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Pan Kiyoyori może teraz odejść – rzekł starzec. – A kobieta niech lepiej zabierze tego chłopca, zanim biedak zemdleje.

Jego ton był lekceważący. Starzec nawet nie spojrzał na Shikę. Z marsem na czole nadal wpatrywał się w martwego jastrzębia.

– Zostaniemy z tobą – oznajmiła kobieta.

Kiyoyori i Sesshin odezwali się jednocześnie:

– To nie będzie konieczne.

– Przekonasz się, że tak – zapewniła kobieta. – Proszę wyjść, panie. – Przeniosła wzrok z Shikanoko na Kiyoyoriego, ale tylko ten drugi odwzajemnił jej spojrzenie. Ona nic więcej nie powiedziała, tylko czekała spokojnie.

– Ale przyjdiesz do mnie później? – zapytał Kiyoyori. – Będziemy razem?

– Obiecuję.

Shikanoko

Sesshin po wyjściu pana oderwał wzrok od martwego ptaka i spojrzał na panią Torę, a potem na Shikanoko.

– Nie rozumiem, dlaczego tu jesteście. Zwykle rytuały odprawiam w odosobnieniu. Są w nich sekrety, które tylko wtajemniczeni mogą zobaczyć.

– Mamy coś, co oszczędzi ci trochę czasu – oznajmiła pani Tora. – Shikanoko jest wtajemniczony. Ja brałam udział w rytuałach dużo bardziej ezoterycznych i niebezpiecznych, niż potrafisz sobie wyobrazić, choć jesteś wielkim uczonym i czarownikiem. Shikanoko, daj mistrzowi maskę.

Chłopak wręczył ją starcowi, nagle niechętny, żeby inny czarownik badał dzieło Shisoku, ale Sesshin z czcią wziął od niego maskę i obejrzał ją dokładnie.

– Co za cudowna rzecz! Kto ją zrobił?

– Górski czarownik Shisoku – odparła pani Tora. – Zrobił ją dla Shikanoko, bo on jest synem jelenia.

Sesshin zerknął na Shikę, jakby zobaczył go po raz pierwszy. W jego oczach pojawił się błysk... zaskoczenia, rozpoznania. Potem starzec pokręcił głową.

– No, no – mruknął cicho. – Niech ją włoży.

Shika przypomniał sobie instrukcje Shisoku i kroki tańca jelenia, które razem z nim ćwiczył. Pozostałych dwoje obserwowało go uważnie. On też ich widział i był świadomy swojej własnej postaci w masce spoglądającej przez otwory na oczy. Po chwili w pokoju pojawiło się światło przesiane przez liście i intensywny zapach lasu. A on już był jeleniem stąpającym lekko między drzewami, z nastawionymi uszami i rozdętymi nozdrzami. W górze przeleciały jastrzębie, krzycząc głośno. Rogacz popędził za nimi. Za każdym susem pokonywał całe mile.

Zobaczył, że jastrzębie fruną nad dużym miastem i wlatują pod okapy świątyni w gęstym zagajniku przy jeziorze, niedaleko brzegu rzeki, która do niego wpływała. Przeczytał jej nazwę: Ryusonji. Stał na werandzie i przez otwarte drzwi dostrzegł, że ptaki siadają na ramionach człowieka odzianego w brokatowe i jedwabne szaty haftowane w smoki. Jastrzębie otworzyły dzioby i zaśpiewały ludzkimi głosami.

Mężczyzna spojrzał w jasność i rzekł:

– Jestem księżą opat Ryusonji, Świątyni. Smoka. Ale kim ty jesteś?

W tym momencie Sesshin nim potrząsnął i Shikanoko znalazł się z powrotem w jego

zakurzonym pokoju.

– Nie mów! Nie mów, kim jesteś!

– Nie zamierzałem. – Shika zdjął maskę, przyłożył ją do czoła, podziękował jej, po czym schował ją do siedmiowarstwowego worka.

– Zobaczyłem, że twoje wargi się poruszają. Zamierzałeś powiedzieć. Mniejsza o to. Kto tam był?

– Księżę opat z Ryusonji – odparł Shika. – Ten jastrząb był jego posłańcem. Ptaki mówiły do niego ludzkimi głosami.

Sesshin wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Dlaczego księżę opat miałby się interesować Kuromori?

– Może szuka ciebie – podsunęła pani Tora.

– Mam szczerą nadzieję, że on nie wie, kim jestem.

– Nie bądź taki skromny, mistrzu. Z pewnością kiedyś znaliście się całkiem dobrze?

– Wiele lat temu razem studiowaliśmy. Do tej pory mnie zapomniał.

– Coś musiało mu o tobie przypomnieć. Chyba że to pan Kuromori przyciągnął jego uwagę.

Sesshin podrapał się po głowie.

– Zależy mi tylko na spokojnym życiu – oświadczył. – Nie chcę ściągać na siebie uwagi księcia opata. On będzie bardzo zły z powodu utraty jastrzębia. Nie żyje, prawda? – Dźgnął ptaka, ale ten nie dawał żadnych oznak życia. – Nie powinieneś był go zabijać.

– Tylko Shikanoko mógł go zabić i akurat znalazł się we właściwym miejscu – powiedziała pani Tora. – Czy to nie świadczy, że dzieją się rzeczy ważniejsze od twojego pragnienia spokoju?

Sesshin ukrył głowę w dłoniach.

– Chciałbym, żebyście sobie poszli, a ja zastanowię się, co powinienem doradzić panu Kiyoyoriemu. Mam straszliwe przeczucie, że nie skończy się to wszystko dobrze, przynajmniej dla mnie.

– Shikanoko może już wyjść, ale ja zostanę. Jest jeszcze coś, co trzeba zrobić, zanim pójdę do pana Kiyoyoriego.

Shika chciał zostać z nimi, porozmawiać o tym, co mu się przydarzyło, co to wszystko znaczy, kim był kapłan, który wydawał się taki niepokojący i zarazem taki atrakcyjny. Wyczuł, że ci dwoje coś wiedzą i mogliby go dużo nauczyć. Ogarnęło go dzikie pragnienie, żeby wchłonąć całą tę wiedzę, zanim będzie za późno.

– Idź – ponagliła go pani Tora.

Shikanoko wyszedł, ale przez jakiś czas ociągał się na korytarzu, czując jej zapach wymieszany z wonią oleju do lamp i kadzidła. Usłyszał, jak starzec pyta:

– Czego chcesz ode mnie?

– To, czego przez czterdzieści lat nie dawałeś ziemi, wodzie, powietrzu ani ogniovi, żadnemu mężczyźnie ani kobiecie – odparła Tora. – Zamierzam uczynić cię ojcem.

– Nie będziesz miała ze mnie pożytku – spróbował żartować Sesshin. – Wszystko uszło.

– Będziesz w stanie dać mi to, czego potrzebuję. Nie patrz z takim lękiem, mój drogi mistrzu. Obiecuję, że będzie przyjemnie.

Shika się oddalił. Sam nie wiedział, czy czuje zazdrość, czy jakąś inną głębszą emocję. W jego piersi narastał szloch. Czy to był smutek? Ale dlaczego miałby płakać z powodu Akuzenjiego albo jego ludzi, którzy go zastraszaali i drażnili się z nim? Tak, był bliski łez z ich powodu i czuł, że powinien w jakiś sposób ukoić ich niespokojne duchy. Usłyszał śpiewy w oddali. Podążał za tym dźwiękiem, aż dotarł do małej świątyni na końcu jeziora. Ukląkł pod cedrami.

Kiyoyori

Rzucono na stos ostatnie zwłoki, nakryto je chrustem i podpalono. Dużo czasu minęło, odkąd zapach płonących ciał unosił się nad spokojnymi domostwami i polami Matsutani. Kiyoyori był niecierpliwy, ale nie pozwolił, by dręczące pożądanie odciągnęło go od tego, co należało zrobić. Rozesłał grupki sług, żeby przy zaporze Shimaura, na skrzyżowaniach dróg i na mostach wzdłuż Północnej Górskiej Drogi wbili w ziemię zaostrzone pale z głowami bandytów. Potem zajął się problemami spowodowanymi przez śmierć Akuzenjiego i jego zbirów. Najpilniejszą sprawą było opanowanie ich górskiej fortecy, z której kontrolowali szlak i podróżujących nim kupców. Kiyoyori uznał, że to proste zadanie mogą wykonać jego słudzy. Następnie kazał oczyścić padok skażony przez egzekucje i złożyć ofiary dla przebłagania duchów zmarłych. Kiedy wydał polecenia i przemówił do kapłanów, posłał po swoją żonę. Do tego czasu zapadł już zmierzch.

– Masz czerwone oczy – zauważył. – Płakałaś, że nie zginąłem?

– Wybacz mi, panie. Byłam przerażona i smutna, że podjęto próbę zamachu na życie mojego męża.

– I bez wątpienia jesteś poruszona śmiercią swojej służącej?

– Jeśli w jakikolwiek sposób była zamieszana w intrygę, cieszę się, że została ukarana.

Łzy przelałam tylko z twojego powodu.

– Chciałbym w to wierzyć.

– To prawda. – W oczach żony mignął strach, jakby nagle zrozumiała, jakie grozi jej niebezpieczeństwo.

– Nie pozwoliłaś sobie nawet na chwilę nadziei, że wrócisz do swojego pierwszego męża?

– Jak możesz mówić takie rzeczy? On jest dla mnie martwy. Czy nie byłam ci wierną żoną? Wszystko, co moje, jest teraz twoje. Dałam ci syna. Byłam matką dla twojej córki, na ile mi pozwalała. Chętnie urodziłabym ci więcej dzieci, ale ty stałeś się wobec mnie zimny.

Kiyoyori nie odpowiedział, przyglądając się jej uważnie. Żona odwzajemniła się szczerym spojrzeniem.

– Mój pan na pewno jest zmęczony i głodny. Pozwól, że przygotuję kąpiel i jakąś strawę. Na co miałbyś ochotę?

– Wiedziałaś, że mój brat przysyłał listy Tachiyamie?

– Przysięgam, że nie. Powiedziałabym ci od razu. Proszę, weź kąpiel i odpręż się. Mam przyprowadzić dzieci?

Zapach cedrowego dymu wypełniający łaźnię maskował odór stosu pogrzebowego. Po gorącej kąpeli Kiyoyori poczuł się oczyszczony na ciele i duchu. Kolację zjadł z dziećmi, zachwyconymi i wdzięcznymi, że dopuścił je do specjalnej uczy, którą przygotowała jego żona: ryż z kasztanami i przepiórkami, kurze jaja gotowane w rosole, słodkowodna ryba z kolokazją. Syn i córka byli grzeczni i śmiali. Oboje wydawali się inteligentni, zwłaszcza Hina, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do matki. Okazywała wielkie zainteresowanie wydarzeniami dnia i pytała go, co to wszystko znaczy, co się stanie z chłopcem, który zastrzelił ptaka, i co zrobią z końmi bandytów.

Kiyoyori nie widział żadnych braków w ich wychowaniu. Ale jak by się czuł, gdyby ich matka go zdradzała? Przypomniał sobie słowa Sesshina. „Twój brat wróci do Matsutani, a twoje dzieci będą martwe”.

W ten sposób postępowali wszyscy watażkowie i wojownicy. Czy nie tak on sam rozprawił się z Akuzenjim? Nawet teraz jego ludzie czyścili górską fortecę, jakby pozbywali się robactwa. Jeśli Akuzenji miał dzieci, żadne nie pozostało przy życiu. Przez chwilę Kiyoyori czuł żal, ale szybko go od siebie odepchnął. Nie mógł okazywać słabości, bo bez wątplenia zostałaby wykorzystana przez tych, których oszczędził, i przez rywali. Zamierzał zebrać owoce dzisiejszego zwycięstwa, w nagrodę podzielić zdobyte łupy i nadać ziemie swoim ludziom, żeby bardziej ich ze sobą związać. Jak to czasami mu się zdarzało, zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby ojciec pozwolił mu zostać mnichem. Miałby więcej spokoju i mniej trosk, nie żywiłby podejrzeń wobec żony ani gniewu wobec tych, którzy próbowali go zdradzić, ale z drugiej strony nie zaznałby niezrównanej radości sukcesu ani niespokojnego oczekiwania na spotkanie z nową kobietą.

Kiedy skończyli jeść, żona kazała pokojówkom przygotować posłanie i zabrać dzieci. Gdy zostali sami, zachęciła Kiyoyoriego, żeby się położył, a on zobaczył, że Tama chce się z nim kochać. Ale to nie jej pożądał. Poczuł wstyd, że on odpoczywa, podczas gdy jego ludzie nadal ryzykują życie.

– Chyba pójdę na chwilę do świątyni – oznajmił. – Nie mogę się do ciebie zbliżyć, kiedy na duszy ciąży mi śmierć i krew.

– Cokolwiek sobie życzy pan Kiyoyori. – Żona bez powodzenia starała się ukryć rozczarowanie.

* * *

Kapłani śpiewali, płonęły kadzidła, dzwoniły dzwony. Kiyoyori zauważył samotną postać klęczącą w pewnej odległości od świątynnych schodów, pod wysokimi cienistymi cedrami. Gdy obmył ręce i wypłukał usta w zbiorniku na wodę, podbiegł do niego sługa z matą do klęczenia. Kiedy Kiyoyori pomodlił się za dusze swoich ofiar, poprosił, żeby przysłano do niego Shikanoko.

– Poczynilem przygotowania, żeby odprawiono modły za bezpieczną podróż ich dusz –

oznajmił, by go pocieszyć.

– Nie mogę uwierzyć, że wszyscy nie żyją – przemówił młodzieniec cichym głosem. – Oni wszyscy są martwi, a ja żyję. Choć może jest twoim zamiarem, panie, żebym do nich dołączył.

– Powiedz mi, kim jesteś i jak to się stało, że byłeś z nimi, a wtedy zadecyduję, co z tobą zrobić.

Shikanoko opowiedział mu pokrótce swoją historię, a kiedy skończył, Kiyoyori rzekł:

– To niedobrze, że twój stryj jest jednym z moich głównych sojuszników. Przysiągł mi lojalność, a ja zatwierdziłem jego prawo do posiadłości, gdy ciebie uznano za zmarłego.

– Ale Kumayama jest moja – oświadczył Shikanoko.

– Tak czy inaczej, twój stryj Jiro no Sademasa był wobec mnie lojalny. Nie mogę tak po prostu wydać go na twoją łaskę.

– Choć próbował mnie zabić?

– Mamy na to tylko twoje słowo. Wersja twojego stryja jest taka, że pośliznąłeś się i spadłeś w przepaść. Jego zdaniem należy winić twój samowolny i porywczy charakter. Taki wypadek musiał się zdarzyć prędzej czy później. Poza tym, dlaczego miałbym ci uwierzyć? Możesz być oszustem namówionym do wysunięcia tego rodzaju roszczeń przez swojego pana bandytę. Jaki masz dowód, że jesteś Kazumaru?

– Moi ludzie mnie rozpoznają.

– Twoim ludziom jest całkiem dobrze u twojego stryja. Chłopcy zmieniają się między szesnastym a siedemnastym rokiem życia. Tamten, który zginął, był dzieckiem. Przed sobą widzę mężczyznę o wyglądzie rozbójnika.

– Więc zamierzasz mnie zabić, panie?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

Młodzieniec milczał. Nie błagał ani się nie kłócił i Kiyoyori go za to polubił. Był skłonny darować mu życie. Dobrzy łucznicy zawsze są przydatni, a Shikanoko oddał mu przysługę, zabijając jastrzębia.

– Czy mistrz Sesshin coś odkrył? – zapytał Kiyoyori.

– Odesłali mnie, kiedy maska zdradziła nam tożsamość ptaka. Potem pani Tora i mistrz mieli odprawić jeszcze jeden rytuał.

Pani Tora. A więc tak miała na imię.

– Jaki rytuał? – zainteresował się Kiyoyori.

Zamiast odpowiedzieć, Shikanoko posłał mu jedynie dziwne spojrzenie, jakby ich role się odwróciły i to Kiyoyori był młodzieńcem, którego życie znalazło się w zawieszeniu.

– Kim jest ta cała pani? – spytał Kiyoyori. Kobieta bandyty, pomyślał. A teraz moją, zgodnie z prawem zwycięzcy.

– Pan Kiyoyori powinien się strzec – rzekł Shikanoko. – Pani Tora nie jest taka, jaka się wydaje.

Zapadła noc, zrobiło się dużo chłodniej. Z północy nadciągnął silny wiatr, ciemne deszczowe chmury powoli zasnuwały niebo. Nagły podmuch zakręcił liśćmi, które leżały pod drzewami.

Kiyoyori wstał.

– Sprawdźmy rezultat obrzędu.

Ogarnęły go niecierpliwość i niepokój, że „rytuał” to eufemizm określający rzecz nie do zniesienia... i tak rzeczywiście było. Kiedy wkroczył do pokoju i zobaczył kobietę leżącą obok Sesshina, ogarnęła go taka wściekłość, że miał ochotę zabić oboje. Ale pani Tora uśmiechnęła się i powiedziała:

– Teraz, panie, jestem twoja.

Stała przed nim tak jak wcześniej, a nim zawładnęła taka sama żądza. Chwycił ją za rękę i poprowadził przez ogród. Wydawało się, że kobieta za nim frunie. Kiyoyori zabrał ją do letniego pawilonu na brzegu jeziora.

Deszcz bębnił w okiennice. Krople wpadały przez liche dach, tak że węgle w piecu dymią i syczały. Przykryci niedźwiedzią skórą Kiyoyori i Tora znajdowali się we własnym świecie. Kiyoyori nie spał z kobietą od miesięcy. Żona już go nie pociągała, a był zbyt zajęty, żeby szukać przyjemności gdzie indziej. Teraz opętała go bezrozumna żądza jak w wieku dojrzewanca, niewyczerpane pożądanie, ale jednocześnie coś więcej: namiętna tęsknota, by całkowicie poddać się tej kobiecie, pozwolić, żeby zaprowadziła go w miejsca, których nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Sądził, że Tora jest kobietą bandyty, prostytutką, a kiedy wszedł do pokoju uczonego i zobaczył ją w niedwuznacznej sytuacji z tym starym lisem Sesshinem, wpadł w gniew i jednocześnie odczuł dziwną ulgę. Jednak była ladaczną. W takim razie on ją weźmie, a kiedy mu się znudzi, każe ją ściąć razem z chłopakiem. Ale kiedy noc zaczęła przechodzić w świt i w końcu ugasił pragnienie, a ona pogłaskała go po włosach i zaśpiewała cicho pieśń popularną w stolicy, poczuł, że znalazł swoją drugą połowę, że prędzej znudzi się własnym ciałem niż nią. Leżał i układał plany na przyszłość. Zbuduje dom i umieści ją w nim jako swoją drugą żonę.

W swojej naiwności nie wziął pod uwagę tego, że Tora może mieć własne plany.

Akihime

Najstarsza córka rodu Nishimi tradycyjnie miała zostać świątynną dziewicą w Rinrakuji, przybytku Wszechmiłośiernej Kannon.

Jej rodzina, spokrewniona z cesarzem, należała do najwyższych rangą wśród szlachty. Hidetake, głowa domu, był bliskim przyjacielem następcy tronu Momozono, a jego żona była mamką książęcego syna, Yoshimoriego.

Hidetake miał dwie córki urodzone w odstępie dziesięciu lat. Starsza miała na imię Akihime, Jesienna Księżniczka, bo urodziła się jesienią, kiedy klony robiły się czerwone, a miłorząb przy bramie zrzucał złote liście. Młodsza przyszła na świat zimą, ale umarła zaraz po narodzinach. Właśnie dlatego jej matka mogła karmić młodego księcia, wnuka cesarza.

Aki miała piętnaście lat, nie była szczególnie piękna, ale za to żywa i radosna. Tej jesieni, w szesnastym roku jej życia, wokół domu zaczęli krążyć zalotnicy, wabiąc ją poezją i muzyką. Matka bała się i jednocześnie miała nadzieję, że któryś dopnie swego. W tamtych czasach panował zwyczaj, że jeśli mężczyzna przychodził trzy noce z rzędu i kochał się z dziewczyną, uznawano ich za małżeństwo. Aki już złożyła śluby czystości i wzdragała się przed tą perspektywą, ale jednocześnie czuła pokusę i ciekawość. Mężczyźni byli zapraszani czy wdzierali się siłą? Dziewczyna miała wybór czy po prostu ulegała?

– Nie pozwolę nikomu się dotknąć – oświadczyła pewnego ranka, kiedy jej matka wyrażała na głos swoje obawy. – Wiesz, że ojciec nauczył mnie, jak się bronić.

– Nie możesz walczyć z młodym szlachcicem na miecze! – wykrzyknęła matka. – To byłby straszliwy skandal. – Potem dodała z westchnieniem: – Czasami nie chcemy się bronić. Mężczyźni potrafią być bardzo uparci. Ale gdyby to się zdarzyło, przynajmniej moglibyśmy zatrzymać cię w domu.

Aki widziała, że matka jest bliska łez.

– Nadal będziesz miała Yoshimoriego. I Kai, która jest dla ciebie jak córka.

Spojrzały na werandę, gdzie bawiły się dzieci. Oboje urodzili się tego samego dnia i zostali nierozłącznymi przyjaciółmi. Mieli po siedem lat. Yoshimori był inteligentnym malcem uwielbianym przez ojca. Kiedy skończył dwa lata, stary fizjonomista orzekł, że chłopiec będzie panował jako cesarz. Zrobiło to na małym księciu wielkie wrażenie.

– Yoshimori wkrótce będzie dla mnie stracony – powiedziała matka. – Ale chyba nigdy

nie stracę Kai, bo nikt się z nią nie ożeni.

– Nie widać jej uszu, kiedy zasłaniają je włosy. Uważam, że są czarujące, jak u małego ptaszka albo u gekona.

– Gekona! Nie mów takich rzeczy!

Matka Kai, jedna ze służących, którą matka Aki szczególnie lubiła, zmarła przy porodzie. Jej córeczka miała uszy maleńkie jak muszelki. Kiedy akuszerki ją zobaczyły, krzyknęły ze strachu. Zawinęły dziewczynkę w płótno i zostawiły w kącie.

To był straszny dzień: śmierć matki i dziecka, narodziny wnuka cesarza, wcześniejsze, niż się spodziewano. Matkę Kai pochowano tego samego dnia co siostrzyczkę Aki, a księcia oddano jej matce do wykarmienia.

Wszyscy zapomnieli o drugim noworodku, ale on czepiał się życia, a kiedy matka Aki usłyszała kwilenie, oświadczyła, że chce zobaczyć dziewczynkę. Ogarnięta litością uparła się, że wychowa oboje malców.

Obawiano się, że mała może być głucha, ale ona słyszała całkiem dobrze, choć miała zwyczaj marszczenia się i intensywnego wpatrywania w usta ludzi, kiedy do niej mówili. Z tą swoją słodką pulchną buzią i delikatnymi członkami była ładniejsza od Aki. Kobiety z rodziny i ze służby często ubolewały, że Kai mogłaby liczyć na korzystne małżeństwo albo inny związek, może nawet z samym Yoshimorim, gdyby nie uszy.

Nikt nie wiedział, co dziewczynce przyniesie los, ale Yoshimori ją uwielbiał i upierał się, żeby spędzała z nim cały czas. Często tylko ona potrafiła go uspokoić i pocieszyć. Miała żywą wyobraźnię, wymyślała różne historie i gry, zabawiała go w życiu nudnym i męczącym dla dziecka. Chłopca nie wypuszczano na zewnątrz – najdalej na werandę – w obrębie pałacu wszędzie go noszono. Rzadko widywał swoich rodziców, w dodatku musiał uczyć się etykiety i wymyślnego języka dworu. Oczekiwano, że będzie brał udział w długich skomplikowanych rytuałach, które stanowiły część życia dworu cesarskiego, i choć nie miał jeszcze siedmiu lat, czasami Aki widziała na jego twarzy wyraz rezygnacji i zmęczenia, który budził w niej współczucie. Tylko z Kai Yoshimori zachowywał się jak zwyczajne dziecko. Ciągnął ją wszędzie ze sobą, sprzeczał się z nią, groził, że będzie krzyczeć, jeśli ją z nią rozdzieli. Jedli z tej samej miski i spali obok siebie.

Aki trochę знаła jego ojca, następcę tronu Momozono, choć nie pozwalano jej mówić, skąd. Jej własny ojciec zabrał ją kilka razy do Rinrakuji. Tam dziewczyna złożyła wstępne śluby i zaczęła poznawać swoje przyszłe obowiązki i niektóre rytuały Kannon. Ponadto uczono ją samoobrony, jazdy konnej i strzelania z łuku. Ojciec ćwiczył walkę na miecze i studiował sztukę wojenną u starego mnicha, który kiedyś był słynnym wojownikiem. Czasami zjawiał się tam w przebraniu księżę Momozono. Mnisi z Rinrakuji cieszyli się reputacją śmiałych i walecznych, a Aki wiedziała, choć nikt jej tego nie mówił, że Hidetake i księżę szykują się do wojny.

Cesarz, ojciec Momozono, nie domagał. Na następcę wyznaczył swojego najstarszego syna, ale księżę opat ze świątyni Ryusonji faworyzował drugiego syna władcy, Daigena, którego matką była siostra potężnego kapłana. Żywił niechęć do następcy tronu i korzystał z każdej okazji, by osłabić jego pozycję. Starał się również przekonać cesarza,

żeby go wydziedziczył. Aki wiedziała, że księżę Momozono szykuje się do walki o tron, ale że nie można tego ujawniać, bo gdyby wieść dotarła do uszu opata, wybuchłaby rebelia.

– Patrz! – zawołał Yoshi, wskazując na ogród. – Spójrz na tego dziwnego ptaka.

Aki zobaczyła wielkiego czarnego ptaka, tak niezdarnie lądującego na jednym z klonów, że na ziemię posypały się liście i drobne gałązki. Ptaszysko wydało dziwny okrzyk, jednocześnie frapujący i odpychający, i wbiło w Yoshimoriego spojrzenie złotych oczu. Wydawało się, że go rozpoznało, bo trzy razy skłoniło głowę w sposób jednocześnie drwiący i pełen szacunku.

Matkę Aki i służące ogarnęło przerażenie, bo uznały to za straszny omen, ale Kai wykrzyknęła:

– Dajmy mu coś do jedzenia.

– Tak, przynieście jedzenie! – rozkazał Yoshimori.

Jedna z pokojówek weszła do domu, blada i drżąca, i po chwili wróciła z miską ciastek ryżowych. Kai wzięła jedno i powoli ruszyła w stronę ogrodu. Yoshimori próbował iść za nią, ale powstrzymały go co najmniej trzy pary rąk.

Dziewczynka wyciągnęła otwartą dłoń z leżącym na niej ciastkiem ryżowym. Intruz zerknął w dół, ale nie sfrunął z gałęzi, więc Kai położyła smakołyk na ziemi i cofnęła się o kilka kroków. Ptak porwał w locie ciastko pazurami, przyjrzał mu się uważnie i połknął je w całości. Następnie podleciał do stawu i napił się wody. Potem wrócił na klon, wygładził pióra na piersi i znowu zaczął łytać stamtąd nieprzyjaźnie, od czasu do czasu wydając głośny krzyk.

– Nie lubię go – stwierdził Yoshi. – Wypędźcie go.

Kobiety zaczęły machać rękami i pokrzykiwać, ale ptaszysko nie dało się przepłoszyć.

– Idź po ojca – poleciła Aki matka. – Zaczyna mnie boleć głowa. Jakie straszne nieszczęścia wróży ten ptak?

Aki odszukała ojca i przekazała mu nowinę, a potem spytała:

– Mam przynieść łuk?

Mówiła o ceremonialnym łuku z katalpy, który dostała w świątyni razem z rytualną szkatułką. Trzymała w niej lalkę, czaszkę łasicy i koraliki modlitewne.

– Tak, a ja przyniosę swój – odparł ojciec, ale kiedy zobaczył ptaka, pośpiesznie, niemal chyłkiem, odłożył broń. Wszedł do ogrodu i spytał gniewnie: – Jak śmiesz tutaj przybywać? Leć i powiedz swojemu panu, żeby przestał mnie szpiegować!

Aki uniosła łuk i, tak jak ją uczono, trąciła cięciwę, żeby pobudzić zmysły i uwagę. Ptak skinął głową w jej stronę, wydał pogardliwy okrzyk i odfrunął na północ.

– Co to było, ojcze? – zapytała Aki, podążając za jego wzrokiem.

– Rodzaj magicznego jastrzębia. Księżę opat ma takich kilka na swoje rozkazy. Potrafią mówić, ale tylko on je rozumie. To złe ptaki! Nienawidzę ich!

– Powinieneś był go zestrzelić, ojcze.

– Nie chciałem pokazywać, że jestem uzbrojony i gotowy do użycia broni. Zresztą zabicie ich jest prawie niemożliwe. – I dodał cicho: – On mnie podejrzewa. Co zrobi teraz? Cieszę się, że wkrótce będziesz w Rinrakuji. Znajdziesz się poza jego zasięgiem, a to,

czego się nauczysz, może nam pomóc w naszej walce.

Aki zadrżała, jakby wyczuła mroczny cień nadciągający nad miasto od strony Ryusonji.

Tama

Jak większość dziewczynek mieszkających w tamtych czasach na prowincji, Tama nauczyła się jeździć konno i walczyć lancą. Kiedy osiągnęła stosowny wiek, matka podarowała jej sztylet, żeby mogła się bronić albo w razie konieczności odebrać sobie życie. Tylko raz dziewczynę kusilo, żeby go użyć, zdarzyło się to wtedy, gdy ona i posiadłość, którą odziedziczyła, zostały odebrane jej mężowi i przekazane jego starszemu bratu. Leżała w nocy bezsennie, wściekła w swojej bezsilności, i wyobrażała sobie, że wbija nóż w szyję śpiącego obok niej mężczyzny. Nigdy nie rozważała samobójstwa, bo gdyby je popełniła, straciłaby Matsutani, dom rodzinny, w którym dorastała i który kochała z całego serca.

Czekała, aż obudzi się w niej miłość do Kiyoyoriego. Widziała, że jest wspaniałym mężczyzną. Odważnym i inteligentnym, dobrym dla swojej córki i na swój sposób przystojnym, choć nie tak jak jego młodszy brat. Ale uczucie nie nadeszło. Miłością obdarzyła kiedyś Masachikę i jej serce nie chciało być niewierne, choć ciało było zmuszone. Nawet po tym, gdy urodził się ich syn Tsumaru, czuła wobec męża tylko obojętność. A teraz jeszcze się go bała. Od ataku Akuzenjiego i nielojalności Tachiyamy oraz jego żony stał się wobec niej bardzo podejrzliwy. Musiała ukrywać smutek z powodu śmierci przyjaciółki i gniew na męża. Była zdeterminowana nie dać mu pretekstu do zabicia jej.

Był świadom, że nie kocha Tsumaru tak mocno, jak inne matki kochają swoje dzieci, a Hina była wobec niej zawsze chłodna, ale Tama dbała o ich właściwe wychowanie. Szczyciła się tym, że dobrze wykonuje swoje obowiązki. Doglądała prowadzenia domu, szycia ubrań, dostaw jedzenia i węgla, pielęgnowania ogrodów, uprawy pól ryżowych i grządek warzywnych. Czerpała jak najwięcej z życia, które przypadło jej w udziale, starała się odpędzać wspomnienia Masachiki i nie była nieszczęśliwa aż do momentu, w którym czarownica zauroczyła Kiyoyoriego jednym spojrzeniem i teraz mieszkała w letnim pawilonie.

Tama nienawidziła tej kobiety za jej nadprzyrodzoną urodę i odmienność, za pewność siebie, za obojętność wobec wszystkich z wyjątkiem Kiyoyoriego, za sposób, w jaki przejęła rezydencję, tak jak pająki i lisy wprowadzają się do opuszczonych domostw. Czasami Tama wyjmowała sztylet i dotykała jego ostrego brzegu, wyobrażając sobie, że tnie nim tę piękną twarz na wstążki. Wyobrażała sobie, że podpala pawilon. Kazała

zgrupować drewno na zimę wzdłuż jego południowo-zachodniej ściany. Jej nienawiść obejmowała również starego uczonego. Aż do tej pory nie zwracała na niego uwagi, choć irytowała ją jego obecność w dobrze zarządzanym domu. Przybył bez pozwolenia czy zaproszenia. Denerwował pokojówki, nie pozwalając im sprzątać w pokoju, a Tamie nie podobały się jego bystre oczy i poczucie wyższości. Teraz jeszcze podejrzewała go o bliski związek z kobietą Kiyoyoriego. Wyczuwała, że ci dwoje, zajmujący się magią, są do siebie podobni. Jej niechęć obejmowała również Shikanoko, choć Hina i Tsumaru go podziwiali i chodzili za nim wszędzie, kiedy zajmował się końmi i wypełniał rozkazy pani Tory. Młodzieniec tolerował ich obecność i zachowywał wobec nich cierpliwość, ale Tama nie pochwałała tych kontaktów i zabraniała ich. Dzieci jednak były sprytnie, jeśli chodzi o znikanie, a Hina najwyraźniej czerpała przyjemność z nieposłuszeństwa.

Tama zaczęła obsesyjnie śledzić Shikanoko, chodziła za nim jak dzieci i złościła się w duchu, że chłopak tak pilnie służy uzurpatorce. Po tym, jak Kiyoyori darował mu życie i dał do wyboru konie Akuzenjiego, Shika wziął sobie białego ogiera i kasztanową klacz. Tama uważała, że dzięki wierzchowcom zyskał niezasłużony status i prawo do zasiadania przy stole razem z ludźmi Kiyoyoriego. Wiedziała, że kiedy jej mąż przebywa w letnim pawilonie, młodzieniec śpi na werandzie i zawsze wyczuwa jej obecność, gdy zazdrośnie krąży po ogrodach.

* * *

W dziesiątym miesiącu Kiyoyori postanowił pojechać do Miyako. Prawdopodobnie była to ostatnia szansa na taką wyprawę przed nadejściem śniegów. Oświadczył, że niepokoją go pogłoski o intrygach i niepokojach, więc sam chce je sprawdzić. Hina snuła się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną i miała koszmary. Kilka dni po wyjeździe Kiyoyoriego nadal utrzymywała się ładna i ciepła pogoda. Czując, że są to ostatnie przyjemne dni jesieni, Tama pozwoliła dzieciom bawić się na dworze. Kiedy nie wróciły na południowy posiłek, uznała, że jedzą go ze swoją dawną nianią. Haru miała dwoje dzieci w tym samym wieku, Chikę i Kazę, i cała czwórka często bawiła się razem. Tama była zajęta domowymi obowiązkami i rozmyślaniami, jaki spokój panuje w Matsutani, gdy podeszła do niej jedna z pokojówek i oznajmiła:

- Dzieci jeszcze nie wróciły, pani.
- Gdzie jest Shikanoko? Pewnie włóczę się za nim jak zwykle.
- Mężczyźni mówią, że wcześniej wyjechał gdzieś z końmi – odparła dziewczyna. – Nie zabrał dzieci.
- Muszą być u Haru. Idź po nie. Wkrótce się ściemni. Czas, żeby wróciły do domu.
- Byłam u Haru, pani – powiedziała dziewczyna nerwowo. – Nie ma ich tam. Rano wołały pod drzwiami, ale jej dzieci są chore, więc nie pozwoliła im wejść. Ona sądzi, że mogły pójść do Ciemnego Lasu. Jej mąż już ich szuka.

Tama poczuła pierwsze ukłucie niepokoju i natychmiast zaczęła obwiniać innych. Kiyoyori nie powinien zostawiać ich bez ochrony, nie powinien wpuszczać tej kobiety do

ich domu i, skoro już o tym mowa, również starego Sesshina. Działała tu jakaś magia. Shikanoko je wykradł. Zostały porwane przez lisy albo dzikich górskich ludzi do tajemnych rytuałów, zostaną poświęcane i zjedzone. Pobiegnęła w stronę domu Haru. Słyszała głosy mężczyzn, którzy nawoływali w lesie: „Tsumaru! Hina!”. Ale jedyną odpowiedzią był trzepot skrzydeł spłoszonych bażantów i pohukiwania sów, kiedy zapadł zmierzch.

Potem od drogi prowadzącej na zachód usłyszała krzyki weselsze i pełne ulgi.

Znaleźli je!

Wróciła biegiem do zachodniej bramy i zobaczyła grupę ludzi, którzy śpieszyli w jej stronę, niosąc... O, litościwe niebiosa, tylko nie ciało! I dlaczego jedno? Gdzie jest drugie?

To była Hina, bezwładna, bez życia. Tamie serce podeszło do gardła. Obawiała się najgorszego, ale dziewczynka poruszyła się, kiedy wzięła ją na ręce. Żyła. Została uderzona w skroń. Na jasnej delikatnej skórze już ciemniał siniak. Hina otworzyła oczy i pustym wzrokiem spojrzała na macochę. Źrenice miała rozszerzone. Wydawało się, że nie wie, gdzie jest.

– Hina! – krzyknęła Tama. – Co się stało? Gdzie Tsumaru?

Spojrzenie dziewczynki odzyskało blask.

– Matko, ludzie go zabrali – powiedziała z wahaniem. – Próbowałam ich powstrzymać. Jeden z nich mnie uderzył.

– Jacy ludzie? Jak wyglądali? Był z nimi Shikanoko?

– Nie! On by nas obronił. To nie był on. Och, bardzo mnie boli głowa!

U boku Tamy pojawił się Kongyo, mąż Haru.

– Pani, wolałbym, żeby to był mój syn.

– Dlaczego nikt ich nie pilnował? – zapytała z gniewem Tama. – Jak to możliwe, że jedno dziecko zostaje porwane, drugie zostawione na śmierć i nikt tego nie widzi?

– Często się chowają – powiedział Kongyo. – To żadne usprawiedliwienie, wiem, ale oni w ten sposób się bawią. Potrafią przejść przez całą posiadłość tak, że nikt ich nie zobaczy.

– To twoje dzieci je tego nauczyły! Trzeba je ukarać!

– Cokolwiek pani rozkaże.

– Jedź do stolicy! – poleciła Tama gniewnym tonem zabarwionym lękiem. – Trzeba powiedzieć panu Kiyoyoriemu.

– Jest prawie ciemno, pani Tamo.

– Weź pochodnie! Jedź przez całą noc! I pamiętaj, że twoje dzieci są teraz moimi zakładnikami.

Zaniosiła Hinę do domu i oddała pokojówkom. Służące położyły ją ostrożnie i zaczęły przykładac kompresy z octu na siniak. Dziewczynka zwymiotowała dwa razy jasnymi perłowymi włóknami, w niczym nieprzypominającymi jedzenia, które mogła zjeść w domu. Potem zapadła w głęboki sen.

Tama obsesyjnie wpatrywała się w czarne rzęsy drgające na tle delikatnej skóry, pod którą wolno pulsowały jasnoniebieskie żyły, słuchała nienaturalnie ciężkiego oddechu. Delikatnie potrząsnęła Hiną, ale dziewczynka się nie obudziła. W Tamie powoli narastało

przekonanie, że na jej pasierbicę rzucono czar.

– Gdzie jest Shikanoko?! – zawołała. Kiedy się dowiedziała, że nie wrócił, rozkazała: – Sprowadźcie do mnie starca.

Shikanoko

Shikanoko późnym popołudniem zabrał konie na przejażdżkę, jak często to robił, żeby uczyć Nyorina rozpoznawania jego głosu i słuchania poleceń. Właśnie wrócił i je karmił, a potem zamierzał pójść do pani Tamy, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niego jakichś poleceń przed nocą, kiedy zobaczył Sesshina w nocnym stroju prowadzonego do jej pokoiów. Nad Matsutani zawisła ciężka atmosfera. Stajenni szykowali wierzchowce i pochodnie. Shikanoko zobaczył, że Kongyo odjeżdża galopem razem z trzema ludźmi. Nyorin zarżał głośno, obserwując ich niespokojnym wzrokiem.

Z letniego pawilonu wyszła na werandę Tora. W blasku zachodzącego słońca Shikanoko dostrzegł wypukłość jej brzucha.

– Co się stało? – spytał.

– Syn pani Tamy zaginął. Chyba ktoś go porwał, żeby nagiąć jego ojca do swojej woli.

Shika przyjrzał się jej twarzy zaskoczony obojętnym tonem.

Tora wygładziła szatę na brzuchu.

– Ja dam mu więcej synów – powiedziała. – Lepiej idź za mistrzem Sesshinem i dopilnuj, żeby nie stała mu się krzywda.

Shikanoko udał się do rezydencji. W zamieszaniu nikt nie pomyślał o zamknięciu okiennic, tak że z miejsca, w którym stał, mógł wyraźnie widzieć i słyszeć, co się dzieje w środku.

Rozpoznał głos Tamy.

– Jesteś niezwykle mądry, mistrzu Sesshinie, mój mąż bardzo cię podziwia. Dlaczego odpłaciłeś mu w taki podły sposób?

– Pani, ja nie mam z tym nic wspólnego – zapewnił starzec. – Jeśli można mnie za coś winić, to za brak stosownej ochrony dzieci pana Kiyoyoriego, czego głęboko żałuję.

– To wystarczająca zbrodnia. Przyznajesz, że mogłeś je ochronić i tego nie zrobiłeś?

– Nawet ja nie potrafię przewidzieć wszystkich złych uczynków ludzi – odparł Sesshin.

– Proszę się nie bać. Chłopca z pewnością zabrano w jakimś celu. Dlatego nie grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo.

– Skąd wiesz? Jesteś zamieszany w porwanie! Shikanoko go zabrał, prawda?

– Ja po prostu wyciągam wnioski. Ani Shikanoko, ani ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Tama wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem zażądała gwałtownie:

– Uwolnij Hinę od czaru.

– Pozwól mi na nią spojrzeć, pani – poprosił starzec. Po zbadaniu dziewczynki stwierdził: – Ma wstrząs mózgu. To nie jest czar. Obudzi się rano całkiem zdrowa. Twoje służące, pani, dobrze postąpiły. Okłady z octu są najlepsze. Sądzę, że już posłano po pana Kiyoyoriego. Teraz nic więcej nie można zrobić. Powinniśmy się trochę przespać. Wybacz, pani, ale starzeję się i moje oczy szybko się męczą.

Shika usłyszał dziwną nutę w głosie Tamy, kiedy odpowiedziała:

– Męczą się? W takim razie cię wyleczę. Pokażę ci, jak to jest stracić światło swoich oczu. To, co najdroższe.

Odwróciła się do mężczyzn, którzy przyprowadzili Sesshina.

– Wyłupcie je.

Słudzy nie zrozumieli.

– Pani? – zapytał jeden.

– Wyłupcie mu oczy. – Tama wyciągnęła sztylet i przystawiła go do swojego gardła. – Róbcie, co mówię, albo odbiorę sobie życie. Kiedy pan Kiyoyori wróci, wszystko mu wyjaśnicie.

Shika chciał krzyknąć: „Nie słuchajcie jej! Niech się zabije. Oddacie przysługę swojemu panu”.

Ale oni byli sługami przyzwyczajonymi do wypełniania jej rozkazów bez pytania.

Poza tym, widząc ich twarze, Shikanoko zrozumiał, że nie ma wśród nich ani jednego, który wzdragałby się przed osłepieniem starca oskarżonego o czary.

Usłyszał krzyk, potem drugi. Nie zdołał się powstrzymać i pobiegł w stronę domu. Mężczyźni zepchnęli zakrwawionego Sesshina z werandy i rzucili za nim bezużyteczne gałki oczne. Pani Tama obserwowała przez chwilę, jak starzec ich szuka, grzebiąc w ziemi. Kiedy zobaczyła zbliżającego się Shikanoko, wykrzyknęła:

– Zabierz go! I niech was więcej nie oglądam!

– Moje księgi, moje księgi! – zawodził Sesshin. – Już nigdy ich nie przeczytam!

Shika ukląkł przy starcu. Jego serce łomotało. Miał wrażenie, że zaraz wyskoczy mu z piersi. Ogarnęły go litość i przerażenie.

– Ja będę ci czytał. Powiedz mi, co mam przynieść. – Obietnica zabrzmiała bezużytecznie i pusto w jego własnych uszach. – To ja, Shikanoko.

– Niczego nie weźmiesz – odezwała się Tama. – Spalę wszystko. Idź precz, zanim ciebie też dorzucę do ognia!

Sesshin wyciągnął rękę i po omacku chwycił go za ramię.

– Shikanoko – wyszeptał. – Poszukaj moich oczu i weź je. Przynieś koc albo kurtkę, bo noc będzie zimna.

Z sercem ściśniętym z żalu Shika podniósł oczy z kurzu. Nikt do niego nie podszedł i nie zaproponował mu pomocy. Wszyscy się cofali i odwracali twarze. Tylko pokojówka, która często usługiwała mędrcom, przyniosła miskę ciepłej wody i czyste płótno. Shikanoko obmył mu twarz i oderwał kawałek tkaniny, żeby zrobić bandaż. Czuł, że Sesshin drży z szoku i bólu. Kiedy następnie płukał gałki oczne, po twarzy ciekły mu łzy, a dziewczyna

otwarcie płakała.

– Połóż ja na zachodniej bramie, żeby nadal czuwały nad tym miejscem, kiedy my stąd odejdziemy – poprosił Sesshin.

Shikanoko martwił się teraz nie tylko o starca, ale również o panią Torę, której kazał mu strzec pan Kiyoyori. Zostawił na chwilę Sesshina z dziewczyną mimo jej protestów, a sam pobiegł do letniego pawilonu.

Odwiązał konie, ale nie udało mu się podejść bliżej. Budynek był otoczony przez strażników. Kilku przykładało pochodnie do stosu drewna opałowego.

– Gdzie jest pani Tora? – zapytał jednego z nich.

– W środku, mam nadzieję.

– Pan Kiyoyori każe was za to ściąć – rzucił Shikanoko z wściekłością.

– A ja zetnę ciebie, bandyto, jeśli zaraz się stąd nie wyniesiesz.

Okna i drzwi pawilonu były zamknięte. W środku nic się nie poruszało.

Ona ucieknie, pomyślał Shika. Nie pozwoliłaby zapędzić się w pułapkę, zwłaszcza gdy nosi dziecko pana. Ale gdzie jest teraz?

Mógł stanąć do walki – jeśli była w środku – albo uciec z Sesshinem. Szybko powziął decyzję i natychmiast jej pożałował, ale już się z niej nie wycofał. Pośpiesznie osiodłał konie i zebrał swoje rzeczy: miecz, łuk, worek z maską. W połowie drogi natknął się na służącą.

– Pośpiesz się – powiedziała dziewczyna. – Mówią o tym, żeby cię zabić.

Shikanoko wsadził Sesshina na grzbiet Risu i przywiązał go, żeby nie spadł, a następnie poprowadził oba konie do zachodniej bramy. Klacz była płochliwa. Nie chciała wyjść w ciemność, ale duży ogier zachował spokój, więc poszła za nim.

Wokół kręciło się dużo ludzi, taszcząc naręcza książek, pudła, butelki, mapy i wykresy z pokoju Sesshina. Zanosili je do letniego pawilonu i dorzucali do płonącego stosu drewna. Nikt nie patrzył na dwóch jeźdźców zbliżających się do bramy.

Shika stanął na grzbiecie Nyorina i znalazł niszę pod poprzeczną belką rzeźbioną w smoki i kwiaty. Wsunął do niej dwie gałki oczne.

Sesshin, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, teraz powiedział:

– Bądźcie grzeczne. Zostawiam swoje oczy, żeby was obserwowały, więc nic wam nie ujdzie na sucho.

– Do kogo mówisz?

– Kiedy przybyłem do Matsutani, umieściłem w bramie duchy opiekuńcze. Mają na imię Migi i Hidari. Są całkiem skuteczne, tylko trzeba bardzo ich pilnować.

Shika zadrżał, siadając z powrotem na konia i ujmując wodze. Było już prawie całkiem ciemno.

– Dokąd pojedziemy? – zadał sobie na głos pytanie.

Kiedy robi się jasno, znajdzie coś do jedzenia, ale będzie również musiał poszukać wody. Nie mogli jechać przez całą noc, bo księżyc w nowiu dawał za mało światła. Shikanoko pomyślał o leśnych sadzawkach, do których o świcie przychodziły jelenie i inne zwierzęta, żeby się napić. Postanowił, że pojedą wzdłuż strumienia płynącego

z północnego wschodu do jednego z jezior w Ciemnym Lesie.

Okrążyli rezydencję, jadąc wzdłuż muru. Drogę oświetlały im płomienie trawiące letni pawilon.

Kiedy wjechali do Ciemnego Lasu, Sesshin powiedział:

– Powinniśmy być wdzięczni księciu opatowi.

– Wdzięczni? Ty straciłeś wzrok i wszystko, co posiadałeś, pani Tora zniknęła, a my jesteśmy zbiegami!

– Ale teraz znamy prawdziwą naturę istnienia – stwierdził uczonec. – I to jest nieoceniony dar.

Kiyoyori

Kiedy Kiyoyori przybył do stolicy, najpierw udał się do pałacu Kakizukich, żeby złożyć uszanowanie głowie rodu. Pokłonił się panu Keicie z pewnej odległości i został zaszczycony łaskawym powitaniem, a następnie wezwano go do mieszkania jednego ze starszych doradców, Hosokawy no Masafusy, kuzyna ojca Kiyoyoriego.

Podobnie jak wszyscy Kakizuki, Masafusa żył w wielkim luksusie. Nosił szaty z brokatu i adamaszku, niegdyś zarezerwowanego dla członków rodu cesarskiego, podawał wykwintne jedzenie na złotych i porcelanowych naczyniach, zapewniał pod dostatkiem wina, muzyki i artystów.

Masafusa przekazał mu najnowsze plotki w swój cięty, ale dowcipny sposób, jednak Kiyoyori czuł, że gospodarz ma w zanadrzu coś ważniejszego. Pod koniec posiłku jego przypuszczenia okazały się słuszne.

Masafusa ściszył głos i powiedział:

– Twój brat wysunął roszczenia do Matsutani przed trybunałem w Minatogurze.

– Jakim trybunałem? – zdziwił się Kiyoyori.

– Ustanowionym przez Miboshich, żeby zajmował się sporami o ziemię w sposób zorganizowany i zgodny z prawem. Musisz wiedzieć, że Aritomo Miboshi ma wielkie zamiłowanie do administracji i praworządności.

– Może sobie mieć zamiłowania, jakie chce, ale to nie daje jemu ani jego trybunałowi władzy nad Matsutani – oburzył się Kiyoyori.

– Nie sądzę, żeby był powód do niepokoju, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć.

– Nawet jeśli trybunał wyda orzeczenie na korzyść mojego brata, w co trudno mi uwierzyć, Masachika będzie musiał sięgnąć po broń, żeby przejąć majątek. Jestem w stanie obronić obie moje posiadłości. I sądzę, że mogę oczekiwać pomocy ze stolicy. Ostatecznie Matsutani leży między Miyako i Minatogurą. Jeśli wpadnie w ręce sojuszników Miboshich, stolica będzie wystawiona na atak.

Masafusa pokiwał głową.

– Oczywiście jesteśmy tego świadomi.

Kiyoyori dumiał przez chwilę, a potem zapytał:

– Dlaczego właśnie teraz dowiaduję się o roszczeniach? Miboshi są tacy pewni, że mogą dzielić ziemię znajdujące się obecnie pod władzą Kakizukich? Coś knują?

– Cesarz nie czuje się dobrze – wyszeptał Masafusa. – Będzie walka o sukcesję.

– Ale najlepszym kandydatem i w dodatku prawowitym następcą tronu jest książę koronny.

– Istotnie. Od lat nie było przyszłego cesarza o takich talentach i inteligencji. A jego żona pochodzi z Kakizukich. To najstarsza córka pana Keity. Ale pewne osoby... nie chcę tu wymieniać żadnych nazwisk, faworyzują jego młodszego brata.

Pewne osoby, które mieszkają w Ryusonji, pomyślał Kiyoyori.

– Czeka nas wojna – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Powinniśmy być przygotowani na wszystko – odparł Masafusa. – Nasz pan wie o twojej lojalności i oddaniu.

Nie podjął jednak żadnych zobowiązań ani nie zaproponował wsparcia w postaci uzbrojonych wojowników i koni.

Kiyoyori wrócił do domu, który miał w mieście, pod Rokujo, rozgniewany i poruszony niedawną rozmową. Miboshi szykowali się do rzucenia wyzwania Kakizukim w samej stolicy. Byli tak pewni sukcesu, że już dzielili ziemie w sądach. A ich najpotężniejszy sojusznik, książę opat, zainteresował się Matsutani.

Kiyoyori czuł, że powinien bezzwłocznie tam wrócić, ale był również potrzebny w stolicy. Rozzłościł go Keita i wyraźny brak troski ze strony Masafusy. Czyżby Miboshi i książę opat naprawdę ośmielili się zaatakować księcia Momozono? I czy Kazuki zechcą i zdołają go obronić?

Choć wysłał przodem część swoich ludzi, dom wydawał się niezamieszkały i bardzo zimny. Na sługach często nie można było polegać, ale nie mógł uwierzyć, że zarządca go zawiódł. Pamiętał, jak dawno temu Taro przybył do nich z małej wioski Iidy. Dostrzegł w jego śmiałych oczach i przebiegłej twarzy coś, co do niego przemówiło. Okazało się, że miał rację. Taro potrafił dobrze czytać i pisać, miał w mieście liczne koneksje i często był źródłem informacji, których Kiyoyori nie zdobyłby od nikogo innego. Już zamierzał go zawołać, kiedy mężczyzna rozsunął wewnętrzne drzwi i oznajmił:

– Panie Kiyoyori, przybył posłaniec z Ryusonji. Książę opat pana wzywa.

– Teraz? O tej porze? Czego chce?

– Nie zdołałem się dowiedzieć – odparł Taro szeptem, wskazując na mnicha ukrytego w mroku. – Ale ktoś musiał zauważyć pana przybycie do miasta i uznał, że należy donieść o tym księciu opatowi.

– Chyba muszę jechać – stwierdził Kiyoyori. – Ale jeśli nie wrócę, powiadom moją żonę, co się ze mną stało.

Tama odzyska Masachikę, pomyślał z bólem. A co się stanie z moimi dziećmi? I z panią Torą?

Myśl, że nigdy więcej nie zobaczy Tory, była nie do zniesienia, ale nie mógł wysłać jej wieści przez Taro. Z pewnością o nim myśli, tak jak on bezustannie myślał o niej. Żadne z nich nie umrze tak, żeby drugie o tym nie wiedziało.

Wierzchowce szły, stawiając przesadnie ostrożne kroki, płochliwie, z nastawionymi uszami. Noc była zimna, na wschodnim horyzoncie srebrzył się cienki sierp księżycy w nowiu. Kiyoyori czuł w powietrzu mróz, zmieniający oddechy ludzi i koni w obłoczki

pary. Gwiazdy lśniły, złote punkciki na ciemnej kurtynie nieba.

Ryusonji wzniesiono nad rzeką, w miejscu, gdzie smocze dziecko spadło na ziemię. Jego duch żył w jeziorze znajdującym się w ogrodach. Ludzie wierzyli, że tylko najwięksi czarownicy potrafią go wezwać i wykorzystać jego moc. Jednym z nich był książę opat, szwagier cesarza, łączący w swojej osobie prestiż cesarskiego rodu z bogactwem i wpływami sekty, do której należała świątynia.

Zostawiwszy konie przy zewnętrznej bramie, ruszyli przez ogrody i dziedzińce oświetlone przez lampy olejne umieszczone na stojakach. Na werandzie czekali w ciszy strażnicy i słudzy. Jeden wystąpił do przodu i dał znak ludziom Kiyoyoriego, żeby się zatrzymali, a on sam został poprowadzony dalej. Dopuszczał do siebie myśl, że zostanie pojmany, przesłuchany i ścięty, co zwykle przytrafiało się osobom wzywanych do Ryusonji w środku nocy. Nie miał pojęcia, co zrobił, ale najwyraźniej w jakiś sposób zwrócił na siebie uwagę księcia opata. Najpierw został wysłany jastrząb, a teraz jego tutaj ściągnięto.

Jednakże traktowano go z kurtuazją. Zaprowadzono do pokoju recepcyjnego, w którym na małym podwyższeniu wyłożonym świeżą, słodko pachnącą słomą i udekorowanym fioletowymi i białymi poduszkami z jedwabiu siedział książę opat. Na ścianach wisiały zwoje ze świętymi tekstami i obrazy bóstw opiekuńczych, głównie smoków. W niszy stał posąg Oświeconego, a po jego bokach wazony z chryzantemami. W świetle lamp lśniły złocenia i kamienie szlachetne.

Kiyoyori złożył ukłon do ziemi i czekał, aż kapłan przemówi.

Kiedy książę opat pozwolił Kiyoyoriemu usiąść, mówił głosem wysokim, ale odmierzonym, językiem dworu, wyraźnie wymawiając każdą sylabę. Twarz miał pociągłą, cerę bladą. Ogolona głowa była nakryta kapłańską czapką, bogato haftowaną, podobnie jak szata. Podziękował Kiyoyoriemu za przybycie, skomentował temperaturę (która gwałtownie spadała, a w pomieszczeniu brakowało ogrzewania), po czym umilkł, przyglądając się twarzy młodszego mężczyzny.

W końcu przerwał ciszę:

– Cóż, panie Kiyoyori z Kuromori, powiedz mi, co tam knujesz w swoim Ciemnym Lesie?

– Panie?

– Mieszasz się w sprawy, których nie rozumiesz. Chcę wiedzieć, kto cię wiedzie na manowce. – Jego głos nadal był spokojny i uprzejmy, ale brzmiała w nim groźna nuta.

– Nie jestem pewien, o czym Wasza Eminencja mówi. Moja posiadłość jest mała i niewiele znacząca, ale w niej to ja jestem panem. Jeśli schodzę na manowce, robię to sam. Nikt mnie tam nie prowadzi.

– Ja wiem coś innego – odparował książę opat. – Będę z tobą szczery. Jestem doświadczony w tych sprawach. Widzę, co się dzieje we wszystkich światach. Mam posłańców, którzy latają po całym królestwie i przynoszą mi wieści. Nie tak dawno wysłałem jednego do Matsutani. Dowiedziałem się o potężnych siłach, które mogą się zjednoczyć w sposób wróżący nieszczęście dla królestwa naszego cesarza. Posłaniec nie

wrócił, ale mniej więcej w czasie, kiedy powinien dotrzeć do twojej posiadłości, nocą do mojego pokoju przyszedł jelen i patrzył mi w oczy. Zniknął, zanim zdążył powiedzieć, kto go przysłał, ale sądzę, że to był ktoś z twojego domu. Modliłem się i rozmyślałem o tych wydarzeniach. I doszedłem do wniosku, że masz u siebie – prawdopodobnie nawet tego nie zauważyłeś, bo wy wszyscy, którzy szcycicie się swoją niezależnością, wydajecie się mało spostrzegawczy – istotę albo istoty, może nie całkiem ludzkie, które praktykują złą magię.

Kiyoyori zadrżał mimo woli, kiedy przypomniał sobie strasznego jastrzębia i wydarzenia, które nastąpiły po jego śmierci. Uświadomił sobie, że wszystko, co czuł i myślał, jest kapłanowi dobrze znane.

Nie wolno mi myśleć o Torze.

Ale natychmiast zawładnęły nim namiętność i tęsknota. Zrozumiał, że nie udało mu się zamaskować tych uczuć, kiedy zobaczył pogardliwy uśmiech księcia opata.

– Kupili cię cielesnymi przyjemnościami? Można by sądzić, że cena pana Kuromori będzie wyższa. – Pochylił się. – Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie, ale możesz się uratować. Najpierw trzeba schwytać te istoty i przekazać je mnie. Moi ludzie będą ci towarzyszyć w drodze do domu. Potem musisz pojednać się z bratem. Jego roszczenie wobec Matsutani ma bardzo mocne podstawy i Miboshi je uznają. Decyzja twojego ojca była arbitralna i głupia. Nikt cię za nią nie wini, ale powinieneś wrócić do posiadłości i do żony. Proponuję, żebyś wycofał się ze świata, ogolił głowę i odpokutował wszystkie błędy twojego ojca i swoje własne.

Takie kiedyś miałem pragnienie, ale teraz już nie, pomyślał Kiyoyori. Nic jednak nie powiedział, starając się ocenić, jak najlepiej zareagować na tę oburzającą radę, której nie miał zamiaru posłuchać.

Książę opat mylnie wziął jego milczenie za zgodę i po chwili mówił dalej:

– Kakizuki byli wszechpotężni w stolicy przez wiele lat, ale ich wpływy słabną. Arogancja i brak sprawiedliwości obróciły się przeciwko nim. Wojownicy zalewają stolicę w poszukiwaniu rekompensaty za swoją służbę, ale Kakizuki wydają wszystkie pieniądze na swoje ostentacyjne przyjemności. Miboshi rządzą zgodnie z prawem i nagradzają tych, którzy im uczciwie służą. Chcę, żeby mój siostrzeniec został następnym cesarzem, a to może stać się wcześniej, niż sądziłem, co oczywiście jest bardzo smutne. Daję ci szansę na znalezienie się po zwycięskiej stronie. Skorzystaj z niej dla dobra swoich dzieci, jeśli nie ze względu na siebie.

– Jestem zdumiony, że Wasza Eminencja troszczy się o moje dobro – mruknął Kiyoyori.

Gdzieś niedaleko zapłakało dziecko. Płakało już od jakiegoś czasu, ale Kiyoyori wcześniej tego nie zarejestrował, po części dlatego, że ten dźwięk był taki nieoczekiwany. Teraz jego krew zmieniła się w lód. Wydawało mu się, że rozpoznaje głos syna. Niedowierzenie i oszołomienie wstrząsnęły nim fizycznie. Uniósł się lekko i spojrzał w stronę wnętrza świątyni.

– Nie trwóż się. Nie zrobimy mu krzywdy, jeśli mnie posłuchasz. – Książę opat uderzył w brązową misę stojącą obok niego, a kiedy pojawił się mnich, rozkazał: – Przyrowadź dziecko. Siadaj, Kiyoyori.

Tsumaru miał na sobie wierzchni strój. Musieli go porwać, kiedy bawił się na dworze... ale jak to możliwe? Dlaczego dzieci zostawiono same? Czy ktoś z domowników był w zamieszany w uprowadzenie?

– Ojcze! – wykrzyknął Tsumaru, próbując się wyrwać krzepkiemu mnichowi, który trzymał go na rękach, jednakże mężczyzna przycisnął go do siebie mocniej. Malec starał się powstrzymać szloch, ale po policzkach ciekły mu łzy.

– To piękny chłopiec – stwierdził książę opat, gestem przywołując go bliżej. – Jaka smukła szyja! Wyobrażasz sobie, z jaką łatwością przeciąłby ją miecz? Jeśli przeżyje, uczynię z niego mojego akolitę i go wyedukuję.

Jeśli ustąpię bratu, to będzie dla Tsumaru jedyna przyszłość, pomyślał z rozpaczą Kiyoyori. Jeśli stawię opór i zostanę pokonany, on umrze przede mną. Na razie muszę się zgodzić, żeby zyskać czas. Kiedy wrócę do domu, poradzę się Sesshina. On mi powie, co robić.

– To bardzo łaskawe ze strony Waszej Eminencji, że interesuje się takim bezwartościowym dzieckiem – powiedział, a fałszywe słowa paliły mu język. – Jeśli dostanę słowo, że nie stanie mu się krzywda pod waszą opieką, zrobię wszystko, czego zażadasz, panie. Wrócę natychmiast do Matsutani.

– Proponuję, żebyś wyruszył jeszcze dzisiaj w nocy, przed świtem – rzekł książę opat. – Nie chcę, żeby twój wyjazd wywołał niepokojące plotki.

Innymi słowy, nie należy alarmować Kakizukich. Oni nie mogą podejrzewać, że Miboshi dostaną otwartą drogę do stolicy.

– Ojcze, nie jedź! – Tsumaru zaszlochał, a potem wykrzyknął: – Hina! Gdzie jest Hina? Mnich postawił go na ziemi, a chłopiec podbiegł do ojca i ukrył twarz w jego boku.

– Mogę zapytać, gdzie jest moja córka? – odezwał się Kiyoyori.

– Sądzę, że w domu – odparł książę opat. – Pewnie dochodzi do siebie.

Kiyoyori poczuł, że rośnie w nim furia. Chwycił Tsumaru za ramiona i spojrzał mu w oczy.

– Nie bój się. Bądź dzielny. Wkrótce ty też będziesz z powrotem w domu.

Tsumaru wziął głęboki oddech i pokiwał głową.

Kiyoyori musnął włosy syna, uklonił się księciu opatowi i podążył za mnichem do zewnętrznej bramy, gdzie z niepokojem czekali Tsuneto i Sadaike. Dołączyło do nich jeszcze kilku mnichów. Jeden z nich niósł klatkę z dwoma jastrzębiami.

– Wracamy do Matsutani – oznajmił Kiyoyori swoim ludziom, kiedy spojrzeli na niego pytająco.

Po przybyciu do rezydencji w mieście kazał Tsuneto zebrać resztę wojowników i koni, a sam wszedł do środka. Krępy mnich, który wcześniej trzymał Tsumaru, podążył za nim, a potem stał i obserwował go bezczelnie.

Zarządca Taro czekał w pokoju. W mrocznym świetle Kiyoyori dostrzegł na jego twarzy coś jeszcze poza oczywistą ulgą.

– Zaraz wyjeżdżam – powiedział. – Spakuj moje rzeczy. Nie jestem pewien, kiedy wrócę do stolicy.

– Mam przygotować jedzenie?

– Daj nam coś na drogę, teraz nie mamy czasu jeść.

Taro uklonił się, zerknął na mnicha i spytał:

– Może pan Kiyoyori chce się umyć albo skorzystać z toalety przed wyjazdem?

– Dobry pomysł.

– Przyniosę wodę i lampę.

Mnich odprowadził go podejrzliwym wzrokiem, jakby gospodarz mógł się wdrapać na ogrodowy mur i uciec, ale nie poszedł za nim, tak że Kiyoyori przez chwilę stał sam w ciemności. Wkrótce zjawił się Taro z lampą i dzbankiem, postawił je na półce i pomógł swojemu panu zdjąć szatę.

– Mogę zabrać twojego syna – wyszeptał głosem cichszym od bzyczenia komara:

– Skąd wiesz? – zapytał równie cicho Kiyoyori.

– Ktoś przyszedł tuż po pana wyjeździe i mi powiedział. Pracuje w ogrodach i widział, jak przywieźli dziecko. Domyślił się, że to pański syn, kiedy wezwano cię, panie, do Ryusonji. On może mi pokazać, jak się dostać do świątyni. Mógłbym uratować chłopca.

– Będą go obserwowali dzień i noc. I zabiją, jeśli twoja próba się nie powiedzie.

– I tak go zabiją. Ciebie, panie, również, jak tylko dostaną to, czego chcą. Proszę mi zaufać.

– Stracisz życie, jeśli on umrze.

– Możesz je zabrać, panie. Oddam je dobrowolnie. Już to zrobiłem przed laty, kiedy przyjął mnie pan na służbę.

W ciszy rozbrzmiał głos mnicha, bliżej, niż Kiyoyori się spodziewał.

– Panie Kiyoyori, musimy ruszać.

Nie było czasu na dalsze dyskusje i rozważania. Taro nalał wody na ręce swojego pana i podał mu mały ręcznik do ich osuszenia. Więcej się nie odezwał. Kiyoyori odszedł z wrażeniem, że nie odbyła się żadna rozmowa. Ostatnim obrazem, jaki został mu w pamięci, był zarządca stojący na werandzie z lampą w dłoni. Drugą rękę Taro trzymał uniesioną w geście pożegnania. Kiedy ruszali w ciemność, zaczynały pisać pierwsze koguty.

Znajdowali się w połowie drogi, kiedy spotkali Kongyo. Kiyoyori szorstko zbył przeprosiny skruszonego sługi.

– Widziałem mojego syna. Żyje. Mamy mało czasu. – Nie mógł powiedzieć nic więcej, bo po obu jego stronach jechali mnisi księcia opata.

Kiedy pokonali ostatnią przełęcz, zobaczyli dym unoszący się nad doliną. Kiyoyori popędził konia i galopem dotarł do zachodniej bramy. Nie zauważył oczu leżących w niszy, choć one go zobaczyły. Ujrzały mnichów jadących razem z nim, zauważyły, że pan Kiyoyori ściągnął wodze na widok zwęglonych belek i poczerniałego od sadzy brzegu jeziora.

Jego żona wyszła na główną werandę z Hiną u boku. Dziewczynka była blada, a na policzku nadal miała siniak. Kiyoyori zeskoczył z konia i ukląkł przed córką. Delikatnie dotknął jej twarzy i spojrzął w oczy.

– Przykro mi, ojczy – powiedziała Hina. – Zabrali Tsumaru, a ja nie mogłam ich

powstrzymać.

– Tsumaru jest bezpieczny – uspokoił ją Kiyoyori. – Jest w Ryusonji. – Na razie musiał się zachowywać, jakby to była prawda, przynajmniej póki nie pozbędzie się mnichów albo póki nie dostanie wieści od Iidy no Taro. – Byłaś dzielna, jestem z ciebie dumny.

Wstał i spojrział na żonę, czując, że jeśli się odezwie, nie zdoła pohamować wściekłości i rozpacz. Napotkał jej wzrok i dostrzegł w nim mieszaninę trzech emocji: triumfu, wyrzutów sumienia i żalu.

Zapanował nad sobą i spytał:

– Co zrobiłaś?

– Podziękujesz mi. Usunęłam siedlisko czarnej magii z mojego... z naszego domu.

– Może ci podziękuję, ale księżę opat z Ryusonji z pewnością nie. Przysłał tych mnichów, żeby zabrali uczonego i panią Torę z powrotem do stolicy w zamian za życie naszego syna.

Tama zrobiła krok do tyłu, zerkając na przybyszów i wracając spojrzeniem do męża. Kiyoyori zobaczył w jej oczach przerażenie, kiedy zrozumiała znaczenie jego słów.

Odwrócił się do mnicha, który miał na imię Gessho.

– Nie ma tutaj tych, których szukacie.

– A gdzie są? – zapytał mnich.

– Chłopak zabrał starca do Kuromori – odparła Tama. – Kobieta chyba zginęła w ogniu.

– Gdy dotrą do Ciemnego Lasu, znajdą się poza naszym zasięgiem, a jeśli chodzi o kobietę, pokaż nam jej kości – zażądał Kiyoyori spokojnym głosem. Tora z pewnością nie zginęła. Wiedziałyby, gdyby nie żyła.

– Nie ma żadnych śladów. Pożar był zbyt gwałtowny. – Tama uniosła podbródek, a jej oczy jarzyły się wyzywająco.

Ona nie zginęła, pomyślał Kiyoyori.

Gdy nie odpowiedział, Tama stwierdziła:

– Musicie wszyscy być zmęczeni. Robi się zimno. Wejdźcie do środka, a ja przygotuję jedzenie.

Rzeczywiście krótki zimowy dzień już się kończył.

– Musimy przeszukać dom i teren, zanim się ściemni – oświadczył Gessho.

Kiyoyori zwalczył chęć, żeby na miejscu ściąć mnichów, odesłać ich głowy do Ryusonji i ponieść konsekwencje: śmierć Tsumaru i atak na Matsutani ze wschodu i z zachodu. Groziło mu, że żalność całkiem nim zawładnie... ale ona na pewno uciekła. Znowu ją zobaczy. Tęsknił za Torą, potrzebował jej.

Nie znaleziono żadnego śladu pani Tory ani Sesshina. Jego żona dobrze się sprawiła. Pokój starca opróżniono, książki, wywary, butelki, kości, proszki i wszystko inne spalono. Gessho nie ukrywał irytacji, ale w trakcie swoich poszukiwań znalazł oczy.

Wezwał Kiyoyoriego i razem gapili się na lśniące gałki, które nadal się poruszały i widziały. Podczas gdy mnisi, nie mając odwagi ich dotknąć, odmawiali modlitwy i śpiewali sutry, Kiyoyori poszedł prosto do pokojów Tamy.

– Co jeszcze zrobiłaś? – zapytał. – Czyje to są oczy?

– Czarownik rzucił zaklęcie na Hinę – odparła Tama bez emocji. – Musiał zostać ukarany.

– To nie było zaklęcie – odezwała się Hina takim tonem, jakby powtarzała to już kilka razy. – Ktoś mnie uderzył.

– Czy on nie żyje? – Kiyoyori zwrócił się do żony. – Mistrz Sesshin?

– Żyje. Powiedziałam prawdę. Oszczędziłam go i oddałam pod opiekę tego młodego bandyty.

– On ma na imię Shikanoko – wtrąciła się Hina.

– Wypędziłam ich obu. – Tama spokojnie popatrzyła na męża. – Nigdy nie oddałbyś ich księciu opatowi, prawda? Nawet w zamian za życie syna?

– Próbowałem zyskać czas – rzekł Kiyoyori. – Nie można mnie do niczego zmusić, ale póki książę opat sądzi, że tak, zachowa Tsumaru przy życiu. I teraz przez ciebie nie mam mu nic do zaoferowania.

– I mnie obwiniasz?! – krzyknęła żona. – Niczemu nie jestem winna! Spójrz na swoje postęпки!

Nigdy wcześniej nie podniosła na niego głosu, a jej oskarżenia rozpały w nim gniew. Kiyoyori postawił strażników pod drzwiami Tamy i zabrał Hinę do swoich komnat. Leżąc bezsennie, bił się z myślami, podczas gdy córka krzyczała przez sen. Chętnie zabiłby żonę własnymi rękami. Kazałby ją ściąć albo zmusić, żeby ogoliła głowę i została mniszka.

Mnisi śpiewali przez całą noc, trzymając straż przy zachodniej bramie. Następnego ranka, pochmurnego, zimnego i pachnącego śniegiem, Gessho wypuścił jastrzębie. Ptaki z krzykiem zatoczyły koło nad dachami i odleciały w stronę Ciemnego Lasu.

– Podążę za nimi – oznajmił Gessho. – Czekanie tutaj nic nie da. Pozostali wrócą do Ryusonji i opowiedzą naszemu panu, co się wydarzyło. W swoim czasie dostaniesz od niego wieści. Tymczasem radzę ci, żebyś nie robił nic, żeby wzbudzić jego niezadowolenie.

– Jeśli znajdziesz Sesshina i Shikanoko, oddacie mi syna? – zapytał Kiyoyori.

– Nie mogę mówić za swojego pana – odparł mnich.

– Pojadę z tobą i pomogę ich znaleźć.

Gessho odrzucił jego propozycję.

– Jak powiedziałem, nic nie rób.

Ale to właśnie było najtrudniejsze: czekać dzień po dniu na wieści, które mogły nigdy nie nadejść. W jednej chwili Kiyoyori myślał, że powinien natychmiast jechać do stolicy, w następnej, że musi udać się w przeciwnym kierunku, do Minatogury, żeby przedstawić swoją sprawę słynnemu trybunałowi pana Aritomo Miboshiego. Myśl, że własny brat kopie pod nim dołki, sprawiła, że jego uczucia wobec Tamy jeszcze bardziej ochłodziły. Nie starał się jej pocieszyć ani prosić o radę. Z powodu bezsenności stawał się irracjonalny, ludzie zaczęli bać się wybuchów jego gniewu i kwestionować rozsądek.

Kiyoyori kazał zamknąć żonę w innym pawilonie, do którego można było się dostać jedynie łodzią.

– Możesz wziąć ze sobą parę przedmiotów kultu – powiedział. – I spędzać czas na pokucie.

Służące spakowały dwa złote posążki, jedwabie i igły do haftowania. Codziennie któraś z nich wiosłowała przez jezioro, żeby zawieźć swojej pani jedzenie i dotrzymać jej towarzystwa, ale nocą żona Kiyoyoriego zostawała sama.

Shikanoko

Shikanoko i Sesshin zatrzymali się na kilka godzin przy strumieniu przytuleni do siebie dla odrobiny ciepła. O świcie szron pokrył koc, którym się dzielili, i końskie grzywy. Nie mieli nic do jedzenia, a woda w potoku była tak zimna, że rozbolały ich zęby.

– Cierpisz? – zapytał Shika, kiedy obmywał starcowi twarz, przyniósłszy wodę w butelce, którą służąca wcisnęła im w ręce, gdy odjeżdżali.

– Ból to przemijające doznanie.

– Przypuszczam, że głód również, ale nie wiem, czy minie – mruknął Shika.

– Nauczę cię, jak pokonywać zarówno głód, jak i ból – obiecał Sesshin, ale głos miał słaby.

Konie ogołociły ziemię z trawy i teraz gryzły korę drzewa. Shika osiodłał je i pomógł Sesshinowi wsiąść na grzbiet Risu. Jechał z łukiem gotowym do strzału, ale nic nie poruszało się w lesie, żaden ptak, żaden królik, nawet wiewiórka. Cedry ustąpiły miejsca starym bukom i dębom. Pod bukami leżały twarde czerwone strąki. Shika zsiadł z konia, zebrał ich garść i rozgryzł, ale pestki okazały się małe i niezbyt pożywne.

– Nie znasz jakiejś magii, która by nam powiedziała, dokąd jechać albo gdzie można znaleźć coś do jedzenia?

– Mój chłopcze, spotkało mnie nieszczęście. Muszę wyciągnąć z niego naukę, zanim odzyskam moc.

– Powinniśmy pojechać do Matsutani? – zastanawiał się Shika. – Może pan Kiyoyori już wrócił?

– Już raz uratowaliśmy się przed księciem opatem. Lepiej, żebyśmy nie znaleźli się znowu blisko niego.

– Tutaj z pewnością nas nie znajdzie! Nawet naszych kości nikt nigdy nie znajdzie!

Później tego dnia oddalili się od strumienia i skierowali na wschód. Shika, jadący z przodu, dotarł na małą polanę i tam udało mu się zastrzelić królika, zanim zdążył schować się w zaroślach. Chłopiec rozpałił ognisko i upiekł zdobycz, a potem nakarmił Sesshina kawałkami mięsa. Między korzeniami dwóch splecionych drzew zebrało się trochę wody. Shikanoko pomógł starcowi się napić i sam też zaspokoił pragnienie. Zapowiadała się kolejna zimna noc.

– Słyszysz wodę? – zapytał nagle Shika.

– Słyszę wodospad w oddali – odparł Sesshin.

– Musimy wyruszyć o pierwszym brzasku.

– Nauczę cię medytacji wody – obiecał mędrzec. – Gdy ją opanujesz, możesz całkiem obejść się bez picia.

– A konie też potrafisz nauczyć?

Sesshin nie odpowiedział, tylko usadowił się na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i otulił kocem.

Po przywiązaniu koni Shika usiadł obok niego.

– Siedziałem kiedyś pod wodospadem przez siedem dni i siedem nocy – rzekł Sesshin. – Woda wniknęła do mojego ciała, do kości i duszy. Mogę ją wezwać w dowolnej chwili. – Mówił monotonnym głosem, a tymczasem od nieznośnego pragnienia Shikę piekło gardło, w ustach mu zaschło, wargi popękały. – Zbliź się do mnie i połóż swoje usta na moich.

Gdy Shika posłuchał starca, poczuł wypełniający jego usta potężny łyk chłodnej wody.

Śnię, pomyślał. Obudzę się i będę jeszcze bardziej spragniony.

Strumień ustał, pragnienie zostało ugaszone i Shikanoko nagle ogarnęła senność.

Następnego ranka Sesshin był apatyczny i miał gorączkę.

– Nie powinienem był tego robić – stwierdził po jakimś czasie.

– Tej sztuki z wodą? Możesz ją powtórzyć?

– Na razie nie. Widzisz, jak mnie osłabiła.

– Więc musimy jechać dalej.

– Odpocznijmy przez jeden dzień, aż odzyskam siły.

Shika przyjrzał się starcowi i powiedział:

– Ja zabiorę konie do wodospadu, a ty tutaj odpoczywaj, póki nie wrócę.

– Dobrze. Nigdzie nie pójde.

Przed odjazdem Shika zgromadził trochę chrustu, żeby Sesshin mógł podtrzymać ogień. Stroma jazda pod górę zajęła mu większość dnia. Gdy wreszcie dotarł na szczyt i powiódł wzrokiem po dolinie, zorientował się, gdzie jest. Wodospad znajdował się na przeciwległym urwisku, zasilany przezeń strumień płynął na południe w stronę Kumayamy, jego rodzinnego domu. Na północy, za górskimi grzbietami, fioletowymi w wieczornym świetle, stała chata Shisoku. Z pewnością mogłaby stanowić schronienie, ale żeby do niej dotrzeć, musiałby zejść z urwiska. Tak czy inaczej, rozeznanie się w sytuacji poprawiło mu nastrój.

Konie wyczuły zapach wody i zaczęły schodzić po stoku, przedzierając się przez krzaki i ślizgając na głazach. Shika przywierał go grzbietu wierzchowca, ufając, że Nyorin się nie potknie.

Powietrze wypełniał pył wodny, ryk kaskady zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Konie piły długo. Woda była bardzo zimna mimo bladego słońca, które przedarło się przez pokrywą chmur i świeciło przez jakiś czas, zanim schowało się za górami. Shika wiedział, że nie zdąży wrócić przed zmierzchem. Jedynym naczyniem, jakie przy sobie miał, była mała bambusowa butelka. Znalazł jakieś korzonki wodnych roślin i kraba pod kamieniem. Zjadł to wszystko na surowo. Risu się położyła, a on wyciągnął się obok niej i oparł głowę o jej brzuch. Przez całą noc dręczyła go myśl, żeby poderznąć jej gardło i napić się ciepłej

krwi. Rankiem klacz spojrzała na niego z wyrzutem, jakby wiedziała, o czym myślał.

Wsiadł na Nyorina i ruszył z powrotem przez grań. Strzelił do zająca i ranił go, a potem tropił przez jakiś czas. Droga powrotna zabrała mu więcej czasu, tak że zanim dotarł na polanę, zastała go ciemność. Gdy wyczuł dym i zobaczył płomienie, odetchnął z ulgą. Skoro ognisko nadal się paliło, Sesshin prawdopodobnie jeszcze żył.

Kiedy Shika się zbliżył, starzec poruszył się, ale nie był w stanie mówić. Shikanoko wlał mu trochę wody do ust i zajął się oporządzaniem zająca. Po nakarmieniu Sesshina trzymał go w ramionach przez całą noc, starając się go ogrzać. Rankiem wydawało się, że ze starcem jest trochę lepiej, ale nadal nie miał siły się ruszyć.

Następnego dnia Shika puścił konie wolno, nadal osiodłane, bo nie byłby w stanie nieść uprzęży. On i Sesshin mogli się podzielić wodą, którą przyniósł, ale zwierzęta musiały pić. Z początku pasły się na polanie, zerkając na niego, potem odeszły dalej. Słyszał, jak przedzierają się przez las, aż po jakimś czasie wróciła cisza. Shikanoko miał nadzieję, że Nyorin i Risu zaczekają na niego przy wodospadzie, ale bał się, że już więcej ich nie zobaczy.

Sesshin powoli dochodził do siebie. Shika stracił rachubę dni, ale pewnego popołudnia starzec rzekł:

– Przykro mi to mówić, ale ktoś nas tropi, prowadzony przez jastrzębie.

Shika wytężył słuch, nie usłyszał jednak niczego prócz normalnych odgłosów lasu. Gdzieś monotonicznie nawoływał grzywacz, wiatr szeleścił w bukach.

– Skąd wiesz?

– Słyszę trzask łamanych gałęzi i krzyk ptaków.

– Jak to? – zdziwił się Shika. – Ja nic nie słyszę, choć mam młodsze uszy.

– Kiedyś odprawiłem rytuał, który miał mi zapewnić dalekie widzenie, żebym mógł zaglądać w odległe miejsca. Nie powiódł się z powodów związanych z naturą światła, ale kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że mój słuch poprawił się stukrotnie. Wtedy to był dla mnie ciężar – może zauważyłeś, że używam woskowych zatyczek do uszu – ale teraz, kiedy jestem ślepy, ten dar może być bardzo użyteczny. Właśnie dlatego nie powinieneś martwić się swoim losem. Wszystko dzieje się zgodnie z prawami przeznaczenia i wydarza w jakimś celu.

– Więc pozwolimy temu człowiekowi, kimkolwiek jest, żeby nas schwytał, czy naszym przeznaczeniem jest ucieczka?

– Myślę, że powinniśmy uczynić każdy wysiłek, żeby nie pojmali nas mnisi księcia opata – odparł Sesshin, próbując wstać. – Wcale nie podoba mi się ta perspektywa.

– Ale możesz chodzić?

– Będę się opierał na twoim ramieniu.

Ruszyli powoli i z mozołem na szczyt góry. Po połamanych gałęziach, ogryzionych liściach i odciskach kopyt na miękkiej ziemi Shika widział, któredy przed nimi szły konie. Kiedy dotarli na wierzchołek, dostrzegł przez listowie białą sierść Nyorina. Zwierzęta znalazły drogę do wodospadu i nadal tam były. Jego serce napełniło się radością. Zagwizdał głośno. Ogier zarżał w odpowiedzi, klacz również.

W górze zaskrzeczał ptak.

– Pośpiesz się – ponaglił go Sesshin. – Już tu są.

Ciągnąc starca za sobą, Shika ruszył w dół zbocza, na pół się ześlizgując. Ptaki dwa razy zatoczyły koło nad ich głowami, a potem odleciały, krzycząc głośno. Kiedy dotarli do podnóża, Sesshin drżał ze zmęczenia. Konie podbiegły do nich uszczęśliwione. Siodło zsunęło się na brzuch Risu, uprząż Nyorina była zerwana. Shika szybko poprawił siodło i dźwignął Sesshina na grzbiet klaczy. Związał wodze ogiera najlepiej, jak się dało, i go dosiadł. Jedyna droga prowadziła w dół strumienia, w stronę jego dawnego domu. Po prawdzie Shikanoko poczuł nieodpartą tęsknotę, żeby znowu go zobaczyć, nim zagłębi się w góry.

Dolina się poszerzyła i stopniowo zaczęły się pojawiać ślady ludzkiego życia. Rowy nawadniające biegly na małe poletka leżące odłogiem pod warstwą kompostu i nawozu. Drzewa były teraz bezlistne, ale Shika znał je wszystkie: brzoskwinie, miłorzęby, nieśpiki. W nieruchomym powietrzu wisiał dym. Jego drzewny zapach przyprawił go o łzy. Aż do tej chwili Shikanoko nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za tym wszystkim tęsknił. Serce miał ściśnięte od emocji i dlatego stał się nieostrożny.

– Uważaj! – krzyknął Sesshin.

W tym samym momencie Shika usłyszał świst pędzącej ku niemu strzały i wrzask jastrzębi, które nurkowały prosto na niego. Przyciągnął Risu do siebie i popędził ją, klepiąc w zad. Następnie wyszarpnął strzałę z kołczanu, zatrzymał Nyorina i odwrócił się błyskawicznie. Jedno ptaszysko rozorało mu dziobem policzek do krwi.

Mężczyzna jadący w jego stronę z wyciągniętym łukiem zawołał tak głośno, że jego głos poniósł się echem po dolinie.

– Jestem mnichem wojownikiem Gessho z Ryusonji! W imieniu księcia opata wzywam cię, żeby się poddał. Mam rozkaz zaprowadzić cię do niego.

Shika próbował do niego strzelić, ale jastrzębie krążyły wokół jego głowy, zasłaniając mu widok. Jeden chwycił strzałę pazurami i odleciał razem z nią. Spłoszony przez ptaki Nyorin stanął dęba, a następnie puścił się galopem za Risu.

Kolejna strzała świsnęła obok ucha Shiki. Akurat dotarli do rozwidlenia dróg. Konie skręciły w lewo i pogalopowały prosto na grupę uzbrojonych mężczyzn dowodzonych przez Sademase.

* * *

Stryj od razu go rozpoznał, Shika był tego pewien. Jego twarz pod wymyślnym hełmem z rogami zbladła, jakby zobaczył ducha. Shikanoko uznał, że pozostali mężczyźni również wiedzą, kim on jest, ale kiedy otoczyli go z wyciągniętymi mieczami, przestraszył się, że zabiją ich obu bez zadawania pytań.

– Stryju! – zawołał, kiedy uspokoił Nyorina. – To ja, Kazumaru.

Sięgnął po wodze Risu i przemówił do niej cicho. Oba konie oddychały ciężko. Sesshin odwrócił zabandażowaną głowę w kierunku głosów, nasłuchując uważnie.

– Mój bratanek nie żyje – odparł Sademasa. – Kim jesteś, oszuście, i jak śmiesz przyjeżdżać do mnie z takim bezczelnym twierdzeniem?

– Dobrze wiesz, kim jestem. Byłeś tam, kiedy rok temu spadłem w przepaść. Pan Kiyoyori przyjął mnie na służbę.

– Jeśli służysz panu Kuromori, co robisz tutaj z tym ślepym żebrakiem?

Nad ich głowami jastrzębie krzyczały triumfalnie. Mnich Gessho podjechał do grupy jeźdźców, rozkazując donośnie:

– Opuśćcie miecze! Nie skrzywdźcie tych ludzi. Mam rozkaz księcia opata, żeby przyprowadzić ich do niego żywych.

– Ten młodzieniec wygląda jak Kazumaru – odezwał się jeden z ludzi Sademasy. – A jeśli to on?

Shika go znał. Jego nazwisko brzmiało Naganori.

– Może to zmiennokształtny, który potrafi upodabniać się do każdego, nawet martwego – podsunął Gessho.

– Nie muszę być zmiennokształtnym – powiedział Shikanoko. – Jestem Kazumaru. Naganori, pamiętam cię. Twój syn Nagatomo był moim przyjacielem.

Twarz mężczyzny się rozpromieniła.

– Panie Kazumaru... – zaczął, ale Sademasa podjechał na przód i odgrodził go od Shiki, po czym zwrócił się do mnicha:

– Możecie ich zabrać. Żeby nie uciekli, wyślę z wami swoich ludzi, jeśli wspomnicie swojemu panu o przysłudze, którą mu oddaję.

– Oczywiście zostaniesz nagrodzony – zapewnił Gessho. – A jeszcze bardziej, jeśli udzielisz nam schronienia. Jest za późno, żeby dzisiaj jechać. Odpocznijemy w twoim domu i wyruszymy rano.

Shika zerknął na Sesshina. Gdyby starzec zrobił choć jeden gest, dał jakiś znak, Shikanoko walczyłby, choć przeciwników było ponad dwudziestu. Ale uczoney siedział bez ruchu na grzbiecie klaczy, spokojny i cierpliwy, kiedy wojownicy zaczęli ją prowadzić.

Powrót do własnego domu w charakterze jeńca i zamknięcie w pokoju strażników, do którego wiele razy odsyłano go za karę, był bolesnym przeżyciem. Zabrano mu wszystko: łuk, strzały i brokatowy worek z maską, który Gessho przyjął z radością i nabożną czcią, po czym odmówił nad nim wiele modlitw.

– Mój pan będzie zadowolony! – wykrzyknął, zajrzawszy do worka.

– Co to jest? – zapytał z ciekawością Sademasa, ale mnich nie pokazał mu zdobyczy.

Do tego momentu Shika panował nad emocjami, ale kiedy zabrano mu maskę, wpadł we wściekłość, jak w dzieciństwie. Trzeba było trzech mężczyzn, żeby go okiełznać. Nadal się pieklił, kiedy strażnik wrócił z miską kleiku. Cisnąłby mu naczynie w twarz, ale uspokoił go głos Sesshina.

– To strawa. Jedz. Czy nie tego chciałeś?

– Żadnej z tych rzeczy nie chciałem – odpowiedział Shikanoko, ale zjadł kleik.

Nie spał całą noc, przysięgając sobie, że zemści się na stryju i odzyska swoją własność.

Nigdzie nie było śladu wierzchowców, kiedy następnego ranka zostali wyprowadzeni na zewnątrz. Shika bał się, że nigdy więcej ich nie zobaczy. Znowu był bliski wybuch wściekłości, która gotowała się w nim przez całą noc. Stryj ukradł mu wszystko. Nawet zwierzęta.

– Przyrowadźcie konie – rozkazał Gessho. – Więźniowie mogą jechać na klaczy, a ogier będzie pięknym darem dla mojego pana, księcia opata.

Sademasa, który wyszedł z domu, żeby pożegnać się z mnichami, powiedział:

– Nie możemy się do nich zbliżyć. Jeden z moich ludzi został ugryziony w ramię, a drugi kopnięty w głowę. Każę je zabić. Moi ludzie pożywią się nimi przez zimę.

– Rozwiążcie młodego jeńca – polecił Gessho po chwili namysłu i zwrócił się cicho do Shiki: – Chodź ze mną do stajni.

Grupa mężczyzn podążyła za nimi z łukami gotowymi do strzału i wyciągniętymi mieczami.

– Nie próbuj uciec – szepnął do niego Gessho. – Sademasa skorzysta z każdego pretekstu, żeby cię zabić.

Shika uświadomił sobie, że to nie groźba, tylko ostrzeżenie. Spojrzał na mnicha i jakby zobaczył go po raz pierwszy. Gessho był wysoki i szeroki w ramionach, o regularnych rysach i skórze koloru miedzi. Na plecach miał rattanowy łuk i kołczan pełen strzał zakończonych orlimi piórami z czarną obwódką, u jego boku wisiał długi miecz. Nawet gdyby Shice nie zabrano łuku i maski, chyba nie poradziłby sobie z człowiekiem takiej postury.

Konie znajdowały się w niewielkiej zagrodzie zrytej przez ich kopyta. Zwierzęta, spienione mimo zimna, miały dziki wzrok. Zarżały z ulgą na widok Shiki. Oba były osiodłane od poprzedniej nocy i choć dostały wodę i karmę, nic nie zjadły. Shikanoko przesunął dłońmi po bokach ogiera. Nyorin stracił na wadze w czasie ich podróży przez góry, grzywę miał splątana, sierść brudną.

Shika wyprowadził go z zagrody, a Risu podążyła za nimi potulnie z głową na jego ramieniu.

Natychmiast otoczyli ich ludzie Sademasy, ale kiedy Gessho położył dłoń na mieczu, rozstąpili się, żeby ich przepuścić. Shika wsadził starca na grzbiet Risu i spojrzał na mnicha.

– Możesz jechać na ogierze – rzekł Gessho. – Zdaje się, że nikt inny nie da rady go dosiąść. Ale przywiążesz go do mojego konia.

– Gdzie są jastrzębie? – spytał Shika, patrząc w górę. Chmury się rozeszły i na bladym niebie zajaśniało słońce.

– Odesłałem je z powrotem do stolicy – odparł Gessho. – Mój pan dowie się, że wykonałem zadanie, i wyśle ludzi nam na spotkanie.

Shice ścisnęło się serce, kiedy opuszczali jego dom rodzinny. Nikt na niego nie patrzył, nikt nie rozpoznał w nim młodego pana Kumayamy. A on znał tutaj każde drzewo, wzór

ich zimowych cieni, zarys wzgórz wznoszących się jedno za drugim, coraz wyżej, ku ośnieżonym szczytom, ostrym i lśniącym w mroźnym powietrzu. Ten widok był dla niego tak znajomy jak własne ręce.

Na granicy jego ziem Gessho powiedział ludziom Sademasy, żeby wracali do domu. Posłuchali go. Był tego rodzaju człowiekiem, uświadomił sobie Shika, że wszyscy zawsze go słuchali. Gigantycznej budowy i siły miał również duchowy autorytet. Kiedy tamci odjechali, mnich powiedział:

– Pan Sademasa najwyraźniej bardzo chce się ciebie pozbyć. Dlaczego, jeśli twoje twierdzenia nie są prawdziwe? Właśnie takie pytanie sobie zadawałem.

– Są prawdziwe – zapewnił Shika. – W zeszłym roku spadłem w przepaść w czasie polowania. Uważam, że stryj próbował mnie zabić, ale jakiegokolwiek były jego zamiary, bez wątpienia zostawił mnie, żebym umarł.

– Jego ludzie cię nie rozpoznali?

– Co najmniej jeden z nich tak.

– Ale żaden nie przyszedł ci z pomocą, a większość była gotowa odebrać ci życie. On musi rządzić swoim małym królestwem żelazną ręką. Wszyscy się go boją. Jest wasalem pana Kiyoyoriego. A ty?

– Nie wiem – odparł Shikanoko. – Zawsze służyliśmy panom Kuromori, a pan Kiyoyori darował mi życie i przyjął na służbę, chociaż się wahał, ponieważ mój stryj jest jednym z jego najwierniejszych sojuszników.

– Istotnie. Tak jak Kuromori broni stolicy, samo jest chronione przez Kumayamę.

Kiedy Shika się nie odezwał, Gessho dodał:

– Nie wiem, co mój pan, książę opat, zamierza z tobą zrobić, ale on nagradza tych, którzy dobrze mu służą. Może pewnego dnia odzyskasz posiadłość.

Odzyskam, obiecał sobie Shika.

* * *

Sesshin bardzo niewiele mówił w czasie podróży. Wydawało się, że zamknął się w sobie. Nie skarżył się, choć jego ciało na przemian paliła gorączka albo wstrząsały nim dreszcze, jakby już nigdy miał się nie rozgrzać. Shika opiekował się nim, mył go i próbował karmić, choć starzec nie przyjmował na raz więcej niż odrobiny kleiku albo gorącej wody. Od czasu do czasu ścisnął w podziękowaniu dłoń Shikanoko. Nie rozmawiał z Gessho. Jego usta często poruszały się jak w modlitwie.

Podążali z biegiem Kumagawy, która płynęła ku morzu. Rzeka była płytka i wartka, z pluskiem toczyła się nad kamieniami i głazami. Jej szum towarzyszył im bezustannie. Pierwszej nocy dotarli do traktu biegnącego wzdłuż wybrzeża między Miyako a Minatogurą i zatrzymali się w niewielkiej wiosce, jednej z kilku, które leżały wzdłuż szlaku i zapewniały podróżnym strawę, drewno na opał, futrzane buty, ubrania i inne potrzebne rzeczy, a także miejsca noclegowe. Poza tą pierwszą nocą nie zatrzymywali się już w takich miejscach, tylko w świątyniach, które należały do Ryusonji i w których

czczono dziecko smoka. Pokoje były surowe i zimne, jedzenie dostawali skąpe. Mnisi wstawali o północy i ciemne godziny aż do rana rozbrzmiewały ich śpiewami oraz dźwiękiem gongów i dzwonków.

Trzeciego ranka dotarli do skrzyżowania dróg. Na południu znajdował się mały port morski, z którego odpływały statki handlowe krążące między Akashi a Minatogurą, a rybacy wyruszali na wyspy Okrążonego Morza. Na północnej drodze rozkładały się dwie głowy wbite na pale. Wokół nich latały kruki i skubały zgniłe mięso. Oczodoły były puste, zęby wyszczerzone w wiecznym uśmiechu. Nie dało się ich rozpoznać, ale Shika wiedział, czyje to są głowy. Pamiętał, jak spadały, a on myślał, że jego za chwilę pójdzie w ich ślady.

– To droga do Matsutani – powiedział Gessho. – Ale nie pojedziemy tam.

– Pan Kiyoyori wrócił do domu? – zapytał Shika.

– To już nie twoja sprawa – odparł mnich.

Każdego ranka Sesshin wydawał się coraz mniejszy, jakby usychał. Nie tylko fizycznie. Znikało również jego wewnętrzne światło. Zmieniał się w pustą skorupę niczym stary strąk fasoli gotowy do spalenia albo zasadzenia w ziemi.

Gessho nigdy nie zostawiał ich samych, a nocą wiązał im ręce i nogi, ale nawet mnisi musieli słuchać zewu natury, tak że w dniu, kiedy mieli przybyć do stolicy, zanim ich rozwiązał, poszedł w ustronne miejsce na tyłach świątyni, w której zatrzymali się na noc. Wtedy Sesshin odezwał się po raz pierwszy od paru dni.

– Shikanoko! Zbliź się, mój chłopcze. Muszę ci coś przekazać. Szybko, mamy bardzo mało czasu.

– Co to jest?

– Pamiętasz noc, kiedy piłeś z moich ust? Mam dla ciebie następny dar. Jeśli ci go nie dam, książe opat mi go zabierze. Chodź, połóż usta na moich.

– Co to jest? – powtórzył Shika.

– Moja moc. Skoncentrowałem ją w coś w rodzaju... grudki. Przyjmij ją w siebie, a ona wyrośnie jak ziarno. Ale się pośpiesz.

Shika przetoczył się do starca i położył usta na jego ustach. Poczul żar gorączki i odór gnijącego ciała, a potem twardy przedmiot na języku. Jego smak był słodki i gorzki ponad wszelkie wyobrażenie, zarazem piekący i gładki jak miód. Przez chwilę Shikanoko myślał, że się zadławi, ale grudka szybko prześliznęła się przez jego gardło i natychmiast rozeszła po nim jak wino. Zrobiło mu się jednocześnie gorąco i zimno. Ognie ziemi pomknęły od jego stóp w górę ciała i zderzyły się z sykiem z mroźnymi śniegami nieba, które wpadły przez czaszkę. Członki naparły na więzy, zadrżały. Żyłami popęły węże. W mózgu zamruczało jakieś kocie stworzenie. Na skórze wystąpiły lodowate krople potu.

Kiedy Shika leżał, dysząc, Sesshin oparł brodę o jego policzek.

– Dobrze – wyszeptał. – Bałem się, że to może być zbyt silne i cię rozerwie. Przez jakiś czas nic nie rób. Pozwól jej rosnąć. – Zaczął mówić szybciej: – Jeszcze jedną rzecz muszę ci powiedzieć. O pani Torze.

– Nie zginęła w pożarze? – spytał Shika zdumiony i uradowany.

– Uciekła do czarownika z gór. Wzięła coś ode mnie, od ciebie, od pana Kiyoyoriego i jeszcze dwóch mężczyzn, nie jestem pewien, od których. Może od tego herszta bandytów i samego starego czarownika. Potrzebowała nas, żebyśmy spłodzili dzieci. Z pięciu ojców zrodzi się ich pięcioro. Znajdź je i zabij. To będą demony. Ona jest jedną ze Starych. Nie powinienem był jej ulec. Nic dziwnego, że wydarzyły się te wszystkie nieszczęścia. Cóż, teraz już nic nie mogę zrobić, ale ty tak. Pokazałeś, że masz dobre serce mimo groźnego wyglądu i paskudnego charakteru. Nie bądź łagodny dla demonów.

Gessho wrócił z jedzeniem i rozwiązał im pęta. W miarę jak zbliżali się do stolicy, posiłki stawały się coraz bardziej urozmaicone i smaczne. Tego ranka dostali ryż z pieczoną rybą i marynowane rzodkiewki. Po raz pierwszy Sesshin zjadł normalnie. Gessho łypnął na niego podejrzliwie.

– Co się stało? Wyglądasz inaczej.

– Może czuje się lepiej – podsunął Shika.

– Jestem taki sam jak na początku – zapewnił Sesshin. – Nieszkodliwy starzec szykujący się do przejścia do drugiego świata, oślepiiony bez powodu przez biedną kobietę oszalałą z żalu.

Rzeczywiście wyglądał na zwykłego starca, radosnego i pogodnego pod koniec życia.

Gessho z irytacją zazgrzytał zębami i nie dając im czasu na dokończenie posiłku, przywołał konie. Wyruszyli natychmiast w stronę stolicy.

* * *

Dotarli do Ryusonji wieczorem. Prowadzeni przez ludzi księcia opata, którzy wyruszyli im na spotkanie, nie jechali szerokimi alejami Miyako, tylko przez wzgórza na północnym wschodzie, mijając liczne świątynie oświetlone przez tysiące świec i lamp olejnych, rozbrzmiewające niekończącymi się sutrami, które łączyły Ziemię z Niebem i chroniły miasto.

Świątynia Ryusonji leżała trochę na północ od stolicy, niedaleko brzegu rzeki. W obniżeniu terenu między nią a rzeką znajdowało się jezioro, w którym mieszkało dziecko smoka. Kiedy mijali wielką główną bramę i wjeżdżali na pierwszy dziedziniec, zaczął padać śnieg, tworząc zawile wzory w blasku pochodni.

Wyczerpane konie od razu przekazano stajennym. Shikę i Sesshina zabrano do zewnętrznego gorącego źródła i tam zeskrobano z nich brud podróży. Potem oczyszczono ich kadzidłem, odziano w stare szaty ze spłowiałego płótna, pełne łąt i cer, ale nieskazitelnie czyste. Włosy Shiki zostały umyte, rozczesane i z powrotem związane do góry. Wszystkie te czynności wykonali mnisi niskiej rangi, którzy pracowali w milczeniu i starannie, bez żadnych emocji, nienawiści czy strachu. Potem Shikę i Sesshina poprowadzono przez liczne korytarze i dziedzińce, wielkie bramy i ciemne sale, w których połyskiwały rzeźbione podobizny bogów piekła, świętych i awatarów oraz samego Oświeconego. W końcu dotarli do komnat księcia opata.

Kiedy drzwi się rozsunęły, Shika zobaczył w środku Gessho. Mnich przebrał się ze zbroi

o stroju podróżnego w świątynne szaty. W milczeniu i z beznamiętną twarzą położył rękę na karku Shikanoko i zmusił go do uklęknienia. Shika opuścił głowę do ziemi i pozostał w tej pozycji przez kilka minut. Usłyszał, jak Sesshin mówi wesoło:

– Ach, jak dobrze jest być czystym. Wielkie podziękowania, potężny kapłanie, kimkolwiek jesteś. Naprawdę przestrzegasz nauk Oświeconego. Twój przedmiot kultu znajduje się w raju czystej ziemi, ale ty, panie, wybrałeś pozostanie w tym świecie i ulżenie cierpieniom nieszczęsnych, tak jak to robił święty Jizo.

I dalej paplał w ten sposób, wychwalając księcia opata, wymieniając cuda świętych. W końcu ucichł i tylko siedział, uśmiechając się i kiwając głową.

– Co się stało? – zapytał księżę opat, zwracając się do Gessho.

– Mój panie, zanim przybyliśmy, wyłupiono mu oczy. Zapłonął przeciwko niemu gniew pani Matsutani, która podejrzewała, że ten człowiek był zamieszany w porwanie jej syna. On i ten młodzieniec zostali wypędzeni do Ciemnego Lasu. Ponadto pewna kobieta została oskarżona przez panią Matsutani o czary, choć jej osąd mógł być wypaczony przez zazdrość, jako że rzeczona kobieta była konkubina pana Kiyoyoriego. Podobno spłonęła w pożarze, który pochłonął księgi i instrumenty starca. Zostawiłem Kiyoyoriego, żeby rozprawił się z żoną, i podążyłem za tymi dwoma. Schwyciłem ich w Kumayamie, gdzie miejscowy pan Jiro no Sademasa okazał się dość pomocny. Tak przy okazji, obiecałem, że go nagrodzisz, panie. Bardzo chciał się pozbyć tego młodzieńca, który możliwe, że jest jego bratankiem uznanym za zmarłego. Może pamiętasz, panie?

– Interesujące. Pamiętam tę sprawę i z czasem do niej dojdziemy. Najpierw muszę się zastanowić nad moim starym przyjacielem, mistrzem Sesshinem. Wiele lat temu byliśmy razem nowicjuszami. Sesshin osiągnął biegłość w praktykach ezoterycznych i w końcu wybrał życie górskiego eremity. Nie widziałem go od lat, a jedynie od czasu do czasu słyszałem o pewnych cudach, wyzwaniach wobec niewidzialnych sił, i wiedziałem, że to musi być on. Wypląnął na powierzchnię, a potem zniknął. Próbowałem mieć go na oku, ale zniknął na wiele lat, aż coś zwróciło moją uwagę na Matsutani. I on tam był! Tak więc przez cały czas to twoja moc stała za Kiyoyorim?

– Wasza Świątobliwość musi mnie z kimś mylić – rzekł Sesshin. – Wiedziałem, że cała ta troska jest zbyt dobra, żeby była prawdziwa. Cóż, takie jest koło życia. Wszyscy musimy płacić za nasze postęпки z przeszłości.

– Przykro mi, panie opacie – powiedział Gessho. – Nie zdołałem przywieźć go dostatecznie szybko. W drodze zaszła w nim zmiana. W jednej chwili widać było, że mimo cierpienia jest potężnym mędrcom, w następnej stał się tym starym głupcem.

– Jakiż to żałosny koniec naszych lat rywalizacji – stwierdził opat. – Dlaczego nie walczyłeś jak dzielny wojownik? Marzyłem o konfrontacji z tobą przez większość swojego życia. Czym się stałeś?

Sesshin uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Jestem, jaki jestem i jaki zawsze byłem. Biedna dusza w podróży.

– On jest szczerzy, panie, czy to bardzo dobry aktor? – zapytał Gessho.

– Niczego w nim nie wyczuwam, żadnej głębi, żadnych sekretów. Jeśli miał jakąś moc,

całkiem ją stracił. Zatrzymam go przez jakiś czas i będę obserwował. Traktuj go dobrze, dawaj mu zajęcia.

– Może powinien dołączyć do ślepego lutnisty i śpiewaków – zasugerował Gessho.

– Ach, muzyka. – Sesshin westchnął głęboko. – Poświęcić ostatnie lata muzyce, pod opieką potężnego księcia opata, w świętym przybytku Ryusonji! To więcej, niż mogło mi się przyśnić!

Shika lekko odwrócił głowę i dostrzegł zakłopotaną minę księcia opata. Jeden z mnichów wyprowadził Sesshina. Po chwili Shika usłyszał głos kapłana nakazujący mu się zbliżyć. Przesunął się do przodu na kolanach.

– Więc to jest mój młody jeleni?

Opat położył dłonie na jego głowie, zajął mu w oczy, dotknął policzków niemal pieszczotliwym gestem. Shika nie zdołał powstrzymać drżenia. Przypomniał sobie słowa Sesshina: „Nic nie mów”. Spuścił wzrok i milczał.

– Cóż, miło na ciebie spojrzeć. Nie mam nic przeciwko zatrzymaniu cię przy sobie na jakiś czas. Zwłaszcza jeśli pokażesz mi, jak używać tej pięknej rzeczy.

Dał znak jednemu z młodych mnichów, którzy za nim klęczeli. Mężczyzna zrobił krok do przodu i podał mu brokatowy worek. Księżę opat wyjął z niego maskę. Jak zawsze widok długich czarnych rzęs, cynobrowych ust i wypolerowanych rogów, wspomnienia z czasów jej tworzenia i świadomość jej mocy sprawiły Shikanoko dużą przyjemność.

– Skąd to wzięłeś? Kto ją zrobił?

Nie odpowiedział od razu. W jego umyśle zaczęło się formować fałszywe wspomnienie. Ujrzał siebie i maskę na pół zagrzebaną w piaszczystej ziemi na brzegu rzeki.

– Znalazłem ją. Musiała spłynąć w dół strumienia wraz z powodzią.

– Znalazłeś ją i odważyłeś się jej użyć? – zdziwił się opat. – Tak po prostu? Nawet ja bym się nie ośmielił.

– Pomyślałem, że jest moja, skoro ją znalazłem.

– To niebezpieczna myśl. Zobaczmy, co się stanie, jeśli ktoś inny jej użyje. – Nie odwracając się, opat skinął na młodego mnicha i wręczył mu maskę. – Włóż ją.

– Nie! – Shika nagle sobie uświadomił, co się stanie. – On nie powinien!

Mnich był bardzo przystojny, o drobnych, regularnych rysach i gładkiej, niemal złotej skórze. Wahał się chwilę, a potem włożył maskę na twarz.

Natychmiast zaczął krzyczeć. Próbował zdjąć maskę, szarpał ją oburącz, ale ona przywarła do jego twarzy. Gessho podbiegł, żeby mu pomóc, przytrzymał go z całej siły, ale nic nie wskórał. Młodzieniec wyrwał się, wrzeszcząc i płacząc. Uderzył głową w ścianę i upadł. Opat wstał, co samo w sobie było zaskakujące, wyciągnął ręce przed siebie i wypowiedział uroczyste słowa mocy, które poruszały skały i przywracały życie umarłym, ale maska nawet nie drgnęła. Dopiero kiedy Shikanoko podszedł do wijącego się nieszczęśnika i dotknął wypolerowanej powierzchni, maska wpadła mu w dłonie. Była tak rozgrzana, że aż parzyła. Wcześniej zawsze pozostawała chłodna. Shika wyczuł jej rozpacz, panikę i ból, wspomnienie upadku z urwiska, złamaną nogę, poderżnięte gardło, krew. Nic nigdy nie ginie, wyszeptała do niego. Zmienia się i przybiera nową formę.

Cierpienie się przeobraża i trwa.

Młody mnich miał osmalone brwi i rzęsy, policzki purpurowe, jakby wpadł w ogień, usta pokryte pęcherzami. Szlochał bezradnie.

– Eisei, mój biedny chłopcze, wybacz mi! – wykrzyknął opat. – Nie wiedziałem, że to będzie takie straszne.

Nawet Gessho wyglądał na wstrząśniętego.

– To Wasza Świątobliwość mógł ją wypróbować. Co wtedy by się stało?

– Zabierzcie Eisei i opatrzcie go – rozkazał opat lekko drżącym głosem. Kiedy mnisi go posłuchali, spytał Gessho: – Kto uprawia tę starożytną leśną magię?

– Nie wiem. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Księżę opat wręczył brokatowy worek Shice, a on schował do niego maskę.

– Oto co moim zdaniem się stało, Kazumaru... tak brzmi twoje imię?

– Teraz jestem Shikanoko.

– Oczywiście. Dziecko Jelenia. Podobno zniknąłeś rok temu i w tym czasie spotkałeś górskiego czarownika, który para się czarną magią. Zrobił ci maskę z czaszki jelenia, może tego, którego zabiłeś, i to mądre stare stworzenie przekazało ci swoją moc. Kto jeszcze brał w tym udział. Ta maska ma w sobie również kobiecą siłę. Tamta kobieta? Ta sama, która opętała Kiyoyoriego? To byłoby niezwykle fascynujące. Gdzie ona jest teraz?

– Jak powiedział Gessho, zginęła w pożarze – odparł Shikanoko, zaniepokojony przenikliwością księcia opata.

– Jeśli to prawda, nie mamy się czym martwić. Ale jeśli uciekła, może być powód do niepokoju. To bardzo potężny przedmiot.

Shikanoko czuł drżącą w sobie siłę, ale nie miał pojęcia, co z nią zrobić. W uznaniu kapłana dla maski było coś przyjemnego, niemal kojącego.

Księżę opat przyglądał mu się bystrym wzrokiem, jakby potrafił czytać w jego myślach.

– Rozumiesz, że muszę mieć kontrolę nad tego rodzaju magią? Na wiosnę znajdziemy jej twórcę. Tymczasem ty zostaniesz ze mną. Razem odkryjemy, ile wiesz i co można zrobić z maską. W zamian ja oddam ci Kumayamę. Przedstawimy twoje roszczenia Miboshim, a sąd w Minatogurze je potwierdzi. W nadchodzącej wojnie twój stryj zostanie pokonany razem z panem Kuromori i wszystkimi Kakizuki.

Gdzieś w oddali zapał kogut, po nim następny. W głębi świątyni rozbrzmiał dzwon.

– Mój panie, świt się zbliża – powiedział Gessho.

– Możesz przekazać mi swoją decyzję, kiedy znowu się spotkamy – rzekł opat. – Daj mi maskę. Zaopiekuję się nią. Wiem, że bez niej nie wyjedziesz.

– A jeśli odmówię współpracy? – zapytał Shika, niechętnie oddając maskę.

– Zostaniesz skazany na śmierć, a maskę zniszczymy. To będzie nagroda dla twojego stryja. Ale nie sądzę, żebyś chciał umrzeć.

Gessho zaprowadził go do małego pokoju, w którym na drewnianych deskach leżała cienka mata. Kazał mu odpocząć, ale mimo wyczerpania Shika nie mógł zasnąć. Gdzieś znowu zadźwięczał dzwon, a potem rozległy się kroki mnichów idących na modlitwę. Shikanoko przypomniał sobie poparzoną twarz młodego mnicha. Uświadomił sobie

z pewnym strachem, że słabo zna możliwości maski i nie potrafi kontrolować jej mocy. Głęboko w nim poruszyło się to, co przekazał mu Sesshin. Musiał ukrywać ten dar, ale jednocześnie nauczyć się go używać. Wiedział, że księżę opat ma rację. Jeszcze nie był gotowy na śmierć i nie mógł znieść myśli, że maska zostanie zniszczona. Już po części zawładnęła nim uwodzicielska osobowość kapłana. Jego uwaga i zainteresowanie pochlebiali mu i dodawały pewności siebie.

Shika właśnie doszedł do wniosku, że nie ma dokąd pójść, kiedy zapadł w głęboki sen. Obudził się raptownie po, jak mu się wydawało, zaledwie kilku minutach. Był ranek. Pokój wypełniało szare światło.

Potrząsał nim jakiś mnich.

– Wstawaj! Nasz pan opat chce z tobą mówić.

To był ten sam pokój i to samo zgromadzenie mnichów, choć brakowało młodzieńca, którego poparzyła maska, ale była jeszcze jedna różnica. Poprzednio księżę opat wydawał się niepewny, ale spokojny, natomiast teraz Shika wyczuł jego gniew.

– Już działasz przeciwko mnie? Ośmieliłeś się wykorzystać moją pobłażliwość i wspaniałomyślność?

– Panie? – bąknął Shikanoko.

– Jak to zrobiłeś? Jak wykradłeś chłopca?

– Nie rozumiem. Myślałem o tym, co powinienem zrobić, a potem zasnąłem. Jak mógłbym coś zrobić? Wasza Świątobliwość ma maskę. Byłem sam, a twoi ludzie, panie, pilnowali mnie przez całą noc. I o jakim chłopcu mówisz, panie?

– O synu Kiyoyoriego.

Shika osłupiał.

– Mielicie Tsumaru? To wy go porwaliście?

– Kazałem go tutaj sprowadzić. Sądziłem, że przekonam jego ojca, żeby w zamian przysłał mi ciebie i starca. Teraz zamierzałem go oddać, ale kiedy zeszłej nocy byłem zajęty wypytywaniem ciebie, ktoś go wykradł.

– To nie byłem ja – oświadczył Shika.

– Nie odprawiłeś jakiejś magii, żeby oczy strażników były ślepe albo żeby chłopiec stał się niewidzialny?

– Myślisz, panie, że bym potrafił? Nie umiem robić takich rzeczy.

Księżę opat nachylił się i przyjrzał mu uważnie.

– Cóż, wierzę ci. I sądzę, że jesteś zdolny do rzeczy większych, niż kiedykolwiek ci się śniło. To będzie nasza wspólna praca. Zakładam, że zgodziłeś się mi służyć?

I właśnie to, a nie groźby czy obietnice Kumayamy, czy darowanie życia, tylko pragnienie, żeby okiełznać tę moc, przekonało Shikanoko, żeby zostać uczniem księcia opata w Ryusonji tej zimy, kiedy mróz skuł lodem jezioro i rzekę, a śnieg pokrył stolicę i góry.

Tama

Pawilon na wyspie został zbudowany dla jej matki jako schronienie w gorące letnie dni, pełne poezji, muzyki i śmiechu. Było to ulubione miejsce Tamy, kiedy była dziewczynką. Teraz stało się jej lodowatym, wilgotnym więzieniem na całą zimę. Każdego dnia nasłuchiwała głosu syna, wypatrywała jakiegoś znaku, że wrócił żywy, ale w miarę jak mijały tygodnie, ogarniało ją przeczucie, że nigdy więcej go nie zobaczy. Często szlochała ze smutku i wściekłości, ale słyszeli ją tylko strażnicy, którzy trzymali wartę na małej werandzie. I pozostawali nieporuszeni.

Pewnego ranka na początku nowego roku, gdy stopniał śnieg, obudziło ją o świcie trzęsienie ziemi. Brzmiało jak ryk nadchodzącej z daleka gniewnej bestii, z każdą chwilą głośniejszy. Drzwi i okiennice grzechotały. Jedna żaluzja oderwała się i zaczęła bębnić o ścianę. Rozległy się krzyki domowników zerwanych ze snu, rżenie przerażonych koni i oszalałe szczekanie psów.

Strażnicy wskoczyli do łodzi. Tama obserwowała, jak odpływają, a potem zobaczyła, że w połowie drogi osiadają na mieliźnie, która się utworzyła, gdy woda nagle popędziła na południowy wschód w stronę ujścia jeziora. Ubrała się szybko, ukryła koraliki modlitewne w rękawie, złote posążki schowała do małej torby. Sztylet trzymała przy sobie w dzień i w nocy ukryty pod szatą. Do tej pory woda cofnęła się jeszcze bardziej. Ryby trzepotały się w błocie i kamieniach zalegających dno. Kamienny mur otaczający zbiornik pękł i jezioro całkiem wyschło.

Tama opuściła więzienną wyspę, zostawiając w błocie delikatne ślady jak lisica. W stajniach i w głównej rezydencji wybuchł pożar, tak że w zamieszaniu nikt jej nie zauważył.

Na całej drodze do wybrzeża domy były zniszczone. Tama, jak wielu bezdomnych ludzi, szukała schronienia. W porcie Shimaura przehandlowała jeden z posążków za koję na świątynnym statku płynącym do Minatogury.

Z południowego zachodu wiały rześkie wiatry. Morze było wzburzone. Wielu pasażerów dręczyła choroba morska, ale Tama, choć nigdy wcześniej nie płynęła statkiem, czuła się dobrze jak nigdy, przepełniona poczuciem wolności i podnieceniem. Stała na pokładzie, nie zważając na zimno, i obserwowała wyspy porośnięte sosnami, z widocznymi tu i ówdzie zielonymi słupami kapliczek. Czasami płynęli tak blisko brzegu, że można było zobaczyć delikatne białe kwiaty na śliwach.

Tama zaprzyjaźniła się z grupą kobiet, które wybrały się na pielgrzymkę. Jedna z nich ogoliła sobie głowę i zamierzała wstąpić do klasztoru w Muenji.

– Został założony przez żonę Aritomo Miboshiego, panią Masę, jako schronienie dla wdów albo kobiet, które uciekają przed gwałtownymi mężami, zostały wyrzucone z własnej ziemi i szukają sprawiedliwości u Miboshich. Inne, na przykład ja, po prostu chcę wycofać się ze świata, znaleźć spokój i łaskę przed śmiercią.

– Ja szukam sprawiedliwości – wyznała Tama. – Mój pierwszy mąż mieszka w Minatogurze i służy Miboshim. Mnie zmuszono, żebym go opuściła i poślubiła jego starszego brata, jednego z Kakizukich. Traktował mnie bardzo źle, przejął posiadłość, którą odziedziczyłam po mojej rodzinie, i trzymał mnie w więzieniu. Chcę odzyskać to, co moje.

– Łącznie ze swoim prawowitym mężem, jak przypuszczam – powiedziała Jun, która zamierzała zostać mniszką.

– Tęsknię za nim dzień i noc – potwierdziła Tama. – Nigdy nie przestałam za nim tęsknić. Poza tym mój syn został porwany i nie widziałam go przez całą zimę. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Potrzebuję kogoś, kto się za mną wstawi.

Kobiety westchnęły ze współczuciem i otarły łzy rękawami. Na brzegu żałobnie krzyczały siewki.

– Jakie to smutne – wyszeptała Jun. – Jedź z nami do Muenji, a my o ciebie zadbamy i poprzemy twoją sprawę.

Co noc Tama obserwowała wschody i zachody księżyca zbliżającego się do pełni. Piątego ranka wpłynęli do wielkiego portowego miasta, w którym ród Miboshi dzierżył niepodzielną władzę.

Świątynia kobiet znajdowała się kawałek drogi za miastem, na szczycie wzgórza górującego nad portem. Na południu leżało Okrążone Morze, na wschodzie bezkresny ocean, na którym olbrzymie wieloryby wyrzucały w powietrze fontanny wody, a w dalekich zamorskich krajach mężczyźni wielkości gigantów polowali na foki i wilki. Tama była kilka razy w Miyako, ale Minatogura wydawała się jeszcze większa. Z punktu widokowego na wzgórzu Tama wyraźnie zobaczyła, że miasto szykuje się do wojny. Na ulicach roiło się od wojowników, na każdej otwartej przestrzeni ciągnęły długie kawalkady koni, wytwórcy strzał i kowale pracowali dzień i noc, ich ogniska płonęły, dźwięczały młoty. W ogrodach i na brzegu rzeki ustawiono słomiane tarcze, w powietrzu gniewnie świstały strzały. Wszędzie powiewały oślepiająco białe flagi i proporce klanu Miboshi.

W Muenji Tama otrzymała schronienie. Kiedy Jun opowiedziała jej historię matce przełożonej, uciekinierkę wezwała do siebie i przepytała smukłą, wdzięczna i zaskakująco młoda kobieta. Tama uznała, że matka przełożona jest szlachcianką. Była dobrze wykształcona, potrafiła czytać i pisać, miała bystry umysł. Obiecała, że się rozpyta, i kilka dni później Tama ponownie znalazła się w jej pokoju.

– Wszystko sprawdziłam i dowiedziałam się, że twój mąż mieszka w domu Yamady Saburo Keisaku, kuzyna ojca. Masachika został przez niego adoptowany i ma się ożenić z jego córką, kiedy tylko dziewczyna osiągnie odpowiedni wiek.

– Ma się z nią ożenić? – Tamie zrobiło się słabo.

– Spokojnie. Jeszcze się nie ożenił. Ale domaga się posiadłości, która teraz znajduje się w rękach jego starszego brata i która, jak twierdzisz, należy do ciebie.

– Matsutani. To mój dom rodzinny. Dostałam ją po śmierci mojego brata, a mój mąż... Jakie oni obaj mają do niej prawo?

– Mają prawo, bo są mężczyznami – odparła sucho matka przełożona. – Czyj to był pomysł, żeby zabrać cię jednemu bratu i oddać drugiemu?

– Ich ojca, ale mój się zgodził.

– Mam nadzieję, że obaj odpokutują w piekle za swoją ślepą, arogancką podłość. I co chcesz teraz zrobić?

– Odzyskać Masachikę. Chcę mojej ziemi i muszę wiedzieć, czy mój syn żyje.

– Gdzie teraz jest twój syn?

– Przebywa w Ryusonji jako zakładnik. Nie rozumiem dlaczego. Mój mąż Kiyoyori pod wpływem magii zadał się z pewną kobietą. Księżę opat dowiedział się o tym i postanowił nagiąć go do swojej woli. Ale Kiyoyori nigdy nie da sobą zawładnąć. Prędzej pozwoli synowi umrzeć. Pomyślałam, że gdyby ktoś z Miboshich zwrócił się do księcia opata, on mógłby oddać mi Tsumaru, jeśli mój syn jeszcze żyje.

– To twoje jedyne dziecko?

– Jest jeszcze pasierbica Hina. Zawsze była wobec mnie chłodna. Ojciec ją psuje, bo dziewczynka przypomina mu jego zmarłą żonę.

Matka przełożona popatrzyła na Tame bystrych oczami.

– Jesteś pewna, że nie oceniasz źle pana Kiyoyoriego? Czy pojednanie nie jest możliwe? Moim obowiązkiem jest o to zapytać. Więzy między mężem i żoną mają źródło w prawach przeznaczenia i nie powinno ich się zrywać tak lekko.

– Staram się naprawić więź, która została zerwana – odpowiedziała Tama. – Tę z moim pierwszym mężem.

– Wyślę do niego wiadomość – obiecała matka przełożona.

W trakcie nerwowego oczekiwania Tama włączyła się w zajęcia klasztorne, ale nawet podczas modlitw i medytacji wśród kobiet o spokojnych oczach dręczył ją niepokój. Nie widziała Masachiki od siedmiu lat. Postarzała się i urodziła dziecko. Czy on będzie pamiętał młodą dziewczynę, którą kiedyś była, ich słodkie noce?

Dwa dni później koło południa przyszła Jun i kazała jej pójść do zewnętrznego ogrodu, do którego wpuszczano gości. Tama zobaczyła czekające za bramą trzy konie i dwóch mężczyzn. A więc on był już gdzieś w środku.

Serce biło jej mocno, kiedy szła kamienną ścieżką w stronę krytej strzechą małej chaty stojącej nad jeziorem. Był pogodny wiosenny dzień, choć ze wschodu dał wiatr, chłodząc powietrze. Drzewa wiśniowe otaczające jezioro obsypały się różowymi pąkami, które miały rozkwitnąć za tydzień.

Masachika stał przy wejściu do chaty. Tama przyjrzała mu się zachłannie. Ubranie miał nowe, uszyte z delikatnego jedwabiu, na głowie mały czarny kapelusz. Przytył. Był teraz dojrzałym mężczyzną, podobnym i jednocześnie niepodobnym do starszego brata,

wyższym i przystojniejszym.

Na końcu ścieżki znajdował się stopień z głazów. Między nimi kwitły żółte kwiaty. Tama poczuła ich woń, kiedy opadła na kolana.

– Panie Masachiko! Mój mężu!

Masachika pochylił się i uniósł ją, przytrzymując za ręce, po czym zaprowadził do środka. Gdy znalazła się w jego ramionach, przypomniała sobie zapach skóry i włosów męża. Żadne z nich nic nie mówiło. W końcu Masachika wypuścił ją z objęć. Usiedli obok siebie na jedwabnych poduszkach.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał. – Czy mój brat nie żyje?

– Nie, chociaż, wybaczone, że tak mówię, ale wiele razy chciałam, żeby umarł. W Matsutani wydarzyły się straszne rzeczy. On więził mnie przez całą zimę. Potem było trzęsienie ziemi i wtedy uciekłam. – Masachika nadal milczał, więc Tama dodała: – Wiem, że kontaktowałeś się z naszymi dawnymi sługami, Tachiyamą i jego żoną.

– Kiyoyori ich zabił – rzekł Masachika.

– Ktoś go ostrzegł przed zasadzką na polowaniu. Na rozkaz Kiyoyoriego Tachiyama jechał na jego koniu i przyjął strzałę przeznaczoną dla niego. – Tama przypomniała sobie zrozpaczoną biegnącą kobietę. – Jego żona próbowała powstrzymać atak. Została później zamęczona na śmierć.

– Mój brat stał się okrutny – zauważył Masachika.

– Okrutny i samolubny. Była też... kobieta. Czarownica. I starzec. – Tama usłyszała, że jej głos przybiera wysokie tony, i nagle umilkła.

– Jaki starzec? Uspokój się, opowiedz mi wszystko powoli.

– Mistrz Sesshin.

– Przyjaciel mojego dziadka? Nadal żyje?

Tama zdała mu relację z ostatnich wydarzeń, on zadawał wiele pytań, a kiedy skończyła mówić, siedział i patrzył na jezioro pogrążony w myślach.

– W umyśle i w duszy nigdy nie przestałam być twoją żoną – wyznała Tama, gardząc sobą, kiedy usłyszała błaganie w swoim głosie.

– Siedem lat to dużo czasu. – Masachika na nią nie patrzył. – Wiele się wydarzyło. Zostałem odesłany wbrew swojej woli, ale znalazłem tutaj dobre życie. Teraz jestem wdzięczny, że ojciec związał mnie z Miboshimi, ze stroną, która zwycięży. Mój adopcyjny ojciec jest dobrym człowiekiem, bardzo bogatym. Traktował mnie wspaniałomyślnie. Jestem zaręczony z jego córką.

– Ale ona jest jeszcze dzieckiem! Nie może dać ci tego, co ja kiedyś ci dałam, i jeśli chcesz, dam ci znowu tu i teraz.

– Przyprawiłabyś biedne zakonnice o wstrząs – próbował zażartować Masachika.

Tama zarzuciła go gorączkowymi słowami:

– Zabierzesz mnie do domu? Możemy mieszkać razem? Gdybyś wiedział, jak za tobą tęskniłam. A ty za mną tęskniłeś?

– Kiedy nas rozdzielono, było tak, jakby urwano mi rękę albo nogę – wyznał cicho Masachika. – Chyba łatwiej zniósłbym twoją śmierć. Nie musiałbym sobie wyobrażać

ciebie w ramionach mojego brata, przeżywać całego tego bólu i upokorzenia. Nienawidziłem go z całego serca, a kiedy usłyszałem, że dałaś mu syna, ciebie też znienawidziłem. – Zerknął na nią szybko, a potem wrócił spojrzeniem do jeziora.

– Co mogłam zrobić? Byłam bezradna.

– Przychodziło mi do głowy, że powinnaś zabić się sztyletem matki, zamiast mu ulec.

– Myślałam o tym. I o zabiciu Kiyoyoriego również. Ale musiałam zajmować się posiadłością. Miałam Matsutani.

Masachika poprawił się niespokojnie.

– Wiesz, że złożyłem w sądzie roszczenie do posiadłości? Miboshi przywiązują wielką wagę do praworządności. Co więcej, wszyscy wiedzą, że Matsutani to brama do Miyako. Nie jest sekretem, że Miboshi zamierzają ruszyć na stolicę. Jeśli Kiyoyori nie podda się wyrokowi sądu, pomogą mi zebrać przeciwko niemu armię i odzyskać majątek siłą. Będą mieli lojalnego sojusznika na kluczowej pozycji, a ja odzyskam to, co moje.

– Twoje roszczenie będzie jeszcze bardziej uzasadnione, bo jestem twoją żoną – zauważyła Tama. – Ostatecznie to moja rodzina przez pokolenia miała Matsutani w posiadaniu.

Obecność Masachiki przyprawiała ją o niepokój. Zwłaszcza kiedy powiedział, że ją znienawidził. Bała się, że już jej nie chce, po tym, jak należała do Kiyoyoriego.

– Mam inne zobowiązanie – przypomniał. – Nie mogę od niego uciec.

– Ale ona jest jeszcze dzieckiem.

– Kiedy się zaręczyliśmy, miała siedem lat. Patrzyłem, jak dorasta, i czekałem na nią.

W następnym roku skończy piętnaście lat.

Piętnaście, pomyślała Tama. W tym wieku ja byłam, kiedy się z nim zaręczyłam. W jej sercu wezbrały zazdrość i żal. Nic dziwnego, że nie przejawiał wielkiej ochoty, żeby przyjąć ją z powrotem. Będzie miał Matsutani i młodą żonę, silniejszą pozycję i szacunek wśród Miboshich.

– Bądźmy cierpliwi – powiedział. – Nic nie osiągniemy, działając pochopnie. Zobaczmy, jak sąd rozstrzygnie sprawę. Na razie możesz tu zostać, prawda?

– Pomożesz mi? Muszę mieć służącą, potrzebuję nowych ubrań i oczywiście powinnam przekazać darowiznę na klasztor.

– To będzie trochę trudne – uprzedził ją Masachika. – Musiałbym prosić rodziców, a lepiej, żeby nie wiedzieli o twojej obecności w Minatogurze.

– Jak długo muszę czekać?

– Rozprawa w sądzie odbędzie się przed końcem miesiąca.

* * *

– On mnie nie przyjmie z powrotem – stwierdziła później Tama w rozmowie z matką przełożoną. – Byłam głupia, że tego oczekiwałam. Niepotrzebnie tutaj przyjechałam, ale co innego miałam zrobić? Nie mogłam czekać uwieczona we własnym domu, aż mąż się mnie pozbędzie. I nie mogę wrócić do Matsutani, chyba że...

– Chyba że co? – ponagliła ją starsza kobieta.

– Chyba że słynny system sądowy Miboshich potwierdzi, że jestem prawowitą właścicielką. Dlaczego miałabym nie wysunąć roszczeń?

– To możliwe – stwierdziła matka przełożona po chwili namysłu. – Są precedensy.

– Matsutani to dobrze prosperująca posiadłość. Mogłabym w następnych latach wspierać klasztor. Na pewno ma pani koneksje i może mi doradzić, jak się do tego zabrać.

Matka przełożona uśmiechnęła się lekko.

– Zapewne masz stosowne dokumenty?

– Oczywiście – powiedziała Tama. – Jeśli nie uległy zniszczeniu w czasie trzęsienia ziemi, są wszystkie. Kiyoyori ma kopie, ale oryginały są ukryte w miejscu znanym tylko mnie. Mogłabym kogoś po nie posłać... Będę potrzebowała zręcznego złodzieja.

Znacząco spojrzała na matkę przełożoną.

– Obawiam się, że nie znam nikogo takiego – powiedziała mniszka. – Módlmy się i medytujmy, jak postąpić. Jutro przekażę ci swoją decyzję.

* * *

Następnego dnia matka przełożona oznajmiła, że klasztor poprze wniosek Tamy. Wysłano do trybunału prośbę o rozpatrzenie sprawy. Potem minęło dużo czasu bez żadnych wieści. Tama była przyzwyczajona do ciągłej aktywności związanej z zarządzaniem dużym majątkiem. Teraz nie miała żadnego zajęcia, więc w jej umyśle kłębiły się żale nad przeszłością i plany na przyszłość. Mimo tego, co powiedziała matce przełożonej o byłym mężu, i wbrew własnemu rozsądkowi nie mogła wyzbyć się nadziei i marzeń. Wspominała, jak Masachika ją tulił, i wierzyła, że nadal ją kocha, tak jak ona jego. Jednak prześladowała ją ładna twarz piętnastolatki, której nie poznała. Gdyby zdołała odzyskać Matsutani, z pewnością Masachika by do niej wrócił. Miboshi może ocaliliby Tsumaru. Już była bliska podjęcia decyzji, że sama wróci po dokumenty, kiedy powiedziano jej, że matka przełożona chce ją zobaczyć. Od razu poszła do cichego pokoju niedaleko głównego wejścia do klasztoru.

Matka przełożona zaprowadziła ją na boczną werandę, skąd mogły zobaczyć bramę, i wskazała na czekającego tam mężczyznę.

– Czy to ktoś znajomy? Twierdzi, że przybywa z Matsutani z wiadomością od pana Kiyoyoriego.

Tamie serce podeszło do gardła. To mogła być tylko wieść o Tsumaru. Nie rozpoznała jednak tego mężczyzny. Kiyoyori z pewnością wysłałby któregoś ze swoich starszych sług, Sadaike albo Tsuneto. Ale przecież jej mąż nie ma pojęcia, gdzie ona jest. Nikt nie wie oprócz Masachiki. Czyżby przysłał do niej człowieka z jakąś obietnicą? Tylko po co ten by udawał, że jest z Matsutani?

– Nigdy go nie widziałam – szepnęła, jakby mógł ją usłyszeć. – Nie sądzę, żeby Kiyoyori go przysłał.

– Więc każę go odprawić – oświadczyła matka przełożona.

– Nie. Mógł go przysłać tylko Masachika, Muszę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Moja droga – matka przełożona posłała jej współczujące spojrzenie – a jeśli jego cel jest inny niż przekazanie wiadomości?

– Co masz na myśli, matko? Że Masachika kazałby mnie zamordować? – Tama nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

– Cóż, stoisz mu na drodze do przejęcia posiadłości.

Po dłuższej chwili potrzebnej do odzyskania panowania nad sobą Tama stwierdziła:

– Jeśli go odprawisz, matko, nie dowiemy się, kto go przysłał i czy nie zjawi się ponownie. Wpuśćmy go, a ja zgotuję mu powitanie, jakiego się nie spodziewa.

– Bądź ostrożna. Musimy unikać rozlewu krwi. Sama go do ciebie przyprowadzę.

Tama czekała na posłańca w tej samej chacie, w której spotkała się z Masachiką. W ręce ścisnęła nóż i tuż przy wejściu ustawiła halabardę. Czujność mężczyzny najwyraźniej została uspijona przez spokój dziedzińców i ogrodów, którymi go prowadzono, oraz samą obecność matki przełożonej, bo bez wahania wszedł ze światła dziennego w półmrok. Tama przystawiła mu nóż do gardła, zanim ją zobaczył, a kiedy szarpnął się do tyłu, nadział się na ostrze halabardy trzymanej przez mniszkę.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła matka przełożona. – Nie chcemy być zmuszone cię zabić.

Mężczyzna opadł na kolana.

– Wybaczcie mi! – krzyknął. – Nie powinienem był tu przychodzić.

– Oddaj broń – zażądała Tama. – Wtedy postanowię, co z tobą zrobić.

Kiedy nie zareagował od razu, przycisnęła nóż do jego szyi. Ostrze przebiło skórę.

Mężczyzna syknął.

– To nic wielkiego – uspokoiła go Tama, pewnie trzymając sztylet. – Nie ma żadnej poważnej rany. Ale nie zrozum mnie źle. Bez wahania pozwolę, żebyś się wykrwawił.

– Zostawiłem miecz przy bramie – powiedział mężczyzna. – Jestem nieuzbrojony.

– Kłamiesz. Myślę, że przyszedłeś mnie zabić. Zamierzałeś udusić mnie gołymi rękami?

– Noszę jedno ukryte ostrze, na piersi kurtki rzemienną garotę, a w rękawie woskowe kulki zawierające truciznę.

– To wszystko? – spytała Tama, szybko znajdując wymienione rzeczy. – A to?

Pokazała małą rurkę i zestaw strzałek w miniaturowym kołczanie. Było coś niemal intymnego w przeszukiwaniu niedoszłego zabójcy. Nagle Tama uświadomiła sobie bliskość obcego mężczyzny.

– Uważaj – ostrzegł ją. – Są śmiertelnie trujące.

Usłyszała prawdziwą troskę w jego głosie i zrozumiała, lekko rozbawiona, że on naprawdę uważa ją za atrakcyjną, a cała ta sytuacja mu się podoba.

– Chciałeś mnie zabić – stwierdziła. – Twierdzisz, że przybywasz z Matsutani z wiadomością od pana Kiyoyoriego?

– To nie on mnie przysłał – wyznał mężczyzna.

– Wiem. Po pierwsze, on nie ma pojęcia, że tu jestem. I nigdy nie wysłałby zabójcy, żeby w sekrecie zamordował jego żonę. Przyjechałby i sam mnie zabił. Wyświadczyłby mi ten zaszczyt. Może się rozstaliśmy, może się nienawidzimy, ale mam nadzieję, że nie

pogardzamy sobą. Tylko jedna osoba wie, gdzie jestem. Masachika. – Jej głos zachrypnął od emocji.

– Przykro mi – powiedział mężczyzna. – To rzeczywiście był pan Masachika. Jego rodzina mnie zatrudnia.

– Naprawdę? – Głos Tamy był jadowity. – Często wysyłają cię z takimi misjami? Żebyś zabijał bezbronne kobiety w klasztorach? Takie mają zwyczaje wojownicy ze wschodu? Niech ci się przyjrzę.

Matka przełożona uniosła żaluzje na zachodnim oknie i do pokoju wpadło wieczorne światło.

– Teraz opuszczę nóż – zapowiedziała Tama.

Mężczyzna odruchowo uniósł rękę, żeby zetrzeć krew z szyi.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła Tama, stanęła przed nim i przez chwilę mu się przyglądała. – Wyglądasz na człowieka wielu talentów.

Mężczyzna opadł na kolana i uklonił się do ziemi.

– Pani, moje imię brzmi Hisoku. Wszystkie moje talenty oddaję pod twoje rozkazy. Błagam, żebyś pozwoliła mi tobie służyć.

– Każdy złożyłby taką przysięgę po niewłaściwej stronie halabardy – zadrwiła Tama. – Przysłano cię, żebyś mnie zabił. Dlaczego miałabym wierzyć w tę nagłą przemianę?

– Sam nie mogę w nią uwierzyć – wyznał mężczyzna, unosząc głowę. – Nie potrafię jej wyjaśnić. Czuję, że wybawiłaś mnie, pani, od potwornego grzechu. Gdybym cię zabił, nigdy nie zdołałbym tego odpokutować. Ale teraz, w twojej służbie, może znajdę przebaczenie.

Tama odwróciła się do swojej towarzyszki.

– Matko przełożona, myślisz, że on jest szczery?

Mniszka oddała jej halabardę i uklękła przed Hisoku. Spojrzała mu w oczy, a następnie zamknęła swoje. W pokoju zapadła głęboka cisza. Z ogrodu dobiegał śpiew gajówki, pierwszy, jaki Tama słyszała tej wiosny.

– Jest szczery – stwierdziła po dłuższej chwili matka przełożona z nutą zdumienia w głosie. – To prawie jak cud.

– Oczywiście, że jestem szczery! – wykrzyknął Hisoku. – Myślicie, że nie potrafiłbym pokonać was obu, gdybym chciał? Ale powstrzymuje mnie niechęć do popełnienia morderstwa w tym świętym miejscu oraz mój podziw dla ciebie, pani.

– To cud – potwierdziła Tama. – Potrzebuję kogoś, kto pojedzie do Matsutani po pewne ważne dokumenty. Jeśli to dla mnie zrobisz i jeśli odzyskam posiadłość, pozwolę, żebyś mi służył.

– Powiedz mi, pani, czego potrzebujesz, a wyruszę jutro, jak tylko zrobi się jasno – rzekł Hisoku.

Kiyoyori

Z powodu obfitych śniegów Kiyoyori był uwięziony w Matsutani przez całą zimę, odcięty od nowin o zdrowiu cesarza i o losie swojego syna Tsumaru. Nie miał również wieści od swojego zarządcy Taro ani z Ryusonji. Usiłował hamować niecierpliwość i niepokój, starannie szykując się do wiosny, która, był tego pewien, przyniesie rewoltę albo powstanie, jeśli nie normalną wojnę. Nie rozmawiał z Tamą, choć wiedział, że nie powinien dłużej odkładać decyzji co do jej przyszłości. Nie mógł jej wybaczyć uczynków z początku zimy. Gdy tylko śniegi stopniały, wysłał ludzi do Ciemnego Lasu, żeby poszukali śladów Sesshina i Shikanoko. I, miał w duchu nadzieję, także pani Tory.

Pewnego dnia wrócił Tsuneto z wieścią, że zbiegów schwytano w Kumayamie i przekazano ich mnichowi Gessho.

– A więc byli w Ryusonji przez całą zimę – stwierdził Kiyoyori. – Dlaczego nic o tym nie słyszałem?

– Jeśli żyją, są ich więźniami – odparł Tsuneto.

– Rozmawiałaś w Kumayamie z Sademasa?

– Tak.

– Shikanoko twierdzi, że jest jego bratankiem, synem Shigetomo, poprzedniego pana Kumayamy. Sademasa coś o tym wspomniał?

– Nazwał go oszustem – powiedział Tsuneto. – Sądzę, że jest bardziej niż szczęśliwy, że tak łatwo się go pozbył. Nie spodziewa się, żeby Shikanoko wrócił z dalszymi roszczeniami.

– Więc książe opat dostał to, czego ode mnie chciał. Mistrza Sesshina. Dlaczego nie oddał mi syna?

– Pewnie ma nadzieję wpłynąć na was, panie, w innych sprawach – stwierdził Tsuneto.

Albo już go nie ma, pomyślał Kiyoyori. Taro udało się uratować Tsumaru. Ale gdzie oni są? Wciąż słyszał pożegnalne krzyki dziecka: „Ojczy, nie odchodź!”. Pamiętał z zadziwiającą klarownością wieczór po ataku Akuzenjiego, kiedy bandyci zostali ścięci, a żona przyprowadziła dzieci, żeby zjadły z nim kolację. Bawił się wtedy z nimi i podziwiał je, a później poszedł do pani Tory i wpadł w jej sidła. Czy właśnie to ściągnęło na niego karę niebios? Wezbrał w nim żal, ale zmusił się do słuchania Tsuneto.

– Sademasa był bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o jego własne działania, ale zauważyłem, że również spędził zimę na przygotowaniach do wojny. I miał u siebie kilku

wojowników, których nie rozpoznałem. Zastanawiałem się, czy mogli dołączyć do niego ze wschodu.

– Planuje nas zdradzić?

– To oportunistą. Napomknął, że oczekuje wielkiej nagrody od księcia opata za oddanie mu Sesshina i Shikanoko. Jeśli pan i książę koronny wygracie, przyklei się do was, ale jeśli księciu będzie groziła klęska, dołączy do Miboshich.

– Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję, żeby był mi teraz wierny. Muszę pojechać do stolicy najszybciej, jak to możliwe, a nie chcę zostawiać Matsutani bez ochrony w tych niebezpiecznych czasach.

To i inne zmartwienia nie dały Kiyoyoriemu w nocy spać, dlatego kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi, zdołał uciec z Hiną. Duża część głównego budynku się zawaliła, a stajnie pochłonął ogień. Kamiennie obramowanie jeziora pękło w kilku miejscach i woda odpłynęła, zostawiając błotniste dno. Kiedy tam dotarł, zobaczył wyraźne ślady stóp Tamy. Powierzył córkę opiece Haru, mając nadzieję, że pocieszy ją zabawa z innymi dziećmi, ale później tego dnia, gdy poszedł do zachodniej bramy, żeby ocenić zniszczenia, znalazł Hinę grzebiącą w gruzach. Słupy nadal stały, ale dach runął na ziemię.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

Zamknięta we własnym świecie Hina drgnęła, słysząc jego głos. Kiyoyoriego poruszył widok jej bladej twarzy. Po raz pierwszy zobaczył, jak bardzo córka wychudła. Trzęsienie ziemi było ostatnim z serii wstrząsów, które ostatnio ją spotkały: zniknięcie Tsumaru, oślepienie Sesshina, uwięzienie macochy. Poczł się winny, że przez całą zimę nie był wobec niej bardziej troskliwy. Zostawił ją pod opieką Haru.

– Trzymaj się z daleka od bramy – powiedział łagodnie. – Belki mogą na ciebie spaść.

– Szukam oczu, ojczu. Miałam sen, że znalazłam je i włożyłam do szkatułki ze skarbami. Słupy trzęsły się ze śmiechu. To było straszne. Kiedy się obudziłam, ziemia drżała.

Kiyoyori zauważył, że córka płakała. Nagle dostrzegł lekkie lśnienie w pyłe, schylił się i uniósł rzeźbioną poprzecznice na pół zagrzebaną w gruzie. Patrzyły na niego oczy. Nie straciły nic ze swojego połysku.

– Są! – wykrzyknęła Hina. Dwie łzy spadły na gałki oczne i je zwilżyły. Dziewczynka podała ojcu drewnianą rzeźbioną skrzyneczkę wyłożoną małym kawałkiem białego płótna. – Włóż je tutaj, a ja będę ich pilnować.

Kiyoyori wyjął szmatkę, owinął nią oczy i schował je do szkatułki. Hina niezdarnie odebrała od niego pudełko, bo pod pachą trzymała plik kartek luźno związanych sznurkiem.

Kiyoyori wskazał na teksty.

– Daj mi je, bo upuścisz.

Był to rękopis składający się z żółtych kartek pokrytych czarnym pismem i paru niebieskich ze złotymi literami. Kiyoyori przejrzał je pobieżnie i zauważył, że niektóre stronicie są sklezione, tak że nie mógł ich rozdzielić, natomiast innych w ogóle nie dało się odczytać. Tu i ówdzie trafiał się rysunek zwierzęcia albo mitycznej istoty, a Kiyoyori

odniósł niepokojące wrażenie, że ich oczy na niego patrzą. Całość wyglądała na ezoteryczny tekst z rodzaju dzieł pisanych przez mnichów albo uzdrowicieli.

– Medycyna – stwierdził. – To mistrza Sesshina?

– Dał mi to w zeszłym roku, kiedy zobaczył, jak szykuję wywary dla tamtego psa, który był taki chory – powiedziała Hina.

Jej słowa zaskoczyły Kiyoyoriego. Nie wiedział, że Sesshin kiedykolwiek rozmawiał z jego córką, nie mówiąc o dawaniu jej takich tekstów.

– Potrafisz to przeczytać?

– To dla mnie za trudne. Ale lubię patrzeć na obrazki. Ta książka nazywa się „Skarbnica kudzu”. Bo jest taka trudna i skomplikowana jak kudzu. Tak powiedział mistrz Sesshin. Czasami czuję, że ona nie chce, żebym ją przeczytała.

– Pomogę ci, jeśli jesteś naprawdę zainteresowana. – Kiyoyori złożył obietnicę, wiedząc, że może nigdy jej nie dotrzyma, bo już nigdy nie będą mieli okazji spędzić ze sobą tyle czasu. I znowu gorzko pożałował, że zmarnował całą zimę.

Dziewczynka z uśmiechem pokiwała głową i zaraz spoważniała.

– Gdzie jest moja macocha?

– Nie wiem. Odeszła, prawdopodobnie dzisiaj rano.

Poszedł z Hiną nad jezioro i pokazał jej ślady stóp.

– Wróci? – spytała córka.

– Nie sędzę.

– A Tsumaru?

– Zamierzam zdradzić ci sekret o Tsumaru – rzekł Kiyoyori. – Wiesz, że go porwali, żeby mnie zmusić do oddania mistrza Sesshina...

Córka utkwiała w nim wzrok twardy jak stal.

– A pani Tora?

– Nie chcę rozmawiać z tobą o pani Torze. To niestosowne. Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza.

Skarcona Hina oblała się rumieńcem. Kiyoyori mówił dalej surowym tonem, żeby zamaskować poczucie winy i żal:

– Jeden z naszych ludzi obiecał, że go uratuje. Nie wiem, czy mu się udało.

– Kto? – zapytała Hina.

– Zarządca domu, który mamy niedaleko Ryusonji. Iida no Taro.

– Jeśli mu się udało, dlaczego Tsumaru nie wrócił do domu?

– Nie wiem – odparł Kiyoyori. – I dlatego muszę pojechać do stolicy.

– Zostawisz mnie tutaj?

– Nie, możesz pojechać ze mną.

– Czy trzęsienie ziemi było karą? – raptem spytała Hina.

Kiyoyori nie miał ochoty jej odpowiadać. Dzieci nie powinny osądzać rodziców. Obawiał się jednak, że trzęsienie ziemi było karą za wiele strasznych rzeczy, które wydarzyły się w Matsutani, i z pewnością złowrogi początek roku.

Przenieśli się do niezniszczonej części domu, wyprawiono pogrzeby i spalono ciała,

a Kiyoyori wydał instrukcje co do odbudowy rezydencji. Zostawił dwie trzecie swoich ludzi, żeby pomagali w pracach i strzegli Matsutani, a resztę zabrał ze sobą do Miyako.

Hina wzięła „Skarbnicę kudzu” i szkatułkę z oczami Sesshina.

* * *

Miasto było zatłoczone. Na ulicach roilo się od uzbrojonych wojowników, na bramach i dachach powiewały czerwone chorągwie Kakizukich. Kiedy Kiyoyori przechodził przez południową bramę, w której schronienie znaleźli żebracy i włóczędzy, został rozpoznany przez jednego ze sług pana Hosokawy, który dowodził strażami.

Mężczyzna powitał go ciepło.

– Kiyoyori! Przyjechałeś bronić stolicy?

– Co się dzieje?

Znajomy utorował sobie drogę przez tłum, chwycił wodze konia i gestem pokazał Kiyoyoriemu, żeby się nachylił.

– Cesarz umiera, a ze wschodu nadciągają Miboshi – wyszeptał.

– Byłbym bardziej użyteczny w Matsutani, gdybym bronił traktu – stwierdził Koyoyori, zastanawiając się, czy powinien wrócić. Czuł, że wszystkie jego decyzje są złe, jakby stracił boską ochronę.

– Nie, jesteś potrzebny tutaj. Obawiamy się ataku na księcia koronnego. Ilu ludzi przyprowadziłeś?

– Tylko pięćdziesięciu. Nie słyszałeś o trzęsieniu ziemi?

– Tutaj też je odczuliśmy, ale nie było niszczycielskie. Lepiej zgłoś się do pana Hosokawy, jak tylko będziesz mógł, i on ci powie, co masz robić.

Kiyoyori pożegnał się i pojechał dalej.

W domu pod Rokujo nie było śladu Taro. Miejsce wyglądało na mocno zaniedbane. Kiyoyori odreagował niepokój na służących, a oni po jego wybuchu wściekłości rozpięchli się, żeby pootwierać okiennice, wywietrzyć pościel, zamieść podłogi i przyszykować jedzenie.

Hina była blada z wyczerpania. Kiyoyori sam umył jej twarz i stopy, a kiedy tylko pokój był gotowy, położył ją spać. Następnie znalazł papier i przybory do pisania, skreślił wiadomość i wysłał z nią Sadaike do Ryusonji.

Sługa wrócił po godzinie i oznajmił, że księżę opat go przyjmie mimo późnej pory. Kiyoyori wyruszył natychmiast wozem zaprzężonym w wołu, używanym przez niego do podróży po stolicy, zwłaszcza kiedy chciał być dyskretny. Powóz był pełen pajęczyn i cuchnął pleśnią. Wół nie miał na sobie uprząży od miesięcy i zapomniał wszystko, czego go nauczono. Ulice tarasowały liczne pojazdy, którymi mieszkańcy zamierzali uciec z miasta. Dotarcie do świątyni zabrało mu dużo czasu, tak że kiedy przybył na miejsce, już zapadł zmierzch. Niebo było pogodne, pojawiły się gwiazdy.

Powozu nie wpuszczono za pierwszą bramę. Kiyoyori wysiadł i został poprowadzony zwirową ścieżką i dalej przez świątynne zabudowania do tej samej komnaty, w której był

ostatnim razem. Księżę opat siedział na tych samych poduszkach z fioletowego i białego jedwabiu. U jego boku klęczał młody mężczyzna o nieogolonej głowie, z włosami związanymi na jej czubku jak u wojownika. Kiyoyori rozpoznał w nim Shikanoko.

Jego pierwszą reakcją była ulga, że chłopak żyje, ale szybko zastąpiła ją wściekłość. Shika nie wyglądał jak więzień ani zakładnik. Musiał sprzymierzyć się z księciem opatem. Kiyoyori od razu pożałował, że darował mu życie, ale nie miał teraz czasu na rozpamiętywanie. Ukląkł i czekał, aż kapłan pozwoli mu mówić, a wtedy rzekł, siląc się na uprzejmość:

– Panie opacie, słyszałem, że mnichowi Gessho udało się wytropić zbiegów, których szukaliście. Widzę, że Shikanoko jest u was na służbie. Dlaczego więc nie oddano mi syna?

– Nadal są między nami sprawy, które trzeba załatwić – odpowiedział mu zimno księżę opat. – Gdzie jest kobieta, czarownica? A ty po czyjej stronie stoisz?

Przez chwilę Kiyoyori nie mógł wydobyć z siebie głosu. Opat sądzi, że ona żyje!

– A po czyjej stronie mam stać, jeśli nie własnej rodziny, Kakizukich? – Nawet się nie starał hamować gniewu. – Nie możesz, panie, oczekiwać, że zdradzę swoich w zamian za życie syna.

– Śmiesz mnie pouczać o lojalności? – W głosie opata brzmiała nuta furii. Uniósł się, jakby zamierzał wstać i podejść do Kiyoyoriego, może go uderzyć, ale szybko się opanował się i usiadł. Postukał w zwój, który leżał na poduszce u jego boku. – Wiesz, co to jest? Księga Przyszłości. Są w niej spisane imiona wszystkich przyszłych cesarzy. Nie działam bez celu ani dla osobistych korzyści. Wypełniam wolę niebios. Księcia Momozono nie ma w tej księdze, za to jest imię jego młodszego brata.

– Pokaż mi ją, panie – zażądał Kiyoyori.

– Tylko moje oczy mogą ją czytać – oświadczył księżę opat.

Jakie to dogodne! Kiyoyori szybko ocenił próbę odwrócenia uwagi, widoczną utratę kontroli.

– Proszę pokazać mi syna, Wasza Świątobliwość – rzekł śmiało. – Niech zobaczę jego twarz.

– Jeśli zgodzisz się nie występować przeciwko mnie i trzymać z dala od rychłej konfrontacji, będziesz mógł go zobaczyć.

W jego głosie brzmiała nuta niepewności. Kiyoyori zrozumiał, że księżę opat nie ma Tsumaru. Czyżby Taro się udało? Zerknął na Shikanoko i zauważył, że młodzieniec przygląda mu się ze współczuciem. Jego wnętrzości ścisnął strach.

– Dlaczego marnujesz mój czas? – spytał gniewnie księżę opat. – Żałuję, że zgodziłem się ciebie przyjąć. Odejdź. Nie mamy już o czym rozmawiać, teraz ani kiedykolwiek. Następnym razem, gdy cię zobaczę, twoja głowa będzie nadziana na pal, podobnie jak głowy wszystkich moich wrogów.

Kiyoyori wyszedł, obawiając się, że zostanie zatrzymany, nim dotrze do bramy. Czuł jeszcze większy niepokój niż przed przybyciem do Ryusonji. Idąc przez ostatni dziedziniec, usłyszał dźwięki lutni i śpiew:

*Dziecko smoka poleciało za wysoko.
Było jeszcze takie młode, starało się,
Ale zawiodły je skrzydła i spadło na ziemię.
Spadło na ziemię.
Mieszka teraz pod jeziorem w Ryusonji.*

Żałobna melodia przyprawiła go o dreszcz.

Po powrocie do domu zostawił wóz i pojechał konno do pałacu swojego krewniaka Hosokawy no Masafusy. Na dziedzińcu zgromadzili się uzbrojeni mężczyźni, z mieczami u pasa, z kołczanami pełnymi strzał na plecach, z łukami w rękach. Zapadła już noc.

Masafusa powitał go sztywno.

– Jesteś w stolicy, Kiyoyori? Bałem się, że zostałeś pokonany przez Miboshich. Czy ktoś broni twojej posiadłości?

– Zostawiłem tam większość swoich ludzi, jakąś setkę. Matsutani zostało mocno zniszczone podczas trzęsienia ziemi. Mieliśmy kilku zabitych i straciliśmy dużo koni. Nie wiedziałem, że sytuacja stała się taka rozpaczliwa w tak krótkim czasie. Dlaczego nikt mnie nie powiadomił?

– Nie znaliśmy rozmiarów intryg księcia opata ani stanu wojennych przygotowań Miboshich. Póki cesarz żyje, nie było powodów do alarmu. On sam wyznaczył księcia Momozono na swojego następcę. Ale teraz umiera. Zbliź się, bo będę szeptał. Plotkuje się, że on już umarł parę dni temu, ale księżę opat nie pozwala tego ujawnić, póki księżę koronny i jego syn Yoshimori nie będą martwi, tak żeby mógł natychmiast osadzić na Lotosowym Tronie swojego faworyta.

– Z pewnością nawet on nie odważy się skrzywdzić Jego Cesarskiej Mości?

– Bez wątpienia się odważy. Oskarży księcia o rebelię i zaatakuje pałac. To może się stać w każdej chwili, może nawet dzisiaj w nocy. Miboshi zbliżają się od wschodu, gotowi zająć stolicę i bronić praw nowego cesarza.

– Gdzie jest nasz pan i jakie są jego rozkazy? – zapytał Kiyoyori.

– On uważa, że powinniśmy uciekać. Zdaje się, że lata władzy i zbytków pozbawiły go ducha walki. Nasi ludzie nie mają ochoty na wojnę. Może przyszedł czas, żeby poddać się Miboshim.

– Nie, póki żyję! – wykrzyknął Kiyoyori. Był zadowolony, że szykuje się wojna. Nic innego nie mogło uśmierzyć jego niepokoju.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Pan Keita chce zabrać ze sobą wnuka. W ten sposób ochroni prawowitego cesarza, nawet jeśli księżę Momozono nie przeżyje. Idź do pałacu księcia i broń go tak długo, jak zdołasz, ale co najważniejsze, uratuj chłopca i zawieź go do Rakuhary, bo tam zamierza uciec nasz pan.

Rakuhara była dużą posiadłością Kakizukich na zachód od stolicy, niedaleko portu Akashi.

– Ruszaj natychmiast – powiedział Masafusa.

Kiyoyori się uklonił.

– Do zobaczenia w Rakuharze.

Jadąc pośpiesznie ciemnymi ulicami, rozmyślał ponuro, że dzieci są wykorzystywane jako pionki w walkach mężczyzn o władzę. Jego syn Tsumaru i wnuk cesarza Yoshimori mieli być uprowadzeni i zamordowani nie za swoje zbrodnie, chyba że z poprzedniego życia, ale z powodu tego, kim byli ich ojcowie.

Przypomniała mu się pieśń grana na lutni. Dlaczego usłyszał ją właśnie teraz i jaką niesła dla niego wiadomość? W głębi serca znał odpowiedź: dlatego że Tsumaru nie żyje.

* * *

Hina zasnęła niemal natychmiast po wyjściu ojca i spała głęboko, póki nie obudziły jej ludzkie głosy i rżenie koni. Przestraszyła się, że ojciec gdzieś wyjedzie i ją zostawi. Wybiegła na werandę, ale jego już nie było.

W tę spokojną wiosenną noc nad zaniedbanym ogrodem unosiła się woń kwiatów, czasem w stawie plusnęła ryba.

Nagle coś poruszyło się w mroku. Hina pomyślała, że to lis, i przysunęła się do słupa werandy. Po chwili dostrzegła jakąś zbliżającą się postać. Dwunożną. Już miała krzyknąć, kiedy zobaczyła, że to Shikanoko.

Przytknął palec do ust i przywołał ją skinieniem, a kiedy do niego podeszła, zaprowadził ją na koniec ogrodu, gdzie rosły zdziczałe krzewy azalii. Hina była szczęśliwa, że go widzi. Tęskniła za nim, odkąd on i Sesshin zostali wypędzeni z Matsutani.

– Gdzie jest twój ojciec, Hino? – zapytał szeptem Shika.

– Wyjechał, ale nie wiem dokąd.

– Widziałem go w Ryusonji. Nie wrócił do domu?

– Spałam. Pewnie wrócił i znowu wyjechał, bo chyba go słyszałam na dziedzińcu.

– Chciałem z nim porozmawiać, spróbować mu wyjaśnić parę rzeczy, ale teraz jest już za późno. – Shikanoko milczał przez chwilę. – Cóż, chyba muszę powiedzieć tobie, choć to trudne dla dziecka.

Hina zadrżała.

– Chodzi o Tsumaru? Mój brat nie żyje?

Shika otoczył ją ramieniem.

– Skąd wiedziałaś?

– Śnił mi się. Zawsze jest duchem w moich snach.

Shikanoko westchnął.

– Musisz opowiedzieć ojcu, jak to się stało. Tsumaru zniknął z Ryusonji pierwszej nocy, kiedy tam się zjawilem. Ksiązę opat był zrozpaczony. Polubił chłopca i obiecał twojemu ojcu, że nie stanie mu się żadna krzywda. Odprawił rytuał przywołania duchów i dowiedział się, że któryś ze sług twojego ojca próbował go porwać. W pewnym momencie chciał go uciszyć i niechcący udusił. Znaleźliśmy jego ciało w jeziorze.

Hina płakała cicho.

– Jest teraz razem z dzieckiem smoka – dodał Shikanoko.

– Ojciec mi powiedział, kto to był – wyszłochała dziewczynka. – Zamierzał uratować Tsumaru, ale go zabił. To Iida no Taro.

– Zapamiętam to nazwisko – obiecał Shika.

Hina się do niego przytuliła.

– Tęskniłam za tobą. I za końmi. Jak Risu?

– Poprawia jej się charakter. Jest zakochana w Nyorinie. Myślę, że w następnym roku będzie miała źrebię.

– Chciałabym je zobaczyć. I zamieszkać z tobą, Risu, Nyorinem i ich źrebięciem. Pobierzemy się, kiedy będę dorosła?

– Twój ojciec będzie chciał, żebyś wyszła za jakiegoś wielkiego pana dorównującego twojej wysokiej pozycji.

– Wolałabym wyjść za ciebie.

Z daleka dobiegło wołanie, a po nim świst strzał, brzęk stali, rzenie koni i ludzkie krzyki.

– Co się dzieje? – Hina zacisnęła palce na ramieniu Shiki.

– Zaczęło się – powiedział. – Muszę wracać do Ryusonji.

– Shikanoko, jesteś po naszej czy po ich stronie?

– Nie jestem po niczyjej stronie. Tylko po swojej.

– Więc jesteś czarownikiem, jak twierdzą wszyscy?

– Zostałem nim wbrew woli i teraz taki jest mój los.

– Mówisz, jakbyś się smucił z tego powodu.

– Chciałem porozmawiać z twoim ojcem. Smucę się, że jest już za późno. Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że mi przykro...

– Dlaczego?

– Nie wiem. Przykro mi, że tamtego dnia mnie oszczędził.

– A mnie nie jest przykro! Cieszę się. Myślałam, że on każe cię zabić, jak tamtych wszystkich. Modliłam się i modliłam, żeby darował ci życie. I byłam taka szczęśliwa, kiedy zabrałeś Risu razem z Nyorinem. Bałam się, że ją zostawisz. Polubiłam cię od samego początku, ale po tym jeszcze bardziej.

– Hino, jakie z ciebie dobre dziecko!

Shikanoko przyciągnął ją do siebie i uważnie przyjrzał się jej twarzy.

– O co chodzi? – zapytała szeptem dziewczynka.

– Chcę zapamiętać twój wygląd. Może nigdy więcej się nie spotkamy.

Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższą chwilę. Potem Hina oznajmiła:

– Mam oczy mistrza Sesshina. Oddać ci je?

– Dlaczego wzięłaś je z bramy?

– Było trzęsienie ziemi – odpowiedziała z rozdrażnieniem Hina. – Nie wiedziałaś? Dom został zniszczony i stajnie. Zginęło dużo koni i trochę ludzi też. A moja macocha uciekła.

Znowu zaczęła płakać.

– On chciał, żeby jego oczy zostały w Matsutani – powiedział Shika. – Ale teraz musisz je zatrzymać. Obmywaj je łzami, a one będą za ciebie patrzeć. – Tulił ją przez chwilę,

a potem wypuścił z objęć, jednym susem przeskoczył przez mur i zniknął w ciemności.

Hina wróciła do domu. Hałas dobiegający z ulic obudził służących. Zgromadzili się wokół niej wystraszeni, podczas gdy ona siedziała na werandzie ze szkatułką zawierającą oczy i „Skarbnicę kudzu” i czekała na ojca. Od czasu do czasu roniła łzy, żeby zwilżyć oczy Sesshina, ale nie wiedziała, czy one naprawdę nad nią czuwają ani jaką ochronę są w stanie jej zapewnić.

Aki

Aki obudziła się z wyrazistego snu. Stała przy strumieniu i widziała rozbryzgi krwi na skałach, a kiedy skoczył na nią młody jelen, otworzyła oczy. Lampy paliły się słabo w każdym kącie pokoju, ale na zewnątrz było ciemno i cicho. Jeszcze nie śpiewały ptaki, nawet koguty nie zaczęły pisać.

Obok niej klęczał ojciec w stroju na polowanie, pod którym lśniła zbroja z zielonym sznurowaniem. Przy biodrze miał długi miecz. Za nim stała matka z kołczanem strzał.

– Przychodzą, żeby aresztować księcia – powiedział cicho ojciec.

Serce Aki zabiło szybciej. Patrzyła na ojca, oddychając wolno i miarowo, tak jak ją nauczył. Chciała opowiedzieć mu sen i usłyszeć jego zdanie, czy jest proroczy, ale nie było teraz na to czasu.

– Nie złapią go – mówił dalej ojciec. – On nie pozwoli, żeby ścięli go w tajemnicy i posadzili marionetkę na Lotosowym Tronie. Posłaliśmy po pomoc. Wkrótce się zjawi Kiyoyori. Będziemy się bronić tak długo, jak się da. Ty musisz zabrać Jego Wysokość i uciec.

Odwrócił się i wziął kołczan od żony. Przewiesił go przez plecy.

– Obudź go szybko i ubierz w jakieś stare rzeczy.

– Lepiej żeby oboje przeprawili się razem z nami przez Rzekę Śmierci – odezwała się matka. – Jak dziewczyna sama przeżyje? Dokąd pójdzie?

– Musimy dać Yoshimoriemu szansę – upierał się ojciec.

– Zabiorę go. Będę się nim opiekować. Obiecuję. – Aki już wstała. – Co mam włożyć? Macie dla mnie coś starego?

Matka przyniosła ze sobą stos ubrań pokojówek.

– Nawet one są zbyt ładne – stwierdziła. – Spójrz na nią. Nic nie ukryje jej wyglądu. Tam są źli ludzie. Co jej zrobią?

– Właśnie dlatego nauczyłem ją, jak się bronić – rzekł ojciec. – Weź nóż, Aki, i obiecuj, że będziesz się trzymać z dala od mężczyzn. Wiesz, o czym mówię. Na kobietę czyhają różne niebezpieczeństwa. Zabij każdego, kto spróbuje się do ciebie zbliżyć albo skrzywdzić księcia.

– Obiecuję.

– Obetniemy jej włosy – zarządziła matka i wezwała pokojówkę, żeby przyniosła nożyczki.

Włosy Aki sięgały prawie do ziemi. Matka przytrzymywała każde pasmo blisko głowy i odcinała je bez wahania. Wkrótce dziewczyna stała w sadzawce czerni. Żadne z nich nie odezwało się ani nie zapłakało.

Kiedy na koniec Aki się ubrała, matka przyprowadziła Yoshimoriego i zmieniła jego haftowaną piżamę na szatę z surowych konopi przewiazaną sznurkiem. Chłopiec miał zaspane oczy i ziewał, ale nie płakał ani nie protestował.

Aki kręciło się w głowie i było jej zimno. Otuliła się szalem jak dziewczyna idąca rankiem na targ albo do kaplicy. Nigdy w życiu nie rozmawiała z żadną. Udawanie jednej z nich wydawało się jej egzotyczne.

– Dokąd mam pójść?

– Idź północną drogą wokół jeziora i kieruj się na świątynię Rinrakuji. Pamiętaj, że często tam razem bywaliśmy. Mnisi ukryją młodego księcia, a ty zostaniesz tym, kim miałaś zostać, świątynną dziewicą w służbie Kannon. Upewnij się, że chłopiec jest bezpieczny. Musisz zabrać swój łuk z katalpy. Zapakowaliśmy go razem z Genzo, cesarską lutnią. Nie możemy pozwolić, żeby została zniszczona.

Matka wręczyła jej tobolek. Aki wzięła go z szacunkiem i poczuła przez płótno, że to lutnia. Instrument wydał ciche, smutne brzęknięcie, łuk mu odpowiedział.

– Idź już, moja córko – rzekł ojciec. – Ludzie księcia opata będą tu lada chwila. Zatrzymamy ich przy głównej bramie. Musisz się wymknąć przez księżycową bramę i iść wzdłuż rzeki. Wielu ludzi będzie uciekało z miasta. Przyłącz się do nich.

Ukląkł przed chłopcem.

– Yoshimori, przez jakiś czas nie wolno nazywać cię księciem ani panem. Nikt nie może wiedzieć, kim jesteś. Z nikim nie rozmawiaj. Słuchaj we wszystkim Aki. Ona jest teraz twoją starszą siostrą. Rozumiesz?

– A co z Kai? – zapytał chłopiec. – Nigdzie nie idę bez Kai.

– Wystarczająco trudno jest z jednym dzieckiem, nie mówiąc o dwójce – zamruczał ojciec.

– Jeśli Kai zostanie, zginie – włączyła się matka na tyle głośno, że Yoshimori ją usłyszał.

– Będę krzyczeć – ostrzegł. – Jeśli Kai nie idzie, będę krzyczał i krzyczał. I nigdzie nie pójdę.

– Obudźcie ją – zdecydowała Aki. – Zabiorę oboje. Obecność Kai ułatwi sprawę.

Z oczu ojca trysnęły łzy. Matka szlochała cicho, kiedy wciskała w rękę córki dwie pary chodaków. Aki ukloniła się rodzicom do ziemi. Nic nie mówiła, ale w głębi serca płakała. Ojczy, matko, kiedy was znowu zobaczę?

Na zewnątrz hałas narastał jak burza. Najpierw rzadkie krople: jeden krzyk, dudnienie stóp śpieszących korytarzem, potem ciężka nawałnica: kobiece zawodzenie, kroki biegnących mężczyzn, wrzaski, przeraźliwe rzenie koni w oddali. Aki wzięła Yoshimoriego na rękę i posadziła go sobie na biodrze. Był drobnym dzieckiem, a ona, w przeciwieństwie do większości pałacowych kobiet, które nigdy nie dźwigały niczego cięższego niż piórko do pisania czy grzebień, była silna. Mimo to nie wiedziała, jak długo zdoła go nieść.

U jej boku pojawiła się Kai, blada i cicha. W ręce trzymała rytualną szkatułkę Aki.

– Twoja matka kazała mi to zabrać – powiedziała.

– Nie mogę nieść jeszcze tego! – wykrzyknęła Aki, po raz pierwszy bliska łez.

– Ja będę jej pilnować – obiecała Kai. Uśmiechnęła się do Yoshimoriego, dotykając jego kostki.

Migotliwe światło lamp rysowało dziwne wzory na brokatowych i bambusowych zasłonach odgradzających wejścia do pokoi. Aki odsunęła najbliższą zasłonę i wyszła na szeroką werandę. Posadziła Yoshimoriego na jej brzegu i włożyła drewniaki. Drugą parę wsunęła na jego stopy. Potem wzięła go za rękę i pociągnęła w górę.

– Teraz musisz iść obok mnie.

Przez chwilę myślała, że będzie musiała mu pokazać, jak to się robi, ale chociaż chłopiec przez całe swoje krótkie życie prawie wszędzie był noszony, jego mięśnie nie były bezużyteczne, poza tym jak każde normalne dziecko miał ochotę się ruszać i biegać. Kai szła na bosaka. Szybko przecięli ciemny wschodni dziedziniec, ale kiedy mijali Nowy Lśniący Dwór, nagle zabłysło światło i ukazała się twarz matki Yoshimoriego, pani Shinmei.

Aki nasunęła kaptur niżej na twarz i próbowała ukryć chłopca w fałdach spódnicy. Przez chwilę myślała, że przejdą nierozpoznani, ale księżna zbliżyła się do nich i spytała:

– Co robisz z Jego Wysokością? Dokąd go zabierasz?

– Nie można mnie tak nazywać – odezwał się chłopiec.

– Pani, jestem córką jego niani. Mój ojciec Hidetake kazał mi uciec z waszym synem i ukryć się.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Księżę opat wysłał ludzi, żeby aresztowali pani męża. Księżę zamierza stawić opór.

Pani Shinmei wytrzeszczyła oczy. Twarz miała białą jak śnieg.

– Więc muszę być u jego boku, żeby dzielić z nim poduszkę po śmierci tak jak za życia. Nasz syn musi umrzeć z nami. Chodź, Wasza Wysokość. Zmienimy to nędzne ubranie i przygotujemy twoje przeświecne ciało na podróż do drugiego świata. – Wyciągnęła rękę, smukłe i białe na tle czarnych włosów, które opadły wokół niej jak jedwab. – Nikt nie uniknie swojego losu.

Chłopiec ledwo znał matkę. Został wychowany przez rodziców Aki. Teraz przytulił się do niej i chwycił Kai za rękę.

Co miała zrobić? Posłuchać ojca i sprzeciwić się księżnej? Czy uznać prawo matki do decydowania o losie dziecka i pozwolić, żeby Yoshi umarł razem ze swoimi rodzicami? Dlaczego tak się bać śmierci? Ona czyhała wszędzie, oddzielona od życia tylko najcieńszą, niewidzialną zasłoną. Chwila bólu i przechodziło się do drugiego świata, zostawiając za sobą na pamiątkę honor i odwagę, stawało przed sądem, a potem rodziło się na nowo.

W nikłym świetle blade ręce matki przyzywały jak duchy do grobu.

– Jeśli mam kiedyś rządzić, nie mogę teraz umrzeć – oświadczył chłopiec.

Do ukończenia siedmiu lat dzieci należą do bogów i mówią tylko prawdę. Aki zrozumiała, że słyszy boskie przesłanie. Nic nie mówiąc, chwyciła Yoshimoriego za rękę.

Przez chwilę chłopiec opierał się zaskoczony, ale szybko się poddał i we trójkę pobiegli w stronę księżycowej bramy i rzeki.

Wielu ludzi próbowało uciekać, bo ludzie księcia opata podpalali pałacowe zabudowania jedno po drugim. Wiatr, który się zerwał tuż przed świtem, pędził płomienie w stronę miasta. Palił się już Dwór Światła Wschodu, a stojący obok niego Dwór Nowej Nauki zmienił się w czarne zgliszcza na tle czerwonego piekła. Bezcenne skarby, zwoje nie do zastąpienia były trawione przez ogień i zamieniane w popiół. Aki poczuła, że lutnia znowu wibruje w jej rękach i jęczy cicho.

Yoshimori drżał. Aki pochyliła się i wyszeptała:

– Bądź dzielny. Pamiętaj o swoich słowach. Twoim przeznaczeniem jest żyć.

Chłopiec nic nie odpowiedział, tylko mocniej ścisnął jej rękę i pobiegł przez bramę, bardziej prowadząc ją, niż ona jego.

Kai zatrzymała się na chwilę i coś jej pokazała.

Aki usłyszała za sobą potężny okrzyk, jakby objawił się jeden z bogów i rykiem ogłosił swoją obecność.

– Jestem Kiyoyori z Kakizukich, pan Matsutani i Kuromori!

Dziewczyny spojrzały na siebie wielkimi wystraszonymi oczami i popędziły razem z Yoshim w stronę rzeki.

Kiyoyori

Kiyoyori pojechał z rezydencji Hosokawy prosto do siedziby księcia koronnego. Dwór znajdował się niedaleko, po wschodniej stronie większego kompleksu pałacowego, w którym mieszkał cesarz (a teraz prawdopodobnie leżał martwy). Kiedy on i jego mały oddział przedzierali się przez ulice, myślał o Hinie i zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy, czy ktoś się nią zaopiekuje, czy też wszyscy uciekną. Zadawał sobie pytanie, co się stało z jego zarządcą Iidą no Taro, i nagle ujrzał go we własnej osobie stojącego na końcu alejki.

Twarz Taro zmieniła się na widok pana. Było tak, jakby na niego czekał. Na chwilę Kiyoyoriego ogarnęła nadzieja. Przynosi dobre wieści, pomyślał. Tsumaru żyje ukryty gdzieś w bezpiecznym miejscu. Ale potem sługa wykonał bezradny gest i Kiyoyori zrozumiał.

Muszę z nim porozmawiać. Muszę usłyszeć, co się stało. Był przygotowany na śmierć, ale nie mógł znieść myśli, że nigdy się nie dowie, w jaki sposób umarł jego syn.

Nie zdążył o nic spytać. Konie pomknęły dalej. Kiyoyori odwrócił się na chwilę w siodle i zobaczył, że Taro zaczyna za nim biec, lawirując wśród tłumu. Jego wierzchowiec się spłoszył i Kiyoyori musiał znowu patrzeć przed siebie.

Kończyła się godzina Wołu. Świt jeszcze nie nadszedł. Bram pałacu strzegli uzbrojeni mężczyźni. Kiyoyori od razu zobaczył, że jest ich za mało. Zostawił swoich ludzi na ulicy, a sam przekonał strażę, że jest tym, za kogo się podaje. Kazał im wezwać kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Po chwili na jego spotkanie wyszedł jakiś szlachcic, prowadząc konia. Strażnicy zamknęli za nim bramę.

– Kiyoyori – powitał go z ulgą Hidetake. – Przybywasz w samą porę. Godzinę temu otrzymaliśmy wieść, że atak jest bliski. Książę wkłada teraz zbroję.

– Zostałbym i walczył z wami, ale pan Keita rozkazał mi zabrać jego wnuka i odeskortować go do Rakuhary – powiedział, pochylając się na koniu.

– A więc Keita ucieka – stwierdził Hidetake. – Nie przyjdzie nam na pomoc?

– Przynajmniej możemy uratować Yoshimoriego, jeśli będziemy działać szybko. Gdzie on jest?

– Już go odesłałem. Moja córka prowadzi go do Rinrakuji.

– Musimy za nim jechać – zdecydował Kiyoyori, ale w tym momencie tętent koni pędzących ulicą kazał im obu się odwrócić.

Ludzie z pochodniami oświetlającymi ich broń i hełmy zatrzymali się tuż poza zasięgiem strzał, a ich dowódca oznajmił:

– Jestem Yoshibara no Chikataka z Miboshich. Zostałem przysłany przez pana Aritomo i Jego Świątobliwość księcia opata z Ryusonji, żeby aresztować księcia Momozono za bunt przeciwko cesarzowi.

Kiyoyori ruszył w ich stronę, ogłaszając swoje imię głosem potężniejszym od grzmotu.

– Służymy Jego Cesarskiej Mości i nigdy go wam nie oddamy.

– Powinieneś być zostać w Kuromori, Kiyoyori. Shimaura padła i pięćdziesiąt tysięcy Miboshich idzie na stolicę.

– Więc zginiemy tutaj, a ty razem z nami – oświadczył Kiyoyori. Rosła w nim posępna radość, wyostrzając mu wzrok i dodając siły ramionom.

Brama za nim się otworzyła i wyjechał przez nią sam książę koronny na czele setki ludzi. Kiedy mijali Kiyoyoriego, Hidetake dosiadł konia i nasadził strzałę na łuk. Wszyscy jeźdźcy wystrzelili swoje jednocześnie, tak że w stronę Miboshich poleciał grad pocisków, zmuszając ich do cofnięcia się. Kiyoyori pomyślał, że książę ma siły i wolę, żeby zwyciężyć, ale w niewidocznych uliczkach czekały jeszcze setki przeciwników. Teraz, kiedy białe chorągwie zajaśniały w blasku pochodni, ruszyli szeroką ławą, strzelając z łuków. Książę Momozono został trafiony w szyję. Kiyoyori pogalopował w stronę następcy tronu, ale kiedy nagle jego koń zarżał przeszyty strzałą, zeskoczył z niego, zanim wierzchołek runął na ziemię.

Wokół rannego księcia uformował się krąg z jego ludzi, broniących go mieczami, pikami i sztyletami. Wojownicy padali kolejno, a ich krew mieszała się z krwią pana. Kiyoyori zobaczył, że nie ma żadnej nadziei. Masa Miboshich wręcz ich przytłoczyła. Jego słudzy utworzyli szerszy półkrąg zwróceniem plecami do bramy. Kiyoyori przez cały czas pamiętał o rozkazie, żeby chronić dziecko, teraz prawie na pewno nowego cesarza. Nie chciał, żeby myślniano, że ucieka, ale musiał ratować Yoshimoriego. Krzycząc do swoich ludzi, żeby się cofnęli i bronili wejścia, wbiegł przez bramę i zamknął ją za sobą. Ostatnim, co zobaczył z toczącej się bitwy, był obraz Sadaike z zakrwawioną głową, pokazującego mu gestem, że rozumie.

Pałac już płonął. Atakujący musieli wdrzeć się przez inne bramy, chyba że w środku byli zdrajcy. Kobiety z krzykiem uciekały przed płomieniami. Kiyoyori też pobiegł, mając nadzieję, że dogoni córkę Hidetake, zanim dziewczyna opuści teren pałacu. Raptem zatrzymał go widok córki pana Keity, pani Shinmei, matki dziecka, stojącej na tle poczerniałych kolumn i krokwi wielkiego dworu.

– Gdzie jest twój syn, pani?! – zawołał. – Wasz ojciec kazał mi ratować chłopca i panią. Jestem Kakizuki.

Kobieta uniosła sztylet. Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Mój synu, idę do ciebie – powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał pośród ryku płomieni i trzasku spadających belek.

Pani Shinmei przeciągnęła ostrzem po swojej szyi. Fontanna krwi zbryzgała Kiyoyoriego. Kobieta stała przez dłuższą chwilę z wytrzeszczonymi oczami i drżącymi

rękami, po czym runęła przed nim na ziemię.

Tymczasem na dziedziniec wpadli Miboshi. Kiyoyori odwrócił się do nich z długim mieczem w ręce. Nie bał się. Był zdecydowany zabrać ze sobą do piekła tylu nieprzyjaciół, ilu zdoła. Widok potężnego wojownika zalanego krwią i otoczonego przez płomienie sprawił, że wrogowie zatrzymali się na chwilę i w tym momencie u jego boku jak cień wyrósł Taro.

– Co tutaj robisz?! – wykrzyknął Kiyoyori.

– Muszę opowiedzieć o Tsumaru.

– Co tu opowiadać? Że nie żyje i że ty go zabiłeś?

– Zabrało go dziecko smoka. To prawda, że umarł, ale żyje w dziecku smoka.

Jeden z Miboshich z krzykiem rzucił się w ich stronę. Kiyoyori ściął go jednym ciosem miecza.

– To była moja wina. – Taro starał się przekrzyczeć zgiełk bitwy. – Zamierzam umrzeć z tobą, panie, a kiedy staniemy przed sędziami piekła, zajmę twoje miejsce.

– Jeśli nie zginiemy tu obaj, będę cię ścigał i zabiję! – ryknął Kiyoyori, uchylając się przed następnym pchnięciem.

Sparował cios, wytrącił broń przeciwnikowi i przeszył go mieczem. Kiedy chciał wyrwać z niego ostrze, pośliznął się w kałuży krwi i upadł. Taro wystąpił przed niego i zasłonił go własnym ciałem.

– Nie potrafiłem być wojownikiem w życiu – rzekł, schylając się nad Kiyoyorim – może będę nim w chwili śmierci.

Aki

Ojciec wyszkolił Aki w sztuce walki. Dziewczyna ćwiczyła wiele godzin na wypolerowanych posadzkach Rinrakuji, jeździła konno, strzelała z łuku w ich wiejskiej posiadłości Nishimi nad jeziorem Kasumi, ale nigdy nie była sama poza miastem ani wśród pospólstwa. Nie wiedziała, jak zebrać, kraść albo zdobywać jedzenie. W pałacu Yoshimori prawie nie chodził na własnych nogach, nie mówiąc o drodze zrytej koleinami, pełnej ludzi, wołów, koni i wozów sunących w ciemności ku północnej bramie miasta i rzece.

Świątynia Rinrakuji, w której ojciec kazał jej szukać schronienia, leżała po wschodniej stronie jeziora, daleko na północy. Aki była tam wcześniej wiele razy, ale najczęściej płynęła łodzią z Nishimi, a przeprawa przez jezioro zajmowała parę godzin, nie więcej. Teraz musiała dotrzeć do świątyni od południa, głównym traktem albo drogą wodną z Kasumiguchi, gdzie zbiegały się dwa szlaki biegnące z północy.

Zaczęły pisać koguty, niebo na wschodzie pojaśniało. Na południu płonęło miasto jak drugi ognisty świt. Yoshimori miał oczy wielkie z przerażenia i odrazy z powodu przykrych woni, brutalnego przepychania się uciekinierów, niemiłej bliskości tyłu ciał, ale nie płakał ani się nie skarżył, tylko ścisnął rękę Kai, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić. Dziewczynka nic nie mówiła. Na jej drobnej twarzy zastygł wyraz determinacji. Matka Aki obwiązała jej szalem głowę, ale nie dała rady całkiem ukryć długich włosów. Kai lekko utykała.

W czasie marszu Aki wychwytywała strzępy informacji: miasta graniczne na wschodzie padły, Miboshi wlewali się do stolicy od południa, Kakizuki uciekali...

Wielu uciekających zaczęło się wahać. Niektórzy postanowili iść w ślady Kakizukich i wybrać drogę na zachód, inni kierowali się w stronę Kasumiguchi. Aki doszła do wniosku, że w tym mieście będzie wystarczające zamieszanie, żeby mogli prześliznąć się przez granicę. Może tam wsiądą na łódź. Jeśli nie, pójdą wzdłuż wschodniego brzegu jeziora.

Yoshimori był coraz bardziej zmęczony. Opierał się na niej, powłóczył nogami. Lutnia też zrobiła się ciężka. Aki przełożyła ją do drugiej ręki i poczuła stłumioną odpowiedź instrumentu na tę zmianę. Odkąd zrobiło się jaśniej, widziała rzekę po prawej stronie. Nikt nie wracał do Miyako. Ludzie i konie ciągnęli w górę nurtu łodzie wyładowane drewnem, beczkami wina ryżowego i octu, baryłkami zboża. Na jednej płynęli muzycy

i młode kobiety w szatach ze szkarłatnego jedwabiu, z parasolkami w księżycy. Muzykanci grali na lutniach, fletach, harfach i bębnach, kobiety śpiewały. Ich głosy niesły się w chłodnym porannym powietrzu.

– Jakie piękne panie – powiedziała Kai, gapiąc się na nie z podziwem.

Yoshi im pomachał.

– Chciałbym popłynąć łodzią razem z nimi!

Jego wyrafinowana mowa przyciągnęła uwagę mężczyzny idącego obok nich.

– Piękne panie! – prychnął. – Jesteś dla nich trochę za młody! Ale ładny z ciebie chłopiec. Wsiądź na łódź, a ktoś urządzi ci przejażdżkę. I tym ślicznotkom również.

Przysunął do nich twarz poznaczoną dziobami po ospie, uśmiechając się lubieżnie. Aki odciągnęła Yoshiego, trzymając dłoń na sztylcie.

– Nie wolno ci się odzywać – przypomniała mu szeptem. – Czy mój ojciec nie wyraził się jasno?

Kilka kroków dalej natrafili na martwe ciało. Mężczyzna leżał na plecach, wpatrując się pustym wzrokiem w niebo. Wokół rany na szyi krzepła krew i roiły się muchy. Kto to mógł być? Ofiara rabunku albo sam złodziej, któremu wymierzono surową sprawiedliwość. A może po prostu jakiś nieszczęśnik, który obraził niewłaściwą osobę. Aki żałowała, że wspomniała ojca, bo teraz nie mogła przestać o nim myśleć. I o matce również. Obojgu martwych.

Yoshi pobladł, zachwiał się i z wymiotował żółtym płynem. Aki uklękła obok niego, wytarła mu twarz i usta. Chłopiec płakał cicho. Kai też była we łzach.

Ospowaty mężczyzna zbliżył się do nich i powiedział:

– Hej, poniosę tego małego panicza przez jakiś czas.

Ale Aki, która dostrzegła w jego twarzy poządliwość, wyciągnęła sztylet i cofnęła się, otaczając Yoshiego ramieniem.

– O, uzbrojona dziewczyna, młoda wojowniczką! – Nieznajomy zarechotał szyderczo. – Nigdy nieotwarta przez mężczyznę, założę się. Ciebie wezmę pierwszą, a potem chłopca. I sprzedam małą.

Znajdowali się na brzegu. Aki nie mogła już dalej się cofnąć. Nagle między nich a mężczyznę wszedł koń. Jego pan krzyknął, żeby zeszli mu z drogi, i w tym momencie dwie liny przywiązane do dziobu i rufy wepchnęły ich do wody prosto na kadłub łodzi.

Z pokładu dobiegł kobiecy głos:

– Podaj nam dzieci, siostrzyczko, i sama skacz!

Aki ledwo zdążyła sobie uświadomić, że to kolejna rozrywkowa łódź pełna muzykantów, kiedy wyciągnęły się do niej liczne ręce i wyrwały jej Yoshiego, a potem Kai. Aki zatknęła sztylet za pasek, chwyciła pomocną dłoń i wskoczyła na łódź, ściskając tobolek pod pachą, przerażona, że lutnia wpadnie do wody. Instrument jęknął niemal ludzkim głosem.

Stojący na brzegu mężczyzna wykonał wulgarny gest w jej stronę i wrzasnął coś, czego Aki nie zrozumiała.

– Nie przejmuj się nim – usłyszała ten sam kobiecy głos, który kazał jej skakać. – Zostańcie z nami, a nie stanie się wam żadna krzywda.

Ułożyli Yoshiego na ławce nakrytej szkarłatnym płótnem i zasłanej poduszkami haftowanymi w smoki i kwiaty. Kai stanęła obok niego, nadal trzymając go za rękę i ściskając rytualną skrzynkę. Młoda kobieta obmyła twarz i ręce chłopca, a kolejna wcisnęła kubek z ciepłym rosołem w dłoń Aki.

– Nawet nie wzięłam ze sobą wody – powiedziała Aki przerażona własną bezradnością.

Nie miała pojęcia, kim są ci ludzie. Uratowali ją przed jednym niebezpieczeństwem, ale czy sami nie stanowili innego zagrożenia? Jak miała zatroszczyć się o chłopca? Prawie na pewno zostali na świecie sami. Jej rodzice nie żyją, Yoshiego również. Wypiła rosół, z trudem powstrzymując łzy.

– Dokąd zmierzasz, siostrzyczko?

– Nie wiem dokładnie. Nasi rodzice nie żyją, a my uciekamy przed walkami. Może pojedziemy do Rinrakuji, może do Kitakami. – Aki przypomniała sobie nazwę portu nad Morzem Północnym, choć nigdy tam nie była. – Dokąd płynie ta łódź?

– Na targ, który odbywa się piętnastego dnia każdego miesiąca przy Tęczowym Moście. Jesteśmy artystami. Mnie nazywają Fuji.

Kobieta powiedziała to takim tonem, jakby Aki powinna znać jej imię, ale ono nic dla niej nie znaczyło. W dodatku nigdy nie słyszała o takim targu ani moście. Ci ludzie mówili tak, jakby pochodzili z innego świata, aż zaczęła się zastanawiać, czy nie uratowały ich duchy, albo czy ona i dzieci nie wpadli pod łódź i nie utonęli. Może znajdowali się teraz na jednym ze strumieni Rzeki Śmierci?

Ojczy, matko, wkrótce będę z wami!

Na łodzi kilka baldachimów osłaniało wyłożone miękkimi matami podwyższenia, które można było odgrodzić bambusowymi żaluzjami. Fuji zaprowadziła Aki na jedną z platform, a druga kobieta wzięła Yoshiego na ręce i położyła go obok niej. Chłopiec miał zamknięte oczy, ale nie puszczał ręki Kai. Dziewczynka wyciągnęła się obok niego, stawiając szkatułkę blisko siebie. Fuji opuściła żaluzję od wschodniej strony, zasłaniając ich przed promieniami słońca. Na twarzach dzieci pojawiły się cienie w postaci pasów i kropek. Fuji nachyliła się do Aki i rozwiązała szal, który okrywał jej głowę.

– Co się stało z twoimi włosami?! – wykrzyknęła.

– Matka mi je ścięła.

– Chciała, żebyś została mniszka? To dlatego idziesz do Rinrakuji?

Aki pokiwała głową.

– Jestem poświęcona Kannon.

– Teraz rozumiem. – Fuji wskazała na skrzynkę. – Tak sobie pomyślałam, że to rytualna szkatułka.

– Jest moja. Kai ją tylko niosła.

– Ile masz lat? – zapytała Fuji.

– Szesnaście.

– A twój brat?

– Skończył sześć w tym roku.

Fuji zmrużyła oczy.

– Z innego łona?

– Tak, ale z tego samego ojca.

Dziesięć lat to duża różnica wieku między rodzeństwem, ale dwie matki to całkiem prawdopodobne wyjaśnienie. Jej matka umarła? Czy została zastąpiona przez młodszą kobietę? Raptem pojawiło się mnóstwo wersji, które mogła opowiadać, ale musiała pamiętać, co komu powiedziała. Nagle przypomniała się jej siostra, urodzona tego samego dnia co Yoshi, która umarła zaraz po narodzinach, dzięki czemu jej matka miała pokarm dla małego księcia.

– A ta dziewczynka? – spytała Fuji. – Chyba nie są bliźniętami?

– Nie, to dziecko innej kobiety. Moja macocha zlitowała się nad nią i wychowała ją razem ze swoim synem.

– Chodź, malutka. – Fuji wyciągnęła rękę do Kai i próbowała ją do siebie przygarnąć, ale Yoshi mocno ją trzymał.

Kai pokręciła głową.

– Będzie krzyczał. Zawsze jestem przy nim, póki nie zaśnie.

Fuji podeszła bliżej. Kai cofnęła się, kiedy kobieta zdjęła szal z jej głowy.

– Jakie piękne włosy – wyszeptala i odgarnęła je do tyłu, odsłaniając nie do końca uformowane uszy dziewczynki.

– Och! – krzyknęła zaskoczona. – Jaka szkoda!

Kai odpowiedziała jej stoickim spojrzeniem.

– Co mamy z wami zrobić? – spytała Fuji.

Usiadła obok Aki, przesunęła dłonią po jej ostrzyżonej głowie i przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Sprawiała wrażenie rozczarowanej. Wyciągnęła sztylet z za pasa Aki i położyła go na macie.

– Co nosisz w tym płótnie? – zapytała. – Instrument?

– Tak, lutnia. I mój łuk z katalpy.

– Mogę zrozumieć łuk, bo to część twojego powołania, ale lutnia? Pewnie jest dla ciebie cenna. Musisz nam później zagrać.

– Nie jestem utalentowana – wyznała Aki.

– Szkoda, jeśli to prawda, bo potrzebujemy lutnisty. Nasz ostatni został uwiedziony przez bogatą wdowę, która się w nim zakochała i zaproponowała mu łatwe życie w Akashi.

Mówiąc to, zdejmowała ubranie z Aki, aż po chwili dziewczyna siedziała w samej bieliźnie, drżąc lekko.

Fuji przyjrzała się jej taksującym wzrokiem.

– Szkoda twoich włosów – wymamrotała pod nosem. – Jesteś dobrze zbudowana, choć twojej twarzy brakuje prawdziwej urody. Może zostaniesz z nami, aż odrosną, i będziesz jedną z nas?

– Co musiałabym robić, nie licząc grania? – spytała Aki.

– Zabawiamy mężczyzn, koimy ich troski, przywołujemy uśmiech na ich twarze, śpiewamy im, jak kiedyś robiły ich nianie albo matki.

– Jestem przeznaczona świątyni – przypomniała Aki. – Muszę iść do Rinrakuji. Nie powinnam zabawiać mężczyzn.

– Nie obawiaj się – uspokoiła ją z uśmiechem Fuji. – Twoja czystość nie będzie zagrożona. Mężczyźni nie przychodzą do nas z żądaniami. Nie rozkazują, tylko usilnie proszą. Kobiecość ma swoją moc, a ja wiem, jak się nią posługiwać. Ta łódź to moje królestwo, siostry i bracia są moimi poddanymi. Mężczyźni składają nam wizyty jak ambasadorowie z obcych krajów przynoszący dary, szukający łask. Ale czystość również jest cenna. Twoja obecność nas wzmocni i przyniesie nam błogosławieństwa. Już czuję, że kocham cię jak własną córkę. W zamian będziemy chronić was troje. Obiecuj, że przynajmniej popłyniesz z nami do Aomizu. Stamtąd jest tylko jeden dzień drogi do Rinrakuji. Spróbuj życia świątynnej dziewczycy, a jeśli ci się nie spodoba, zawsze możesz do nas wrócić.

– Dziękuję – powiedziała Aki, choć nie sądziła, żeby mogła zrezygnować z życia, jakie jej przeznaczono.

Fuji ubrała ją znowu delikatnymi matczynymi rękami. Potem Aki leżała obok Yoshiego i głaskała go po głowie. Śpiący chłopiec tylko lekko się poruszył pod jej dotykiem. Kai też zapadła w sen. Aki słuchała odgłosów łodzi, ćwiczeń muzyków, śpiewu kobiet. Potem przed jej zamkniętymi oczami przesunęły się twarze księżnej, ojca. Rozpłynęły się w powietrzu, a ona zasnęła.

Kiedy się obudziła, Yoshi nadal spał obok niej, a Fuji przeczesywała jej włosy delikatnymi palcami.

– Siostrzyczko, musimy się przygotować na przyjęcie naszych gości.

Aki się rozejrzała. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Wąską rzekę zastąpiło duże jezioro o powierzchni gładkiej i ciemnej jak stal. Łódź, odmieniona blaskiem czerwonych lampionów, stała przycumowana do drewnianego pomostu, który sięgał daleko w wodę. Był zmierzch, nad jeziorem unosiła się rzadka szara mgła, zamazując odbicia światła i sprawiając, że łódź wyglądała jak zawieszona w powietrzu. Muzycy się rozgrzewali, przypadkowe melodyjne dźwięki brzmiały jak zaczarowane.

– Zagrasz z nimi? – To tylko w części było pytanie.

– Naprawdę nie umiem – broniła się Aki.

Wcześniej myślała, że Fuji jest dobra w taki sposób, w jaki przez całe życie były dla niej dobre kobiety ze służby, ale teraz wyczuła jej siłę i dominację. Nic dziwnego, że uważała się za cesarzową w swoim królestwie. Po silnych emocjach związanych z ucieczką, mieszaniną podniecenia i desperacji, Aki dopadły wyczerpanie i strach. Razem z Yoshim i Kai zdała się na łaskę tych ludzi – co innego mogła zrobić? – ale powoli zaczynał do niej docierać ogrom zadania, którym obarczył ją ojciec. Obok niej spał cesarz Ośmiu Wysp. Po jej drugiej stronie leżała święta lutnia Lotosowego Tronu. Jak miała ją ukrywać, skoro instrument sam się zdradzał pudłem z palisandru, złoceniami i perłowymi intarsjami?

Nie mogła jednak odmówić pokazania jej, kiedy Fuji o to poprosiła. Na widok starej zniszczonej biwy Aki wytrzeszczyła oczy, nie rozpoznając jej, tak całkowicie zmieniła wygląd. Co się mogło stać? Czyżby ojciec w ciemności i zamieszaniu przyniósł niewłaściwy

instrument? Ktoś ukradł Genzo, kiedy spała, i zastąpił ją tą zwykłą, prostą lutnią? Czy cesarski skarb, przechowywany przez wieki, przepadł z jej winy, kiedy się nim opiekowała? Teraz Yoshi nigdy nie zostanie cesarzem, a ona haniebnie zawiodła.

Wzięła lutnię drżącymi rękami świadoma, że Fuji obserwuje ją uważnie. Wiedziała, jak trzymać instrument, jak przesuwać palcami po strunach, ale nie miała talentu do muzyki. Jako dziecko i młoda dziewczyna zawsze wołała nauki ojca niż matki. Teraz zaczęła brzdąkać dziecięcą piosenkę, którą śpiewała jej matka. Używała paznokci zamiast plektronu.

Skrzywiła się. Nawet ona umiała stwierdzić, że lutnia jest rozstrojona.

Yoshi obudził się i trąc oczy, zaczął śpiewać wysokim, dziecięcym głosem. Po kilku zwrotkach przyłączyła się do niego Kai.

Genzo ożyła. Aki wyczuła jej zaskoczenie, jakby nikt na niej nie grał od setek lat, a potem radość i rozkosz, które znalazły wyraz w płynących z niej dźwiękach.

– Nadzwyczajne! – wykrzyknęła Fuji. – Wasza trójka naprawdę jest czarująca.

Wszyscy troje pośpiesznie zostali ubrani w czerwono-białe szaty i umieszczeni razem z muzykami na dziobie.

– Znacie tę pieśń? – pytali muzycy, śpiewając kilka linijek albo grając parę nut.

Aki kręciła głową, ale po chwili czuła, że Genzo wibruje pod jej palcami. Nie było takiej melodii, której lutnia nie znała. Tak więc grała przez całą noc, obserwując mężczyzn – gości, ambasadorów – którzy przychodzili z wizytą do kobiet i udawali się z nimi za bambusowe zasłony, żeby oddawać się zabawie.

Księżyc zaszedł i zbliżał się świt, kiedy pokład opuścili ostatni goście, zostawiwszy dary: kupony materiałów, beczki ryżu, hafty, pastę z fasoli, wachlarze, naczynia ceramiczne. Przygotowano wczesny posiłek, a potem kobiety udały się na spoczynek. Tymczasem załoga odwiązała cumy i postawiła żagiel, a sternik poprowadził łódź wzdłuż wybrzeża w stronę Tęczowego Mostu.

Aki zawinęła Genzo w płótno i ukłoniwszy się jej w podziękowaniu, położyła ją obok Yoshiego i Kai. Nim zasnęła, ostrożnie uniosła róg tkaniny. Zobaczyła błysk złota i pereł.

* * *

Kiedyś Majima stanowiła część głównego lądu, ale w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat pogoda się zmieniła, długie, obfite deszcze w lecie i opady śniegu w zimie spowodowały podniesienie się wód, tak że kilka leżących na niej wiosek zostało zalanych. Teraz Majima była trójkątną wyspą, której skalisty zachodni kraniec wychodził daleko w jezioro. Jej wschodnią stronę zajmowała plaża porośnięta sosnami. W najwyższym punkcie stała świątynia Inari, bogini lisicy, od której rząd zielonych bram prowadził do łukowatego, drewnianego Tęczowego Mostu łączącego wyspę z lądem.

Fuji opowiedziała Aki o miejscowym panu, któremu się przyśnił targ na końcu tęczy. Następnego dnia zobaczył ją nad Majimą i w tym miejscu kazał zbudować most.

– Dlaczego nie oszczędził sobie kłopotu i nie urządził targowiska na lądzie? – zapytała

Aki.

– Mężczyźni kochają budować mosty – odparła Fuji. – Uwielbiają łączyć rzeczy. Most jest piękny i poświęcony, a najlepsze targi są na wyspach, na brzegach rzek, w miejscach oddalonych od codziennego świata. Dzieją się na nich magiczne sprawy. Wymienia się towary, jedne rzeczy przeobrażają się w inne. Rzemieślnicy tworzą coś z niczego. Ludzie sprzedają dzieła swoich rąk i mięśni. Wszyscy są równi, nie ma panów i sług, szlachciców i dworzan.

Kai słuchała uważnie. Yoshi przytulił się do Aki, przyciągnął do siebie jej głowę i zaczął jej szeptać do ucha.

Fuji najwyraźniej usłyszała albo odgadła, co mówił.

– Boisz się skażenia? Małe ksiąźtka z ciebie! Ktoś mógłby pomyśleć, że źródłem skażenia jest twoja mała przyjaciółka z tymi swoimi uszami jak muszelki. Gdzie się wychowałeś? W cesarskim pałacu? Niech zgadnę, twój ojciec jest szlachcicem, który został w stolicy, żeby stawić czoło Miboshim, i zginął albo uciekł na zachód z panem Keitą.

Aki nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mam rację? – naciskała Fuji.

– Niezupełnie – powiedziała Akihime, na gorąco wymyślając swoją wersję. – Moi rodzice byli zatrudnieni w pałacu pewnego szlachcica. Matka sprzątała, a ojciec był malarzem.

– Córka sprzątaczkki nie ma takich delikatnych rąk, syn malarza ma pod paznokciami siarkę i cynober. – Fuji się zaśmiała. – Nie martw się. Nikomu nie powiem, skąd pochodzisz. – Najwyraźniej sądziła, że zna sekret, który dawał jej nad nimi władzę. – Jesteśmy uważani za źródło skażenia, jak wielu tutaj na targu. Wędrownie kobiety z teatrzykami lalkowymi, mężczyźni, którzy zmieniają twarz ziemi, zarządzając ogrody i kopiąc studnie, ci, którzy mają do czynienia ze śmiercią i rozkładem, grzebią zmarłych i burzą domy, dzieci, które tresują zwierzęta i wykonują sztuki akrobatyczne. Ale nie widzisz, mały panie, że my, jako ich przeciwieństwa, jesteśmy bliżsi boskości i świętości niż codzienny świat, w którym żyje większość ludzi. Twoja matka może była sprzątaczką albo damą, ale znalazła się na progu śmierci, żeby wydać cię na świat, potem łożysko, które cię żywiło, musiało zostać pogrzebane w bramie. Zacząłeś życie we krwi i ekskrementach i skończysz w taki sam sposób. To, co nazywasz skażeniem, jest raczej esencją życia, może niebezpieczną i brudną, ale pełną mocy.

Yoshi patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, ale wyraźnie był pod wrażeniem jej powagi i zaangażowania.

– Pewnego dnia zrozumiesz – dodała Fuji i pogłaskała go po policzku smukłymi palcami.

Opuszczono zasłony, rozłożono jedwabne poduszki, kobiety były gotowe na przyjęcie gości. Aki znowu usadowiła się z lutnią wśród muzyków. Yoshiemu i Kai kazała usiąść obok siebie. Chłopiec śpiewał razem z nimi, ale zaczynał się nudzić, jednak ona bała się spuścić go z oka. Kiedy muzykanci zrobili sobie przerwę, a Fuji udała się za zasłony, Akihime pozwoliła dzieciom iść na bok łodzi. Oboje przewiesili się przez poręcz

i obserwowali, co się wokół dzieje.

– Możemy zejść na brzeg? – zapytał Yoshi.

– Chciałabym, ale nie wiem, jak się tam dostać – odparła Aki.

Łódź stała na kotwicy razem z kilkoma innymi w równej odległości od obu brzegów. Goście podpływali do niej małymi stateczkami, niewiele większymi od balii, albo przybywali na plecach tragarzy. Wchodzili na pokład z mokrymi stopami i przemoczonymi rąbkami szat. Stroili sobie na ten temat żarty, po których Aki się rumieniła, choć nie do końca je rozumiała.

Pytali o dziewczyny, wymieniając ich imiona. Dobrze je znali. Ich oczy błyszczały z oczekiwania i podniecenia. Budzili w Aki dziwną mieszaninę zainteresowania i pogardy.

– Patrz! – wykrzyknął nagle Yoshi. – Małpy! Dzieci z małpami!

Brzegiem wyspy szła osobliwa trupa. Nie wszyscy byli dziećmi, choć wszyscy mieli taki sam dziki, swobodny, trochę zwierzęcy wygląd i byli odziani w dziecięce ubrania we wszelkich odcieniach czerwieni. Zatrzymali się naprzeciwko łodzi i pomachali do nich. Nawet małpy na długich jedwabnych sznurkach przywiązanych do plecanych obroży uniosły małe łapki.

Yoshi pozdrowił ich z entuzjazmem. Jeden z mężczyzn zaczął wybijać rytm na małym bębnie. Chłopiec w wieku mniej więcej ośmiu lat wyskoczył w górę i zrobił fikołka w powietrzu. Dwie małpy obserwowały go uważnie, a kiedy skończył akrobację, zaczęły go naśladować w znudzony, niedbały sposób, którzy patrzący uznali za bardzo zabawny. Chłopiec się rozzłościł, małpy udawały, że się boją, a kiedy odwrócił się do nich plecami, doskonale odegrały jego gniew. Tłum ryknął śmiechem.

Potem rozpoczęły się zawody między chłopcem a małpami. Coraz wyższe skoki, coraz więcej fikołków. Małpy wygrywały bez trudu.

W końcu malec upadł na ziemię zniechęcony i smutny. Małpy naradziły się ze sobą, trajkocząc i zwracając się do gapiów, jakby szukały u nich rady, a następnie podeszły do niego cicho i otoczyły go ramionami. Chłopiec zerwał się na równe nogi ze zwierzętami uwieszonymi u szyi i całującymi go po twarzy.

– Och! – westchnął Yoshi. – Chciałbym być nim!

Po akrobatkach wystąpił wędrowny uzdrowiciel sprzedający zioła, olejki i wywary. Długimi, skomplikowanymi anegdotami rozbawiał ciżbę, choć Aki nie rozumiała prawie żadnego słowa. Potem jakiś starzec przedarł się przez tłum, stanął na brzegu jeziora i pomachał muzykom.

Oni z wyraźnym podnieceniem odwzajemnili gest i czym prędzej wysłali jednego ze swoich tragarzy, żeby przeniósł gościa na łódź. Kiedy mężczyzna znalazł się na pokładzie, jeden z muzykantów z szacunkiem osuszył mu stopy ręcznikiem, a pozostali otoczyli go ciasnym kręgiem i kłaniali się, kiedy ich błogosławił.

Aki jeszcze nigdy nie widziała kogoś takiego jak on ani nie rozpoznała modlitwy. Nadeszła pora obiadu, więc podano jedzenie przygotowane przez kobiety z targowiska i przyniesione na łódź w koszach: ryż z jajkami, świeże pastorały paproci i korzenie łopianu, pieczone ryby z jeziora ułożone na młodych liściach dębu, pastę z fasoli w różnych

smakach i postaciach.

Starzec jadł niewiele. Na koniec posiłku wziął resztę ryżu, palcami uformował z niego kulki, pobłogosławił je i rozdał. Kiedy podawał jedną Aki, jego wzrok padł na nią i na Yoshiego, który siedział u niej na kolanach.

– Oni są jak Pani i jej Dzieciątko – powiedział. – Przywołaj imię Tajemnego, a on cię uratuje i zabierze do raję.

Muzycy wspólnie odmówili modlitwę.

Aki podzieliła kulkę ryżową między Kai i Yoshiego i sama włożyła kawałek do ust. Kiedy go połknęła, zadrżała. Wydawało się jej, że w tych kleistych ziarnach zawarte są wszystkie smaki świata, krew i kość, gorycz, sól i słodycz.

* * *

Łódź płynęła powoli wzdłuż wschodniego brzegu jeziora, aż dotarła do małego miasteczka Aomizu. Kai stała się ulubienicą wszystkich muzyków. Dawali jej bęben, ponieważ była wrażliwa na wibracje i rytm. Grała z wrodzonym talentem. Zaczęła spędzać z nimi coraz więcej czasu, a Yoshi się nudził i był niespokojny. Kiedy ją wołał, muzykanci drażnili się z nim, nazywali go książątkiem i małym paniczem. Aki kilka razy myślała, że chłopiec zaraz im powie, kim jest, i zdenerwowana uznała, że pora go stamtąd zabrać. Kiedy szykowała się do opuszczenia łodzi, podeszła do niej jedna z doboszek i powiedziała:

– Będziemy tęsknić za tobą i twoją lutnią. Nigdy takiej nie słyszeliśmy, ale mamy nadzieję, że kiedyś do nas wrócisz. Mamy jednak do ciebie prośbę. Zostaw dziewczynkę. Skoro ty jesteś poświęcona świątyni, a twój brat zostanie mnichem, co się z nią stanie? Rinrakuji jej nie przyjmie z powodu skazy, pani Fuji też jej nie weźmie. Ale my chętnie ją przyjmujemy, bo już ją kochamy. Ona ma boski dar. Niebo musiało ją nam zesłać.

– Chętnie bym się zgodziła, ale mój braciszek jest bardzo do niej przywiązany – odparła Aki. – Nie sądzę, by odszedł bez niej.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

– Coś wymyślimy.

Kiedy łódź przycumowała do pomostu i Aki wzięła lutnię i chodaki, podszedł do niej wyraźnie zasmucony Yoshi.

– Mówią, że Kai jest zbyt chora, żeby z nami ruszyć w podróż – powiedział.

Aki natychmiast udała się na rufę, gdzie pod daszkiem leżała Kai z rytualną szkatułką u boku. Wyglądało na to, że nagle zmogła ją gorączka. Źrenice dziewczynki były rozszerzone, skóra rozpalona.

– To tylko jeziorna gorączka – uspokoili ją muzycy. – Zajmiemy się nią. Wyzdrowieje za dzień albo dwa.

– Nie możemy iść bez niej – oświadczył Yoshi drżącym głosem.

– Pamiętasz, jak mój ojciec mówił, że musisz słuchać mnie we wszystkim? – zapytała Aki.

– Tak, ale...

– Posłuszeństwo oznacza, że nie mówi się „ale” – skarciła go Akihime. – Powinniśmy już ruszać. Łódź zaraz odpływa, a my musimy dotrzeć do Rinrakuji. Kai nie może iść z nami. Niedługo znowu ją zobaczysz, ale teraz musisz być silny.

Chłopiec otworzył usta, jakby zamierzał się spierać albo krzyczeć, ale tylko przygryzł wargę, ukląkł obok Kai i pogłaskał ją po włosach. Kiedy wstał i podał rękę Aki, walczył ze łzami.

– Cieszę się, że ona zostaje – powiedziała Fuji. – To dla niej najlepsze i oznacza, że wy szybciej do nas wrócicie.

Aki podziękowała jej i spytała:

– Kim był ten starzec, który dzielił się z nami jedzeniem w Majimie? – Nie mogła przestać o nim myśleć.

– Wszyscy nazywają go po prostu Ojcem. To wędrowny kapłan. Muzycy wyznają tę samą wiarę. On zwykle czeka na naszą łódź na targach, a oni na jego błogosławieństwo. Może pewnego dnia opowiedzą ci historię o Tajemnym. Jest bardzo dziwna i poruszająca.

Aki stwierdziła, że bardzo chciałyby ją usłyszeć, ale teraz nie było na to czasu. Łódź szykowała się do odpłynięcia. Akihime spojrzała przez jezioro w stronę Nishimi, swojego domu rodzinnego zagubionego we mgle. Potem wzięła Genzo owiniętą w płótno i wysiadła na drewniany pomost. Na plecach miała łuk; już go nie ukrywała. Podano jej Yoshiego. Między łodzią i brzegiem wymieniono pożegnalne okrzyki i podziękowania.

Odwiązano cumy i podniesiono żagiel. Aki i Yoshi przez jakiś czas machali, patrząc w ślad z łodzią, a potem odwrócili się i ruszyli wąską, stromą drogą, która wiodła przez góry do Rinrakuji.

Shikanoko

Przez dziedzińce Ryusonji niosły się głosy śpiewaków z akompaniamentem lutnistów i starego ślepcy, który, jak mówiono, kiedyś był czarownikiem, ale stracił moc razem z oczami. Musiał mieć wrodzony talent do muzyki, bo przez zimę szybko nauczył się nut i słów.

A powstały nowe pieśni o zwycięstwie Miboshich i ucieczce Kakizukich, przejmujące opowieści o odwadze w bitwie i godności po klęsce, o tragicznej, ale koniecznej śmierci księcia Momozono, który ośmielił się zbuntować przeciwko umierającemu ojcu, oraz o cnotach jego młodszego brata Daigena, obecnego cesarza.

Shika wyobrażał sobie, że codzienne słuchanie, jak dawny rywal, teraz dotknięty starczym otępieniem, opowiada o jego triumfie, musiało sprawiać księciu opatowi wielką przyjemność. Był wujem nowego cesarza, a Kakizuki, jego starzy wrogowie, zostali wygnani. Pozostawione żony i dzieci zgładzono, ich zburzone pałace odbudowano i zasiedlono zwycięskimi Miboshimi, a ślady ich obecności całkiem wymazano ze stolicy, jakby przez prawie pięćdziesiąt lat nie decydowali o jej życiu, zwyczajach, sztuce i modzie.

Ale Shika wiedział, że prałat nie jest taki szczęśliwy, jak mógłby być. Dwie sprawy nie dawały mu spokoju, dwa zaginione ciała. Głowy pokonanych wystawiono na mostach i wzdłuż brzegu rzeki, ale Kiyoyoriego nie było wśród nich. Ludzie księcia opata przeczesałi zgliszczą pałacu i okoliczne ulice. Wśród stosów trupów zidentyfikowano księcia Momozono i jego żonę, a także dworzan, mężczyzn i kobiety, którzy zginęli w walkach albo w pożarze, ale ciała Kiyoyoriego nigdy nie znaleziono. Tak jak Yoshimoriego, jedyne go syna następcy tronu.

Kiyoyoriego widziano po raz ostatni przed Nowym Lśniącym Dworem. Opowiadano, że przeszła go strzała, podobnie jak nieznanego mężczyznę, który zasłonił go własnym ciałem. Potem obaj wpadli w płomień, tuż przed tym, jak runął dach. Kiyoyori nie mógł przeżyć, twierdzili świadkowie, ale ponieważ jego zwłok nie znaleziono, zaczęły krążyć różne zmyślane opowieści. Najbardziej popularna z nich głosiła, że zabrało go smocze dziecko z Ryusonji, żeby dołączył do swojego syna Tsumaru, który, jak plotkowano, został porwany przez księcia opata i zginął w tajemniczy sposób, a teraz był wcieleniem samego smoka.

Shika wiedział z doświadczenia, że ludzie nade wszystko nienawidzą tych, których skrzywdzili, a nienawiść księcia opata do Kiyoyoriego jeszcze się spotęgowała po

znalezieniu ciała Tsumaru w jeziorze. Kapłan obwinił ojca dziecka za nieudaną próbę ratowania, a jednocześnie nie znosił go za odwagę i nieugiętość. Sugestia, że boska istota z Ryusonji mogła mu w jakiś sposób pomóc, była dla niego nie do zniesienia. Książę opat próbował zdusić te plotki i bajania. Jego tajna policja obcinała ludziom języki za powtarzanie ich.

Shika spędzał co najmniej część każdego dnia zimy z księciem opatem. Przez wiele z tych dni wymagano od niego, żeby pościł, poddawano próbom lodowatej wody i pozbawiano snu. Dzięki tej surowej dyscyplinie powoli zyskiwał władzę nad potęgą maski. Uczono go słów mocy, pochodzących z sutr albo znanych tylko księciu opatowi, Gessho i kilku starszym mnichom. Za pomocą tych wszystkich rzeczy maska zabierała go do miejsc znajdujących się poza ludzkim światem, gdzie przemawiał do niego i przez niego duch jelenia.

Ale każdy krok naprzód miał swoją cenę. Gdy Shika wychodził z transu, często w pustych oczach i twarzach obecnych dostrzegał pozostałości jakiegoś rytuału, w którym brał udział bez swojej wiedzy i wbrew woli. Maską złożoną zarówno z męskich, jak i kobiecych elementów, łączyła w sobie odrodzicielską siłę lasu i samczy popęd jelenia. Wszystko to bardzo interesowało księcia opata.

Kapłan był bardzo zadowolony z jego postępów. Shika stał się jego nowym faworytem, zastąpiwszy młodego mnicha poparzonego przez maskę. Rany Eiseia się wygoiły, ale twarz na zawsze miała pozostać oszpecona. Nosił na niej czarną jedwabną chustę, nad którą jego oczy płonęły rozpaczą.

Shika codziennie chodził posiedzieć z Sesshinem. Starzec chyba go nie rozpoznawał, ale uśmiechał się do niego z wdzięcznością i klepał go po rękę. Książę opat często wypytywał go o mędrca, ale nawet kiedy Shikanoko był w transie wywołanym przez silne napary, moc, którą przelał w niego Sesshin, pozostawała ukryta. Przypuszczał, że ona się ujawni, kiedy będzie gotowa i kiedy on będzie gotowy.

Książę opat wypytywał go również o Kiyoyoriego.

– Ten łotr stał się bardziej popularny po śmierci, niż był za życia – narzekał. – Jakie magiczne sztuki posiadał, że zniknął bez śladu? Przyszła po niego czarownica? Czy mogła uciec z płonącego budynku i go zabrać?

Shika szybko się zorientował, że wiele pytań księcia opata nie wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Teraz również milczał, myśląc o tym, że pani Tora w jakiś nadprzyrodzony sposób przybyła do chaty Shisoku w czasie tworzenia maski.

Książę opat obserwował go uważnie. Shika przeniósł wzrok na ogród. Był początek czwartego miesiąca, dzień ciepły z dużą ilością wilgoci w powietrzu. Na zewnątrz świeciło oślepiające słońce, nadając kwiatom wistarii i azalii intensywną barwę.

Nagle wody jeziora zafalowały, znak, że dziecko smoka się obudziło.

Pozostało dzieckiem, rozmyślał Shikanoko, czy nadal rosło, żeby pewnego dnia wypłynąć? Kiedy spojrział z powrotem na pokój, przed oczami miał kręgi światła i ciemności.

– A Yoshimori? – zapytał książę opat. – Ktoś go zabrał i ukrył? Może córka Hidetake,

którą nazywali Akihime, Jesienną Księżniczką. Póki on żyje, Kakizuki będą mieli powód, żeby się zjednoczyć.

Siedział w zadumie przez dłuższy czas, a tymczasem w pokoju robiło się coraz cieplej. Po twarzy i piersi Shiki płynęły strumyczki potu. Młodzieniec tęsknił za chłodnym cieniem lasu i porannymi górskimi mgłami. Pamiętał wodospad!

Głos księcia opata gwałtownie sprowadził go z powrotem do rzeczywistości.

– W ten sposób ich znajdziesz? W miejscu, do którego właśnie zabłądził twój umysł? W Ciemnym Lesie? Właśnie tam uciekli?

Shika nie nauczył się ukrywać swoich myśli przed księciem opatem.

– Chyba wyślę cię za nimi – rzekł w zadumie książę opat. – Ona będzie się kierowała do Rinrakuji, gdzie miała zostać świątynną dziewicą, ale nie może tam dotrzeć. Będą ci towarzyszyć jastrzębie, żebym wiedział, gdzie jesteś. Przynieś mi głowę Kiyoyoriego i chłopca. Z dziewczyną możesz zrobić, co chcesz. Zostawić ją przy życiu albo zabić. Jedź szybko. Oni są w drodze już od wielu dni. Musisz ich dogonić.

– Nie mogę jechać bez maski – oświadczył Shika.

Książę opat się uśmiechnął.

– Nigdy nie rozdzieliłbym cię z maską. Ale pamiętaj, że rzuciłem na nią zaklęcia, dlatego mam pewność, że mój mały jeleni do mnie wróci.

* * *

Shika wyruszył następnego ranka na Nyorinie, prowadząc z tyłu Risu. Zamierzał zostawić klacz, po której właśnie zaczynało być widać, że jest żrebna, ale w ostatniej chwili postanowił ją zabrać. Wmawiał sobie, że nikomu nie może z czystym sumieniem przekazać jej pod opiekę, bo nie śmiał przyznać przed samym sobą, że może już nigdy nie wróci. Kiedy choćby pomyślał o zniknięciu w lesie, w następnej chwili maska szeptem przypominała mu o wszystkim, czego się nauczył w ciągu zimy, i o wszystkim, co jeszcze zostało mu do nauczenia. W jakiś sposób wiązała go z księciem opatem, ale Shikanoko nie w pełni rozumiał, do jakiego stopnia.

Książę opat polecił mu jechać na północ, a potem skręcić w stronę zachodniego krańca Ciemnego Lasu. Shika widział tę trasę, jakby miał mapę przed oczami: trakt prowadzący na południe do Shimaury, strumień wypływający z gór, chatę, w której bandyci trzymali broń i łupy zabierane podróżnym, bo znajdowała się w granicach terytorium Akuzenjiego. Półtora roku wcześniej Shikanoko zjeździł je całe, kiedy spędził lato w służbie Króla Góry.

Z dwoma końmi i dwoma jastrzębiami do towarzystwa miał wiele godzin na wspomnianie przeszłości i rozmyślanie o tym, jakie stało się jego życie. W jego pamięci jak żywy pojawiał się zwłaszcza obraz Hiny, kiedy widział ją czekającą na powrót ojca w ogrodzie domu pod Rokujo. Nie było o niej żadnych wieści, ale przypuszczał, że została zabita razem ze wszystkimi dziećmi Kakizukich. Przez chwilę opłakiwał ją w duchu, a potem przypominał sobie ostatni raz, kiedy spotkał jej ojca, i wyraz jego twarzy, kiedy Kiyoyori zobaczył go u boku księcia opata.

Uznał, że go zdradziłem. Żałował, że darował mi życie.

Jastrzębie krążyły z krzykiem nad jego głową. Kiedy potrzebowały odpoczynku, siadały na grzbiecie kłaczy, czyściły pióra, krakały i rozmawiały ze sobą. Risu ich nienawidziła i często stawiała dęba, żeby je zrzucić, albo obracała łeb i próbowała ugryźć. Wtedy ptaszyska odfruwaly w górę, skrzecząc z oburzenia, a potem natychmiast wracały na swoją grzędę.

Shika nie wiedział, jak książę opat się z nimi kontaktuje, ale już pierwszego dnia postanowił znaleźć z nimi wspólny język. Musiał sam stać się ptakiem czy sięgnąć do jakiejś głębszej wiedzy? Czy cała natura potrafiła się ze sobą porozumiewać: sosny i kruki, grubodzioby i jagody, lisy, króliki i zające? Istniała jakaś rozległa sieć komunikacyjna, która wszystko łączyła? A jeśli tak, dlaczego ludzie mieliby być z niej wykluczeni? Maska jelenia musiała dać mu dostęp do mocy lasu, jak ją nazywał. Gdyby ją włożył, zrozumiałby jastrzębie?

Z początku ta myśl mu się nie spodobała. Przecież w Kumayamie jastrzębie go zaatakowały – nadal miał bliznę – a wcześniej zastrzelił jednego w Matsutani. Ale po pewnym czasie uświadomił sobie, że one w jakiś tajemniczy ptasi sposób próbują mu się przypochlebić, nawet go zadowolić. Zwłaszcza jeden, który miał na lewym skrzydle złote pióro, często siadał na jego ramieniu i przekazywał do ucha różne uwagi. Shikanoko nadał mu imię Kon, a drugiemu Zen, bo jego złe oczy i arogancki sposób bycia przypominały mu Akuzenjięgo.

Jastrzębie wskazywały mu drogę wzdłuż wschodniego brzegu jeziora, którą powinien jechać, a co noc jeden albo drugi odlatywał na południe, żeby złożyć raport księciu opatowi. Shice nie podobało się, że go szpiegują, ale wiedział, że nie może ich za to winić, i traktował je dobrze: drapał po głowach, karmił ziarnem, które ze sobą zabrał, słuchał ich dziwnej mowy, próbując ją odszyfrować. Wydawało się, że coś o nim wiedzą, jakby potrafiły wyczuć słodko-ognistą grudkę mądrości, którą przekazał mu Sesshin, i chciały mieć w niej swój udział.

Do rytmu końskich kroków medytował nad tą mocą, zdeterminowany, żeby nauczyć się jej używać. Świadomą częścią umysłu dostrzegał bujny wiosenny krajobraz, świeżą zielen nowych liści, zalane pola ryżowe, w których odbijało się niebo. Czuł własną młodość i energię, podniecenie tym, co go czekało, zadowolenie, że jest wolny od duszącej atmosfery Ryusonji. Na polach pracowali rolnicy, drogą przejeżdżali mnisi i kupcy, wykorzystując piękny dzień przed początkiem ulewnych deszczy. Nie było żadnych śladów bitwy. Miboshi zakończyli swój pochód na stolicy i teraz umacniali swoje podboje na wschodzie. Shika zastanawiał się, co się stało z Matsutani i Kumayamą. W czyich rękach się teraz znajdowały? Przypuszczalnie jego stryj został nagrodzony za wydanie zbiegów i sprzymierzył się ze zwycięzcami.

Pewnego dnia ją odzyskam, przysiągł sobie.

Posłuchał rozkazu księcia opata i jechał szybko, nocami śpiąc w lesie po kilka godzin, z siodłem Nyorina jako poduszką. Jastrzębie prowadziły go z dala od drogi, która biegła wzdłuż jeziora, przez pola ryżowe, omijając małe miasteczko Aomizu. Shika nigdy

wcześniej tutaj nie był. W oddali na wschodzie wyrosły góry. Ich najwyższe szczyty nadal przykrywał śnieg. Shikanoko wiedział, że gdzieś na południu płynie strumień, który doprowadzi go do szlaku przecinającego Ciemny Las.

Pewnego popołudnia dotarł do drogi z Aomizu do Rinrakuji. Było tuż przed zachodem słońca. Shika nie wiedział, czy powinien skrócić na wschód czy na zachód, więc pozwolił koniom paść się przez jakiś czas w małym zagajniku i czekał, aż jastrzębie pokażą mu kierunek.

Kon poleciał na zachód, ale szybko wrócił, wylądował na ramieniu Shiki i powiedział wyraźnie:

– Księżę Yoshimori!

Zen wydał triumfalny okrzyk, sfrunął z grzbietu Risu i usiadł na gałęzi drzewa, patrząc wyczekująco.

Shika podkradł się do drogi z łukiem w ręku.

Traktem maszerowały w stronę Aomizu dwie osoby. Jedną z nich zdecydowanie było dziecko. Druga w pewnym momencie obejrzała się za siebie, a Shika zobaczył, że to młoda dziewczyna. Szli za nią dwaj mężczyźni, to znikając z widoku, to się pokazując, jak wilki ścigające jelenia i tamten, który doprowadził go do Shisoku. Wokół nikogo innego nie było. Dziewczyna teraz już biegła, ciągnąc dziecko za rękę, potykając się i zataczając. Prześladowcy się do niej zbliżali.

Shika usłyszał, jak jeden z nich woła:

– Ja biorę dziewczynę, chłopak jest dla ciebie. Potem się zamienimy.

Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła do nich twarzą. Tobolek, który niosła, wcisnęła teraz w ręce dziecka, a sama wyciągnęła sztylet. Na plecach miała mały łuk.

Shika pomyślał, że mógłby puścić się galopem, porwać dziecko i uciec. Dziewczyna się nie liczyła. Nie miał pojęcia, kim są ci mężczyźni. Nie nosili żadnych emblematów, herbów ani zbroi. Ale widział ich twarze, ich chciwość i nieskrywaną żądzę, a odwaga dziewczyny i jej wojownicza postawa przemówiły do niego. Zdecydował, że uratuje jej życie.

Wyjął strzały z kołczanu, nasadził je na łuk i szybko wystrzelił jedną po drugiej. Obie trafiły w cel: w nieosłonięte szyje. Wyraz zdumienia i bezsensowne chwytnie za drzewce, osłabienie mięśni i ścięgien, utrata krwi – wszystko to nastąpiło w ciągu kilku krótkich chwil. Obaj mężczyźni padli martwi.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego z pobladłą twarzą. Nie groziła mu nożem. Wiedziała, że nie ma żadnej obrony przed strzałami, ale przyciągnęła chłopca do siebie, przyciskając ostrze do jego szyi.

Shika zrozumiał, że zamierza zabić Yoshimoriego, a potem siebie. Jej desperacja i zdecydowanie poruszyły go jeszcze bardziej.

– Nie bój się mnie! – zawołał. – Pomogę ci!

Poczuł, że ożywa w nim moc Sesshina, i zrozumiał, że sprzeciwi się księciu opatowi.

Hina

Yukikuni no Takaakira jechał przez stolicę, szukając miejsca do zamieszkania.

Pan Śnieżnej Krainy był doradcą pana Aritomo, zausznikiem i przyjacielem tego milkliwego i podejrzliwego człowieka, głęboko zranionego przez utratę rodziny i lata wygnania. Pan Minatogury był nieprzewidywalny, jego natura była pamiętliwa i bezlitosna, łaska raz utracona – nie do odzyskania. Nigdy nie zapominał zniewagi ani uchybienia, zauważał wszystkie błędy. Ale Takaakira szanował go, a nawet kochał, podziwiał jego wytrwałość, hart i idealizm, który doprowadził do ustanowienia sądów, wymagających archiwów, tytułów własności, spisanych świadectw wojennych czynów i systemu sprawiedliwego nagradzania.

Takaakira ze smutkiem oglądał kolejne piękne domy obrócone w zgliszcza, nad którymi wciąż snuł się dym. Może jedyny wśród Miboshich, którzy teraz zajęli stolicę, żałował zniszczenia Kakizukich. W młodości wiele razy odwiedzał miasto i zachwycał się bogactwem jego sztuki, poezji, muzyki i tańca. Całym sercem podziwiał bohaterstwo wojowników Kakizukich, którzy w ostatniej bitwie rzucali się na Miboshich, jak w starych pieśniach wykrzykując swoje nazwiska i domagając się godnego przeciwnika. Zostali pokonani gradem strzał wypuszczonych na rozkaz pana Aritomo przez anonimową i zjednoczoną armię. Ta nowa forma wojny złamała ich ducha. Nie umieli walczyć w ten sposób. Niektórzy uciekli z panem Keitą, przypuszczalnie po to, żeby się przegrupować w Rahukarze albo w innej twierdzy na zachodzie, porzucili swoje pałace i rezydencje, piękne ogrody, teraz w pełnym wiosennym rozkwicie, i w większości wypadków żony i dzieci.

Pan Aritomo, który rozumiał naturę władzy i zemsty, rozkazał je zabić. Takaakira podziwiał bezwzględność swojego pana i jednocześnie głęboko żałował młodego, niewinnego życia. Uważał, że wrażliwość stanowi znaczącą część jego natury. Łatwo podziwiał – ludzką odwagę albo dobroć, talenty artystyczne, piękno natury, gorzkość istnienia wyrażoną w poezji – i każdą stratę odczuwał tak głęboko, że czasami było to nie do zniesienia. Dręczył go smutek, w tych czasach, w pokonanym mieście, jeszcze bardziej dojmujący niż kiedykolwiek. Nigdy tak bardzo nie tęsknił za obojętnością i spokojem śmierci.

Rzeź właściwie się skończyła. Aritomo wprowadził się do niezniszczonego pałacu pana Keity. Trwały przygotowania do koronacji nowego cesarza. Ustanawiano sądy, żeby

podzielić się łupami wojennymi. Starsi Miboshi zajmowali oficjalne stanowiska poprzednio zajęte przez Kakizukich. Takaakira był jednym z nich. Jego tytuł brzmiał obecnie starszy radca, ale zanim mógł zacząć wypełniać obowiązki, musiał znaleźć sobie dom.

Na zachodnim krańcu miasta, pod Rokujo, trafił na mur otaczający ogród, zaniedbany, ale całkiem miły dla oka. Wokół uchylonej bramy oplecionej winoroślą rosły dzikie kwiaty i trawa. Takaakira zsiadł z konia i oddał wodze swojemu towarzyszowi Gensaku. Cicho wszedł do środka.

Po jego lewej stronie stał długi niski budynek o doskonałych proporcjach zwrócony ku zachodowi. Ogród, ozdobne krzewy, żwirowe ścieżki i staw były zduszone przez chwasty. Na dużym płaskim gładzie przy domu wygrzewał się kot. Na dźwięk jego kroków zeskoczył z kamienia i zniknął pod werandą.

Wydawało się, że oprócz kota nie ma tam żadnej żywej istoty. Werandę pokrywała warstwa kurzu, prawie nienaruszona. W blasku popołudniowego słońca Takaakira wypatrzył na niej ślady kocich łap i dziecka. Ogarnął go żal. Nie chciał przelewać krwi w miejscu, które już postanowił uznać za swoje. Przez chwilę rozważał pomysł, żeby zawołać Gensaku i poczekać na zewnątrz, póki sprawa nie zostanie załatwiona, ale coś go powstrzymało. Wszedł do domu.

Wszystkie okiennice były zamknięte, w środku panowały ciemności. Nikogo nie zobaczył, ale wydawało mu się, że słyszy lekkie dziecięce kroki przemykające z pokoju do pokoju. Pościg go podniecił; był jak zabawa. W końcu Takaakira dostrzegł oczy, które lśniły w półmroku jak kocie. Zapędził dziecko w kąt. Złapał je. Nie stawiało oporu. Coś ścisnęło w rękach. Nie płakało ani nie walczyło, kiedy wynosił je na werandę. Musiał wezwać Gensaku, żeby je uśmiercił.

W blasku słońca zobaczył, że to dziewczynka. Patrzyła na niego z powagą i rezygnacją, ale nic nie mówiła. Kiedy ona ostatnio coś jadła, zastanawiał się Takaakira. W obu rękach trzymała pudełko, a pod pachą jakiś tekst. Rozwarł jej dłonie i wyjął z nich szkatułkę, ale kiedy zamierzał ją otworzyć, dziewczynka powiedziała surowo:

– Nie!

Odłożył pudełko i wziął od niej manuskrypt. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to traktat o ziołach i medycynie, może ezoterycznej. Jego zainteresowanie wzrosło. Przeczytał wszystkie prace mistrzów yin-yang i trochę zajmował się tajemnymi sztukami.

– Skąd to masz? – zapytał.

Dziewczynka westchnęła w sposób tak znaczący i dojrzały, że był zaskoczony i poruszony. Ona wie, że umrze, pomyślał. Ale przecież ma nie więcej niż dziesięć lat. Jak ktoś w tym wieku może się wydawać taki dorosły i świadomy?

W tym momencie ujrzał wszystkie lata jej życia tak, jak mogłyby wyglądać: dorastanie, nauka czytania i pisania, stawanie się kobietą, małżeństwo. Czy to wszystko miało zniknąć w jednej chwili na jego rozkaz? Potem dostrzegł alternatywę: mógłby ją oszczędzić. To było takie proste, że niemal wstrzymał oddech. Proste i doskonałe. Jak Murasaki i Genji. Zawsze marzył o tym, żeby mieć dziecko i wychować je jak córkę, żeby później została kochającą żoną, towarzyszką życia dzielącą jego zainteresowania, równą

mu intelektem i wykształceniem. Wyobraził sobie stroje, w które by ją ubierał, książki, które by jej dawał, wiersze, których by jej uczył, rozpoznawanie zapachów.

– Jak masz na imię? Nie bój się mnie. Nie skrzywdzę cię. Nigdy nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Obiecuję.

Dziewczynka przez chwilę patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, a potem po jej ustach przemknął cień uśmiechu.

Ona mi ufa, pomyślał Takaakira i zalała go fala radości.

– Powiedz mi, jak się nazywasz.

– Nie mam dorosłego nazwiska – odpowiedziała. – Wszyscy zawsze mówili na mnie Hina.

– Czarujące. A nazwisko twojego ojca?

– Nie pamiętam.

Łatwo będzie je odkryć. Ale – po namyśle – lepiej nie wiedzieć. Gdyby ta mała pochodziła z wysokiego rangą albo ważnego rodu Kakizukich, oznaczałoby to dużo poważniejszy akt nieposłuszeństwa z jego strony. Takaakira domyślał się, że jej rodzina to prowincjonalni wojownicy, którzy utrzymywali rezydencję w stolicy, ale mieszkali w wiejskiej posiadłości. Dom był miły, ale nie imponujący, po zachodniej stronie miasta i za daleko od pałacu cesarskiego. I na szczęście dla niego ukryty przed wścibskimi oczami.

– Zostań tutaj – przykazał i poszedł do bramy.

Wydał Gensaku polecenie, żeby znalazł służące i sprzątaczy, przydzielił jednego ze swoich ludzi do prowadzenia domu, kupił jedzenie i wino. Na koniec rzucił niedbałym tonem:

– W domu ukrywa się dziewczynka. Jej ojciec zginął, walcząc dla nas, a ona tutaj się schroniła. Zaopiekuję się nią, póki nie znajdziemy jej rodziny. Ale nie ma potrzeby o tym rozpowiadać.

Gensaku uklonił się i wyznaczył jednego z żołnierzy, żeby przeszukał dom i zorientował się, co jest potrzebne.

Takaakira wrócił na werandę. Hina klęczała przed szkatułką stojącą na podłodze i poruszała ustami w modlitwie, jakby za coś dziękowała. Przeszedł go lekki dreszcz. Wyczuwał w niej coś niesamowitego, jakby była lisicą albo spadła z gwiazd. Ale to czyniło ją w jego oczach jeszcze bardziej interesującą.

Kiedy się do niej zbliżył, usiadła na piętach i uśmiechnęła się do niego z lekkim wahaniem, lecz szczerze.

– Ojciec obiecał, że nauczy mnie czytać – oznajmiła. – Ale nie wrócił.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wrócił – rzekł cicho Takaakira, żałując wroga, którego nie znał.

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczynki, w oczach zalśniły łzy.

– Ja cię nauczę – powiedział Takaakira.

I kiedy czekał, aż dom zostanie przygotowany, zaczął pokazywać jej znaki, rysując je palcem w kurzu pokrywającym werandę.

Tama

W Minatogurze pani Tama z niepokojem czekała na wieści. Życie w klasztorze było spokojne, ale ona nudziła się i denerwowała. Martwiła się o dzieci, tęskniła za Matsutani, za polami, strumieniami i górami. Zastanawiała się, czy naprawiono zniszczenia po trzęsieniu ziemi, czy jezioro napełniło się wodą, kto doglądał przygotowania pól ryżowych pod zasiewy i sadzonek, wietrzenia ubrań, wiosennych porządków. Tylko ona potrafiła to wszystko robić jak należy.

Widziała, jak wyrusza armia Miboshich, tysiące żołnierzy, niektórzy konno albo pieszo, inni łodziami, i choć nikt nie powiedział jej tego wprost, przypuszczała, że Masachika pojechał razem z nimi. Jeśli Matsutani i Kuromori padną, on będzie na miejscu, żeby objąć je w posiadanie zgodnie z prawem podboju i zapewne ze zwykłym prawem również. Dowiedziała się, że jego roszczenia jeszcze nie rozpatrzone. Trybunał złożony ze starców, którzy nie brali udziału w bitwach, nadal rozstrzygał sprawy, starając się wyczyścić zaległości przed zalewem nowych wniosków po zwycięstwach w nowych kampaniach.

– Usłyszeliśmy zeszłej nocy, że pan Aritomo zajął stolicę – oznajmiła któregoś ranka matka przełożona. – Zdaje się, że Kakizuki podburzyli księcia koronnego do buntu przeciwko ojcu. Następca tronu zginął w walce, podobnie jak wielu Kakizukich. Reszta uciekła. Cesarz zmarł, a tron obejmie jego drugi syn. Będziemy przestrzegać okresu żałoby i modlić się za dusze zmarłych. – Mówiła spokojnie, ale Tama wyczuwała jej niepokój. – Gdyby tak mężczyźni naprawdę podążali drogą Oświeconego. Gdyby odrzucili ambicję i żądzę władzy, odmówili zabijania i zadowolili się tym, co mają, nie zalewaliby świata wciąż nowymi falami cierpienia.

Tama pokiwała głową, ale nie zdołała się powstrzymać od zadania pytania:

– Są jakieś wieści od naszego złodzieja?

– To on przyniósł mi te wieści.

– Więc gdzie jest teraz? Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, pani? – W głosie Tamy brzmiało zniecierpliwienie.

– Czas spędzony tutaj nie zmienił twojej determinacji, żeby odzyskać posiadłość?

– Jestem zdeterminowana bardziej niż kiedykolwiek, ale obawiam się, że jest już za późno. Muszę porozmawiać z Hisoku.

– Zostań z nami – poprosiła matka przełożona. – Porzuć swoje pragnienia i znajdź spokój ducha.

– Jeśli Hisoku wrócił z pustymi rękami, będę musiała to zrobić. Ale jeśli dostanę te dokumenty, zamierzam przedstawić je w sądzie.

Matka przełożona westchnęła.

– Idź do pawilonu. Przyślę go do ciebie.

* * *

Hisoku uklonił się do ziemi przed Tamą, a potem oboje usiedli naprzeciwko siebie na małej werandzie. Kwiaty wiśni opadły, zielone liście rzucały strzępiaste cienie. Serce Tamy biło trochę szybciej w obecności mężczyzny. Podejrzewała, że jego również. Nie miała zamiaru bliżej go poznawać i ryzykować reputacji, ale świadomość, że mu się podoba, była krzepiąca. Oznaczała, że ten człowiek zrobi dla niej wszystko.

Teraz wyjął spod szaty mały pakunek i położył go na ziemi między nimi.

– Znalazłeś je bez trudności?

– Nie wiem, ile pani słyszała...

– Opowiedz mi wszystko.

– Kiedy przybyłem do Matsutani, pan Kiyoyori i jego córka już wyjechali do stolicy.

– Kiyoyori wyjechał? Myślałam, że zostanie i będzie walczył o posiadłość. Sądziłam, że jeśli Matsutani zostanie przejęte, on wycofa się do Kuromori, którego można bronić bez końca.

– Tak najwyraźniej zrobili jego ludzie. Matsutani zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi, a garnizon, który tam został, nie miał szansy w starciu z Miboshimi. Wojownicy uciekli i schronili się w Kuromori.

– I zapewne czekają na powrót Kiyoyoriego. Gdzie on jest?

– Przypuszcza się, że zginął razem z księciem Momozono, ale to nie jest potwierdzone.

Tama nagle poczuła smutek. Ach, nigdy więcej go nie zobaczy! Swojego męża od siedmiu lat, ojca jej syna!

– A dzieci?

Do tej pory Hisoku mówił suchym, beznamiętnym tonem, ale teraz jego głos zadrżał:

– W stolicy wszystkie dzieci Kakizukich zostały odszukane i zabite. I znowu nie ma potwierdzenia. Tyle ich było i tak młodych. Większość ciał została spalona bez identyfikacji.

Jasny dzień raptem zrobił się ciemny. Tama nic nie widziała.

– Pani Tamo? Zemdleje pani? Wezwę kogoś.

– Nie. Dokończ relację.

– O tym wszystkim usłyszałem od innych, bo sam nie byłem w stolicy. Chciałem jak najszybciej wrócić z dokumentami. Matsutani jest opuszczone. Strażnicy uciekli na długo przed przybyciem Miboshich.

– Nie sądziłam, że szkody po trzęsieniu ziemi są takie wielkie. Z pewnością wszystko da się naprawić.

– Nie chodziło o trzęsienie ziemi – rzekł Hisoku. – Odbudowa już się zaczęła. W stosach

leżały deski przycięte do właściwej długości i gotowe do użycia. Ale nie było robotników, strażników, służących. Paru rolników pracowało na polach ryżowych, więc poszedłem ich zapytać. Powiedzieli mi, że rezydencja dostała się pod wpływ złych duchów. Jeden z nich, który uważał się za eksperta w tych sprawach, wyjaśnił, że zostawił je tam mistrz Sesshin, żeby chroniły Matsutani, ale po jego wyjeździe duchy czuły się porzucone i zanedbane i stały się złośliwe. Podobno dwaj ludzie, strażnik i cieśla, usłyszeli głos pana Kiyoyoriego wołający ich imiona, wbiegli do budynku i zostali zmiażdżeni przez belki strącone z wielką siłą z dachu. Świadkowie mówią, że słyszeli śmiech, a jeden nawet twierdził, że widział duchy przycupnięte pod krokwiami. Potem nikt nie odważył się wejść do domu. Przyszedł kapłan ze świątyni, ale stwierdził, że nie poradzi sobie z tymi duchami i że trzeba zostawić je w spokoju, póki Sesshin albo inny mistrz ich nie egzorcyzmuje.

– Oskarżyłam go o to, że jest czarownikiem, ale nie zdawałam sobie sprawy, że takim potężnym – wyznała Tama.

– Tamten kapłan mi powiedział, że kazała pani wyłupić Sesshinowi oczy i wypędziła go do Ciemnego Lasu. – Jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

Tama nie chciała się zadrećcać wspomnieniami tamtego strasznego dnia. Jakie to wszystko miało teraz znaczenie? Jej syn nie żył, dom był nawiedzony.

– Powinieneś był mnie zabić, kiedy tu przyszedłeś z takim rozkazem! – wykrzyknęła i w jej oczach zaczęły wzbierać łzy. – Zabij mnie teraz i połóż kres mojemu cierpieniu. – Nie zdołała dłużej hamować uczuć i przez wiele minut szlochała gorzko.

W końcu Hisoku odezwał się z pewnym wahaniem:

– Znalazłem dokumenty, pani Tamo.

– Wszedłeś do domu? Nie bałeś się?

– Trochę tak, ale zachowywałem się z szacunkiem. Spędziłem kilka dni, rozmawiając z duchami. Przyniosłem im ofiary przebłagalne, wiosenne kwiaty, wino ryżowe i tak dalej. Trochę się znam na tych rzeczach, bo mój ojciec był ogrodnikiem w Wielkiej Kaplicy w Miyako i często musiał uspokajać duchy przepędzone albo obrażone przez prace w ogrodzie.

– Naprawdę masz wiele talentów – stwierdziła Tama.

– Mając tylu wrogów, nie potrzebuję jeszcze nieprzyjaznych duchów. Staram się mieć je po swojej stronie. W końcu powiedziałem im, że muszę coś wziąć z domu, a one mnie wpuściły. Dokumenty były tam, gdzie pani mówiła, w kuchennej studni.

Tama nawet nie spojrzała na pakunek.

– To wszystko moja wina – stwierdziła. – Zniszczyłam miejsce, które kochałam. Gdybym nie potraktowała mistrza Sesshina tak okrutnie i go nie wypędziła, nadal by ochraniał mój dom. Nie wiedziałam, że to robił przez tyle lat. Myślałam, że prosperujemy dzięki błogosławieństwu niebios, zdolnościom Kiyoyoriego, moim własnym wysiłkom. Ale tak naprawdę to nie Sesshina ukarałam, tylko mojego męża. Wszystko zaczęło się od niego, kiedy sprowadził inną kobietę do mojego domu. Zazdrość o nią i strach o syna, kiedy został porwany, sprawiły, że zachowałam się tak okrutnie i niemądrze.

– Musiała pani bardzo kochać syna.

– Nie wiedziałam jak bardzo.

– Jego ojca też?

– Nie twoja sprawa. – W rzeczywistości Tama była zdumiona, jak głęboki i bolesny jest jej smutek z powodu śmierci Kiyoyoriego.

– Sądząc po tym, co mówią ludzie, był lepszym człowiekiem niż jego brat – zauważył Hisoku. – Cóż, sama to przyznałaś, pani, mówiąc, że pan Kiyoyori wolałby panią samą zabić niż wysłać zabójcę.

– Gdzie jest teraz jego brat Masachika? – spytała Tama.

Musiała walczyć z Masachiką w sądach o Matsutani, ale znalazła w sobie determinację, żeby to zrobić. Postanowiła, że odzyska i odbuduje swój dom rodzinny, uczyni go równie bezpiecznym i pięknym miejscem jak za życia Kiyoyoriego, Hiny i Tsumaru.

– Towarzyszył Miboshim, kiedy ich siły wkraczały do stolicy – odpowiedział Hisoku. – Słyszałem, że wyróżnił się w bitwach w Shimaurze i nad rzeką Sagi. Teraz pomaga panu Aritomo w szukaniu ludzi na oficjalne stanowiska. Został kapitanem gwardii.

– Szczęście sprzyja jednemu bratu, drugiego opuszcza – rzekła Tama. – Ich ojciec chciał mieć synów po obu stronach, żeby klan przetrwał, a Kuromori zostało w rodzinie, niezależnie od tego, kto zwycięży. Był dalekowzroczny, ale nie wziął pod uwagę, że Matsutani jest moje. Zrobię wszystko, żeby je odzyskać, a jeśli sąd zadecyduje na moją niekorzyść, zostanę mniszką i będę się modlić, żeby zmarli mi wybaczyli.

Hisoku patrzył na nią z podziwem.

– Pomogę pani we wszelki możliwy sposób.

Masachika

Masachika sam doglądał ludzi księcia opata, którzy przeczesywali ruiny pałacu Momozono. Chciał być pewien, że Kiyoyori nie żyje, i pogrzebać jego szczątki z należytą czcią, żeby ułagodzić jego ducha, położyć kres konfliktowi i rywalizacji, do których doprowadziła decyzja ich ojca. Już szeptano o powrocie zamordowanego księcia koronnego jako mściwego ducha i kapłani zbierali się codziennie na miejscu jego śmierci, żeby go przebłagać. Ich śpiewy i dym kadzideł stanowiły akompaniament dla niespokojnych poszukiwań Masachiki.

Jeśli ktoś miał wrócić jako mściwy duch, myślał, to z pewnością Kiyoyori. Choć nie znaleziono jego ciała, na pewno nie żył. Masachika bardzo chciał w to wierzyć i nakazał kapłanom, żeby dołączyli imię jego brata do swoich modłów. Nie dotarły do niego plotki, że Kiyoyori jakoś się uratował. Nikt nie chciał, żeby wyrwano mu język.

Masachika poszedł do starego domu pod Rokujo, ale zastał drzwi zamknięte i strzeżone. Powiedziano mu, że rezydencja została przejęta przez Yukikuniego no Takaakirę. Nie było na to rady, bo Masachika nie miał zamiaru robić sobie wroga z zausznika pana Aritomo. I tak nigdy mu nie zależało na tym domu. Tam umarła jego matka, tak że wiązały się z nim tylko smutne wspomnienia. Tsumaru nie żył, Hina też gdzieś przepadła. Nigdy nie widział bratanka, a dziewczynkę ostatni raz jako niemowlę. Naturalnie czuł trochę żalu z powodu dzieci i brata, jakiego znał przed rozłamem. Wspomnienia wspólnego dzieciństwa stanęły mu przed oczami jak żywe: konie, sokoły, pierwsze łuki i miecze. Byli wtedy bliskimi przyjaciółmi. Masachika podziwiał Kiyoyoriego i we wszystkim szukał jego aprobaty, aż dorósł na tyle, żeby sobie uświadomić, co oznacza pozycja młodszego syna. Zaczął żywić urazę do brata, który tylko z racji urodzenia miał wszystko, a on nic. Gdy już się wydawało, że jego małżeństwo i nieoczekiwana śmierć bratowej obróciły koło fortuny na jego korzyść, brutalna decyzja ojca zabrała mu żonę i posiadłość i oddała je Kiyoyoriemu.

Pojechał do Minatogury, płonąc z rozgoryczenia i wściekłości, ale zapanował nad emocjami i wiernie służył swojej nowej rodzinie, Yamadom, i nowym panom, Miboshim. Zrozumiał, że musi być użyteczny dla tych, którzy go otaczają, jeśli chce przeżyć. I stał się biegły w wykonywaniu zadań, których nikt inny nie chciał się podjąć.

Postąpił jak lojalny syn i teraz zamierzał się cieszyć owocami swojego posłuszeństwa. Był teraz nawet wdzięczny ojcu, że zapewnił mu miejsce po zwycięskiej stronie.

Matsutani i Kuromori należały teraz do niego, zgodnie z decyzją trybunału czy bez niej. Był jedynym żyjącym spadkobiercą.

Mimo to nie czuł się bezpieczny. Zaczął się bać, że posiadłości mogą zostać przekazane komuś innemu, że pan Aritomo zapomni o nim albo go przeoczy, że zaszkodzi mu pochodzenie z rodu Kakizukich. Kiedy doniesiono, że w Kuromori trzymają się jeszcze ostatni ludzie Kiyoyoriego, poprosił o pozwolenie, by przypuścić na nich atak, nim zaczną się deszcze.

Dostał stu wojowników, którzy niespokojnie czekali w mieście na następne bitwy, potyczki albo oblężenia; wszystko było lepsze od polowania na kobiety i dzieci. Wręcz palili się do tego, żeby znowu się wykazać. Większość nie miała ziemi, była głodna uznania i nagród. Masachika i jego zastępca Yasuie potrafili czytać i pisać i jeszcze zanim opuścili Miyako, zasypywano ich prośbami o spisanie nazwisk tych ludzi, ich historii wojennej, bitew, w których walczyli, odniesionych ran.

Masachika uznał to za dobrą okazję, żeby lepiej poznać każdego z tych mężczyzn, którzy przypadkiem znaleźli się pod jego komendą, i wyrobić sobie o nich opinię. Jedni lubili się przechwalać, inni byli naprawdę dzielni (oczywiście to pierwsze nie wykluczało drugiego), jeszcze inni byli pragmatyczni i rozważni. Przez jakiś czas mieli słuchać jego rozkazów, bo zgodnie z prawem odzyskiwał swoją własność, a poza tym znał te tereny, ale każdy z tych ludzi zamierzał walczyć o własną chwałę i zdobycze.

Drugiego wieczoru dotarli do Shimaury, nadal udekorowanej głowami ludzi Kiyoyoriego, którzy zginęli, broniąc jej bezskutecznie. Sam Masachika zabił niejednego z nich. Nie myślał o tym w wirze bitwy, ale teraz poczuł się nieswojo. To byli słudzy jego rodziny. Starsi z tych mężczyźni go uczyli, z młodszymi dorastał. Wydawało mu się, że ich puste oczodoły, wydziobane przez kruki, patrzą na niego z naganą. Wolałby pochować te czaszki, ale nie śmiał okazać słabości albo współczucia dla Kakizukich. Zamiast tego sztychował ze zmarłych, wołając ich po nazwisku, a żywi śmiali się serdecznie.

W nocy spał źle, obudził pozostałych przed świtem i z ciężkim sercem wyruszył w stronę Matsutani.

Słońce wzeszło nad górami, oślepiając wojowników. Przed nimi, na północy, leżał Ciemny Las. Na płaskiej ziemi wzdłuż rzeki młody ryż lśnił jaskrawą zielenią, kołysząc się nad własnym odbiciem w zalanych polach. Żaby skrzeczały przy brzegach, nad trawą fruwały motyle. Powietrze było wilgotne i ciężkie, ludzie pocili się pod zbrojami, sierść koni pociemniała.

Wczesnym popołudniem dotarli do Matsutani. Czując, że są blisko celu, zaczęli robić krótkie wypadki, żeby zdobyć jakieś pożywienie: tu trochę jaj, tam wiadro prosa, świeże warzywa wyrwane z ziemi. Rolnicy i ich rodziny nie protestowali ani nie stawiali oporu, tylko patrzyli z urazą na Masachikę. On zastanawiał się, czy go rozpoznają. Chciał powiedzieć: „Jestem waszym panem. Wszystko tutaj jest moje”.

Yasuie zmierzył go wścibskim wzrokiem.

– Jest jakaś dziwna historia między panem a bratem, prawda?

– Nic, co by mogło kogoś obchodzić, odkąd mój brat nie żyje.

– Ale wydaje się trochę niezwykle, że skończyliście po przeciwnych stronach.

Masachika bez słowa popędził konia, ale kiedy zbliżył się do zachodniej bramy, wykrzyknął:

– Jestem Kuromori no Jiro no Masachika. Przybyłem, żeby odzyskać swoją posiadłość.

Tymczasem dogonił go Yasuie i powiedział:

– Ludzie mówią, że w domu zamieszkały złe duchy. To dlatego jest opuszczony. Starzec Sesshin umieścił je tu jako strażników.

– Sesshin? – powtórzył Masachika z zaskoczeniem. – Nic dziwnego, że się zeźliły.

– Podobno stało się to po tym, jak pani kazała wyłupić mu oczy.

– Słabe wytłumaczenie tego, że nie wykonano żadnych napraw – stwierdził Masachika, powstrzymując drżenie. – Od trzęsienia ziemi upłynęły miesiące. To karygodne, że nic nie zrobiono. – Zsiadł z konia i jeszcze raz zagrział: – To ja, Masachika, pan Kuromori i Matsutani!

W czasie przedłużającej się ciszy dostrzegł zniszczenia domu i zaniedbanie niegdyś pięknego ogrodu. Jezioro zmieniło się w nieckę błota, letni pawilon w stos zwęglonego drewna. W końcu z wnętrza zrujnowanej rezydencji dobiegł śmiech.

– Wejdz, Masachiko!

– Kiyoyori?!

– Nie podchodź bliżej, panie – ostrzegł go Yasuie. – To nie jest twój brat.

– Wszędzie poznałbym ten głos – rzekł Masachika i ruszył w stronę werandy.

W jego stronę poleciał żelazny garnek. Z taką siłą uderzył go w ramię, że Masachika aż przykleknął.

– Panią Matsutani jest żona twojego brata, a Kuromori twój brat! – wykrzyczał ktoś drwiącym głosem niepodobnym do głosu Kiyoyoriego. – Kim ty jesteś, Masachiko? Ani Kakizukim, ani Miboshim. Jesteś nikim!

Tym słowom towarzyszyły wybuchy rechotliwego śmiechu, a potem duchy zaczęły ciskać innymi kuchennymi sprzętami: bambusową chochlą, dwiema małymi miotłami, lakierowaną tacą. Na ścieżce roztrzaskało się kilka cennych mis.

– To muszą być jakieś miejscowe łobuzy – stwierdził Masachika z wściekłością. – Obetnę im uszy i wyślę ich do kopalni srebra.

Groźba tylko wzbudziła w duchach jeszcze większą wesołość.

Masachika wycofał się do bramy. Słyszał za sobą swoich ludzi, którzy zapewne z bezduszną ciekawością czekali na to, co on teraz zrobi. Jego autorytet malał z każdą chwilą.

– Kto wypędzi tych urwisów z mojego domu?! – krzyknął.

Nikt się nie odezwał ani nie ruszył.

– Co? Wszyscy się boicie?

– Oni nie boją się żadnych ludzi – rzekł Yasuie. – Istoty z tamtego świata to inna sprawa.

Nagle w bramie pojawił się młody ogromny mężczyzna, o głowę wyższy od Masachiki. Niósł długą włócznię, tak ciężką, że niewiele by ją udźwignęło. Był to Yasunobu, młodszy

brat Yasuiego.

– Ja się ich pozbędę, panie – oświadczył.

– Nie idź tam, bracie – ostrzegł go Yasuie. – Nikt nie będzie tobą gardził.

– Ale ja gardziłbym sobą – odparł młodzieniec lekkim tonem. – Teraz, kiedy sam się zgłosiłem, byłbym pamiętany jako tchórz.

Trzymając włócznię przed sobą, wbiegł na werandę i wpadł do środka. Najpierw rozległy się dwa dzikie wrzaski, a po nich wycie bólu. Yasunobu wyleciał z domu z brzuchem przebitym własną włócznią. Runął z taką siłą, że drzewce przyszpiliło go do ziemi.

Yasuie i Masachika natychmiast do niego podbiegli, ale nic już nie można było zrobić. Z ранego razem z krwią wyciekało życie. Kiedy próbowali wyrwać włócznię z ziemi, wokół nich latał rój małych owadów podobnych do pszczoł, żądłąc ich w twarze i ręce. Każde ukąszenie powodowało piekący ból. Ale Yasuie nie zamierzał opuścić brata, którego krzyki przeszły w urywane sapanie. Masachika czuł, że może go teraz zostawić i uciec.

Gdy w końcu wyrwali włócznię, Yasunobu ucichł. Obaj dźwignęli jego ciało i wynieśli za bramę. Za murem insekty zostawiły ich w spokoju. Masachika czuł, że twarz mu puchnie, powieki nabrzmiwiają.

Spojrzał w górę na słońce. Zostało jeszcze kilka godzin dziennego światła. Musi działać, żeby zatrzeć upokorzenie, którego doznał od duchów. Postanowił natychmiast wyruszyć do Kuromori. Jedyłą nadzieję na sukces dawał atak z zaskoczenia, ze stromego zbocza góry na tyłach fortecy. obrońcy nie będą się go stamtąd spodziewali, o ile jakiś lekkomyślny rolnik nie postanowi ich ostrzec.

Yasuie szlochał nad ciałem brata. Łzy ciekły mu z oczu, które teraz wyglądały jak szparki.

– Zostań i pochowaj go – rzekł Masachika. – Reszta pojedzie ze mną. Odbierzemy Kuromori, a potem wrócimy i rozprawimy się ze złem, które opanowało to miejsce.

Od strony ludzi dobiegł lekki szmer.

– Jeśli ktoś woli się tu schować zamiast walczyć, może pomóc Yasuiemu pochować brata. Wszystkie nazwiska zostaną zapisane, tych, którzy zostaną, i tych, którzy pojedą ze mną.

Pojechali z nim wszyscy z wyjątkiem Yasuiego. Poprowadził ich doliną wzdłuż strumienia, który wypływał z Ciemnego Lasu i kiedyś napełniał jezioro w Matsutani. Gdy opuszczali posiadłość, Masachika przypomniał sobie dzień swojego ślubu z Tamą, zachwyty, że ma młodą piękną żonę, wstrząs po śmierci jej brata, kiedy ją pocieszał, a w duchu się cieszył, że teraz Matsutani będzie należało do niego. A potem koszmar, gdy dwaj starcy, ich ojcowie, wprowadzili w życie swój potworny plan.

Kiyoyori, trzeba mu oddać, próbował ich przekonać, żeby im tego nie robili, protestował, upierał się nawet w obliczu straszliwego gniewu ojca. Ale gdyby jego bratu udało się nakłonić ich do zmiany decyzji, Masachika nadal byłby Kakizukim i prawdopodobnie już by nie żył albo uciekał. A tak dostał drugą szansę. Gdyby zdołał przejąć Kuromori, obie posiadłości należałyby do niego. Ból dłoni i twarzy nie pozwalał mu

zapomnieć, że Matsutani jest teraz nawiedzony, ale pocieszył się, że znajdzie jakiegoś czarownika, żeby pozbył się duchów, a tymczasem nikt nie odbierze mu skarbu.

Podążał szlakami, po których często galopował razem z bratem. Ile godzin życia spędzili, przemierzając ten las i góry? Przez całe dzieciństwo wymyślali strategie ataków i obrony fortecy, która była ich domem, bez końca ćwiczyli jazdę konną i władanie bronią, szykując się do dorosłego życia wojowników.

Teraz on i jego ludzie wjechali w las głębiej, niż kiedyś on z bratem. Zamierzał wspiąć się na górę chroniącą tył fortu i spaść na niego jak z nieba. Ale żeby uniknąć strażników i czujek, musieli oddalić się od strumienia i odbić na północ, a kiedy miną Kuromori, skręcić na wschód.

Masachika był pewien, że ten plan ma sens, ale w głowie mu się mąciło, jakby dopadła go gorączka. Miał też kłopoty ze wzrokiem.

Teren był nierówny, usiany głazami i bardzo stromy. Konie przyśpieszyły kroku do niezdarnego cwału, potykając się i ślizgając. Kiedy dotarli do małego płaskowyżu, gdzie mieli skręcić na wschód, spienione wierzchowce oddychały ciężko. Kilka miało nadgarstki otarte do krwi.

Masachika nie pozwolił na odpoczynek, tylko puścił się dalej galopem. W ostatnich promieniach słońca ich cienie mknęły między pniami sosen. Potem czerwona kula zsunęła się za góry, zmieniając kolor nieba na cynobrowy. Biały księżyc widoczny na wschodzie powoli robił się srebrny.

Kiedy dotarli na szczyt urwiska nad fortecą, zbliżała się noc. Z płonących pod nimi ognisk unosił się dym, świeciło się kilka lamp. Było za ciemno, by policzyć, ilu ludzi broni fortecy i czy pilnują również jej północnej strony. Ale Masachika nie chciał czekać do świtu, bo prawdopodobieństwo, że zostaną zauważeni, rosło z każdą chwilą. Odkąd opuścili płaskowyż, zabronił ludziom rozmawiać, ale nikt nie mógł zabronić koniom rzeć.

Masachika postanowił zerknąć na Kuromori, teraz nareszcie w jego zasięgu. Nie zważając na ból i coraz większe kłopoty ze wzrokiem, dał ludziom znak, żeby podążyli za nim, i poprowadził ich wzdłuż krawędzi urwiska.

Tak jak zapamiętał, było tam coś w rodzaju ścieżki wydeptanej przez lisy albo jelenie. On i Kiyoyori kiedyś nią szli, tropiąc rogacza, całe życie temu. Konie popędziły w dół, kwicząc ze strachu, podczas gdy jeźdźcy pohukiwali i wznosili okrzyki.

Masachika jechał na przodzie, ale widział coraz gorzej. W pewnym momencie uświadomił sobie, że nie może oddychać. Gardło mu się ścisnęło, zaczął się krztusić i łapać powietrze. To jad pszczoł mnie zatruł, pomyślał. Jego koń potknął się, a on przeleciał mu nad łbem. Leżał twarzą na ziemi i walczył o oddech, aż raptem poczuł silne kopnięcie kopytem w tył głowy i stracił przytomność.

Aki

Aki starała się nie patrzeć na martwych mężczyzn i zamiast tego wpatrywała się w łuczniaka i dwa konie, które truchtały w jej stronę. Musiała szybko zdecydować, czy poderznąć gardło Yoshiemu, a potem sobie, czy zaufać nieznanemu. Kiedy zobaczyła jastrzębie, od razu się zorientowała, komu służą. Człowiekowi, którego jej ojciec nienawidził i bał się jak nikogo innego. Jeden ptak już odlatywał na południe, żeby donieść swojemu panu o zbiegach. Cesarz został odnaleziony. Przyszedł czas, żeby wejść do Rzeki Śmierci.

Ale ptaki odwróciły jej uwagę, sprawiły, że się zawahała. Drugi jastrząb pomknął za swoim towarzyszem. Wydawał się większy i szybszy. Aki spodziewała się, że oba polecą w stronę stolicy, ale ten silniejszy dogonił pierwszego i zaatakował go, uderzając dziobem i próbując chwycić pazurami. Oba krzyczały. Na ziemię spadały, wirując, czarne zakrwawione pióra.

Tymczasem konie dotarły do Aki i Yoshiego, jeździec zeskoczył z białego ogiera.

Odebrał jej nóż ruchem tak szybkim i pewnym, że nie zdołała się przed nim obronić. Potem zagwizdał na ptaki tak, jak robi to myśliwy wzywający sokoły. Jeden wrócił na jego ramię, drugi trzepotał na ziemi kawałek dalej. Mężczyzna podszedł, wziął go na ręce i wrócił z nim, niosąc delikatnie. Po chwili jastrząb znieruchomiał, jego oczy się zaszklily. Nieznajomy ukląkł i z zastygłą twarzą pogłaskał jego pióra.

Pierwszy ptak sfrunął z ramienia mężczyzny na ziemię i przysunął łebek do martwego towarzysza. Wydawało się, że w jego oczach lśnią łzy, kiedy przemówił łamiącym się głosem w niezrozumiałym języku. Następnie, podskakując, zbliżył się do Yoshiego, który nadal ukrywał się za Aki, stanął przed nim i trzy razy pokiwał głową.

– Kon zabił Zena – powiedział młodzieniec. – Nie spodziewałem się tego. Chciał go powstrzymać przed powrotem do stolicy.

– To są magiczne jastrzębie – stwierdziła Aki. – W służbie księcia opata z Ryusonji. Ty rozumiesz ich mowę, one cię słuchają, a w każdym razie jeden z nich, więc ty też musisz służyć księciu opatowi.

– Służyłem. Ale Kon mi mówi, że ten chłopiec jest cesarzem, a ty Jesienną Księżniczką.

Aki wytrzeszczyła oczy. Mężczyzna był wysoki, o czarnych gęstych włosach związanych na czubku głowy jak u wojownika. Wyglądał, jakby nocował w lesie. Twarz miał lekko zarośniętą i ciemną od słońca albo z brudu, ale skórę gładką, rysy przyjemne, oczy

intensywnie czarne.

– Byłam znana jako Jesienna Księżniczka, Akihime. Tak nazywali mnie w stolicy.

– A na mnie mówią Shikanoko albo Shika. Dawniej miałem na imię Kazumaru, ale już nie jestem dzieckiem. I nie mam dorosłego nazwiska.

– Shikanoko? Dziecko Jelenia? Dlaczego tak cię nazywają?

Aki czuła się teraz całkiem spokojna, nie bała się. Chciała, żeby z nią rozmawiał. Podobał się jej jego głos. Była gotowa mu zaufać. I nagle przypomniała sobie martwych mężczyzn, szybkie zabójstwo bez wahania, jastrzębie.

– Powiem ci w czasie jazdy. – Shika ukląkł przed Yoshim. – Wsadzę cię na Risu, Wasza Wysokość. Akihime usiądzie za tobą i będzie cię trzymać.

Genzo brzęknęła ostrzegawczo.

– Nie wolno się do mnie zwracać „Wasza Wysokość”, tylko Yoshi – powiedział chłopiec. – Nikt nie może wiedzieć, kim jestem. – Odsunął się od Shikanoko i oparł o Aki. – Ale czy to znaczy, że mój ojciec i dziadek nie żyją?

– Poszli do drugiego świata i czekają na ponowne narodziny. – Aki nie ukrywała prawdy. – Mój ojciec też tam jest. I matka.

– A moja?

– Kiedy dotrzemy do świątyni, pomodlimy się za ich dusze.

Yoshi nie odpowiedział, ale po jego policzkach zaczęły płynąć łzy. Klacz odwróciła łeb i szturchnęła go chrapami, jakby był jej źrebięciem.

– Kai – wychlipał chłopiec. – Ja chcę do Kai.

– Zmierzaliśmy do Rinrakuji – wyjaśniła Aki, zwracając się do Shikanoko. – Mój ojciec powiedział, że tam znajdziemy schronienie.

– A potem co? Wcześniej czy później Miboshi zaatakują tę świątynię i znajdą cesarza.

– Tak czy inaczej, idziemy do Rinrakuji. Muszę być posłuszna woli ojca.

– Dobrze – ustąpił Shika. – Zawiozę was tam. Ale jest już prawie ciemno. Nie chcecie odpocząć chwilę, ty i dziecko?

– Księżyc jest prawie w pełni i wkrótce się pojawi. Z pewnością zdążymy dotrzeć do świątyni, nim zajdzie.

Shika w milczeniu wsadził Yoshiego na konia i wytłumaczył mu, jak trzymać wodze.

– Nie musisz mnie podsadzać – uprzedziła Aki. – Wystarczy, że zrobisz strzemień z rąk.

Klacz, która przy Yoshim nie protestowała, teraz zarzuciła zadem. Aki zsunęła się z jej grzbietu prosto w ramiona Shiki. Przez chwilę czuła jego ciało przy swoim. I silne ręce. Młodzieniec pośpiesznie wymamrotał przeprosiny, zrobił krok do tyłu i klepnął Risu po łopatce.

– Stój spokojnie!

– Nie jestem ubrana do jazdy! – Aki zgarnęła i podniosła szatę, obnażając nogi jak wiejska dziewczyna. – Spróbuję jeszcze raz. Tym razem będę gotowa.

Sierść klaczy była gładka, ciało ciepłe. Aki objęła Yoshiego i wzięła wodze jedną ręką. Shika wskoczył na ogiera, a Kon usiadł mu na ramieniu.

– Co z tamtymi ludźmi? – spytała Aki, kiedy ruszyli. – Mamy ich tak po prostu

zostawić?

– Niech zgniją – odparł krótko Shika. – Kim oni byli? Znałaś ich?

– Jeden szedł za nami, odkąd opuściliśmy Miyako. Myślałam, że już się go pozbyliśmy, ale za Aomizu znowu go zauważyłam.

– Tak długo kogoś śledzić? Wiedział, kim jesteście? Dlaczego był taki uparty?

– Myślę, że obudziliśmy w nim żądzę – odparła Aki.

– Co chciał nam zrobić? – spytał Yoshi.

– Nie bój się. On nie żyje i już nic nie może nikomu zrobić, dobrego ani złego.

Aki starała się mówić uspokajającym tonem, ale sama myśl o tym, co mogło się wydarzyć, przyprawiała ją o dreszcze. Dni spędzone z artystami na łodzi coś w niej zmieniły. Przypomniała sobie zalotników, którzy zaczęli się kręcić wokół jej domu w stolicy. Większość dziewcząt w jej wieku miała mężów. Ona wzdragając się przed zamążpójściem – złożyła śluby czystości – ale jednocześnie ta perspektywa ją pociągała. Jednak nie została żoną ani świątynną dziewicą, tylko jechała o zmierzchu z mężczyzną, który właśnie uratował jej życie, i trzymała w objęciach cesarza Ośmiu Wysp.

Po kilku milach dotarli do rozstajów. Rinrakuji leżało niedaleko na wschód od tego miejsca. Droga między Kitakami i Shimaurą biegła z północy na południe wzdłuż małego płytkiego strumienia, który wił się między górami, i przecinała go tu i ówdzie. Szlak w porze deszczowej stawał się nieprzejezdny i dlatego niezbyt często go używano. Ludzie woleli podróżować łodzią przez jezioro. Teraz rozwidlenie było puste. Na wschodzie w blasku księżyca rysowały się ogromne, ciemne sylwetki gór. Zerwał się wiatr, chłostane nim sosny wzdychały i jęczały. Ciepłe i wilgotne powietrze przywabiało owady.

Konie szły nerwowo. Tuż przed skrzyżowaniem czterech dróg zatrzymały się i nie chciały dalej ruszyć.

Kon pofrunął w górę, zatoczył koło nad rozstajem i wrócił na ramię Shiki. Powiedział coś do niego cicho, ale z wyraźnym ożywieniem.

– Tam jest duch – oznajmił Shika. – Konie obok niego nie przejdą.

– Zmyślasz, żebyśmy zawrócili – stwierdziła Aki, raptem znowu nieufna.

– Nie będziemy zawracać. Dalej będziemy się kierować na południe, a potem wjedziemy w Ciemny Las. Znam miejsce, gdzie nikt was nie znajdzie.

Nagle z mroku dobiegł głos.

– Shikanoko! To ty?

Młodzieniec zbladł.

– Pan Kiyoyori? – wyszeptał.

– Tak, to ja.

Aki nic nie widziała, tylko czuła pod sobą drżenie Risu. Shika zsiadł z konia i podał jej wodze.

– Idę z nim porozmawiać.

– Kto to jest?

– Jest albo był. Pan Kuromori.

Shikanoko

Shika wyjął maskę z brokatowego worka i nasunął ją na twarz. Potem wszedł na rozstaje, gdzie spotykały się cztery drogi, i raptem znalazł się w miejscu pomiędzy światami.

Uczył się o takich sprawach od księcia opata. Skrzyżowania, brzegi rzek i mórz, mosty, wyspy, wszystko to były punkty, gdzie stykały się ze sobą światy, gdzie zdarzały się cuda, gdzie mieszkaly niespokojne duchy i święci, gdzie adepci mogli ujrzeć swoje przyszłe życie, raj albo różne poziomy piekła.

Właśnie w jednym z takich magicznych miejsc przed wiekami została księciu Umayado ujawniona Księga Przyszłości, w której, jak twierdził opat, nie było nazwiska Yoshimoriego ani jego ojca.

Shikanoko stał na brzegu Rzeki Śmierci. Widział jej czarną, nieruchomą wodę, słyszał plusk wioseł przewoźnika. Zza ostatniego górskiego szczytu wyszedł księżyc i w jego blasku Shika zobaczył Kiyoyoriego. Gdy ujrzał jego spaloną skórę i niewidzące oczy, wnętrzości mu się ścisnęły z litości i odrazy. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że pierś jego pana nie porusza się, a w jego skroniach nie ma pulsu.

Było niemożliwe, żeby Kiyoyori żył, ale on stał i mówił.

– Jest z tobą młody księżę, prawdziwy cesarz?

– Tak, to Yoshimori, a dziewczyna ma na imię Akihime.

Duch wyciągnął zwęgloną rękę trzymającą szerniały i poskręcany miecz.

– Nie pozwolę ci zawieźć ich do Ryusonji.

– Nie zamierzam tego robić. Dziewczyna chce jechać do Rinrakuji. Jeśli tam nie jest już bezpiecznie, ukryję ich w Ciemnym Lesie.

– Więc muszę pojechać z wami, bo czyż nie jestem panem Kuromori, Ciemnego Lasu?

– Możesz opuścić to miejsce? – zapytał Shika z powątpiewaniem.

– Nie wiem. Jestem tutaj od niedawna. Przekroczyłem dwa z trzech strumieni Rzeki Śmierci i byłem przygotowany na spotkanie z panem piekła, kiedy mi powiedziano, że człowiek, który mnie skrzywdził, wziął mój obol zmarłego, dał go przewoźnikowi i popłynął z nim zamiast mnie. Na pewno słyszałaś o Iidzie no Taro, z którego rąk zginął mój syn? To był on. Jedna strzała zabrała nas obu z tego świata. Z poczucia winy i żalu Taro złożył tę propozycję, a pan piekła ją przyjął. Ale ja jeszcze nie dokończyłem swojego dzieła na ziemi. Póki uzurpatorzy są u władzy, królestwo nie może otrzymać błogosławieństwa niebios. Muszę wrócić na świat, żeby osadzić na tronie prawowitego

cesarza.

– Jak to zrobić? – spytał Shika.

– Musisz mnie wezwać, Shikanoko. Miałem do ciebie żal, kiedy zobaczyłem, że jesteś na służbie u księcia opata, ale teraz rozumiem, że uczyłeś się od niego, kradłeś mu wiedzę i moc, tak jak ogiera Akuzenjiemu i jastrzębia, który zawsze należał tylko do opata, a teraz wypełnia twoje rozkazy. Niebo wykorzystuje nas do swoich celów. Sprowadź mnie z powrotem, żeby te cele mogły zostać osiągnięte. Czy mam tu zostać na zawsze jako duch na rozstajach, ani żywy, ani martwy?

Shikanoko nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie zaklęcia i słowa mocy, których używał książę opat w czasie tajemnych rytuałów, kadzidło do przywoływania duchów, ogień i sól. Nie miał żadnej z tych rzeczy, nie licząc maski i jeszcze czegoś, czego nagle stał się bardzo świadomy: skoncentrowanej mądrości Sesshina. Czuł, jak grudka jaśnieje w nim i rośnie, aż ból stał się tak intensywny, że przeniósł go poza światy, nawet poza wszelką myśl. Wyczuł zaskoczenie księcia opata i gniew, kiedy jego nowa moc połączyła się ze wszystkim, czego się nauczył w Ryusonji, i przewyższyła tę wiedzę. Zobaczył ducha Kiyoyoriego zamkniętego w spalonej powłoce, a potem ducha konia gotowego przeniknąć do łona matki.

– Jestem gotowy – rzekł Kiyoyori.

Shikanoko rozkazał, żeby oba duchy stały się jednym.

Poczuł przyływ mocy, kiedy spełniły jego rozkaz. Zobaczył, że duch Kiyoyoriego opuszcza zniszczone ciało i sunie nad ziemią. Zwęglony trup rozpadł się w proch. Ziemia się zatrzęsała. Shika padł jak rażony piorunem. Risu zarżała dziko, a Nyorin jej zawtórował. Ich głosy odbiły się echem od zboczy gór.

Z oddali dobiegło rzenie innych koni. Jastrząb śmignął prosto w górę. Jego postrzępione skrzydła rysowały się na tle księżyca.

Po chwili Shika usłyszał jego rozpaczliwe wołanie:

– Rinrakuji płonie, Miboshi tu jada.

W ciszy, która go otoczyła i przytępiła zmysły, Shika usłyszał głos dziewczyny, ponaglający go, żeby wstał. Dźwignął się zamroczony jak po silnym ciosie w głowę. Wyciągnął rękę, niemal po omacku szukając Nyorina.

– Co się stało? – pytała Aki. – Jesteś ranny? Widzisz?

Namacał łopatkę wierzchowca i oparł się o niego. Risu krążyła wokół nich niespokojnie. Aki próbowała nad nią zapanować, jednocześnie trzymając Yoshiego.

Shikanoko nie odpowiedział, bo nie miał słów na to, co się właśnie wydarzyło. Czym będzie twoje źrebię, Risu?

Księżyc stał teraz wysoko nad ich głowami. W jego blasku coś zalśniło w pyle. Shika zrobił krok w tamtą stronę i się schylił.

– Co to jest? – zapytała dziewczyna ostrym tonem.

– Miecz pana Kiyoyoriego.

Szczerniały i poskręcany nie do rozpoznania był wszystkim, co zostało po panu Kuromori.

Shika wsunął go za pas, zdjął maskę i odmówiwszy modlitwę dziękczynną, schował ją z powrotem do siedmiowarstwowego worka. Potem wrócił do koni i wskoczył na grzbiet Nyorina. Kon sfrunął na jego ramię i zakrakał z admiracją.

Nikt nie wiedział, że jadą tą drogą. Ktokolwiek zajął Rinrakuji, prawdopodobnie już ruszył na Aomizu. Shikanoko musiał zabrać Aki i Yoshiego głęboko w las.

Puścił konia cwałem. Odwróciwszy głowę, zobaczył, że Risu dotrzymuje mu kroku. Aki mocno trzymała Yoshiego, a on przyciskał do siebie jakiś tobolek. Shika się zdumiał, że dziewczyna tak dobrze jeździ konno.

Szlak prowadzący na południe biegł przez jakiś czas wzdłuż bystrej rzeki, w księżycowym świetle prawie białej. Od czasu do czasu podrywał się z niej spłoszony przez nich jakiś wodny ptak, ale nie natknęli się na ludzi. Kiedy księżyc zaczął zachodzić, dotarli do miejsca, którego szukał Shika. Z rzeką łączył się mały strumień płynący od wschodu przez głęboką dolinę, która wiodła do górskiej przełęczy. Był to zachodni kraniec królestwa Akuzenjiego. Shika jechał tędy parę razy z bandytami. Konie też znały ten teren, bez wahania przeprowiły się przez potok, jakby wracały do domu.

– Yoshi zasypia – powiedziała Aki, gdy dotarli na drugi brzeg. – Trudno mi go utrzymać. Możemy zrobić postój i odpocząć?

– Niedaleko stąd jest chata. Tam się prześpiemy.

Z tego miejsca zwiadowcy Akuzenjiego mogli obserwować kupców i innych podróżnych korzystających z południowego szlaku. Chata stała na zboczu wzgórza, obok dużej naturalnej jaskini, w której można było ukryć konie. Shika zatrzymał się w pewnej odległości od niej i dalej poszedł na piechotę. Lecący nad nim Kon spłoszył sowę.

Widząc ptaka, Shika doszedł do wniosku, że chata musi być opuszczona. I rzeczywiście okazała się pusta, pełna kurzu i pajęczyn. Zapewne chronił ją przed intruzami strach przed Królem Góry, nawet jeśli ten już nie żył. Shikanoko wrócił do koni, po czym zaprowadził je do jaskini, gdzie woda kapiąca ze stropu wypełniła małe wgłębienie w miękkim wapieniu. Zwierzęta wyczuły ją nawet po ciemku i napiły się łapczywie.

Shika zdjął śpiącego chłopca z siodła i oparł go na swoim ramieniu, a drugą rękę podał Aki. Dziewczyna ją ujęła i przerzuciła nogę przez koński grzbiet, żeby zeskoczyć.

Shika przytrzymał ją chwilę dłużej, niż to było konieczne, i znowu poczuł iskrę pożądania i tęsknoty, które pierwszy raz się w nim obudziły, gdy przy wsiadaniu Aki zsunęła się z siodła i wpadła prosto w jego ramiona. Czy to mogła być ta przeznaczona dla niego jedyna, którą według przepowiedni Tory miał poślubić? Zetknął ich ze sobą los. Była obecna, kiedy sprzeciwił się woli księcia opata i dokonał niewyobrażalnego aktu duchowej magii. Z wolna umacniało się w nim przecucie, do czego może być zdolny.

Dzięki księżycowi było jeszcze dość jasno. Kon poleciał na dach chaty i usiadł na kalenicy – czarna sylwetka na tle ciemnego nieba.

– Czy ten jastrząb kiedykolwiek śpi? – zapytała Aki, odsuwając się od niego pośpiesznie.

– One zachowują się jak zwykłe ptaki. Jedzą, śpią i, jak sama widziałaś, giną. Ale są inne. Przypominają ludzi w tym sensie, że intrygują, knują, wkupują się w łaski

i jednoczą z potężnymi. Może dlatego, że potrafią mówić.

– A ty je rozumiesz?

– Rozumiem Kona. Z jakiegoś powodu przywiązał się do mnie.

– Dlaczego nazywasz go Kon?

– Bo ma złote pióro – wyjaśnił Shika.

– Myślę, że więcej niż jedno – stwierdziła Aki.

Shika spojrział w górę, ale było za ciemno, żeby mógł coś zobaczyć. Wszedł do chaty. Nie było w niej światła ani ognia, wydawało się jednak, że nie warto go rozpalać. Noc była ciepła, do świtu niedaleko. Shika przypomniał sobie o starych okryciach i pościeli. Po omacku poszedł w róg izby. Znalazł stertę, wyciągnął z niej dwa płaszcze, na reszcie położył Yoshiego. Chłopiec przeciągnął się, wymamrotał coś i natychmiast zapadł w głęboki sen. Wypuścił z objęć tobolek, a kiedy ten zsunął się na podłogę, ze środka dobiegł wibrujący muzyczny akord. Aki schyliła się po zawiniątko.

– Czego on tak pilnuje? – wyszeptał Shika.

– To lutnia Genzo – odparła Aki. – Cesarska pamiątka rodowa. Jest magiczna. Jeśli chce, potrafi sama grać i zmieniać wygląd. Sam popatrz.

– Jest za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć – powiedział Shika, ale Aki już wyjmowała instrument z tobołka.

Macica perłowa zajaśniała jak księżyc. Aki dotknęła strun i lutnia zaczęła cicho grać starą pieśń miłosną, którą Shika znał.

Ukląkł obok dziewczyny.

– Możesz też się przespać. Obudzę cię, jak będzie jasno.

Aki położyła się obok i naciągnęła na siebie starą kołdrę.

– Cuchnie – stwierdziła. – I pewnie roi się od pcheł.

Shika usłyszał w jej głosie nutę niepokoju, niemal strachu.

– Nie musisz się mnie obawiać.

– Nie chodzi o to, że się ciebie boję – odpowiedziała dziewczyna tak cicho, że ledwo odróżnił słowa. – Nie w taki zwyczajny sposób. Może obawiam się siebie, swoich własnych uczuć.

Nic więcej nie dodała, a Shikanoko pomyślał, że zasnęła. Wyciągnął się na podłozie, z łukiem i strzałami na plecach, mieczem u boku. Rozluźnił mięśnie, choć nie zamierzał spać.

Po jakimś czasie zaskoczył go głos Aki.

– Mam zostać świątynną dziewicą. Obiecałam ojcu, że nie dopuszczę do siebie żadnego mężczyzny, że prędzej go zabiję. Mam nóż. Tylko cię ostrzegam.

– Śpij – mruknął Shika, żałując, że poruszyła ten temat.

Teraz był jeszcze bardziej świadomy bliskości kobiecego ciała. Wspomnienia z całego dnia buzowały w jego żyłach. Najpierw ustrzelił dwóch mężczyzn jak zające. Potem Kon zaatakował Zena i go zabił, a Shika zrozumiał jego mowę i wyrwał go spod władzy księcia opata. Przeszedł między światami na rozstajach dróg, rozmawiał z duchem pana Kuromori i z wejścia do piekła przeniósł go do źrebaka rosnącego w łonie klaczy.

Naprawdę jestem potężnym czarownikiem! Do czego jeszcze jestem zdolny?

Zacząła go rozsadzać duma, słodka i uwodzicielska, mówiąca, że zasłużył na wszystko, że może wziąć, co zechce, w tym świecie i w następnym. To była dziewczyna przeznaczona dla niego, ta, którą według czarownicy miał poślubić. Leżała tutaj obok niego. Zabił dla niej, uratował ją.

Noc była ciepła, pełna odgłosów wiosny, żab skrzeczących w strumieniu, bzyczenia owadów. Lutnia nadal grała cicho. Jej melancholijne tony potęgowały jego żądzę.

Odwrócił się niespokojnie, a potem usiadł. Postanowił trochę pomedytować, żeby uspokoić zbuntowane ciało. Namacał w ciemności brokatowy worek, wyjął maskę i nasunął ją na twarz.

Natychmiast poczuł, że na jelenich nogach mknie wielkimi susami w stronę Ryusonji. Usiłował odzyskać kontrolę, sięgając w głąb siebie po moc Sesshina. Stał na werandzie świątyni i zobaczył księcia opata siedzącego w medytacyjnej pozie przy otwartych drzwiach.

– A więc wrócił mój mały jelonek? – powiedział kapłan, nie otwierając oczu. – Myślałeś, że tak łatwo mi uciekniesz?

Shika wyteżył siłę woli, żeby zawrócić i uciec, ale jego ciało było unieruchomione jak we śnie.

– Gdzie jest książę Yoshimori? Jeśli go znalazłeś, dlaczego nie przyniosłeś mi jego głowy? Co robiłeś i jak mi umknąłeś na rozstajach dróg?

Książę opat otworzył oczy i wstał, a Shika wyczuł pełnię jego gniewu.

– Ukarzę cię – rzekł kapłan. – Śmiesz mi się przeciwstawiać? Nie masz pojęcia o mojej sile. Idź teraz i zrób to, co chcesz z Jesienną Księżniczką. Widzę twoją żądzę. Weź ją teraz, po co czekać na ślub? Potem zabij Yoshimoriego i przynieś mi jego głowę.

Książę opat uniósł rękę i wypowiedział nieznane mu słowa. Shika znalazł się z powrotem w chacie. Otaczała go moc lasu, a nim zawładnęły zwierzęce instynkty. Dziewczyna odwróciła się we śnie w jego stronę. Szatę miała rozchyloną. I nagle znalazła się w jego ramionach, a on przyciskał usta do jej ust. Próbowwała go odepchnąć, a on przypominał sobie o nożu, ale potem już nic nie mogło go powstrzymać. Ani litość, ani strach. Posiadł ją jak jeleni swoją samicę, z bezmyślną dominacją. Ale kiedy krzyknął w chwili ekstazy, uświadomił sobie, co zrobił książę opat, i zrozumiał, jak straszna będzie jego kara.

Zerwał maskę i odrzucił ją od siebie. Aki leżała bez ruchu i bez słowa. Chciał ją przytulić, głaskać czule, ale powstrzymał go wstyd. Wstał, poprawił na sobie ubranie i podszedł do drzwi chaty. Wokół niego rozciągał się Ciemny Las ze wszystkimi dźwiękami i nocnymi cieniami. W oddali wyły wilki. Shika z rozpaczą i obrzydzeniem przypominał sobie swoją wcześniejszą dumę i euforię. Oddalił się kawałek od wejścia i oparł o grubo ciosane deski ściany. Nie miał pojęcia, co robić. Wiedział tylko, że zawiódł.

Wydawało mu się, że słyszy szloch dobiegający z chaty, ale lutnia nadal grała cicho, tak że nie mógł być pewien. Oczy go piekły, ale nie chciał sobie pozwolić na ulgę łez. Ruszył w ciemność, potykając się o korzenie i gałęzie, aż dotarł do ogromnego cedru. Objął go

i przytknął czoło do szorstkiej kory, a potem zsunął się po pniu na ziemię i poczuł na skórze chłodny mech.

Kiedy oprzytomniał, był już świt. Shika zmusił się do wstania i wrócił do chaty. Nie był pewien, co robić: rzucić się przed Aki na kolana, błagać o wybaczenie, szukać u niej pomocy? Ale dziewczyny nie było. Czy jego postępek zmusił ją do ucieczki, do porzucenia Yoshimoriego? Odwrócił się i zawołał:

– Akihime! Akihime!

Ptaki śpiewały, Kon odpowiadał im z dachu. Padał lekki deszcz, wilgotna mgła otulała góry. Shika zrozumiał, że ją stracił, a ta strata wydała się tak ogromna, jakby obejmowała cały świat. Wszystkie drzewa ociekały wilgocią, płacząc razem z nim. Wcale jej nie uratował. Jakiż był arogancki! Powierzono mu ją pod opiekę, a on okazał się niegodny zaufania.

– Akihime! – krzyknął ponownie.

Konie zarżały w odpowiedzi, a Shika w tej samej chwili usłyszał, że coś się rusza w chacie. Była tam, a on jej nie zauważył? Wszedł do środka.

Chłopiec obudził się i patrzył na niego pytającym wzrokiem.

– Gdzie Aki... starsza siostra? – zapytał.

– Nie wiem. Odeszła. Uciekła.

Wzrok Yoshiego pozostał spokojny.

– Dokąd? Dlaczego mnie zostawiła? Co jej zrobiłeś?

Maska leżała na podłodze i łypała na niego pustymi oczodołami. Shika podniósł ją odruchowo i włożył. Od razu poczuł przyciąganie mocy księcia opata i już wiedział, co musi zrobić. Może to ukoji jego ogromny ból. Yoshimori i tak nigdy nie zostanie cesarzem. Jego rodzina nie żyła, a ci, którzy mogliby o niego walczyć, rozpierzchli się. Teraz Shikanoko musi położyć kres życiu malca i zanieść jego głowę do Ryunsonji.

Wziął miecz i wyciągnął rękę do chłopca.

Yoshimori wzdrygnął się na widok maski.

– Musisz być dzielny, Wasza Wysokość – powiedział Shika. – Chodźmy.

– Mam wziąć lutnię? – spytał Yoshi.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Shika i wyprowadził go z chaty.

Deszcz nadal mżył, ptaki milczały, wiatr całkiem ustał. Shika słyszał jedynie szum płynącej wody i dudnienie swego serca. To nie był brzeg rzeki w Miyako, gdzie ścięto tylu ludzi, ale ten górski strumień miał posłużyć równie dobrze.

– Spójrz na góry – polecił Shikanoko.

Yoshi na niego zerknął, po czym spełnił polecenie.

Kiedy Shika uniósł miecz, chłopiec zauważył:

– Słońce wschodzi.

Jak on mógł to zobaczyć? Chmury zasnuwały niebo, ale promienie słoneczne musiały jakoś się przez nie przebić, bo wokół nich krople deszczu mieniły się kolorami tęczy. Przez chwilę Shika był oszołomiony. Wyraźnie widział kruche piękno stojącego przed nim dziecka. Zawahał się, nagle niechętny, żeby zrobić to, co musiał.

Z jaskini dobiegło brzęknięcie cięciwy łuku. Czas stanął w miejscu, świat wstrzymał oddech. Miecz rysował się na tle porannego nieba. Shika ścisnął go mocniej i wziął głęboki oddech.

I nagle sfrunął na niego Kon z wyciągniętymi pazurami i ciał go dziobem. Oba konie z Risu na przodzie wypadły z jaskini z obnażonymi zębami i uszami położonymi po sobie.

Shika rzucił miecz i uniósł ręce, żeby chronić maskę. Kon chwycił ją szponami, zerwał mu ją z twarzy i upuścił, a Risu z impetem powaliła go na ziemię. Shikanoko już wcześniej widywał jej napady złości. Klacz gryzła go i kopała wiele razy, ale nigdy nie widział jej takiej rozwścieczonej, że gotowa była go zabić. Kiedy próbował wstać, Nyorin też do niego doskoczył. Ogier miał odwinięte wargi i obnażone wielkie zębiska, a jego ślepia jarzyły się jak w wirze bitwy. Jego łeb, solidna kość, zderzył się z głową pana, a kiedy Shika znowu upadł, koń odwrócił się i kopnął go tylnymi nogami.

Nie mogły mu teraz pomóc czary ani umiejętność walki. Risu chwyciła zębami jego prawe ramię i ugryzła je mocno. Nyorin ponownie go kopnął, a następnie z całej siły przygniótł jego rękę przednią nogą. Maskę leżała na ziemi roztrzaskana na pół. Shice z bólu pociemniało w oczach, a potem ogarnął go mrok.

Kiedy odzyskał przytomność, deszcz padał mocniej. Shikanoko podpełzł do wody i położył się w niej. Każdą raną i siniakiem odczuł jej lodowate zimno. Jedno oko miał całkiem zamknięte, drugim ledwo widział, ale zorientował się, że Yoshimori zniknął razem z końmi. Nie mógł podnieść głowy, żeby zobaczyć, czy Kon też odleciał, ale nie słyszał jego głosu. Ramię bolało go nieznośnie i nie mógł nim ruszać, ale żadna kość nie wystawała przez skórę.

Zaczął drzeć, nie tylko z zimna i bólu, ale również z głębokiego szoku, że konie, które go kochały i darzyły ufnością, obróciły się przeciwko niemu. Mógł zrozumieć, dlaczego Kon zaatakował go z taką samą wściekłością, z jaką pofrunął za Zenem. Instynkt, który kazał mu bronić cesarza, okazał się silniejszy niż wszelkie rozkazy Shiki albo księcia opata. Ale konie? Po wielu minutach oszołomienia w końcu pojawił się duch Kiyoyoriego obecny w nienarodzonym źrebięciu kazał Risu go zaatakować, a Nyorin poszedł w jej ślady.

Nawet świat zwierząt uznał Yoshimoriego za cesarza i za niego walczy, pomyślał.

W końcu udało mu się wstać. Wziął miecz lewą ręką i powłókł się do chaty. Z trudem zmusił się do wejścia. Miał wrażenie, że w środku nadal rozbrzmiewa echo jego niekontrolowanej żądz, z odrazą słuchał własnych okrzyków.

Zabrał łuk, kołczan ze strzałami i kawałek poskręcane metalu, który był kiedyś mieczem Kiyoyoriego. Lutnia zniknęła. Nie tylko zwierzęta, ale i przedmioty rozpoznawały Yoshiego i go słuchały.

Na zewnątrz Shikanoko podniósł z ziemi zniszczoną maskę i schował ją do brokatowego worka. Postanowił, że uda się do Ciemnego Lasu, a ten albo go zabije, albo uleczy. Jeśli on przeżyje, zobaczy upadek księcia opata, a potem Yoshimoriego na Lotosowym Tronie.

Część druga

*Jesienna Księżniczka,
Dziecko Smoka*

Shikanoko

Shikanoko, dręczony bólem, gorączką i bezsennością, szedł dzień i noc przez Ciemny Las. Jego ciało na zmianę marzło i płonęło. Miał wrażenie, że nie należy do niego. Unosił się na zewnątrz niego, obserwował, jak się poci i drży, zastanawiał się, dlaczego nadal czepia się życia. Często doznawał halucynacji. Szli obok niego martwi ludzie, oskarżając go i czyniąc mu wyrzuty. Raz usłyszał głośnie rżenie koni, ale nie wiedział, czy biec w ich stronę, czy się przed nimi ukryć. Broń, worek ze zniszczoną maską i miecz Kiyoyoriego coraz bardziej mu ciążyły. Pewnego dnia po prostu upuścił na ziemię swój własny miecz, łuk i kołczan. Nie sądził, by jeszcze kiedykolwiek miał ich użyć. Następnego dnia jego powonienie zaatakował odór śmierci. Zaczynam gnić, pomyślał. Już po wszystkim. Oparł się o gładki pień młodego buka, a potem na pół upadł, na pół zsunął się po nim, aż usiadł na suchych liściach. Las w samym środku lata rozbrzmiewał ptasimi trelami i brzęczeniem owadów. Kiedyś uwielbiał te dźwięki, znał głos każdego ptaka. Teraz stanowiły nieprzyjemny harmider, od którego bolała go głowa.

Nagły dziwny dźwięk, coś w rodzaju chrapliwego warknięcia, zmusił go do podniesienia wzroku. Stało przed nim kunsztownie zrobione zwierzę przypominające wilka. Shika zobaczył błysk jego lapisowych oczu i lekko zmatowiałe lśnienie cynobrowych warg. Klarowność halucynacji przyprawiła go o rozpacz.

– Witaj w domu – przemówił fałszywy wilk chrapawym, niepewnym głosem.

Do Shiki teraz dotarło, gdzie się znajduje i skąd pochodzi odór zgnilizny. Minął ponad rok, odkąd wyjechał stąd z Akuzenjim, Królem Góry. Teraz wrócił do siedziby górskiego czarownika Shisoku.

Zwierzę patrzyło, jak człowiek próbuje się dźwignąć, a potem odwróciło się i ruszyło przed siebie sztywnym krokiem. Shika podążył za nim przez strumień, obok rzeźb, suszących się skór, stosów kości, żywych i martwych zwierząt.

Wilki zatrzymał się przed drzwiami chaty stojącej pod paulownią.

– Panie! – zawołał. Samogłoski wymawiał poprawnie, ale miał trudności ze spółgłoskami. – Panie!

Z chaty wyszedł Shisoku, osłaniając oczy ręką.

– Shikanoko? Dlaczego wróciłeś? Co zrobiłeś?

Kiedy czarownik do niego podszedł, Shika rzucił na ziemię worek jak martwego ptaka. Wystawała z niego rękojeść.

– Co to jest? Czyj to miecz? Nic wolno wkładać niczego do tego samego worka, w którym jest maska! Gdzie ona jest?

– Zniszczona – usłyszał Shika własny głos.

– Aaach! – Shisoku krzyknął jak matka zmarłego dziecka. – Nie można jej zniszczyć.

Żadna ludzka siła nie jest w stanie tego zrobić. Jak to się mogło stać?

Wyjął z worka dwie części maski i zaszlochał nad nimi.

– To były konie, zaatakowały mnie, nie ich wina, tylko moja – próbował wyjaśniać Shika.

Twarz czarownika wykrzywiały gniew i żal. Gospodarz bez słowa wbiegł z powrotem do chaty. Shika osunął się na ziemię. Zęby mu szczękały, ciałem wstrząsały gorączkowe dreszcze.

– Jesteś chory? – spytał wilk. – Panie, on jest chory.

– Niech umrze! – odkrzyknął Shisoku ze środka. – Zniszczył mój dar, moje dzieło. Cała moc lasu mogła być jego, a on ją odrzucił.

– Panie, pomóż mu! – wykrzyknął fałszywy wilk.

I zaczął lizać Shikę językiem, który wyglądał jak ludzki.

Czarownik wyszedł z chaty.

– Niezwykłe – wymamrotał. – To stworzenie mu współczuje. Może ja też powinienem. Tak, chyba muszę.

Ukląkł obok Shikanoko i dotknął jego czoła, a potem, niezbyt delikatnie, zbadał złamaną rękę.

Kiedy Shika płakał z bólu, Shisoku zniknął. Wrócił po całej wieczności i zmusił go do wypicia jakiegoś wywaru. Napój przytępił mu zmysły na tyle, że szaman mógł nastawić złamaną kość.

Shika tęsknił za snem, za zapomnieniem, ale za każdym razem, kiedy zamykał oczy, wydawało mu się, że umarł i jest w piekle. Płonął w ogniu, przeszywały go miecze, noże, strzały i kolce, dręczyły wizje demonów i nieznośne pragnienie. Wciąż widział szarpiące go wielkie zęby koni i swoje ciało wygięte w łuk, znowu czuł ciosy ich kopyt jak uderzenia młotem.

Z jego ciała lały się niczym wyrzuty sumienia pot i łzy.

Raz mu się śniło, że przyszła do niego pani Tora.

– Żyjesz czy jesteś martwa? – zapytał, ale ona położyła chłodne palce na jego płonących wargach i nie tylko go uciszyła, ale również przepędziła wszystkie jego myśli.

Potem wreszcie zasnął, może na wiele dni. Przez cały ten czas fałszywy wilk nie odstępował go na krok.

Kiedy Shika się obudził, leżał w chacie. Usłyszał, jak Shisoku mówi:

– Przywiązał się do niego. Po raz pierwszy coś takiego się zdarzyło. Nawet ja nigdy nie budziłem uczuć w moich stworzeniach.

– Jesteś większym czarownikiem, niż sądzisz – odpowiedział mu kobiecy głos. Shika lekko odwrócił głowę i zobaczył, że to jest naprawdę pani Tora. – Może dlatego, że potrafi mówić. Jak to zrobiłeś?

Shisoku się roześmiał.

– Dałem mu ludzki język i uformowałem struny głosowe z babiego lata i ścięgien.

– A głowa? Do kogo należała?

– W zeszłym roku było wielu martwych ludzi między Miyako i Minatogurą. Głowa należała do wojownika Kakizuki, który uciekł do lasu i zmarł od ran. Trafiłem na niego, kiedy jeszcze był świeży. To tamta na ścianie.

Shika zobaczył nową, białą, wyszczerzoną czaszkę. Siedzący obok fałszywy wilk zawył.

– Shikanoko się obudził – zauważyła pani Tora.

Oboje spojrzeli w jego stronę. Ich sylwetki rysowały się na tle ognia i świec ustawionych wokół ołtarza. Shika zobaczył duży brzuch Tory i przypomniał sobie, co mu kiedyś powiedziała: że da Kiyoyoriemu więcej synów. Czyjekolwiek dziecko to było, wkrótce miało się urodzić.

– Shisoku był na ciebie bardzo zły, ale już ci wybaczył – rzekła pani Tora.

– Tak? – wtrącił czarownik.

– Wybaczyłeś albo wkrótce wybaczysz. Ale Shikanoko powinien nam opowiedzieć, co się stało. – I zwróciła się do niego: – Zobacz, czy dasz radę wstać.

Shika dźwignął się z trudem i opierając się na nich obojgu, wyszedł na zewnątrz. Zaprowadzili go do paulowni i tam, siedząc między nimi w cieniu drzewa, opowiedział im wszystko: o oślepieniu Sesshina, ich ucieczce do Ciemnego Lasu, schwytaniu przez stryja Sademasę i wydaniu mnichowi Gessho, o grudce wiedzy, którą przekazał mu starzec, o zimie spędzonej w Ryusonji z księciem opatem.

– Wybuchał rebelia. Wszczął ją książę opat, który wysłał swoich ludzi, żeby aresztowali księcia koronnego, ale potem mówiono, że to Momozono zbuntował się przeciwko ojcu. On sam zginął, lecz jego syn uciekł. Wysłano mnie, żebym go odszukał i przyniósł jego głowę do stolicy. Znalazłem chłopca i Akihime, Jesienną Księżniczkę, na drodze do Rinrakuji.

– Aha – mruknęła pani Tora. – Teraz zaczynam rozumieć.

– Zabiłem dwóch mężczyzn, którzy zamierzali napaść ją i młodego cesarza, bo on naprawdę jest cesarzem. Miałem ze sobą dwa jastrzębie i one od razu go rozpoznały. Nazwałem je Kon i Zen. Zen próbował wrócić do Ryusonji, ale Kon go zabił. Pojechaliśmy dalej w stronę Rinrakuji, ale na rozstajach zatrzymał nas duch. To był pan Kiyoyori.

– Więc on nie żyje? – spytała Tora cichym głosem.

– Wezwałem go – powiedział Shika, wspominając ogromną moc, która doprowadziła go do upadku z powodu dumy i arogancji. – Jego duch wniknął do nienarodzonego źrebięcia rosnącego w łonie mojej klaczy Risu.

– To on podburzył konie przeciwko tobie? – domyśliła się pani Tora.

– Tak. I w ten sposób została zniszczona maska. – Umilkł na chwilę, a potem dodał: – Miecz należy do Kiyoyoriego. Jego też nie da się naprawić.

– Nie ma rzeczy, której Shisoku nie potrafiłby naprawić – stwierdziła Tora. – Nawet jeśli rezultat czasami jest nieoczekiwany, jak ten fałszywy wilk, który się do ciebie przywiązał.

Musiał wyczuć we mnie fałsz, pomyślał Shikanoko. Jesteśmy tacy sami.

– Pojechaliśmy do starej chaty Akuzenjięgo – opowiadał dalej. – Zamierzałem potem przyprowadzić ich tutaj.

– To ostatnie miejsce, gdzie można by szukać ukrywającego się cesarza Ośmiu Wysp – wymamrotał Shisoku.

– Ale w chacie, z Jesienną Księżniczką, która, jak sądziłem, jest mi przeznaczona, włożyłem maskę i znalazłem się pod władzą księcia opata. Winię tylko siebie. Myślałem, że jestem wszechpotężny...

– Aha! – wykrzyknął Shisoku. – Mógł nauczyć cię wielu rzeczy, ale nie załamywania się.

Shika wolałby, żeby czarownik mu nie przerywał. Kiedy musiał wciąż zaczynać od początku, było mu coraz trudniej.

– Księżę opat kazał mi zrobić z nią, co chcę. I zrobiłem. Ale ona miała zostać świątynną dziewicą. Uciekła w nocy. Rano kazał mi zabić Yoshimoriego. Już miałem to zrobić, kiedy zaatakowały mnie jastrząb i konie. Gdy się ocknąłem, byłem sam, a maska leżała pęknięta.

– Bogowie musieli się rozgniewać na was obu – stwierdziła Tora.

– Jastrząb Kon robił się złoty – dodał po chwili Shika. – Pamiętam, że widziałem blask na jego piórach.

– Zmieniał się w feniksa – powiedział Shisoku. – To święty ptak, pojawiający się w kraju, którego władca jest sprawiedliwy i pobłogosławiony przez niebiosy.

– Na pewno chodzi o Yoshimoriego. Muszę go znaleźć, żeby mógł zasiąść na tronie.

– To są sprawy wojowników i szlachciców – rzekł Shisoku. – Niech oni się nimi zajmują, a ty zostań górskim czarownikiem jak ja.

– Byłem wojownikiem na długo przed tym, zanim stałem się czarownikiem – przypomniał Shika. – Napraw maskę i miecz, a kiedy będą gotowe, zacznę szukać Yoshimoriego.

– Nic się nie zmieni, póki twoja moc dorównuje mocy księcia opata – odezwała się pani Tora. – Będziesz musiał stanąć z nim do walki i pokonać go fizycznie i duchowo. Teraz nie jesteś w stanie dokonać żadnej z tych rzeczy. Nie masz ludzi, sług, nawet konia. Pierwsze starcie z nim przegrałeś. On cię zmusił, żebyś popełnił straszliwy błąd, który może nigdy nie zostanie ci wybaczony. Konie i jastrząb powinny być twoimi sojusznikami, a obróciły się przeciwko tobie. Masz dużo do naprawienia i jeszcze więcej do nauczenia się.

– Ile czasu zajmie ci zreperowanie maski i miecza? – zapytał Shika, zwracając się do czarownika.

– Kiedy będziesz gotowy, one też będą gotowe – odburknął Shisoku.

– To będą dni czy tygodnie?

– Raczej lata – wtrąciła się Tora.

– Nie mogę czekać tak długo! – wykrzyknął Shika.

Niecierpliwość świadczyła, że młodzieniec już dochodzi do siebie.

– Nie zabraknie ci zajęć – pocieszyła go pani Tora. – Będziesz musiał się uczyć, a oprócz tego wychowywać moich synów.

– Dostaniesz nauczkę – mruknął Shisoku.

* * *

– Dzieci nie mogą tutaj przyjść na świat, pośród nieobliczalnej magii Shisoku, tych wszystkich kości, skór i dziwacznych istot – stwierdziła pani Tora.

– Z pewnością – zgodził się Shisoku. – Narodziny dziecka, zwłaszcza u Starych Ludzi, bardzo zakłócają spokój i powodują uwolnienie wszelkiego rodzaju sił niedających się kontrolować, choć prawdopodobnie mógłbym niektóre wykorzystać, żeby zreperować maskę, więc nie odchodź za daleko.

– Shikanoko musi mi pomóc zbudować schronienie – zdecydowała Tora.

Starzy Ludzie... gdzie wcześniej słyszał tę nazwę? Potem przypomniały mu się słowa Sesshina. Zaraz po umieszczeniu grudki wiedzy w jego ustach uczoney powiedział: „Z pięciu ojców urodzi się pięcioro dzieci. Znajdź je i zabij. To będą demony. Ona jest jedną ze Starych”.

Te słowa go prześladowały, kiedy pod kierownictwem Tory budował po północnej stronie polany małą chatę zwróconą na południe. Ciął drzewa ostrą siekierą i piłą Shisoku: słodko pachnące klony i silne dęby. Razem z czarownikiem wykuli gwoździe, do białości rozpalając ogień miechami zrobionymi ze skóry jelenia.

Shika nigdy wcześniej niczego nie budował i jak w przypadku większości przedsięwzięć Shisoku, rezultaty okazały się niezupełnie takie, jakich oczekiwano, ale podobał mu się sam proces ciosania drewna i wznoszenia ludzkiego domostwa. To było jak wyrabianie strzał i łuków. Rodzaj magii samej w sobie, zmienianie tego, co dawał las, w coś, co wcześniej nie istniało. Kiedy skończyli, dom nakryty strzechą z trzciny susuki wyglądał całkiem przyjemnie.

Shisoku traktował swoje narzędzia jak dzieci albo służących. Nie zdejmował ich z wyznaczonego miejsca na ścianie, nie zapytawszy wprawdzie o pozwolenie, ani nie odwieszał ich z powrotem bez podziękowania. Shika widział, jak wszystko w jego świecie jest ze sobą połączone, jak dobrze czarownik zna wszystkie niewidoczne nici i powiązania, a jego moc pochodzi z tej wiedzy.

Kiedy jedwabniki zaczęły snuć kokony, pani Tora też zaczęła tkać. Shika nie miał pojęcia, skąd wzięła nici. Może z babiego lata, które poranna mgła zmieniała w lśniące klejnoty, połączonego z miękkim futrem z brzucha wilka i lisa albo z długimi wąsami wistarii i przestępu, puchem z nasion trojeści i mniszka, delikatnymi i mocnymi ścięgniemi liści i korzeni, wszystkiego elastycznego i rozciągliwego, co można było zmienić w przędzę.

Utknęła pięć kokonów, miękkich w środku i twardych na zewnątrz, i powiesiła je na belkach w chacie. Pewnego ranka stało się jasne, że w każdym jest coś w rodzaju jaja.

Shika nie był świadkiem ich narodzin ani nie słyszał żadnych krzyków bólu, ale pani Tora wyglądała na wyczerpaną. Nie chciała, żeby przy niej był, tylko leżała przez cały dzień, nie ruszając się. Już od drzwi Shikanoko czuł wyraźny zapach krwi i żółtka jajka.

O zmierzchu Tora poprosiła go, żeby przyniósł jej wodę i szmaty, a potem kazała mu poczekać na zewnątrz.

Po jakimś czasie oddała mu miskę, mówiąc:

– Zanieś ją Shisoku. Jest pełna mocy.

Jej głos był słaby, twarz miała bladą. Wydawało się, że została pozbawiona czegoś istotnego, niezbędnego do życia. W ciągu kilku następnych dni, kiedy istoty rosły w kokonach, ona nikła w oczach.

– Moje zadanie na ziemi zostało wykonane – powiedziała, kiedy Shika próbował ją namówić, żeby coś zjadła.

– Czy ona zamierza umrzeć? – spytał czarownika.

Shisoku zacisnął usta, a potem odparł niechętnie:

– Tak to jest ze Starymi Ludźmi.

– Kim są Starzy Ludzie?

– Czasami są nazywani Pajęczym Plemieniem – rzekł Shisoku. – To ci, którzy byli tutaj wcześniej.

– Kiedy wcześniej?

– Zanim ludzie tacy jak ty przybyli z Silli ze swoimi mieczami, końmi, książętami i cesarzami.

– Nigdy o nich nie słyszałem! – Nagle w Shice zrodziło się podejrzenie. – Jesteś jednym z nich?

– Moja babka była. Umarła, kiedy urodził się mój ojciec, z kokonu takiego jak te tutaj. Jego ojciec wychował go w lesie, tak jak my będziemy musieli wychować tych malców. Oni nie będą tacy jak zwyczajne dzieci.

– Czy to będą demony? – zapytał Shika z pewnym lękiem.

Shisoku się uśmiechnął.

– Nie. Po prostu będą inne.

– A ja? – nie wytrzymał Shika. – Jestem jednym z nich?

– Bo zjawileś się tutaj we właściwym czasie? Bo mogłeś zostać dzieckiem jelenia? Czasami się nad tym zastanawiałem, podobnie jak Tora. Ale nie znaleźliśmy cię, a zostało ich tak niewiele, że znamy wszystkich. Może jest w tobie jakaś domieszka ich krwi. Może po prostu masz szczęście.

– Albo nieszczęście – wyszeptał Shika.

– To też – zgodził się Shisoku. – Czy natknąłeś się kiedyś na tengu?

Shikanoko milczał przez chwilę.

– Tak czy nie? – ponaglił go czarownik.

– Kiedy byłem dzieckiem. Niejasno sobie coś przypominam, ale może to był sen. Dlaczego pytasz?

– Gdy tu przyszedłeś, wydawało mi się, że dostrzegam wpływ tengu na twoje życie.

– W moim śnie, jeśli to był sen, mój ojciec grał z nimi w go. Przegrał i stracił życie. I swój łuk Ameyumi. Zostawił mnie ukrytego w trawie, ale tengu przeleciały nade mną i mnie zobaczyły. Pamiętam ich dzioby i skrzydła.

– Interesujące – stwierdził czarownik. – To mogłoby wiele wyjaśnić.

* * *

Kilka dni później pani Tora zawołała ich do chaty. Stworzenia urosły i przybrały postać ludzkich dzieci, już za dużych na kokony, które zaczynały pękać, gdy malcy się wiercili i kopali.

– Nie powinniśmy im pomóc? – zapytał Shika.

– Nie, muszą zrobić to sami, żebyśmy wiedzieli, który jest pierwszy i najsilniejszy.

Wydawało się, że dwaj wydostaną się jednocześnie, jeszcze przed ostatecznym rozerwaniem jedwabistego materiału, że rywalizują ze sobą. Rośli na oczach Shiki i kiedy stanął przed nim pierwszy, był wzrostu dwulatka i chwiał się na niepewnych nogach jak młode leśne zwierzę.

– Ty będziesz miał na imię Kiku – oznajmiła pani Tora. – To oznacza Słuchaj. Będziesz słyszał wszystko. Ponieważ urodziłeś się pierwszy, będziesz najsilniejszy i najbystrzejszy.

Niemal natychmiast drugi chłopiec stanął na własnych nogach i rozejrzał się pytającym, nieustraszonym wzrokiem.

– Tobie dam na imię Mu – rzekła matka. – Nicość i Wojownik jednocześnie. Nikt cię nie zobaczy. Twoim losem będzie wieczne staranie, żeby być pierwszym, ale nigdy nie pokonasz Kiku.

Malcy byli uroczy i rozkoszni jak małe jelonki albo małpki.

– Chodźcie do mnie – powiedział Shika i wziął ich na ręce.

Ciężar Mu na jego złamanym ramieniu spowodował niewielki ból. Kość prawie się zrosła.

Gdy z kokonu wypełzło trzecie dziecko, pani Tora nadała chłopcu imię Kuro, Ciemność. Powiedziała mu, że będzie chodził własnymi drogami.

– Tak jak ja – zauważył Shiku i wziął go na kolano.

Nastąpiła chwila spokoju, kiedy dwoje ostatnich dzieci z większym trudem starało się wydostać na świat. Pozostałe przyglądały się im bez wyraźnych emocji, poza ciekawością. Shika czuł ich ciepło, kiedy tuliły się do niego z całkowitym zaufaniem. Były to piękne istoty o czarnych włosach i smukłych kończynach. Shikanoko pomyślał o pięciu ojcach, których nasienie się połączyło, żeby stworzyć te istoty. Akuzenji, Kiyoyori, Sesshin, Shisoku i on sam. Było wykluczone, żeby choć rozważał zabicie chłopców.

Jeden z dwóch pozostałych wreszcie uwolnił się z kokonu, słaby i wyczerpany.

– Twoje imię to Ima, Teraz – powiedziała pani Tora. – Będziesz służącym swoich braci, nigdy nie zaznasz zazdrości ani rozczarowania. – Objęła go na chwilę, zanim oddała Shisoku.

– A twoim losem jest być ostatnim, Ku – rzekła do ostatniego syna. Chłopiec był wyraźnie mniejszy od pozostałych, nie stał ani nie chodził od razu, tylko przemieszczał się na czworakach jak ślepy szczeniak. – Będziesz kochał wszystkie zwierzęta, a one ciebie. Będziesz chodził za swoimi braćmi jak pies.

Kiedy Tora jeszcze bardziej osłabła, powiedziała, że tęskni za naturą, za ciepłym powietrzem na skórze, cętkowanym cieniem, szmerem strumienia, głosami ptaków i owadów, nocnym niebem i gwiazdami. Urodzenie dzieci uczyniło ją łagodną, jakby całą twardość i ogień przekazała dzieciom.

Na jej prośbę Shisoku wziął z ołtarza bursztynowy klejnot i położył go na jej piersi, a Shika wyniósł ją na zewnątrz. Leżała tam przez kilka dni, nie jedząc ani nie pijąc, ale zachowując spokój. Dzieci bawiły się wokół niej i rosły z dnia na dzień.

– Jak uciekłaś z Matsutani? – zapytał Shika pewnego ranka. – Wszyscy myśleliśmy, że zginęłaś.

– Jeszcze nie przyszła moja pora. Domyśliłam się, co może zrobić żona Kiyoyoriego. Ja postąpiłabym tak samo albo jeszcze gorzej. Odeszłam, ale część mnie – nazywamy ją drugim ja – została na tyle długo, żeby zwieść wszystkich, którzy obserwowali pawilon. Przybyłam do Shisoku i dokończyłam swoją misję. Miałam w sobie dar od pięciu mężczyzn: czarownika, bandyty, mędrca, wojownika i młodzieńca, który będzie jednym z nich albo wszystkimi. Podobnie jak moi synowie, moje małe plemię. Nie wiedziałam, że tu wrócisz, ale skoro wróciłeś, mogę ci ich powierzyć.

– Który jest mój? – zapytał Shika.

Oboje skierowali wzrok na dzieci.

– Są wymieszane, więc wszystkie są twoje. Są piękne, nie uważasz? Cieszę się, że wybrałam takich przystojnych mężczyzn jak ty i Kiyoyori.

Shika zauważył, jak zmieniała się jej twarz i głos, kiedy wymówiła to imię.

– Co się stanie z jego duchem? – spytał.

– Nie wiem. Kiedy ma się urodzić źrebię? Jeśli nie znajdziesz swoich koni, nigdy się nie dowiemy. – Po chwili dodała: – Naprawdę kochałam Kiyoyoriego. W taki sposób, w jaki kochają się ludzie. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułam. Powinnam odejść bez żalu, równie łatwo, jak jesienią liść spada z drzewa, ale myśl, że nigdy go nie zobaczę, w żadnej postaci, napęla mnie smutkiem. Czepiam się życia ze względu na niego. To właśnie robi z nami miłość, Shikanoko. Zobacz, jak fałszywy wilk każdego dnia staje się coraz bardziej prawdziwy, bo się do ciebie przywiązał. Drży, kiedy się zbliżasz, i macha ogonem na dźwięk twojego głosu. Uczynił cię swoim panem, żyje dla twojego uczucia. Ale jak uczą wasi święci, przywiązanie zniewala. Tylko wolni od niego widzą świat takim, jaki jest naprawdę, mają władzę nad sobą i wszystkimi rzeczami.

– Ja nigdy nie zaznam spokoju – powiedział cicho Shika. – Nie mogę zapomnieć Akihime. Dręczą mnie miłość do niej i straszliwe wyrzuty sumienia, że ją zdradziłem. Czuję, że muszę opuścić to miejsce, żeby poszukać jej i Yoshimoriego. Przysięgłem, że umieszczę go na Lotosowym Tronie. Ale jak mam to zrobić, skoro muszę się opiekować piątką dzieci?

Tora zamknęła oczy i odwróciła twarz do słońca. Mówiła tak cicho, że musiał się pochylić, żeby ją słyszeć.

– Bądź cierpliwy. Naucz dzieci, jak być ludźmi, żeby mogły za nich uchodzić w tym świecie. Opiekuj się nimi dobrze. Kiedy dorosną, pomogą ci w poszukiwaniach.

Shice wydawało się, że przestała oddychać, ale nie był tego pewien. Poczł bijące od niej ciepło, zobaczył, że promienie słońca padają na klejnot spoczywający na jej piersi i podpalają szatę. Dzieci przestały się bawić i stanęły wokół matki, patrząc na nią oczami bez wyrazu. Płomienie szybko ją pochłoneły, jakby była tylko suchą trawą. Nic z niej nie zostało, nie było żadnej czaszki ani kości, tylko popiół, który Shisoku zebrał do rzeźbionej szkatułki i umieścił przed ołtarzem. Chłopcy sprawiali wrażenie, jakby za nią nie tęsknili ani się nie smucili, a Shika, który bardzo ją opłakiwał, nie wiedział, jak ich tego nauczyć.

* * *

Shisoku zebrał krew i inne płyny po porodzie i polał nimi zniszczoną maskę. Potem związał jej dwa kawałki tym, co zostało z kokonów, tak że oplotły je pajęczne nici, srebrne i szare na tle lakieru. Wypowiedział wiele zaklęć ochronnych i położył maskę na ołtarzu. Kiedy Shika przed nią ukląkł, wydawało mu się, że słyszy, jak brzegi obu części zrastają się z cichym dźwiękiem, tak jak kości w jego ręce.

Shisoku zajął się mieczem Kiyoyoriego. Mimo upału rozniecił wielki ogień. Potem wysłał chłopców, którzy byli teraz wzrostu pięciolatek, do lasu, w ciepłe, suche miejsca, gdzie węże zrzucały skórę. Malcy znaleźli kilka wysuszonych, papierowych, wzorzystych powłok, a Kuro, którego już łączyła silna więź ze wszystkimi jadowitymi stworzeniami, przyniósł żywą żmiję. Shisoku pokazał mu, jak trzymać ją za łeb i uzyskać jad. Wylinki dorzucano do ognia, a jad dodano do stopionej stali.

Shisoku zabił żmiję, zdjął z niej skórę i wyprawił ją starannie, żeby później, po usunięciu zwęglonej macicy perłowej, owinąć nią rękojeść. Stal została wykuta i uformowana na nowo, schłodzona w czystej górskiej wodzie, rozżarzona jeszcze raz i ponownie zahartowana. Zwłaszcza Mu był zafascynowany tym procesem i uważnie obserwował każdy jego etap.

Esencja węża została wchłonięta przez ostrze i Shisoku nazwał je Jato, wężowy miecz. Nie pozwolił Shice go dotykać i umieścił na zewnątrz chaty w szczelinie między skałami. Na koniec obwiązał białym powroślem.

– Muszą go zahartować żywioły – powiedział. – A potem on sam wybierze, czy chce się znaleźć w twojej ręce, czy nie.

Żaden z chłopców nie odzywał się często, choć rozumieli wszystko, co się do nich mówiło. Byli chudzi, ze smukłymi kończynami, i zawsze głodni. Jedli żarłocznie i szybko rośli. Najbardziej lubili mięso, więc Shika codziennie polował na króliki i wiewiórki, czasami przynosił dzika, ale nigdy nie zabił jelenia. Skóry czyszczono i suszono, żeby uszyć z nich ubrania na zimę, lecz w upale późnego lata chłopcy chodzili nago. Walczyli ze sobą przez cały czas, sprawdzając nawzajem swoją siłę, zręczność i wytrzymałość na ból, jednak w nocy spali wtuleni w siebie jak szczeniaki.

Pewnego wieczoru Shika zobaczył, że Kiku dzieli się na dwóch ludzi, spontanicznie,

jakby nie wiedział, co robi. Shikanoko zrozumiał, że właśnie o tym mówiła pani Tora. Potem z kolei Mu zniknął mu nagle z oczu i pojawił się kilka chwil później po drugiej stronie strumienia. Te umiejętności były wrodzone. On nie mógł ich niczego nauczyć w tej kwestii, podobnie jak Shisoku. Natomiast obaj dzielili się z nimi swoimi umiejętnościami.

Shika wyrabiał pałki i uczył synów podstaw walki na miecze. Zrobił małe łuki i pokazał im, jak wyrabiać strzały. Chłopcy łapali ptaki w pułapki i zbierali ich pióra na lotki, potem ćwiczyli strzelanie.

Shisoku demonstrował im, jak wykuć ostry nóż i inną broń, zaznajomił ich ze wszystkimi truciznami, które można znaleźć w lesie, takim jak jad węży i ropuch, przestęp i tojad, niektóre orzechy i grzyby.

Ku, tak jak przewidziała jego matka, kochał zwierzęta, fałszywe i prawdziwe, ale Kiku i Kuro byli wobec nich obojętni, choć ze sztucznymi drażnili się bezlitośnie, przewracając nosicieli wody i strasząc psy stróżujące. Prawdziwe na nich warczały, nieprawdziwe nigdy tego nie robiły. Zostały stworzone tak, że nie znały agresji. Jednak pewnego dnia Kiku wrócił, krwawiąc z rany na policzku.

– Twój wilk mnie ugryzł. – Było to najdłuższe zdanie, jakie Shika od niego usłyszał.

Oczyścił chłopcu ranę, mówiąc:

– To cię nauczy, żeby zostawić go w spokoju.

Uświadomił sobie, że powiedział o wilku, jakby to była żywa istota. Tora stwierdziła, że to miłość uczyniła sztuczną istotę bardziej prawdziwą, ale stała się ona zarazem bardziej agresywna, podczas gdy inne takie nie były. Teraz, kiedy zwierzę było naprawdę żywe, potrzebowało imienia. Shika postanowił nazwać je Gen, co oznaczało rzeczywistość albo złudzenie.

Shisoku jeszcze nie pozwalał Shice dotknąć Jato, kiedy w ósmym miesiącu z południowego wschodu nadciągnął tajfun. Wiatr wyrywał drzewa z korzeniami, z nieba deszcz lał się jak rzeka. Strumień przez całą noc z hukiem toczył się przez polanę. Wiele fałszywych zwierząt porwał wezbrany nurt. Ich puste skóry zostały na gałęziach drzew, czaszki woda wyrzuciła na brzeg wiele mil dalej.

W czasie najsilniejszej nawałnicy Shisoku sobie przypominał:

– Jato jest na zewnątrz.

Gdy Shika wyszedł z chaty, wiatr mocno nim szarpnął. Fałszywy pies przeleciał tuż obok jego głowy i rozbił się o drzewo. Shikanoko widział skały, między którymi znajdował się Jato, ale one były już prawie pod wodą. Wydawało mu się, że widzi błysk stali w pędzącym strumieniu, i ruszył w tamtą stronę, walcząc z wichurą, ale miecz został porwany przez prąd i zniknął, lśniący wodny wąż pośród powodzi.

Kiedy burza ucichła, a potok odzyskał normalne rozmiary, Shika i chłopcy przeszukali dolinę, ale nie znaleźli miecza.

– Pewnie leży zagrzebany w błocie i mule – powiedział do Shisoku po kolejnym dniu bezowocnych poszukiwań.

– Znajdzie się, kiedy będzie chciał zostać znaleziony – skwitował czarownik.

Shikę te słowa napełniły smutkiem i gniewem. Wezwał ducha Kiyoyoriego z bram

piekła, uratował zniszczony miecz, a teraz obaj zniknęli w Ciemnym Lesie, jakby uważali, że nie jest ich wart.

Pod koniec dziewiątego miesiąca Shisoku oznajmił, że maska jest naprawiona. Choć nie była tak doskonała jak kiedyś i jeden róg nadal miała złamany, dzięki cierpieniu i stracie zyskała inne moce. Shikanoko schował ją do siedmiowarstwowego brokatowego worka, z niechęcią myśląc o spotkaniu z księciem opatem, choć wiedział, że pewnego dnia będzie musiał stawić mu czoło. W spokojne jesienne dni z pomocą Shisoku i Mu wykuł nowy miecz i nazwał go Jinan, Drugi Syn, oraz hełm z żelaznymi rogami, jednym złamanym w taki sam sposób jak w masce. Ponadto uszył zbroję połączoną skórzanymi rzemieniami, ufarbowaną marzanną i indygo. Wydawało się, że nie ma takiej rzeczy, której Shisoku nie trzymałby gdzieś zmagazynowanej, a to, czego nie przechowywał, mógł znaleźć w lesie.

– Wybierasz się na wojnę? – spytał Shikę, kiedy zbroja była ukończona.

– Najpierw z moim stryjem. Chłopcy nie mogą dorastać w lesie. Potrzebują domu, wykształcenia, czegoś więcej, niż ja mogę ich nauczyć. Zamierzam wrócić do Kumayamy. A potem, kto wie? Może Kuromori i Matsutani? Może jak Akuzenji zostanę bandytą i będę kontrolował handel jako Król Góry, żeby utrzymać chłopców?

– Oni nie są zwykłymi chłopcami – rzekł z powątpiewaniem Shisoku. – Nie zmienisz ich w wojowników.

– Może nie. Ale sprawię, że staną się dla mnie bardziej użyteczni – powiedział Shikanoko. – Chyba będę potrzebował jeszcze łuku.

– Zrobię ci go – obiecał czarownik. – Pamiętasz, jak wyglądał Ameyumi?

– Tylko tyle, że był ogromny i nikt nie potrafił go naciągnąć oprócz mojego ojca.

Okazało się jednak, że albo Shika pamięta więcej, niż sądził, albo Shisoku w jakiś sposób wydobyl tę wiedzę z jego ukrytych wspomnień. Kiedy łuk był ukończony, leżał w jego dłoni tak samo jak tamten. Nazwali go Kodama, Echo.

– Czy Ameyumi kiedyś się znajdzie? – zastanawiał się na głos Shika.

– Tak, ale nie ty go znajdziesz – odparł górski czarownik.

Masachika

Masachika otworzył oczy w znajomym otoczeniu z chłopięcych lat. „Otworzył” nie było właściwym słowem, bo ledwo widział przez opuchliznę. Cała skóra od stóp do głów piekła go, swędziała i bolała. Język miał nabrzmiały, usta spękane.

Uświadomił sobie, gdzie jest, po zarysie gór widocznych za jedną otwartą okiennicą. Pozostałe były zaryglowane od środka. Padało równomiernie, ale nawet przy zasnutym niebie, w nikłym świetle dżdżystego dnia, było dla niego zbyt jasno. Blask powodował przeszywający ból głęboko w czaszce. Masachika zamknął oczy i spróbował poprosić o wodę.

– Obudził się – usłyszał kobiecy głos, chyba znany mu z dzieciństwa. – Idź i powiedz Hironadze.

Wiedział, że Hironaga jest mężem tej kobiety. Czy byli to bliscy mu jego przybrani rodzice? Czy spadł z konia? Nic nie pamiętał.

– Co się stało? – wyszeptał.

Tak naprawdę nic obchodziła go odpowiedź. Był pewien, że umiera. Rozgorzały w nim żal i wściekłość. To za wcześnie, nie chciał jeszcze odchodzić. Ale życie oznaczało ból. Może lepiej osunąć się w nicość śmierci?

Kobieta przystawiła kubek do jego ust, a on łyknął letniego, lekko słonego napoju. Płyn tylko częściowo ugasił jego pragnienie. Przetyk palił go żywym ogniem.

Usłyszał kroki i jakiś mężczyzna ukląkł u jego boku.

– Panie Masachika? Słyszysz mnie pan?

Kobieta zabrała kubek i obmyła mu twarz. Płótno było chłodne i kojące. Masachika skinął głową i poczuł, że ręcznik przesuwają się po jego skórze. Po chwili stwierdził, że teraz widzi trochę lepiej. Pochylał się nad nim Hironaga, mężczyzna w wieku pięćdziesięciu paru lat, o siwiejących włosach i pobrużdżonej twarzy.

– Znaleźliśmy cię, panie, po ataku. Szukaliśmy na stoku strzał i niezranionych koni. Szczęśliwie to ja na ciebie trafiłem, panie, i rozpoznałem. Byłeś nieprzytomny przez długi czas. Moja żona o ciebie dbała. Wiesz, panie, że zawsze cię kochała jak własnego syna.

– Ataku? – W głowie Masachiki pojawiło się mgliste wspomnienie szalonego pędu ze wzgórze.

– Wiedzieliśmy, że się zbliża. Młody Chikamaru, syn Kongyo, przyjechał z Matsutani, żeby nas ostrzec. Jeźdźcy Miboshich wpadli prosto w pułapkę. Żaden z nich nie przeżył.

Gdybyś, panie, nie spadł z konia w połowie drogi w dół, też byś zginął. Niewiele widzieliśmy w ciemności i nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że tam leżysz, panie.

Masachika przypomniał sobie, że teraz jest Miboshim. Czy Hironaga o tym wiedział? Zaniepokojony zmarszczył brwi i jego oczy przeszył wściekły ból. Zamknął je pośpiesznie.

– Panie Masachika.

Ten głos również rozpoznał. Zerknął przez spuchnięte powieki.

– To ja, Kongyo. Pamiętasz mnie, panie?

Masachika skinął głową.

– Byłeś przyjacielem mojego brata.

– Zostałem jego starszym sługą, a teraz będę pańskim, mam nadzieję. Wszyscy wiemy, że to ojciec kazał ci, panie, iść do Miboshich. Nie można cię, panie, winić, że go posłuchałeś. Ale coś cię powstrzymało przed zaatakowaniem domu rodzinnego. Jeśli twój brat Kioyoyori i jego syn rzeczywiście nie żyją, ty, panie, jesteś ostatnim z panów Kuromori. Twój ojciec powziął trudną decyzję, żeby jego ród przetrwał. Kim my jesteśmy, żeby ją podważyć? Niebiosa cię uratowały, panie. Nie mogliśmy się im sprzeciwić.

– Mam wrażenie, że niebiosa raczej mnie ukarały – powiedział Masachika i jęknął.

– Niebiosa karzą jedną ręką, a drugą rozdzielają łaski – rzekł Hironaga.

Masachika przypomniał sobie, że ten sługa zawsze miał skłonność do wygłaszania świętoszkowatych sentencji. I dotarły doń dwie rzeczy. Po pierwsze, że mimo bólu woli być żywy niż martwy, a po drugie, że dostał drugą szansę. Zamknął oczy i zaczął obmyślać, jak ją w pełni wykorzystać.

* * *

Była to mała forteca, niezupełnie pod oblężeniem, ale każdego dnia spodziewająca się kolejnego ataku. Mężczyźni, prawie czterdziestu, byli znudzeni, rozdrażnieni i zawsze głodni. Na próżno czekali na wieści o kontrataku Kakizukich albo na potwierdzenie śmierci pana Kiyoyoriego. Ciała Miboshich pogrzebano, ich miecze, łuki i strzały dołączono do własnego uzbrojenia. Nikt nie przyszedł ich pomścić ani ukarać obrońców Kuromori.

Często padało. Letnie dni były gorące i wilgotne. Rolnicy przynosili jajka i warzywa. Codziennie garstka ludzi wspinała się na wzgórze za fortecą, żeby polować na króliki i jelenie.

Rolnicy mówili, że w Matsutani nadal są duchy i nikt nie ma odwagi wejść nawet do ogrodu. Z powodu deszczy rozrosły się chwasty, dom wręcz pod nimi zniknął.

Masachika miał długie godziny na rozmyślanie, co szykuje dla niego przyszłość. W miarę jak opuchlizna schodziła mu z twarzy, wracała pamięć, ale ukąszenia pszczoł zostawiły po sobie skutki uboczne w postaci silnych bólów głowy i nocnych gorączek. Bał się ponownego spotkania z duchami, ale dostał obsesji na punkcie ich wypędzenia. Myśl, że po tylu poświęceniach Matsutani obróci się w ruinę, gryzła go bezustannie. I nie mógł nie wspominać Tamy. Bardzo teraz żałował, że wynajął zabójcę. To było impulsywne

działanie i bardzo nad nim ubolewał. Nie miał nawet pojęcia, czy temu człowiekowi się udało. Nie zdążył się tego dowiedzieć, zanim wyruszył z armią Miboshich. Ale na wszelki wypadek odprawił modły za jej duszę w prowizorycznej kaplicy, którą zbudowano w fortecy.

Hironaga i Kongyo ze swoimi prostymi wyobrażeniami o dziedzictwie i lojalności chyba zakładali, że wrócił nie tylko do Kuromori, ale i do Kakizukich. Oczywiście tego nie zrobił. Lepiej od nich wiedział, jak wygląda sytuacja w stolicy i kto jest prawdziwym zwycięzcą. Nie zamierzał na tym etapie wojny dołączać do przegranych. Ale z łatwością przyznawał rację swoim sługom i zgadzał się z nimi, że najbardziej potrzebne są informacje i właśnie on może je zdobyć.

Przekonująco udawał wdzięczność wobec Hironagi, szacunek dla Kongyo, uczucie dla przybranej matki, radość, że wrócił do swojego domu z dzieciństwa. Podobnie jak w Minatogurze, umiał się przypodobać większości ludzi, którzy już i tak byli skłonni zaakceptować go jako brata zmarłego pana, podejmując się razem z nimi wszelkich zadań, chętnie i kompetentnie, pamiętając też ich imiona, cechy charakterystyczne i osiągnięcia.

– Mógłbyś, panie, dotrzeć do pana Keity, który podobno wycofał się z siłami Kakizukich do Rakuhary? – spytał go któregoś ranka Kongyo.

Zapowiadał się pierwszy pogodny dzień od kilku tygodni. Pora ulewnych deszczy zbliżała się do końca.

– Z pewnością mogę wrócić do stolicy. Dobrze służyłem Miboshim przez te lata, kiedy z nimi mieszkalem. Sądzę, że mi ufają. Mógłbym ocenić sytuację, zameldować o niej panu Keicie i przysłać wam wieści albo sam tu wrócić.

– Proszę go zapytać, czy mamy tu zostać, czy przebić się i dołączyć do niego – poprosił Hironaga.

– Pan Masachika służył Miboshim przez osiem lat i był z siłami, które nas zaatakowały – odezwał się jeden z ludzi, którzy ich słuchali. – Proszę mi wybaczyć, ale ktoś musi to powiedzieć. Czy naprawdę możemy mu ufać?

– Tsunesada, człowiek nie może zapomnieć o swoich pierwszych zobowiązaniach – odrzekł Masachika. – Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić do swojej prawdziwej rodziny, zwłaszcza odkąd mój szanowny brat najwyraźniej przeniósł się do drugiego świata. Urodziłem się jako Kakizuki i niebiosa postanowiły, że znowu stanę się Kakizukim.

– Choć Miboshi rządzą w stolicy, a Kakizuki są na wygnaniu? – nie dowierzał Tsunesada.

– To czyni mój wybór tym bardziej szlachetnym – oświadczył gładko Masachika.

Tsunesada wskazał na plik napisanych przez Masachikę raportów, które znaleziono w jukach jego padłego konia. Papiery przez całe tygodnie leżały na podłodze w pokoju, w którym mężczyźni się teraz zebrali, jako że nikt nie potrafił ich odczytać.

– Co to wszystko znaczy?

– To notatki o wojownikach – odparł Masachika. – Ludzie mi je dyktowali, bo potrafię czytać i pisać.

– Niewiele z nich pożytku, skoro wszyscy nie żyją! – rzucił Tsunesada.

– Te zapiski dają im nieśmiertelność. Ich nazwiska nadal żyją. Jeśli wezmę je ze sobą, zostaną wysłane do Minatogury, a ich rodziny będą mogły domagać się odszkodowania.

Hironaga zmarszczył brwi.

– Miboshi robią to samo?

– Prowadzą archiwa? Tak. To jest metoda pana Aritomo, żeby wszystko wiedzieć, zachować, kontrolować. Pamięci nie można ufać. Pięciu ludzi opowie to samo wydarzenie na pięć różnych sposobów, ale spisane relacje stają się dokumentami prawnymi. Aritomo kocha prawo.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie.

– Jeśli zawiozę je do stolicy, będę bardziej wiarygodny – dodał Masachika – ale spalę je, jeśli chcecie.

Tsunesada spojrział na starszego mężczyznę.

– Sądzę, że Masachika ma rację – powiedział Kongyo. – Niech lepiej weźmie je ze sobą.

Kilka dni później Masachika wymknął się z Kuromori przed świtem na nowym koniu, z własnym mieczem. Ruszył do Shimaury, ale wkrótce skręcił na wschód w stronę Minatogury. Układał ten plan od tygodni, bo uznał, że musi potwierdzić prawnie swoje roszczenia do Matsutani. Dopiero wtedy będzie mógł wrócić do Miyako.

* * *

W porównaniu ze zniszczoną stolicą Minatogura, prawie nietknięta przez wojnę, wyglądała spokojnie i dostatnio. Statki wpływały do portu i wypływały z niego obciążone towarami, którymi bogaci kupcy handlowali z jeszcze większym zapałem niż zwykle. Wieści o zwycięstwie Miboshich i klęsce Kakizukich sprawiły, że w mieście zapanowała atmosfera triumfu. W urzędach i sądach skrybowie i prawnicy spisywali zwycięstwa i dokonania poszczególnych wojowników, obliczali wielkość nagród w postaci nadań ziemi i wskazywali, którym z pokonanych te majątki zostaną odebrane.

Masachika udał się prosto do domu swojej przybranej rodziny, jadąc znajomymi ulicami, najpierw wzdłuż portu, a potem na północ w górę zbocza. Było bardzo gorąco, słońce świeciło oślepiająco na pogodnym niebie, ale nim wstrząsały dreszcze i bolała go głowa. Przypuszczał, że jeśli wojna wszystkiego nie opóźniła, sprawa jego roszczenia już została rozpatrzona. Powtarzał sobie jednak, że nie ma się czym denerwować. Matsutani mogło zostać przyznane tylko jemu. Nie było innych spadkobierców. Poza tym on wiernie służył Miboshim. Mimo to dręczył go niepokój. A jeśli uznano go za zmarłego albo, co gorsza, za zdrajcę? Tylko sądowe potwierdzenie, że Matsutani należy do niego, mogło dać mu pewność i ukoić nerwy.

Jego przybrany ojciec Keisaku Yamada wybiegł do bramy, kiedy Masachika zsiadł z konia i oddał wodze stajennemu.

– Jesteś w domu, bezpieczny! Słyszeliśmy plotki, że zostałeś zabity w czasie ataku na Kuromori. Chwała niech będzie niebiosom! Moja żona modliła się za ciebie dzień i noc, a nasza córka, jakże ona płakała, sądząc, że nie żyjesz i że nasza rodzina została

osierocona.

Masachika szorstko zbył jego wylewne powitanie. Keisaku pobożny i jowialny mężczyzna, bardzo chciał, żeby wszyscy wokół niego byli szczęśliwi, ale Masachika nigdy nie żywił dla niego szacunku, gardził jego przesadną wiarą i tym, co uważał za płytkość.

W domu ujrzał swoją narzeczoną. Jej pulchna, ładna twarz zarumieniła się z podniecenia i radości, oczy błyszczały od łez. Masachika udał, że jej nie widzi.

– Są jakieś wieści z trybunału? – zapytał od razu.

– W sprawie roszczenia? Musisz wiedzieć, że zawsze będziesz naszym synem. Mamy posiadłość na wsi, odludną i oczywiście nie tak bogatą jak Matsutani, ale już zawsze będzie twoja. Nigdy nie zostaniesz bez ziemi.

– O czym ty mówisz? – niecierpliwie spytał Masachika.

Keisaku nerwowo zatarł dłonie.

– Przykro mi, że to ja muszę przekazać tę niepomyślną nowinę. Mimo mojego głębokiego uczucia do ciebie to ja muszę zadać ci poważną ranę. Przyjmij ją jako wolę niebios. Bez wątpienia na koniec wyniknie z niej tylko dobro.

– Próbujesz mi powiedzieć, że moje roszczenie zostało odrzucone? – W głosie Masachiki brzmiało niedowierzanie.

– Twoja była żona pani Tama przedstawiła dokumenty, które jasno stwierdzają, że ojciec zostawił ziemię córce i jej mężowi, ktokolwiek nim będzie. Chodzi o Matsutani. W sprawie Kuromori nie wydano żadnego wyroku, więc przypuszczam, że będzie twoje.

Oniemiały Masachika gapił się na swojego przybranego ojca. A więc Hisoku zawiódł. Tama nie tylko żyła, ale ośmieliła się wnieść sprawę do trybunału. Był oburzony i wściekły, ale jednocześnie nie mógł nie podziwiać jej śmiałości. Poczul w sobie drgnienie dawnej tęsknoty.

Nieświadomy jego wewnętrznego zamętu Keisaku dodał:

– Pani Tama ma potężnego sojusznika w matce przełożonej Muenji, ale powody nie są takie ważne. Sąd zadecydował na jej korzyść.

– Ale ona jest kobietą! – Masachika nie potrafił wymyślić nic innego.

– Jako jedyne ocalałe dziecko swojego ojca i wdowa po panu Kuromori została uznana za najbardziej uprawnioną do dziedziczenia – rzekł Keisaku. – Jako ojciec jedynej córki mam dużo zrozumienia dla tego wyroku.

– Chyba mam szansę na apelację? Zadałbym o swoje prawa, gdybym nie walczył u boku Miboshich. W dodatku omal nie zginąłem!

– Nie potrafię ci odpowiedzieć. Mógłbyś spróbować porozmawiać z kimś wyższej rangi. Na przykład z Yukikuni no Takaakirą Jest w Minatogurze od kilku dni. Nasz skromny wiejski dom graniczy z jego posiadłością, więc mogę do niego dotrzeć.

– Takaakira? To on przejął dawny dom Kiyoyoriego w Miyako?

– To dobrze. – Keisaku próbował się uśmiechnąć. – Uzna, że jest twoim dłużnikiem.

– Tak sądzisz? Jeśli człowiek raz kogoś skrzywdził, następnym razem przyjdzie mu to łatwiej. Nie mogę oczekiwać od niego dużej pomocy.

– Mój drogi synu, nie powinieneś być taki cyniczny. Zrobię, co w mojej mocy.

Tymczasem zawierzmy Oświeconemu i pokornie przyjmujemy wszystko, co zsyłają nam niebiosa.

Masachika nie zdołał ukryć irytacji. Zrządzenia niebios to jedno, ale wysłuchiwanie banałów starego to zupełnie inna rzecz.

* * *

Kiedy pojechał do Muenji, próbował zobaczyć się z Tamą, ale spotkał się z odmową pod pretekstem, że pani praktykuje religijne odosobnienie.

– Jak długo? – zapytał Masachika.

– Trudno powiedzieć.

– Zobaczy się ze mną, jeśli wrócę za kilka dni?

– Trudno powiedzieć.

To była jedyna odpowiedź, jaką otrzymał.

Przybrany ojciec zaczął czynić delikatne próby kontaktu z Yukikunim no Takaakirą, podczas gdy Masachika czekał niecierpliwie, unikając narzeczonej i jej matki, odkładając na później wszelkie rozmowy o małżeństwie. Raptem Tama znowu stała się dla niego obiektem pożądania. Wspominał wczesne dni ich małżeństwa, jej żar i ochoczość, jego straszliwy ból, kiedy mu ją zabrano. Przekonywał siebie, że nadal jest jego żoną. Czy nie dała mu jasno do zrozumienia, że go pragnie, kiedy ostatnio się spotkali? Tym razem by jej nie odmówił.

Nie zniechęcało go nawet dręczące wspomnienie duchów. Stawiłby im czoło razem z Tamą, którą one nazywały panią Matsutani. Wspólnie znaleźliby sposób, żeby je ułagodzić albo usunąć.

Cztery dni później powiedziano mu, że u drzwi czeka posłaniec. Masachika wybiegł z domu i od razu rozpoznał zbira, którego wynajął.

– Pani Tama życzy sobie pana zobaczyć, zanim wyjedzie – oznajmił Hisoku.

– Dokąd? – Masachika nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Hisoku beczelnie spojrział mu w oczy i powiedział:

– Jutro wyjeżdżamy do Matsutani.

– My? – To słowo nim wstrząsnęło. Niosło ze sobą wiele znaczeń.

– Pani Tama łaskawie przyjęła mnie na służbę.

– Wkrótce się przekonasz, jaki jesteś niekompetentny – rzucił drwiąco Masachika.

Hisoku nie odpowiedział, ale mięsień na jego policzku zadrżał. Masachika nie przejmował się tym, że zrobił sobie wroga. Gardził tym człowiekiem i już postanowił, że go zabije przy pierwszej sposobności.

Jednakże musiał podążyć za nim do świątyni. Tam zaprowadzono ich do ogrodowego pawilonu. Nawet tutaj, w cieniu przy źródle, z którego tryskała woda, było nieznośnie gorąco. Z lasu dobiegał ogłuszający chór cykad.

Masachika z szacunkiem przyjrzał się pierwszej żonie. Wydawało się, że upał nie robi na niej wrażenia, w dodatku emanowała nowym spokojnym autorytetem.

– Twoje religijne odosobnienie okazało się dobroczynne w skutkach – zauważył.

Tama nie odpowiedziała na jego sarkazm, tylko pokazała gestem, że może usiąść przy niej.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć?

– Tamo...

– Pani Tamo – poprawił go Hisoku.

– Możemy porozmawiać w cztery oczy? – Masachika starał się ukryć zniecierpliwienie.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie spróbujesz kolejnego zamachu na moje życie?

– To był błąd, przepraszam... – Umilkł pod wpływem jej nieruchomego spojrzenia, a potem rzekł po prostu: – Wybacz.

– Możesz poczekać trochę dalej, Hisoku – powiedziała Tama, nie odwracając głowy.

Mężczyzna odszedł kilka kroków w stronę brzegu jeziora, ale nie spuszczał z nich wzroku.

– Czego chcesz, Masachiko? – spytała Tama.

– Chcę, żebyśmy żyli razem jak mąż i żona.

Ona przez chwilę tylko na niego patrzyła, nic nie mówiąc. Potem lekki uśmiech wykrzywił jej wargi.

– Zgodzisz się? – niecierpliwie ponaglił ją Masachika. – Mogę pojechać z tobą do Matsutani?

Jej oczy rozjarzyły się od emocji. Masachika nachylił się, żeby wziąć ją w ramiona, ale ona wstała szybkim, płynnym ruchem.

– Za późno. – I pośpiesznie się oddaliła ścieżką biegnącą przy jeziorze.

– Co, nawet mnie nie wysłuchasz?! – krzyknął za nią.

– Myślę, że pani Tama wyraziła się jasno. – Hisoku posłał mu triumfalny, szyderczy uśmiech i ruszył za swoją panią.

* * *

Dwa dni później, nadal płonąc z żalu i gniewu, Masachika spotkał się z Yukikunim no Takaakirą. Nie chciał tam być, wolałby odłożyć tę rozmowę na czas, kiedy wróci do Miyako, ale jego teść zadał sobie wiele trudu, żeby uzyskać audiencję, ponieważ zależało mu, żeby Masachika znalazł wsparcie dla swojej apelacji. Jednakże Takaakira nie był skłonny mu pomóc ani nawet go wysłuchać. Uciał jego wyjaśnienia, mówiąc:

– To mnie nie obchodzi. Interesuje mnie Kuromori.

– Panie?

– Wyruszyłeś z setką ludzi. Zginęli wszyscy oprócz Yasuie. Forteca nadal znajduje się w rękach sług twojego zmarłego brata, a ty nie tylko przeżyłeś, ale pozwolono ci odejść. Jaką umowę z nimi zawarłeś i po czyjej stronie teraz jesteś?

Celowo mówił obraźliwym tonem. Masachika wiedział, że Takaakira potrafi być czarujący i wspaniałomyślny dla tych, których szanuje, więc poczuł się urażony, kiedy zrozumiał, że nie jest jednym z nich. Zaczął się bronić.

– Od lat jestem Miboshim. Nie pamiętasz, panie, jak się spisałem w Shimaurze i nad rzeką Sagi? – Uznał, że nie pora na fałszywą skromność. – Głęboko żałuję klęski w Kuromori, ale zostałem zaatakowany przez złe duchy i straciłem przytomność przed właściwą bitwą.

Wzmianka o duchach wzbudziła zainteresowanie Takaakiry, więc Masachika opowiedział mu o dziwnych wydarzeniach w Matsutani, o śmierci Yasunobu i ataku pszczoł. Gospodarz wysłuchał go, a potem rzekł:

– To jedno z najbardziej zawitych wyjaśnień klęski, jakie kiedykolwiek słyszałem. Więc nie zgodziłeś się szpiegować dla Kakizukich i nie próbowałeś dotrzeć do Keity w Rakuharze?

I znowu Masachika wyczuł jego pogardę. Pohamował gniew i przybrał skruszoną minę.

– Nie potrafię nic ukryć przed takim wielkim i mądrym panem. Zgodziłem się, ale tylko po to, żeby móc uciec i wrócić na służbę do pana Aritomo. Wziąłem ze sobą zapiski o wojownikach, którzy zginęli. Ludzie w Kuromori ufają mi i uważają mnie za dziedzica Kiyoyoriego. Z pewnością można to obrócić na naszą korzyść?

– Z Kuromori trzeba będzie w końcu się rozprawić – stwierdził Takaakira. – Tymczasem mam dla ciebie zadanie. Chcę, żebyś pojechał do Rakuhary. Wszyscy podejrzewają, że szpiegujesz dla Kakizukich, więc wrócisz do nich, ale będziesz szpiegował dla nas. Teraz, kiedy straciłeś swoje dziedzictwo, będzie to dla ciebie pocieszenie.

Kiedy Masachika nie odpowiedział, Takaakira mówił dalej:

– Robię to ze względu na Keisaku, ponieważ jesteśmy sąsiadami. Wiem, że nie brakuje ci odwagi, Masachiko. Widziałem cię w bitwie. Ale masz wyrachowaną naturę, która czyni cię niegodnym zaufania. To twoja szansa na odkupienie. Jeśli odmówisz, pan Aritomo zażąda twojego życia jako rekompensaty za porażkę i dla wymazania podejrzeń, które wokół ciebie narastają.

– Zrobię wszystko, co pan Aritomo i wy, panie, rozkażecie – oświadczył Masachika, padając na twarz w geście udawanej pokory, ale w myślach rozpaczliwie szukał nowej strategii, która poprawiłaby jego sytuację.

– Dobrze. Wyjedziesz jutro. To wszystko.

Takaakira krótko skinął głową i odwrócił się, ale Masachika nie chciał, żeby rozmowa skończyła się w taki upokarzający sposób, ani nie podobała mu się perspektywa, że jego życie i przyszłość znajdą się w rękach tego człowieka.

– Mogę zadać jedno pytanie?

Pan udzielił mu pozwolenia skinieniem głowy.

Masachika grał na czas. Nie był nawet pewien, o co spytać, kiedy nagle w jego umyśle pojawił się obraz domu w stolicy. Intuicyjnie i po omacku zadał cios.

– Zdaje się, że przejąłeś, panie, stary dom Kiyoyoriego w stolicy. – Z zadowoleniem przyjął zaskoczenie i gniew Takaakiry. – Proszę nie zrozumieć mnie źle. To zaszczyt dla naszej rodziny. Ale czy jego córka przeżyła?

– Dom stał pusty – oświadczył Takaakira. – Nie wiedziałem, do kogo należy. Nie

miałem również pojęcia, że Kiyoyori miał córkę. To wszystko, co potrafię ci powiedzieć.
Ale wyraz jego twarzy zdradził Masachice, że szlachetny pan Śnieżnej Krainy kłamie.

Aki

Kiedy Shikanoko wyszedł z chaty, Aki leżała jak sparalizowana, a po jej policzkach toczyły się łzy. Już nigdy nie zostanie świątynną dziewczycą, nie cofnie tego, co się stało. Przepęłniały ją żal i strach. Bogowie na pewno ich ukarzą. Po jakimś czasie wzięła łuk i poszła do strumienia, żeby zmyć z siebie krew. W zimnej wodzie drżała nie tylko z chłodu, ale również z emocji, których nie potrafiła rozpoznać. Obwiniała siebie tak samo jak jego. Świat stał się bezbarwny, pozbawiony uroku i tajemnicy. Ale wcześniej też taki był. Coś musiało się wydarzyć. Na dziewczynę i chłopca rzucono jakiś czar, któremu żadne z nich nie potrafiło się oprzeć.

Mogłam z nim walczyć, pomyślała, kiedy obmywała ją woda. Mogłam go zabić. Dlaczego tego nie zrobiłam? I sama sobie odpowiedziała. Bo chciałam dotykać jego skóry, muskać ustami jego usta, tulić go i być przez niego tuloną. Pragnęłam tego, odkąd go ujrzałam, a ci mężczyźni leżeli martwi, zabici jego strzałami. Ale nie wiedziałam, że to będzie takie brutalne, takie bolesne. Zrobiłam to, czego zabraniał mi ojciec. Nigdy nie da się tego cofnąć. Jestem teraz inną osobą.

Jak dzikie zwierzę tęskniła za tym, żeby uciec do lasu. Potem przyszło jej do głowy, żeby się zabić, ale zostawiła nóż w chacie. I nie mogła opuścić Yoshiego. Póki on żył, ona też musiała żyć.

Zaczęło padać. Nie miała ochoty wracać do chaty, ale musiała spokojnie pomyśleć, więc wstała, otuliła się szatą i poszła do jaskini, w której znajdowały się konie.

Nyorin zarżał cicho na jej widok. Leżąca Risu nawet się nie podniosła. Zwierzęta musiały być w nocy niespokojne, bo zaplątały się w długie linki, nadepnawszy na nie kilka razy. Aki rozplątała je i uwolniła konie. Potem położyła się obok klaczy w kołysce z jej nóg i oparła głowę o nabrzmiąły brzuch. Wydawało się jej, że słyszy bicie serca źrebięcia. Czyżby naprawdę wstąpił w niego duch pana Kiyoyoriego? Parę razy w życiu go widziała i teraz przypomniała sobie jego odwagę, imponujący wygląd i to, jaki żaloszny los go spotkał. W jej oczach wezbrały łzy. Słyszała ciche kapanie ze skał i drzew rosnących wokół jaskini, łagodny, kojący dźwięk. Nyorin przestąpił z nogi na nogę, Risu parsknęła.

Nagle Aki zaczęły się śnić mały. Obudziła się, kiedy usłyszała, że ktoś woła jej imię.

– Akihime!

Nyorin zarżał głośno, Risu próbowała wstać.

– Akihime!

Nie chciała się mu pokazać. Jak mogłaby spojrzeć mu w oczy? Skuliła się, słuchając śpiewu ptaków o poranku, ciągłego szumu deszczu, bulgotania strumyka. Jednak pragnęła go zobaczyć. Niemal wbrew woli pozwoliła, żeby nogi zaprowadziły ją na zewnątrz. W ręce ścisnęła łuk.

Zobaczyła, że z chaty wychodzi z Yoshimorim człowiek w masce. Wyglądał jak ze snu albo z odległej magicznej przeszłości. Rogi przydawały mu wzrostu i autorytetu. Poruszał się w sposób ni to ludzki, ni zwierzęcy, emanujący siłą i władczością.

Nie wierząc własnym oczom, patrzyła na klęczącego chłopca, na wyciągnięty miecz, jakby były częścią jej snu. Przez kilka chwil stała bez ruchu. Konie nastawiły uszy i też się nie ruszały, tylko obserwowały scenę wystraszonymi oczami. Potem Aki uniosła łuk i napięła cięciwę. Usłyszała krzyk jastrzębia, a wierzchowce, jakby nim ponaglone, wypadły z jaskini z Risu na przodzie.

Aki pobiegła za nimi i ujrzała, że atakują Shikanoko.

Myślała, że go zabiły. Szlochając z żalu, szoku i wściekłości, podbiegła do Yoshiego i przytuliła go do siebie. Kon fruwał wokół jej głowy, mówiąc coś, czego nie rozumiała. Chłopiec przywarł do niej, drżąc, i coś wymamrotał.

Aki się nachyliła.

– Co powiedziałeś?

– Byłem dzielny, prawda?

– Bardzo dzielny – potwierdziła.

– Shikanoko zamierzał uciąć mi głowę?

– Tak! – krzyknęła Aki, ale szybko się opanowała ze względu na chłopca.

– Dlaczego? Myślałem, że będzie nas chronił.

– Ja też tak myślałam. Ale on jest w służbie bardzo potężnego człowieka, który chce cię zabić. Shikanoko musi go słuchać.

– Lubilem go – wyznał Yoshi ze smutkiem w oczach.

– Lubieś, lubieś? Co to znaczy? – To było zbyt chłodne słowo. – Na szczęście opiekują się tobą inne siły. Same niebiosy cię chronią. Ale musimy stąd odejść.

– I zostawić go tutaj?

Powieki ранnego zatrzepotały. Shikanoko krzyknął z bólu, ale się nie obudził. Yoshi spojrzał na niego z góry.

– Nie powinniśmy się nim zająć?

– Zamierzał cię zabić – przypomniała mu Aki. – Spróbuj znowu.

– Powinniśmy kochać naszych wrogów – rzekł z uporem Yoshi.

– Skąd taki pomysł? – Aki zastanawiała się, czy dobić Shikanoko, póki jest nieprzytomny.

– Słyszałem, jak starzec na łodzi mówił tak muzykom. Podobały mi się jego słowa.

– Pamiętam go. – Aki miała wrażenie, że tamto wszystko działo się w innym świecie.

– Nie chcę, żeby ktoś jeszcze umarł. – Yoshi był bliski łez.

– Chodź – powiedziała łagodnym tonem Akihime. – Musimy stąd odejść, zanim on się ocknie. Zostawimy go niebiosom, żeby się nim zajęły. Przynieś Genzo i mój nóż, a ja

przygotuję konie.

Chłopiec skinął głową, rzucił jeszcze jedno zatroskane spojrzenie Shikanoko i poszedł do chaty. Jastrząb pofrunął za nim. Miał więcej złotych piór niż do tej pory. Jego skrzydła lśniły mimo mżawki.

Konie, już spokojne, opuściły łby i obwąchały nieprzytomnego pana. Następnie ruszyły za Aki do jaskini i stały potulnie, kiedy ona męczyła się z siodłem i uprzężą. Po powrocie Yoshiego wsunęła nóż za pas i przewiesiła tobolek z lutnią przez plecy. Czyżby instrument wygrywał cichutką pieśń miłosną?

– Zdrajczyni – wysyczała cicho Aki. – Mam cię spalić?

Podsadziła Yoshiego na grzbiet kasztanki.

– Nie musisz trzymać wodzy. Ona sama cię poprowadzi.

– Potrafię jeździć konno. Zresztą Risu nie pozwoli, żeby mi się coś stało.

Aki była zaskoczona, że Yoshi zna imię klaczy.

– A jak się nazywa ogier?

– Nyorin. To znaczy srebro. A jastrząb to Kon, złoto. Zabawne, prawda? Srebro i złoto.

– Zapamiętujesz wszystko, co usłyszysz? – spytała Aki.

Chłopiec kiwnął głową.

– I przeważnie rozumiem, choć czasami dopiero później, kiedy trochę o tym pomyślę.

Będzie świetnym cesarzem, doszła do wniosku Aki. I zobaczy życie, jakiego nie widział żaden cesarz.

– Dokąd teraz pojedziemy? – zapytał Yoshi, kiedy Aki wgramoliła się na grzbiet Nyorina.

Ogier był dużo wyższy od klaczy, ale czekał cierpliwie, aż ona usadowi się w siodle i weźmie wodze do ręki. Dopiero wtedy ruszył.

– Nie jestem pewna.

Aki próbowała ułożyć jakiś plan. Mieli konie, jastrzębia – jeśli jeszcze ich nie zdradził i nie odleciał do Ryusonji – i niegodną zaufania lutnię. Do tego nóż i łuk, a poza tym ona trochę się znała na ziołach i leśnych roślinach. Nie mogli jednak ukrywać się tu wiecznie, zwłaszcza w zimie, choć zostało do niej pół roku. Aki postanowiła jechać na północ, trzymając się z dala od głównych dróg. Do Rinrakuji, tak jak jej kazał ojciec. Może przeżył tam ktoś, kto im pomoże. Jeśli nie, pojedą do Kitakami, a stamtąd wzdłuż zachodniego brzegu jeziora do Nishimi.

– Pokażę ci, gdzie mieszkałam, kiedy byłam małą dziewczynką – obiecała Yoshiemu.

Nishimi leżało bliżej miejsca, gdzie na wygnaniu przebywali Kakizuki. Tam znajdzie broń i ludzi, których będzie potrzebował Yoshi.

Przedstawiła swój plan na głos, jakby się spodziewała, że jastrząb i konie ją rozumieją. Pozwoliła Nyorinowi prowadzić. Ogier natychmiast ruszył doliną na wschód. Aki pomyślała, że powinni raczej kierować się na północ, ale tam dolina się zwążyła, a las gęstniał. Tak więc pozostawał im jedynie wschód, chyba żeby zawrócili. Jednak tę możliwość wykluczał strach, że znajdą Shikanoko martwego.

Kilka godzin później przestało padać. Słońce wspięło się wysoko na niebo i teraz jego

promienie przewiercały chmury. Zrobiło się bardzo gorąco. Ziemia wokół nich parowała. Konie zatrzymały się na trawiastej polanie, gdzie górski strumień tworzył sadzawki pełne sitowia i lotosów. Wierzchowce napiły się do syta, a potem zaczęły gryźć wysoką trawę.

– Zdaje się, że mamy odpoczynek – stwierdziła Aki.

Zsunęła się z grzbietu Nyorina, krzywiąc się z bólu. Zauważyła, że na srebrnej sierści zostały ślady krwi. Pomogła Yoshiemu zsiąść z Risu. W lesie odezwał się gołąb, potem coś ładnie zagwizdało, może grubodziób, choć tego ptaka Aki знаła tylko z poezji.

– Co będziemy jeść, starsza siostrze? – zapytał Yoshi.

– Dobre pytanie. Zawsze możemy jeść trawę, jak Risu i Nyorin.

Yoshi wyrwał kilka źdźbeł, wsadził do ust i przez chwilę żuł dzielnie, ale potem je wypluł.

– Nie? Zobaczą, co jeszcze uda się znaleźć. Ty tu zostań, pod tym drzewem. Pilnuj koni. Nie pozwól im się oddalić. Ja zaopiekuję się Genzo.

Aki weszła do jednej z sadzawek, wyrwała garść sitowia i rzuciła je na brzeg. Muł był chłodny i kojący dla stóp. W żółtawej wodzie śmigwały małe rybki, ale ona nie miała czym ich złapać. Dalej w górze strumienia dostrzegła błysk złota, a po chwili przyleciał z donośnym okrzykiem Kon, trzymając w szponach rybę.

– Zanieś ją Yoshiemu! – zawołała Aki, ale jastrząb już pofrunął z powrotem na drzewo.

Po chwili złowił kolejną rybę w strumieniu. Na myśl o jedzeniu Aki poczuła bolesne ściskanie w żołądku. Kiedy ostatnio jedli? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Odcięła mięsiste korzenie od sitowia i przeżuła jeden. Znowu zaśpiewał grubodziób i tym razem go zobaczyła: szaroczarnego na kamieniu wystającym z rzeczki. Odpowiedziała mu pliszka, a po chwili ponad ptasie trele wybiła się muzyka. Genzo grała tę samą pieśń miłosną co poprzedniej nocy, budzącą tęsknotę i strach, o których Aki starała się zapomnieć.

– Zaraz roztrzaskam tę lutnię! – wrzasnęła. – Skarb rodowy czy nie!

Wróciła biegiem do drzewa, pod którym ze skrzyżowanymi nogami siedział Yoshi. Kon odrywał kawałki ryby i karmił go nimi jak pisklę. Z lutni nadal wydobywały się melodyjne dźwięki, jej zdobienia lśniły w słońcu.

Wokół nich półkregiem, jak w jej śnie, siedziało dziesięć albo więcej małp o szarym futrze, czerwonych twarzach i zielonych oczach.

Aki stanęła bez ruchu. Nigdy nie znajdowała się tak blisko dzikich małp i nie była pewna, jak się zachować. Nie chciała, żeby ją zaatakowały, obawiała się również je spłoszyć. Zaczarowała je grająca lutnia czy uczynił to Yoshi? W jakiś sposób rozpoznały w nim boskiego cesarza? Przecież to oczywiste, tłumaczyła sobie Aki. Wszystkie stworzenia powinny złożyć mu hołd, bo prawdziwy cesarz łączył niebo z ziemią. To jego modlitwy i rytuały utrzymywały harmonię i równowagę decydujące o dobrostanie ludzi i małp.

Uzurpator na tronie powodował nieszczęścia i katastrofy, trzęsienia ziemi, plagi, pożary i powodzie. Może już do nich dochodziło w stolicy. Aki nie miała pojęcia. Las był taki spokojny, ptaki śpiewały, w bujnej trawie rosły polne kwiaty.

– Spójrz, starsza siostró! – zawołał Yoshi, kiedy ją dostrzegł. – Małpy!

Aki pamiętała, że już raz tak wykrzyknął, kiedy na targu przy Tęczowym Moście w Majimie zobaczył małego tresera i wpadł w zachwyt. A jej niedawno śniły się małpy. Czy to był znak, że los przywiódł ich tutaj w jakimś celu?

Pośrodku kręgu siedziała duża samica i karmiła piersią dziecko. Emanowała autorytetem. Aki podeszła do niej z szacunkiem. Genzo przestała grać, a małpy odwróciły głowy i zatrajkotały cicho. Akihime padła przed małpą na kolana jak przed damą dworu albo samym księciem koronnym, położyła łuk na ziemi i skłoniła się głęboko. Przywódczyni stada wyciągnęła rękę i delikatnie podrapała ją po głowie, a następnie przytknęła palce do nosa i je powąchała. Potem przystawiła dziecko do drugiej piersi i zaczęła iskać krótkie włosy Aki.

Dziewczyna spokojnie poddała się zabiegom samicy i poczuła łączącą ją z nią głęboką więź, jej akceptację, pewność wsparcia. W jej oczach nagle wezbrały łzy. Pod dotykiem delikatnych palców wygodnie ułożyła się na ziemi. Słyszała, jak konie gryzą trawę. Przez listowie przeświecało słońce, rysując strzępiaste wzory na jej zamkniętych powiekach. Małpy trajkotały między sobą. Yoshi się zaśmiał. Kon krzyknął coś w odpowiedzi, niemal melodyjnie.

Tak upłynął dzień, a o zmierzchu oboje poszli za nowymi towarzyszami do miejsca, gdzie w sadzawkach otoczonych kamieniami zbierała się gorąca woda. Tutaj mieszkały małpy. Yoshi bardzo chciał z nimi zostać, a Aki nie potrafiła mu odmówić.

Takaakira

Takaakira przez kilka miesięcy ukrywał dziewczynkę w jej dawnym domu w stolicy. Gdy wrócił z Minatogury, przeprowadził śledztwo i dowiedział się, że rezydencja rzeczywiście była kiedyś siedzibą rodziny Kiyoyori, tak jak mu powiedział Masachika. Mała musiała być córką jego brata.

Kiedy Takaakira to zrozumiał, był jednocześnie zaskoczony i zły na siebie. Szczycił się tym, że znał wszystkie sekrety miasta. Jak mógł nie dostrzec tego, co miał przed oczami? Kiyoyori był tylko prowincjonalnym wojownikiem, ale jego niezachwiane poparcie dla księcia koronnego, szlachetna śmierć, tajemniczy zgon syna oraz legendy, które zaczęły o nich powstawać, zapewniły jego nazwisku sławę i chwałę. Książę opat, coraz potężniejszy, odkąd jego siostrzeniec został cesarzem, nienawidził teraz Kiyoyoriego jeszcze bardziej niż za życia.

Takaakira powiedział Masachice, że dom jest pusty, ale kiedy przypomniał sobie wyraz jego twarzy, poczuł niepokój. Nie chciał dawać tamtemu żadnej władzy nad sobą. Ostatecznie Masachika był stryjem dziewczynki. Co by go powstrzymało przed wejściem do rezydencji i odkryciem jej obecności? Czy rozpoznałby ją? Była podobna do ojca? Dlaczego nagle zapytał o dom w mieście? Coś nasunęło mu podejrzenie, że bratanica przeżyła? Ryzyko, że zostanie zdradzony przez Masachikę albo kogoś innego, rosło z każdą chwilą. Musiał gdzieś ukryć Hinę albo ją zabić. Gdyby ją znaleziono, poddano by torturom i skazano na śmierć, a on... Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jaką karę wymyśliłby dla niego pan Aritomo.

Wiedział, że nie potrafi się zmusić, żeby położyć kres jej życiu. Z dnia na dzień zachwycała go coraz bardziej swoją inteligencją i urodą na progu kobiecości. Kochał ją jak córkę, ale marzył o trzymaniu jej w ramionach, kiedy już zostanie jego żoną. Wydawało mu się, że ona też go uwielbia. Starła się go zadowolić, szybko się uczyła. Kiedy go nie było, mówili słudzy, spędzała czas na nauce i niecierpliwie czekała na jego powrót. Pod koniec lata płynnie czytała. Takaakira przywiózł jej zwoje z własnej biblioteki w Minatogurze, dzieła literackie, historyczne, eseje i poezje. Dziewczynka szybko chwyciła istotę wierszy i sama zaczęła codziennie pisać dla niego poematy.

Takaakira wykształcił w niej gust do ubrań, tkanin i kolorów. Uczył ją odróżniać aromaty i perfumy, pokazywał jej kroki tańców, znalazł dla niej nauczycielki i sprowadził je do swojego domu.

Dziewczynka była dla niego pociechą w trudnym czasie. Na miasto spadło pasmo nieszczęść. W szóstym miesiącu wybuchły pożary i zniszczyły większość nowych budynków. Przez kilka tygodni szalała epidemia, zabijając tysiące ludzi. Dym ze stosów pogrzebowych zasnuł niebo i wielu głodowało, bo po ulewach trwających trzy tygodnie nastąpiła susza. Zbiory ryżu się nie udały, fasola gniła na łądych, owoce nie dojrzewały. Nowy cesarz odprawił modły o deszcz, a niebiosy, jakby z niego drwiąc, zesłały gwałtowny tajfun, który spustoszył cały kraj, zerwał mosty, wywołał powódź. Ulicami stolicy płynęła woda po pas, unosząc trupy utopionych.

Ludzie zaczęli mówić otwarcie, że niebo jest rozsierdzone i karze ich za zbrodnie władców. Te szeptki dotarły w końcu do uszu pana Aritomo, który szczycił się swoimi rządami i sprawiedliwością, naprawiał szkody wyrządzone przez ekscesy Kakizukich i sądził, że bogowie będą mu sprzyjać.

Kiedy woda opadła, a z ulic usunięto błoto i muł, Takaakira dostał rozkaz, żeby pojechać do księcia opata do Ryusonji i dowiedzieć się, co poszło źle.

W świątynnym ogrodzie leżały powalone drzewa i roztrzaskane kamienne latarnie. Jezioro było muliste i przepełnione, na jego środku kręciły się w wirze pnie, gałęzie i liście. Nadal padało, szum wody był wszechobecny, nie zwykły przyjemny szmer, tylko grzmiący groźny huk.

Młody mnich z twarzą pokrytą brzydkimi bliznami zaprowadził go do sali recepcyjnej. Takaakira zdziwił się, że ktoś tak oszpecony służy księciu opatowi. Zastanawiał się, czy sama obecność kogoś takiego może być zniewagą dla bogów. Uważał, że nigdy za dużo ostrożności.

Na dziedzińcu rozbrzmiewał żałobny śpiew. Takaakira spojrzał w stronę dźwięku i zobaczył starego ślepcę z lutnią, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na werandzie. Z powodu deszczu nie słyszał słów jego pieśni. Nagle ogarnęło go złe przeczucie. Włoski zjeżyły mu się na karku. Przyjechał do Ryusonji w nadziei, że odkryje przyczynę wszystkich ich kłopotów. Teraz zaczął podejrzewać, że ta przyczyna znajduje się w samej świątyni.

Po raz pierwszy spotkał się z księciem opatem twarzą w twarz, choć wcześniej widywał go z daleka na ceremoniach dziękczynnych z okazji zwycięstwa Miboshich i wstąpienia na tron nowego cesarza. Wtedy i teraz kapłan emanował imponującym autorytetem. Jeśli niepokoiły go ostatnie wydarzenia, nie dał tego po sobie poznać. Wydawało się, że całkowicie panuje nad sobą i otoczeniem, widzialnym i niewidzialnym.

Przez dach kapłała woda, zbierała się w kałuże na drewnianych podłogach, plamiła maty, zakłócała ich pełną napięcia rozmowę.

Po jednej stronie księcia opata klęczał młody mnich z poparzoną twarzą. Po drugiej siedział starszy mężczyzna, silny i poważny, który robił notatki małym pędzelkiem z włosia borsuka. Po wymianie uprzejmości Takaakira milczał przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak najlepiej przedstawić swoje troski, które, uświadomił sobie, są bardziej skomplikowane, niż początkowo sądził. Książę opat stał za sukcesem Miboshich, śmiercią księcia koronnego i wstąpieniem cesarza na tron. Rozumiało się samo przez się,

że pan Aritomo potrzebuje jego wsparcia w świecie duchowym, tak jak kapłan potrzebował go w fizycznym. Mimo pozorów spokoju u księcia opata Takaakira wyczuwał nierównowagę w samym sercu królestwa ducha. Mężczyzna jest najbardziej niebezpieczny, kiedy widzi, że władza zaczyna mu się wymykać z rąk, pomyślał.

– Yoshimori, syn nieżyjącego księcia, uciekł z pałacu z córką swojej niani – oznajmił w końcu ksiązę opat.

– Nadal żyje? – Po tej rewelacji Takaakira poczuł ściskanie głęboko w trzewiach.

– Żył jeszcze kilka miesięcy temu. W czwartym miesiącu znalazł ich człowiek, którego wysłałem, ale nie wrócił z głową dziecka, tak jak mu rozkazałem.

– Wiesz, panie, gdzie jest teraz Yoshimori?

– Przepuszczalnie gdzieś w Ciemnym Lesie, jeśli przeżył.

– Powinieneś być poinformować nas o tym wcześniej, panie – rzucił Takaakira surowym tonem. – Pan Aritomo zrównałby Ciemny Las z ziemią, żeby odnaleźć Yoshimoriego. Kogo tam wysłałeś? Mnicha? Wojownika?

– Młodego akolitę. Możliwe, że popełniłem błąd... Nie mogę zbyt wiele ujawnić, jako że są to sprawy ezoteryczne. Mogę tylko powiedzieć, że ten młodzieniec jest znany jako Shikanoko. To bratanek Kumayamy no Jiro no Sademasy. Czuje bliskość z naturą i dlatego sądzę, że trafimy na niego w Ciemnym Lesie.

Sademasa, który był wasalem Kiyoyoriego, przysięgł wierność Miboshim w czasie marszu na stolicę. Takaakira powstrzymał się od komentarza i oświadczył:

– Jestem wtajemniczony. Możesz, panie, rozmawiać ze mną o tych sprawach.

Ksiązę opat posłał mu szybkie, ostre spojrzenie, jakby ujrzał go w nowym świetle i musiał zrewidować swoją opinię.

– Dobrze. Sądziłem, że przeznaczeniem Shikanoko jest zostać wielkim mędrcem, bo los sprowadził go nie tylko do mnie, ale również do dwóch czy trzech innych osób o wyjątkowych zdolnościach i głębokiej wiedzy o innych światach: górskiej czarownicy, którą jednak mało znam, i starca, którego być może spotkałeś po drodze.

– Lutniście? – spytał zaskoczony Takaakira.

– Tak. Kiedyś równego mnie we wszystkich sprawach duchowych. Przez lata mieszkał w domu Kiyoyoriego, nikomu nieznany, póki go nie odkryłem. Wysłałem Gessho, żeby go do mnie przywiózł. – Wskazał na starszego mnicha, a ten na chwilę przestał pisać i się uklonił. – Mój człowiek znalazł go w towarzystwie Shikanoko. Prawdę mówiąc, ci dwaj wpadli w ręce Sademasy, co nie miałoby znaczenia, gdyby nie fakt, że Sademasa postanowił opuścić Kakizukich i sprzymierzyć się z Miboshimi. Nadal czeka na nagrodę ode mnie.

– Kiedy starzec tu przybył, był już taki jak teraz, praktycznie zgrzybiały – odezwał się Gessho.

– Zawsze był ślepy? – zapytał Takaakira.

– Żona Kiyoyoriego kazała wyłupić mu oczy – odparł mnich. – Ktoś umieścił je na bramie w Matsutani.

– Nadal widzą? – Takaakira starał się panować nad głosem, ale wstrząsnęły nim

okrucieństwo samego czynu i niedbały ton Gessho.

– Tak, wszystko widziały – powiedział cicho mnich. – Odmówiliśmy nad nimi modlitwy i mam nadzieję, że je ułagodziliśmy. Ale Matsutani zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi. Kto wie, czy oczy jeszcze tam są.

– Cóż, w tej chwili Sesshin i jego oczy nie są moją największą troską – stwierdził książę opat. – Jest nią Shikanoko, a w jeszcze większym stopniu Yoshimori. Jeśli chłopiec wpadnie w ręce Kakizukich, stanie się dla nich inspiracją, wspólnym celem.

On jest prawdziwym cesarzem, uświadomił sobie Takaakira. Nic dziwnego, że królestwo jest tak doświadczane przez nieszczęścia i klęski. Co my zrobiliśmy? – pomyślał z przerażeniem.

Teraz jednak nie było odwrotu, więc odsunął od siebie strach i powiedział:

– To bardzo niefortunny stan rzeczy. Waham się, czy zameldować o nim panu Aritomo, ale chyba nie będzie wyjścia. Trzeba jednak złagodzić cios. Macie jakieś propozycje?

– Wyślę kogoś do Ciemnego Lasu. Gessho już raz wytropił Shikanoko, więc może to zrobić znowu.

– Chętnie pojedę! – Głos Gessho zabrzmiał wyjątkowo donośnie, bo do tej pory wszyscy niemal szeptali.

– Mój panie opacie! – odezwał się poparzony młodzieniec. – Wyślijcie mnie z Gessho. Muszę odpłacić za oszpecenie i tygodnie bólu.

– To ja jestem winny. – Kapłan wziął go za rękę i przyciągnął do siebie. – Mnie zostaw zemstę i bądź pewny, że Shikanoko zapłaci po dziesięciokroć.

Takaakira przez dłuższą chwilę siedział w zamyśleniu. Rozpoczęcie szeroko zakrojonych poszukiwań dałoby wyraźny sygnał, że Yoshimori żyje, i rozbudziłoby na nowo nadzieje Kakizukich. Może lepiej pójść za radą księcia opata, przynajmniej na początek.

– Nie róbcie nic, dopóki nie porozmawiam z moim panem – rzekł i wyszedł pośpiesznie.

Kiedy maszerował przez dziedziniec, znowu usłyszał głos ślepego. Tym razem rozróżnił słowa pieśni.

Dziecko smoka poleciało za wysoko.

Było jeszcze takie młode, starało się,

Ale zawiodły je skrzydła i spadło na ziemię...

Takaakira doszedł do wniosku, że starca należy przesłuchać trochę bardziej zdecydowanie.

* * *

– Yoshimori uciekł? – Pan Aritomo, który niecierpliwie rozglądał się po pokoju w dawnym pałacu Kakizukich, teraz skierował płonącego wzrok na Takaakirę. – Kto go uratował? Spalę ich żywcem!

– Podobno dziewczyna nazywana Jesienną Księżniczką – odparł Takaakira.

– A, córka Hidetake. Jedyne dziecko, szesnaście lat. Jej matka była nianią Yoshimoriego.

Takaakira nie był zaskoczony, że jego pan wie takie rzeczy. Aritomo miał fenomenalną pamięć do szczegółów koligacji i skomplikowanych powiązań między szlacheckimi rodami.

– Był w to również zamieszany niejaki Shikanoko, młody akolita księcia opata i bratanek pana Kumayamy.

– Sademasy? On teraz jest naszym sojusznikiem. Shikanoko to dziwne imię. Dlaczego tak go nazwano?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Wiem tylko, że ma zostać czarownikiem.

– Działa tutaj jego magia? Ciekawe, czy to by wyjaśniało wszystkie te ostatnie nieszczęścia? – Aritomo myślał na głos, przenosząc wzrok z Takaakiry na ogród. Zbliżał się kolejny huragan, niebo było ciemne jak w nocy, ciepły wiatr zawodził nad wygiętym dachem i wzdychał pod okapami. Luźne okiennice łomotały, gdzieś wył pies. – Pora tajfunów powinna już się skończyć.

Aritomo był drobnej postury. Gdyby Takaakira stał, znacznie by nad nim górował, ale wolałby stawić czoło dziesięciu przeciwnikom naraz, tak jak w Shimaurze, niż przynieść złe wieści swojemu panu. Aritomo już wspomniał o ogniu, co bardzo źle wróżyło. Lubił patrzeć, jak ludzie płoną. Wymierzał surowe kary i był dumny ze swojej sprawiedliwości.

– Obraziliśmy niebiosa? – odważył się zasugerować Takaakira, ale Aritomo wykrzyknął:

– Wypełniamy wolę niebios! – Nieczęsto podnosił głos, ale kiedy to robił, efekt budził przerażenie. – Jeśli bogowie są niezadowoleni, to dlatego że nie wytępiłszy całego gniazda żmij, tylko pozwoliliśmy młodym uciec! Gdzie jest ten mały wąż?

– Jego Eminencja jest zdania, że Shikanoko uciekł do Ciemnego Lasu i zabrał ze sobą Yoshimoriego.

– Wytnę las i wykurzę go stamtąd ogniem!

Takaakira to samo powiedział księciu opatowi, ale prawda była taka, że nawet ogromna władza Aritomo miała swoje ograniczenia. Ciemny Las ciągnął się wzdłuż kręgosłupa kraju z jego niebotycznymi ośnieżonymi górami aż do dzikiego zachodniego wybrzeża. Przezorność nakazywała jednak o tym nie wspominać. Zamiast tego Takaakira rzekł ostrożnie:

– Jest pewien mnich, który chce go ścigać...

– Mnich? Jaki pożytek może być z mnicha? Lepiej wysłać stu wojowników.

– Ten jest wojownikiem i można go wysłać, nie przyciągając uwagi do osoby Yoshimoriego.

Aritomo cmoknął i poruszył zuchwą z boku na bok, jak to miał w zwyczaju, kiedy intensywnie myślał.

– Kto sądzi, że może w Ciemnym Lesie przetrwać zimę z siedmioletnim chłopcem? Hidetake ma posiadłość Nishimi nad jeziorem Kasumi. Jest dość odległa, ale łatwo do niej dotrzeć z zachodu. Z Rakuhary. Gdybym ja starał się przekazać młodego cesarza – nie

żeby on był cesarzem, niech to będzie dobrze zrozumiane – w ręce jego zwolenników Kakizukich, próbowałbym najpierw dotrzeć do starego domu mojego ojca.

– To błyskotliwa dedukcja – orzekł Takaakira.

– Usiłuję myśleć jak dziewczyna – powiedział Aritomo. – To nietrudne. Gdzie indziej mogłaby pójść? Przypuszczam, że do Rinrakuji... tak, tam kazałby jej iść ojciec, ale po odkryciu, że świątynia została spalona, skręciłaby na zachód. – Uśmiechnął się nieznacznie, z zaciśniętymi ustami. – Zawsze staram się patrzeć oczami innego człowieka. Gdy się zrozumie wroga, już się go pokonało. Książę opat to potężna siła. Nie chcę go obrazić, ale nie zamierzam również toczyć za niego bitew. Niech ten mnich idzie tropem czarownika. Ty możesz pojechać do Nishimi. Weź kilku ludzi, nie za wielu. Nie chcemy spłoszyć naszej księżniczki. Gwarantuję, że przed zimą ona się tam zjawi ze swoim młodym podopiecznym.

– Wysłała mnie pan ze stolicy? – Takaakira silił się na niechętny ton, by ukryć, że jednocześnie snuje plany związane z Hina.

– Swoje zadanie tutaj już chyba wypełniłeś, prawda? Zresztą ta misja jest ważniejsza.

– Wyruszę, jak tylko burza ucichnie – zapowiedział Takaakira.

Dotknął głową ziemi i zaczął tyłem wycofywać się z pokoju. Kiedy rozsunęły się drzwi, Aritomo rzucił:

– A przy okazji, ten człowiek, którego zwerbowałeś jako szpiega, brat Kioyoyoriego...

– Masachika – dodał niepotrzebnie Takaakira.

– Dopilnuj, żeby znowu nie zmienił stron. Czy on w ogóle robi coś użytecznego? Jeśli nie, pozbądź się go. Nikt nie będzie za nim tęsknił.

Jeśli on nie przyniesie niczego użytecznego z Rakuhary, może ja to zrobię, pomyślał Takaakira.

Kiedy wracał do domu, wicher się wzmógł, a deszcz zmienił w prawdziwą ulewę. Wół się zaparł i koła wozu ugrzęzły w błocie. W końcu Takaakira wysiadł i poszedł dalej na piechotę. Dotarł na miejsce cały przemoczony. Woda lała się strumieniami z okapów. Za tą kurtyną czekała na werandzie Hina.

– Martwiłam się o ciebie! – wykrzyknęła szczerze.

– Tak, nadciąga kolejny tajfun. Wróciłem w samą porę. Będziemy zamknięci w środku przez kilka dni. Potem wyjedziemy.

Zaprowadził ją do środka, a służby pobiegli zamykać okiennice i zapalać lampy. Takaakira przebrał się w suche rzeczy i z niesmakiem zauważył, że w pokoju mocno cuchnie pleśnią.

Tymczasem Hina uklękła na podłodze, żeby nalać mu wina. Takaakira pomyślał, że dziewczynka wygląda dojrzałej. Jej twarz się wypełniła, figura nabrała okrąglejszych kształtów. Już nie mógł się doczekać, kiedy będzie wystarczająco dojrzała. Niecierpliwość krążyła w jego żyłach, potęgowana przez bezustanny huk wiatru.

– Chodź i usiądź przy mnie. Boli mnie głowa.

Dziewczynka przysunęła się bliżej.

– Będę ją głaskać, aż przestanie boleć – powiedziała.

Leżał z głową na jej kolanach, podczas gdy ona drobnymi palcami masowała mu skronie i skórę pod włosami. Po jakimś czasie Hina zaczęła cicho nucić:

Dziecko smoka poleciało za wysoko.

Było jeszcze takie młode...

– Skąd znasz tę pieśń? – spytał z zamkniętymi oczami.

– Nie wiem. Lubię ją, jest smutna.

– Słyszałem dzisiaj, jak śpiewa ją stary ślepiec Sesshin. – Czyżby jej palce lekko zmieniły rytm? – Znałaś go?

Nigdy nie rozmawiał z nią o jej poprzednim życiu, a ona sama nic o nim nie mówiła, jemu ani nikomu innemu. Oboje zachowywali się, jakby spadła z księżyca i nie miała żadnej przeszłości ani ziemskich więzów.

– Nie pamiętam – powiedziała sennie Hina.

Naprawdę nie pamiętała? Czyżby szok i żal wymazały całe jej poprzednie życie? A może udawała? W takim razie była jeszcze bystrzejsza, niż sądził.

Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższą chwilę. Potem Hina spytała:

– Dokąd pojedziemy?

– Do pewnego miejsca nad jeziorem, dość daleko stąd. – Muszę zacząć planować. Jak ją tam przetransportuję? Nie mogę zawieźć jej otwarcie.

Przypomniał sobie twarz pana Aritomo, kiedy ten mówił o ogniu. Starał się jednak nie myśleć o ryzyku, jakie podejmował.

* * *

Kiedy burza się skończyła, Takaakira postanowił, że Hina będzie podróżować w palankinie ze swoją opiekunką. Bara nie należała do osób, jakie Takaakira zwykle zatrudniał, ale większość służących w stolicy, mężczyzn i kobiet, uciekła razem z panami Kakizuki, a wielu z tych, którzy zostali, zginęło w walkach, pożarach albo w czasie głodu. Irytujący był brak rąk do pracy: pokojówek, kucharzy, ogrodników i stajennych. Hina chyba lubiła Barę, a kiedy Takaakira raczył ją zauważyć, co nie zdarzało się często, stwierdzał, że dziewczyna jest inteligentna i miła.

Były jeszcze dwie starsze eleganckie kobiety, które uczyły Hinę różnych sztuk i umiejętności, ale Takaakira nie chciał, żeby jego grupa była zbyt liczna, wydał więc dyspozycje, by obie nauczycielki wyruszyły za nimi łodzią z Kasumiguchi, kiedy pogoda na to pozwoli.

Palankin już czekał na kamiennym stopniu. Konie stały gotowe przy bramie. Właśnie świtało, w całym mieście piał koguty, w ogrodach śpiewały ptaki. Po burzy powietrze zrobiło się rześkie, prawie chłodne, czuło się w nim pierwszą zapowiedź zimy. Takaakira zastał na werandzie Barę, ale nigdzie nie było śladu Hiny.

– Gdzie jest młoda dama? – zapytał.

– Po coś wróciła, ale nie chciała mi zdradzić, po co – odparła Bara. – Dała mi to do potrzymania. – Pokazała mu „Skarbnicę kudzu”.

Takaakira pokiwał głową.

– Przypuszczam, że bez niej by nie pojechała. Pójdę jej poszukać.

Kiedy wszedł do domu, zobaczył Hinę idącą w jego stronę. Dziewczynka była ubrana w strój podróżny i niosła tę samą szkatułkę, którą ścisnęła w rękach, kiedy pierwszy raz ją zobaczył w opuszczonej rezydencji. Od tamtej pory nie widział pudełka i całkiem wyrzucił je z głowy. Teraz uświadomił sobie, że Hina trzymała je w ukryciu przez parę miesięcy. Wydawało mu się, że wie o niej wszystko, że kontroluje każdy aspekt jej życia, ale ona jednak miała swój sekret.

– Nie musisz jej zabierać ze sobą. Tutaj będzie bezpieczna. Większość służących zostaje w domu.

Dziewczyna mocniej ścisnęła szkatułkę i oświadczyła:

– Muszę ją zabrać.

– Pokaż mi, co jest w środku – zażądał Takaakira, niecierpliwiąc się i chcąc już wyruszyć. – Ja zdecyduję.

– Nie.

– Jestem dla ciebie jak ojciec, a pewnego dnia będę twoim mężem. Oczekuję, że będziesz mi posłuszna. Pokaż, co jest w środku, co jest dla ciebie takie ważne.

Hina westchnęła w taki sam dorosły sposób jak wtedy, gdy pierwszy raz ją spotkał. Jego serce ścisnęło się z miłości. Chciał powiedzieć, że to nie ma znaczenia, że może wziąć ze sobą wszystko, co zechce, ale skoro już się uparł, nie mógł teraz ustąpić.

Dziewczynka otworzyła pudełko. Leżały w nim doskonale zachowane, wilgotne gałki oczne o ciemnych tęczęwkach, czarnych źrenicach i lśniących białkach. Patrzyły na niego bez mrugania, jakby wiedziały, kim on jest i kim będzie, a on nagle też to zobaczył. Ujrzał własne ciało pod zielonym strojem myśliwskim, długie kończyny, kanciaste rysy, ciemne włosy. Próbował odzyskać swój własny wzrok, żeby znowu widzieć Hinę, pokój i całą resztę.

Potem oczy zajrzały głębiej w jego umysł, pamięć i duszę, a Takaakira zobaczył torturowanych i zabijanych ludzi, intrygi i zdrady, które doprowadziły go do boku pana Aritomo, porzucone kobiety, żonę w dalekim Yukikuni, Śnieżnej Krainie.

– Zamknij wieczko – wyszeptał do Hiny.

Oczywiście natychmiast powinien zawieźć szkatułkę do Ryusonji, do księcia opata. Oczy musiały należeć do Sesshina. Wyłupione w Matsutani miały teraz w sobie wielką magiczną moc. Z drugiej strony musiałyby wyjaśnić, jak je znalazł, a wtedy zostałaby odkryta Hina. Jego jedynym pragnieniem w tym momencie było zabranie jej z miasta i zawiezenie tam, gdzie będzie bezpieczna.

– Nigdy nikomu ich nie pokazuj – ostrzegł i zaprowadził ją do palankinu.

Shikanoko

Mnich Gessho opuścił stolicę mniej więcej w tym samym czasie, na początku dziesiątego miesiąca. Podróżował sam, nie licząc jastrzębia, którego powierzył mu ksiązę opat. Nie potrzebował nikogo. Miał całkowite zaufanie do swoich fizycznych i psychicznych sił i żywił pewną pogardę dla Shikanoko, bo wiedział, że ten młodzieniec nigdy nie przeszedł takiego szkolenia ciała i umysłu, jakiemu byli poddawani starsi mnisi, tacy jak on sam, żeby stać się wtajemniczonymi.

Faworyt Aritomo, który odwiedził księcia opata, twierdził, że jest wtajemniczony. Gessho tak śmiał się w duchu, że popełnił rzadką pomyłkę w swoich notatkach. Teraz na to wspomnienie znowu się uśmiechnął. Szlachcice i wojownicy lubowali się w tajemnicach, ale pewne sprawy, które ich w życiu rozpraszały, w szczególności kobiety i dzieci, nie pozwalały im osiągnąć prawdziwej wiedzy. Jego nie pętały żadne ludzkie więzi i wiedział, że jego pana, którego podziwiał bardziej niż kogokolwiek na świecie, również. Mogłoby się wydawać, że ksiązę opat żywi silne uczucia wobec swoich akolitów i mnichów, ale w pogoni za władzą i oświeceniem poświęciłby ich bez wahania.

Jego rozkazy były jasne. Gessho miał zabić całą trójkę zbiegów i przywieźć głowę Yoshimoriego do stolicy. Dziecko Jelenia i Jesienną Księżniczkę mógł zostawić w lesie, żeby zgnili. Niech zwierzęta, które Shikanoko tak bardzo kocha, się nim pożywią.

Nie sądził, żeby było trudno ich wytropić. Miał miecz, nóż, łuk i strzały. Dostał też pięknego wierzchowca, a równie sprawnie jeździł konno, jak się modlił. Prawdę mówiąc, jazda wprowadzała go w stan odprężenia i zarazem czujności, który według niego sprzyjał medytacji. Dobrze znał Ciemny Las, mieszkał w nim przez dziesięć lat jako górski pustelnik. Ostatni ślad Shikanoko pochodził z drogi do Rinrakuji, gdzie jeden z jastrzębi zginął, ale zdążył jeszcze wysłać ostatnie uderzenie serca i pożegnanie do umysłu swojego pana. Potem ksiązę opat zobaczył jeszcze zjawę jelenia przed górską chatą.

Gessho był przekonany, że znajdzie chatę Akuzenjiego, który rządził w górach, kiedy on tam mieszkał. Postanowił jechać nadbrzeżną drogą w stronę Rinrakuji i w Shimaurze skręcić na północ. Jednakże szlak biegł tuż przy Matsutani, więc pod wpływem impulsu Gessho postanowił tam zajechać. Shikanoko mieszkał przez kilka miesięcy w posiadłości, która była twierdzą Kakizukich za czasów Kiyoyoriego. Mogli w niej zostać służący nadal lojalni wobec swojego zabitego pana i sympatyzujący z jego przegraną sprawą. Istniała szansa, że ci, których ścigał, znaleźli tam schronienie.

Przybył do rezydencji tuż przed zmierzchem. Słyszał, że Matsutani zostało na początku roku zniszczone przez trzęsienie ziemi. Ujrzał fragmenty nowego muru wzniesionego wokół jeziora, rozpoczęto również naprawy przy bramie, gdzie kiedyś znalazł oczy Sesshina. Teraz już ich tam nie było, domu nadal nie odbudowano, dawne stajnie zmieniły się w stos zwęglonego drewna, podczas gdy niewykorzystane deski leżały na ziemi, prawie niewidoczne w wybujałej jesiennej trawie.

Dwór wyglądał na opuszczony, ale Gessho w przeciwieństwie do innych potrafił wyczuć królestwo duchów. Powoli nabrał przekonania, że coś mieszka w zrujnowanym domu. Być może opanowały go istoty nadprzyrodzone. Nie chciał ryzykować spotkania, które opóźniłoby jego misję. Już postanowił jechać dalej, lekko rozczarowany, bo miał nadzieję, że znajdzie schronienie na noc, kiedy zobaczył człowieka z butelką wina, gałązkami groszku leśnego i garnkiem pełnym plastrów miodu.

Mężczyzna pozdrowił mnicha niezadarnym ukłonem i rzekł:

– Witaj! Widziałem, jak nadjeżdżasz, panie, i chciałem cię ostrzec przed wchodzeniem do środka. Dom jest nawiedzony przez duchy. Mnie pozwalają wchodzić z darami, ale wszystkich innych atakują. Są złośliwe. Kilka osób już zabiły.

Gessho zmarszczył brwi.

– Co to za duchy?

– Z tego, co mi mówiono, sędzę, że są strażnikami wezwanymi przez mistrza Sesshina, kiedy tu mieszkał. Od czasu jego nieszczęśliwego upadku stały się mściwe. Obawiam się, że tylko starzec potrafił nad nimi zapanować, ale czy on jeszcze kiedyś wróci?

– Jestem Gessho z Ryusonji – przedstawił się mnich. – Sesshin przebywa teraz w świątyni. Został lutnistą. Mój pan przyjął go w swojej wielkiej dobroci i kazał nauczyć muzyki. Ale nawet on nic by tutaj nie zdziałał. Stracił moc.

– Pani Tama jest zdesperowana – powiedział z nieprzyjemną poufałością mężczyzna. – Odzyskała posiadłość, która była jej domem przez całe życie, ale nie może odbudować dworu ani w nim zamieszkać. Jeśli go opuści, nie ma dokąd pójść. Mogłaby tylko zostać mniszka.

Co bez wątpienia by ci nie odpowiadało, pomyślał Gessho.

– Jestem tylko sługą – pośpiesznie dodał mężczyzna, jakby czytał mu w myślach. – Mam na imię Hisoku. Jestem do usług i doceniłbym twoją łaskawość, panie. – Umilkł na chwilę. – Cóż, muszę złożyć te dary, zanim duchy się zniecierpliwia. Ale proszę przyjść później do domu, w którym mieszkamy. Bylibyśmy bardzo wdzięczni za radę mądrego mnicha. Nim ruszysz w dalszą drogę, panie, musisz zatrzymać się na noc. Dokąd zmierzasz? Niewielu ludzi jeździ w tych czasach w stronę Ciemnego Lasu.

– Później ci powiem.

Gessho patrzył, jak Hisoku idzie w stronę werandy zniszczonego domu, ostrożnie stąpając między różnymi domowymi sprzętami najwyraźniej wyrzuconymi ze środka:miotłami, poduszkami, garnkami, chochlami, łyżkami. Starannie wykonane przedmioty, niegdyś cenne i użyteczne, od tygodni leżały zaniedbane na słońcu i wietrze i teraz wyglądały żałośnie, niemal odpychająco. Po plecach Gessho przebiegł dreszcz obrzydzenia.

Na początek trzeba by sprzątnąć cały ten bałagan, choć sam nie miał ochoty niczego dotykać.

Hisoku wszedł na werandę i położył dary tuż za otwartymi drzwiami. Uderzył w misę z brązu, a kiedy naczynie zabrzęczało czystym, przenikliwym tonem, uklonił się głęboko.

Gessho usłyszał niewyraźne głosy i znowu wstrząsnął nim dreszcz. Jego koń postawił uszy i próbował się wycofać. Kiedy mnich starał się go okiełznać, wrócił wyraźnie zaniepokojony Hisoku.

– Zapytały mnie, kim jesteś, panie, a kiedy im powiedziałem, kazały ci natychmiast wracać do Ryusonji.

– Rozprawię się z nimi – oświadczył Gessho. – Rano się ich pozbędę.

Nad ich głowami przemknął cień i na jednym ze słupów bramy usiadł jastrząb. Wydał głośny okrzyk, a w odpowiedzi z domu dobiegło wycie. W ogrodzie wylądowały i roztrzaskały się na ziemi małe biurko do pisania i kałamarz.

– Ach, proszę ich nie drażnić! – krzyknął Hisoku. – To tylko pogorszy sprawę.

– Zepsułeś je, pobłażając im – stwierdził Gessho, nawet nie próbując ukryć pogardy. – Duchy należy traktować twardo i pokazać im, kto jest panem.

– Przynajmniej pozwalają mi od czasu do czasu wchodzić do domu i do tej pory mnie nie zabiły. Wielu innych zginęło.

Gessho uznał, że sytuacja jest nie do zniesienia, i powiedział to pani Tamie, kiedy razem z Haru, w której domu mieszkała, podawała mu kolację. Jedzenie okazało się zaskakująco dobre: ryba z rzeki, pieczone słodkie ziemniaki, jajka przepiórcze i tofu.

– Twoja posiadłość jest bogata, pani. Nie możecie pozwolić, żeby te zbłąkane duchy ją zniszczyły.

– Musiały cię zesłać niebiosa, panie – powiedziała Tama. – Z pewnością mnich tak wykształcony i świątobliwy potrafi je egzorcyzmować. Obawiam się, że to moja wina, bo tak źle potraktowałam mistrza Sesshina, ale teraz mam ogromne wyrzuty sumienia i jestem gotowa mu zadośćuczynić, jak potrafię.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby je usunąć, ale nie mogę zostać długo. Mam własną misję.

I zapytał, czy w ciągu kilku ostatnich miesięcy widzieli Shikanoko albo o nim słyszeli.

– A kto to jest? – zdziwił się Hisoku.

– Był akolitą księcia opata – wyjaśnił Gessho – ale nie wrócił z podróży, w którą został wysłany w czwartym miesiącu. Obawiamy się, że zmarł. Jego Eminencja chce odzyskać ciało, bo darzył Shikanoko wielkim uczuciem.

– Nie widziałam go – powiedziała Tama. – Biedny młodzieniec, jego też źle potraktowałam.

Gessho zastanawiał się, na ile szczerze są jej wyrzuty sumienia. Dostrzegł w tej kobiecie głęboko zakorzenioną dwulicowość.

– Teraz spędzę trochę czasu na medytacji – oznajmił. – Jutro przed wyjazdem porozmawiam z duchami.

Wziął świeże kwiaty i ryżowy kleik ze śniadania. Kiedy zbliżył się do domu, usłyszał, jak duchy rozmawiają ze sobą.

- O, idzie, ten piękny mnich ze stolicy.
- Myśli, że zmusi nas do tego, co chce.
- Nie robimy tego, co chcą inni, prawda?
- Robimy tylko to, co my chcemy.

Gessho położył dary na werandzie i ukląkł bez słowa. Zamknawszy oczy, zebrał wszystkie swoje duchowe siły, wzywając imię Oświeconego.

- O, to potężny mnich!
- Jest potężny! Boisz się?
- Nie, ja jeszcze się nie boję. A ty?
- Jeszcze nie. Ale może wkrótce będę.

Oba duchy zarechotały.

- Rozkazuję wam opuścić to miejsce – rzekł Gessho grzmiącym głosem.
- Ha, jest wspaniały, prawda?
- Jest taki wspaniały, że chyba powinniśmy odejść.
- Ale nie odejdziemy.
- Ale musimy coś dla niego zrobić.

– Moglibyśmy mu powiedzieć, co się z nim stanie, kiedy wjedzie do Ciemnego Lasu.

– To, że straci głowę? Nie, to zbyt smutne. Powiedz mu coś miłego. Powiedz mu o oczach.

- O, tak, oczy są miłe. Gessho!
- Słucham – odezwał się mnich.

– Odejdziemy tylko wtedy, gdy nasz pan odzyska oczy. Wówczas wrócimy na słupy bramy. Ale nie martw się, oczy zginęły. Nikt ich nigdy nie znajdzie. Możemy zostać tu na zawsze.

- One nie zginęły – rzekł posępnie drugi duch. – Córka Kiyoyoriego je wzięła.
- Ona nie żyje, prawda? Czy córka Kiyoyoriego nie umarła?
- Może tak, a może nie.

Rozległ się trzask i okrzyk bólu.

– Więc jeśli oczy waszego pana zostaną znalezione, opuścicie dom i wrócicie do bramy? – spytał Gessho.

– Tak, będziemy musieli.

– Ale jeśli pojedziesz do Ciemnego Lasu, nie przeżyjesz, żeby to zobaczyć.

Oba duchy znowu zaniosły się głośnym śmiechem.

Gessho spróbował następnie pochlebstwa, dziękując im za ostrzeżenie i chwając za świetne rozeznanie, ale choć wydawało się, że je zadowolił, bo nie rzuciły niczym w jego głowę, nie zdołał przekonać ich do odejścia.

Wrócił do domu Hisoku gotowy jak najszybciej wyruszyć do Ciemnego Lasu.

Ostrzeżenia duchów nie odwiodyły go od tego zamiaru, wręcz przeciwnie. Skoro groziła mu utrata głowy, oznaczało to, że czeka tam na niego ktoś o wielkiej mocy i umiejętnościach. Wręcz rozkoszował się myślą o spotkaniu.

– Co się stało z córką pana Kiyoyoriego? – zapytał Haru, kiedy zastał ją samą w kuchni.

– Z panią Hiną? Sądzymy, że nie żyje. Moja pani opłakuje ją tak samo jak swojego syna i męża. Na pewno zauważysz, panie, w jakim złym jest nastroju.

– Czy Hina mogła przeżyć?

– Skąd mamy to wiedzieć, skoro tu nie wróciła?

– Usunięcie duchów okazało się trudniejsze, niż sądziłem. Trzeba będzie opuścić dom. Przypuszczam, że Shikanoko mógłby nad nimi zapanować.

– Ale sądzisz, panie, że Shikanoko nie żyje, prawda? – Haru wbiła wzrok w jego twarz, a on pożałował swoich słów. – Księżę opat musi być dobrym człowiekiem, skoro wysłał wielkiego mnicha na poszukiwanie kupki kości!

Gessho nie odpowiedział wprost, za to po chwili rzucił niedbałym tonem:

– Nie ma tu, zdaje się, innych mężczyzn oprócz Hisoku. Gdzie są pozostali? Twój mąż?

– Większość zginęła w Shimaurze. Ich głowy były wystawione na widok przez całe lato. Reszta przepadła w stolicy razem z panem Kiyoyorim.

– Twój mąż również?

Kobieta skinęła głową, ale odwróciła wzrok, jakby źle się czuła, kłamiąc. Potem zajęła się szykowaniem dla niego jedzenia na podróż.

Gessho obserwował ją przez cały czas i namówił do zjedzenia jednej z kulek ryżowych, zanim resztę schował do sakwy. Kiedy wyruszył, obejrzał się przez ramię i zobaczył, że kobieta rozmawia z chłopcem w wieku około dziesięciu lat, przypuszczalnie z synem. Przez cały ranek, podążając wzdłuż strumienia na północny wschód, był świadomy, że chłopiec jedzie za nim. Zastanawiał się, czy to dziecięca zabawa – pamiętał, że sam robił takie rzeczy jako dziecko – czy Haru wysłała go w innym celu. Nie ufał jej ani nie wierzył, że jej mąż nie żyje.

Ścieżka się rozwidlała. Gessho pojechał jeszcze kawałek lewą odnogą i skierował konia w krzaki. Wkrótce pojawił się chłopiec i bez wahania wybrał prawe odgałęzienie. Gessho odczekał jakiś czas, a potem zsiadł z wierzchowca, przywiązał go do drzewa i bezszelestnie ruszył za podrostkiem.

Ścieżka wyglądała na zarośniętą, ale Gessho zobaczył, że rzucono na nią wycięte krzaki, jednak pod ich gałęziami była mocno wydeptana. Nie chciał zapuszczać się zbyt daleko od konia, ale kiedy już miał zawrócić, podszycie się przerzedziło, a on znalazł się na szczycie stromego urwiska. W dole stała mała drewniana forteca. Na jej dachu powiewały czerwone chorągwie Kakizukich i proporce Kuromori z trzema czarnymi cedrami.

Nigdzie nie było śladu chłopca. Albo szedł szybciej, niż Gessho sądził, albo wybrał jakąś sekretną drogę, może tunel prowadzący do fortecy.

W powietrzu snuł się dym z ognisk, w wąwozie rozbrzmiewały ludzkie głosy. Poranne

słońce odbijało się od grotów włócznie. Widok twierdzy Kakizukich na ziemiach opanowanych przez Miboshich wzburzył mnicha. A więc tutaj się ukrywali ostatni ludzie Kiyoyoriego. Bez wątpienia był wśród nich mąż tej kłamliwej kobiety.

Gessho wszedł z powrotem w gęstwinę i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić. Był ciekaw, jaką wiadomość chłopak zaniósł ojcu i czy miała ona jakiś związek z jego osobą. Nie sądził, by mężczyźni porzucili bezpieczną fortecę i zaczęli ścigać samotnego mnicha. Z drugiej strony należało rozprawić się z ich nieposłuszeństwem. Następną posiadłością na wschód była Kumayama, gdzie wcześniej znalazł Shikanoko. Postanowił, że uda się tam za kilka dni, jeśli wcześniejsze poszukiwania nie zakończą się sukcesem. Uzupełni zapasy i da do zrozumienia wujowi chłopca Sademasie, który zmienił barwy, że w jego interesie będzie rozprawić się z ludźmi z Kuromori.

Wrócił szybko do miejsca, gdzie zostawił konia, i podążył dalej lewą odnogą ścieżki. Jechał przez resztę dnia. Po zapadnięciu nocy zsiadł z wierzchowca, pozwolił mu się napić ze strumienia i paść się, a sam przespał kilka godzin. W jego snach kilka razy pojawiał się chłopiec. Gessho zobaczył w oddali postać swojej matki i pobiegł w jej stronę, ale upadł i obudził się gwałtownie. Wstał krótko po północy, jak to miał w zwyczaju od lat, obmył twarz w zimnej wodzie potoku i zaczął medytować, słuchając odgłosów nocnego lasu: gdzieś zawył wilk, sowa wróciła na gałąź z cichym szumem skrzydeł. W mroku zobaczył błysk jej żółtych ślepi skierowanych na konia drzemiącego pod drzewem. Jastrząb spał na grzbiecie wierzchowca. Na pogodnym niebie świeciły gwiazdy, od czasu do czasu przesuwiała się po nim smuga mgły. Kiedy jeszcze było ciemno, odezwały się pierwsze ptaki: gołębie, rudziki, a trochę później drozdy. Nie był to żywiłowy wiosenny chór, tylko jesienna, bardziej melancholijna pieśń o tym, że gniazdowanie się skończyło i nadciągają zimowe chłody.

Gessho rozpoznał szlak, którym jechał wcześniej w pościgu za Shikanoko, ale w czasie medytacji uświadomił sobie jakąś obecność, działanie czarnej magii, tak że zamiast skierować się na południe do Kumayamy, podążył najpierw na północ, a kiedy góry urosły do nieprzekraczalnej bariery – na wschód. Koń zrobił się nerwowy, kładł uszy płasko na głowie i często się płoszył, raz na widok szkieletu jelenia leżącego u stóp ogromnego urwiska. Gessho zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy zachowały się rogi, które miały liczne zastosowania w medycynie i rytuałach, ale stwierdził, że brakuje nawet czaszki. Zostały jednak łopatki, więc je zabrał. Potem zauważył inne stosy kości, oczyszczonych z mięsa, pobielających albo z zielonym nalotem starości. Koń zadrzał i ominął je płochliwie. Jastrząb sfrunął w dół i przyjrzał się szczątkom. Jego złote oczy błyszczały. Wydawało się, że kości są głównie zwierzęce, ale część była ludzkich, choć nie został nawet ślad po ubraniach, zbrojach ani broni. Lisy i kruki mogły oskubać ciała do czysta, ale całą resztę musieli zabrać ludzie, chyba że zjawili się tutaj tengu, którzy, jak powiadano, mieszkali w Ciemnym Lesie.

Czwartego dnia Gessho poczuł smród, z początku słaby zapaszek, docierający do niego od czasu do czasu, a w miarę zbliżania się do źródła magii odór tak silny, że tłumiał wszystko inne. Mnich popędził konia, a ten posłuchał go niechętnie. Obaj, człowiek

i zwierzę, byli wyczuleni na każdy dźwięk.

Gessho usłyszał wilki, zanim je zobaczył: warknięcia, ciche stąpanie. Jastrząb krzyknął. Koń wierzgnął z przerażenia i stanął dęba, omal nie zrzucając jeźdźca. Mnich zeskoczył z jego grzbietu i jednocześnie dobył miecza. Wierzchowiec kopnął do tyłu obiema nogami i trafił jednego wilka w bok. Zwierzę przeleciało kilka kroków i padło na ziemię, skamłając. Gessho przebił mieczem pierś drugiego napastnika, który zaatakował go z obnażonymi zębami. Koń pogalopował przed siebie na oślep, przedzierając się przez zarośla. Trzeci wilk wycofał się, warcząc, a następnie pobiegł w przeciwnym kierunku.

Gessho zdjął łuk z pleców i nasadził na niego strzałę. Las był tak gęsty, że nie dało się właściwie wycelować. Pierwsza strzała trafiła w pień drzewa, druga przemknęła tuż nad grzbietem wilka. Zwierzę przekoziółkowało po ziemi, ale szybko się pozbierało i popędziło dalej. Gessho biegł za nim, nie zwalniając kroku. Gałęzie smagały go i szarpały ubranie. Tymczasem pierwszy wilk doszedł do siebie po końskim kopnięciu i rzucił się za nim w pogoń. Wyraźnie kulał, ale biegł szybko, z wściekłością spotęgowaną przez ból.

Smród stał się tak nieznośny, że Gessho zgiał się wpool i zwymiotował. Potem przeprawił się przez strumień, skacząc z kamienia na kamień. Wilk dogonił go na drugim brzegu i próbował zaatakować, ale osłabł od ran, więc Gessho łatwo sobie z nim poradził, wbijając mu nóż w gardło, a martwe ciało wpadło do rzeczki.

Przez jakiś czas stał na brzegu, łapiąc oddech i zastanawiając się, czy nie śni, bo choć przejechał całe Osiem Wysp i brał udział w niezliczonych tajemnych rytuałach, nigdy w życiu nie widział czegoś takiego jak to, co teraz miał przed oczami.

Skały niczym zwierzęta przemienione w kamień; rzeźbione posągi z lakierowanymi głowami; zwierzęta tak wypreparowane, że nadal jak żywe; istoty, które nigdy nie zostały zrodzone przez matkę, ale na swój sposób żyły, ruszały się, chodziły i obserwowały go oczami z niebieskich klejnotów; ptaki, które trzepotały skrzydłami zrobionymi z posklejanych piór i obracały ku niemu nagie czaszki.

Gessho przełożył nóż do lewej ręki, a prawą wyciągnął miecz. Uniósł go groźnym gestem, na wypadek gdyby jakieś zwierzę próbowało podejść za blisko. Na ich widok czuł dreszcz odrazy. Kiedy sobie uświadomił, na jakie skażenie i profanację się naraża, zdjął go strach, że już nigdy nie będzie czysty. Nawet gdy mieszkał w Ciemnym Lesie, nie przypuszczał, że może w nim istnieć takie miejsce. Wszystko to trzeba będzie odkazić, pomyślał. Wyszorować do czysta i pozbyć się tej całej złej, starej magii.

Mamrocząc inkantacje, ukryte imiona Oświeconego, sekretne słowa znane tylko wtajemniczonym, wyszedł na polanę i ruszył w stronę chaty o ścianach ze skór zwierzęcych i dachu z kości. Nie dało się zbliżyć do niej w ciszy. Stado zwierząt i ptaków wybuchło wrzaskami, piskami i wyciem. Alarm rozbrzmiewał na całej polanie, odbijał się echem od okolicznych gór. Mnich oczywiście obrócił ten harmider na swoją korzyść, krzycząc co sił:

– Jestem Gessho z Ryusonji. W imieniu księcia opata wzywam osobę, która jest źródłem tych obrzydliwości, żeby się ujawniła.

Na stoku za chatą dostrzegł ruch. Ktoś śpieszył w dół, sadząc długimi susami po

gniakach i gładach. Gessho schował miecz i sięgnął po łuk, szepcząc słowa zaklęcia. Kiedy wypuścił strzałę, poczuł przeciwną magię i zrozumiał, że nie trafi w cel.

Gdy strzelił ponownie, z góry zanurkował ptak podobny do kruka z głową orła, chwycił pocisk w locie i odfrunął, trzymając go w szponach. Jastrząb rzucił się za nim w pościg, krzycząc z wściekłości.

Gessho opuścił łuk i ponownie sięgnął po miecz. Nagle wyczuł, że ktoś za nim stoi, i odwrócił się, tnąc na oślep, ale nikogo tam nie było. Przynajmniej nikogo widzialnego, bo mnichowi się zdawało, że dostrzegł cień ruchu.

Stężenie magii w powietrzu nagle wzrosło, Gessho obrócił się błyskawicznie i zobaczył, że sto kroków od niego, na skraju polany ktoś stoi.

– Rozkazuję ci w imieniu cesarza i jego wuja, księcia opata z Ryusonji, żebyś wydał mi wszystkich zbiegów, których ukrywasz! – wykrzyknął mnich.

– Nie ma tutaj żadnych zbiegów – odparł czarownik. – Tylko ci, którzy należą do lasu. Ty jesteś obcym, intruzem. Albo może sam jesteś zbiegiem uciekającym przed niesprawiedliwym, okrutnym panem. W takim razie odłóż broń i witaj.

– Takiej perwersji jak tutaj nie widziałem nigdy w życiu! – wyrzeszczał Gessho.

– W takim razie nie znasz serca swojego pana – odparował mężczyzna dźwięcznym głosem.

Rozwścieczony mnich ruszył na niego z uniesionym mieczem. Raptem powietrze zamigotało i wyrósł przed nim młody chłopiec, przystojny, o spokojnej twarzy i eterycznym uśmiechu. Gessho się zatrzymał. Rozum podpowiadał mu, że to musi być jakieś półdiabło albo iluzja stworzona przez czarownika, ale jednocześnie przemknęło mu przez głowę pytanie, czy to może być sam Yoshimori. Jego serce ścisnęło się na widok tego niewinnego piękna.

Pochylił się zdumiony, żeby lepiej mu się przyjrzeć, a chłopiec rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Zza małych białych zębów wyleciał prosto w oczy Gessho strumień małych strzałek.

Mnich od razu zrozumiał, że są zatrute, bo poczuł silne pieczenie jak po ukąszeniach os. Kiedy zazgrzytał zębami z bólu, jakaś niewidzialna istota skoczyła mu na plecy i owinęła jego szyję skórzanym paskiem. Bez powodzenia próbował się od niego uwolnić. Wygiął plecy w łuk, napiął potężne mięśnie ramion i stwierdził, że rzemień zrobił się trochę luźniejszy. Wcisnął pod niego palce i zerwał go z szyi. I wtedy niewidzialny napastnik zmaterializował się, migocząc. To był kolejny chłopiec w tym samym wieku co pierwszy i uderzająco do niego podobny, choć twarz miał wykrzywioną w zwierzęcym grymasie.

Mnichowi mącił się wzrok, ale zostało mu jeszcze dużo sił. Nadal ścisnął w ręce miecz, chroniony potężnymi modlitwami i odporny na magię czarownika. Zamachnął się nim na chłopca, ale zobaczył, że jego przeciwnik robi unik, skacząc w powietrze jak małpa. Potem zorientował się, że ze wszystkich stron otaczają go takie same chochliki. Atakowały go jak rój szerszeni, pojawiając się i znikając. Dźgały go w nogi albo śmigły tuż przy głowie, zostawiając rany na jego szyi i twarzy.

Gessho krwawił z kilkunastu cięć, ale nadal był daleki od poddania się, kiedy usłyszał

tętent kopyt i plusk wody. Odwrócił się i zobaczył, że jego wierzchowiec przekracza strumień z Shikanoko na grzbiecie. Chłopcy odsunęli się, dając mu chwilę wytchnienia.

– Shikanoko! – zawołał Gessho. – Księżę opat rozkazuje ci wracać do Ryusonji. Gdzie jest Yoshimori?

– A więc to twój koń, Gessho – powiedział Shika, zeskakując na ziemię. – Dlaczego wybrałaś się w tę przeklętą podróż? Teraz będę musiał cię zabić.

– Wracaj ze mną, a nie będziesz musiał mnie zabijać – rzekł śmiało mnich.

– Mógłbyś przekazać swojemu panu, że wrócę do Ryusonji tylko w jednym celu: żeby go zniszczyć. Niestety już go więcej nie zobaczysz, chyba że w piekle.

– Leć do Ryusonji! – zawołał Gessho do jastrzębia krążącego w górze. – Powiedz mojemu panu, co się ze mną stało.

Shikanoko pstryknął palcami i ptak sfrunął mu na ramię.

Wtedy mnich zrozumiał, że wszystko jest stracone i że jego życie się skończyło. Usłyszał głosy duchów z Matsutani:

„Moglibyśmy mu powiedzieć, co się z nim stanie, kiedy wjedzie do Ciemnego Lasu”.

„To, że straci głowę? Nie, to zbyt smutne”.

I rzeczywiście smutne było to, że zostanie pokonany przez czary i magię, on, który nigdy nie przegrał żadnego sporu ani walki. Jego oczy napełniły się łzami. Przypomniał mu się sen o matce.

– Cofnijcie się – polecił Shika chłopcom. – Będziemy teraz walczyć na miecze.

– Gdzie jest Yoshimori? – spytał Gessho, kiedy zaczęli się okrażać.

Shikanoko nie odpowiedział.

– Masz go tutaj? Mów!

Zwierzęta ucichły. Kątem oka Gessho dostrzegł, że zbliża się do nich czarownik. Wyczuł otaczającą go aurę magicznej mocy. Mógł walczyć z szermierzem, mógł zmagać się z czarnoksiężnikiem, ale nie z jednym i drugim naraz, a magii bał się bardziej niż miecza. Zwierzęta, fałszywe i prawdziwe, odwróciły głowy w stronę swojego pana, czekając na jego rozkazy. Wystarczyłoby jedno słowo, żeby go zaatakowały. Myśl, że śmierć przyniosą mu ich sztuczne pyski, drewniane zęby i metalowe pazury, napełniła go odrazą i rozpaczą.

Shikanoko wyraźnie się niecierpliwił, zadawał coraz gwałtowniejsze ciosy i pchnięcia, a Gessho je parował i dzięki większej sile zmuszał młodzieńca do cofania się. Z każdym okrażeniem przysuwał się bliżej do obserwującego ich czarownika. Kiedy ocenił, że odległość jest właściwa, skoczył do tyłu, jakby robił unik przed mieczem Shikanoko, obrócił się w powietrzu z nożem w lewej ręce, dźgnął czarownika w gardło i wylądował na ziemi.

Przez chwilę żałował, że nie wziął starca jako zakładnika i nie zmusił Shikanoko do poddania się, ale nie sądził, żeby on i jego drużyna chochlików ustąpili pod wpływem ludzkiego współczucia. Gessho wyciągnął nóż z rany, dziwiąc się, że krew czarownika jest czerwona i ciepła jak u każdego innego człowieka. Potem odwrócił się do Shiki.

Od strony zwierząt dobiegło wycie pełne zgrozy, kiedy ich pan i twórca runął na ziemię. Shikanoko też krzyknął z furją.

– To nasza walka! Teraz zapłacisz!

Jego miecz Jinan przeciął Gessho od ramienia do pasa. W drodze powrotnej odciął mu głowę. Wytrzeszczone oczy mnicha zamrugały po raz ostatni. Ciało zachwiało się i runęło jak zwalony cedr.

Shika przekroczył je, nie zważając na kałużę krwi, ukląkł przy Shisoku i wziął go za rękę.

– Uczyniłeś mnie tym, kim jestem. – Łzy ciekły mu po twarzy. – Uratowałeś przed śmiercią i rozpaczą.

Starzec nie był w stanie odpowiedzieć. Wyglądało na to, że już się nie poruszy ani nie odezwie, nigdy więcej nie stworzy żadnych dziwnych istot ani nie będzie praktykował potężnej, chaotycznej magii. Wokół niego zebrało się pięciu chłopców.

– On prosi, żebyś nie zmarnował takiej ładnej czaszki – odezwał się Kiku.

– I żebyś zaopiekował się zwierzętami – dodał Mu.

Potem wszyscy zapłakali gorzko nad swoim mentorem i jednym z pięciu ojców, który, sam o tym nie wiedząc, nauczył ich ludzkiego żalu.

Zgromadzili drewno i zbudowali stos pogrzebowy. Potem patrzyli, jak ciało starego czarownika obraca się w popiół. Zwierzęta wyły żałośnie, nawet owady wydawały dziwne smutne szepty, łączące się ze wszystkimi melancholijnymi odgłosami jesieni.

Shisoku spłonął jak trawa, ale kiedy wtoczyli na stos martwego Gessho, jego ciało zaczęło dymić i skwierczeć jak pieczony dzik. Śwąd mieszał się z aromatem wonnych gałęzi cedrowych. Shika zamierzał spalić również głowę, ale Kiku odebrał mu ją i zakopał pod drewnianym słupem.

Potem chłopcy złapali w sieć magicznego jastrzębia i go zabili. Kuro usunął dziób, skórę, pióra i pazury, a po ugotowaniu kości tak starannie, że odeszło całe mięso, pogrzebał je głęboko, żeby nie odkopały ich zwierzęta. Chłopcy zjadali dużo ptaków, ale instynkt podpowiedział im, że ten jest trujący. Pozostałe szczątki Kuro rozłożył na dachu do wyschnięcia i nakrył siecią.

Shika był smutny i jednocześnie czuł ulgę, że jastrząb nie żyje. Fruwający posłaniec mógł być użytecznym szpiegiem albo w każdej chwili wrócić do księcia opata. On sam się przekonał, że te ptaki są kapryśne i niegodne zaufania. Świadczyły o tym blizny na jego twarzy. Przez wiele tygodni opłakiwał śmierć Shisoku, czyniąc sobie wyrzuty, że go nie uratował i że to przez niego Gessho znalazł drogę do chaty. Pojawienie się mnicha przywołało wspomnienia Ryusonji, księcia opata i jego tajemnych rytuałów. Czując dreszcz na skórze, zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie wolny. W nocy wyjmował naprawioną maskę, oczyszczał ją modlitwami i kadzidłem, aż w końcu odważył się ją włożyć. Głęboko w lesie ryczały jelenie, z ich nawoływań Shikanoko poznał ruchy jesiennego tańca mówiącego o rezygnacji i śmierci.

Chłopcy rośli i uczyli się z nadzwyczajną łatwością. Kiku potrafił balsamować i lakierować, łączyć tajne składniki, żeby stworzyć kadzidło przywołujące duchy. Mu umiał wytapiać stal i naprawiać uszkodzone narzędzia. Kuro znał wszystkie trucizny w lesie i hodował pięć gatunków jadowitych stworzeń, które próbował ożywić, kiedy umierały. Ima był dobry w garbowaniu skór, znał się również na leśnych owadach i roślinach, choć bardziej interesowały go ich uzdrawiające właściwości, oraz na remediach, których skład zapisał Shisoku we własnym osobliwym kodzie. Głównie on i Ku opiekowali się zwierzętami, karmili je i naprawiali. Rano i wieczorem wszyscy chłopcy powtarzali modlitwy Shikanoko i pieśni chroniące las.

Dużo czasu spędzali na zabawie z koniem, dojrzałym i łagodnym stworzeniem, które pozwalało im skakać na swoim grzbiecie, zmuszać je do galopów wokół polany, do skoków przez skały i posągi. Nazwali go Kuri, bo jego sierść miała taki sam lśniący odcień jak kasztany, które zbierali w lesie.

Kiku jako najstarszy zwykle był przywódcą we wszystkich działaniach, ale miał w sobie rys okrucieństwa, który sprawiał, że młodszy chłopcy od niego stronili. Mu, tego lepszego z dwóch najmłodszych, cechowało większe poczucie humoru; Kiku nigdy nie śmiał się z rozbawienia ani czystej radości, tylko drwiąco. Między dwoma starszymi trwała rywalizacja, która popychała ich do bójek i ciągłego testowania siebie nawzajem. Shika musiał im zabronić używania prawdziwej broni. Zamiast tego ich narzędziami walki stały się osobliwe talenty, z którymi się urodzili: drugie ja i niewidzialność. Ćwiczyli je bez końca. Byli jak szczeniaki wilków albo lisów. W zabawie doskonalili wszelkie umiejętności potrzebne w dorosłym życiu. Wyglądało na to, że w ich rozwoju jeden miesiąc oznacza tyle co cały rok u zwykłych dzieci. Shika niemal codziennie przypominał sobie słowa Sesshina: „będą demonami”. Czasami nachodziła go refleksja, że powinien był ich zabić tuż po narodzinach, bo teraz sobie tego nie wyobrażał. Za bardzo się do nich przywiązał. Ich dziwne umiejętności intrygowały go i zachwycaly. Kochał chłopców tak bardzo, jak człowiek kocha swoich synów, szkolił ich na przyszłych wojowników, ponieważ przez cały czas planował, że odzyska Kumayamę.

Jakiś miesiąc po śmierci czarownika i mnicha, kiedy zbliżała się zima i nadciągały śniegowe chmury, Shika obdzierał ze skóry królika przy ognisku, obserwowany wygłodniałym wzrokiem przez Gena, który stał się prawdziwym wilkiem do tego stopnia, że jadł mięso. Shikanoko właśnie zaczął patroszyć zdobycz, kiedy Kiku, który również mu się przyglądał, drżąc jak pies na zapach krwi i świeżego mięsa, powiedział:

– Ktoś nadchodzi.

Shika nie słyszał nic oprócz trzaskania ognia i posapywania zwierząt, ale ufał słuchowi Kiku, z dnia na dzień coraz bardziej wyostrzonemu.

Nadział królika na patyk i umieścił go nad ogniskiem.

– Człowiek? Jeden czy kilku?

– Jeden człowiek na koniu.

Shikanoko wytarł ręce z krwi i poleciał cicho:

– Idźcie na swoje pozycje. – Zawsze byli przygotowani na wizyty nieproszonych gości. –

Nie ruszajcie się, póki nie dam wam znaku.

Kuro przytrzymał pysk Kuriego, żeby nie zarżał. Ima i Ku przywołali psy i wilki, a następnie ukryli się z nimi za chatą. Kiku i Mu wzięli łuki, które dla nich zrobił Shika, i przyczaili się za skałami po obu stronach brodu.

Shika stanął przed chatą z mieczem w ręce.

Przez strumień przejechał mężczyzna na czarnym koniu, tak chudym, że ledwie powłóczył nogami. Jego kości biodrowe sterczały, boki były wklęsłe, oczy zapadnięte. Shikę ogarnęła litość, kiedy rozpoznał jednego ze słynnych karych ogierów z Kuromori, brata wierzchowca Kiyoyoriego. Dzięki temu tropowi zidentyfikował jeźdźca: Kongyo, mąż niani Haru.

Dawny sługa Kiyoyoriego wyglądał na równie zagłodzonego jak koń. Zsunął się z jego grzbietu i znużonym krokiem ruszył przed siebie, trzymając dłoń na mieczu. Jego wzrok śmigał po polanie, zatrzymał się na czaszkach, dachu z kości, stosach piór, suszących się skórkach. Skrzywił się z odrazą, a kiedy dotarł do niego zapach pieczonego królika, na jego twarzy odmalowały się inne emocje. Ogier opuścił łeb i zaczął skubać wyschniętą zimową trawę. W jego brzuchu głucho burczało.

Gdy dwaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem, Shika zadał sobie pytanie, czy gość go poznaje. Minał ponad rok, odkąd obaj służyli pani Kiyoyoriemu w Matsutani. Kongyo został wysłany do Miyako, zanim pani Tama kazała wyłupić Sesshinowi oczy i wypędziła go razem z Shiką do Ciemnego Lasu, ale wcześniej widywali się codziennie. Wtedy Kongyo był starszym sługą, a Shikanoko wydziedziczonym synem nieżyjącego wojownika, naznaczonym znajomością z szefem bandytów Akuzenjim. Teraz spotkali się na równych warunkach, zwłaszcza że Kongyo przymierał głodem, a Shika miał jedzenie.

– Nadal nazywasz się Shikanoko? – odezwał się Kongyo.

Shika krótko skinął głową.

– Jestem Kuromori no Kongyo...

– Wiem, kim jesteś. Jak znalazłeś to miejsce?

– Mój syn powiedział, że wrócił Gessho i cię szuka. Wysłałem go, żeby śledził mnicha. Chłopak oznaczył drogę. Rozpoznał ciebie i widział, jak Gessho ginie. Może go pamiętasz. Jest w tym samym wieku co pani Hina i często bawił się z nią i jej bratem. Nazywamy go Chika.

– Pamiętam go – powiedział Shika, zastanawiając się, jak to się stało, że żaden z chłopców go nie zauważył. Musieli być zbyt zaaferowani walką z Gessho, a potem wstrząśnięci śmiercią Shisoku. I czy Chika w swoim czasie nie szczycił się tym, że potrafi niezauważony przemykać się po całym Matsutani?

– Mówi, że pokonałeś Gessho częściowo dzięki magii. – Kongyo starannie dobierał słowa, jakby się bał go obrazić. – Że posłużyłeś się dziećmi duchami, które potrafią zniknąć.

– Może szok, że był świadkiem śmierci, spowodował omamy – podsunął Shika.

– Ale masz tutaj dzieci? Mielśmy nadzieję, że jedno z nich może być Yoshimorim. Bo po

co książę opat miałby wysyłać za tobą Gessho? – W oczach Kongyo pojawił się błysk szalonej nadziei. – Jeśli Yoshimori żyje, mój pan nie umarł na próżno.

Shikanoko wahał się przez chwilę, ale potem doszedł do wniosku, że nie musi się obawiać tego zagłodzonego mężczyzny, który kiedyś był najbardziej lojalnym wojownikiem Kiyoyoriego.

– Yoshimori żyje, ale nie ma go tutaj – powiedział. – Był ze mną, jednak rozdzieliliśmy się, kiedy zostałem ranny. Potem trafiło pod moją opiekę kilkoro innych dzieci, tych, które widział twój syn, więc nie mogłem ich zostawić, żeby go szukać. Teraz jest prawie zima i wkrótce zacznie padać śnieg. Co mogę zrobić przed wiosną?

Na jego znak pojawili się chłopcy, jeden po drugim, i otoczyli go kręgiem. Gdy Kongyo im się przyjrzał, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Wyglądają na przystosowanych do życia w lasach jak małe wilki – stwierdził w końcu. – Ale czy dziecko królewskiej krwi, wychowane w pałacu, przeżyje zimę w Ciemnym Lesie?

– Nie jest sam – uspokoił go Shika, myśląc ze smutkiem o Akihime i koniach. – Nie mogę wyjaśnić ci teraz wszystkiego, ale sądzę, że jest bezpieczny. Aż przyjdzie czas, kiedy będzie można osadzić go na tronie.

– Wszyscy się modlimy, żeby niebiosa tak zrzędziły – rzekł uroczystym tonem Kongyo. – Ale muszę jeszcze powiedzieć coś, co może zachęci cię do działania. W nocy, kiedy mój syn wrócił i opowiedział mi, że widział, jak zabijasz Gessho, miałem sen o tobie. Ujrzałem cię jako giganta. Twoja głowa spoczywała na górach północy, a stopy na południowych wyspach. Obudziłem się przekonany, że niebiosa mają wobec ciebie jakiś plan. Bo dlaczego tyle razy uniknąłeś śmierci? Sądzono, że zginąłeś, kiedy spadłeś z urwiska. Akuzenji mógł cię zabić, ale tego nie zrobił. Mój pan Kiyoyori oszczędził cię jako jedyne go spośród bandytów. Twój stryj cię uwięził, ale potem oddał Gessho. Książę opat nie skazał cię na śmierć, tylko wziął na swojego ucznia. Uciekłeś ze służby, a teraz znajduję cię żywego tutaj, w tym miejscu pełnym śmierci.

– Może miałem szczęście – podsumował Shika. – Dużo o mnie wiesz.

– Po tym śnie poskładałem to, co o tobie słyszałem. A moja żona twierdzi, że poza wszystkim innym masz dobre serce, bo troskliwie opiekowałeś się Sesshinem, kiedy został oślepiiony. Ale to nie szczęście ani dobroć, choć są ważne, pokonają księcia opata, tylko to, czego nauczyłeś się od niego, od mistrza Sesshina i od czarownika, który stworzył te dziwne istoty.

– Teraz mi pochlebiasz – stwierdził Shika. – Co dokładnie proponujesz?

– Jesteśmy zamknięci w twierdzy Kuromori. Głodujemy, jak prawdopodobnie widzisz. Nie jesteśmy oblężeni. Istnieje sekretne przejście, którym można się wymykać, ale drogi wokół są strzeżone, a my sądzimy, że Aritomo planuje atak na fortecę. Masachika, brat Kiyoyoriego, już raz tego próbował, ale mój syn nas ostrzegł.

– Wygląda na użytecznego chłopaka.

– Jest nieustraszony i całkiem bystry – zapewnił z dumą Kongyo. – Wszyscy ludzie Masachiki zostali zabici, ale on sam ocalał. Zgodził się przejść na naszą stronę, więc go

puściliśmy, bo to jednak brat Kiyoyoriego i Kakizuki z urodzenia. Żaden z nas nie chciał mieć jego krwi na rękach. Sądzymy, że pojechał do Kakizukich do Rakuhary, żeby opowiedzieć im o naszym losie, ale od tamtej pory nie mieliśmy od niego wieści. Uważamy jednak, że wiosną Aritomo zaatakuje Rakuharę. Gdybyś do tego czasu zajął swoją posiadłość Kumayamę, mógłbyś nam pomóc i razem zaszlibyśmy Miboshich od tyłu.

– Ale jak zajmę Kumayamę, nie mając ludzi?

– Jeśli Sademasa zginie, jego wojownicy zaakceptują cię ze względu na twojego ojca.

Matsutani stoi puste, bo opanowały je duchy opiekuńcze, ale ty sobie z nimi poradzisz. Wbijesz klin między Miyako i Minatogurę, odetniesz ich linie dostaw.

– Pokładasz we mnie dużą wiarę! Jak mam zabić Sademase?

– Oczywiście z pomocą swoich chochlików i ich magii! – Kongyo posłał mu chytre spojrzenie. – Myślisz, że królik już się upiekł? Możemy przemyśleć sprawę przy jedzeniu.

Aki

Akihime martwiła się, jak poradzi sobie w lesie, kiedy dopadnie ją comiesięczna słabość, co powie Yoshiemu, jeśli będzie musiała trzymać się od niego z daleka – z pewnością cesarze nie mieli do czynienia z takimi nieczystymi rzeczami – ale krwawienie nie przyszło. Patrzyła, jak małpy się parzą, rodzą młode, karmią je, a dzieci bawią się ich długimi różowymi sutkami. Jej piersi były od jakiegoś czasu nabrzmiące i obolałe. Stara samica traktowała ją jak jedną ze swoich wielu córek, czesała jej splątane, niesforne włosy, dawała jej nasiona i owoce zebrane w rozgrzanym lesie.

Kiedy padało, małpy siedziały w gorącym źródle. Pewnego wilgotnego dnia Aki zdjęła ubranie i do nich dołączyła. Sama widziała, że straciła na wadze, jej ciało nie było już tak rozkosznie pulchne jak w pałacu, łopatki sterczały, ale za to brzuch lekko się zaokrąglił.

Yoshi zrezygnował z ubrania, kiedy zaczęły się deszcze – bo przez cały czas było mokre – i cały zbrązowiał jak orzech buka. Ręce i nogi miał pokryte skaleczeniami, zadrapaniami i starymi bliznami.

Nigdy nie mówił o Kai, a Aki zastanawiała się, czy o niej zapomniał. Przyłączył się do grupy młodych samców, wspinał się z nimi na drzewa i bawił przez cały dzień. Zaczął rozumieć ich trajkotanie, gesty i miny, w nocy spali razem. Zaraz po ucieczce z pałacu Akihime spodziewała się, że Yoshimori nie będzie umiał nawet chodzić, ale teraz wszędzie biegał.

Starala się z nim jak najwięcej rozmawiać, żeby nie zapomniał ludzkiego języka. Śpiewała mu i opowiadała bajki. Lutnia ożywała pod jej palcami, budząc zachwyt małp. Yoshi nadał im imiona. Przywódczynię nazywał Ame, najsilniejszego samca Hai, a dwóch najbliższych przyjaciół: Shiro i Kemuri.

Namówił ich, żeby razem z nim jeździli na koniach. Ku zaskoczeniu Aki oba wierzchowce się na to godziły. Yoshi nigdy nie używał siodła. Wydawało się, że znalazł sposób na porozumiewanie się z nimi równie łatwo jak z małpami, bo nawet kapryśna Risu robiła wszystko, o co ją poprosił.

Deszcze się skończyły i nastały letnie upały. Pewnego dnia małpy wydawały się niezwykle ożywione. Zbite w ciasną gromadkę tuliły się do siebie i węszyły w powietrzu, zerkając na północny zachód i trajkocząc z niepokojem. Od czasu do czasu jeden z młodych samców, Shiro albo Kemuri, oddalał się od stada i pohukiwał groźnie, choć Aki nie widziała ani nie słyszała niczego dziwnego.

– Co się z nimi dzieje? – zapytała Yoshiego, który próbował węszyć.

– Nadchodzi ktoś, kogo się boją.

Dopiero teraz Aki usłyszała żałosne zawodzenie, takie jak wtedy, kiedy któraś z małych umierała. Ten odgłos wprowadził grupę w jeszcze większe poruszenie. Młoda samica zaczęła coś wrzeszczeć, z daleka odpowiedział jej głośniejszy krzyk.

– To jeden z nich – powiedział Yoshi. – Ten, który się zgubił dawno temu. Chyba jest związany. Nie może podejść bliżej. Woła o pomoc.

– Nigdzie nie idź – zdenerwowała się Aki. – To może być pułapka.

– Ale on potrzebuje pomocy.

– Ktoś może go wykorzystywać jako przynętę – ostrzegła.

– Co to jest przynęta?

Aki nie zdążyła odpowiedzieć, bo cała grupa prowadzona przez Ame i Haia wyruszyła w stronę okrzyków, skacząc po drzewach. Nad nimi leciał Kon, Risu i Nyorin też podążyły za stadem, Aki szła między nimi. Z początku mały były ostrożne i płochliwe. Nie potrafiły się oprzeć nawoływaniom, ale wyraźnie się bały. Chciały zachować ciszę, jednak im bliżej celu się znajdowały, tym bardziej strach kazał im trajkotać i piszczeć. Związany towarzysz wrzeszczał jeszcze głośniejsze, teraz z rozdzierającą serce nutą nadziei.

Kiedy dotarli do skraju polany, Aki zobaczyła podrośniętego samca z zieloną obrozą na szyi, przywiązanego do pala wbitego w ziemię. Ame wydała ostrzegawcze dźwięki, Hai przebiegł wzdłuż oddziału, klapsami przywołując młodych samców do porządku, ale Shiro i Kemuri wyrwali się do przodu razem z Yoshim następującym im na pięty. Aki krzyknęła, kiedy cała trójka wpadła w niewidoczną mocną sieć. Schwyte mały zapiszczały na tę samą nutę co ich uwięziony pobratymiec. Yoshi wrzasnął z wściekłości.

Mały zaczęły wyc z przerażenia, skakać w powietrze i bębnić pięściami w ziemię. Aki już miała pobiec na ratunek Yoshiemu, lecz Ame chwyciła ją za rękę i powstrzymała. Poklepała się po swoim brzuchu, a następnie po brzuchu dziewczyny. Przez chwilę wpatrywała się w nią jasnymi, mądrymi oczami. Kiedy Akihime odwróciła wzrok, zobaczyła, że na polanę wchodzi trzech mężczyzn w dziwnych czerwonych strojach. Choć dwaj byli dorośli, mieli w sobie coś dziecięcego, może włosy. W trzecim Aki rozpoznała chłopca, który w Majimie występował z małpami.

Chłopiec podszedł do przywiązanego zwierzęcia i dał mu w nagrodę jakiś przysmak. Samiec wsadził go sobie do pyska i zachichotał, jakby był z siebie bardzo zadowolony. Po jego wcześniejszej udreće nie było ani śladu. Kiedy mężczyzna uwolnił małpę, wskoczyła mu na ramię i zaczęła iskać jego włosy.

Dwaj mężczyźni podeszli do sieci i wykrzyknęli zaskoczeni:

– Dobry połów! Dwa młode samce i chłopiec!

Aki znowu chciała pobiec do Yoshiego, ale uświadomiła sobie, że jest naga i nieuzbrojona. Łuk i nóż zostawiła razem z lutnią w jaskini. Mężczyźni mieli noże i pałki. Przypomniała sobie zbirów idących za nimi drogą do Rinrakuji. Wtedy znikąd pojawił się Shikanoko i ich zabił, ale gdyby nie przybył jej na ratunek, tamci by ją zgwałcili i pewnie zamordowali albo wzięli do niewoli. Bała się, że ci tutaj zrobiliby to samo. Wtedy nikt by

się nie dowiedział, kim jest Yoshi, i wkrótce cały świat by o nim zapomniał.

I wtedy poraziła ją jeszcze jedna myśl: że nosi w łonie dziecko.

Spojrzała na konie, oba czujne, z postawionymi uszami.

Będę obserwować Risu, postanowiła. Duch Kiyoyoriego powie mi, co robić.

Klacz nie ruszyła się z miejsca, Nyorin również. Yoshi nie patrzył w ich stronę i nie powiedział ani słowa, nawet kiedy mężczyźni zaczęli go wypytywać. Oni też byli za bardzo zaskoczeni swoją zdobyczą, żeby zwracać uwagę na gęstwinę otaczającą polanę.

– Pewnie wychowały go mały – stwierdził chłopiec. – Może nie nauczył się mówić.

Aki pamiętała go z targu nad jeziorem. Wydawał się wtedy odważny, dobry dla swoich małych partnerów i skory do śmiechu z siebie samego. Może Yoshi będzie z nim bezpieczniejszy niż z nią. Gdyby zniknął wśród ludzi zamieszkujących brzeg rzeki, księżę opat nigdy by go tam nie szukał. Kazałby rozglądać się za młodą szlachcianką z chłopcem i oczywiście jego mnisi szybko by ją rozpoznali. Ale żaden z nich nie widział Yoshiego po ceremonii jego pierwszych postrzyżyn, kiedy miał osiemnaście miesięcy. Nie dałoby się odróżnić go od innych sierot i urwisów starających się przeżyć. A ona zawsze wiedziałaby, gdzie go znaleźć. U małego tresera małą.

Ale kiedy patrzyła, jak Yoshiego i jego dwóch małych przyjaciół wiążą sznurami i zabierają, myślała, że serce jej pęknie. Risu schyliła łeb i trąciła ją w ramię. Aki uznała to za potwierdzenie, że duch Kiyoyoriego pochwała jej decyzję. Oparła się o bok klaczy.

– Pośpiesz się i przyjdź na świat – wyszeptała. – Potrzebuję cię. Ty i moje dziecko będziecie dorastać jak bracia.

Usłyszała dobiegające z wysoka ciche ptasie wołanie. Spojrzawszy w górę, zobaczyła czarno-złotego Kona na tle błękitnego letniego nieba. Jastrząb zamachał skrzydłami, jakby się żegnał, i pofrunął za cesarzem i jego małpami.

* * *

Lutnia straciła złocenia i intarsje z macicy perłowej i pogrążyła się w ponurym milczeniu. Odmawiała wydawania jakichkolwiek dźwięków, nieważne, ile razy Aki brała ją do ręki, polerowała, przymilała się, a nawet do niej modliła. Chciała móc na niej grać w drodze, żeby mieć wiarygodny cel podróży.

Wiedziała, że musi opuścić Ciemny Las. Nie zdołałaby przetrwać w nim zimy, nawet przy gorących źródłach. Nie z dzieckiem, które, jak obliczyła, miało przyjść na świat w pierwszym miesiącu. Nie chciała urodzić go w lesie, sama. Potrzebowała innych kobiet, żeby jej pomogły. Jedyne miejsce, które przychodziło jej do głowy, to stary wiejski dom w Nishimi. Choć od lat tam nie jeździła, była pewna, że zaopiekują się nią kobiety, które znały ją jako dziecko.

Zaczęła przygotowania do odjazdu. Przyniosła z jaskini siodło i uprzęż, oczyściła je z pleśni, wyprała ubranie w gorącym źródle, spróbowała się uczesać. Włosy urosły jej tak, że mogła zebrać je w kucyki jak wiejska dziewczyna. Związała ich końce źdźbłami trzciny, które rosły w cieniu wokół sadzawek.

W dniu, kiedy planowała wyjechać, zdziwiło ją zachowanie małąp. Nie pobiegły jak zwykle o świcie do lasu, tylko zostały blisko jaskiń i nerwowo trajkotały. Konie też wydawały się niespokojne, ich sierść była ciemna od potu.

Koło południa w powietrzu dał się wyczuć metaliczny zapach, niebo pociemniało. Wierzchołki drzew targane przez gorący wiatr zaczęły się o siebie obijać. Potem spadł deszcz, grube krople siekły ziemię i skały. Powierzchnia sadzawek się wzburzyła. Wkrótce ulewa tak się wzmogła, że las przesłoniła wodna kurtyna.

Cały świat był wodą. Każdy mały rów wypełnił się i przelał. W czasie gwałtownych podmuchów wiatru deszcz padał niemal poziomo. Nagle rozległ się potężny huk i zatrzęsa się ziemia, kiedy ogromny cedr został wyrwany z korzeniami i powalony.

Małpy zbiły się w gromadkę wokół Ame i Aki i piszczały przy każdym głośniejszym dźwięku. Risu położyła uszy po sobie i nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Nyorin stał bez ruchu i patrzył na zasłonę deszczu.

Kiedy tajfun minął, stado odważyło się wyjść na zewnątrz. Ziemia parowała pod dywanem z liści i gałęzi. Małpy czujnie badały przewrócone drzewa, szukając w korzeniach larw i owadów. Burza przyniosła zniszczenie i jednocześnie zapewniła ucztę. Wszystko zostało wymyte do czysta, powietrze pachniało słodko. Kolejno zaczynały śpiewać leśne ptaki.

Młode małpy wyszły na rozpoznanie, choć nadal były przygaszone i nerwowe po schwytaniu Shiro i Kemuriego. Aki wyprowadziła konie, żeby poszukały świeżej karmy. Przed sobą słyszała jazgot małąp, kiedy podążała szlakiem z gałązek i łupin, które zwierzęta rzucały z drzew. Wierzchowce pasły się w wysokiej, bujnej trawie. Aki też była głodna. Próbowwała ssać jakieś korzonki, przeżuła parę niedojrzałych orzeszków buka, ale potem jeszcze bardziej rozboleł ją żołądek.

Szła czymś w rodzaju ścieżki wydeptanej przez lisy albo jelenie, prowadzącej do strumienia. W błocie odcisnęły się ślady łap i podków. Małpy zaczęły trajkotać jeszcze głośniej, a w pewnym momencie rozległ się krzyk bólu. Risu zarżała w odpowiedzi i popędziła przed siebie. Przebiegła obok Aki, omal nie powalając jej na ziemię.

Na drugim brzegu stał młody jelen z nowymi rogami, lśniącymi i twardymi. Aki wycelowała w niego łuk. Zwierzę uniosło łeb i zaczęło węszyć, a potem odwróciło się i susami pobiegło w las. Aki uświadomiła sobie, że drży ze strachu. Przez chwilę myślała, że jelen zmieni się w Shikanoko. Czy to był znak, może symbol dziecka, które razem stworzyli? Nagle nabrała pewności, że tak. Noszę jego syna, pomyślała z mieszaniną smutku i radości. A potem przypomniała sobie swój sen z tamtej nocy, kiedy uciekła z pałacu. W nim też widziała takiego samego jelenia.

Brzeg strumienia pokrywały wszelkiego rodzaju śmieci przyniesione przez wezbraną wodę. Teraz stado je przeszukiwało. W jednym miejscu na skale Aki dostrzegła czerwoną plamę krwi. Jedna z małąp krzyczała i ssała rękę. Pozostałe skakały wokół czegoś, co lśniło na kamieniach, i wydawały ostrzegawcze dźwięki, jakby trafiły na węża.

Risu zarżała przeciągle i po raz pierwszy Aki zobaczyła, że jej brzuch faluje. To nienarodzone źrebię wierciło się w niej i kopało. Podeszła do klaczy i próbowała ją

uspokoić. Małpy się rozpiezchły i wdrapały na drzewa. Za sobą dziewczyna usłyszała harmider towarzyszący ich powrotowi do domu.

Przed nią na skale, częściowo zagrzebany w błocie, leżał miecz bez pochwy. Jego rękojeść była owinięta skórą węża. Na ostrzu lśniło kilka kropel krwi. Aki rozejrzała się niespokojnie. Skąd mógł się tu wziąć? Jakiś wojownik go wyrzucił? Ukrywał się gdzieś albo leżał umierający w strumieniu? Chciała pobiec jak małpy i zostawić go tutaj, ale Risu najwyraźniej nie zamierzała się ruszyć.

Kiedy klacz ponaglająco trąciła ją łbem, Aki pochyliła się i ostrożnie chwyciła rękojeść. Broń budziła w niej lekki niepokój, ale jednocześnie dodawała otuchy. Pasowała do jej ręki, jakby została specjalnie dla niej stworzona. Aki już od dawna nie trzymała w dłoni miecza. Przypomniało się jej szkolenie w Rinrakuji i ojciec, który woził ją tam w sekrecie, by nikt się nie dowiedział, że jego córka zwana Jesienną Księżniczką potrafi walczyć jak mężczyzna.

Teraz, kiedy Aki trzymała w ręce miecz, Risu poszła za nią uszczęśliwiona, niemal nadeptując jej na pięty.

To musi być broń pana Kiyoyoriego, pomyślała Aki. Jego duch go rozpoznaje. Kiedy tylko klacz go zobaczyła, źrebię w niej się ożywiło. Drżała mimo słonecznego ciepła. Miecz wyglądał na ponownie odlany, ale przez kogo? Co jeleni robił przy strumieniu? Czy Shikanoko był gdzieś w pobliżu? Żywy czy martwy? A ona drżała z tęsknoty czy ze strachu?

Wracając szybko do jaskini, po drodze zatrzymała się w zagajniku, żeby uciąć kawałek bambusa i zrobić z niego coś w rodzaju pochwy. Obmyła miecz z błota i krwi, wsunęła go do prowizorycznego futerału, a następnie przywiązała sobie do pasa sznurkiem uplecionym z kudzu i pasków kory.

Przywódczyni stada obserwowała ją uważnie, ale trzymała się od niej z daleka, podobnie jak reszta małp. Miecz je przerażał. Aki podarła halkę na szerokie pasy i jednym okutała głowę, zasłaniając całą twarz z wyjątkiem oczu. Pozostałymi obwiązała łydki, żeby nie ocierały się o siodło. Potem przytroczyła lutnię do grzbietu Risu, osiodłała Nyorina i dosiadła go, korzystając z pniaka.

Skinęła głową Ame i powiedziała:

– Dziękuję za wszystko.

Stara samica siedziała z twarzą bez wyrazu i dzieckiem u piersi, kiedy Aki opuszczała Ciemny Las, żeby wrócić do świata mieczy, koni i ludzi.

Yoshi

Yoshiemu kazano iść z rękami związanymi z przodu. Linę trzymał najstarszy mężczyzna, który również niósł na ramieniu Shiro jak tobołek. Drugi taszczył Kemuriego, a najmłodszy członek grupy szedł za nimi, prowadząc przynętę za sznurek przywiązany do obroży. Małpka brykała uszczęśliwiona, robiła fikołki, wskakiwała swojemu panu na plecy i zeskakiwała na ziemię, przez cały czas trajkocząc.

Shiro i Kemuri skrzeczeli z wściekłości i strachu, próbowali gryźć i drapać, ale mężczyźni się na nich nie gniewali, tylko śmiali rozbawieni, z wyćwiczoną łagodnością nie pozwalając, żeby małpy zrobiły krzywdę im albo sobie.

Chłopiec wydawał odgłosy, jakimi starszy samiec mógłby karcić rozbrykane młode, ale głównie je uspokajał. Yoshi zaczął mu ufać.

Podążali tą samą leśną ścieżką, którą Yoshimori razem z Aki dotarli do starej chaty i miejsca przy strumieniu, gdzie Shikanoko chciał mu później uciąć głowę. Malec zadrzał na to wspomnienie. Shika przepadł bez śladu. Może nadal żył. Albo jednak umarł stratowany przez konie, a wilki rozwłóczyły jego kości. Yoshi nie miał pewności, czy jest smutny z tego powodu, czy nie. Młody wojownik uratował jego i Akihime przed zbirami i on wtedy go lubił, ale potem Shikanoko był gotowy go zabić z nagłą bezwzględnością, tak że sympatia przerodziła się w nieufność. Chłopiec wiedział, że jego ojciec nie żyje i dlatego właśnie on jest teraz cesarzem, choć nikomu nie mógł o tym mówić. Jego matka też nie żyła, podobnie jak rodzice Akihime i pewnie wszyscy, których znał, z wyjątkiem Aki i Kai. Było mu przykro z ich powodu. Nie chciał, żeby jeszcze ktoś umarł. Nigdy.

W tej samej jaskini, z której galopem wybiegła Risu razem z Nyorinem, myśliwi zostawili juczne konie, dwa duże kosze i jeden mniejszy z owocami: loquatami i morelami. Mały treser przyniósł w bambusowej butelce wodę ze strumienia, odmówił nad nią modlitwę i dał ją Yoshiemu. Potem nakarmił go owocami, odcinając małe kawałki ostrym nożem i wkładając mu je do ust. Mężczyźni zrobili to samo z Shiro i Kemurim, trzymając ich na kolanach.

Małpy nie były aż tak wystraszone, żeby nie jeść. Prawdę mówiąc, jedzenie je uspokoiło, tak że potem bez protestów pozwoliły, żeby mężczyźni umieścili je w koszach na końskim grzbiecie. Yoshi został posadzony między nimi i trzymał się grzywy związanymi rękami.

W kojcach musiało być dość ciemno, bo Shiro i Kemuri ucichli, jakby zasnęli. Treser

szedł obok konia jucznego z oswojoną małpką na ramieniu i podawał Yoshiemu nazwy wszystkich rzeczy, które widzieli: skała, strumień, drzewo, niebo. Mówił wolno i wyraźnie, jakby go uczył. Po jakimś czasie Yoshimori powtórzył słowo „koń”, a chłopiec wykrzyknął z radością:

– On umie mówić! On umie mówić!

Yoshi nadal powtarzał za nim różne nazwy i uczenie się na nowo ludzkiej mowy, nie skomplikowanego ugrzecznionego języka dworu, ale prostej gwary ludzi mieszkających nad rzeką, traktował jak dobrą zabawę. Zaczął się śmiać przy każdym słowie, chłopiec też, a potem przyłączyli się do nich obaj mężczyźni, podsuwając mu wyrazy, które, jak sądził, były brzydkie: „dupa”, „kutas”, „jaja”. Wypowiadanie ich sprawiało, że czuł się jak inna osoba, silniejsza i starsza.

– Sarumaru – przedstawił się chłopiec, wskazując na własny nos. – Mam na imię Sarumaru.

– Kinmaru – powiedział starszy mężczyzna, a młodszy dorzucił: – Monmaru.

– Yoshi. – Nie mógł pokazać na siebie, bo miał związane ręce, ale poruszył głową w górę i w dół.

– Będziemy cię nazywać Yoshimaru. – Chłopiec się roześmiał. – Wszyscy mamy dziecięce imiona. Nie ścinamy włosów, nigdy nie dorastamy. Jesteśmy dziećmi drogi.

Yoshi przypomniał sobie, że jak zobaczył Sarumaru w Majimie, chciał nim być. W lesie przez cały czas ćwiczył akrobacje z dzikimi małpami i dwoma końmi i udawał, że jest treserem. Teraz go spotkał i miał z nim zamieszkać. Był dostatecznie młody, by wierzyć w magiczną siłę swoich myśli. Aż się zaśmiał z radości.

– Dziećmi Boga – dodał Monmaru i palcem wskazującym narysował coś w powietrzu. Pozostali zamruczeli, jakby odmawiali modlitwę.

Podróżowali przez cały dzień, a o najgorętszej porze przez jakiś czas odpoczywali w cieniu. Yoshiemu rozwiązano ręce, a potem nikt nie pomyślał, by znowu je związać. Na drodze było niewielu ludzi, ale w oddali widzieli rolników pracujących na polach. Większość fasoli i ryżu była już zebrana. Stada kruków wydziobywały ostatnie ziarna i owady. Na brzegach brodziły czaple, szukając żab. Od czasu do czasu Yoshi widział w górze złoto-czarne pióra, ale niezbyt się cieszył, że jastrzęb za nim leci. Kon wiedział, kim on jest naprawdę. Choć większość ludzi nie rozumiała mowy jastrzębia, najgroźniejszym wrogiem Yoshimoriego był książę opat, a on pewnie umiał z nim rozmawiać.

Po południu dotarli do skrzyżowania, na którym duch zatrzymał Risu i Nyorina, a Shikanoko wezwał go potem znad brzegów Rzeki Śmierci i przeniósł do źrebięcia. Yoshi pamiętał maskę, która zmieniała Shikę w nadprzyrodzoną istotę. Znowu zadrżał.

– Stąd zwykle jechaliśmy do Rinrakuji – powiedział Sarumaru. – Mnisi zawsze nas przyjmowali i oglądali nasze występy, a potem dawali schronienie i jedzenie. Byli dobrymi ludźmi i naprawdę pobożnymi. Ale świątynia została spalona przez Miboshich wczesnym latem i jeszcze jej nie odbudowano.

– A kiedy zostanie odbudowana, książę opat umieści tam swoich mnichów

i podporządkuje ją Ryusonji – dodał Kinmaru ponurym tonem. – On nie akceptuje nas ani naszych małych braci.

Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, żeby szukać mnie wśród nich, pomyślał Yoshi.

W nocy obozowali pod gwiazdami. Yoshimori był do tego przyzwyczajony. Często spał na drzewie razem z Shiro i Kemurim, uwielbiał być nocą na dworze, słuchać owadów i nocnych ptaków, rozmawiać z królikami w świetle księżyca, wpatrywać się w gwiazdy i zastanawiać, dlaczego niektóre świecą jaśniej od innych, gdzie się chowają za dnia i co leży za kopułą nieba.

Mon rozpalił ognisko z drewna liściastego, żeby wonny dym odstraszał moskity. Okazało się to tylko częściowo skuteczne, bo owady nadal bzyczały wokół ich głów. Jednak żaden z tych trzech nie próbował ich zabijać. Albo je odpędzali, albo spokojnie patrzyli, jak siadają im na skórze i ssą krew.

– Tak nas karmi Ukryty – powiedział Kinmaru, a Mon znowu narysował znak w powietrzu.

– Złożyliśmy przysięgę, że nie będziemy zabijać – wyjaśnił mu później szeptem Sarumaru. – Wszystkie istoty pragną żyć, tak jak my, a Ukryty ma plan wobec każdego życia. Kim my jesteśmy, żeby się wtrącać? On decyduje o naszej śmierci i zapisuje ją w księdze. Jeśli psujemy harmonię i piękno jego wielkiego projektu, wypuszczamy zło na świat. Ludzie walczą i mordują się bez końca. Kiedy wielcy panowie nie walczą między sobą, polują dla rozrywki, jednego dnia zabijają tysiące ptaków i zwierząt, a potem stroją się w ich pióra i futra, ozdabiają nimi narzędzia śmierci, tak że później czapla zabija czapkę, bażant bażanta. Nawet mnisi i kapłani, którzy twierdzą, że słuchają Oświeconego, używają czaszek małp i wilczych serc do swoich rytuałów. Ale oprócz tego świata, w którym żyjemy, istnieje inne królestwo, gdzie nie ma żadnego zabijania, a ziemia nie jest przesiąknięta krwią. Powołujemy je do istnienia, kiedy wyrzekamy się odbierania życia.

Yoshi słuchał bez słowa, ale w głębi serca wiedział, że w takim królestwie chciałby żyć.

– Wszystko rozumiesz, prawda? – zapytał Sarumaru.

Shiro i Kemuri popiskiwali w koszach. Małpka, którą treser nazywał Tomo, siedziała obok nich i od czasu do czasu wsuwała kawałek owocu pod wieko, trajkocząc uspokajająco. Yoshi zastanawiał się, czy tamci dwaj kiedykolwiek zaufają Tomo po tym, jak bezwstydnie ich oszukał. Widział w lesie, jak małpy przechytrzają się nawzajem, albo dla zabawy, albo żeby ukraść jedzenie, ale nie spodziewał się, że jedna z nich potrafi coś takiego robić na rozkaz człowieka.

W odpowiedzi na pytanie Sarumaru skinął głową i uśmiechnął się do niego ostrożnie.

– Więc nie mieszkałeś z małpami przez całe życie? Wychowałeś się wśród ludzi. Skąd pochodzisz?

– Nie pamiętam – odparł Yoshi.

– Ja wychowałem się w wiosce Iida. – Wydawało się, że Sarumaru w ogóle nie jest zmęczony i zamierza gawędzić przez całą noc. – Moja rodzina sprzedawała mnie akrobatom, kiedy byłem dzieckiem. Niewiele pamiętam z tamtych czasów. Miałem dużo braci,

niektórych starszych, innych młodszych. Wszyscy o wszystko mnie obwiniali i spuszcza-
li mi lanie. Próbowałem uciekać, ale zawsze ktoś mnie znajdował, ojciec albo starsi bracia,
a wtedy dostawałem dwa lania, jedno na miejscu, drugie w domu. Mimo to płakałem,
kiedy wyjeżdżałem. Wcale nie zmądrzałem. Ale Mon i Kin zawsze byli dla mnie dobrzy,
a teraz Tomo jest moim najlepszym przyjacielem. Ludzie się śmieją, kiedy razem
występujemy. Kochają nas. A kiedy słyszę, jak klaszczą, mówię w duchu do moich braci:
„Nie potrafilibyście tego zrobić nawet za tysiąc lat!”.

– Musisz im wybaczyć – wtrącił się Kinmaru.

– Wybaczam, ale jednocześnie nie potrafię się nie cieszyć.

– Przestań wreszcie gadać i pozwól nam spać – rzucił ze znużeniem Monmaru.

Saru westchnął przesadnie i umilkł, ale kiedy już się wydawało, że zasnął, raptem
znowu się odezwał:

– Mój najstarszy brat był bardzo bystry. Potrafił używać liczydła, a nawet trochę czytać
i pisać. Pojechał do Miyako i pracował w domu wielkiego pana. Ale nie wiem, co się z nim
później stało. Pewnego dnia pojedę tam, odnajdę go i powiem: „Spójrz, starszy bracie
Taro, co umiem. Nie wyobrażałeś sobie tego, kiedy mieszkaliśmy w Iidzie, co?”.

– Śpij! – syknęli jednocześnie jego starsi towarzysze, a potem obaj się roześmiali.

– Chodź tutaj, Tomo – powiedział Saru.

Przytulił do siebie nieprotestującą małą i ułożył się wygodnie. Drugim ramieniem
przyciągnął do siebie Yoshiego. Nie powiedział nic więcej, ale Yoshimori potem słyszał, jak
Sarumaru krzyczy we śnie.

Dwa dni później dotarli do Aomizu, gdzie pod koniec trzeciego miesiąca Aki i Yoshi
pożegnali się z Kai i kobietami z łodzi. Od tamtej pory codziennie myślał o swojej
przyjaciółce i zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją spotka. Miał nadzieję, że tak i że ona
go wtedy nie wyda, ale nigdzie nie widział żadnej z tych pięknie udekorowanych łodzi ani
muzyków, ani eleganckiej pani, która tak dziwnie rozmawiała z nim o skażeniu.

Udali się do domu przy jeziorze, gdzie na tylnym dziedzińcu zostawili przed wyjazdem
inne małpy z trupy. Mieszkały tam jakieś kobiety, chyba żony dwóch starszych mężczyzn,
choć Yoshi nie wiedział tego na pewno, z trójką albo czwórką bardzo małych dzieci.
W domu panował wielki harmider. Kobiety krzyczały, czasami zaczynały śpiewać, dzieci
wciąż się przewracały i płakały, małpy wrzeszczały w swojej zagrodzie, zwłaszcza kiedy
zobaczyły nowo przybyłych.

Shiro i Kemuriego wsadzono do osobnej klatki. Obaj snuli się po niej z nieszczęśliwymi
minami i marudzili. Yoshi spędzał z nimi dużo czasu, pocieszał ich i karmił smakołykami,
których tam nie brakowało. Akrobaci dostawali wiele darów za swoje występy, a gildia
kupców, nadzorująca targowiska wokół jeziora, zaopatrywała dom i dbała o rodziny.

Wśród darów było jedzenie, wino ryżowe, tkaniny, złote posążki, lakierowane misy
i czasami miedziane monety, ale nikt nie wiedział, co z tymi ostatnimi robić. Wydawały
się magiczne i trochę niebezpieczne przez swoją moc. Zwykle leżały zakopane na
podwórku jako talizman chroniący małpy.

Ale Yoshi i tak się martwił o Shiro i Kemuriego.

– Są tacy smutni – mówił do Sarumaru. – Chcą wrócić do lasu. Powinniśmy zawieźć ich tam z powrotem.

– To dobrze, że są smutni – odpowiadał Saru. – Dzięki temu staną się zależni od ciebie i ode mnie i będzie łatwiej ich wytresować. Zapomną o dawnym życiu i to obecne będzie wszystkim, co znają.

To tak jak ze mną, pomyślał Yoshi. Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa już blakły w jego pamięci. Może naprawdę umarł wtedy na brzegu rzeki, a teraz urodził się po raz drugi i wszystko, co zdarzyło się przed tamtym porankiem, kiedy Shikanoko chciał go zabić, konie uratowały mu życie, a potem zamieszkał w lesie z Akihime i małpami, wydawało się nieprawdziwe?

Akrobaci podróżowali przez całe lato. Brali udział w najróżniejszych festynach, występowali na targach odbywających się piątego, piętnastego i dwudziestego piątego dnia każdego miesiąca. Teraz, kiedy nastąpiła pora tajfunów, trzymali się blisko domu, tresowali nowe małpy i ćwiczyli stare.

Szkolenie zajmowało dużo czasu, ale obaj mężczyźni i Saru byli cierpliwi. Nigdy nie traktowali podopiecznych okrutnie, choć karcili je za złe zachowanie ostrym słowem albo klapssem po łapie, podobnie jak dzieci, które, jak zauważył Yoshi, również uczono tych samych sztuczek, a także pilności i posłuszeństwa. Shiro i Kemuri okazali się bystrzejsi od swoich ludzkich rówieśników i uczyli się szybciej od nich. Wydawało się, że ćwiczenia sprawiają im przyjemność. Zaczęli się starać o nagrody i traktować dzieci jak młodsze, mniej inteligentne małpy, z mieszaniną troski i lekceważenia.

Nadal piszczeli z radości na widok Yoshiego i biegli się do niego przytulić, ale pokochali również Sarumaru, jak wszyscy ich towarzysze. Rywalizowali o jego uwagę i starali się go zadowolić, nie tylko dla nagród, ale też dla słów pochwały, drapania po głowie i pieszczot.

W czasie swoich występów Saru pojawiał się w tłumie oblepiony małpami, chodząca futrzasta istota o sześciu twarzach. Dzieci uciekały przed nim z krzykiem jak przed ogrem, ale szybko wracały i patrzyły z zachwytem, kiedy chłopiec jedną po drugiej zdejmował z siebie małpy, wysyłając je fikołkami w powietrze.

Kiedy pierwszy tego roku tajfun nadciągnął z rykiem przez jezioro, zrzucił rzeki deszczu z ciemnych ciężkich chmur, zmienił dzień w noc, zalał wszystkie drogi wokół jeziora, zerwał dachy z lichych domostw. Gdy ucichł, wszyscy z zapalem wzięli się do suszenia ubrań i pościeli, reperowania domów, czyszczenia ścian i podłóg z błota. Tajfuny stanowiły część życia i należało sobie z nimi radzić jak ze wszystkim innym, z mieszaniną dobrego humoru, cierpliwości i wdzięczności.

Pod koniec dziewiątego miesiąca, kiedy burze się skończyły i nastąpiła ładna jesienna pogoda, akrobaci zaczęli się szykować do ponownego ruszenia w drogę. Małpy były podniecone, kobiety smutne i jednocześnie zadowolone, dzieci płakały, bo też chciały jechać. Saru powiedział Yoshiemu, że zabiorą jego, Shiro i Kemuriego.

– Pojedziemy do Tęczowego Mostu na targ piątego dnia, a na piętnasty dzień wrócimy tutaj. Jeśli nie spodoba ci się w trasie albo nowe małpy przestraszą się tłumu, będziesz mógł tu zostać i poczekać na nas do zimy.

– Spodoba mi się – zapewnił go Yoshi. – Wiem, że się spodoba.

– Musisz być przygotowany na wszystko, szybko podejmować decyzje, ze złej sytuacji wyciągać coś dobrego. Oczy wszystkich będą skierowane na ciebie. Ludzie oczekują, że ich rozśmieszysz, wielu ma nadzieję, że coś ci się nie uda, żeby mogli z ciebie szydzić. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Czasami małpy po prostu nie chcą występować. Są w złym nastroju albo nie czują się dobrze, jest wietrznie albo ciżba jest wrogo nastawiona. Wtedy musisz robić dobrą minę do złej gry, nie rezygnować ani nie okazywać, że jesteś speszony.

– Mówisz, jakby to było trudne, ale wygląda tak łatwo – stwierdził Yoshi.

– Poczekaj, aż zobaczysz mnie w prawdziwym tłumie – pochwalił się Saru.

Yoshimori już otwierał usta, żeby powiedzieć, że już go widział w Majimie, ale się rozmyślił. Nie chciał nic mówić o swojej przeszłości. Był po prostu chłopcem, który dorastał z małpami.

Tamtej nocy starzec, który odwiedził łódź w dniu, kiedy Akihime i on ją opuszczali, przyszedł do domu akrobatów na wieczorny posiłek. Yoshi udawał, że nigdy wcześniej go nie widział, chociaż dobrze pamiętał wszystko, co on mówił. Starzał się chować za innymi i trzymać głowę nisko opuszczoną. Przed kolacją starzec odmówił modlitwę, a obecni odpowiadali mu ściszymi głosami pełnymi szacunku. Następnie, tak jak wtedy, wszystkim po kolei podał jedzenie, jakby był jedną z kobiet, a nie kapłanem, który zasługiwał na szacunek. Yoshi czuł na sobie jego bystre spojrzenie, ale mężczyzna nie odzywał się do niego aż do końca wieczery i pożegnalnych błogosławieństw.

Kinmaru, Monmaru i Sarumaru, którzy wyjeżdżali następnego dnia, podeszli i uklękli przed nim. Saru sięgnął za siebie i przyciągnął Yoshiego.

– On jedzie z nami – powiedział. – I potrzebuje błogosławieństwa bardziej niż inni, bo jest sam na świecie, nie licząc nas.

Yoshimori ukląkł ze spuszczoną głową i poczuł na włosach dłoń kapłana.

– Niech Ukryty zawsze cię prowadzi – rzekł cicho starzec. – Wybrałeś inną drogę niż ta, która była tobie przeznaczona, ale na koniec ona zaprowadzi cię do tego samego miejsca.

Mam nadzieję, że nie, pomyślał Yoshi. Chcę być chłopcem od małp jak Saru. Nie chcę być cesarzem.

Shikanoko

– Jeśli będziesz czekać, aż się skończy zima, stracisz miesiące – powiedział Kongyo. – Ale jeśli ruszysz do akcji teraz i zajmiesz Kumayamę, śniegi będą twoją ochroną. – Odkąd przybył do chaty, w której Shika mieszkał z chłopcami, odbywali ten sam spór już kilka razy. – Nie zostaniesz w tym lesie na zawsze. Równie dobrze możesz stąd odejść już teraz. Poza tym nie przetrwamy kolejnej zimy w Kuromori. Musimy albo uciec, albo odebrać sobie życie. Miałbyś siedemdziesięciu ludzi gotowych do walki.

– Na pół zagłodzonych – mruknął Shikanoko.

– Zdesperowanych i zdolnych do wszystkiego. Głodnych nie tylko jedzenia, ale jeszcze bardziej pomsty za pana Kiyoyoriego. – Kongyo chwycił się za brzuch. Mięso zajęcia było dla niego za treściwe. Musiał biegać w krzaki kilka razy, a teraz był blady i spocony mimo chłodu zimowego popołudnia.

– Nie jesteś w stanie teraz nigdzie jechać – stwierdził Shika. – Odpocznij jeden dzień. Niech twój koń też odzyska siły. Omówię twoją propozycję z chłopcami.

Zastanawiał się, co Kongyo o nich myśli. Widział już wszystkich chłopców, ale nie potrafił ich odróżnić. Dziwił się, że wyglądają tak zwyczajnie. Stracili uderzającą urodę z pierwszych miesięcy życia i teraz przypominali chudych podrostków z dowolnej małej wioski Ośmiu Wysp. Shikę to cieszyło. Stali się przeciętni i dzięki temu mniej rzucali się w oczy. Był pewien, że wtopią się w każde otoczenie, tak samo jak wtapiali się w las.

– Chyba się położę – oznajmił Kongyo. – Ale nie w tej przeklętej chacie.

Poprzedniej nocy zimno zmusiło go do spania wśród czaszek, masek, kości, zwierzęcych skór i pierzastych okryć, ale następnego ranka skarżył się na koszmary.

– Chata wcale nie jest przeklęta – zaprotestował Mu. – Nie rozumiesz tego, ale nie trzeba się jej bać.

Wojownika wyraźnie zdumiała jego poufałość.

– Koszmary to wiadomości od bogów, takie jak sen, o którym sam mówiłeś – ciągnął Mu. – Powinieneś być za nie wdzięczny. Nie stanie ci się żadna krzywda, chyba że Shikanoko tak rozkaże. Idź i połóż się w środku. Na dworze jest zimno. Ku dotrzyma ci towarzystwa, a psy ogrzeją.

Shika też był zaskoczony. Chłopiec jeszcze nigdy nie wypowiedział tylu zdań naraz, w dodatku w taki dziwny sposób. Po chwili Shikanoko uświadomił sobie, że Mu naśladuje intonację i słownictwo Kongyo, jakby chłonał je bezpośrednio z jego mózgu. Chłopcy byli

jak leśne pijawki, które Shisoku, a teraz Kuro, na próżno próbowali rozmnażać. Te małe potwory wysysały krew i pożerały dżdżownice w całości.

Ku zaprowadził Kongyo do chaty, a za nimi podążyły dwa prawdziwe psy i trzy fałszywe. Niedługo później chłopiec wyszedł z chaty, dołączył do Kiku przy ognisku i powiedział:

– Położył się, ale musi spać, żeby poczuć się lepiej.

Kiku gotował w żelaznym kociołku coś, co pachniało anyżem i rabarbarem. Zdjął garnek z żaru i wlał zawartość do małego kubka. Wręczył go Ku.

– Daj mu to. Napar uspokoi jego żołądek i pomoże mu zasnąć.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz otruć naszego gościa – odezwał się Shika.

– Oczywiście, że nie – odparł Kiku i zaraz dodał: – Ale zrobię to, jeśli chcesz.

– Dziękuję. Cieszę się, że wszyscy jesteście tacy troskliwi.

– Jeśli będzie zdrowo spał, będziesz mógł swobodnie omówić z nami wasze plany – zauważył Kiku. – Nie jesteśmy troskliwi, tylko praktyczni.

– I dużo się od niego uczymy – wtrącił Mu. – Co on miał na myśli, kiedy mówił o pomście?

– Pomsta jest wtedy, gdy chcesz skrzywdzić albo ukarać kogoś, kto cię zranił. Odplata. Rozdaj sprawiedliwości.

Mu zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a potem spytał:

– Kim był pan Kiyoyori?

– Wielkim wojownikiem. Panem Kuromori, twierdzy, w której teraz ukrywa się nasz gość Kongyo. – Shika ściszył głos. – Kiyoyori był jednym z waszych ojców.

– Tak jak Shisoku? – Kiku słuchał uważnie jego słów. Chłopcy przyjmowali je bez kwestionowania, bo nic nie wiedzieli o normalnych ludzkich relacjach.

– Mielście pięciu ojców: Shisoku, Kiyoyoriego, herszta bandytów Akuzenjięgo, wielkiego mędrca i czarownika Sesshina, i mnie.

Kiku i Mu się roześmiali.

– Ty jesteś za młody, żeby być naszym ojcem – stwierdził Mu. – Prawda?

– Musisz być naszym starszym bratem – orzekł Kiku.

– Jestem dostatecznie dorosły, żeby mieć dzieci – oświadczył Shikanoko. – I sądząc po tym, jak rośniecie, wy wkrótce też będziecie mogli je mieć.

Przez dłuższą chwilę chłopcy w milczeniu zastanawiali się nad tym, co powiedział. Obaj się uśmiechali. W końcu Kiku trącił Mu łokciem. Brat natychmiast zdzielił go pięścią.

Jeszcze paru rzeczy będę musiał ich nauczyć, pomyślał Shika. Ale z kim się ożenią? Wezmą sobie ludzkie kobiety? I co wyrosnie z ich dzieci?

– Ty też chcesz pomścić pana Kiyoyoriego? – zapytał Mu.

– Tak. I zrobię to. Ale najpierw muszę zabić swojego stryja.

Potem będę musiał jeszcze zniszczyć księcia opata, pomyślał.

Ledwo się odważył ubrać w słowa swoje pragnienia, nawet w duchu.

Odnajdę Akihime i ożenię się z nią. Przywrócę Yoshimoriego na tron. Kumayama była pierwszym krokiem na drodze do tych wszystkich celów.

– To jest Kumayama, gdzie teraz mieszka mój stryj. – Wziął zwęglony patyk i zaczął rysować na kamieniu uproszczoną mapę. – Tam dorastałem.

Nagle opadły go wspomnienia codziennych upokorzeń i okrucieństw, bezsilnego gniewu, oburzenia i poczucia niesprawiedliwości, że człowiek, który miał się opiekować nim i jego dziedzictwem, chciał go ujrzeć martwym. Przywieść własnego bratanka do samobójstwa albo do popełnienia czynu, który usprawiedliwiłby egzekucję.

Był głęboko wdzięczny, że spadł z urwiska, wdzięczny tamtemu jeleniowi, że złagodził jego upadek, i ludziom, którzy uratowali mu życie, a potem na swój dziwny sposób mu pomagali i go kształcili: Shisoku, Akuzenjiemu, Kiyoyoriemu, Sesshinowi. Wszyscy byli dla niego jak ojcowie, więc w pewnym sensie mógł się uważać za starszego brata tych chłopców.

Uświadomił sobie, że na niego patrzą, siedzącego bez ruchu z patykiem w ręce, i czekają, co jeszcze powie.

– Byłem tam krótko rok temu. Jako jeniec, więc nie widziałem, jak stryj ufortyfikował mój stary dom od chwili, kiedy stamtąd wyjechałem, czyli ponad dwa lata temu.

– Co to znaczy „stryj”? – zainteresował się Kiku.

– Brat mojego ojca. Gdyby Mu miał dziecko, ty byłbyś jego stryjem.

To stwierdzenie znowu ich rozśmieszyło. Kiku wbił Mu łokieć w żebra.

– Kto będzie matką twoich dzieci? Jedna z tych suk, z którymi śpisz? Twoje dzieci będą szczeniakami?

Mu go uderzył i obaj runęli na Gena, budząc go ze snu. Wilk zerwał się na równe nogi, warcząc i kłapiąc zębami. Shika uciszył całą trójkę i mówił dalej:

– Kiedy tam mieszkałem, nazywaliśmy Kumayamę zamkiem, ale tak naprawdę był to tylko ufortyfikowany dom z wysokim drewnianym ogrodzeniem, rowem, mocnymi bramami od frontu i z tyłu, wieżą strażniczą. Przy tylnej bramie znajdują się cele z drewnianymi kratami, a między nimi a domem otwarta przestrzeń, gdzie trenuje się konie i gdzie jest ścinany każdy, kto rozdrażni mojego stryja. – Podszedł do sąsiedniego kamienia. – Stajnia też jest na tyłach. To otwarta szopa z linami do przywiązywania koni. Stoją w niej wiadra z wodą i paszą. Dachy są kryte strzechą z trzciny, a nie z kości.

– Wygląda ciekawie – stwierdził Mu. – Jest taki duży!

– Mały w porównaniu z wieloma innymi fortecami – powiedział Shika. – Mały, ale bardzo ważny. Trudny do zdobycia, łatwy do obrony.

– Chciałbym go zobaczyć – wyznał Kiku.

– Mam nadzieję, że wkrótce zobaczysz. A teraz zostawcie mnie na chwilę w spokoju.

Shikanoko poszedł do chaty, a kiedy zobaczył, że Kongyo głęboko śpi, wziął leżące na ołtarzu łopatki jelenia, które znalazł wśród rzeczy Gessho po jego śmierci. Wypowiedział nad nimi kilka słów modlitwy i położył w żarze ogniska. Potem usiadł ze skrzyżowanymi nogami i medytował aż do zachodu słońca. Po zapadnięciu nocy wyjął już chłodne łopatki z popiołu i przyjrzał się cienkim jak włos rysom, które się na nich pojawiły. Wydawało mu się, że słyszy ich przekaz we własnych kościach.

Kongyo się nie obudził, ale tamtej nocy jego koń dostał kolki od dużej ilości jedzenia, na

które się rzucił wygłodzony, i mimo wysiłków Shiki zdechł nad ranem. Gdy tylko Ima się obudził i go zobaczył, wziął się do oprawiania zwierzęcia. Łeb i kopyta zakopał, podobnie jak wcześniej czaszkę Gessho. Grzywę i ogon odciął i dał Ku, a on umył je starannie i wyczesał, tak że po śmierci odzyskały jedwabistość, którą straciły za życia. Psy i wilki siedziały wokół niego kręgiem, a z ich pysków ciekła ślina. Kiedy Ima rozciął brzuch martwego konia, rzucił im jeszcze parujące wnętrzności, a one zaczęły o nie walczyć między sobą.

Shika jeszcze raz odczytał wiadomość z łopatek.

– Jadę do Kumayamy – oznajmił, zwracając się do Kongyo. – Jeśli czujesz się dobrze, możesz wziąć mojego konia. Wróc do Kuromori i powiedz swoim ludziom, żeby mnie oczekiwali. Przypuszczam, że dotrę tam w ciągu dziesięciu dni. Jeśli nie, możesz przyjąć, że albo zasypał nas śnieg, albo przegrałem. Wasza przyszłość będzie wtedy w waszych rękach.

– Nie przegrasz – powiedział Kongyo z błyszczącym wzrokiem. – Można wierzyć w mój sen.

– Zabierzesz nas ze sobą, prawda? – wtrącił się Mu.

– Zabijemy twojego stryja? – spytał Kiku.

– A chcecie?

Kiku popatrzył na chatę krytą dachem z kości, na zwierzęta poskładane z różnych części martwych ciał, na trupa konia i rzekł:

– Wszystko jedno.

Średni chłopiec Kuro wyszedł z lasu, niosąc na ramionach kij, z którego zwisało kilka małych bambusowych klatek. Postawił je ostrożnie na ziemi i ukucnął. Wbił wzrok w najstarszego brata.

– Co tam masz? – zainteresował się Shika.

– Gigantyczną stonogę, dwa złote pająki krzyżaki, żmiję i bardzo złego szerszenia – odpowiedział chłopiec.

Kongyo zadrżał.

– Wolałbym stanąć przed setką wojowników Miboshich niż mieć do czynienia z jednym z tych tutaj, z wyjątkiem węża. Węże łatwo się zabija, wystarczy odciąć im łeb...

– Ta żmija śpi – przerwał mu Kuro. – Nie obudzi się do wiosny.

Kongyo zignorował go i mówił dalej:

– Ale owady! Człowiek ich nie widzi, aż jest za późno! Czają się w mrocznych kątach i cienistych miejscach, a potem kolą i żądlą bez litości.

– Czy wszyscy wojownicy tchórzą przed owadami? – Pytanie Kiku brzmiało niewinnie, ale Shika wiedział, że chłopak zamierzał obrazić ich gościa i go zdenerwować.

– To nie jest kwestia tchórzostwa... – zaczął Kongyo.

Shika uciszył go, podnosząc rękę.

– Zobaczymy. – W jego umyśle zaczynał się formować pewien plan. – Kiku i Kuro pojedą ze mną. Mu, ty zostaniesz z Imą i Ku.

– Wolałbym jechać z tobą. – Mu popatrzył na niego błagalnie.

Shikanoko nie chciał, żeby dwaj starsi chłopcy kłócili się i rywalizowali, narażając ich wszystkich na niebezpieczeństwo. Kuro był raczej samotnikiem, ale miał więcej szacunku dla Kiku niż Mu, a jego trujące owady mogły okazać się użyteczne.

– Wierzę, że zaopiekujesz się braćmi i zwierzętami. Musisz być strażnikiem tego miejsca i lasu jak Shisoku.

Wydawało się, że te słowa ułagodziły Mu, bo uśmiechał się, kiedy szedł do Imu, który odcinał płaty mięsa z martwego konia i nadziewał je na ostre patyki. Mu zaczął umieszczać je nad żarem na rozwidlonych kijkach. Shika miał nadzieję, że dobra pogoda się utrzyma. Wtedy suszonego mięsa wystarczy chłopcom na pół zimy.

Szerszeń bzycał wściekle w bambusowej klatce, próbując uciec. Kongyo patrzył na niego zafascynowany i przerażony.

– Brat pana Kiyoyoriego Masachika był prawie martwy od ukąszeń, kiedy znaleźliśmy go po nieudanym ataku. Powiedział nam, że osy użądliły go na rozkaz duchów opiekuńczych z Matsutani. Myślałem, że to halucynacje, ale może owady naprawdę były gigantyczne jak ten tutaj.

– Wtedy byłby całkiem martwy – powiedział Kuro. – Ale jest dużo gatunków os, pszczół i szerszeni i wiele różnych trucizn.

– Nie boisz się, że cię pogryzą i będziesz całkiem martwy? – spytał Kongyo i tylko on się zaśmiał.

– Pozwalam, żeby mnie gryzły – odparł Kuro. – Teraz jestem uodporniony.

Popatrzył na wojownika oczami bez wyrazu, a Shika pomyślał, że czasami chłopcy sami wyglądają jak owady. Przypomniawszy sobie, jak wylęgali się z jaj otoczonych kokonami. Niczym pająki.

* * *

Kongyo wyjechał o świcie następnego dnia, krótko po tym jak Shika, Kiku i Kuro wyruszyli do Kumayamy. Shikanoko wziął swój łuk, Jinana i maskę w brokatowym worku razem z łopatkami do wróżb. Chłopcy mieli noże, sznury, łuki i strzały z zatrutymi grotami, inne trucizny w bambusowych rurkach, starannie zapieczętowanych korkami z wosku, i szerszenia w klatce. Owad ucichł, ale Kuro zapewnił ich, że on nie zdechł, tylko śpi. Okadził go wcześniej usypiającym dymem i zamierzał obudzić, kiedy będzie potrzebny. Gen poszedł z nimi, bo nie chciał rozstawać się ze swoim panem.

Poruszali się cicho i szybko przez zimowy las. W nisko położonych cienistych miejscach ziemia była biała od szronu, większość drzew już bez liści, tylko sosny i cedry zachowały ciemną zielen.

– Czy tamten człowiek pozwoli, żeby nasz koń też zdechł z głodu? – odezwał się po jakimś czasie Kuro.

– Tak może się zdarzyć, choć mam nadzieję, że nie – odparł Shika.

– Jeśli koń był głodny, dlaczego nie uciekł, żeby poszukać jedzenia?

– Sądzę, że był przywiązany gdzieś wewnątrz fortecy. W czasie wojny konie cierpią

razem z ludźmi. Są zabijane w bitwach, głodują podczas oblężeń.

Shika pomyślał o Risu, Nyorinie i żrebaku. Czas jego narodzin musiał już być bliski. Zastanawiał się, co się z nim stanie, czy kiedyś go zobaczy, czy będzie wiedział, że naprawdę zamieszkał w nim duch Kiyoyoriego.

– A potem są zjadane – dodał Kiku.

– Ludzie też są zjadani? – spytał Kuro.

– Czasami głodujący, zdesperowani ludzie zjadają ciała zmarłych, ale na ogół nie.

– Dlaczego konie słuchają ludzi? – dążył Kuro. – Dlaczego pozwalają się ujeździć? Ja nigdy bym tego nie zrobił!

– Przypuszczam, że taka jest ich natura – odparł Shikanoko. – Pragną mieć pana. Kiedy mu się podporządkowują, czują się bezpieczne. Większość koni nie wybiera sobie właściciela, a ci się zmieniają. Jeśli nowy karmi je i dobrze traktuje, są mu posłuszne i zadowolone. Sami zobaczycie, że jest też na świecie wielu takich ludzi. Szczęśliwych, kiedy mają kogo słuchać. Ale, podobnie jak u koni, niektórzy zawsze chcą prowadzić.

– My nigdy się nie podporządkujemy, bo to nie leży w naszej naturze – przemądrzale stwierdził Kiku.

Shika się roześmiał.

– Nie sądzę. Ale ty i Mu jesteście przywódcami swoich braci, a wszyscy słuchacie mnie i musicie to robić, póki nie dorośnecie i nie zrozumiecie, jak działa świat.

– A ty kogo słuchasz? – zaciekawiał się Kuro.

– Nikogo – odpowiedział Shika po chwili. – Jestem koniem, który zawsze chce iść pierwszy.

– A co się dzieje, jeśli kilka koni chce prowadzić? – dopytywał się Kiku.

– Przepychają się i podskubują nawzajem. A na koniec walczą.

– Więc zamierzasz trochę podskubać swojego stryja? I potem będziecie walczyć?

– Właśnie.

* * *

Wieczorem czwartego dnia dotarli do stóp stromego urwiska, które Shika dobrze pamiętał. Kiedy znalazł szkielet jelenia, zdziwił się, że wilki nie rozwłóczyły kości. Niedaleko tego miejsca pomógł chłopcom zbudować szałas i podzielił się z nimi resztą jedzenia, które ze sobą zabrali.

Nie wystarczyło go, żeby zaspokoić głód. Kuro zastawił pułapki na króliki, po czym oznajmił, że idzie poszukać orzechów i grzybów. Shikanoko zostawił Kiku na warcie, a sam wrócił do miejsca, gdzie kiedyś runął z urwiska. Jeleń złagodził jego upadek i ratując mu życie, całkowicie je odmienił. Teraz Shika chciał mu podziękować, przywitać Kumayamę i sprawdzić działanie naprawionej maski.

Kłęcząc obok szkieletu, włożył maskę na twarz, gotowy stawić czoło księciu opatowi i w razie potrzeby szybko ją zdjąć. Minał miesiąc od śmierci Gessho i choć jastrzęb też został zabity, do tej pory kapłan na pewno odkrył, co się stało.

Shika oddychał wolno, żeby zapanować nad myślami. Kiedy osiągnął spokój, poczuł, że budzi się jego duchowa moc. Był świadomy otaczającej go puszczy, pogrążonej w głębokim zimowym śnie, znał jej sny. Podziękował lasowi i górze za to, że go żywią i chronią. Następnie przemówił do jelenia. Zobaczył, jak samiec o imponujących rogach i błyszczących oczach kroczy dumnie między drzewami. Usłyszał jesienny ryk tęsknoty i samotności. Wyraził swój smutek z powodu jego śmierci i wdzięczność za wszystko, co zwierzę dla niego zrobiło. Nazwał je Ojcem i zdradził mu swoje imię. Shikanoko, Dziecko Jelenia.

Nie wyczuł nawet śladu mocy księcia opata ani nie został przeniesiony do królestwa Ryusonji. Zarówno maska, jak i on, oboje zniszczeni, po naprawie stali się silniejsi.

Wstał z klęczek i zaczął wykonywać kroki tańca jelenia. Wydawało mu się, że znowu jest w Kumayamie i widzi stryja, jeszcze bardziej okrutnego niż zwykle z powodu strachu przed atakiem z zewnątrz i buntem własnych ludzi. Ujrzał fortecę uginającą się pod ciężarem nienawiści i represji. Wystarczyłoby jedno pchnięcie, żeby runęła. Zobaczył dwóch wielkich panów, przywódców Miboshich i Kakizukich. Uświadomił sobie, że mógłby stać się potężniejszy niż którykolwiek z nich. Przypomniał mu się sen Kongyo, jakby sam go śnił. Objął w nim władzę nad Ośmioma Wyspami. Umieścił na tronie prawowitego cesarza i rządził w jego imieniu.

I nagle się zawahał. Nie zdążył poznać wszystkich kroków tańca i nie miał od kogo się ich nauczyć, teraz, kiedy Shisoku nie żył. W tej krótkiej chwili poczuł przyciąganie Ryusonji, jakby księżę opat się obudził i skierował uwagę na wschód. Ogarnęły go tęsknota i żal. Na myśl o całej mądrości i wiedzy zamkniętych w świątyni zapragnął się tam znaleźć. Brakowało mu podziwu i uczucia, które tak często wyrażał głos księcia opata. Chciał znowu go usłyszeć, choć jednocześnie aż się przed nim kulił.

Kilka jelenich susów przeniosłoby go tam w parę minut. Nie wszedłby do środka, tylko stanął na werandzie...

Z dudniącym sercem zerwał maskę z twarzy.

Tamtej nocy prawie nie spał, żeby nie spotkać we śnie swojego dawnego pana. Wciąż krążył myślami wokół tego, czego się dowiedział.

Rano w pułapkach Kuro były dwa króliki. Oprawili je i ugotowali, a wnętrzności rzucili Genowi. Jednego zjedli, drugiego zabrali ze sobą. Chłopcy bez trudu wspięli się na urwisko dzięki swojej zwinności i spuścili na dół linę, żeby Shika mógł się po niej wdrapać. Potem wszyscy trzej podążyli szlakiem, który on i Sademasa przemierzyli przed dwoma laty, tropiąc jelenia. To było znajome terytorium. Choć przez ostatnie lata nikt nie wydeptał tam żadnych ścieżek, szybko posuwali się naprzód. Czy jego stryj już nie polował w tych górach? Bał się, że może spotkać gniewnego ducha Kazumaru?

Chłopcy szli przodem, bo poruszali się dużo ciszej niż Shika, a wyostrzony słuch Kiku ostrzegłby ich o wszelkich zagrożeniach. Przez dwie noce niewiele spali. Podzielili się królikiem, nie rozpalając ogniska, a potem tulili się do siebie dla ochrony przed zimnem. Shika zauważył, że ciało Gena, kiedyś chłodne jak części, z których je zbudowano, teraz wydziela naturalne ciepło.

Około południa trzeciego dnia Gen zaczął węszyć i po chwili wybełkotał:

– Martwi ludzie.

Jednocześnie zjawił się Kiku i oznajmił:

– Przed nami są jakieś dziwne hałasy. Trzepotanie i szelest.

– Słyszysz to, Gen? – zapytał szeptem Shika.

Fałszywy wilk odwrócił głowę i nastawił prawe ucho, które zawsze pracowało lepiej niż lewe.

– Ptaki – stwierdził.

Kiedy ostrożnie zbliżyli się do źródła odgłosów, okazało się, że Gen miał rację. Stado kruków roilo się nad jakimiś rzeczami nabitymi na pale. Ptaki nie krakały ani się nie wadziły. Po prostu dziobały, niestrudzenie i cicho, od czasu do czasu wzbijały się w powietrze i zaraz wracały.

Na widok ludzi odfrunęły na pobliskie drzewa, tak że gałęzie zwisły pod ich ciężarem, i zaczęły ich obserwować chciwym, badawczym wzrokiem.

Rzeczy unosiły się i chwiały, jakby nadal żyły, ale one tylko podtrzymywały inne życie. Pełzały po nich niezliczone larwy.

– To głowa – stwierdził z zainteresowaniem Kuro. – A to musiały być organy wewnętrzne. Nadal można je rozpoznać.

– Są podobne do zwierzęcych – dodał równie zafascynowany Kiku. – Serce, wątroba, nerki i... patrz, nawet części intymne.

Obaj chłopcy zaśmiali się bezdusznie.

– I nadal mają swój rozum – powiedział Kiku. – Nawet po śmierci.

Jeden z kruków zakrakał, przerywając ciszę. Gen warknął i kłapnął na niego zębami.

– Właśnie takie rzeczy robi twój stryj? – zapytał Kuro.

– Wygląda to na jego dzieło – potwierdził Shika.

– Nic dziwnego, że go nienawidzisz.

– Trzeba wielu lat, żeby mężczyzna dorósł, prawda? – zapytał cicho Kiku. – Dużo więcej niż u nas?

Shika pokiwał głową. Ten zabity był dorosły. Resztki jego włosów wskazywały, że mógł mieć czterdzieści lat. Czterdzieści lat ludzkiego życia w całej jego złożoności zredukowane do ochłapów rozrzuconych po lesie, pokarmu dla larw i kruków.

– Kto to był? Znałeś go?

Nie było po czym zidentyfikować tego człowieka. Sademasa miał wiele sług i jeszcze więcej chłopów, z których ściągał podatki. To mógł być każdy z nich, ścięty i po śmierci odarty z godności. Nawet najsilniejszy mężczyzna okazywał się kruchy.

– Możesz się dowiedzieć? – nalegał Kiku.

– Jak?

– Mógłbyś użyć tej maski, którą masz w worku – podsunął chłopiec.

– Skąd o niej wiesz?

– Widziałem cię w tę noc, zanim weszliśmy na urwisko. I wcześniej w chacie też. Wkładasz ją i przenosisz się w jakieś inne miejsce. Zrób to teraz.

– Kiku ma plan – odezwał się z uśmiechem Kuro, jakby czytał bratu w myślach.

– Moglibyśmy trochę podrażnić twojego stryja – powiedział Kiku. – Żeby potem było ci łatwiej go zabić.

Shika z niechęcią sięgnął do brokatowego worka. Kruki zakrakały wściekle i wzbiły się w powietrze jedną czarną chmurą. Shikanoko odmówił krótką modlitwę, żeby uzbroić się przeciwko swojemu dawnemu panu, i włożył maskę na twarz. Znalazł się na brzegu Rzeki Śmierci, jak wtedy, gdy spotkał ducha Kiyoyoriego. Ponownie ujrzał głęboką, ciemną wodę i usłyszał plusk wiosła. Poem usłyszał, jak ktoś woła z udręką i ulgą w głosie, używając jego imienia z dzieciństwa.

– Kazumaru! Pomóż mi!

– Kim jesteś?

– Jestem Nagori, ojciec twojego przyjaciela.

Gardło Shiki ścisnęło się z przerażenia i litości. Zapiekły go oczy.

– Co ci się stało? – wykrztusił z trudem. – Gdzie jest Nagatomo? On też nie żyje?

– Żył, kiedy umierałem. Twój stryj Sademasa zmusił go do patrzenia na moją agonię i upokorzenie. Miłość i strach o syna przywiązały mnie do tego miejsca. Nie mogę przepłynąć przez rzekę, dopóki nie poznam jego losu. I dopóki obaj nie zostaniemy pomśczeni. Panie Kazumaru, spraw, żeby twój stryj za wszystko zapłacił. Niech cierpi tak, jak wielu cierpiało. Ludzie tęsknią do twojego powrotu. Wielu z nas żałuje, że nie pomogliśmy ci w zeszłym roku. Wszyscy wiedzieliśmy, kim jesteś. Potrafisz nam wybaczyć?

– Wybaczę, kiedy mój stryj będzie martwy, a ja odzyskam Kumayamę – odparł Shika.

– Większość z twojego rodu nadal uważa się za Kakizukich. Nienawidzą Miboshich, którzy teraz są naszymi suwerenami. Niektórzy z nas szepczą, że zostaliśmy zdradzeni. Sademasa wszędzie ma donosicieli. Moja kara była ostrzeżeniem dla innych.

Tym razem Shika szybciej ściągnął na siebie uwagę księcia opata. Zobaczył, jak oczy kapłana odwracają się i go szukają. Już dwa razy go zaalarmował i wiedział, że ten człowiek nie zlekceważy takiej prowokacji. Znowu kogoś za nim wyśle. Nie samotnego mnicha, tylko uzbrojonych wojowników, a może całą armię Miboshich.

– Żegnaj – powiedział do Naganoriego. – Dzisiaj cię pomścę. Sademasa umrze, a twój syn będzie uratowany. Jeśli zawiodę, ty, ja i Nagatomo razem przepłyniemy się przez rzekę.

Zdjął maskę z twarzy. Chłopcy obserwowali go z większym niż zwykle szacunkiem. Ich czarne oczy było szeroko otwarte i błyszczące.

– Ile widzieliście i słyszeliście? – zapytał.

– Wszystko – odpowiedział Kiku. – Musimy natychmiast iść i uratować życie twojemu przyjacielowi.

– To dobra rzecz, prawda? – chciał się upewnić Kuro.

– Jasne, że tak! – Brat palnął go w ucho.

Kuro zmarszczył brwi.

– Czasami nie jestem pewien, kiedy zabijanie jest słuszne, a kiedy trzeba oszczędzić

życie.

- Zaufaj Shikanoko – poradził brat. – Po prostu zabijaj każdego, kogo on każe zabić.
- Możesz zabić każdego, kto mnie atakuje, nawet jeśli ci tego wyraźnie nie powiem! – rzekł Shika.
- Mam tylko nadzieję, że nie zrobię źle. – Kuro był wyraźnie w rozterce.
- Nie przejmuj się – pocieszył go Kiku. – I tak wszyscy kiedyś umrą.

* * *

Forteca stała na stokach Kumayamy, ponad długą doliną w kształcie palca, przez którą płynęła Kumagawa. Po drugiej stronie rzeki na każdym skrawku płaskiego terenu i na tarasach wyciętych w zboczu hodowano ryż, ale teraz wszystkie pola były nagie, pokryte zimowymi kocami z mierzwy, martwych liści i nawozu, a te wyżej położone – szronem.

Shika, Kiku i Kuro zeszli z Kumayamy o świcie, ukryli się w gęstych zaroślach i w milczeniu zaczęli obserwować twierdzę. W ciągu roku, który minął od chwili, kiedy Shikanoko ostatnio go widział, jego dom rodzinny został wzmocniony nową palisadą z naostrzonych pali i wyższymi wieżami strażniczymi w każdym rogu. Wokół ostrokołu usunięto wszystko, co mogłoby dawać osłonę, na wieżach i przy bramach stali wartownicy. Przez cały dzień grupy mężczyzn na koniach objeżdżały otwartą przestrzeń i ćwiczyły strzelanie do celu.

Robotnicy wykonywali jakieś ogromne prace budowlane, usuwając tony ziemi i przenosząc je wiadrami na drugi koniec polany. Shika domyślił się, że kopią fosę i wznoszą obwałowania. Zastanawiał się, dlaczego uznano za konieczne dalsze fortyfikacje, skoro teraz cała ziemia od Miyako do Minatogury znajdowała się w rękach Miboshich. Czego tak się bał jego stryj? Czyżby władza nowych panów nie była taka pewna, jak się wydawało? Czy Sademasa, jak wszyscy zdrajcy, stał się ofiarą poczucia winy i podejrzliwości? Z pewnością uczynił swoją fortecę niezdobytą.

Na obwałowaniach stały na platformach dwie dziwne maszyny. Wszystkie wykopane kamienie taszczo w ich pobliżu i dorzucano do już zgromadzonych stosów.

- Katapulty! – stwierdził Kuro. Chłopcy robili małe miotacze ze skórzanych rzemieni, które wcześniej żuli godzinami, żeby stały się elastyczne.
- Potrafiłbyś dostać się do środka? – szepnął Shika, zwracając się do Kiku.
- Kuro i ja możemy tam wejść w nocy – odparł chłopiec. – Wdrapiemy się na ogrodzenie w rogu, przeskoczmy na dach i zagrzebiemy się w strzesze. Nikt nas nie zobaczy.
- A co potem? – spytał Kuro.
- Shika wejdzie do środka i spotka się ze stryjem. Kiedy będą rozmawiać, my go postraszymy i zdenerwujemy. Potem Shika go zabije.
- Mniej więcej to miałem na myśli – przyznał Shikanoko. – Kilka szczegółów wymaga jeszcze dopracowania. Co z ludźmi? Sam nie poradzę sobie ze wszystkimi.
- My nic o nich nie wiemy – powiedział Kiku. – Ty się nimi zajmij.
- Rozbroją mnie, jak tylko wejdem – stwierdził Shika. – Jeśli od razu nie zabiją. Musicie

wziąć mój miecz i jakoś mi go przekazać. Ja będę miał ze sobą łuk i nóż, bo uznaliby to za dziwne, gdybym przyszedł zupełnie nieuzbrojony. I muszę im zaoferować coś, żeby zachowali mnie przy życiu.

Krótki zimowy dzień spędzili na obserwacji. Shika sporządził mapę fortecy, tak jak ją zapamiętał, a dzięki ostremu słuchowi starszego chłopca umiejscowił na nim jej obrońców. Na koniec dnia Sademasa pojechał sprawdzić roboty ziemne. Wszyscy trzej wyraźnie słyszeli, jak krzyczał na majstra, skarżąc się na wolne postępy i kiepską jakość. Jego twarz się rozpromieniła, kiedy zobaczył stosy kamieni i katapulty. Zsiadł z konia, podszedł do bliższej maszyny i pogłaskał jej ramię miotające, opuszczone i załadowane pociskiem. Następnie spojrzął na dolinę, jakby oceniał, jak daleko polecą kamień.

Kiku i Kuro obserwowali go bystrych oczami. Shika sięgnął do łuku, ale stryj znajdował się poza jego zasięgiem, a poza tym nosił hełm i zbroję chroniącą pierś i szyję.

– Teraz go znamy – stwierdził Kiku.

– Mógłbyś podarować mu Gena – podsunął Kuro.

– Gena? – powtórzył Shika zaskoczony.

Fałszywy wilk zaskomlił niespokojnie.

– On lubi dziwne rzeczy, urządzenia zrobione przez człowieka. Pokaż mu Gena i powiedz, że umiesz tworzyć sztuczne zwierzęta i ludzi. On potrzebuje armii. Brakuje mu wojowników.

Noc zapadła szybko. Nie było księżyca, niebo zasnuwały nisko wiszące chmury śniegowe.

Shika poprosił chłopców, żeby go uściskali, zanim wyruszą. Dotyk ich chudych ciał napełnił go czułością. Zastanawiał się, czy oni czują to samo. Czy tak jak Gen staną się bardziej prawdziwi dzięki ludzkim emocjom.

Przestał ich widzieć i słyszeć, kiedy tylko oddalili się o parę kroków. Z fortecy nie dobiegał żaden dźwięk, żadna wrzawa po odkryciu intruzów. Noc nadal była spokojna i bardzo zimna.

Shika mało spał. Nawet Gen nie zdołał go ogrzać. O świcie było mu tak zimno, że z trudem się poruszał. Zmusił się do wstania, przeciągnął i zrobił przebieżkę w miejscu, żeby krew dotarła do kończyn. Zastanawiał się, gdzie są chłopcy. Nie widział ich śladów na dachu. Musiał wierzyć, że są w środku.

Kiedy już mógł swobodnie się ruszać, wziął łuk i brokatowy worek z maską, przewiesił kołczan z dwunastoma strzałami przez plecy i z Genem przy nodze ruszył szybkim krokiem w stronę fortecy.

Mężczyźni pilnujący bramy przestępowali z nogi na nogę i zacierali ręce. Na dziedzińcu palił się ogień w żelaznym piecu. Przez chwilę Shika myślał tylko o tym, jak przyjemnie byłoby chwilę przy nim posiedzieć, żeby odtajać. Odsunął jednak od siebie tę zachciankę, podobnie jak głód, strach, nadzieję, pragnienie zemsty, i skupił się na tym, co musiał zrobić.

– Jestem Kumayama no Kazumaru, znany jako Shikanoko, jedyny syn Shigetomo! – zawołał przy bramie. – Przyszedłem pokłonić się waszemu panu, który jest moim stryjem,

i zaproponować mu swoją służbę i magiczny dar.

Gdy jeden z wartowników podszedł do bramy, przez jego twarz przemknął wyraz zdumienia. Mężczyzna wycofał się pośpiesznie i zaczął naradzać z pozostałymi. Rozmawiali cicho, ale Shika, choć nie miał tak wyczulonego słuchu jak Kiku, słyszał ich wyraźnie.

- To ten dziki chłopak, który pojawił się w zeszłym roku i twierdził, że jest Kazumaru.
- Jesteś pewien? Przecież został zabrany przez ludzi księcia opata i skazany na śmierć.
- To on.
- Kazumaru? Zginął w górach dwa lata temu.
- Ale w zeszłym roku żył. Niektórzy mówią, że go rozpoznali, na przykład Naganori.
- Naganori! Tylko zobacz, co się z nim stało!
- Co robimy?

Kilku strażników wyjrzało za bramę i zerknęło na przybysza.

– Spójrzcie na niego – powiedział jeden. – To włóczęga, mieszkał w lesie i teraz chce uciec przed zimnem. Poderżnijmy mu gardło i zakopmy, nic nikomu nie mówiąc. To oszczędzi nam mnóstwa kłopotów.

– Ja nie zamierzam mordować syna mojego dawnego pana – oświadczył człowiek, który pierwszy rzucił na niego okiem.

Shika nagle przypomniał sobie jego imię i zawołał:

– Tsunemasa! Wpuść mnie i powiedz mojemu stryjowi, że tu jestem!

Mężczyzna zbliżył się do bramy, ale odepchnął go ten, który proponował, żeby poderżnąć intruzowi gardło.

– Co to za dar? – zapytał.

– Pamiętam cię, Nobuto – powiedział spokojnie Shika. – Nie zapomnę, że chciałeś mnie zabić.

– Będziesz się dzisiaj jeszcze modlił o mój ostry nóż – zagroził Nobuto. – Kiedy nasz pan dostanie cię w swoje ręce, będziesz mnie błagał, żebym cię zabił, czy jesteś Kazumaru, czy jakimś przybłędą. Pokaż mi, co to za dar.

– Otwórz bramę, to pokażę – odparł Shika.

– Kto jest z tobą?

– Nikt. Tylko ja i mój dar.

– Przyszedł sam! – krzyknął z wieży inny strażnik.

Nobuto odsunął wielkie rygle i otworzył bramę.

Shika wszedł do środka, a Gen podążył tuż za nim, trącając nosem tył jego nóg.

– Co to jest? – zapytał Nobuto.

Shikanoko tak się przyzwyczaił do Gena, że zapominał o jego dziwnym wyglądzie. Teraz zobaczył go na nowo: oczy z niebieskich kamieni ozdobnych, ludzki język, wilcza skóra, przez którą przeświecał szkielec.

– Mój dar – odparł i poczuł, że Gen drży. – To sztuczny wilk. Mój stryj lubi wszelkie dziwne rzeczy i urządzenia. Potrafię je robić. Ludzi również.

– Zaprowadzę do niego to stworzenie, żeby je obejrzał – oznajmił Nobuto.

– Oczywiście, ale ja muszę iść z nim. On łatwo się płoszy i wtedy staje się dość gwałtowny.

– Nie boję się wilków, żywych ani nieżywych – oświadczył Nobuto ze śmiechem.

– Nie chcę, żeby się zepsuł przez czyjąś głupotę albo niedbalstwo – powiedział Shika.

Gen zawarczał, pokazując język i sztuczne zęby. Gęste wilcze futro zjeżyło się na jego grzbiecie. Nobuto się cofnął.

– Zaczekaj tutaj – zdecydował w końcu. – Powiadomię pana.

Kiedy odszedł, Tsunemasa skinął na Shikanoko, mówiąc:

– Chodź i usiądź przy ogniu. Wyglądasz na zmarzniętego.

Shika pokręcił głową. Nie zamierzał niczego przyjmować od swojego stryja. Zamierzał to sobie wziąć, kiedy uzurpator będzie martwy.

Stał przy bramie nieruchomy jak posąg. Ludzie kolejno wychodzili z domu, żeby na niego spojrzeć: mężczyźni i kobiety, wojownicy i pokojówki. On nie odwzajemniał ich ciekawskich spojrzeń. Częścią umysłu zastanawiał się, gdzie są Kiku i Kuro, a poza tym przygotowywał się na rychłą konfrontację.

W końcu Nobuto wrócił i oznajmił:

– Mój pan zobaczy się z tobą i obejrzy twój dar. Daj mi broń.

Kiedy gość spełnił żądanie, mężczyzna uważnie obejrzał łuk, a potem popatrzył na Shikę zmrużonymi oczami.

– A miecz? – spytał krótko.

– Miecz jest mało przydatny w lesie – odparł Shikanoko. – Przez ostatnie dwa lata nie walczyłem z ludźmi, tylko polowałem.

– Hmm. A to co? – Nobuto sięgnął po brokatowy worek, który wisiał u pasa Shiki, i go otworzył.

– Maski zrobiona z czaszki jelenia.

– Ta, która tak się spodobała mnichowi? Ją też powinieneś oddać naszemu panu.

– Nikt nie może jej nosić oprócz mnie. Ona niszczy twarz każdego, kto ją włoży.

Nobuto zamknął worek i pośpiesznie oddał go właścicielowi. Następnie przesunął po Shice dłońmi, szukając innej broni, zajrzał mu nawet w usta i pociągnął za splecione włosy. Shikanoko poddawał się tym wszystkim zabiegom bez emocji. Wyczuwał niepokój Nobuto, strach wojowników przed tym, czego nie rozumieli, zwłaszcza przed magią i czarami. Był wdzięczny, że sam został zabrany z ich świata i miał szansę poznać inny, bogaty i dziwny, daleki od ludzkich wyobrażeń. Los każdemu człowiekowi wyznaczał ścieżkę w życiu. Narzędziem jego własnego przeznaczenia było okrucieństwo stryja.

Dlatego zadam mu szybką śmierć, postanowił.

Tłum zebrany na dziedzińcu rozstępował się przed nimi, kiedy Shika szedł za Nobuto z lekko posapującym Genem u boku.

Dobrze pamiętał stary dom mimo zmian, które w nim wprowadzono: zakratowane okna, wewnętrzne drzwi, które otwierano na hasło i od razu z powrotem ryglowano. Shika dostrzegł ukryte drzwi, zapewne do tajnych pomieszczeń. Nagle pomyślał o ojcu, tengu i fatalnej grze w go. Usłyszał grzechot i stukanie kamyków. Później naszło go ostre

wspomnienie matki, której nie widział od dzieciństwa. W jego pamięci zachowały się tylko mgliste obrazy, dotyk szaty, zarys sylwetki na tle otwartych drzwi. Nie rozumiał, dlaczego go zostawiła, ale nagle poczuł pewność, że nigdy o nim nie zapomniała i że modliła się o niego przez ten cały czas. Stał przed stryjem ze zmiękczonego sercem.

Sademasa miał na sobie tę samą zbroję co zawsze, skórzaną z fioletowym sznurowaniem, i miecz leżący pod ręką. On sam siedział na podwyższeniu, gdzie jedyne ustępstwo na rzecz wygody albo luksusu stanowiła cienka słomiana mata. Oprócz niego w pokoju znajdowało się piętnastu członków świty, po pięciu stojących wzdłuż bocznych ścian i pięciu z tyłu.

Shika ukląkł i pochylił głowę do ziemi. Po chwili, zbyt krótkiej na okazanie szacunku, usiadł i, nie czekając na pozwolenie, rzekł:

– Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, stryju.

Sademasa zmarszczył brwi.

– Moje zdrowie to nie twoja sprawa, kimkolwiek jesteś. Zadziwiająco, że odważyłeś się znowu tutaj zjawić. Najwyraźniej aż się rwiesz do przekroczenia Rzeki Śmierci. Przyspieszę twoją podróż. Mogę ci obiecać, że tym razem nie zostaniesz przy życiu, nawet jeśli sam książę opat przyjedzie, żeby się za tobą wstawić.

– Nie ma potrzeby się śpieszyć – powiedział Shika. – Nie mogę zrobić ci krzywdy sam i nieuzbrojony. Ale mogę się przydać.

Sademasa nie odpowiedział, tylko przyjrzał mu się uważnie.

– Przestań udawać, stryju. Musiałeś mnie rozpoznać. Przyglądałeś się dostatecznie długo. Wiesz, że to ja, Kazumaru.

Usłyszał, że obecni biorą gwałtowny wdech.

– Kazumaru niestety nie żyje – oświadczył bez przekonania Sademasa. – Pokaż mi to stworzenie i wyjaśnij, jak ono działa.

Shika przyciągnął niechętnego Gena przed siebie. Sademasa z niedowierzaniem zmrużył oczy.

– Co to za okropieństwo?

– To wilk stworzony przez człowieka. Mam dużo takich istot i mogę ich zrobić jeszcze więcej.

– Potrafisz robić ludzi? – zapytał z wahaniem Sademasa.

– Coś w rodzaju ludzi – skłamał Shika, bo nawet Shisoku nigdy czegoś takiego nie próbował.

– Jak? Obdzierasz umarłych ze skóry i wypychasz ich słomą, tak jak tego tutaj?

– To taki sam proces. – Gdzie są chłopcy? Jak długo mam podtrzymywać tę dziwną rozmowę?

– Armia półludzi – powiedział wolno Sademasa. – To byłoby coś. Można ich nauczyć walczyć?

– Wilk stał się bardziej prawdziwy. – W tym momencie Gen warknął, obnażając kły. – Widzisz, on warczy, gryzie, żywi się mięsem.

– Może zdechnąć? Czy ci ludzie by umierali?

– Można ich zniszczyć tylko ogniem. Wszystkie inne szkody da się naprawić. Oni nie żyją naprawdę, więc nie mogą umrzeć.

– Każę rozłożyć tego na części, żeby się dowiedzieć, jak działa.

Gen zawył, a Sademasa się pochylił.

– Interesujące. On rozumie każde słowo, prawda? Już nie mogę doczekać się sekcji. Sprawdzimy, jak jest zbudowany. – Sademasa uśmiechnął się z satysfakcją. – Nobuto powiedział, że masz również magiczną maskę, której tamten mnich nie pozwolił mi wtedy zobaczyć.

Shika skłonił głowę. Kiku! Pośpiesz się, zanim Gen i ja zostaniemy poddani sekcji!

– Pokaż mi ją – zażądał Sademasa.

Shikanoko ostrożnie wyjął maskę z worka i uniósł ją, trzymając oburącz. W pokoju zapadła cisza, kiedy obecni wyczuli jej moc. Nawet Sademasa umilkł. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Daj mi ją.

– Stryju, ona poparzy każdego, kto spróbuje ją włożyć, z wyjątkiem mnie.

Sademasa ściągnął wargi w zamyśleniu.

– Przeprowadźcie syna zdrajcy – rozkazał.

Nobuto i jeszcze jeden sługa opuścili pokój. Wrócili po jakimś czasie, wlokąc między sobą młodego mężczyznę w tym samym wieku co Shika. Był to jego przyjaciel z dzieciństwa Nagatomo.

Pobity tak bardzo, że nie mógł stać o własnych siłach, miał ręce związane na plecach, twarz i włosy poplamione krwią. Kiedy mężczyźni go puścili, bezwładnie runął na podłogę. Nobuto kopnął go z rozmachem. Nagatomo jęknął, ale nie krzyknął.

Serce Shiki wypełniły przerażenie, litość i gniew.

– Włóż mu maskę na twarz – polecił Sademasa, zwracając się do Nobuto. – Zobaczymy, czy włóczęga mówi prawdę.

– Ona go poparzy – jeszcze raz ostrzegł Shikanoko.

Nobuto uśmiechnął się, jakby ta perspektywa rozbawiła go i sprawiła mu radość. Sademasa pochylił się z chłodną ciekawością.

Shika wstał, żeby rzucić się na stryja i zabić go gołymi rękami, ale dwaj wojownicy chwycili go i przytrzymali.

Jeden sługa przytrzymał twarz Nagatomo, a Nobuto przycisnął do niej maskę. Z ust młodzieńca wyrwał się taki ryk bólu, że nawet najbardziej brutalni wojownicy zadrżeli. Nagatomo wił się bezradnie w uścisku siepaczy. Pokój wypełnił się odorem palonego mięsa.

Ale Shika usłyszał coś jeszcze: głos zmarłego Naganoriego.

– Sademasa, czekam na ciebie!

Okrzyk wstrząsnął wszystkimi obecnymi, ale zanim ktoś zdążył zareagować, spod sufitu dobiegło bzyczenie. Shika spojrzał w górę i zobaczył, że przez szparę w stropie do pomieszczenia wlatuje szerszeń.

– Sademasa! – wykrzyknął znowu duch.

Zdeprymowany tym wołaniem gospodarz dostrzegł owada dopiero, kiedy ten śmignął prosto do jego twarzy i ugryzł go w usta. Sademasa strącił go czym prędzej, ale szerszeń natychmiast użądlił go znowu. Dwaj mężczyźni trzymający Shikę puścili go i popędzili do swojego pana.

Szczelina w suficie otworzyła się szerzej i wpadł przez nią Jinan. Shika już miał zerwać maskę z twarzy Nagatomo, ale zamiast niej chwycił miecz za rękojeść i uniósł go, żeby zadać cios stryjowi. Okazało się, że atak nie jest potrzebny. Jad już zaczął działać. Sademasa drapał gardło palcami, łapiąc oddech. Jego pierś z trudem unosiła się w ciasno zasnuwanej zbroi, oczy wychodziły na wierzch. Po chwili upadł do przodu wstrząsany drgawkami, stracił kontrolę nad zwieraczami. Po pokoju rozszedł się smród.

Szerszeń krążył z wściekłym bzyčeniem po pokoju, a słudzy się przed nim cofali. Jeden czy dwaj wyciągnęli miecze i próbowali trafić go płazem, ale tylko bardziej go rozdrażnili. Zanim ktoś pomyślał, żeby otworzyć drzwi, szerszeń ugryzł jeszcze dwóch ludzi, zadając im taką samą śmierć jak Sademasie, który teraz leżał bez ruchu na podłodze. Ci, którzy ocaleli, wypadli z izby.

Shika stał z uniesionym mieczem, ale kiedy wszyscy zniknęli, podszedł do Nagatomo, który już tylko jęczał. Zdjął mu maskę z twarzy i przyjrzał się prawie zwęglonej skórze. Spojrzały na niego zamglone z bólu oczy i go rozpoznały, zabłysło w nich światło.

Shikanoko ukląkł obok dawnego przyjaciela i delikatnie rozwiązał mu rękę. Rozmasował zdrętwiałe palce, żeby wróciła do nich krew. Oczy Nagatomo wypełniły się łzami bólu.

– Przepraszam – wyszeptał Shika. – Wybacz mi. Nie umrzesz. Uratujemy cię.

W tym momencie z dachu zeskoczyli Kiku i Kuro, dumni z siebie i rozradowani. Nie zwrócili uwagi na poparzonego.

– Dobrze nam poszło, co?! – wykrzyknął Kiku. – Podobał ci się mój głos? Mówiłem, że go rozdrażnimy!

– To wszystko zrobił mój szerszeń – pochwalił się Kuro i przyjrzał się trupom. – Nie wiedziałem, że jest taki jadowity! Mam nadzieję, że go nie zabiją. Chcę go z powrotem.

– Co teraz będzie? – zapytał Kiku.

– Teraz forteca jest moja i wszyscy muszą mnie słuchać – oświadczył Shikanoko. – Przejmę władzę, ale najpierw muszę pomóc Nagatomo.

– Aha – mruknął Kiku i po raz pierwszy spojrzał na Nagatomo. – To twój przyjaciel? Jaka szkoda.

– Masz jakąś maść albo lek na takie oparzenie?

– Wziąłem tylko trucizny – odparł Kuro. – Myślałem, że jedziemy zabijać, a nie leczyć.

Na widok chłopców fałszywy wilk zamachał ogonem, a teraz zbliżył się do Nagatomo, który na szczęście stracił przytomność. Obwąchał jego spaloną twarz i delikatnie zlizął łzy. Shika go odepchnął, ale Kiku powiedział:

– Psy i wilki czyszczą rany językiem. Może Gen złagodzi ból.

Nie mogąc dłużej zwlekać, pomyślał Shika. Kazał Genowi zostać z rannym, a sam skinął na chłopców i podszedł do drzwi.

– Co słyszysz, Kiku?

– Mężczyźni są na wewnętrznym dziedzińcu. Ten, który się nazywa Nobuto, próbuje zorganizować atak na ciebie. Pozostali są niechętni.

– Gdzie mój szerszeń? – spytał Kuro.

– Bzyczy. Słyszę go, ale nie jestem pewien gdzie.

– Jeśli zrobią mu krzywdę, zabiję ich – zapowiedział Kuro.

Po ucieczce wojowników wszystkie drzwi były otwarte. Z mieczem w ręce Shika pomaszerował korytarzami na dziedziniec.

Kłócący się mężczyźni umilkli na jego widok. Jeden czy dwóch nasadziło strzały na łuki i wycelowało je w niego.

– Kumayama no Jiro no Sademasa, brat Shigetomo, stryj Kazumaru, teraz znanego jako Shikanoko, nie żyje – oznajmił Shika. – Nie zabił go żaden człowiek. Został ukarany przez niebiosa za brak wiary i okrucieństwo. Wróciłem, żeby objąć w posiadanie swoje dziedzictwo i rzucić wyzwanie tyranom z Miyako i Rhyusonji. Przywrócę prawowitego cesarza na tron. Ci z was, którzy kochali mojego ojca i którzy chcą mi służyć, niech uklękną i przysięgną mi wierność. Każdy, kto postanowi się sprzeciwić, może to zrobić. Mieczem.

Wojownicy kolejno opuszczali broń i padali na kolana. Tylko Nobuto stał. Kiedy się rozejrzał i zobaczył, że jest sam, wykrzyknął:

– Wy tchórze! Tak szybko zapomnieliście swojego pana? Oszust wystraszył was swoimi magicznymi sztuczkami i przeklętymi istotami. Ale ja udowodnię, że został w Kumayamie jeden mężczyzna.

Rzucił się na przeciwnika z wyciągniętym mieczem i zadał cios, którym przeciąłby go na pół, gdyby Shika pozostał na swoim miejscu. On jednak uskoczył w bok i natychmiast odparował wściekły atak. Tamtych dwóch ludzi na drodze zabił z łuku, a Gessho był osłabiony przez truciznę, kiedy walczył z nim na miecze. Teraz miał do czynienia z mężczyzną w pełni sił, wojownikiem dużo bardziej doświadczonym od niego, nieustraszoną i zdesperowaną.

Żaden z obserwujących nie ruszył mu na pomoc, a Shika uświadomił sobie, że jest poddawany próbie. Jeśli wygra ten pojedynek jako wojownik, a nie czarownik, pójdą za nim bezwarunkowo.

Nie miał czasu na dalsze rozważania. Walczył o życie.

Czas się zatrzymał. Wszystko zbladło. Na świecie zostali jedynie on, jego przeciwnik i ich miecze. Już nie był Shikanoko ani Kazumaru, ani nikim innym, tylko czystym instynktem, niewyczerpaną energią i jedynym pragnieniem: żeby żyć. Jego wola wyrażała się w każdym ciosie i kroku, niezłomna i niepowstrzymana. Rywal, starszy i silniejszy, bez wątplenia był dużo lepszym wojownikiem. Człowiekiem, który się nie poddawał mimo licznych ran broczących krwią. Kiedy jego prawe ramię stało się bezużyteczne po cięciu w nadgarstek, Nobuto przerzucił broń do lewej ręki.

Shika też krwawił i zaczynał odczuwać zmęczenie. Nienawidził Nobuto za waleczność i zastanawiał się, jak długo jeszcze sam wytrzyma.

Raptem Nobuto się potknął, kiedy coś zabzyczało mu koło ucha.

Muszę go zabić, nim szerszeń to zrobi, pomyślał Shika. On musi zginąć z mojej ręki.

Ostatkiem sił skoczył do przodu i zadał niezdarny, brutalny cios, którego po raz pierwszy Nobuto nie przewidział i wręcz sam nadział się na miecz Shikanoko. Ostrze przeszło mu gardło na wylot.

Nobuto wytrzeszczył oczy, krew trysnęła mu z ust, nogi się pod nim ugięły. Nienawiść wykrzywiła jego rysy i chwilę później dusza uleciała ze zmaltretowanego ciała.

Szerszeń poleciał teraz prosto na Shikę, a on pomyślał, że wygrał walkę tylko po to, żeby umrzeć tą samą śmiercią przez uduszenie co jego stryj. Stał nieruchomo zdecydowany nie okazać strachu. Owad okrążył jego głowę, a kiedy Shikanoko nawet nie drgnął, śmignął nad klęczącymi mężczyznami, potem nad palisadą i odfrunął w stronę lasu.

* * *

Kiedy spalono ciała, a popioły zakopano w zmarzniętej ziemi, Shika usunął z fortecy wszelkie ślady stryja, dorzuciwszy do ognia jego ubrania i rzeczy osobiste. Po śmierci Nobuto reszta wojowników postanowiła służyć Shikanoko, a on kilka dni później wyruszył wraz z połową z nich do Kuromori. Zaskoczyli niewielki oddział Miboshich oblegający twierdzę i zabili wszystkich przeciwników z wyjątkiem kilku, którzy zdołali uciec. Po uratowaniu Kongyo i jego ludzi Shika chciał iść na Matsutani, ale pierwszy tegoroczny śnieg zmusił go do powrotu do Kumayamy na zimę.

Tam natknął się na inny problem: kobiety. Żona Sademasy, kilka konkubin, dzieci. Nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Powinieneś być bezwzględny – stwierdził Kiku, który w ciągu zaledwie kilku tygodni przyswoił sobie podstawowe elementy kultury wojowników. – Później będą jeszcze większym kłopotem.

– Twój stryj by cię zabił – dodał Kuro.

– Tak! – wykrzyknął Kiku. – Nie zrobił tego i spójrz, co się stało. To dowodzi, że mam rację.

– To są moi kuzynowie – powiedział Shika. – Jeśli ich oszczędzę i wychowam, będą mi wdzięczni i lojalni.

– Ja nienawidziłbym człowieka, który darował mi życie – oświadczył Kiku.

– Ja też – poparł go brat.

– Ale dlaczego? Nie bylibyście wdzięczni?

Kiku zmarszczył brwi.

– Czułbym, że ma nade mną władzę, jakbym był mu coś winien. Nie mógłbym tego znieść.

– My możemy ich zabić – zaoferował się Kuro. – To byłoby dobre ćwiczenie, a ja wypróbowałbym moje inne owady.

W fortecy już było lodowato mimo piecyków, a słowa i spokojne twarze chłopców

przejęły Shikę jeszcze większym chłodem. Zdecydowanie wybił im z głowy takie pomysły, ale w ciągu zimy dzieci umierały jedno po drugim. Dwoje wymiotowało i miało biegunkę, jedna dziewczynka wykrwawiła się na śmierć od tajemniczych nakłuć, jakby zaatakowały ją pijawki, kolejne dziecko dostało konwulsji, jeszcze inne zachorowało na krup. Dwie z kobiet błagały, żeby pozwolono im ogolić głowy i zostać mniszkami, jedna oszalała po śmierci dziecka i pobiegła do lasu. Wiosną znaleźli jej ciało na pół zjedzone przez wilki. Niektóre, w tym żona Sademasy, odebrały sobie życie, podrzynając gardło nożem jak kobiety wojowników.

Chłopcy nie posłuchali Shiki, tylko spełnili własne sekretne pragnienia. Nie znali współczucia ani litości. On sam był rozdarty między żalem z powodu tych śmierci a ulgą, że problem rozwiązał się w sposób, który przy okazji zapewnił mu reputację bezwzględności.

Hina

Hina przebywała w Nishimi od czterech miesięcy. Cały czas wypełniały jej lekcje, które zorganizował Takaakira: muzyka, poezja, historia, literatura, genealogia. W większości je lubiła i ciężko pracowała, codziennie ćwicząc grę na lutni i pisząc wiersze w odpowiedzi na te, które przysyłał jej opiekun. On zwracał je z poprawkami i sugestiami, które ją irytowały i smuciły, ale jednocześnie budziły w niej determinację, żeby napisać taki utwór, w którym Takaakira nie znajdzie żadnego błędu.

Nadzorował postępy Hiny, przychodząc do jej pokoiów każdego popołudnia, żeby posłuchać, jak dziewczynka śpiewa albo gra. Nie chwalił jej często, tak że pozostawała nieświadoma własnych talentów i zachowywała naiwność dziecka.

Nauczycielkami były dwie eleganckie kobiety, które przybyły z Miyako, płynąc łodzią przez jezioro Kasumi. Młodsza, Sadako, udzielała jej lekcji poezji i muzyki, a Masako, starsza i surowsza, specjalizowała się w klasyce i historii oraz pasjonowała się genealogią. Obie przywiozły ze sobą własną służbę. Hina zajmowała się Bara, a były też kucharki, pokojówki, stajenni i ogrodnicy. Wojownicy Takaakiry zamieszkali w długim, niskim budynku na lewo od stajni. Organizowali wyścigi konne i zawody w strzelaniu z łuku, jeździli na polowania do lasu i wzdłuż brzegu jeziora, wyszukiwali sobie zajęcia, z nadzieją czekając na rozkaz ataku na siły Kakizukich, które wycofały się na zachód do Rakuhary.

Dom był zbudowany w stylu wiejskiego dworu, jednocześnie rustykalny i luksusowy. Pokoje ciągnęły się wzdłuż trzech boków dziedzińca, którego czwarta strona otwierała się na jezioro, żeby latem chłodziła go bryza znad wody. Od zachodu rezydencję osłaniały bambusowy zagajnik i duży ogród. Od północy na szerokim pasie pastwiska trzymano konie. Na jego skraju mieściły się stajnie zwrócone na południe.

Na jeziorze chroniącym dom przed niebezpiecznym północnym wschodem wznosiła się kaplica, w której, jak dowiedziała się Hina, oddawano cześć Bogini Jeziora i składano jej dary w postaci wina, owoców i ryżu.

Brzeg był głównie piaszczysty, ale dom zbudowano na wzniesieniu terenu otoczonym przez jeszcze wyższe urwiska. Drewniane stopnie zbudowane na głazach prowadziły w dół do przystani, gdzie stały przycumowane łodzie rybackie. Gdy tylko pozwalała na to pogoda, przybijały do niej stateczki handlowe.

Hina dowiedziała się od pani Masako, że ten piękny pałac należał kiedyś do szlachcica

Hidetake, który był bliskim przyjacielem księcia koronnego i zajmował wysoką pozycję na cesarskim dworze za rządów Kakizukich. Jego żona była mamką i przybraną matką książęcego syna Yoshimoriego, który teraz, jak niektórzy ośmielali się myśleć, choć nie mówili tego otwarcie na wschód od Rakuhary, był prawdziwym cesarzem, jeśli nadal żył.

Masako nie omieszkała zapewnić, że to błędne przeświadczenie, ponieważ obecny cesarz, siostrzeniec księcia opata, jest prawowitym władcą, pobłogosławionym przez niebiosa, ale szczerze oddana prawdzie nie mogła całkowicie pominąć drugiej dynastii.

Nawet w Nishimi, daleko od stolicy, nie mogli uciec przed nieszczęściami, które nawiedzały kraj od śmierci księcia koronnego i klęski Kakizukich. Niegdyś bogata posiadłość, która handlowała z kupcami z Miyako i Kitakami, uprawiała ryż, proso, fasolę i taro, miała setki miłorzębów, moreli i mandarynek, hodowała jedwabniki i tkła jedwab, bardzo podupadła, doświadczana przez klęski naturalne i ucieczkę większości zarządców. Takaakira pierwszy miesiąc poświęcił na szukanie ich następców, ratowanie choć części zbiorów i przygotowanie domu na zimę.

Pewnego dnia jedenastego miesiąca przybył z Miyako konny posłaniec z herbem pana Aritomo na pelerynie.

– Jaśnie pan na pewno wróci do stolicy – stwierdziła Bara, czesząc Hinę w oczekiwaniu na popołudniową wizytę Takaakiry.

– Dlaczego? – zdziwiła się dziewczynka. – Myślałam, że zostajemy tutaj na całą zimę.

– Pan Aritomo nie chce, żeby jego najważniejszy dworzanin zagrzebał się na wsi. Ale jaśnie pan nie zabierze cię ze sobą. Zostaniesz tutaj, gdzie jesteś bezpieczna.

– Chciałabym wrócić do domu, do prawdziwego domu – powiedziała ze smutkiem Hina.

– Nie bój się, kurczaczku... to znaczy, pani Hino. Masz więcej szczęścia niż inni.

Bara często zwracała się do niej pieśczośliwie i traktowała ją jak młodszą siostrę, ale nigdy w obecności nauczycielek czy swojego pana.

Tego popołudnia Takaakira wydawał się mocno zafrasowany i najwyraźniej nie miał ochoty wychodzić. Hina grała dla niego i śpiewała imayo, która, jak powiedziała jej Sadako, była popularna na dworze przed kilku laty. Potem czytała mu wiersze, ale nie zdołała rozproszyć jego posępnego nastroju.

– Nadal masz tę swoją „Skarbnicę kudzu”? – przerwał jej nagle.

– Tak. Próbuję trochę czytać każdego dnia. Przynieść ją?

– Nie, po prostu chciałem wiedzieć, że jest bezpieczna. A szkatułka? Nadal ją masz?

– Tak.

Takaakira pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Dopiero po dłuższej chwili zauważył:

– Dzisiaj jest bardzo zimno. W górach i w mojej krainie na północy wkrótce spadnie śnieg. Bara musi bardzo o ciebie dbać, żebyś się nie rozchorowała. Nikomu nie wolno tutaj wchodzić bez uprzedniego oczyszczenia i modlitwy.

– Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżał – powiedziała Hina.

– Ja też, moje drogie dziecko. Nie chcę cię opuszczać. Dowiem się, dlaczego pan Aritomo mnie wzywa, i wrócę najszybciej, jak będę mógł. Ale obawiam się, że to może być dopiero na wiosnę.

Hina za nim tęskniła. Pałac wydawał się bez niego pusty i choć lekcje odbywały się bez zmian, bez jego krytyki i rzadkich pochwał ona nie miała już takiego zapału do nauki. Oprócz muzyki, którą naprawdę kochała – mogłaby grać na lutni cały dzień – nie potrafiła się skupić na innych rzeczach. Zaczęła rozmyślać o przeszłości w sposób, na jaki sobie do tej pory nie pozwalała. Wspominała życie w Matsutani, zabawy z braciszkiem Tsumaru i dziećmi Haru: Kaze i Chiką. Tęskniła za spędzaniem czasu na dworze, za końmi, na których nauczył ją jeździć ojciec, za bieganiem po lesie z psami. Brakowało jej Ciemnego Lasu, jego tajemniczej obecności. Zaczęła śpiewać piosenki i ballady, których słuchała na kolanach Haru, kiedy umarła jej matka. Dołączyła do nich lament nad dzieckiem smoka, które w jej umyśle nierozzerwalnie połączyło się z Tsumaru.

Pieśń nappełniała ją smutkiem, przypominała o nocy, której Shikanoko opowiedział, jak umarł jej brat, a ona na próżno czekała, aż ojciec wróci do domu. W jej sercu splatały się żal i dziecięca miłość do Shiki.

Wiele z tych rzewnych ballad pasowało do jej melancholijnego nastroju. Czasami udawała, że jest Jesienną Księżniczką, jak wszyscy nazywali córkę pana Hidetake. Podobało się jej to imię, brzmiało smutno i jednocześnie pięknie. Przez wiele miesięcy podejrzewała, że właśnie dlatego Takaakira ją tutaj przywiózł. To miejsce idealnie nadawało się na jej kryjówkę, ale przez cały czas, kiedy opiekun słuchał jej muzyki i wierszy, sprawdzał postępy w nauce i doglądał posiadłości, spodziewał się, że Akihime pojawi się w swoim starym domu.

– Czekał na nią przez całą jesień – powiedziała do siebie.

I stwierdziła, że to brzmi jak początek wiersza miłosnego. Zaczęła od niechcenia bawić się słowami, ale szybko doszła do wniosku, że Takaakira wcale czekał jak kochanek. Raczej wspólnie z panem Aritomo zastawili pułapkę, z której Księżniczka nie mogła uciec żywa.

Gdzie ona teraz jest? Uznali, że dziewczyna nie żyje, więc nie ma potrzeby na nią czatować? Shikanoko też przeniósł się do drugiego świata, jak jej ojciec i brat, matka, wszyscy, których kiedyś kochała? Te myśli ją przygnębiały. Nauczycielki i Bara zauważyły jej smętny nastrój i pomyślały, że dziewczynka tęskni za Takaakirą. Zaproponowały więcej zajęć na świeżym powietrzu w cieplejsze dni.

Robiło się coraz zimniej, niebo było zasnuwane chmurami. W przestronnych pomieszczeniach dworu zbudowanego z myślą o wilgotnych i gorących miesiącach lata panował dotkliwy chłód. Sadako i Masako złapały przeziębienie i przez kilka dni nie wychodziły ze swoich pokojów. Hina miała zbyt zdrętwiałe dłonie, żeby utrzymać w nich pióro albo plektron. W zbiegających palcach u stóp czuła ból i swędzenie. Obie z Barą spały pod stosami watowanych ubrań, tuląc się do siebie dla odrobiny ciepła.

Któregoś ranka wiatr z południa przyniósł nagłą zmianę pogody. Wyszło słońce i trochę ogrzało powietrze. Hina obudziła się wcześniej, a Bara, która z zimna zwykle wierciła się przez całą noc, teraz spała głęboko. Dziewczynkę ogarnęła wielka chęć, by wyjść z domu.

Przez całe tygodnie pastwisko rano bielilo się od szronu, ale tego dnia było brązowe. Konie z kudłatą zimową sierścią skubały wyschniętą trawę. Hina pobiegła ścieżką w dół urwiska. Nie było nikogo, kto kazałby jej iść spokojnie. Nad wodą kilku rybaków szykowało łodzie i sieci, korzystając z nagłego ocieplenia. Hina minęła ich bez słowa. Za nadbrzeżnymi skałami stado siewek wzbiło się w powietrze z zawodzącymi krzykami.

W oddali Hina usłyszała ciche rzenie. Odwróciła się w stronę dźwięku. Koń zarżał głośniejsze, a potem zaczął truchtać ku niej, powoli i niezdarnie z powodu napęczniałego brzucha. Za klaczą galopował swobodnie srebrzystobiały ogier.

– Risu! – wykrzyknęła Hina. – Nyorin!

Klacz omal jej nie przewróciła, kiedy z radością trąciła ją chrapami. Hina przytrzymała łeb konia i pogłaskała po szerokim czole, a następnie dotknęła brzucha. Poczowała kopnięcie źrebaka. Przepęłniły ją emocje tak silne, że w jej oczach wezbrały łzy. Nyorin opuścił głowę i parsknął jej w twarz. Hina pogłaskała go po miękkich różowych nozdrzach.

– Gdzie jest Shikanoko? – spytała i po chwili zawołała: – Shikanoko!

Jej głos zabrzmiał słabo, ciszej niż krzyki siewek.

Konie miały na sobie uprząż, a na grzbiecie Risu leżał tobołek, z którego wystawał gryf lutni. Hina nie mogła go dosięgnąć.

To było jak sen pełen dziwnych obrazów, które musiały mieć jakieś znaczenie, ale ona nie potrafiła ich zrozumieć. Pomyślała jedynie, że Shikanoko spadł z konia i teraz leży ranny gdzieś niedaleko, na polach ryżowych albo na brzegu jeziora.

– Pokażcie mi, gdzie on jest – powiedziała do klaczy i ujęła wodze.

Chętnie by na niej pojechała, ale bała się, że zrobi krzywdę nienarodzonemu źrebięciu. A Nyorin był o wiele za wysoki, żeby mogła go dosięgnąć bez czyjejś pomocy.

Risu chyba ją zrozumiała, bo ruszyła wzdłuż brzegu w stronę małej kaplicy Bogini Jeziora. Nieduża budowla znajdowała się naprzeciwko cynobrowej bramy z żerdzi stojącej w wodzie. Była pusta. Odwiedzano ją tylko w czasie letnich świąt, ale rolnicy i rybacy zostawiali dary na zewnętrznym ołtarzu, dzwoniąc dzwonkiem i zanosząc prośby. Nikt nie miał odwagi wejść do środka i ryzykować, że niechcący obrazi bóstwo.

Hina się rozejrzała. W zasięgu słuchu nie było nikogo. Rybacy spuścili łodzie na wodę i teraz powoli wiosłowali na jeziorze. Dziewczynka wspięła się po schodach i po chwili nasłuchiwania przy drzwiach zawołała cicho:

– Jest tam kto? Shikanoko?

Usłyszała trzeszczenie podłogi, jakby ktoś szedł po niej na palcach. Potem rozległ się kobiecy głos:

– Kim jesteś? Dlaczego wymówiłaś to imię?

– A ty kim jesteś? – spytała szeptem Hina. – I dlaczego masz jego konie?

– Znasz je? Powiedz mi ich imiona.

– Klacz to Risu, a ogier to Nyorin. Wpuść mnie, nie możemy tak rozmawiać.

– Wpuszczę cię, jeśli jesteś sama. Ale ostrzegam, mam miecz.

– Jestem sama – powiedziała Hina i pchnęła drzwi.

W kaplicy panował mrok. Pomieszczenie cuchnęło pleśnią, kurzem i olejem do lamp,

słabym wspomnieniem letnich nocy. Przed nią stała młoda kobieta z mieczem w ręce i małym ceremonialnym łukiem na plecach. Skośtunione włosy miała związane z tyłu opaską. Pod krótkim kaftanem nosiła rajtuzy. Jej ubranie było brudne, niewiele lepsze od łachmanów, twarz miała ciemną od brudu i opalenizny.

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę. Hina pierwsza przerwała milczenie, mówiąc:

– Jestem córką Kiyoyoriego. A ty chyba Jesienną Księżniczką?

– Kiedyś nazywałam się Akihime – Dziewczyna opuściła miecz i powiedziała oficjalnym tonem: – Twój ojciec był dzielny i lojalny człowiekiem. Jestem mu wdzięczna za jego poświęcenie. On i mój ojciec zginęli tego samego dnia.

Hina poczuła, że w jej piersi wzbiera szloch, ale go zdusiła.

– Nikt nie wie tego na pewno. Widziałaś, jak umiera?

Akihime popatrzyła na nią we współczuciem.

– Nie, ale... Opowiem ci pewnego dnia, nie teraz. Co tutaj robisz? Jak przeżyłaś masakrę w stolicy?

– Uratował mnie pewien wojownik, Yukikuni no Takaakira, i przywiózł tutaj, żeby ukryć.

– Po co?

Hina odpowiedziała dopiero po chwili.

– Chce uczynić mnie swoją żoną. Kształci mnie, żebym była idealną kobietą, a w tym czasie reszta świata zapomni, że kiedykolwiek istniała córka Kiyoyoriego.

– Ale przecież ty jesteś jeszcze dzieckiem! – wykrzyknęła Akihime.

– Już niedługo.

– Miejmy nadzieję, że wcześniej Miboshi zostaną pokonani! Nie wiedziałam, że Takaakira tu będzie. Przyjechałam, bo to posiadłość mojej rodziny. Myślałam, że się tutaj ukryję.

– On na ciebie czekał – wyjawiała Hina. – Spodziewali się, że przyjedziesz. Nie jesteś tutaj bezpieczna.

– Nie wiem, dokąd pójść – poskarżyła się Akihime. – Przyjechałabym wcześniej albo ukryła się gdzie indziej, ale nie mogłam zostawić koni. Musiałam o nie walczyć, bo wielu chciało je ukraść. Podróżowałam głównymi drogami, ale, choć teraz tak wyglądam, ludzie zaczęli o mnie mówić. Mężczyźni szukali mnie, żeby rzucić mi wyzwanie albo schwytać. Ojciec nauczył mnie walczyć, nie sądziłam jednak, że będę się bronić przed złodziejami i zbójcami na drogach. Nie mogę już dłużej walczyć ani podróżować. – Rozchyliła kaftan i pokazała napęczniały brzuch.

Hina zmrużyła oczy, czując, że zalewa ją fala zazdrości i gniewu. Ledwo zapanowała nad emocjami.

– To dlatego masz konie Shikanoko?

– Szybko myślisz! Bystre z ciebie dziecko. Tak, to on jest ojcem. – Twarz Akihime spochmurniała, ale głos sugerował coś innego.

Hinie bardzo się nie spodobało, że nazwano ją dzieckiem. Raptem straciła całą chęć, żeby pomóc Akihime. W tej chwili wołałaby, żeby Jesienna Księżniczka zniknęła albo

umarła. Ale potem przypomniała sobie, że ta młoda kobieta służyła cesarzowi, za którego zginęli ich obaj ojcowie. Łączyły je silne więzy.

– Gdzie jest teraz Shikanoko? – zapytała.

– Nie wiem. Konie go zaatakowały. Był nieprzytomny, kiedy go zostawiliśmy.

Ja nigdy bym go nie zostawiła!

– Nie żyje?

– Nie wiem – powtórzyła Aki.

– Powiedziałaś „my”. Byłaś razem z synem cesarza?

Akihime pokiwała głową.

– A gdzie on jest teraz? – Hina się rozejrzała, jakby chłopiec mógł się ukrywać w kaplicy.

– Opowiem ci całą historię, obiecuję, ale nie w tej chwili. Muszę postanowić, co robić dalej.

– Takaakiry nie ma – powiedziała Hina. – Musiał pojechać do stolicy, bo tam są jakieś kłopoty. Nie jestem pewna, kiedy wróci. Większość jego dawnych sług uciekła. Zastanawiam się, czy zostali jacyś, którzy by cię rozpoznali.

– Minał już rok, odkąd tutaj byłam. Nie sądzę, żeby mnie rozpoznali.

– Szukają cię. Ale spodziewają się młodej księżniczki, a nie...

– Kobiety oczekującej dziecka. – Akihime uśmiechnęła się gorzko.

– Zostań tutaj, jeśli się nie boisz – zaproponowała Hina.

– Bałam się przez całe miesiące, ale tutaj... zamierzałam powiedzieć, że się nie boję.

Jako dziecko zostałam poświęcona Bogini Jeziora, która jest wcieleniem Miłosiernej Kannon. Ukrywałam się tutaj przed opiekunkami i nikt nie odważył się mnie szukać. Zajadałam nawet ciastka ryżowe i inne dary. Bogini nigdy mnie nie ukarała. Ale teraz już mnie nie chroni. Złamałam śluby czystości. Miałam zostać świątynną dziewicą w Rinrakuji. I teraz ona mnie karze.

Wyglądała tak smutno, że Hinę zdjęła litość.

– Zaopiekuję się tobą. Przyniosę trochę jedzenia i zostawię je tutaj, a później przyślę Barę, żeby przyprowadziła cię do domu.

– A co powiedzą ludzie, kiedy zobaczą dwa obce konie z siodłem i uprzężą?

– Zaprowadzę je teraz do stajni i powiem, że je znalazłam. Nie po raz pierwszy trafiają tutaj zabłąkane konie. – Hina się uśmiechnęła. – A Risu bezpiecznie urodzi źrebaka. Myślisz, że będę mogła zatrzymać go dla siebie?

– Nikt nie jest tego bardziej wart od ciebie – zapewniła ją z uśmiechem Aki.

– Widziałam lutnię – powiedziała Hina. – Grasz?

– Próbuję, ale nie idzie mi najlepiej.

– Mogę spróbować?

– Zdradzę ci tajemnicę. To Genzo, lutnia cesarza. Ukryj ją i dobrze pilnuj.

Hina ostrożnie wyszła na zewnątrz. Konie czekały przy kaplicy. Dziewczynka stanęła na schodach, żeby dosięgnąć grzbietu klaczy, odwiązała tobolek z lutnią i wsadziła go pod pachę. Potem ujęła wodze i zaczęła prowadzić Risu i Nyorina w stronę stajni.

Pokonała niecałe pół drogi, kiedy zobaczyła, że przez pastwisko biegnie Bara. Inne konie zaczęły potrząsać łbami, uciekać, kopać i wierzgać jak na wiosnę. Potem wróciły, żeby obejrzeć nowo przybyłych, węsząc w powietrzu i rżąc głośno.

– Pani Hino, co robisz?! – krzyknęła Bara.

– Zobacz, co znalazłam! Zabłąkane konie!

– Uważaj, mogą być niebezpieczne.

– Nie, są łagodne – zapewniła ją dziewczynka, ale kiedy Bara podeszła bliżej i próbowała wziąć wodze Risu, klacz położyła uszy po sobie i obnażyła zęby.

– Bądź grzeczna! – skarciła ją Hina i lekko klepnęła.

– Nie lubię koni – przyznała się Bara. – Są takie ciężkie i niezdarne, nie patrzą, gdzie stawiają nogi, i są kapryśne.

– Nie lubią ludzi, którzy się ich boją – wyjaśniła Hina, przypominając sobie, co mówił jej ojciec. – Robią się przy nich nerwowe.

– Ale co ty tu robisz tak wcześniej? – zainteresowała się pokojówka. – Obudziłam się, a ciebie nigdzie nie było. Pan będzie bardzo zły, jeśli się dowie. Wszystko mogło ci się przydarzyć.

– Nie mogłam zasnąć. Zobaczyłam, że się ociepliło, i nagle zachciało mi się wyjść z domu. – Hina czuła skruchę z powodu niepokoju Bary, ale również irytację.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem.

– Chyba dobrze ci to zrobiło. Twoje oczy błyszczą, a policzki są różowe. Ale pan Takaakira nie chce, żebyś wyglądała jak wiejska dziewczyna. On lubi, jak jesteś krucha i blada jak lilia.

– Wolałabym być różą jak ty, Baro!

Służąca się uśmiechnęła.

– Następnym razem mnie obudź, to pójde z tobą. Daj mi ten tobolek, zanim go upuścisz. – Wyjęła zawiniątko spod pachy Hiny. – Co jest w środku? Lutnia?

– Tak, była przywiązana do końskiego grzbietu. Później ją wypróbuję. – Po chwili Hina spytała: – Zrobiłabyś coś dla mnie, Baro?

– Tak, kurczaczku, o ile nie będę miała z tego powodu kłopotów.

Hina uśmiechnęła się i nic więcej nie powiedziała. Gdy znalazły się na ścieżce prowadzącej do stajni, na ich spotkanie wybiegli dwaj mężczyźni. Na widok koni wykrzyknęli ze zdumieniem. Jednym z nich był stajenny, którego Hina szczególnie lubiła, choć sama nie wiedziała dlaczego, jako że on prawie wcale się do niej nie odzywał. Ale wyglądał na wesołego i życzliwego, a do tego łagodnie traktował konie. Teraz po raz pierwszy zauważyła, że Bara też darzy go sympatią, i może on ją również, bo wymienili szybki, niemal sekretny uśmiech. Policzki kobiety poczerwieniały, jeszcze bardziej niż Hiny.

Stajenny odebrał od niej wodze Risu, a jego towarzysz wodze ogiera. Ze stajni wybiegł chłopiec i zagnał z powrotem na pastwisko stado koni, które za nimi przyszły. Zwierzęta odbiegły cwałem – fala brązu, czerni i szarości. Nyorin szarpnął się, jakby chciał pogalopować za nimi.

– Hej! – krzyknął stajenny.

– Zostań, Nyorin! – w tej samej chwili rozkazała Hina.

– Skąd są te piękności? – zapytał mężczyzna trzymający Risu.

– Znalazłam je na pastwisku.

– Klacz jest źrebna – zauważył stajenny. – Sądząc po wyglądzie, już niedługo.

– Musicie o nie zadbać – powiedziała Hina. – Będą moje. Jak się nazywasz?

– Saburo, panienko. – Mężczyzna się uklonił. – Jak nazwałaś ogiera?

– Nyorin – odparła Hina i dodała pośpiesznie: – To znaczy srebro, więc chyba do niego pasuje.

– A klacz? – zapytał Saburo. – Jej też nadasz imię?

Hina udawała, że się zastanawia.

– Może Risu?

– Dobrze, panienko. Wyczyszczę je i nakarmię.

– Później przyjdę się z nimi zobaczyć – zapowiedziała Hina i poklepała konie na pożegnanie, a one zarżały, a potem patrzyły za nią, kiedy się oddalała.

Bara kazała Hinie usiąść na werandzie i poszła po wodę, by obmyć jej nogi. Było to miejsce równie dobre na rozmowę jak inne.

– Baro, ktoś ukrywa się w kaplicy – wyszeptała.

– Więc konie nie zjawily się same?

– Nie, to młoda kobieta, która spodziewa się dziecka. Nie ma dokąd pójść.

Bara zaczęła jej szorować stopy z większą energią, niepotrzebnie rozchlapując wodę.

– To ta osoba, na którą czeka pan?

– Skąd wiesz?

– Ludzie o tym mówią. Zastanawiają się, dlaczego pan Aritomo pozwolił Takaakirze tak długo przebywać poza stolicą. Zostało tu parę osób, które służyły panu Hidetake i nadal uważają się za Kakizukich. Na przykład tamten stajenny Saburo. – Wymawiając jego imię, kobieta się uśmiechnęła.

– A ty, Baro?

– Jestem z Akashi, wolnego miasta. Ani Miboshi, ani Kakizuki. Ale pan Takaakira mi ufa i daje pracę. Nie mogę zrobić nic, co byłoby wbrew jego woli.

– To pewnie nie ona – orzekła Hina. – Nie wygląda na księżniczkę, tylko na włóczęgę.

Siedziała cicho, póki Bara nie wysuszyła jej nóg. Bała się, że już zdradziła Aki, i zastanawiała się, jak ją ostrzec.

– Jeśli pani Hina wprost rozkazuje mi coś zrobić, nie mogę jej nie posłuchać – powiedziała cicho Bara.

– Co miałabym ci rozkazać? – spytała dziewczynka.

– Mężczyźni prawie na pewno będą szukać właściciela koni – zauważyła pokojówka.

– Pomyślałam, że mogłabyś przyprowadzić ją do domu po zmierzchu, ale jak wcześniej powstrzymać ich przed zajrzeniem do kaplicy?

– Lepiej ukryć ją w widocznym miejscu, żeby znalazł ją ktoś, kto jej nie szuka.

– Rybacy – wyszeptała Hina. – Gdyby znaleźli ją w wodzie, pomyśleliby, że to Bogini

Jezióra im ją zesłała.

– Młoda brzemienna kobieta, która próbowała się utopić, ale została uratowana przez Boginię – dodała Bara.

– Zanieśmy dary do świątyni w podziękowaniu za konie – zaproponowała Hina. – Powiemy jej o naszym planie.

– Właśnie umyłam ci stopy – pożałowała się Bara.

– To później umyjesz je znowu. Idź szybko, przynieś ciastka ryżowe i co tam jeszcze mamy.

Kiedy służąca pobiegła do kuchni, Hina zainteresowała się lutnią. Rozwiązała tobołek, a gdy wyjęła instrument, zdziwiła się, że wygląda tak zwyczajnie i jest mocno zniszczony. Trąciła strunę, a ta odpowiedziała niechętnie. Lutnia wymagała nastrojenia, ale poza tym Hina wyczuwała w niej silny opór, sprzeciw wobec jej palców i woli.

Już miała ją odłożyć i wsunąć na nogi sandały, kiedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Postanowiła zanieść do kaplicy oczy, żeby chroniły Akihime. Wzięła lutnię i szybko poszła do swojego pokoju, gdzie trzymała pudełko ukryte pod kawałkiem jedwabiu. Słyszała, jak jej nauczycielki kaszlą w swoich kwaterach. Nadal nie czuły się dobrze. Wyglądało na to, że dzisiaj nie będzie lekcji.

Hina uniosła wieczko i pomodliła się szybko, przypominając sobie, jak Takaakira otworzył szkatułkę w Miyako i oczy go zahipnotyzowały, tak że nie mógł się ruszyć, póki jej nie zamknęła. Nigdy nie odważyła się spytać, co mu się wtedy stało. Kiedy wyjmowała pudełko, robiła to, żeby się pomodlić za Sesshina i zwilżyć gałki własnymi łzami. Kiedyś podeszła do niej Sadako i zajrzała jej przez ramię, mówiąc łagodnym głosem:

– Co ty...?

I tylko tyle zdołała wykrztusić. Potem stała bez ruchu, gapiąc się na oczy, a po jej policzkach płynęły łzy.

– Ach, jakie zmarnowane życie – wyszeptała. – Widzę siebie pomarszczoną i starą, bez mężczyzny, miłości i dzieci.

Hina szybko zamknęła szkatułkę i przez kilka następnych dni była dla Sadako szczególnie miła i jeszcze pilniejsza niż zwykle. Choć płakała nad oczami po to, żeby je oczyścić i nawilżyć, a czasami użalała się nad sobą, że jest sierotą, samą na świecie, ukrywaną przez mężczyznę, który pewnego dnia zmusi ją do małżeństwa, one nie pokazywały jej druzgoczącej prawdy tak jak innym.

Właściwie, kiedy myślnami ograniczała się do terażniejszości, nie smuciła się z powodu przeszłości ani nie bała się przyszłości, nie była nieszczęśliwa. Nauka sprawiała jej radość, nauczycielki dobrze ją traktowały, a Bara kochała.

Usłyszała teraz jej wołanie. Zamknęła szkatułkę i wróciła na werandę. Słońce już przygrzewało, tak że było miło siedzieć w jego blasku, podczas gdy służąca zapinała jej sandały.

Na tacy, którą przyniosła Bara, leżały dwa małe ciastka ryżowe, lekko wyschnięta mandarynka i gałązka niebiańskiego bambusa z czerwonymi jagodami.

– Bałam się przygotować zbyt sówite dary – wyjaśniła. – Nie chcę, żeby ktoś nabrał

podejrzeń. Widzę, że masz swoją cenną szkatułkę.

– Zamierzam pożyczyć ją Bogini Jeziora – powiedziała Hina.

– Co jest w środku, kurczaczku?

– Nigdy nie zaglądałaś? – spytała dziewczynka, znając ciekawską naturę Bary.

Kobieta się zarumieniła.

– Raz zerknęłam, ale zobaczyłam tylko siebie, wszystkie swoje błędy z przeszłości, głupie rzeczy, które zrobiłam, sposób, w jaki traktowałam matkę. Bardzo mnie to zdenerwowało, mówię ci. Nigdy więcej tam nie zajrzałam.

– To są oczy pewnego człowieka. Może był czarownikiem, może świętym. Został oślepiiony przez moją macochę. Jestem ich strażniczką do czasu, kiedy będę mogła odwieźć je z powrotem do Matsutani.

Kiedy szły do kaplicy, Hina milczała, zastanawiając się, czy ten dzień kiedykolwiek nadejdzie.

Cieplesza pogoda wyciągnęła wszystkich z domów. Słudzy ćwiczyli konie na pastwisku. Rybacy wypłynęli łodziami na jezioro, ich żony i dzieci spędzały czas na plaży. W czystym powietrzu głośno rozbrzmiewały ich głosy i śmiech. Woda była nieruchoma i gładka jak lustro.

Obecność tylu ludzi przyprawiała Hinę o niepokój. Była pewna, że ktoś uzna ich zachowanie za niezwykle i nabierze podejrzeń. Postawiła szkatułkę na schodach kaplicy, żeby kłaśnięciem w dłonie obudzić Boginię i ostrzec Akihime. Bara położyła swoje dary na stopniu i pociągnęła za sznurek. Dzwonek zabrzączał donośnie, kiedy Hina zaczęła ściszym głosem przedstawiać swój plan, wplatając go w słowa modlitwy.

– Bogini Jeziora, chroń swoje dziecko. Kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, wyjdź i skocz do wody. Została ci poświęcona, więc teraz ją uratuj. Niech rybacy cię znajdą. Ukryj ją w swojej głębinie i pozwól, żeby fale zaniósł ją na brzeg. Moja pokojówka Bara się tobą zajmie. Ja zostawię tu coś, co cię będzie chronić, ale nie zaglądaj do środka. Bogini Jeziora, pobłogosław te oczy i spraw, żeby widziały wyraźnie.

Między górnym stopniem a drzwiami była duża szczelina. Dziewczynka wsunęła przez nią ciastka ryżowe i mandarynkę. Usłyszała cichy szept:

– Dziękuję. Zrobię, jak mówisz. Zostawię tu swój miecz, dla Bogini. Proszę, przypilnuj go. Zatrzymam nóż, żebym mogła się zabić, jeśli mnie rozpoznają.

– Tak się nie stanie. – Hina miała całkowite zaufanie do Bogini i oczu Sesshina.

Aki

Kiedy córka Kiyoyoriego i jej pokojówka odeszły, Aki zjadła ciastka ryżowe, ale się nimi nie nasyciła. Dziecko rosło, a ona stale była głodna. I bardzo chciało się jej pić. Mandarynka okazała się sucha w środku. Akihime przeżuła i wysssała skórkę, ale jej gorycz piekła ją w usta i język. Potem dziecko zmieniło pozycję, przeciągając się i kopiąc, tak że nagle zachciało się jej siusiu. Ukucnęła w kącie przy drzwiach, mając nadzieję, że Bogini się nie obrazi. Hałas wydawał się jej ogłuszający.

Rzuciła na strużkę skórki mandarynki, żeby zamaskować zapach, a następnie schowała miecz za małym ołtarzem znajdującym się w głębi kaplicy. Potem usiadła oparta o ścianę, zbierając siły i odwagę na następny krok. Dostrzegając korzyści planu Hiny, ale nie paliła się do tego, żeby powierzyć własne życie chłodnej wodzie jeziora i łasce rybaków.

Musiała trochę się przespać. Śniła o Kai i Yoshim, o ostatnim razie, kiedy ich widziała przed paroma tygodniami. Jechała drogą wzdłuż jeziora Kasumi, kiedy zauważyła sunące po nim łodzie. Podążyła za nimi i tamtej nocy oglądała występy artystów na brzegu. Yoshi i jakiś chłopiec robili akrobacje z grupą małą, które starszy mężczyzna wyrzucał w powietrze. Kai siedziała z boku razem z innymi muzykami i uderzała w bębenek. Aki była szczęśliwa, bo Yoshi wyglądał na zadowolonego i zdrowego. Poza tym odnaleźli się z Kai i teraz mogli opiekować się sobą nawzajem. Wycofała się ukradkiem do miejsca, gdzie zostawiła konie, otoczyła ramieniem szyję Risu i zapłakała w jej grzywę. Myślała o tym, żeby dołączyć do dzieci, bo czyż pani Fuji nie namawiała jej do powrotu, jeśli nie spodoba się jej życie świątynnej dziewczycy? Bała się jednak stanąć przed kobietami z łodzi i nie chciała rozstawać się z końmi. Dlatego wtedy odjechała, ale teraz we śnie zeszła na brzeg i zawołała dzieci. Kiedy oboje się do niej odwrócili, Aki się obudziła. Silny, dużo chłodniejszy wiatr wstrząsał kaplicą. Aki dygotała z zimna i miała ścierpnięte nogi. Już wstawała, żeby trochę się poruszać, kiedy usłyszała męskie głosy. Serce podeszło jej do gardła i zaczęło ogłuszająco dudnić w uszach.

To koniec, pomyślała i poczuła gwałtowne ruchy dziecka.

– Przepraszam, przepraszam – wyszeptała i chwyciła nóż.

Kroki się zbliżyły. Po schodach wchodziło dwóch albo trzech mężczyzn.

– Ktoś ukrywa się w świątyni?

– Możliwe. Lepiej sprawdzić, żeby się upewnić.

– Co jest w tej szkatułce?

– To... oczy?

Aki ledwo miała odwagę oddychać. Przez dłuższą chwilę z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Potem usłyszała szlochanie, któremu towarzyszyło kilka urywanych zdań przepełnionych żalem i smutkiem.

– Podstępnie zabiłem tamtych ludzi.

– I te niemowlęta, które zarżnęliśmy w Miyako!

– Służyłem Kakizukim. Zdradziłem ich!

– Moje ulubione dziecko... umarło w wieku sześciu lat.

– A dziewczęta, które zgwałciliśmy, jak one krzyczały.

Wiatr zawył głośniej, o dach zabębnił deszcz ze śniegiem.

– Rozgniewaliśmy Boginię? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Nadciąga zamieć! – powiedział drugi.

Ich kroki zadudniły na schodach, a potem Aki nie słyszała już nic oprócz wichury. Czekala jeszcze przez jakiś czas, niemal wstrzymując oddech, po czym ostrożnie uchyliła drzwi. Silny podmuch otworzył je szerzej i do środka wpadł śnieg. Szybko roztopił się na podłodze. Aki złapała kilka płatków w dłonie i je zlizala. Jezioro i brzeg zniknęły. Wszystko zrobiło się białe.

Na schodach stało pudełko Hiny. Akihime zapomniała o jej ostrzeżeniu przed zagładaniem do środka. Zobaczyła oczy.

I nagle wezbrały w niej wszystkie żale i smutki nagromadzone przez miniony rok. Gdyby nie uległa Shikanoko. Gdyby potem się przed nim nie ukryła. Na nowo przeżyła tamtą straszną chwilę, kiedy ujrzała go na ziemi stratowanego przez konie. Dlaczego przed nim uciekła? Nigdy więcej go nie zobaczy, a dziecko będzie dorastało bez ojca. Porzuciła cesarza, kiedy powinna z nim być i chronić go za cenę własnego życia.

Jej łzy mieszały się ze śniegiem. Ogarnięta bezdenną rozpaczą nie pobiegła do jeziora, żeby ratować życie, tylko żeby się utopić.

Masachika

Masachika ukląkł przed panem Keitą. Minęły miesiące, odkąd na rozkaz Takaakiry przybył do Rakuhary, gdzie po bitwach w Shimaurze i Sagigawie i po utracie Miyako schroniły się resztki armii Kakizukich. Został przyjęty z otwartymi ramionami jako brat Kiyoyoriego i prawowity dziedzic Kuromori, choć nikt go tak nie nazywał. Stał się na swój zwykły sposób użyteczny. Zgłaszał się do zadań, których nikt inny nie chciał wykonywać, ze współczuciem słuchał niekończących się opowieści o przegranych bitwach i nawet spisał wiele z nich, reagując pomrukami oburzenia na próby usprawiedliwiania się i zrzucania winy na zdradę. Nikt go nie podejrzewał o szpiegowanie i po prawdzie on wcale się do niego nie przykladał, choć teraz miał jasny obraz siły i stanu umysłu przywódców Kakizukich.

Niezwykle surowa zima z dwoma miesiącami zamieci śnieżnych uwięziła go razem z resztą Kakizukich w Rakuharze, gdzie zimne wiatry przenikały w każdy kąt nieocieplonych budynków, a zasyły sięgały okapów.

Miał dużo czasu, żeby porównać dwóch panów, Keitę i Aritomo, i cieszył się, że spędza zimę w Rakuharze, a nie w Miyako. Bo nawet na wygnaniu Keita nie zrezygnował ze swojego zamiłowania do luksusu, muzyki, tańca i poezji. Dach mógł przeciekać, źle dopasowane okiennice grzechotać, szpary w ścianach przepuszczać lodowate podmuchy, ale Keita nadal sypiał w jedwabiach, jadł z celadonowych naczyń i był zabawiany przez liczne dwórki i konkubiny. Aritomo zajął stolicę i dwie trzecie terytorium Ośmiu Wysp, ale postanowił żyć oszczędnie i gardził ostentacją. Rzemieślnicy z Miyako popadli w przygnębienie i tęsknili do powrotu rozrzutnych Kakizukich, żeby ich interesy mogły znowu prosperować. Natomiast ich rękodzielnicy z miasteczek wokół Rakuhary z radością korzystali z ożywionego handlu ceramiką, tkaninami, wyrobami lakierowanymi, papierem i instrumentami muzycznymi.

– Z Nishimi przybył szpieg – powiedział cicho siedzący obok niego Yasutsugu, przyjaciel ojca. – Sądzymy, że tam się ukrywa Jesienna Księżniczka. Tylko ona wie, co się stało z Yoshimorim. Ta wieść napełniła nas wszystkich nadzieją. Zaraz przyprowadzą tu tego człowieka, żebyśmy mogli wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Wspaniała nowina – mruknął Masachika.

Młody mężczyzna w stroju stajennego padł na twarz przed zebranymi. Kiedy usiadł, Masachika zobaczył, że przybysz ma szczerą, otwartą, budzącą zaufanie twarz, bardzo

użyteczną dla szpiega. Powiedział im, że w czasie pierwszej zimowej zamieci, która przeszła przez Nishimi, rybacy wyciągnęli z jeziora dziewczynę. Ponieważ okazała się brzemienna, wszyscy przypuszczali, że próbowała odebrać sobie życie. Jej uratowanie uznano za cud i zapewniono jej schronienie, choć z początku nikt nie sądził, że dziewczyna przeżyje. Lodowata woda spowodowała silne przeziębienie i bardzo wysoką gorączkę, zabójczą dla osłabionego organizmu. Ona jednak wyzdrowiała i urodziła dorodnego chłopca.

– Jak to możliwe, żeby Jesienna Księżniczka była matką, w dodatku porzuconą? – odezwał się Keita z powątpiewaniem. – I co robiła sama? Kto jest ojcem dziecka?

Cała ta historia była tak daleka od doświadczeń każdego z obecnych, że wydawała się wręcz nie do pomyślenia.

– Jest oszustką, która ma nadzieję uzyskać jakieś korzyści? – spytał Yasutsugu.

– Sama nic nie mówi – odparł stajenny. – Prawie się nie odzywa. Wszystko to wiem od pani Hiny i mojej znajomej, a jej służącej.

– Kto to jest pani Hina? – Pan Keita lekko zmarszczył brwi.

– Dziewczynka, którą Yukikuni no Takaakira przywiózł do Nishimi i trzyma ją tam bez wiedzy Aritomo. Pokojówka Bara pokazała mi nóż, który miała przy sobie uratowana, a ja rozpoznałem go jako własność pana Hidetake, któremu służyłem w Miyako i Nishimi. Zrozumiałem, że ta młoda kobieta musi być jego córką, a służąca to potwierdziła.

– Jeśli ona jest naprawdę Jesienną Księżniczką, musimy ją tutaj sprowadzić i z nią porozmawiać. Ale czy powinniśmy interesować się zabawką Takaakiry?

Masachika starał się ukryć poruszenie. Hina. Tak brzmiało pieszczotliwe imię córki Kiyoyoriego. A jeśli dziewczynka była za mała i zbyt niewinna, by zrozumieć, że powinna je zmienić? Już wcześniej podejrzewał, że Takaakira kłamie. Teraz się co do tego upewnił i zrozumiał jego powody.

– Jest coś jeszcze – powiedział stajenny. – Kilka zagadkowych rzeczy. W dniu, kiedy znaleziono Akihime, pojawiły się dwa obce konie. Miały uprząż, kiedyś wysokiej jakości. Klacz była żrebna i urodziła tego samego dnia co dziewczyna. Drugi wierzchowiec to ogier, piękny, ale uparty i o silnej woli. Kiedy się zjawiły, pani Hina nadała im imiona, ale one zareagowały tak, jakby dobrze je znały. I mógłbym przysiąc, że dziewczynkę również rozpoznają. Konie nie potrafią kłamać. Później Bara powiedziała mi, że jej pani znalazła w kaplicy wspaniały miecz, a do swojego pokoju zabrała szkatułkę z oczami.

– Oczami? – powtórzył pan Keita.

– Oczami, które sprawiają, że człowiek patrzy w swoje serce i widzi to, co utracił, wszystkie swoje niepowodzenia i żale, wszystkie sekrety. To one, zdaje się, powstrzymały wojowników Takaakiry przed przeszukaniem świątyni, w której ukrywała się Księżniczka. Znaleźliby ją, gdyby weszli do środka. A potem na prośbę pani Hiny Bogini Jeziora zesłała burzę.

Masachika utwierdził się w przekonaniu, że dziewczynka to córka jego brata. Takaakira powiedział mu, że mała nie żyje, żeby móc zatrzymać ją dla siebie. Jego serce wypełniła radość. Zyskał władzę nad człowiekiem, który go upokorzył. Pogarda Takaakiry

dreńczyła go od miesięcy, podsyciała zazdrość i urazę. A tu się okazało, że faworyt Aritomo przez cały czas oszukiwał swojego pana. Ta sprawa go pogrąży. Już ja tego dopilnuję. Musiał sam pojechać do Nishimi, natychmiast.

– Więc pani Hina to ktoś więcej niż zwykła dziewczynka, która po prostu przyciągnęła uwagę Takaakiry – zakończył stajenny. – Sądzę, że to córka wojownika i w dodatku przyszła czarownica.

Pan Keita wyglądał na zmartwionego.

– Musimy się dowiedzieć, kto to jest – stwierdził.

Masachika odchrząknął i zapytał:

– Mogę zabrać głos, panie? – Kiedy dostał pozwolenie, rzekł: – Córka Kiyoyoriego była znana w rodzinie jako Hina. Może to ona. – Zwrócił się do stajennego: – Jestem jego bratem i jej stryjem. Myślałem, że moja ukochana bratanica nie żyje. – Udał, że głos więźnie mu w gardle, i uniósł przedramię do oczu, jakby chciał otrzeć łzy.

– Cieszę się, że przyniosłem takie dobre wieści! – wykrzyknął mężczyzna.

Posłał Masachice wesoły uśmiech, który ten od razu uznał za fałszywy. Nagle wróciły obawy, które, mimo że je tłumił, zawsze się w nim czaiły. Czy ten człowiek coś o nim wiedział? Co naprawdę znaczył ten radosny grymas?

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Saburo, panie – odparł stajenny.

– Powinieneś wrócić do Nishimi najszybciej, jak to możliwe. Jaki powód wyjazdu podałeś?

– Pogrzeb ojca.

– Bardzo smutne. Jak przedostałeś się przez granicę?

– Przeszedłem przez góry. Jest tam wiele sekretnych ścieżek.

– Będiesz mógł mi je pokazać – powiedział Masachika. – Razem wrócimy do Nishimi, a ja sprawdzę wiarygodność twojego raportu. – I dodał pośpiesznie, patrząc na pana Keitę: – Oczywiście, jeśli mój pan się zgodzi.

– Nie powinniśmy raczej zaatakować Nishimi i odzyskać obu dziewczyn, zanim ktoś odkryje ich tożsamość? – podsunął Yasutsugu.

– Takaakira ma tam wielu ludzi – powiedział Saburo. – Taki atak tylko by pokazał, jakie te dziewczęta są ważne, i naraził ich życie na niebezpieczeństwo. Lepiej spróbować je porwać. Ja mogę je tutaj przywieźć.

– Jeśli to naprawdę jest Jesienna Księżniczka i jeśli rozpoznam Hinę jako moją bratanicę, zrobimy to razem – zaproponował Masachika.

Saburo nie zdołał ukryć niechęci do jego pomysłu.

– Przeprowa przez góry jest bardzo ciężka. Poza tym, jak wyjaśnię w Nishimi, kim jesteś, panie?

– Odbywałem gorsze podróże – zapewnił Masachika. – Ubiorę się jak stajenny i będę się podawał za twojego krewnego szukającego pracy.

– Bez obrazy, panie, ale nie mówisz jak mój krewny.

– Myślisz, że nie potrafię cię naśladować? – spytał poufale Masachika i natychmiast

tego pożałował, bo starsi spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Jesteś człowiekiem o ukrytych talentach – skomentował Yasutsugu.
- Zrobię wszystko dla pana Keity i Kakizukich – szybko odparł Masachika.
- Przysięgasz?
- Na duszę brata. – I padł przed nimi na twarz.

* * *

Wkrótce przyniesiono Masachice ubrania i jedzenie na podróż. Gdy tylko się przebrał, od razu wyruszyli.

Stajenny obejrzał go krytycznie, kiedy przechodzili przez północną bramę Rakuhary. Strażnicy życzyli Saburo bezpiecznej podróży, ale Masachiki nie rozpoznali i popatrzyli na niego koso.

– Zdradzają cię ręce – wyjaśnił jego towarzysz. – Od jak dawna nie trzymałeś w nich wodzy, panie?

– Nie jeździłem przez całą zimę – przyznał się Masachika.

Wydawało mu się, że słyszy pogardę w głosie stajennego, i postanowił, że zabije go, nim dotrą do Nishimi. Jednak na wszelki wypadek ukucnął i zanurzył dłonie w wiosennym błocie pokrywającym ścieżkę. Po jej bokach kwitły małe żółte kwiaty wabiące pierwsze pszczoły. Słońce przygrzewało, ale w powietrzu czuło się jeszcze oddech zimy, a na zboczach gór, przez które musieli przejść, leżał śnieg. Było popołudnie, zmierzch nadal zapadał wcześnie. Mieli przed sobą niecałe pół dnia marszu, chyba że Saburo zamierzał iść nocą. Masachika próbował sobie przypomnieć, jaka jest faza księżyca. Z pewnością zbliżała się pełnia, więc byłoby dostatecznie jasno. Gdyby wiedział, że wyruszy w tę podróż, nie siedziałby do tak późna poprzedniej nocy ani tak bardzo by się nie upił. Bolała go głowa.

Saburo narzucił szybkie tempo, nawet kiedy zbocze zrobiło się strome i rozpoczęła się wspinaczka. Droga była coraz bardziej zarośnięta, aż zmieniła się w ścieżynkę wydeptaną przez zwierzęta. Często musieli na czworakach przedzierać się przez zarośla. Kiedy minęli jamę, z której dochodziło popiskiwanie nowo narodzonych lisków i ich zapach, dróżka całkiem zniknęła. Wydawało się, że Saburo podąża szlakiem, który wcześniej sam oznaczył kamykami, gałązkami i znakami wyrytymi na skałach. Masachika próbował ich wypatrywać, ale nie dostrzegł żadnego. Bez swojego przewodnika na pewno by się zgubił. Niechętnie zdecydował się darować mu życie, póki nie przybędą do Nishimi. Resztę dnia spędził na obmyśleniu dla niego kary i rodzaju śmierci.

Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, żeby iść dalej, Saburo zatrzymał się przy skalnym występie. Teren wokół niego był płaski, raczej piaszczysty niż kamienisty, a skały dawały trochę schronienia.

– Tutaj odpoczniemy do wschodu księżyca. Prześpij się, panie, jeśli zdołasz. Ja będę trzymał wartę.

Masachika usiadł na ziemi, starając się ukryć, że po wspinaczce trzęsą mu się nogi. Nie

miał apetytu, ale wmusił w siebie ryżową kulkę, którą podał mu Saburo. Nadziewana suszoną krewetką i marynowaną morelą tylko zwiększyła jego pragnienie. W niewielkich zagłębieniach skał zebrała się woda ze stopniałego śniegu. Napili się jej, a resztkę wilgoci zlizali.

Nie chciał spać. Wiedział, że choć on potrzebuje Saburo jako przewodnika, stajenny doskonale może się bez niego obejść. Jeśli ten człowiek go podejrzewał, a tak zapewne było, mógł z łatwością się go pozbyć w górach i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Masachika musiał żyć, bo gdyby dostarczył do Miyako Jesienną Księżniczkę i córkę Kiyoyoriego, zyskałby głęboką wdzięczność pana Aritomo i zemścił się na Takaakirze.

Kiedy się położył, wyczerpanie wzięło nad nim górę. Powieki same mu się zamknęły. We śnie usłyszał znajome głosy: ojca, Tamy. Nie rozumiał, co do niego mówią, ale wydawało się, że jakieś ważne rzeczy. Potem nagle stanął przed nim ciemny żrebak. Wygląda jak Kiyoyori, pomyślał zdziwiony. Jak to możliwe, że koń tak bardzo przypomina mojego brata?

Obudził się z dudniącym sercem. Usiadł i rozejrzał się nieprzytomnie. W blasku księżyca, który wyszedł zza górskich szczytów i oświetlał skały wokół niego, zobaczył, że jest sam.

Zerwał się na równe nogi, klnąc na głos, ale wtedy usłyszał szelest w krzakach i po chwili wyszedł z nich Saburo.

– O co chodzi? – zapytał. – Poszedłem się wysikać. Myślałeś, że cię zostawiłem, panie? – Patrzył na Masachikę z nieprzyjemnym, chytrym wyrazem twarzy. – Jesteś panem Kakizuki, bratem wielkiego Kiyoyoriego. Kazano mi zaprowadzić cię do Nishimi i pomóc w uratowaniu Księżniczki i twojej bratanicy. Nie znam cię, panie, ale wiem, że góry zmuszają człowieka do odkrycia się. A ty właśnie pokazałeś, że mi nie ufasz. Tylko człowiek niegodny zaufania uważa, że nie można wierzyć innym.

Masachika nie odpowiedział. Sam udał się za skały, a potem ruszył za Saburo w blasku księżyca w trzeciej kwadrze.

Hina

Przez całą długą i zimną zimę Hina ćwiczyła grę na lutni. Nigdy wcześniej nie знаła takiego instrumentu. Wiele razy miała ochotę cisnąć go do ognia i chętnie patrzyłaby, jak płonie. Genzo doprowadzała ją do szału. Falszowała, struny pękały bez powodu albo robiły się lepkie, tak że plektron wyslizgiwał się jej z palców. Nawet Sadako nie potrafiła zmusić upartej rzeczy do grania. Ale od czasu do czasu lutnia ustępowała i nagle wybuchała muzyką tak czystą i pełną tęsknoty, że przyprawiała ją o łzy.

W takich chwilach Hina chciała zanieść ją Aki, ale rozsądek podpowiadał jej, że lepiej nie spędzać z nią za dużo czasu. Dziewczyna mieszkała w kwaterach dla służby, a Hina widziała ją ze dwa razy, kiedy wpadła na pomysł, żeby udawać małe dziecko, i poszła z Barą do kuchni po smakołyki, których szybko ubywało, w miarę jak trwała zima: suszone persymony, marynowane śliwki, słodką pastę z fasoli.

Kiedy Aki wyzdrowiała, zaczęła pracować w kuchni, choć było oczywiste, że nie ma żadnego doświadczenia ani wrodzonych zdolności. Ale w miarę jak zbliżał się jej czas, uznano, że nie powinna tam przebywać, zarówno ze względu na nią samą, jak i domowników, bo gdyby nagle zaczęła rodzić w kuchni, rezydencja zostałaby skażona. Umieszczono ją w osobnej małej chacie razem z kobietą, która też oczekiwała dziecka. Było w niej ciemno i zimno, a Hina, która raz tam zajrzała, pomyślała, że to bardzo nieprzyjemne miejsce na rodzenie.

Poród Aki był długi i ciężki. Nikt nie spodziewał się, że dziewczyna przeżyje. Risu urodziła tego samego dnia. Również trwało to długo – stajenny musiał wyciągnąć źrebaka z jej ciała – ale klacz szybko doszła do siebie z pomocą Saburo i od razu zaczęła karmić małe.

Hina nie wiedziała, że można tak bardzo kochać konia. Od chwili kiedy zobaczyła źrebaka, dzień po jego narodzinach, stojącego na chwiejnych nogach obok Risu, wręcz się w nim zakochała. Musiała odwiedzać go kilka razy dziennie, a w nocy leżała bezsennie i tęskniła do ranka, żeby znowu móc go zobaczyć. Robiła girlandy z wiosennych kwiatów i zawieszała mu je na szyi, szczotkowała jego sierść i polerowała małe kopytka. Jego matka była kasztanowa, ojciec Nyorin niemal biały, natomiast źrebak miał sierść czarną jak węgiel, więc nazwała go Tan.

– Po pierwszym roku robi się siwy albo srebrny jak ojciec – przepowiedział Saburo. – Wszystkie siwki rodzą się kasztanowe albo kare. Będzie pięknym koniem. I zobacz,

panienko Hino, jak cię kocha.

Gdy szła na pastwisko, źrebak przybiegał do niej na powitanie i chodził za nią krok w krok, chuchając jej w kark. Czasami wbijał spojrzenie wielkich ciemnych ślepi w jej oczy, jakby zaraz miał coś powiedzieć.

– O co chodzi, mój kochany Tanie? – pytała łagodnie, przysuwając do niego twarz. I czuła, że jeszcze chwila i go zrozumie.

Dziecko, które urodziło się tego samego dnia, kochała prawie tak samo. Oba porody okazały się ciężkie z różnych powodów. Klacz była stara, a dziewczyna bardzo młoda. Aki później bardzo chorowała i nie mogła karmić syna. Na szczęście druga kobieta miała dość pokarmu dla swojej córki i dla chłopczyka. Akihime wyszeptwała, że będzie miał na imię Takeyoshi, ale na razie wszyscy mówili na niego Takamaru: mały pęd bambusowy albo mały wojownik, bo słowo „take” znaczyło jedno i drugie. Miał czarną czuprynę i twarzyczkę, która wydawała się stara i mądra. Był ruchliwy i niewiele spał. Mała siostra jego mamki czasem nosiła go na plecach, ale głównie zajmowała się nim Bara. Często szła razem z nim i Hiną na spacer do koni.

– To twój bliźniak Take – mówiła Hina, zabierając dziecko od Bary i pokazując je źrebakowi. – On będzie twoim wierzchowcem, bo urodziliście się tego samego dnia o tej samej godzinie.

Przy tych słowach dręczyła ją niepewność, co dalej z nimi będzie. Nie mogli wiecznie ukrywać Aki i dziecka. Śnieg nadal leżał na szczytach, a noce były bardzo zimne, ale pewnego dnia wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać ze wschodu. Przyszła wiosna i wkrótce miał wrócić Takaakira.

Następnego dnia Saburo nie było w stajniach. Bara powiedziała Hynie, że wrócił do swojej wioski na pogrzeb ojca. Dziewczynka nauczyła się mu ufać i na nim polegać, tak że jego nieobecność zwiększyła jej niepokój. Pokojówka też była podenerwowana i niespokojna.

Wiatr dął coraz mocniej, wiosna przyszła szybko, na drzewach pojawiły się liście, od wczesnego ranka śpiewały ptaki. Któregoś dnia Hina poszła z Barą i dzieckiem na pastwisko. Niosła lutnię, bo w nocy się jej przyśniło, że ofiarowała ją Bogini Jeziora i wtedy instrument sam zaczął grać. We śnie wyglądał inaczej, już nie był zniszczony i poobijany, tylko ze lśniącego palisandru z intarsjami ze złota i macicy perłowej. Hina nadal miała w głowie jego doskonałe brzmienie. Wzięła ze sobą również księgę Sesshina, „Skarbnicę kudzu”, bo zamierzała trochę poczytać w spokoju kaplicy, kiedy Bara będzie zabawiać dziecko.

Tan jak zwykle przygalopował do niej, zaczął trącać ją chrapami, wykrzywiać wargi i prychać nad Take. Chłopczyk śmiał się i kopał z radości.

– Spójrz – powiedziała Bara, wskazując na jezioro. – Płynie jakaś łódź!

Hinie podskoczyło serce.

– To pan Takaakira?

– Możliwe.

Patrzyły na wodę, oslepiającą w słońcu, a wiatr wyciskał im łzy z oczu. Z łodzi

dobiegały muzyka, śmiech i dziwne wysokie odgłosy, jakby piski zwierząt.

– To nie brzmi jak pan – stwierdziła Bara i obie jednocześnie odetchnęły z ulgą. Pokojówka uśmiechnęła się z wyrazem skruchy na twarzy. – To musi być jedna z tych łodzi, które czasami wiatry przyganiają przez jezioro. Pewnie starają się dotrzeć do Tęczowego Mostu i Majimy.

– Jakie ładne nazwy – zachwyciła się Hina. – Gdzie to jest?

– Po drugiej stronie jeziora. Dzisiaj odbywa się tam targ dwudziestego piątego dnia. Myślę, że to mogą być artyści, a te wrzaski to małpy.

– Małpy! – wykrzyknęła Hina. – Chodźmy do przystani. Małemu Take się spodobają, prawda?

Żrebak wydał taki dziwny odgłos, że aż je wystraszył. Intensywnie wpatrywał się w stajnie i cały drżał.

– Och, to Saburo – powiedziała Bara. – Tan go rozpoznał?

Pomachała ręką, trzymając dziecko na drugiej.

Saburo i jeszcze jeden mężczyzna szli obok koszar, w których wojownicy szykowali się do kolejnego dnia, wyjmowali łuki, żeby poćwiczyć strzelanie, naprawiali i czyścili broje.

– Kto jest z nim? – spytała Hina.

– Nie wiem. – Bara była wyraźnie zaintrygowana. – Może jakiś stajenny? Nie widziałam go tu wcześniej.

Hina patrzyła, jak Saburo idzie nonszalanckim krokiem, ale czujnie rozgląda się wokół siebie, jakby czegoś szukał. Kiedy zobaczył Barę, lekko skłonił się jej głową.

Co to znaczy? – zastanawiała się Hina.

Nigdy się tego nie dowiedziała, bo nagle Saburo już nie szedł. Towarzyszący mu mężczyzna złapał go za rękę, wykręcił mu ją na plecy i przystawił nóż do gardła. Rozległy się okrzyki zaskoczenia, wojownicy zerwali się z mieczami w dłoniach. Saburo klęczał. Trysnęła fontanna krwi. Bara krzyknęła. Żrebak zaczął popychać Hinę w stronę brzegu.

Biegnij, córko. To twój stryj. Odda cię Miboshim.

– Akihime! – wykrzyknęła Hina. – Bara, musimy ostrzec Akihime.

I umilkła przerażona, że morderca ją usłyszy.

Bara szlochała rozpaczliwie. Hina wzięła lutnię i książkę w jedną rękę, drugą odebrała jej dziecko. Rozejrzała się gorączkowo. Dokąd powinna biec?

Tymczasem łódź dotarła do brzegu. Wschodni wiatr ucichł. Hina słyszała beztroski śmiech zwykłych ludzi. Pomyślała o tym, co zostawia: Takaakirę, życie poświęcone nauce i muzyce. Oczy? Jak mogła zapomnieć o oczach? Były w jej pokoju. A miecz Akihime, który zniosła z powrotem do kaplicy jako ofiarę dla Bogini Jeziora?

Bara, jak lunatyczka, potykając się, szła w stronę ciała Saburo. Drugi mężczyzna, stryj Hiny, gestykulował żywo, wyjaśniając coś otaczającym go ludziom. Dziewczynka słyszała ich okrzyki zdumienia i triumfu. Akihime została zdradzona.

Poczuła, że lutnia ją ciągnie. Pobiegnęła na przystań, tuląc do siebie Take jedną ręką, w drugiej ściskając instrument i zwój. Kiedy zbliżyła się do łodzi, Genzo zmieniła się na jej oczach tak samo jak we śnie. Piękna i lśniąca w porannym słońcu, w nagłej ciszy

zaczęła grać cudowną muzykę.

Raptem znowu zerwał się wiatr.

– Przybywa zachodni! – wykrzyknął sternik. – Jednak dotrzemy na targ!

– Zabierzcie mnie ze sobą! – zawołała Hina, kiedy wioślarze obrócili łódź i wiatr

wypełnił żagiel.

Dźwięki lutni niemal ją ogłuszały. Za nią rżał Tan.

Na pokładzie stali dwaj chłopcy kilka lat młodszy od niej, otoczeni przez mały.

– Co robisz z tą lutnią?! – krzyknął do niej jeden z nich, kiedy łódź sunęła bokiem do

przystani.

– Łapcie ją!

Hina na chwilę odłożyła Take i rzuciła im Genzo i „Skarbnicę”. Potem wzięła chłopca na ręce i trzymając go mocno w ramionach, skoczyła na łódź. Wpadła do głębokiej wody obok pomostu, ale nie wypuściła Takego z objęć. Chłopiec wrzeszczał, wyrywał się i krztusił lodowatą wodą. Piękne szaty, które podarował Hinie Takaakira, teraz okazały się śmiertelnie niebezpieczne. Nasiąknąwszy wodą, zrobiły się ciężkie jak żelazo.

Masachika

Następnego dnia Masachika zabrał Akihime łodzią do Miyako, korzystając z tego samego zachodniego wiatru. Nie zawinął do Aomizu, tylko popłynął bezpośrednio do Kasumiguchi. Martwił się, że Hina i dziecko prawdopodobnie utonęli w jeziorze, choć nie znaleziono ciał – najlepiej byłoby złapać całą trójkę w jedną sieć – ale miał w rękach główną zdobycz. Pogoda się pogarszała, a on nie chciał, żeby na środku jeziora złapała go burza.

Zanim wyruszył, przeszukał dom i kaplicę i znalazł dość dowodów, że Takaakira ukrywał dziewczynkę w domu przez prawie rok. Kiedy wypytał dwie kobiety, podobno nauczycielki, przysięgały, że nie wiedzą, kim jest ich uczennica, ale chwaliły jej inteligencję, łagodny charakter, talent do muzyki i poezji. Te rzeczy zupełnie nie obchodziły Masachiki. W jej pokoju znalazł pudełko i ono z kolei bardzo go zainteresowało.

Pamiętał, co mówił stajenny, ale nie mógł się oprzeć pokusie i zajrzał do środka. Od razu dopadł go smutek. Na nowo odczuł stratę Tamy i Matsutani. Przez całe życie porównywał się z Kiyoyorim i zawsze wypadał od niego gorzej. Ujrzał wyraźnie swoją samolubną naturę, zazdrość, skłonność do zdrady. Ogarnął go gorzki żal za tym wszystkim, co mogłoby się wydarzyć. Kiedy miał umysł otwarty i podatny na zranienie, nagle go olśniło. Oczy należały do Sesshina i mogły dać mu władzę nad duchami w Matsutani. Zamknął szkatułkę i ją zabrał.

W kaplicy znalazł miecz schowany za ołtarzem. Zdziwił się, że nikt go nie ukradł, bo nigdy nie widział piękniejszej broni. Poczul niezwykłą niechęć do dotykania go, a kiedy podniósł miecz, wydał mu się ciężki i nieporęczny, ale po chwili dopasował się do dłoni i Masachika uznał, że w pewnym sensie wziął go w posiadanie. Zachwycony pomyślał z nadzieją, że teraz jego życie się zmieni, że zostanie właściwie nagrodzony i w rezultacie stanie się lepszym człowiekiem. Ku własnemu zaskoczeniu z jego ust popłynęły słowa cichej modlitwy. Znalazł również ceremonialny łuk z katalpy, ale na jego widok poczuł się nieswojo i zdecydował, że wyśle go do Ryusonji. Trzymając go w jednej ręce, a miecz w drugiej, wyszedł ze świątyni. Przed kaplicą stały konie, jakby na niego czekały. Patrzyły nań nieruchomym wzrokiem, a kiedy Masachika rozpoznał źrebaka ze swojego snu, przeszył go strach.

Nie odważył się jednak wyrazić na głos swoich obaw. Wydał rozkaz, żeby odstawiono konie do Miyako, gdyż postanowił sprezentować je księciu opatowi. Jeśli źrebak był opętany, kapłan rozpozna ducha.

Pokojówka Bara rozpacziała po utracie kochanka, jak sądził Masachika, i stała się beużyteczna, więc zabrał ze sobą młodszą z nauczycielek, Sadako, żeby opiekowała się Akihime, bo choć dziewczyna była zbiegiem, pochodziła ze szlacheckiego rodu. Jesienna Księżniczka nie odzywała się i nie odpowiadała na żadne jego pytania dotyczące Yoshimoriego i dziecka, które niedawno urodziła, ale kiedy jego cierpliwość się wyczerpała i powiedział, że chłopiec utonął, cicho płakała.

* * *

Pan Aritomo przyjrzał się Aki jak dziełu sztuki. Takaakira był w pokoju razem z nim, ale do tej pory się nie odzywał. Masachika zerkał na niego od czasu do czasu, próbując ocenić jego reakcję, ale pan Śnieżnej Krainy pozostawał niewzruszony.

Padał ulewny deszcz. Tak jak obawiał się Masachika, zachodni wiatr przerodził się w nawałnicę. Rzeki wystąpiły z brzegów, niszcząc wiosenne uprawy ryżu i warzyw.

– Widzicie, miałem rację – rzekł pan Aritomo. – Pojechała do swojego domu rodzinnego. Wystarczyło tylko na nią zaczekać. – Uśmiechnął się półgębkiem, po czym zwrócił się do Masachiki: – Dobra robota. Zostaniesz nagrodzony.

Masachika uklonił się i opowiedział całą historię od chwili, kiedy stajenny Saburo przybył do Rakuhary. Ale do tej pory nie wspomniał o Hinie i dziecku, podobnie jak o oczach czy znalezionym mieczu.

– Dlaczego ma posiniaczone ręce? – zainteresował się Aritomo.

– Chciała poderżnąć sobie gardło. Musiałem jej przeszkodzić. Walczyła ze mną.

Suweren pokiwał głową.

– Mogę podarować panu nóż? – spytał Maschika.

Pan Aritomo wziął go i obejrzał uważnie.

– Jest bardzo piękny. W pewnym sensie żałuję, że nie został ochrzczony krwią Księżniczki, ale oczywiście ona będzie dla nas bardziej użyteczna żywa. – Odwrócił się do Takaakiry i pokazał mu nóż. – Miałbyś zaszczyt znalezienia jej wcześniej, gdybym nie wezwał cię tutaj, żebyś mi doradził w sprawie tego uzurpatora z Kumayamy. Jak on się nazywa?

– Shikanoko – odparł Takaakira.

– Opowiedz o nim Masachice.

– Sprawia trochę kłopotów, utrzymując garnizon między stolicą a Minatogurą. Zaatakował swoją rodzinną fortecę Kumayamę i zabił własnego stryja, który został jednym z naszych wasali. Na początku zimy zajął Kuromori. Następne będzie Matsutani.

– Jakie roszczenia on może mieć do Matsutani?! – wykrzyknął Masachika.

– Prawo podboju – odparł sucho Aritomo. – Nie przejmuj się zbytnio. Nie zostanie tam długo. Zamierzamy wykorzystać Jesienną Księżniczkę, żeby go stamtąd wywabić. Według księcia opata z Ryusonji on żywi do niej silne uczucia. Zgadza się, Księżniczko?

Akihime nie podniosła głowy.

– Spróbuje ją uratować i zginie w czasie tej próby – zapowiedział Aritomo miłym

tonem. – Ale najpierw ty nam powiesz, gdzie jest Yoshimori, fałszywy cesarz.

– Nie wiem, gdzie on jest – odpowiedziała dziewczyna. – Został porwany. Nie widziałam go od miesiący. Ale, jak dobrze wiecie, to on jest prawdziwym cesarzem. Czy samo niebo wam tego nie mówi? Jeśli zostanie przywrócony na tron, skończą się nieszczęścia.

Deszcz padał jeszcze mocniej, jakby sama rzeka została wyssana z brzegów i teraz lała się z góry na miasto.

– Ani Shikanoko, ani nikt inny nie ruszy się, póki trwają powodzie – zauważył Takaakira. – Wszystkie rzeki stąd do Minatogury wylały i kraj jest zniszczony.

– Spowodowały to wasze złe uczynki – oświadczyła Akihime. – Wiecie, jak przywrócić harmonię między niebem i ziemią.

– Milcz! – Aritomo zbladł, a na jego policzku zadrgał mięsień. – Takaakiro, wyślij Księżniczkę do Ryusonji. Zobaczmy, czego się od niej dowie ksiązę opat. I niech Masachika złoży pełny raport na temat sytuacji w Rakuharze.

* * *

Straże wyprowadziły Akihime z pokoju. Dwaj słudzy ukłonili się głęboko panu Aritomo i wyszli razem. Masachika udał się za Takaakirą do małego pokoju wychodzącego na ogród. Trochę się obawiał, że faworyt jego pana zwróci uwagę na miecz, ale ten był ukryty w starej pochwie, tak że nie powinien budzić zainteresowania. Oczywiście leżały w rzeźbionym pudełku z palisandru ukrytym na piersi jego stroju do polowania. Zastanawiał się, co o nich wie Takaakira.

Z okapów spadała lita kurtyna deszczu, a niegdyś piękny ogród był cały zalany. Woda stała na ścieżkach w wielkich kałużach, wszystkie stawy wystąpiły z brzegów.

Masachika zdał relację ze wszystkiego, czego się dowiedział w czasie miesiący spędzonych z armią Kakizukich: o broni, liczbie ludzi i koni, duchu walki. Opisał luksusy, w których żył pan Keita, wspomniał również o jego nadziejach na odnalezienie Yoshimoriego.

Takaakira słuchał bez komentarza, a na koniec polecił:

– Zapisz to wszystko i przynieś dokument jutro do mojego domu. Potrafisz pisać, jak sądzę?

Masachika zauważył pogardliwy ton i odrzekł śmiało:

– Oczywiście.

Jednocześnie pomyślał: „Lepiej nie rób sobie ze mnie wroga, szlachetny panie. Niedługo będziesz mnie błagał. I nie zapominaj, że to, co nazywasz swoim domem, należy do mnie”.

Kiedy Takaakira wyszedł, Masachika poprosił o przybory do pisania, o coś do jedzenia i picia. Wszystko dostarczono mu szybko i uprzejmie. Masachika stwierdził z zadowoleniem, że jego status wzrósł. Sporządzenie raportu zajęło mu trochę czasu. Umiejętność pisania i słownictwo wystarczały do rejestrowania czynów wojowników na polu bitwy, ale kiedy starał się, żeby dzieło było jasne i eleganckie, uświadomił sobie, że wielu słów nie jest pewien. Musiał je literować, zamiast używać ideogramów, i bał się, że

raport wyda się kobiecy albo dziecinny.

Gdy skończył, było prawie ciemno. Deszcz jeszcze się nasilił. Kiedy przyszła służąca po przybory do pisania, powiedział, że spędzi tutaj noc.

– Oczywiście, panie. Przyniosę pościel.

Gdy pokojówka wróciła, miała ze sobą nową szatę.

– Od pana Aritomo.

Masachika ułożył się na noc pod jedwabną kołdrą całkiem z siebie zadowolony.

* * *

Następnego dnia pojawił się w domu, który kiedyś należał do jego ojca, potem do Kiyoyoriego, a teraz zajmował go Takaakira. Miał na sobie nowy strój: brokatowe kimono i haftowane spodnie. Razem z oczami w szkatułce i mieczem u boku dodawały mu one pewności siebie, ale jeszcze bardziej niż one sprawiał to sekret, który chował w sercu. To właśnie on stawiał go na równi z Takaakirą.

Pan Śnieżnej Krainy wyglądał, jakby spędził bezsenną noc. Masachika zastanawiał się nie po raz pierwszy, w jakim celu ten człowiek ukrywał córkę Kiyoyoriego wbrew rozkazom Aritomo. Może się w niej zakochał – niektórzy mężczyźni pożąдали dziewczynek – ale po co tak ryzykować? W mieście było wiele dziewczyc. Dlaczego wybrał akurat ją?

Bez wątpienia wkrótce pożałujesz swojej lekkomyślności, pomyślał, wbijając bezczelny wzrok w bladą twarz i puste oczy Takaakiry.

Wręczył mu raport, a pan Śnieżnej Krainy położył go obok siebie na podłodze. Znajdowali się sami w pokoju, a deszcz tak hałasował, że raczej nikt nie mógł ich podsłuchać. Mimo to Takaakira dał gościowi znak, żeby się przysunął, i wyszeptał:

– Znalazłeś kogoś jeszcze w Nishimi?

Masachika udał zdziwienie.

– Panie?

– Młodą dziewczynę, moją podopieczną, która tam mieszkała.

– Podopieczną?

– Tak. Ma na imię Hina.

– Moja bratanica Hina? Córka mojego brata?

Takaakira nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy prawie zrekompensował Masachice wszystkie podłe upokorzenia, które musiał znosić z jego strony. Prawie, ale nie do końca.

– Uznano ją za zmarłą – rzekł. – Czy to możliwe, że jednak żyje? Co za radość!

– Jesteś łajdakiem – stwierdził Takaakira. – Jak ty i Kiyoyori mogliście być braćmi?

– Dziwię się, że tak swobodnie szafujesz zniewagami, panie! Wystarczy, że napomknę Aritomo o mojej bratanicy i jej szczęśliwej ucieczce, a twoje życie będzie skończone.

– Moje życie już jest skończone, jeśli ona nie żyje – oświadczył ponuro Takaakira.

Masachika wytrzeszczył oczy.

– Czyżby to była prawda, że każdy mężczyzna ma choć jedną słabość? Mała dziewczynka wzbudziła twoje pożądanie, a ty rzucasz dla niej wszystko?

– To wcale nie tak. Kocham ją jak córkę. Ona jest prawdziwym cudem. Taka inteligentna, taka utalentowana... ale nie będę z tobą o niej rozmawiał.

– Cóż, wielu mężczyzn sypia ze swoimi córkami – wypalił Masachika. – Nie byłbyś pierwszy.

– Czy ona żyje?

– Uciekła.

– Dokąd? Czy ktoś to widział?

– Niestety mam tylko sprzeczne doniesienia. Jedna osoba powiedziała, że Hina wskoczyła z dzieckiem na łódź.

– Jakim dzieckiem?

– Synem Akihime – odparł Masachika.

– Nie wspomniałeś o tym wcześniej – zauważył Takaakira.

– Pomyślałem, że ta nowina powinna przez jakiś czas pozostać między nami dwoma. Może zresztą tajemnice nie mają znaczenia, bo inni świadkowie twierdzili, że Hina wpadła do jeziora z dzieckiem na rękach. Woda przy pomoście jest bardzo głęboka. Sądzę, że oboje utonęli.

Takaakira zakrył oczy dłonią. Kiedy już mógł mówić, zapytał:

– Przypuszczam, że przeszukałeś dom i wypytałeś służbę?

– Oczywiście.

– Znalazłeś szkatułkę zawierającą... coś niezwykłego? Małe, pięknie rzeźbione pudełko z palisandru?

– Nie, panie – odparł Masachika, czując, jak szkatułka pali jego żebra.

– Więc musiała wziąć je ze sobą. – Ta myśl chyba trochę pocieszyła Takaakirę. – Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje.

– Mam złożyć bardziej szczegółowy raport panu Aritomo? – Masachice udało się zawrzeć w tym pytaniu współczucie i jednocześnie groźbę.

Takaakira zmierzył go długim, nieruchomym spojrzeniem wyrażającym czystą pogardę.

– Przypuszczam, że musimy dojść do jakiegoś porozumienia – stwierdził w końcu. – Jeśli ona nie żyje, możesz powiedzieć Aritomo, co chcesz. Ofiaruję mu swoje życie jako pokutę. Ale jeśli istnieje szansa, że Hina ocalała, muszę przeżyć i ją odnaleźć. Jak mam cię przekonać, żebyś na razie zachował to wszystko dla siebie?

– Sugerujesz, że mam swoją cenę, panie? – Masachika udawał obrażonego.

– Wszyscy mamy swoją cenę – odrzekł gorzko Takaakira. – Po prostu liczę na to, że twoja nie jest zbyt wysoka.

* * *

Masachika doszedł do wniosku, że łatwo uzyska od Takaakiry zgodę na to, co pragnął zrobić. Postanowił racjonować swoje prośby, ponieważ nie chciał za bardzo go naciskać. W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że zażąda dla siebie starego domu Kiyoyoriego, ale szybko się rozmyślił. Najpierw odzyska Matsutani. Teraz, kiedy miał

oczy Sesshina, był pewien, że zdoła okiełznać zbuntowane duchy. zaproponował, że sam odnajdzie Shikanoko i powie mu, że trzymają Jesienną Księżniczkę w Miyako.

Takaakira zgodził się pójść w tej sprawie do pana Aritomo, a ten skwapliwie udzielił pozwolenia. Konieczne było wywarcie na Jesienną Księżniczkę wystarczającej presji, żeby przekonać ją do mówienia, ale nie zabić. Aritomo chciał, żeby żyła. Obserwowano ją dzień i noc, ale mimo bólu i braku snu Akihime z uporem powtarzała, że Yoshimori został jej ukradziony. Nie mówiła, gdzie ani jak to się stało.

– Jeśli się spotkają, z łatwością przekonamy Księżniczkę do mówienia i zapobiegniemy kolejnym powstaniom Kakizukich – twierdził pan Aritomo. – Zajmij Matsutani i natychmiast powiadom mnie o odpowiedzi Shikanoko. Nie próbuj go złapać ani wciągnąć w bitwę. Musi być żywy, bo książę opat chce go mieć w stolicy.

I znowu Masachika znalazł się na czele grupy wojowników jadących w stronę Matsutani. Książę opat wysłał razem z nimi jednego ze swoich mnichów, młodego mężczyznę o pięknym, umięśnionym ciele i obliczu zniszczonym przez ogień. Miał na imię Eisei. Widoczne ponad czarną jedwabną chustą, którą zasłaniał oszpeconą twarz, oczy bez rzęs zerkwały we wszystkie strony jak u jaszczurki. Masachika dowiedział się, że winę za jego blizny w pewnym sensie ponosi Dziecko Jelenia. Eisei był biegły w praktykach ezoterycznych, co mogło okazać się użyteczne, bo wszyscy wiedzieli, że Shikanoko jest nie tylko wojownikiem, ale i czarownikiem.

Ich podróż opóźniały ulewy, wylane rzeki i posępna wrogość tragarzy, właścicieli gospód, przewoźników, właściwie prawie wszystkich ludzi, z którymi się stykali. Konie zaczynały kuleć, zapasy znikwały albo atakowała je pleśń, wodze pękały, nie wytrzymywały nerwy. Otwarcie szeptano, że panowie Miboshi obrazili bogów i że są za to karani.

– Powinieneś uciąć im języki – stwierdził Eisei.

– Wtedy cała ludność stałaby się niema – odparował Masachika.

Udawał, że nie robi na nim wrażenie niepokój czający się tuż pod powierzchnią codziennego życia, ale jak zwykle kalkulował swoje szanse. Miboshi byli potężni i dobrze uzbrojeni, Aritomo był zdeterminowany, bezwzględny i cieszący się poparciem księcia opata, ale jeśli niebiosa obróciły się przeciwko niemu... Masachika brał pod rozwagę wszystkie możliwości.

I znowu dotarł do Shimaury. Czaszki Kakizukich już dawno usunięto, ale Masachika pomyślał o żywych w Kuromori, teraz dużo silniejszych dzięki Shikanoko. Na pewno uważali, że ich zdradził, i bez wątpienia byli żądni zemsty.

Dowiedział się, że siły Shikanoko rosną z każdym dniem, w miarę jak przybywają do niego niezadowoleni i wydziedziczeni. Strażnicy na rogatkach byli nerwowi i rozżaleni, zmęczeni ciągłymi deszczami, powodziami i wichurami, które zatrzymywały statki w porcie. Skarżyli się Masachice, że ich zapasy szybko topnieją, że jest ich za mało, by odeprzeć jakikolwiek atak, i jeśli zostaną pokonani, droga między Miyako a Minatogurą będzie niestrzeżona.

Masachika wiedział, że ma wiele wad. Wolał żyć w niesławie niż przedwcześnie

zakończyć życie, ale nie uważał się za tchórze. Zdawał sobie sprawę, że jego mały oddział mu nie ufa. Wszyscy nadal mieli świeżo w pamięci klęskę pierwszego wypadu, w którym zginęli jego towarzysze i kuzynowie, i wiedzieli, że spędził sześć miesięcy u Kakizukich. Schwywanie Księżniczki i silniejsza pozycja u Aritomo liczyły się na jego korzyść, ale mimo to ludzie nadal szeptali między sobą. Kiedyś szpieg, zawsze szpieg. Człowiek, który zdradził raz, zdradzi i drugi. Postanowił, że otwarcie wjedzie do Matsutani, nie okazując wahania ani strachu. Zbył skargi strażników i wyśmiał plotki, że Shikanoko ma nadprzyrodzoną moc, zatrudnia niewidzialne chochliki i sztucznych wojowników, których nie można zabić, i rozmawia ze zmarłymi.

Eisei traktował te pogłoski poważnie i wyjaśniał Masachice, że właśnie dlatego książe opat musi dostać Shikanoko żywego.

– Chce poznać źródło tych umiejętności, żeby nad nimi zapanować. Shikanoko ma maskę zrobioną z czaszki jelenia, która daje mu całą moc lasu, ale tylko on może jej używać. – Odruchowo dotknął jedwabnej zasłony. – Wszystkich innych parzy.

– Właśnie to ci się przydarzyło?

Mnich skinął głową.

– Wcześniej byłem ulubieńcem mojego pana. Teraz jestem oszpecony, a on patrzy na mnie z litością. Jest dla mnie dobry i miły, ale nie litości od niego oczekuję. Czy od kogokolwiek innego. Kiedyś towarzyszyłem mu w czasie sekretnych rytuałów o wielkiej mocy. Pokazywał mi cuda, zabierał do królestw ukrytych przed zwykłymi ludźmi. Teraz to wszystko jest dla mnie niedostępne. Od czasu do czasu dopuszcza mnie do siebie, ale nie lubię korzystać z jego łaski. Boję się, że zarażę go swoim pechem. Dlatego zamiatał podłogi i opiekuję się ogrodami. To wszystko, w czym jestem dobry.

– Miałeś szczęście, że nie straciłeś oczu – zauważył Masachika.

– Gdybym oślepl, nie byłbym świadomy swojego oszpecenia – odparł Eisei. – Nie widziałbym litości i odrazy na twarzach innych. Straciłem całe zainteresowanie życiem. Próbowałem się powiesić. – Pokazał ślady na szyi, które Masachika wcześniej wziął za blizny po tym samym wypadku. – Gałąź, którą wybrałem, pękła. To nie był mój czas. Mój pan postanowił znaleźć dla mnie jakiś cel i dlatego powierzył mi tę misję.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Deszcz przeszedł w mżawkę. Góry spowijała mgła. Wokół nich bzycały owady, konie oganiały się od nich, potrząsając głowami i wierzgając.

– W Matsutani są jakieś duchy opiekuńcze – odezwał się po pewnym czasie Masachika.

– Ostatnio, kiedy tam byłem, nie pozwoliły mi wejść. Innym również. Mam nadzieję, że tym razem uda mi się je ułagodzić.

– Może potrafię pomóc – rzekł Eisei. – Znam wiele zaklęć i modlitw egzorcyzmujących. Kto je tam zostawił?

– Starzec Sesshin. Pamiętam go z dzieciństwa. Mieszkał w Kuromori przez wiele lat. Nie wiedzieliśmy, że jest potężnym czarownikiem. Kiedy wyjechał, nikt nie miał pojęcia, że są tam duchy. Zanedbano je i dlatego stały się złośliwe.

– To łatwo może się zdarzyć – przyznał mnich. – Duchy opiekuńcze wymagają dużo zainteresowania i potrafią być małostkowe. Sesshin... to musi być ten sam starzec, który

teraz gra na lutni na dziedzińcach Ryusonji. Mnich Gessho przywiózł go do świątyni razem z Shikanoko. Starzec został oślepiony i najwyraźniej stracił całą moc. Okazał się jednak świetnym muzykiem. On i mój pan mieli wspólną przeszłość. Księżę opat długo go szukał. Nie był zadowolony, kiedy Sesshin wymknął mu się z rąk. Zachował ciało, ale duch czarownika uleciał razem z całą mocą. Potem jeszcze Shikanoko uciekł spod jego władzy. Gessho ponownie został za nim wysłany, ale nigdy nie wrócił. Po raz pierwszy ktoś w taki sposób rzucił wyzwanie księciu opatowi. To dlatego Shikanoko musi zostać zniszczony.

Deszcz zaczął padać mocniej. Spędzili bezsenną noc w skupisku ruder, które nie zasługiwało na miano wsi. Do jedzenia dostali tylko cienką zupę z górskich ziół. Masachika dowiedział się, że Matsutani nadal jest nawiedzone, a Shikanoko tam nie ma. Pani Tama mieszkała w domu służącej, ale parę razy wymieniono imię Hisoku w taki sposób, że Masachika zapłonął gniewem. Przysiągł sobie, że zabije tego człowieka przy pierwszej okazji, i miał nadzieję, że taka szybko się pojawi.

Następnego ranka spotkali na drodze tegoż Hisoku na czele grupy dziesięciu czy dwunastu mężczyzn. Wszyscy byli wychudzeni, obdarci, wyposażeni w staroświecką, nieodpowiednią broń i nieprzygotowani do walki. Oprócz dowódcy tylko dwóch miało konie. Masachika dowiedział się później, że nędzny oddziałik składał się w większości z wojowników Miboshich, którzy prawdopodobnie sądzili, że on i jego ludzie to posiłki przybywające im na pomoc. Gdyby świeciło słońce, mógłby być skłonny do negocjacji, ale ulewa wprawiała go w podły nastrój, a widok Hisoku jeszcze bardziej rozwścieczył. Bez namysłu wydał rozkaz do ataku.

Piechurzy zostali od razu ścięci mieczami, jeźdźcy próbowali uciekać, ale padli pod gradem dobrze wycelowanych strzał. Przebiegłość nie przydała się Hisoku w otwartej bitwie. Szybko został pozbawiony konia, a Masachika kazał go powiesić na dębim rosnącym na skraju lasu.

– Wybierzcie mocną gałąź – poradził Eisei.

Konar okazał się solidny. Hisoku najpierw przeklął Masachikę, potem zaczął go błagać, ale wszystko na próżno. Zostawili jego ciało podrygujące na sznurze i odjechali do Matsutani.

Tama

W czasie długiej mroźnej zimy i mokrej wiosny pani Tama miała dużo czasu na rozmyślania o swojej sytuacji. Właśnie wtedy zrozumiała, że jej życie jest beznadziejne. Postanowiła, że kiedy tylko deszcze się skończą, wróci do Muenji, ogoli głowę i zostanie mniszka, żeby odpokutować za popełnione grzechy i zatwardziałość serca.

Trybunał przyznał jej prawo do Matsutani, ale nie mogła objąć go w posiadanie, ponieważ opanowały je wrogie duchy. Aż nazbyt jasno pojęła uniwersalne prawo przyczyny i skutku. Gdyby nie kazała wyłupić Sesshinowi oczu i go nie wypędziła, duchy pozostałyby w ukryciu, chroniłyby dom i posiadłość, tak jak to robiły przez lata, choć nikt nie wiedział o ich istnieniu, z wyjątkiem człowieka, który je tam umieścił: starego mędrca.

Skoro nawet potężny mnich Gessho nie był w stanie nad nimi zapanować, nie sądziła, żeby ktokolwiek to potrafił. Matsutani trzeba będzie opuścić. Dom już zaczynał się rozpadać. Większość jej cennych rzeczy leżała rozrzucona po ogrodzie i powoli gniła, prawdopodobnie opętana przez niepożądane duchy żywiołów. W dachu zrobiły się dziury, okiennice wisiały przekrzywione i grzechotały na wietrze, dzikie zwierzęta urządziły sobie nory pod werandami, ptaki zagnieździły się pod okapami. Wielka biała sowa upodobała sobie miejsce na kalenicy i w nieprzyjemny sposób pohukiwała przez całą noc.

Dom Haru, w którym teraz mieszkała Tama, był zatłoczony i niewygodny. Tama czuła, że kobieta gardzi nią w duchu, choć zwracała się do niej z szacunkiem i słuchała jej poleceń. Między nimi kładły się cieniem porwanie i śmierć Tsumaru. Kiedy chłopiec żył, rywalizowały o jego uczucie, a teraz, po jego śmierci, obwiniały się nawzajem i licytowały, która bardziej cierpi.

O Hinie nie rozmawiały. Kolejnym z wyrzutów sumienia Tamy było to, że nie włożyła więcej wysiłku w wychowanie pasierbicy. Ale była wtedy odrętwiała z żalu i miała własne zmartwienia: śmierć brata, utrata pierwszego męża, nowe małżeństwo, ciąża. Nie dostrzegała dziewczynki, a kiedy w końcu poświęciła jej nieco uwagi, było już za późno na odzyskanie jej uczuć.

Tama wiedziała, że dzieci Haru jej nie lubią, zwłaszcza starszy Chikamaru, którego wszyscy nazywali Chiką. Ten zuchwały, mrukliwy chłopak chodził własnymi drogami i robił, co chciał. Tama podejrzewała, że nocami wykrada się do Kuromori, gdzie Shikanoko spędzał całą zimę razem z jego ojcem Kongyo i resztą ludzi Kiyoyoriego. Chika

nigdy nie mówił jej, co się tam dzieje, ale kiedy na nią patrzył, czasami jego oczy błyszczały, a usta wykrzywiały się w pogardliwym uśmiechu.

I wreszcie ostatnim powodem, żeby wrócić do świątyni, była chęć pozbycia się Hisoku. Nie widziała innego sposobu, chyba że kazałaby komuś go zabić, a spośród niewielu mężczyzn przebywających w Matsutani akurat tylko jemu mogłaby taką rzecz zlecić. Uważał, że jest niezastąpiony i że jego adoracja daje mu do niej jakieś prawa. Przeceniał swoje możliwości i za bardzo chełpił się tym, że duchy pozwalają mu zbliżyć się do domu z darami i niczym go nie obrzucają.

– Nie rozumiesz, że jesteś ich niewolnikiem, a nie panem – mówiła mu nieraz.

– Powoli – odpowiadał Hisoku. – Pracuję nad tym, tak jak nad tobą.

Traktował ją z coraz większą poufałością, a Tama wiedziała, że on spodziewa się wkrótce zostać jej mężem. Na tę myśl cierpła jej skóra, ale znowu nie mogła winić nikogo innego oprócz siebie. Wykorzystała jego oddanie, żeby odzyskać dokumenty dowodzące, że Matsutani należy do niej, pozwoliła, żeby jej towarzyszył, jakby był jej mężem i panem, żeby objął dowództwo nad ludźmi Miboshich, którzy uciekli po ataku Shikanoko na Kuromori. Kiedyś musiał zażądać zapłaty. Z uwag Haru wywnioskowała, że wszyscy uważają ich za męża i żonę. Sama myśl napełniała ją odrazą, a jednocześnie pchała ku niemu, jakby ktoś rzucił na nią czar. Poczucie obowiązku, coraz dłuższe dni, budzenie się wiosny, późnej i zimnej, własne ciało z jego potrzebami i pragnieniami, wszystko to razem sprzysięgło się, żeby osłabić jej postanowienie.

W czwartym miesiącu deszcze zmieniły się w mżawkę, więc któregoś późnego popołudnia Tama ruszyła w stronę zachodniej bramy, żeby jeszcze raz pomyśleć. W końcu postanowiła, że wyjedzie w tym tygodniu, uda się na wybrzeże i wsiądzie na łódź do Minatogury, tak jak to zrobiła poprzedniego roku. Tym razem naprawdę zetnie włosy i wyrzeknie się wszelkich ziemskich pragnień. Poczula się tak, jakby zdjęto z niej wielki ciężar, i zaczęła szeptem żegnać się ze swoim domem rodzinnym, z żywymi i umarłymi.

Raptem tuż przed nią pojawił się Chika. Był przemoknięty. Na jego gęstych rzęsach i gładkiej twarzy zebrały się kropelki wilgoci.

– Wystraszyłeś mnie – powiedziała Tama, próbując się uśmiechnąć.

Jego spojrzenie pozostało obojętne i zimne.

– Twój mąż nie żyje.

– Co?

– Hisoku nie żyje.

Tama pomyślała, że jego oczy błyszczą skrywaną radością. Powinnam czuć smutek, a nie ulgę, skarciła się w duchu.

– Powiesili go – dodał Chika.

– Kto? – Tama rozejrzała się z niepokojem.

– Jacyś ludzie z Miyako. Jadą do nas. Jeden z nich wcześniej zaatakował Kuromori. Znał górskie ścieżki, bo tutaj dorastał. Ale obrońcy zostali ostrzeżeni. – W jego głosie pobrzmiwała duma i zadowolenie z siebie. – Tylko on przeżył. Domyślasz się, pani, kto to?

– Masachika – powiedziała Tama.

Obrażony i upokorzony przez Hisoku teraz się na nim zemścił. Powieszenie było zniewagą. Dlaczego nie mógł po prostu ściąć mu głowy? Tama poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Zatem jednak potrafiła odczuwać smutek, nie tylko z powodu Hisoku, ale również z powodu Masachiki i siebie, ich małżeństwa i krótkich chwil ogromnego szczęścia, którego zaznali w tym domu, niegdyś pięknym, a teraz nawiedzonym przez duchy i opuszczonym.

Chika obserwował jej twarz.

– To twój wróg czy przyjaciel, pani?

– Nie wiem – odpowiedziała Tama.

Opanowała się szybko i poszła do zachodniej bramy, żeby tam poczekać na Masachikę. Za sobą słyszała głosy dobiegające z domu. Duchy wydawały się podniecone.

– Na kogo czekasz, pani Matsutani?

– Gdzie Hisoku? Jesteśmy głodni i spragnieni.

– Czy to kolejny potężny mnich taki jak Gessho?

– Gessho nie żyje. Stracił głowę!

– Hisoku też nie żyje – wyszeptała Tama.

– O, tak! O, tak! Urodzony, żeby zawisnąć!

– To ten, który kiedyś tu przyszedł i na którego nasłaliśmy pszczoły.

– Pszczoły go nie zabiły?

– Błagam, zamilknijcie, póki się nie dowiemy, po co przyjechał – poprosiła Tama.

– To ty powinnaś milczeć, pani Matsutani. Ty powinnaś się zastanowić, nim kazałaś wyłupić oczy naszemu panu.

– Zanim wypędziłaś go do Ciemnego Lasu.

– Żałuję tego z całego serca – wyznała cicho Tama.

– Za późno, za późno, za późno! – zaśpiewały duchy, łącząc słowa w jedno.

Zapóźnozapóźnozapóźno.

* * *

– Nie spodziewałam się ciebie – powiedziała Tama, kiedy Masachika zsiadł z konia. Rozpoznała jednego z luźnych wierzchowców, które przyprowadzili razem z koniem Hisoku. Widok zwierzęcia, którego pan już nie żył, nieoczekiwanie przeszył ją bólem. – Myślałam, że raczej zjawi się tu Shikanoko, który całą zimę spędził w Kuromori.

Masachika uklonił się i oddał wodze najbliższemu człowiekowi.

– Właśnie Shikanoko jest powodem mojego przyjazdu.

– Hisoku wyruszył z oddziałem, sądząc, że to on szykuje atak z flanki. Nie musiałeś go zabijać. Byliście po tej samej stronie!

– On i jego ludzie przygotowali na nas zasadzkę – rzekł Masachika. – Nie chcieli podać swoich imion, nie mieli żadnych chorągwi ani herbów. W każdym razie wszyscy teraz nie żyją.

– Zapóznopóźnozapoźno – zanuciły cicho duchy.

Masachika spojrział w stronę ogrodu.

– Więc dom nadal jest nawiedzony?

– Tak. I teraz jeszcze bardziej się rozzłoszczą. Hisoku przynosił im dary. Był jedynym człowiekiem, którego wpuszczały za bramę.

– Widziałem, co potrafią. – Masachika nachylił się i szepnął jej do ucha: – Ale sądzę, że wiem, jak nad nimi zapanować.

Konie zaczynały się niecierpliwić.

– Pozwól, że najpierw zorganizuję jedzenie i schronienie dla swoich ludzi – powiedział Masachika. – Wtedy porozmawiamy i pokażę ci, co mam.

Tama rozejrzała się za Chiką, ale nigdzie go nie zobaczyła. Chłopak zniknął równie cicho, jak wcześniej się pojawił.

Deszcz zaczął padać mocniej.

– Czy już nigdy się nie przejaśni? – rzucił Masachika.

– Ludzie mówią, że niebiosa się gniewają.

– Wszyscy musimy sobie wybaczać. Przypuszczam, że pewnego dnia niebiosa też nam wybaczą i wtedy znowu zaświeci słońce.

– Chodź do domu Haru – powiedziała Tama. – Tam teraz mieszkam. Ale najpierw godnie pochowaj tych ludzi, proszę. Nie chcemy jeszcze bardziej rozwścieczyć duchów.

Nie było suchego drewna na stos pogrzebowy. Wykopane groby natychmiast napełniały się wodą. W końcu ludzie Masachiki zanieśli ciała na górę, wrzucili je do jednej z wapiennych jaskiń i zapieczętowali wejście głazami. Po kilku tygodniach północno-zachodni wiatr przyniósł w dolinę zapach śmierci.

Haru chłodno przywitała Masachikę.

– Na czyj rozkaz tym razem przyjeżdżasz? Słyszałam, że byłeś i Miboshim, i Kakizukim.

– Przysłał mnie pan Aritomo, żebym rozmówił się z Shikanoko. Na pewno możesz skontaktować się z Kuromori przez swojego syna, tak jak ostatnim razem. Nie obawiaj się. Rok temu poderznąłbym mu gardło, gdybym go dopadł, ale teraz może być dla mnie przydatny. Niech jutro zanieś wiadomość. A teraz muszę na osobności porozmawiać z panią Tamą. Jeśli przyłapię twojego chłopaka na podsłuchiwanie, naprawdę poderżnę mu gardło. – Przeniósł wzrok na dziewczynkę, która siedziała w milczeniu obok matki: – To dotyczy również ciebie.

Córka Haru odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem, jakby nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Nauczyłem się, że kobiety i dziewczęta są równie niebezpieczne jak mężczyźni, jeśli chodzi o szpiegowanie – powiedział do Tamy, kiedy zostali sami na werandzie dobudowanego pokoju, który teraz zajmowała jego była żona. – A nawet bardziej niebezpieczne, bo często nie zwraca się na nie uwagi.

– To błąd, który popełnia większość mężczyzn – zauważyła Tama.

– Mężczyźni popełniają wiele błędów. – Masachika westchnął głęboko. – Ale wielu jest

do nich zmuszonych przez okoliczności.

– Przyszedłeś rozgrzebywać przeszłość, Masachiko? To ogień, który wygasł dawno temu.

Ale już w chwili, kiedy to mówiła, wiedziała, że jej słowa nie są do końca prawdziwe.

– To, co muszę ci pokazać, może sprawić ci ból – uprzedził Masachika, wyjmując spod szaty małe rzeźbione pudełko. – Ta szkatułka zawiera oczy Sesshina. Jeśli umieścimy je z powrotem na bramie, sądzę, że ułagodzimy duchy.

– Pokaż mi je – zażądała Tama cichym głosem.

Masachika otworzył wieczko. Oczy leżały na jedwabnej wyściółce, nadal czyste i lśniące.

Tama zaczęła szlochać.

– Niech twoje łzy je obmyją – rzekł Masachika łamiącym się głosem.

– Tęskniłam za tobą każdego dnia, odkąd nas rozdzielono – załkała Tama. – To dlatego, że nas rozdzielono, stałam się zimna i okrutna. Moje serce stwardniało, żebym nie umarła z żalu.

– Ja czuję to samo. Popełniłem wiele grzechów. Zabijałem i zdradzałem. Kiedy te oczy mnie widzą, pokazują mi wszystko, co zrobiłem złego, a zaczęło się to od dnia, kiedy mi ciebie zabrali i oddali Kiyoyoriemu. Mój ból był tak wielki, że chciałem krzywdzić innych. Czułem, że zdradzili mnie mój własny ojciec i brat. Od tamtej pory nie ufałem nikomu.

– Przepraszam, przepraszam. – Tama płakała pod nieruchomym spojrzeniem oczu. – Czy kiedykolwiek zostanie mi wybaczone?

Masachika wziął ją w ramiona i przytulił. Jego łzy kapały na jej włosy. Wszystkie dawne żale wylały się z nich już nieukrywane i niepowstrzymywane.

– Wybaczam ci – powiedział Masachika.

– Tylko ty rozumiesz, co nam zrobiono.

Tama poczuła, że ogarnia go pożądanie, i w tej samej chwili jej ciało zaczęło się ku niemu wyrywać. Jego objęcia były tak dobrze znane, jego zapach, skóra, każdy mięsień. Pragnęła go równie mocno jak wtedy, gdy była dziewczyną i świeżo poślubioną żoną. Masachika wsunął dłonie w jej włosy, obsypał pocałunkami twarz, odnalazł usta. Tama rozwiązała szarfę i jej szata się rozchyliła. Przywarła do niego, jakby chciała wchłonąć go przez skórę.

Znała wszystkie jego wady, tak jak on jej, ale nigdy nie przestała go kochać.

– Nadal jesteśmy mężem i żoną – wyszeptał Masachika, zdejmując ubranie.

– Nic nie może tego zmienić – odpowiedziała Tama, a gdy dali sobie nawzajem rozkosz, wyszeptała: – Ty byłeś zły. Ja byłam zła. Ale jeszcze nie jest za późno.

Następnego ranka Tama posłała po syna Haru.

– Pan Masachika ma dla ciebie zadanie. Pójdiesz do Kuromori i powiesz Shikanoko, żeby tutaj przyjechał.

Oczy Chiki zabłysły na słowo „pan”, a Tama wyczuła, że ją przejrzał. Nie dbała o to jednak. Niech cały świat wie, że Masachika znowu jest jej mężem.

– „Powiedzieć” to nie jest właściwe słowo – przemądrzale stwierdził chłopak. –

„Poprosić” albo nawet „błagać” byłoby bardziej odpowiednie.

– Powiedz mu, żeby się tutaj stawił, jeśli chce uratować życie Jesiennej Księżniczki – rozkazał Masachika.

– Sądzę, że Shikanoko już jest w drodze – rzekł Chika. – Wyjdę mu naprzeciw i przekażę, że go oczekujecie, panie.

– Kto to jest Jesienna Księżniczka? – zapytała Tama, kiedy syn Haru wyszedł.

– Córka przybranych rodziców fałszywego cesarza Yoshimoriego i jedyna osoba, oprócz Shikanoko, która chyba wie, gdzie on jest. Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw musimy odnieść oczy Sesshina na miejsce.

Poszli ze szkatułką do zachodniej bramy i umieścili oczy za rzeźbionym fryzem. Oboje ubrali się starannie. Tama w wielowarstwowe kimono w wiosennych odcieniach różu, a Masachika w strój na polowanie, który Haru trzymała w wysypanej rutą skrzyni, a który kiedyś należał do Kiyoyoriego. Wziął też miecz znaleziony w kaplicy w Nishimi. I znowu oboje klęczeli, płakali i prosili o wybaczenie za błędy i złe uczynki z przeszłości. Po raz pierwszy od lat czuli się jednością.

Tama przyniosła wino ryżowe i wiosenne kwiaty dla duchów, ale te dary ich nie ugłasakały.

– Nie chcę wracać do bramy, a ty?

– Ja też nie. Podoba mi się w tym domu.

– Oczy waszego pana zostały zwrócone – powiedział Masachika. – Teraz jesteście szanowane i czczone. Nie ma powodu, żebyście nadal sprawiały kłopoty.

– Kto tak mówi?

– Mąż pani Matsutani.

– Pan Matsutani?

– Chyba tak.

– Masachika?

– Tak, Masachika.

– Więc pszczoły cię nie zabiły?

– Najwyraźniej nie.

– Mamy spróbować znowu?

– Oczywiście, że nie! Zakończycie wszystkie swoje niszczycielskie działania. Nie będziecie niczego wyrzucać ani nikogo krzywdzić. – Masachika mówił surowym, władcym tonem. – Zamieszkacie przy bramie i będziecie czuwać nad Matsutani, tak jak rozkazał wam mistrz Sesshin.

– Klątwy!

– Tysiąc klątw!

– Sto tysięcy klątw!

– Nie! – uciał Masachika. – Wolno wam wypowiadać tylko słowa ochrony i błogosławieństwa.

– No dobrze – niechętnie ustąpiły duchy. – Błogosławieństwa, błogosławieństwa, błogosławieństwa. Teraz jesteś zadowolony?

– Będę, kiedy wrócicie na swoje miejsce – odparł Masachika.

– Było zabawnie, gdy trwało, prawda?

– Jak w raj. Ale wszystko przemija.

– Wszystko, co ma początek, ma również koniec.

– Tak dużo lepiej – pochwalił je Masachika. – Tak właśnie powinny mówić duchy opiekuńcze.

Nad dziedzińcem przemknął wir powietrza, a potem dwa słupy bramy zajaśniały wewnętrznym światłem.

– Z powrotem do pracy – westchnął głos po lewej stronie.

– Ja chciałem lewy. Dlaczego muszę brać prawy?

– A co to za różnica?

– Skoro nie ma różnicy, zamieńmy się!

– Nie!

Kłótlive głosy coraz bardziej słabły, aż w końcu całkiem ucichły.

– Są zabawne – stwierdziła Tama, kiedy otworzyli bramę i ruszyli w stronę domu. – Będę za nimi trochę tęskniła.

Minione lata zniknęły. Tama czuła się jak młoda dziewczyna, która poślubiła Masachikę, kiedy miała piętnaście lat, a on osiemnaście.

– Teraz przynajmniej możemy uczynić ten dom tak pięknym, jak był kiedyś – powiedziała, schylając się po przedmioty rozrzucone na ziemi. – Niektóre z tych rzeczy można uratować. Odbudujemy Matsutani.

Kiedy stanęli na werandzie i zajrzeli w głąb ciemnych pokoi, Masachika oznajmił:

– Córka Kiyoyoriego była ukrywana w Nishimi.

Tama zamarła.

– Gdzie jest Nishimi? – spytała, bo tylko to przyszło jej do głowy.

– Na zachodnim brzegu jeziora Kasumi. Należało do ojca Jesiennej Księżniczki, szlachcica Hidetake. Kiedy byłem u Kakizukich w Rakuharze, dowiedziałem się o Akihime i poszedłem tam, żeby zorganizować jej porwanie i przewiezienie do stolicy. Powiedziano mi, że Hina również tam jest. Nie widziałem jej, bo uciekła. Sądzi się, że utonęła w jeziorze.

Tama przez chwilę nic nie mówiła. Popatrzyła na rzeczy, które trzymała w rękach, starła z nich kurz i odłożyła je na podłogę.

– Biedna Hina – powiedziała. – Byłam o nią zazdrosna, o miłość Kiyoyoriego do niej i jej zmarłej matki. Próbowalam być dla niej matką, ale ona była chłodna, zawsze mnie odpychała, wołała Haru albo swojego ojca. Mówiono mi, że nie żyje, tak jak mój syn. Ale jak znalazła się w tamtym pałacu?

– Znasz Yukikuni no Takaakirę? Prawą rękę Aritomo?

– Słyszałam o nim.

– Zabrał tam Hinę. Musiał ją znaleźć w naszym domu rodzinnym w stolicy. Z jakiegoś powodu postanowił darować jej życie.

– Bez wiedzy Aritomo? – Tamie trudno było w to uwierzyć. Co mogło tłumaczyć taki

pochopny czyn? A potem przypomniała sobie nadzwyczajną inteligencję Hiny i, musiała to przyznać, urodę. Poczowała ukłucie starej zazdrości, a potem smutek i jednocześnie ulgę, że jej obiekt nie żyje.

– Właśnie – powiedział Masachika. – Chyba rozumiesz konsekwencje.

– Ale skąd pewność, że to ona, skoro jej nie widziałeś?

– Z tego, co powiedział mi szpieg Kakizukich, wynika, że to mogła być tylko ona.

A potem znalazłem pudełko z oczami. Hina musiała je zabrać, kiedy wyjeżdżała z Matsutani. Takaakira to potwierdził. Nawet wprost mnie o nią zapytał.

– Zastanawiałam się, dlaczego je wzięłeś.

– Znalazłem również ten miecz – powiedział Masachika. – Rozpoznajesz go? Mógł należeć do Kiyoyoriego?

Wyciągnął miecz z pochwy.

– Możliwe. Jest w nim coś znajomego, ale nie rozpoznaję rękojeści ani szamerunku. Mógł być odlany po jego śmierci? Stary chyba musiał spłonąć razem z nim. – Delikatnie dotknęła głowicy. – Wiesz, ludzie mówią, że on tak naprawdę nie umarł, tylko żyje w innej postaci i wróci, kiedy przyjdzie czas.

Masachika milczał.

– Musimy natychmiast brać się do pracy – stwierdziła Tama, ruszając do bramy. – Jesteś teraz z Miboshimi czy nadal darzysz sympatią Kakizukich?

– Kakizuki są skazani na zgubę – odparł Masachika. – Tylko głupiec stanąłby po ich stronie. Ale jestem za Matsutani i jego panią.

Tama się uśmiechnęła.

– Ja chyba już porzuciłam Kakizukich, odkąd Miboshi poparłi moje roszczenia.

– Jestem teraz człowiekiem Aritomo – powiedział Masachika. – Moim głównym zadaniem jest porozmawiać z Shikanoko w jego imieniu.

– Shikanoko to nikt – stwierdziła Tama. – Był dzikim chłopakiem, którego bandyta Akuzenji znalazł w lesie. Twój brat darował mu życie, bo uważał go za nieszkodliwego.

– On niepokoi pana Aritomo i całe Miyako – zauważył Masachika.

Gdy przechodzili przez bramę, Tama ukłoniła się oczom, szepcząc słowa podziękowania.

Po drugiej stronie czekał na nich mnich Eisei.

– Przyszedłem pomóc rozprawić się z duchami – oznajmił.

– Sprawa już załatwiona – rzekł Masachika. – Wróciły tam, gdzie ich miejsce.

– Chciałeś, panie, żebym odprawił modły. – Twarz mnicha była ukryta pod jedwabną chustą, ale w głosie wyraźnie brzmiało rozczarowanie.

Za sobą usłyszeli szepty. Eisei odwrócił się gwałtownie. Słupy bramy drżały.

– Shikanoko!

– Shikanoko nadchodzi.

– Kto to jest Shikanoko? – zapytał mnich.

– To... – zaczął Masachika, ale Eisei uciszył go gestem.

– Wiem, kim on jest, ale posłuchajmy, co one powiedzą.

– Shikanoko to dziedzic naszego pana.

– Tak, nasz pan dał mu swoją moc.

– Co to znaczy? – drążył mnich.

– Sam się dowiedz.

Nagle wszyscy usłyszeli stukot końskich kopyt dobiegający ze wschodu. Masachika dobył miecza.

Tama z początku nie rozpoznała człowieka, który zsiadł z pierwszego konia. Przybysz nie był dzikim chłopcem, tylko dorosłym mężczyzną emanującym władczością. Chwilę później nadciągnęli ludzie Masachiki, niektórzy z mieczami, inni z łukami.

– Nie atakować – powstrzymał ich przywódca. – Nie może mu się stać żadna krzywda.

Shikanoko przesunął po nim wzrokiem i posłał mu lekko drwiący uśmiech, ale nie odezwał się słowem. Minąwszy ich małą grupkę, podszedł do bramy i ukląkł przed oczami. Za nim szła dziwna wilcza istota, ale jeden z towarzyszy Shikanoko zsiadł z konia i przywołał ją do siebie. Jego twarz była straszliwie oszpecona przez ogień.

Tama zauważyła, że Eisei wpatruje się w niego uporczywie. W końcu mnich zdjął zasłonę z twarzy, odsłaniając identyczne blizny. Obaj młodzi mężczyźni jednocześnie uśmiechnęli się do siebie. Ich zniszczone rysy wykrzywiły się w taki sam sposób, oczy wyrażały silne emocje.

Shikanoko podniósł się z kolan wyraźnie wzruszony. Otarł łzy i powiedział spokojnie:

– Hidarisama, Migisama, cieszę się, że znowu jesteście posłuszne swojemu starymu panu.

Zwracał się do duchów opiekuńczych, choć one nie zdradzały swojej obecności. Hisoku nie znał ich imion.

Shikanoko uniósł prawą rękę i wykrzyknął:

– Jato! – Miecz, który trzymał Masachika, zakreślił łuk w powietrzu i wpasował się w dłoń Dziecka Jelenia, jakby je rozpoznał. – Skąd go masz?

Masachika wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Znalazłem.

Shikanoko zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

– To był miecz twojego brata, ale został dla mnie wykuty ponownie.

– Miecz Kiyoyoriego? Skąd go wzięłeś? Z pewnością został zniszczony w płomieniach, w których zginął jego pan.

Shika się roześmiał.

– Ani miecz, ani jego pan nie zginęli całkiem. – Wyciągnął przed siebie broń, a Tama przez chwilę myślała, że przetnie nią Masachikę na pół. – Z pewnością nie przyjechałeś tutaj, żeby zwrócić mi Jato. Masz dla mnie jakąś wiadomość?

Ogarnął ją podziw, kiedy Masachika, nie okazując żadnego strachu, oznajmił głośno:

– Jestem Matsutani no Masachika, przysłany tu z misją przez protektora miasta Miyako. Pan Aritomo przetrzymuje Jesienną Księżniczkę, córkę Hidetake. Jeśli się poddasz i wrócisz do pana, od którego uciekłeś, do księcia opata z Ryusonji, jej życie zostanie oszczędzone. Jeśli odmówisz albo podejmiesz próbę jej ratowania, zostanie uśmiercona w najokrutniejszy sposób, jaki można wymyślić. Mój pan żąda również, żebyś

mi wyjawiał, co wiesz o miejscu pobytu fałszywego cesarza Yoshimoriego.

Shikanoko drgnął na dźwięk imienia Akihime, po czym oświadczył:

– Nie wiem, gdzie jest Yoshimori, ale gdziekolwiek przebywa, to on jest prawdziwym cesarzem. Nic nie może tego zmienić, nieważne, kogo będziecie torturować i kogo zabijecie. Możesz wziąć mój miecz w zamian za broń Kiyoyoriego. Nosi imię Jinan, Drugi Syn, tak jak wasz fałszywy cesarz. Oto moja jedyna wiadomość.

Takaakira

Podczas gdy deszcz lał się na stolicę cebrami, Yukikuni no Takaakira czekał na powrót Masachiki i rozmyślał o powadze sytuacji, o niedobrych rzeczach dziejących się w cesarstwie, o oczywistym niezadowoleniu niebios. Próbował odpędzić od siebie smutek z powodu Hiny i niepokój, czy Masachika zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uporządkować sprawę.

Czasami żałował, że oszczędził Hinę. Teraz wyraźnie widział, co dla niej zaryzykował: swoją pozycję przy boku Aritomo, Yukikuni, własne życie. Powinien był ją zabić od razu, kiedy ją zobaczył w tym właśnie domu. Ale potem przypominał sobie zachwyt i radość, które mu dawała, jej inteligencję, wdzięk i urodę, i cierpiał z miłości i smutku. Śnił, że ona żyje, i budził się z nadzieją, ale potem sobie uświadamiał, że gdyby ocalała, wcześniej czy później musiałby zaaranżować jej śmierć, więc lepiej, że spotkała ją szybka i łagodna śmierć przez utonięcie.

Wszędzie czuł jej obecność. Nieraz zdawało mu się, że właśnie wyszła z pokoju, do którego on wchodził. Słyszał jej kroki na werandzie, jej głos w ogrodzie. Chcąc przed nią uciec, zobaczyć znowu tę młodą kobietę Akihime, która zbuntowała się przeciwko panu Aritomo i księciu opatowi, i potwierdzić swoją intuicję, że w sercu Ryusonji mieszka zło, postanowił złożyć wizytę w świątyni.

Ostatnio był tam minionego lata, tuż po pierwszym tajfunie. Teraz nad miastem szumiała ulewa. Jezioro było wzburzone i spienione, groziło wylaniem i połączeniem z rzeką, której poziom podnosił się z każdą godziną.

Księżę opat przywitał go serdecznie i nawet nie napomknął o pogodzie, jakby, ignorując ją, zaprzeczał wrogości natury. Spytał o zdrowie pana Aritomo i poprosił Takaakirę, żeby przekazał mu wyrazy oddania i szacunku.

– Wkrótce będą powody do świętowania – rzekł. – Jestem pewien, że Shikanoko spróbuje uratować naszego więźnia. Gdy trafi w nasze ręce, szybko poznamy miejsce pobytu Yoshimoriego. Kiedy wszyscy będą martwi, harmonia zostanie przywrócona.

Ale on jest prawdziwym cesarzem, pomyślał tak jak wcześniej Takaakira i czym prędzej zamknął umysł przed przenikliwym wzrokiem księcia opata.

– Chciałbym zobaczyć Księżniczkę – powiedział.

Jej widok, leżącej ze związanymi rękami w małej klatce, mocno nim wstrząsnął. Nie rozumiał, jakim cudem jeszcze żyła. W jej wykreconych członkach i zmaltretowanym ciele

dostrzegł Hinę. Właśnie to czekałoby dziewczynkę, gdyby wpadła w szpony Aritomo.

Lepiej, żeby nie żyła, modlił się w duchu. Lepiej, żeby nie żyła.

– Czy to okrucieństwo jest konieczne? – zapytał księcia opata, który przyglądał się Akihime z chłodną pogardą.

– Ona wie, gdzie jest Yoshimori, i nie chce nam powiedzieć. Jej upór musi być ukarany. Ona zostanie złamana, a jej cierpienie sprowadzi do nas Shikanoko.

Takaakira patrzył na Jesienną Księżniczkę ze współczuciem zmieszonym z odrazą. Było wiele rzeczy, o które chciał ją wypytać. Nie o Yoshimoriego, ale o czas spędzony w Nishimi. Co robiła Hina? Nadal czytała „Skarbnicę kudzu”? Jakie postępy poczyniła w muzyce i poezji? Mówiła o nim? Chciał wiedzieć wszystko, co się wydarzyło w miesiącach, kiedy przebywał daleko od domu. I gdzie się podziała palisandrowa szkatułka z oczami starca? Nagle poczuł, że jeszcze chwila, a załamie się i rozplacze.

Próbował ukryć słabość przed księciem opatem. Myśl o starcu przypomniła mu, że przed wyjazdem do Nishimi zamierzał go przesłuchać. Radość, że ma gdzie ukryć Hinę, a potem długa nieobecność w mieście sprawiły, że postanowienie wyleciało mu z głowy.

– Co się stało ze ślepym lutnistą? – zapytał.

– Nadal tu jest – odparł księżę opat. – Gra i śpiewa, ale stracił rozum.

– Chciałbym z nim porozmawiać – rzekł Takaakira.

Księżę opat popatrzył na niego ostro.

– Co dobrego z tego wyniknie? Niczego sensownego nie da się z niego wydobyć.

– Chcę go wykluczyć jako potencjalne źródło nierównowagi – wyjaśnił Takaakira. – Może nigdy właściwie nie zrekompensowano zła, które mu wyrządzono. Powinniśmy wszystko sprawdzić.

– Znajdziesz go w krużganku, panie. Możesz porozmawiać z nim w drodze do wyjścia.

Jego lekceważący ton zirytował Takaakirę. Ten kapłan jest pełen arogancji i pychy, pomyślał i zaczął się zastanawiać, czy pan Minatogury nie mógłby się bez niego obejść.

Sesshin rzeczywiście siedział w jednym z korytarzy ze skrzyżowanymi nogami, z lutnią na kolanach i twarzą zwróconą ku górze. Jego usta poruszały się jak w modlitwie. Widok starej, oślepionej twarzy przyprawił Takaakirę o dreszcz. Oczy tego człowieka kiedyś zmusiły go do płaczu, znały jego największe sekrety, wszystkie błędy i słabości. Czy Sesshin wiedział to, co one dostrzegały, czy już na zawsze były od niego oddzielone?

Ukląkł obok niego i przemówił spokojnym tonem, żeby go nie wystraszyć:

– Mistrzu Sesshin, tu Yukikuni no Takaakira.

Starzec nie odpowiedział. Chyba nie był głuchy?

– Dobrze się czujesz? – spytał głośniejszym głosem Takaakira. – Czegoś potrzebujesz?

– To uprzejme, że taki potężny pan troszczy się o moje samopoczucie – odezwał się w końcu Sesshin. – Nie mam żadnych pragnień, żadnych potrzeb. – Nie wydawał się całkiem zgrzybiały. – A ty się dobrze czujesz, panie?

– Tak.

– A pan Aritomo? Wszystko u niego dobrze?

– Sądzę, że jest w dobrym zdrowiu – odparł Takaakira.

– Proszę mu powiedzieć, żeby dobrze wykorzystał ten czas, bo wkrótce będzie bardzo chory.

– Możesz stracić język albo zostać skazany na śmierć – ostrzegł go Takaakira.

Groźba najwyraźniej nie przstraszyła Sesshina, tylko go rozbawiła, bo zatrząsł się od bezgłośnego śmiechu. Przez jakiś czas kiwał głową, aż Takaakira pomyślał, że starzec postradał zmysły, a on tylko marnuje cenny czas.

– Ponieważ byłeś taki miły i zapytałeś o moje zdrowie, panie, dam ci pewną radę – rzekł w końcu Sesshin. – Ksiązę opat jest dla mnie ostatnio bardzo łaskawy, ale przez całe lata chciał mnie zabić. Wiesz, dlaczego? Bo ja byłem jedynym człowiekiem, który mógł rzucić mu wyzwanie. Kiedyś byliśmy sobie równi. Potrafisz w to uwierzyć, panie? A teraz on sprowadza do Ryusonji jedyną osobę, która może go pokonać. Tak, on upadnie. A Aritomo wcześniej czy później podąży w jego ślady.

– Co ty wygadujesz? – rozgniewał się Takaakira. – Będzie jakiś atak na Ryusonji? Shikanoko?

Sesshin wziął lutnię i zagrał kilka żałobnych nut. Jego twarz, przed chwilą młoda i pełna inteligencji, teraz na powrót była stara i pusta. Zaczął śpiewać bełkotliwie. Takaakira nie potrafił zrozumieć słów, ale wydawało mu się, że już kiedyś słyszał tę pieśń o dziecku smoka. Ponad dziedzińcem sieczonym przez ulewę spojrzął w stronę jeziora.

Jedną zwrotkę Sesshin zaśpiewał wyraźniej:

*Ono śpi pod jeziorem,
Dziecko smoka,
Ale się obudzi
I rozpostrze skrzydła,
Kiedy przybędzie dziecko jelenia.*

– Czy dziecko jelenia już nadchodzi? – zapytał Takaakira nagłym tonem. – To Shikanoko?

Przez twarz Sesshina przemknął uśmiech.

Takaakira zobaczył, że już nic więcej z niego nie wydobydzie. Pożegnał się i ruszył w stronę wyjścia ze świątyni. Dziedzińce były opustoszałe i choć słyszał śpiewy, nikogo nie widział. Jednakże kiedy przechodził przez główną bramę i kierował się do miejsca, gdzie czekał jego wóz z wołem po pęczyny zanurzonym w błocie, ujrzał, że w jego stronę idzie mnich z poparzoną twarzą.

Młodzieniec też go rozpoznał.

– Pan Takaakira? Jestem Eisei. W zeszłym roku złożyłeś, panie, wizytę księciu opatowi.

– Tak, pamiętam cię. Byłeś w Matsutani, prawda? Jakie wieści przynosisz?

– Pan Masachika jest w drodze do pana Aritomo.

– Więc muszę szybko wracać – stwierdził Takaakira.

Eisei się rozejrzał. Wydawał się zdenerwowany. Wbił wzrok w Takaakirę, jakby chciał

z nim porozmawiać, ale nie miał odwagi.

Takaakira dał mu znak, żeby schronili się pod okapem. Deszcz nie przestawał padać. Wół zaryczał żałośnie i przestąpił z nogi na nogę.

– Gdzie jest teraz Shikanoko? – spytał cicho Takaakira.

– Niedaleko. Przybył od razu, jak tylko usłyszał o Księżniczce.

– Przekazał jakąś wiadomość?

– Przysłał miecz – odparł Eisei. – Jego imię brzmi Jinan.

– Drugi Syn?

– Tak. Jak naszego obecnego cesarza.

Masachika nie odważy się tego powiedzieć naszemu panu, pomyślał Takaakira.

– Ilu ludzi z nim przyjechało? – zapytał.

– Tylko jeden. Jego przyjaciel Nagatomo. Tyle rzek wylało, że przejazd całej armii byłby niemożliwy.

– Z własnej woli osłabił się i wystawił na atak? – zdziwił się Takaakira.

– Podda się, jeśli Księżniczka zostanie uwolniona – odparł Eisei.

– Z pewnością spróbuje ją uratować?

– Panie, muszę ci coś powiedzieć – rzekł mnich. – Jeśli ty albo mój pan skazecie mnie na śmierć, trudno, niech tak będzie. Shikanoko ma niezwykłą moc, dużo większą, niż podejrzewa mój pan. Jeśli wejdzie do Ryusonji, zniszczy je.

To samo kilka minut wcześniej powiedział Sesshin.

– Ale co ważniejsze – ciągnął Eisei – to Yoshimori jest prawdziwym cesarzem i nic nie może tego zmienić.

– Skąd nagle taka przemiana? – zapytał Takaakira. – Wyjechałeś jako lojalny sługa księcia opata, a teraz go zdradzasz?

– Powiedzieć komuś, że się myli, to nie zdrada, tylko może najwyższy stopień lojalności. Spotkanie z Shikanoko otworzyło mi oczy. Myślałem, że go nienawidzę, bo jego maska spaliła mi twarz, ale to nie on zasłużył na moją nienawiść. Nie zmusił mnie, żebym ją włożył. Ostrzegał przed nią, tak jak później próbował ochronić Nagatomo. – Jego twarz się zmieniła, kiedy to mówił. – Mamy identyczne bliźny. Nazywamy się Poparzonymi Bliźniakami.

– Szedłeś zobaczyć się z księciem opatem? – zainteresował się Takaakira.

– Tak, zamierzam powiedzieć mu to, co właśnie powiedziałem tobie, panie.

– Nie rób tego jeszcze, bo zostaniesz surowo ukarany. Najpierw porozmawiam z panem Aritomo. Wstawię się u niego za Shikanoko. Możesz się z nim porozumieć, na przykład przez jego przyjaciela... Nagatomo?

Eisei pokiwał głową.

– Więc powiedz mu, żeby poczekał na wieści ode mnie. Przyjadę tu jutro w południe. Mam nadzieję, że będę w stanie uratować i jego, i Księżniczkę.

Słuchając słów Eisei, Takaakira zrozumiał, że potwierdziły się jego wcześniejsze obawy. Ryusonji i księżę opat rzeczywiście byli źródłem cierpienia kraju. Jego obowiązkiem i wyrazem najwyższej lojalności było powiadomić o tym swojego pana. Wsiadł do wozu

i kazał służyć natychmiast jechać do pałacu.

W przedsionku spotkał Masachikę. Pomieszczenie było pełne wojowników czekających na rozkazy albo na możliwość przedstawienia swoich prośb. Masachika uprzejmie powitał Takaakirę, wspomniał o trudach podróży, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo obaj zostali wezwani do wewnętrznej komnaty.

Aritomo wyglądał na jeszcze bardziej rozdrażnionego i podejrzliwego niż zwykle. Pod jego lewym okiem przez cały czas drgał mięsień, zdradzając bezsenność. Pod pozorami spokoju tlił się gniew, tak że obaj mężczyźni stali się nerwowi i uniżeni.

Masachika wyjął z futerału miecz i z ukłonem podał go na wyciągniętych rękach.

– Dał mi go Shikanoko, a ja ofiarowuję go tobie, panie.

Kiedy Aritomo przyjął dar i obejrzał go uważnie, jego twarz odrobinę złagodniała.

– Jest bardzo piękny. Nigdy nie widziałem takiego.

– Sądzę, że został wykuty w górach – powiedział Masachika. – Może przez tengu, może przez czarownika.

– Przywiozłeś ze sobą parweniusza?

– Podążył za nami. Jest teraz blisko stolicy. Jedzie z tylko jednym towarzyszem. Mam jego zapewnienie, że się tobie podda, panie, jeśli Księżniczka zostanie uwolniona.

– Dobra robota, Masachiko – pochwalił go Aritomo. Najwyraźniej wrócił mu dobry humor. – Na znak mojej wdzięczności dam ci ten miecz.

Masachika skłonił się nisko.

– Muszę również dodać, że pojednałem się ze swoją byłą żoną, odzyskałem Matsutani i rozprawiłem się ze złymi duchami, przez które nie można było tam zamieszkać. Posiadłość jest w rękach Miboshich i jeśli mi pan ufa, odzyskam również Kuromori i Kumayamę.

– Panie Aritomo, mogę porozmawiać z panem na osobności? – zapytał Takaakira.

Aritomo uniósł rękę.

– Za chwilę. Rozprawiłeś się z duchami? Jak? Wiem, że wzięłeś ze sobą jednego z mnichów księcia opata. On ci pomógł?

– Zrobiłem to sam, panie – odparł Masachika. – Po prostu oddałem coś, co wcześniej zaginęło.

– Co za tajemniczość – skomentował Aritomo. Jego nozdrza drgnęły, zuchwa przesunęła się boku na bok. – Nie jestem adeptem, więc będziesz musiał wszystko jasno mi opowiedzieć.

– Żona Kiyoyoriego, pani Tama, oślepiła mędrca Sesshina. Kiedy go później wypędziła, jego oczy położono na zachodniej bramie w Matsutani, gdzie on sam wcześniej umieścił duchy opiekuńcze. Po trzęsieniu ziemi one uciekły, a oczy zniknęły. Udało mi się je odzyskać i duchy wróciły na swoje miejsce.

– Wszystko bardzo dobrze, ale jak znalazłeś się w posiadaniu tych oczu?

Takaakira czuł pot zbierający się pod pachami, a jednocześnie było mu lodowato zimno. Jego puls przyspieszył.

– Córka Kiyoyoriego zabrała je do Nishimi – odparł wolno Masachika. – Tam je

znalazłem.

Aritomo wytrzeszczył oczy. Obserwował Masachikę uważnie, jak zawsze wyczulony na każdą próbę ukrycia prawdy. Następnie skierował wzrok na drugiego sługę.

Z trzewi Takaakiry uniosła się fala gorąca, od której jego twarz zrobiła się czerwona. Chciał wyjaśnić, jaka jest Hina i dlaczego ją oszczędził, ale stojąc twarzą w twarz ze swoim panem, zrozumiał, że nie ma żadnych argumentów ani usprawiedliwień.

– Przez cały ten czas ukrywałaś córkę Kiyoyoriego? – zapytał z niedowierzaniem Aritomo. – Gdzie ona jest teraz?

– Próbowала uciec, kiedy znaleźliśmy Jesienną Księżniczkę – włączył się Masachika. – Sądzi się, że utonęła. Ale zostawiła pudełko z oczami Sesshina.

Aritomo chyba go nie słuchał. Jego twarz miała kolor popiołu, oczy były pełne łez.

– Ufałem ci jak nikomu innemu – wyszeptał. – Przez lata byliśmy bliskimi przyjaciółmi, przez całe życie. Czy to prawda, że mnie zdradziłeś?

Takaakira nie mógł wydobyć z siebie głosu. Piekły go oczy. W końcu przemówił:

– To prawda, że znalazłem córkę Kiyoyoriego i pozwoliłem wszystkim wierzyć, że ona nie żyje, choć tak naprawdę oszczędziłem ją i zabrałem do Nishimi. Nie posłuchałem twoich rozkazów, panie. To nie była zdrada. Ale też nie mam żadnego usprawiedliwienia i nie proszę, żebyś mi darował ani przebaczył. Pozwól, panie, że sam odbiorę sobie życie. To moja jedyna prośba. Ale błagam, żebyś najpierw mnie wysłuchał. Popelniasz straszliwy błąd.

Umrę, pomyślał. Mogę powiedzieć wszystko. Jednakże nawet na progu śmierci bał się gniewu Aritomo.

– Przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń spełnię twoją prośbę – rzekł łamiącym się głosem Aritomo. – Ale zrób to teraz, natychmiast, bo inaczej spalę cię razem z Księżniczką.

– Teraz? Tutaj?

Przez głowę Takaakiry przebiegły najróżniejsze myśli. Kiedy dziś rano się ubierałem, nie podejrzewałem, że wkładam te rzeczy po raz ostatni. Teraz zaplami je moja krew. Nie wolno mi się zawahać ani drgnąć. Muszę zachować się dzielnie. Nigdy więcej nie zobaczę Śnieżnej Krainy. Spotkam Hinę po drugiej stronie Rzeki Śmierci? Już nic nie mogę zrobić dla Shikanoko ani Księżniczki.

– Możesz użyć noża należącego do szlachcica Hidetake – rzekł Aritomo z tkliwością, jakby powierzał przyjacielowi cenny dar.

Takaakira przez chwilę podziwiał rękojeść wysadzaną klejnotami, idealne wyważenie broni, składane ostrze z najlepszej stali. Nic nie czuję, pomyślał. Rozwiązał szarfę i rozchylił kimono, odsłaniając brzuch. Zalała go fala czułości dla nieskazitelnej skóry, twardych mięśni. Poczul żal z powodu swojego ciała i nieuleczalnej rany, którą miał mu zadać.

– Wybacz – szepnął i z całej siły wbił w nie nóż, obrócił go i przeciągnął w bok.

Poczul na rękach gorącą krew i w końcu odważył się wypowiedzieć te słowa na głos:

– Yoshimori jest prawdziwym cesarzem!

Samo cięcie prawie nie bolało, ale potem zaczęła się agonia. Jego ciało, takie silne i zdrowe, nie chciało umierać. Aritomo obserwował go aż do końca.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał Yukikuni no Takaakira, kiedy jego duch w końcu się uwolnił i rozpoczął podróż przez Rzekę o Trzech Strumieniach, był szloch Aritomo.

Aki

Pewnego ranka Aki usłyszała rzenie koni i pomyślała, że to są jej towarzysze podróży, niegdyś należący do Shikanoko. Nie rozpoznawała dziewczyny, którą wtedy była, jej odwagi, jej wolności. Została złamana przez ból porodu i tortur, żal za dzieckiem, którego nigdy więcej miała nie zobaczyć. Ale zwierzęta przywróciły jej cień nadziei. Wspomniała noc na rozstajach dróg, ducha Kiyoyoriego, pana Kuromori. Żrebak urodził się tego samego dnia co jej syn.

W świątynnym pomieszczeniu, w którym umieszczono klatkę, mimo celów, do jakich go używano, znajdowały się złote posągi Oświeconego i drewniane figury różnych świętych, a także panów piekła. Dokonywanie okrutnych czynów pod ich wzrokiem wydawało się szczególnie złe. Aki patrzyła na rzeźby, zastanawiając się, dlaczego nie zejść z piedestałów, żeby ją ratować.

– Pomóżcie mi – wyszeptała.

Następnego dnia zauważyła, że wśród darów leżących u stóp posągów ktoś umieścił łuk z katalpy. Bardzo żałowała, że swój zostawiła w Nishimi. Ale kiedy jej wzrok się wyostrzył, zobaczyła, że to on, przeniesiony tutaj w jakiś cudowny sposób. Ogarnęła ją fala spokoju. To musiało oznaczać, że jej przebaczone. Pomyślała o swojej rytualnej szkatułce, którą dostała w tym samym czasie co łuk i którą zostawiła Kai. Pocieszyła się, wyobrażając sobie Kai i Yoshiego tak, jak ostatni raz ich widziała, ich życie i występy z muzykami i akrobatami. Gdyby teraz umarła, nikt by się nie dowiedział, gdzie jest Yoshimori, a nie spodziewała się przeżyć.

Często miewała gorączkę. Raz otworzyła oczy i wydawało się jej, że widzi wojownika, jednego z ludzi pana Aritomo, patrzącego na nią z litością. Ale co by jej przyszło z czyjegóż współczucia?

Dręczyciele zostawili ją w spokoju na resztę dnia i zajęli się innym nieszczęśnikiem. Ze swojej drewnianej klatki Aki słyszała dobiegające z głębi świątyni dźwięki, które niełatwo było jej połączyć z obrazami. Te odgłosy budziły wspomnienia w jej własnych członkach: miażdżących kamieni, skręconych lin, rozżarzonych żelaznych prętów. Nie wiedziała, kim jest ta biedna ofiara. Więzień nigdy nie krzychał ani się nie odzywał, ale kiedy tortury dobiegały końca, mamrotał słowa modlitw i cicho pojękiwał.

Aki uświadomiła sobie, że już nie słyszy muzyki granej na lutni, która była dla niej pociechą w czasie katuszy, i doszła do przekonania, że torturowanym więźniem jest

lutnista. Żałowała go i modliła się za niego gorąco.

Tamtej nocy obudziła się mokra i stwierdziła, że krwawi. Nie wiedziała, czy to jej miesięczna słabość, czy tortura kamieni spowodowała jakieś wewnętrzne obrażenia. W całym ciele czuła tępe pulsowanie i pieczenie na zmianę z gwałtownymi, przeszywającymi bólami. Poprosiła o szmatki i wodę, ale nikt nie przyszedł.

Zacząła rozpaczliwie szlochać za dzieckiem. Bara próbowała jej wmawiać, że Hina uciekła z chłopczykiem, ale Masachika poinformował ją, że oboje utonęli. Płakała również nad swoim życiem, zbliżającym się do końca, tak krótkim, pełnym błędów, żalu i wyrzutów sumienia.

Przed posągami paliła się mała lampka ledwo rozjaśniająca pokój. Noce były ciemne, bo od tygodni nie widziano księżyca na niebie zasnutym gęstymi, niskimi chmurami. Cienie przesuwają się po twarzach rzeźb, nadając im wyraz litości i przerażenia.

– Nie potrzebuję litości, tylko pomocy – powiedziała Aki.

Nagle jeden z cieni zgęstniał i zrobił krok w jej stronę. Serce dziewczyny zatrzępotało, przyprowadzając ją o nieznośne pulsowanie w całym ciele.

Przy prętach klatki stał chłopiec i wbijał w nią wzrok.

Aki uniosła się, zapominając o pętach i boleśnie wykręcając sobie ramiona. Nie zdołała powstrzymać się od krzyku.

Chłopiec dał jej znak, żeby była cicho, a potem bezszelestnie obszedł klatkę, ukląkł i zapytał szeptem:

– Jesteś Księżniczką?

Akihime pokiwała głową. Chłopiec zmarszczył nos, a wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo musi śmierdzieć.

– Krwawię – powiedziała. – Możesz mi przynieść jakieś szmatki i wodę?

– Nie przejmuj się – pocieszył ją chłopiec. – Wąchałem gorsze rzeczy, wierz mi.

Nawet dręczyciele nie mówili w tak poufały sposób. Zwracali się do niej uprzejmie i nazywali Księżniczką, nawet kiedy wykręcali jej ręce i przypalali ciało.

– Przysłał mnie Shikanoko – mówił dalej chłopiec.

Serce Aki zadudniło. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Gdzie on jest?

– Niedaleko. Mam rozejrzeć się w świątyni i znaleźć najlepszy sposób, by cię uratować.

– To niemożliwe. Powiedz mu, żeby tego nie próbował. Nikt nie wedrze się do Ryusonji.

Nikt nie potrafi przeciwstawić się księciu opatowi.

– Może masz rację. Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze jest chronione to miejsce. Dużo czasu zajęło mi dostanie się do środka, a udało mi się tylko dlatego, że ten, kto stworzył zabezpieczenia, nie przewidział kogoś takiego jak ja.

– Kim jesteś? – spytała Aki.

– Moja matka nazwała mnie Kiku. – Chłopiec obszedł klatkę, sprawdzając drzwi i wzmocnienia. Nagle wydał cichy odgłos jak gekon i z cieni wysunął się drugi chłopiec, prawie identyczny wzrostem i wyglądem. – Shikanoko kazał nam przynieść lek i truciznę – wyjaśnił Kiku, kucając obok Aki i poluzniając więzy na jej rękach. – Nie zrobiliśmy tego

ostatnim razem. Co masz, Kuro?

– A co on potrzebuje? – zapytał drugi chłopiec, patrząc na Akihime.

– Ona. To kobieta, Księżniczka.

– Przepraszam, jest tak ciemno. Nie wiedziałem, że kobiety też są torturowane.

– Coś, żeby uśmierzyć ból i zatamować krwawienie – powiedział Kiku.

– Spróbujmy tego. – Kuro podał mu małą buteleczkę.

Kiku delikatnie obrócił głowę Aki i wlał zawartość flakonika do jej ust. Napój był gorzki

i szczypiący.

– Zamierzacie mnie otruć? – spytała.

– Moglibyśmy, gdybyś chciała – odparł Kuro.

– Nie bądź idiotą – skarcił go brat. – Shikanoko chce ją żywą. To właśnie oznacza słowo

„uratować”. Nie ratuje się martwych. – Odwrócił się do Aki. – On nie rozumie wielu ludzkich spraw. Trzeba mu wszystko wyjaśniać.

– Wkrótce będę martwa – stwierdziła Aki.

– Więc mamy wrócić do Shikanoko i powiedzieć mu, żeby się nie kłopotał? – spytał

wesoło Kuro.

– On nie powinien ryzykować życia z mojego powodu – oświadczyła Aki. – Przekażcie

mu, że ma znaleźć cesarza. Ale zanim odejdziecie, możecie mi podać tamten łuk?

Kiku zbliżył się do posągu i schylił po broń.

– Shisoku miał kilka takich – zauważył. – Jest magiczny?

Wsunął go przez pręty do klatki. Gdy Aki namacała znajomy kształt, wstąpiła w nią

otucha. Delikatnie trąciła cięciwę.

W tym momencie z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł dźwięk, jakby ktoś jęknął przez

sen.

– Co to było? – wyszeptał Kiku.

– Chyba lutnista. Starzec, który śpiewa ballady i opowiada bajki.

– On też jest torturowany?

– Jakich metod używają? – zainteresował się Kuro. – Co powoduje największy ból?

Kiku trącił go łokciem.

– Dowiemy się później. Teraz musimy postanowić, co dalej robić.

Nagle starzec zaczął śpiewać:

Dziecko smoka poleciało za wysoko.

Było jeszcze takie młode, teraz jest dorosłe,

Jego skrzydła są silne, oddech parzący.

Ma oddech parzący

I powstanie z jeziora Ryusonji.

Cała trójka zamarła. Serce Aki się ścisnęło, kiedy w ludzkim głosie, słabym i łamiącym się, usłyszała wielką żalność.

– Ładna pieśń – stwierdził Kiku.

– Chciałbym zobaczyć smoka – dodał Kuro.

– Ktoś nadchodzi! – syknął Kiku i szybko zabrał dziewczynie łuk.

Pochodnie rozświetliły pokój, kiedy do środka wpadli uzbrojeni mnisi. Rozbiegli się na wszystkie strony, zaczęli szukać za posągami i w każdym kącie, mamrocząc inkantacje i słowa zaklęć.

– Kto cię rozwiązał, Księżniczko?! – wykrzyknął jeden.

Aki nie odpowiedziała, tylko obserwowała, jak chłopcy śmigają po całej izbie niczym szczury, to pojawiając się, to znikając. Czasami widziała trzech albo czterech jednocześnie, czasami żadnego. Mnisi starali się zagonić ich w róg. Trzech zostało osaczonych, ale kiedy jeden z zakonników próbował dopaść ostatniego, Kiku skoczył w górę, złapał się krokwi i wymknął przez otwór w suficie, przez który wcześniej dostał się do środka. Stamtąd zawołał do brata, a Kuro skoczył z zadziwiającą zręcznością i chwycił jego wyciągniętą rękę.

Nagle w drzwiach stanął ktoś i wypowiedział władcym tonem jedno słowo.

To ksiązę opat próbował zapanować nad swoim dominium i intruzami, którzy się do niego wdarli, ale było już za późno. Chłopcy zniknęli.

– Uciekli, panie – powiedział jeden z mnichów.

– Pozwoliłem im się wymknąć. Wrócą z Shikanoko.

– Co to za istoty? Ludzie?

– Niezupełnie. Nie wiem dokładnie, skąd się wzięli i dlaczego zjawili się akurat teraz, ale przynajmniej w części są demonami.

– Potrafią się powielać i stawać niewidzialnymi.

– Słyszałem o takich rzeczach – przyznał ksiązę opat.

– Co to oznacza?

– Nic – warknął kapłan, ale Aki pomyślała, że w jego głosie słyszy niepokój.

Ksiązę opat zbliżył się do jej klatki.

– Ona krwawi – stwierdził. – To miejsce zostanie oczyszczone dopiero, kiedy ona spłonie.

Shikanoko

Shikanoko, Nagatomo i dwaj chłopcy znaleźli pokoje na skraju miasta, niedaleko Ryusonji. Za kwaterę i wikt zapłacili końmi, na których przyjechali. Znaleźli się wśród setek innych ludzi, którzy uciekali przed powodzią, żeby zanosić modły i błagania w licznych kaplicach i świątyniach stolicy.

Tamtej nocy Eisei przysłał im wiadomość, że następnego dnia przyprowadzi Takaakirę na spotkanie z Shikanoko, a Kiku i Kuro poszli obejrzyć Ryusonji. Chłopcy wrócili dopiero o świcie, mnich zjawił się późnym popołudniem.

– Czekałem na pana Takaakirę wiele godzin – wyjaśnił. – Potem dowiedziałem się o jego śmierci. Aritomo kazał mu odebrać sobie życie. Księżę opat musiał dokonać ceremonii oczyszczenia, pogrzeb odbędzie się za kilka dni. Wszyscy, całe miasto, są wstrząśnięci. Takaakira był najbliższym przyjacielem Aritomo, ogólnie lubianym. Nikt nie rozumie powodów, ale musi chodzić o to, że ośmielił się wstawić za tobą u pana Aritomo. – Po chwili Eisei dodał: – Zamierzał wam pomóc, naprawdę w to wierzę. Chciał uratować Księżniczkę i ciebie. Wczoraj rozmawiałem przez chwilę z Sesshinem, a potem księżę opat jego również poddał torturom. Nie rozumiem, po co. On jest tylko starym człowiekiem, który traci rozum.

– A ja się dziwię, że do tej pory był dla niego taki pobłażliwy – powiedział Shika. – To odwieczni rywale.

– Ale on teraz jest zupełnie bezradny – sprzeciwił się Eisei. – To dlatego, że oddał ci całą swoją moc?

– Skąd wiesz?

– Od duchów z bramy w Matsutani.

– One opowiadają wiele głupstw – uciął Shikanoko. – Tak czy inaczej, zastanawiam się, czy istnieje na świecie jakaś siła, która może mi teraz pomóc albo uratować Księżniczkę.

– Co zrobisz? – spytał Nagatomo.

– Muszę chwilę pomyśleć, a potem zdecyduję.

Ucieczka z Ryusonji zabrała braciom dużo czasu. Obaj wrócili bardzo podekscytowani i niezwykle gadatliwi. Teraz Kuro był zajęty swoimi jadowitymi stworzeniami. Pozwalał, żeby stonoga pełzała mu po rękach, a wąż wił się we włosach. Kiku niespokojnie krążył po pokoju.

– Wiesz, chyba tęsknię za Mu – wyznał nagle, zatrzymując się przed Shiką.

– Ja też.

Shikanoko przez całą zimę martwił się o pozostałych chłopców. Gdy tylko śniegi stopniały, wysłał nawet Chikę, żeby zobaczył, co u nich. Zamierzał sprowadzić ich do Kumayamy, ale teraz był zadowolony, że nadal są w chacie Shisoku. Gdyby zginął, tam byliby bezpieczniejsi.

– Musisz wrócić do lasu, jeśli coś mi się stanie – powiedział.

– A co ma się stać? – spytał Kiku.

– Jeszcze nie wiem. Zostaw mnie na chwilę w spokoju. Muszę pomyśleć.

– Tylko nie myśl za długo. On mówi, że ją spali.

– To może nastąpić dopiero po pogrzebie pana Takaakiry – odezwał się Eisei. – Mamy więc trochę czasu.

– Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć? – zapytał Shika.

– Jest z nią bardzo źle – odparł Kiku. – Przyniosłem łuk. Leżał na ołtarzu w pokoju, gdzie jest uwięziona.

Shika wziął broń do ręki i obejrzał ją z podziwem. Wiedział, że łuk jest dla Akihime źródłem mocy.

– Chciałbym go jej odnieść – rzekł w zadumie.

Kiku posłał mu jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Może to zrobimy.

– W jeziorze jest smok – odezwał się Kuro.

– Tak – potwierdził Shika. – Obudziła go śmierć Tsumaru.

– Tsumaru? – powtórzył Kiku.

– To był syn pana Kiyoyoriego. Umarł jako dziecko.

– Pana Kiyoyoriego, naszego ojca?

– Tak.

– Więc był naszym bratem? Powinniśmy go pomścić. – Kiku uśmiechnął się szeroko, jakby bardzo ucieszył go ten pomysł. – A skoro już mowa o ojcach, starzec, który gra na lutni, ma być spalony. Sesshina też musimy uratować.

* * *

Shika zaczął przygotowania od odprawienia rytuałów, których nauczył się od Shisoku i Sesshina. Wyjął maskę z worka i oczyścił ją kadzidłem. To samo zrobił ze sobą i z bronią. Przez resztę dnia pościł, a w nocy siedział na małej werandzie, słuchając szumu deszczu, wzywając na pomoc swoich mistrzów i nauczycieli, żywych lub martwych: Sesshina, Kiyoyoriego, Shisoku, panią Torę.

Słyszał, jak Nagatomo i Eisei rozmawiają ze sobą szeptem, a chłopcy ściszonymi głosami kłócą się o węża. Potem wszyscy zasnęli.

Gen leżał z głową przy nogach Shiki, budząc się i przysypiając. Od czasu do czasu się wzdrygał, a o świcie zawył przeciągle. Na wysokich drzewach otaczających Ryusonji zaczęły się budzić ptaki. Ich pieśń wyrażała moc lasu. Wszystko przemawiało do

Shikanoko: ptasie głosy, wiatr, deszcz, drzewa potrząsające gałęziami i ociekające wilgocią. Jednocześnie czuł całą swoją słabość, w jego prawym ramieniu odezwał się dawny ból. Potem usłyszał głos górskiego czarownika: „Mógł nauczyć cię wielu rzeczy, ale nie załamywania się”. Dopiero teraz zrozumiał, co Shisoku miał na myśli. Wyciągnął rękę i namacał maskę. Przesunął palcami po drobnych rysach w miejscu, gdzie została naprawiona, po odłamanym rogu. Włożył ją na twarz i pozwolił, żeby przeniosła go do świątyni. Wśliznął się pod wielkimi okiennicami, nadal zamkniętymi, pomknął przez dziedzińce i korytarze, które tak dobrze znał. Nadchodzę. Jesteś tam?

Raptem napotkał umysł i wolę swojego dawnego pana. Po raz pierwszy ujrzał ich potęgę, gęstą i nieprzeniknioną, subtelną i zmienną. Nic nie mogło pokonać księcia opata: ani maska, ani Jato, ani łuk Kodama, senne echo Ameyumi. Wycofał się wstrząśnięty i świadomy, co go czeka: śmierć albo uwięzienie, agonia ciała i duszy.

Zdjął maskę, wstał i spojrzał na ogród, tęskniąc za ucieczką. Nie mógł jednak teraz się wycofać. Nawet gdyby miał umrzeć razem z Akihime. I musiał stanąć do walki słaby i załamany, a nie silny.

Jego uwagę nagle rozproszył grzechot kamieni. Nagatomo znalazł gdzieś starą planszę do go i próbował pokazać chłopcom zasady gry obmytymi przez deszcz kamykami zebranych w ogrodzie. Ten dźwięk przypomniał mu ojca. On też zaryzykował wszystko i przegrał. Teraz jego syn był skazany na powtórzenie jego losu.

Wszyscy trzej spojrzeli na niego wyczekująco.

– Więc jaki masz plan? – zapytał Kiku.

– Pójdę teraz do Ryusonji, sam, z pustymi rękami – oznajmił Shika. – Wy musicie wrócić do chaty w Ciemnym Lesie. Ciebie, Nagatomo, zwalniam ze służby, jeśli w ogóle można ją tak nazwać.

– Żartujesz! – wykrzyknął przyjaciel.

– To nie jest żaden plan! – zaprotestował Kiku. – Dlaczego nie chcesz, żebyśmy ci pomogli? Już byliśmy w środku, możemy to zrobić znowu.

– On pozwoli wam wejść, ale już was nie wypuści – stwierdził Shika.

– Nie przyjmuję dymisji – oświadczył Nagatomo. – Idę z tobą.

– Ufam, że zajmiesz się chłopcami i Genem. Dopilnujesz, żeby bezpiecznie wrócili do domu.

– Nie sędzę, żeby Gen cię zostawił! – zauważył Nagatomo.

Fałszywy wilk pokręcił łbem i wymamrotał:

– Ni... dy...

– A co z Jato i maską? – zapytał Kiku. – Chyba ich nie zostawisz?

– Muszę iść z pustymi rękami, jakbym był nikim. Jeśli dzisiaj umrę, Nagatomo może wziąć Jato i Kodamę, a ty i Kuro zabierzecie maskę z powrotem do chaty i położycie ją na ołtarzu.

– Możemy jej używać? – odezwał się Kuro, marszcząc brwi.

– Tylko jeśli chcecie spalić sobie twarz jak Nagatomo i Eisei – ostrzegł Shikanoko. – Lepiej tego nie próbujcie. Nie może jej nosić nikt oprócz mnie.

- Więc powinieneś zabrać ją ze sobą – upierał się Kiku. – I nie mów o umieraniu!
- Sam kiedyś powiedziałeś, że wszyscy w końcu umierają – przypomniał mu Shika.
- A łuk Księżniczki, który odzyskaliśmy z takim trudem? – włączył się Kuro.

Shika się zawahał, bo tą bronią nie mógł rozporządzać.

- Chyba też powinniście zanieść go do lasu, jeśli Księżniczka umrze – stwierdził w końcu.

Ukląkł przed mieczem i maską, podziękował im na pożegnanie. Obmył twarz i ręce, rozwiązał włosy, uczesał je i ponownie zebrał w węzeł na czubku głowy, otrzepał ubranie z błota. Następnie uściskał krótko chłopców i Nagatomo, poradził, żeby natychmiast wyruszyli, i wyszedł na ulewę. Gen począłapał za nim, warcząc cicho, jakby się skarżył, ale Shika nie potrafił stwierdzić, czy chodzi mu o mokrą sierść, czy o działania jego pana.

Główną bramę Ryusonji otaczali wyznawcy, którzy przybyli, żeby błagać księcia opata o powstrzymanie deszczu. Rozstąpili się przed Shikanoko, gapiąc na niego i Gena z przestraszeniem i zdziwieniem.

Eisei stał tuż za bramą, jakby na niego czekał. Dał znak strażnikom, żeby go wpuścili.

- Przyszedłeś sam? – zapytał szeptem.

Shika kiwnął głową.

- Gdzie Nagatomo i chłopcy?

- Odesłałem ich do domu.

Oczy mnicha się rozszerzyły.

- Zamierzasz się poddać? Myślałem, że rzucisz mu wyzwanie!

- Poddam się w zamian za życie Księżniczki – odparł Shika.

– Nigdy nie pozwolą odejść żadnemu z was, póki nie dowiedzą się, gdzie jest Yoshimori, i a wtedy prawdopodobnie was zabiją.

- Więc umrzemy razem – rzekł Shika. – Idź i powiedz mu, że jestem.

Czekał na zewnętrznym dziedzińcu z Genem przytulonym do jego nóg.

W południowej części placu znajdowała się kaplica boga konia, w której trzymano białego ogiera, żeby oddawać mu cześć jak żywemu bogu. Jakiś chłopiec próbował go szczotkować, co nie miało wiele sensu w nieustającym deszczu. Koń niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, rzucał łbem i parskał. Nagle zarżał głośno i radośnie.

- Nyorin – wyszeptał Shika.

Chciał go dotknąć przed śmiercią. Podeszedł do wierzchowca i wyciągnął rękę niepewny, jak zwierzę zareaguje. Nyorin opuścił głowę i pozwolił Shice, żeby objął go za szyję. Potem znowu zarżał, jeszcze głośniej. Tym razem odpowiedział mu ze stajni inny koń. Risu.

Klacz była przywiązana tuż przy wejściu. U jej boku stało źrebię. Risu powitała Shikę donośnym rżeniem, a ogierek wpatrywał się w niego z zaciekawieniem.

– Pan Kiyoyori – powiedział Shikanoko, patrząc ze zdumieniem na wcielenie ducha, którego wezwał znad Rzeki Śmierci wiele miesięcy temu.

Źrebak parsknął cicho, a Risu trąciła Shikę chrapami, jakby na znak wybaczenia.

- Dziękuję – wyszeptał Shikanoko.

Tymczasem wrócił Eisei.

– Chodź ze mną – powiedział.

Risu zarżała na pożegnanie, a malec pobiegł za nimi. Po chwili wrócił do matki, rozrzucając kopytami żwir.

Z głównej sali dobiegał śpiew, sutra smoka. Jej znajome słowa cisnęły się Shice na język. Potem za sobą usłyszał głos starego nauczyciela zawodzący żałościwie:

Dziecko smoka poleciało za wysoko.

Głos został uciszony ciosem. Potem rozległ się głos księcia opata.

– Po raz ostatni pytam, ty uparty stary głupcze, jak przekazałeś moc Shikanoko. Mów, bo inaczej spalę cię razem z Księżniczką.

– Są w pokoju przesłuchań – szepnął Eisei.

Shika usłyszał Sesshina:

– Oddałem ją i nie mogę jej odebrać. A ty możesz mnie spalić, ale mnie nie zniszczysz.

– Co masz na myśli? – Głos księcia opata był prawie nierozpoznawalny, zachrypnięty z wyczerpania. Przesłuchanie musiało trwać całą noc.

– Znalazłem go, mój stary przyjacielu. Sekret, którego obaj szukaliśmy przez całe życie. Elementy, które, połączone ze sobą, oszukają śmierć.

– Nie możesz umrzeć? – W głosie kapłana brzmiało niedowierzanie zmieszane z zazdrością.

– Chyba nie – odparł Sesshin. – Właściwie jest to ciężar większy, niż sądziłem, ale na tym świecie nie ma czystego piękna, tak jak nie istnieje całkowite zło. Wszystko jest słońcem i cieniem, ciemnością i światłem.

– Co to za rodzaj magii? – dopytywał się książę opat. – Napój? Inkantacja?

– Było to zapisane w jednej z moich ksiąg, ale wszystkie zostały spalone w Matsutani.

– Nie pamiętasz? Twoja pamięć zawsze była niezawodna.

– Jestem starym człowiekiem, niewiele pamiętam. – Głos Sesshina wyraźnie poweselał.

– O, nadchodzi mój chłopiec.

Książę opat odwrócił się do drzwi, kiedy Eisei wprowadził Shikę i Gena.

– Shikanoko – powiedział. – Czekaliśmy na ciebie.

Pod wpływem jego spojrzenia wola Shiki zaczęła słabnąć. I nagle w jego umysł wdarły się słowa Sesshina: „Mój chłopiec”. To stary ślepiec był jego prawdziwym panem. Poczul, że zaczyna w nim kiełkować ziarno mocy.

– Przeszedłeś się poddać? – zapytał książę opat.

– Już jestem więźniem twojego mnicha – odparł Shika.

– Powstrzymasz się przed rzuceniem mi wyzwania?

– Pokaż mi Akihime i obiecaj, że ją wypuścisz, a zrobię wszystko, co każesz, panie – oświadczył Shika.

– Spóźniłeś się. Powinieneś być przyjąć wcześniej. Stos już przygotowany. Pan Aritomo dostał zaproszenie.

– Więc możesz spalić mnie razem z nią.

Usłyszał dobiegający z rogu pokoju cichy dźwięk i odwrócił się w jego stronę. Nie zauważył jej wcześniej w półmroku, klęczącej z rękami związanymi na plecach, z odrzuconą do tyłu głową, eksponującą smukłą, bladą szyję. W oczach Akihime, kiedy na niego spojrzała, Shika dostrzegł nie zaufanie czy wybaczenie, tylko stoicką akceptację losu.

– Z przyjemnością – powiedział książę opat z nieskrywanym okrucieństwem w głosie. – Ale najpierw dostanę od ciebie to, czego chcę. Gdzie jest maska?

– Odesłałem ją.

Kapłan uśmiechnął się.

– Nie można jej odesłać. Pamiętaj, że rzuciłem na nią czary, żeby nigdy ode mnie nie uciekła. I ty również.

– Tak czy inaczej, przyszedłem bez niej.

Książę opat milczał przez chwilę jak zbity z tropu.

– A co z tymi demonicznymi chłopcami, którzy tu byli zeszłej nocy? Towarzyszyli ci? Ukrywają się gdzieś?

– Oni też zostali odesłani – spokojnie oznajmił Shika.

– Na pewno łatwo można ich wytropić. Eisei przekazał mi to, czego dowiedział się w Matsutani. Sesshin oddał ci swoją moc, choć nadal nie rozumiem jak. Masz władzę nad demonami dzięki tej mocy czy dzięki masce?

– Ani jedno, ani drugie – odparł Shika. – To są moi synowie. Wychowałem ich.

– Synowie często nie słuchają ojców – stwierdził książę opat.

Za sobą Shika usłyszał westchnienie starego nauczyciela i słowa:

– Już mówiłem, że miękkie serce będzie twoją zgubą, mój chłopcze. Kazałem ci zabić te demony.

– Przeprowadźcie tu Sesshina – rozkazał książę opat. – I Księżniczkę. Chcę, żeby patrzyli, jak traktuje się tych, którzy mnie nie słuchają i próbują rzucić mi wyzwanie.

Więźniom rozwiązano ręce i wywleczono ich na środek pokoju.

– Zostałbyś moim uczniem, a nawet sukcesorem – powiedział książę opat do Shikanoko. W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Dlaczego ode mnie uciekłeś?

– Zrobię wszystko, co każesz, dam ci wszystko, co zechcesz, jeśli oszczędzisz Akihime – oświadczył Shika, padając na kolana.

Kapłan przywołał go gestem ręki.

– Podejdź tutaj.

Shikanoko zbliżył się do niego, nie wstając z klęczek. Opat też ukląkł, wziął w dłonie jego głowę i przycisnął usta do jego ust, tak jak kiedyś Sesshin.

W oddali rozbrzmiał gong, otoczyła ich chmura perfum i kadzidła. Przez chwilę Shika myślał, że cały magiczny proces przebiegnie w odwrotny sposób. W jego żyłach przebudziły się węże, w umyśle zamiauczała kocia istota, wszystkie stawiały opór sile, która chciała je z niego wyrwać. Nawet gdyby on się zgodził, one nie pozwoliły się zabrać.

Próbował się uwolnić, ale książę opat trzymał go mocno. Shika nie mógł oddychać. Miał wrażenie, że wgrzają się w niego czyjeś zęby. Wezbrało w nim całe tłumione przerażenie

przed tajemnymi rytuałami Ryusonji.

Usłyszał myśli księcia opata tak wyraźnie, jakby ten wypowiedział je na głos.

A teraz wyślę cię do piekła!

Z ciemności, która go otaczała, dobiegło ciche brzdęknięcie naciąganej cięciwy.

Shikanoko od razu się zorientował, że to łuk z katalpy użyty do wezwania duchów.

Zostawił go w gospodzie. Jakim cudem nagle się tu znalazł? W tym momencie książe opat go puścił i spytał:

– Nadal się opierasz?

Jakby z bardzo daleka odezwał się Sesshin:

– Dałem mu swoją moc, to prawda, właśnie w taki sposób, w jaki próbowałeś mu ją odebrać. Ale nie nauczyłem go, jak ją przekazywać, i nie nauczę jeszcze długo, jeśli w ogóle.

Shika poczuł krew w ustach. Przez chwilę było mu niedobrze i tak kręciło mu się w głowie, że nie wiedział, czy zdoła utrzymać się na nogach. Poczuł, że Gen liże go po rękach, dodając mu otuchy.

Znowu zabrzączała cięciwa łuku.

– Dziecko smoka! – zawołała Akihime. – Przybądź nam na pomoc!

Shika odwrócił się i zobaczył ją nie jako udręczonego więźnia, ale piękną świątynną dziewicę, potężną, czystą, niebezpieczną. Zalała go fala głębokiej ulgi. Instykt go nie zawiódł. Jej siła objawiła się dzięki jego złamaniu.

Kiedy dźwignął się chwiejnie, w powietrzu przed nim zawisła maska: rozłożyste rogi, w tym jeden złamany, lakierowana powierzchnia, czerwone usta, oczodoły z czarnymi rzęsami. Wydawała się jeszcze bardziej ekspresyjna niż zwykle, kiedy do niego przemówiła: „Próbowałeś mnie zostawić, ale ci się nie udało. Teraz jestem tutaj. Włóż mnie”.

– Włóż ją. – Przed nim stał Kiku, podając mu oburącz maskę.

Chłopcy jednak go nie posłuchali. Zjawili się obaj, przynosząc rzeczy, które im powierzył.

– Nie potrzebuję jej – powiedział Shika, cofając się, ale maska sama pokonała odległość między nimi i przywarła do jego twarzy.

Kiku wyszedł z cienia swojego drugiego ja i zniknął.

– Nie mówiłem, że ona do mnie wróci? – odezwał się książe opat i wymówił słowo zaklęcia.

Shika bez zastanowienia skontrolował je swoim własnym. W głębi siebie wyczuł pomruk aprobaty, a w ustach oczyszczającą słodycz z gorzkim posmakiem. Wiedział jednak, że nie pokona księcia opata w Ryusonji, w ośrodku jego władzy.

Ich spojrzenia się zwały i zaczęła się walka. Shikę znowu ogarnęło przerażenie, kiedy zagłębiał się w umysł i duszę kapłana. Widział siły duchowe, które książe opat mógł wezwać i rzucić przeciwko niemu. Zawahał się jak czujny jeleń w lesie, wyczuwający zapach myśliwego, ale świadomy, że złamany róg może zaplątać się w gęstwinę i go uwięzić.

Ich umysły się okręzały, szukając słabości. Shika zdawał sobie sprawę z ogromnej siły i subtelności starszego mężczyzny. Przed jego oczami przemykały wizje nieskończonego bólu i cierpienia. Demony wstawały z podziemia i demonstrowały mu wszystkie męki piekła, mówiąc szyderczo: „Wkrótce będziesz nasz”. Starożytni czarownicy mu grozili. „Ośmieliłeś się zbuntować przeciwko jednemu z nas? Twoja dusza jest zgubiona na wieczność”. I pokazali czekające na niego jałowe, niegościnnie pustkowia.

– Czegoś brakuje – powiedział Gen, który stał u jego boku w tym królestwie i w każdym innym.

Shika odwoływał się do mocy lasu, do świata, który istniał, zanim zostali stworzeni ludzie, i miał przetrwać długo po ich zniknięciu, świata, który odtwarzał się i powielał bez końca. Wezwał jelenia, swojego wybawcę, największy dąb i najbardziej delikatną koniczynę, orła i grubodzioba, wilka i łasicę, węża i stonogę. Po słowach Gena zobaczył, że strażnicy księcia opata są jak fałszywe błyskotki, mniej realne niż sztuczne zwierzęta Shisoku. Czegoś brakowało, coś opuściło księcia opata, kiedy tego najbardziej potrzebował.

Wrzask demonów i czarowników tworzył potężną kakofonię. Może byli fałszywi, ale nie potrafił się im przeciwstawić. Może czegoś brakowało, ale ta wiedza okazała się dla niego nieprzydatna. Czuł wściekłość księcia opata, a co gorsza, jego litość i żal. Ojcowskie uczucia, mądre przewodnictwo nauczyciela, nierównana moc adepta, wszystkie te rzeczy zostały mu odebrane, nieposłusznemu dziecku, zbuntowanemu uczniowi. Już miał zawołać: „Wybacz mi! Poddaję się, nigdy nie powinienem był się tobie sprzeciwiać”. Ale przez hałas i zamieszanie przebiło się ciche brzęknięcie łuku.

I okrzyk Aki:

– Dziecko smoka! Wcielenie bogów! Wybacz, że cię obrażam. Weź moje życie za karę, ale przyjdź nam na pomoc!

W oddali Shika usłyszał dzikie rżenie żrebaka. Wydawało mu się, że koń krzyczy:

– Tsumaru! Tsumaru!

Tsumaru. W tym momencie Shikanoko uświadomił sobie, czego brakuje. Księżę opat już nie panował nad mocą smoka. Samo Ryusonji go opuściło.

Otoczyli go strażnicy, zawodząc:

– Tsumaru to tylko martwe dziecko. Nie ma żadnego smoka.

Jego duch się przeląkł, ciało zadrżało. Jestem zgubiony, pomyślał Shika, przegrałem.

– Tak – zadrwił kapłan. – Na końcu nie ma nic. To właśnie cię czeka, całkowite zniknięcie. Myślałeś, że mnie zniszczysz, ale razem wpadniemy w otchłań.

– Przynajmniej ty zginiesz! – krzyknął Shikanoko resztkami sił.

I wtedy po zjawach przesunął się jęzor ognia i pochłonał je jak owady na płonącym polanie. Ziemia zadrżała. Na zewnątrz rozległ się ryk, w górze trzasnął piorun. Trzy rozżarzone kule wpadły przez ściany, ze skwierczeniem okrążyły pokój i skupiły się w jedną przed księciem opatem.

Ogień otoczył go oślepiającą kolumną żaru. Ryk smoka wypełnił pokój, mnisi rozpięchli się w przerażeniu. Płomień musnął twarz Shikanoko, ale ochroniła go maska.

Dziecko Jelenia padło na kolana, żeby odmówić modlitwę dziękczynną, lecz w tym momencie dotarł do niego słup pary z wrzącego jeziora i niczym drobna parząca mgiełka zasłonił mu widok. Shika uniósł ręce do twarzy, ale maska jakby stopiła się z jego skórą. Zrozumiał, że las, który dał mu moc, teraz żąda zapłaty. Taka miała być cena za zniszczenie księcia opata.

Ogarnął go głęboki smutek, jakby zobaczył wszystko, co miał utracić. Kiedy mgła się rozwiała, Shika powiódł wzrokiem po komnacie. Płomienie lizały belki dachu, pomieszczenie wypełniał dym. Aki i Sesshin leżeli na podłodze, zasłaniając twarze. Eisei stał przy ścianie; oczy miał zaczerwienione.

– Shikanoko! – zawołał starzec, unosząc głowę. – Musisz zabić demony. Już ci to mówiłem.

– Jakie demony? – spytał Shika. Był oszołomiony, dzwoniło mu w uszach.

– Chochliki, chłopców. Dzieci pani Tory.

– To są również twoje dzieci – przypomniał Shikanoko. – I moje. I Kiyoyoriego.

– Działaj szybko, chłopcze, bo będziesz żałował do końca życia.

Kuro, który razem z Kiku już wcześniej podszedł do Shiki, teraz odwrócił się z węzem w ręce i spytał:

– Dlaczego Shikanoko miałby nas zabić? On nas wychował. Jest naszym starszym bratem.

I rzucił węża w stronę Sesshina. Gad obrócił się w powietrzu, wijąc się i sycząc z rozdziawioną paszczą i obnażonymi zębami.

Spadł tuż przed starcem i zniknął w szparze podłogi.

Tymczasem Shika podszedł do Aki, która nadal leżała na podłodze, drżąc i ściskając łuk z katalpy. Próbował wziąć ją w ramiona, ale ona odepchnęła go łagodnie. Znowu ogarnął go smutek. Połączył się z nią, tęsknił za nią, ale ledwo ją znał.

– Shikanoko, przepraszam – wyszeptała.

– To ja powinienem cię przeprosić. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

– Wybaczam ci. – Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zabrakło jej sił. Łuk wysunął się jej z ręki.

– Gdzie jest Yoshimori? – zapytał nagłym tonem Shika. – Znajdziemy go i wszystko znowu będzie dobrze.

– Tak, musisz go znaleźć. Obiecay mi, że znajdziesz. Ja nie mogę ci pomóc, moje życie jest zastawem.

– Nie! – krzyknął Shikanoko, choć widział, że trawi ją gorączka. – Wyleczymy cię. Sesshin! Kuro!

Nikt mu nie odpowiedział.

Aki krzyknęła i wygięła ciało w łuk. Dopiero wtedy Shikanoko zobaczył, że w jej kostkę jest wczepiony wąż. Jad już krążył w jej żyłach.

– Akihime! – wykrzyknął Shikanoko, widząc, że na jego oczach ucieka z niej życie. Z rozpaczą powiódł wokół siebie wzrokiem. – Mistrzu, pomóż jej! Kuro, jest jakieś antidotum?

– Nie ma antidotum – powiedział Sesshin. – Ostrzegalem cię.

– Powinieneś być milczeć, starcze – odezwał się Kiku. – Zdenerwowałeś Kuro. Kiedy jest zdenerwowany, lubi krzywdzić ludzi. Taka jest jego natura i moja również.

Shika nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie mógł spojrzeć ani na Kiku, ani na Kuro.

– Idźcie – wyszeptał. – Nie chcę was więcej widzieć.

– Ale znowu nas zobaczysz – zapowiedział Kiku. – Wiesz, że nasze losy są ze sobą związane. Wiesz, że spełniamy twoje ukryte pragnienia.

Nie usłyszał ani nie zobaczył, jak rozmyli się w powietrzu i zniknęli za drzwiami. Nadal tulił do siebie Aki, a jego łzy zbierały się pod maską i wylewały jak wodospad przez puste oczodoły.

– Księżniczka nie żyje – powiedział Sesshin.

– Nie! – zaszlochał Shikanoko. – Nie, to niemożliwe.

– Panie – odezwał się Eisei. – Ona umarła.

– Bądź wdzięczny za tę chwilę, bo ona jest częścią twojej podróży – rzekł Sesshin. – Pokazuje ci prawdziwą naturę istnienia. Wszystko cierpi, wszystko ginie.

– Dlaczego tobie oszczędzono śmierci, choć jesteś stary, ślepy i bezsilny? Dlaczego ty nie umarłeś zamiast niej?

– To jest jej los. I twój. Doszła do głosu cała twoja moc. Razem z dziewczyną pokonałeś księcia opata. Dziecko smoka odpowiedziało na jej wezwanie, a potem rozpoznało ciebie i ci pomogło. Jestem z ciebie dumny, mój chłopcze.

Shika miał ochotę go zabić, tylko że starzec i tak by nie umarł.

Eisei dotknął jego ramienia i powiedział:

– Musimy iść. Ogień się rozprzestrzenia.

Dokąd mam iść? Nic mi nie zostało.

Eisei podniósł Aki. Jej ręka zwisała bezwładnie, a serce Shikanoko drgnęło z nadzieją. Zaraz jednak zobaczył, że uciekło z niej życie.

– Co ze starcem? – zapytał mnich. – Pojedzie z nami?

– Nie! – zdecydował Shika.

– Zostanę w Ryusonji – oznajmił Sesshin. – Tu jest teraz moje miejsce. Muszę zająć się Księżką Przyszłości.

Zewnętrzny dziedziniec spływał wodą. Nagatomo czekał na Shikanoko z Jato i Kodamą. W kaplicy Nyorin niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Gdzieś zarżała Risu. Przygalołował do nich źrebak. Jego oczy były wielkie, ciemne i rozumne.

Shika wziął miecz i łuk od Nagatomo.

– Odwiąż białego ogiera i kasztanową klacz – powiedział.

– Ale one należą do boga – przypomniał Eisei.

– Wcześniej to były moje konie. I znowu będą moje.

Miał nadzieję, że zaatakują go i zabiją, ale Nyorin zbliżył się do niego potulnie, a Risu podążyła za nim, parszając w swój zwykły sposób.

Przymocowali ciało Aki do grzbietu ogiera. Wszystkie trzy konie opuściły głowy, a ich

oczy zwilgotniały, jakby zwierzęta też zapłakały.

Woda sięgała im do pęcin, kiedy Shikanoko jechał przez zalane miasto. Dziecko Jelenia wracało do Ciemnego Lasu.